

NICHOLAS
SPARKS

NAJDŁUŻSZA
PODRÓŻ



Sparks Nicholas

Najdłuższa podróż

O książce

Ira Levinson ma za sobą wiele lat życia, przed sobą – zgodnie z diagnozą lekarzy – zaledwie kilka miesięcy. Kiedy prowadzony przez niego samochód wypada z oblodzonej trasy i stacza się po skarpie, unieruchomiony w nim ciężko ranny Ira jest pogodzony z tym, co nieuchronne. Szanse, że ktoś dostrzeże przysypane śniegiem auto, są bliskie zeru. Ira nie liczy na żadną pomoc, a jednak ją otrzymuje – od Ruth, zmarłej przed dziewięcioma laty żony, która pojawia się w jego majakach tak prawdziwa, że niemal może jej dotknąć. Gdy wspominają spędzone razem dramatyczne, ale szczęśliwe lata, Ruth próbuje obudzić w nim wolę przetrwania.

Cztery miesiące wcześniej Sophia poznaje sympatycznego Luke'a, który w rycerski sposób staje w jej obronie, kiedy jest nagabywana przez swojego byłego chłopaka. Wzajemna sympatia szybko przeradza się w głębsze uczucie, choć tych dwoje dzieli właściwie wszystko. Ona jest studentką ostatniego roku historii sztuki, on zakończył edukację na szkole średniej. Ona wciąż korzysta z uroków beztroskiego życia w kampusie, on musi się mierzyć z twardą rzeczywistością życia na farmie zagrożonej przejęciem przez bank. Ona liczy na otrzymanie posady w muzeum w jednym z wielkich miast, on – na zwycięstwo w zawodach rodeo, które umożliwi mu zachowanie farmy. Gdzie tu miejsce na wspólną przyszłość?

NICHOLAS SPARKS

Współczesny amerykański pisarz, którego książki o łącznym nakładzie przekraczającym 85 milionów egzemplarzy ukazały się w ponad 50 językach. Serca czytelników podbił w 1997 swoim debiutem – powieścią **Pamiętnik**. Kolejne – m.in. **Noce w Rodanthe**, **Anioł Stróż**, **Ślub**, **Prawdziwy cud**, **I wciąż ją kocham**, **Wybór**, **Ostatnia piosenka**, **Szczęściarz**, **Bezpieczna przystań** oraz **Dla Ciebie wszystko** – znajdowały się przez wiele miesięcy w czołówce światowych rankingów sprzedaży. Najnowsza powieść, **Najdłuższa podróż**, wkrótce po ukazaniu się trafiła na pierwsze miejsca list bestsellerów. Większość książek Sparksa została przeniesiona na duży ekran, a w filmowych adaptacjach wystąpiły takie gwiazdy amerykańskiego kina, jak Rachel McAdams i Ryan Gosling (**Pamiętnik**), Diane Lane i Richard Gere (**Noce w Rodanthe**) czy Robin Wright i Kevin Costner (**List w butelce**).

www.nicholassparks.com

Tego autora

PAMIĘTNIK

ŚLUB

LIST W BUTELCE

JESIENNA MIŁOŚĆ

NOCE W RODANTHE

NA RATUNEK

NA ZAKRĘCIE

ANIOŁ STRÓŻ

TRZY TYGODNIE Z MOIM BRATEM

PRAWDZIWY CUD

OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

SZCZĘŚCIARZ

WYBÓR

I WCIĄŻ JĄ KOCHAM

OSTATNIA PIOSENKA

BEZPIECZNA PRZYSTAŃ

DLA CIEBIE WSZYSTKO

NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ

Spis treści

O książce

O autorze

Tego autora

Dedykacja

Podziękowania

1. Ira

2. Sophia

3. Luke

4. Sophina

5. Ira

6. Luke

7. Sophia

8. Ira

9. Sophia

10. Luke

11. Ira

12. Luke

13. Sophia

14. Ira

15. Luke

16. Sophia

17. Ira

18. Sophia

19. Luke

20. Ira

21. Luke

22. Sophia

23. Luke

24. Sophia

25. Luke

26. Sophia

27. Luke

28. Ira

29. Sophia

30. Sophia

31. Luke

32. Sophia

33. Luke

Epilog

Fundacja

Milesowi, Ryanowi, Landonowi,

Lexie i Savannah

Podziękowania

Najdłuższa podróż, moja siedemnasta już powieść, nie mogłaby powstać bez wsparcia ze strony wielu wspaniałych osób. Ich listę otwiera jak zawsze moja żona Cathy, która po tylu wspólnie przeżytych latach pozostaje nadal najlepszym przyjacielem, jakiego miałem. Wzbogaca na co dzień moje życie i nie ukrywam, że każda kobieca postać dotychczas przeze mnie wykreowana ma w sobie coś z niej. Dobrze mi z nią w tej najdłuższej podróży, którą zwiemy życiem.

Nie obejdzie się też bez podziękowań dla **Theresy Park** – mojej agentki literackiej, menedżerki, a od jakiegoś czasu partnerki do spraw produkcji – jeszcze jednej dobrej wróżki, bez której bym sobie nie poradził. Aż się wierzyć nie chce, że współpracujemy już dziewiętnaście lat. Chociaż zdarzało mi się po wielekroć o tym napomykać, najwyższy chyba czas przyznać to na piśmie: uważam się, i zawsze uważałem, za szczęściarza.

Jamie Raab, redaktorka, z którą współpracuję od samego początku, nie ma sobie równych w udoskonalaniu moich tekstów. Miałem szczęście, że właśnie na nią trafiłem. Dziękuję za jej pracę, a także za to, co robi, ale i za to, że mam w niej prawdziwą przyjaciółkę.

Howie Sanders i **Keya Khayatian** – moi agenci filmowi – są po prostu najlepsi w branży. To geniusze, a przy tym ludzie pogodni, bezpośredni i pełni entuzjazmu. Współpraca z nimi to prawdziwa przyjemność.

Scott Schwimer, prawnik, to jeszcze jeden członek mojego zespołu, z którym współpracuję od samego początku. Wspiera mnie swoją wiedzą i radą, a także pogodą ducha i poczuciem humoru.

Elise Henderson i **Kosha Shah** kierują moją firmą produkcji telewizyjnych i robią to popisowo, z biglem. Podziwiam ich talent i humor. Dziękuję również **Dave’owi Parkowi**, mojemu agentowi telewizyjnemu, za rady i pomoc oraz **Lucindzie Moorehead** za jej entuzjastyczne starania w UTA.

Muszę też podziękować **Denise Di Novi** za styl i klasę jej filmowych adaptacji moich powieści, w tym *Listu w butelce*, *Szkoły uczuć* i *Shczęściarza*, których była producentką. Jestem pełen uznania dla Twojego talentu, Denise, i nie mogę się już doczekać, kiedy ujrzę na wielkim ekranie Twoją interpretację *Dla ciebie wszystko*. Nie darowałbym też sobie, nie dziękując **Alison Greenspan** za wszystko, z czego tak dobrze się wywiązuje.

Marty Bowen to jeszcze jeden producent mający na koncie wiele filmowych adaptacji moich powieści. Chciałbym mu podziękować za obrazy *Wciąż ją kocham* oraz *Bezpieczna przystań*. Do spółki ze mną i Theresą będzie wkrótce produkował *Najdłuższą podróż* i bez wątpienia powstanie wspaniały film. Dziękuję również **Wyckowi Godfreyowi**, który asystuje Marty’emu we wszystkich przedsięwzięciach.

Dziękuję **Emily Sweet** i **Abby Koons** z Park Literary Group. Emily nie tylko pracuje w mojej fundacji i obsługuje stronę internetową, a także z energią, entuzjazmem i powodzeniem załatwia sprawy, zdawałoby się, nie do załatwienia. Abby zaś, odpowiedzialna za kontakty zagraniczne, fantastycznie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Nie wiem, co bym bez nich począł.

Michael Nyman, **Catherine Olim**, **Jill Fritzo** i **Michael Geiser**, moi przedstawiciele w kontaktach z mediami, też są rewelacyjni i chciałbym im podziękować za nadzwyczajną pracę.

Laquishe Wright – w skrócie Q – reprezentującej mnie na portalach społecznościowych oraz **Mollie Smith**, która prowadzi moją stronę internetową, również jestem wdzięczny. To dzięki nim mogę informować zainteresowanych, co dzieje się w moim świecie.

To, że nie gubię się we wszelkich nowinkach technicznych, zawdzięczam **Davidowi Herrinowi i Ericowi Kuhnowi** z UTA. Dzięki nim jestem w tych sprawach na bieżąco.

Dziękuję również **Davidowi Youngowi i Michaelowi Pietschowi** z Hachette Book Group. Bardzo będzie mi Ciebie brakowało, Davidzie, a w Tobie, Michaelu, pokładałam nadzieję, że godnie go zastąpisz.

Chciałbym też złożyć specjalne podziękowania **Seanowi Gleasonowi**, prezesowi Professional Bull Riders, Inc., za mozolne przestudiowanie rękopisu i cenne uwagi. Ujeżdżanie byków to ekscytująca dyscyplina sportu. Sean, kierujesz wspaniałą organizacją.

Na podziękowania zasłużyli też **Larry Vincent i Sara Fernstrom** z UTA. Nasza współpraca doskonale się układa i spoglądając w przyszłość, widzę ją w samych jasnych barwach.

Nieocenionymi członkami mojego zespołu są **Mitch Stoller**, prezes Fundacji Nicholasa Sparksa, oraz **Jenna Dueck**. Dziękuję im z całego serca za wkład, jaki wnoszą w edukację.

Chcę także podziękować **Saulowi Benjaminowi**, dyrektorowi Epiphany School of Global Studies, szkoły, którą założyłem wraz z żoną w roku 2006. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pod jego kierunkiem ta placówka z biegiem czasu rozkwitnie. Naturalnie nie byłoby to możliwe bez udziału Davida Wanga, zastępcy dyrektora, któremu również jestem wdzięczny.

Dziękuję też **Jasonowi Richmanowi i Pete'owi Knappowi**, z których żaden nie pracuje dla mnie bezpośrednio, ale pośrednio owszem. Wielkie dzięki za Wasz wkład.

Rachel Bressler i Alexowi Greene'owi dziękuję za to, że tak sprawnie prowadzą Novel Learning Series, a to nie lada zadanie.

Na serdeczne podziękowania za zaangażowanie i wizję, jaką wniósł do Novel Learning Series, zasługuje mój brat **Micah Sparks**.

Dziękuję też **Emily Griffin, Sarze Weiss i Sonyi Cheuse** z Grand Central Publishing za wszystko, co dla mnie robią.

Podziękowania należą się również **Tracey Lorentz**, dyrektorze oddziału mojej fundacji w New Bern, **Tii Scott**, jej asystentce, no i **Jeannie Armentrout**.

Dziękuję też Andrew Sommersowi, który jest dla mnie wielką wyręką w jeszcze innym, ważnym obszarze mojego życia.

Pam Pope i Oscara Stevick, moje księgowe, są bezbłędne i rad jestem, że mam je w zespole.

Courtenay Valenti i Greg Silverman z Warner Bros są dla mnie jak rodzina i wspaniale mi się z nimi współpracuje.

Ryanowi Kavanaugh, Tuckerowi Tooleyowi, Robbiemu Brennerowi i Terry'emu Curtinowi z Relativity dziękuję za wspaniałą ekranizację *Bezpiecznej przystani*. Piszę się na dalszą współpracę z Wami, bo widzę, że nadajemy na tych samych falach.

Elizabeth Gabler i Erin Siminoff z Fox 2000 dziękuję za zgodę na nakręcenie filmowej wersji *Najdłuższej podróży*. Nie mogę się już doczekać, kiedy zaczniemy.

Na podziękowania zasługuje również **David Buchalter** pomagający mi w przygotowywaniu wszystkich moich publicznych wystąpień. Doceniam Twoje zaangażowanie.

Toddowi i Kari Wagnerom dziękuję za... chyba wiedzą za co.

I na koniec moc podziękowań dla nowych i starych przyjaciół, w tym dla **Drew i Brittany Breesów, Jennifer Romanello, Chelsea Kane, Gretchen Rossi, Slade'a Smileya, Josha Duhamela i Julianne Hough** za wniesienie do mojego życia takiej dawki radości i śmiechu.

1

Ira

Początek lutego 2011 roku

Tak sobie czasami myślę, że jestem ostatnim przedstawicielem wymierającego gatunku.

Nazywam się Ira Levinson. Jestem południowcem i Żydem i pęcznięję z dumy, kiedy od czasu do czasu ktoś nazwie mnie jednym albo drugim. Mam już swoje lata. Urodziłem się w 1920 roku. Zdelegalizowano wtedy alkohol, a kobietom przyznano prawa wyborcze, i podejrzewam często, że właśnie z tego powodu moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Jakkolwiek by na to spojrzeć, nigdy nie ciągnęło mnie do kieliszka i poślubiłem kobietę, która osiągnąwszy wymagany wiek, od razu stanęła w kolejce do lokalu wyborczego, żeby zagłosować na Roosevelta; łatwo pomyśleć, że data moich narodzin wpłynęła na mój los.

Ojciec wyśmiałby mnie, gdyby to usłyszał. On nie wierzył w zrządzenia losu, lecz wyznawał zasady. „Ira – mawiał, kiedy byłem podrostkiem i pomagałem mu w sklepie z odzieżą męską – ja ci teraz powiem, czego nigdy nie powinieneś robić”, no i mówił. Wyluszczał swoje *Zasady życia*, jak je nazywał, a ja dorastałem, wysłuchując tych jego zasad na każdym kroku. Niektóre były natury moralnej, wywodziły się z mądrości Talmudu i, jak przypuszczam, nie odbiegały od nauk, jakie wpaja swoim dzieciom większość rodziców. Dowiedziałem się, między innymi, że nigdy nie powinienem oszukiwać ani kraść, ale mój ojciec – żyd na pół gwizdka, jak sam siebie wówczas określał – bardziej skupiał się na sprawach praktycznych. Nigdy nie wychodź na deszcz bez czapki, pouczał mnie. Nigdy nie dotykaj fajerek na piecu, bo mogą być wciąż gorące. Ostrzegł mnie też, żebym nigdy przy ludziach nie liczył pieniędzy, które mam w portfelu, ani nie kupował biżuterii od przekupnia, choćby proponował najlepszą cenę. Zakazy ciągnęły się w nieskończoność, ale pomimo ich chaotycznej natury, przestrzegałem chyba każdego, żeby nie robić mu przykrości. Jego głos rozbrzmiewał mi w uszach przez całą tę najdłuższą podróż, którą zwiemy życiem, i rozbrzmiewa po dziś dzień.

Nasłuchałem się także o powinnościach. Przede wszystkim ojciec oczekiwał ode mnie uczciwości i prawości we wszelkich aspektach życia, ale pouczał również, żebym zawsze puszczał przodem kobiety i dzieci, mocno i zdecydowanie ścisnął dłoń przy powitaniu i pożegnaniu, zapamiętywał imiona i nazwiska i zawsze dawał klientowi trochę więcej, niż się spodziewał. Z czasem uświadomiłem sobie, że te jego zasady nie tylko stanowiły kwintesencję filozofii, jaką wyznawał, ale też zdradzały, jakim był człowiekiem. Ponieważ wierzył w uczciwość i prawość, zakładał, że inni też w nie wierzą. Ponieważ wierzył w ludzką przyzwoitość, wychodził z założenia, że wszyscy są tacy jak on. Wierzył, że większość ludzi postawionych przed wyborem, postąpi właściwie, choćby wybór był trudny, i wierzył, że dobro prawie zawsze bierze górę nad złem. Ale nie był naiwny. „Ufaj ludziom – powtarzał mi – dopóki nie okażą się niegodni twojego zaufania. A przed takimi, którym przestałeś ufać, miej się na baczności”.

To przede wszystkim ojciec uczynił ze mnie człowieka, jakim dzisiaj jestem.

Ale wojna go zmieniła. A dokładniej, zmienił go Holocaust. Intelktualnie pozostał sprawny – wciąż potrafił w niecałe dziesięć minut rozwiązać calutką krzyżówkę z „New York Timesa” – stracił jednak wiarę w ludzi. Nie rozumiał już świata, który, jak mu się wydawało, tak dobrze zna. Dobijał sześćdziesiątki, wziął mnie więc na współnika i od tamtego czasu coraz rzadziej pokazywał się w sklepie. Zrobił się za to z niego żyd całą gębą. Razem z matką – o niej opowiem później – zaczął regularnie uczęszczać do synagogi i wspierać finansowo rozmaite żydowskie inicjatywy. W sabat nie kiwnął palcem. Śledził pilnie wieści docierające z Bliskiego

Wschodu, gdzie powstawało państwo Izrael – potem z frontu arabsko-izraelskiej wojny, która w wyniku tego wybuchła – i zaczął przynajmniej raz w roku odwiedzać Jerozolimę, jakby szukał tam czegoś, co kiedyś nieświadomie zgubił. Im był starszy, tym bardziej niepokoiły mnie jego zamorskie wojaże, ale zapewniał mnie, że świetnie daje sobie radę, i przez wiele lat rzeczywiście dawał. Upływ czasu nie przytępił jego umysłu, gorzej było z kondycją fizyczną. W wieku dziewięćdziesięciu lat doznał zawału serca i chociaż doszedł do siebie, to siedem miesięcy później wylew odebrał mu władzę nad prawą stroną ciała. Ale nawet wtedy zarzekał się, że sobie poradzi. Mimo że chodził z balkonikiem, nie chciał słyszeć o domu spokojnej starości i chociaż błagałem go, żeby zwrócił prawo jazdy, nadal siadał za kierownicą. Kiedy mu tłumaczyłem, że to niebezpieczne, wzruszał tylko ramionami.

„A jakie ja mam inne wyjście? – odburkiwał. – Czym będę dojeżdżać do sklepu?”.

Umarł w końcu w łóżku miesiąc przed swoimi sto pierwszymi urodzinami, z prawem jazdy wciąż w portfelu i z rozwiązaną krzyżówką na stoliku nocnym. Żył długo, w ciekawych czasach, i ostatnio często go wspominam. Chyba nie bez kozery, bo podążam jego śladami. Co rano, otwierając sklep, powtarzałem sobie w duchu jego *Zasady życia*, by zgodnie z nimi obsługiwać klientów. Zapamiętywałem ich nazwiska, dawałem więcej, niż się spodziewali, i po dziś dzień wychodzę z domu w czapce, kiedy zanoszą się na deszcz. Podobnie jak ojciec przeszedłem zawał serca i chodzę z balkonikiem, i chociaż nigdy nie przepadałem za krzyżówkami, umysł mam nadal wyostrzony. Podobnie jak ojciec zaparłem się, że nie oddam prawa jazdy. Co, jak się okazało, było z mojej strony błędem. Oddając je, oszczędziłbym sobie kłopotliwego położenia, w jakim się obecnie znajduję: wypadłem z drogi i mój samochód zatrzymał się na drzewie rosnącym w połowie stromej skarpy; uderzenie było tak silne, że maska złożyła się w harmonijkę. I nie musiałbym teraz fantazjować, że ktoś schodzi do mnie z termosem gorącej kawy, kocem i lektyką, na jakiej przenoszono z miejsca na miejsce faraona. Bo chyba nie ma co marzyć, że wydostanę się stąd o własnych siłach, a do tego żywy.

To naprawdę nie przelewki. Śnieg za strzaskaną przednią szybą wciąż sypie na potęgę, widok jest mglisty, zwodniczy. Po policzku ścieka mi krew, mam zawroty głowy i jak nic złamaną rękę. Obojczyk też chyba pęknięty. Cały bark pulsuje bólem, najmniejszy ruch to tortura. A ja, chociaż jestem w zimowej kurtce, tak przemarzłem, że dygoczę z zimna.

Nie ukrywam, że strach zagląda mi w oczy. Nie chcę jeszcze umierać. Przez długi czas zakładałem, że dzięki rodzicom – matka żyła dziewięćdziesiąt sześć lat – długowieczność mam w genach. Parę miesięcy temu byłem nawet przekonany, że zostało mi jeszcze dobrych sześć lat życia. No, może nie takich dobrych. W moim wieku to odpada. Sypałem się od jakiegoś czasu – sercu, stawom, nerkom i innym częściom mojego ciała upływał powoli termin ważności – ale ostatnio doszło do tego coś jeszcze. Narośle w płucach, usłyszałem od lekarza. Guzy. Rak. Teraz od śmierci dzielą mnie nie lata, lecz miesiące... ale mimo to nie jestem gotowy umierać już teraz. Już dziś. Mam jeszcze coś ważnego do załatwienia, coś, co – poczynając od roku 1956 – stanowi wielką doroczną tradycję, która właśnie dobiega końca, a ja przed odejściem muszę się przecież pożegnać.

Nie do wiary, co też roi się w głowie człowiekowi czującemu nadciągającą śmierć. Jednego jestem pewien – nie chcę wyczekiwać tej chwili, gdy bicie serca ustanie, rozdygotany, szcękający z zimna protezami zębowymi. Wiem, co się dzieje, kiedy ludzie umierają – byłem już na zbyt wielu pogrzebach. Gdybym mógł wybierać, to wolałbym raczej zejść we śnie, w swoim domu, we własnym wygodnym łóżku. Ludzie, którzy tak umierają, lepiej się po śmierci prezentują, postanawiam więc, że kiedy już na dobre zajrzy mi w oczy Ponury Żniwiarz, spróbuję się jakoś przeczłogać na tylne siedzenie. Tego by tylko brakowało, żeby znaleźli mnie tu, gdzie teraz siedzę, za kierownicą, zamrożonego na kość i przypominającego lodową rzeźbę.

A w ogóle to jak mnie stąd wyciągną? Utknąłem między oparciem fotela a kierownicą jak fortepian w wąskich drzwiach, kiedy próbowali go wynieść z łazienki. Już sobie wyobrażam, jak jakiś strażak, mocując się z moimi złodowacjalnymi zwłokami, woła do kolegi: „Przekrzyw mu łeb w moją stronę, Steve!” albo „Weź dziadygę za ręce, Joe!”. Mój trup, szarpany i tarמושony, popychany i ciągnięty, z głuchym łomotem wypada wreszcie z samochodu na ziemię. O, dziękuję, ja się na to nie piszę. Swoją godność jeszcze mam. Tak więc, jak już nadmieniałem, jeśli przyjdzie co do czego, postaram się przeczłogać na tylną kanapę, wyciągnę się na niej i zamknę oczy. Wtedy będą mnie mogli wysunąć z wozu jak mrożony paluszek rybny z opakowania.

Ale może do tego nie dojdzie. Może ktoś zauważy ślady opon prowadzące prosto na skraj skarpy, przy której biegnie szosa, i tam się urywające. Może ktoś się zatrzyma i zawoła z góry, może poświeci latarką i zobaczy wbity w drzewo samochód. To całkiem możliwe; jeszcze nic straconego. Podczas śnieżycy ludzie zdejmują nogę z gazu. Na pewno ktoś mnie znajdzie. Muszą mnie znaleźć.

Muszą?

No, niekoniecznie.

Wciąż sypie. Wydycham małe obłoczki pary, jak smok, i z zimna cały jestem obolały. Ale mogło być gorzej. Kiedy ruszałem w drogę, śnieg jeszcze nie padał, ale było już mroźno, więc ciepło się ubrałem. Mam na sobie dwie koszule, sweter, rękawiczki i czapkę. Samochód stoi teraz pod kątem, przodem w dół. Jestem wciąż przypięty pasem bezpieczeństwa, który mnie podtrzymuje, lecz czoło mam wsparte na kierownicy. Poduszka powietrzna zadziałała, wypełniając wnętrze wozu tumanem białego pyłu i gryzącym zapachem prochu strzelniczego. Nie jest mi zbyt wygodnie, ale ujdzie.

Tylko to pulsowanie w całym ciele. Poduszka powietrzna, owszem, zadziałała, ale chyba nie tak jak należy, bo wyrznięłem głową w kierownicę i straciłem na jakiś czas przytomność. Na jak długo, nie wiem. Z rozcięcia sączy się krew, a kości w prawej ręce jakby próbowały przebić się przez skórę. Pulsują mi bólem obojczyk i bark i boję się poruszyć. Wmawiam sobie, że mogło się skończyć gorzej. Śnieg nadal sypie, ale na zewnątrz nie jest znowu tak zimno. Dziś wieczorem temperatura ma spaść do minus pięciu stopni Celsjusza, ale jutro wzrośnie do prawie plus trzech. W nocy będzie też mocno wiało, w porywach do czterdziestu kilometrów na godzinę. Jutro, w niedzielę, wiać będzie jeszcze silniej, ale w nocy z niedzieli na poniedziałek pogoda zacznie się stopniowo poprawiać. Zimny front przejdzie i wiatr prawie zupełnie ustanie. We wtorek temperatura ma dojść do plus pięciu stopni.

Wiem to wszystko, bo oglądałem Kanał Meteo. Jest mniej przygnębiający od wiadomości i wciąga. Puszczają nie tylko prognozy pogody, ale również filmy o katastrofalnych skutkach anomalii pogodowych. Oglądałem te reportaże – na przykład o ludziach, którzy przebywali w łazience, kiedy trąba powietrzna oderwała ich dom od fundamentów i poniosła licho wie gdzie, albo o ludziach porwanych przez falę powodziową, którzy opowiadają, jak to ich ratowano z kipieli. Na Kanale Meteo pokazują zawsze ludzi, którzy z katastrof wyszli cało, i nic w tym dziwnego, bo tylko z takimi można przeprowadzać wywiady; z nieszczęśliwymi, którym się nie udało, nie ma już o czym gadać. W zeszłym roku puścili materiał o mieszkańcach Chicago, których zaskoczyła śnieżycy, kiedy w godzinach szczytu wracali z pracy. Sypnęło tak mocno, że drogi momentalnie zrobiły się nieprzejezdne. Ugrzęzły na nich na osiem godzin tysiące ludzi, a temperatura przez cały czas spadała. Reporterom udało się dotrzeć z kamerą do jednego z uwięzionych w zaspach samochodów, w którym siedziało jakieś małżeństwo, i filmowali na bieżąco, jak sobie radzą z żywiołem, a mnie od razu uderzyło, że ci pechowcy są zupełnie nieprzygotowani na niepogodę. W szalejącej zamieci tracili ciepło i groziła im hipotermia.

Niebywałe. Mieszkańcy Chicago wiedzą przecież, że śnieżyce to u nich nic nadzwyczajnego; w końcu mają za miedzą Kanadę, skąd czasami nadciągają zimne masy powietrza, i ani się człowiek obejrzy, a temperatura leci na łeb na szyję, i zaczyna padać śnieg. Jak mogą to lekceważyć? Gdybym ja tam mieszkał, już przed Halloween woziłbym w bagażniku grube koce, wełniane czapki, dodatkową zimową kurtkę, nauszniki, rękawice, łopatę, latarkę, ciepłe kałesony i zapas butelkowanej wody. Gdybym mieszkał w Chicago, śnieżyca mogłaby mnie uwięzić na wiele dni i dopiero po dwóch tygodniach zacząłbym się martwić.

Sękam w tym, że mieszkam w Karolinie Północnej. I zwykle – nie licząc dorocznego wypadu w góry, przeważnie latem – nie odjeżdżam od domu dalej niż na kilka kilometrów. Bagażnik mam więc teraz pusty, ale pociesza mnie trochę fakt, że nawet gdyby był wypełniony po brzegi artykułami pierwszej potrzeby, nic by mi to nie pomogło. Skarpa jest oblodzona i stroma i nawet za wszystkie skarby Tutanchamona nie dałbym rady się do niego wdrapać. Nie powiedziałbym jednak, że jestem kompletnie nieprzygotowany na to, co mi się przytrafiło. Zabrałem z domu termos z kawą, dwie kanapki, torebkę suszonych śliwek i butelkę wody. Położyłem ten zestaw podróży na fotelu pasażera, obok listu, który wcześniej napisałem, i chociaż pod wpływem uderzenia w drzewo wszystkie te rzeczy rozleciały się po całym samochodzie, to pociesza mnie świadomość, że wciąż gdzieś tu się walają. Kiedy dostatecznie zgłodnieję, postaram się ich poszukać, ale już teraz rozumiem, z czym wiąże się jedzenie i picie. Co się skonsumuje, trzeba potem wydalić, a ja nie mam jeszcze pomysłu, jak niby miałbym przez to przebrnąć. Balkonik leży na tylnym siedzeniu, ale nawet gdyby udało mi się wygramolić z wozu, wdrapać tam przez tylne drzwi i go stamtąd wyciągnąć, to nie na wiele by mi się zdał na tej stromiźnie, zwłaszcza że cały jestem poturbowany. Nie, zew natury odpada.

Co do samego wypadku... Potrafiłbym chyba sfabrykować jakąś mrozącą krew w żyłach historyjkę o oblodzonej jezdni albo o piracie drogowym, który mnie zepchnął na pobocze, gdzie straciłem panowanie nad kierownicą i stoczyłem się po stromej skarpie, ale trzymajmy się lepiej faktów. A przedstawiają się one następująco: było już ciemno, zaczynał prószyć śnieg i nagle jak nie sypnie. Szosa w mgnieniu oka po prostu znikła. Zakładam, że zbliżyłem się do zakrętu – zakładam, bo żadnego zakrętu nie widziałem – i zaraz potem, przebiwszy barierkę ochronną, poleciałem na łeb na szyję w dół. Siedzę teraz sam, w ciemnościach, i zastanawiam się, czy Kanał Meteo zrobi kiedyś program o mnie.

Nic już nie widzę przez przednią szybę. Nie zważając na eksplozję bólu, wyciągam rękę bez większej nadziei i włączam wycieraczkę. Ku mojemu zaskoczeniu ruszają, zaczynają odgarniać z szyby śnieg i po chwili pozostaje na niej tylko cienka warstewka lodu. Wyłączam je, bo szkoda akumulatora, z myślą o nim gaszę również reflektory, które przez cały czas miałem włączone. Tego by tylko brakowało, żeby się rozładował i żeby nie mógł nawet zatrzeć.

Poprawiam się w fotelu i błyskawica bólu przeszywa moją rękę od łokcia po obojczyk. Ciemnieje mi w oczach. Uf, nie zdzierzę. Zaciskam zęby i pojękując przez nie z cicha, czekam, aż przejdzie.

Dobry Boże, litości. I staje się cud – ból zaczyna słabnąć. Oddech mi się wyrównuje, łzy nie napływają już do oczu, a kiedy rwanie w ramieniu całkiem ustaje, czuję się strasznie wyczerpany. Mógłbym teraz zasnąć i nigdy się nie obudzić. Zamykam oczy. Jestem bardzo, ale to bardzo zmęczony.

Dziwna rzecz; przylapuję się na tym, że myślę o żonie Daniela McCalluma i o popołudniu, kiedy mnie odwiedziła. Przypomina mi się prezent, który zostawiła, i odpływając w sen, zastanawiam się, ile też czasu będzie musiało minąć, zanim mnie tu znajda.

– Ira – słyszę przez sen; głos jest jakiś rozmyty, zniekształcony, jakby wydobywał się spod wody, i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że ktoś wypowiada moje imię.

Ale to przecież niemożliwe.

– Obudź się, Ira.

Otwieram oczy, mrugam. W fotelu pasażera obok mnie siedzi Ruth, moja żona.

– Ja nie śpię – mamroczę, nie odrywając czoła od kierownicy. Zerkam na Ruth z ukosa. Bez okularów, które w chwili zderzenia z drzewem zleciały mi z nosa, widzę ją niewyraźnie; kontury ma rozmazane, wygląda jak duch.

– Wypadłeś z drogi.

Znowu mrugam.

– Jakiś wariat mnie zepchnął, a potem wpadłem w poślizg. Mogłem skończyć gorzej, gdyby nie mój koci refleks.

– Wypadłeś z drogi, bo jesteś ślepy jak kret i za stary, żeby prowadzić. Ile razy mam ci powtarzać, że za kierownicą stajesz się zagrożeniem dla innych.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś.

– A powinnam była. Nie zauważyłeś nawet zakrętu. – Zawiesza głos. – Krew ci leci.

Unoszę głowę, przecieram czoło zdrową ręką, patrzę – czerwona. Krew jest na kierownicy i na desce rozdzielczej, wszędzie czerwone plamy.

– Wiem.

– Masz złamaną rękę. I pęknięty obojczyk. Z barkiem też coś nie w porządku.

– Wiem – powtarzam. Z każdym mrugnięciem Ruth rozwiewa się w powietrzu i na chwilę znika.

– Musisz jechać do szpitala.

– Na to wygląda – mówię.

– Martwię się o ciebie.

Tak naprawdę mojej żony, Ruth, nie ma w samochodzie. Umarła przed dziewięciu laty i w dniu jej śmierci zawalił się mój świat. Zawołałem do niej z salonu, a kiedy nie odpowiadała, dźwignąłem się z fotela. Poruszałem się jeszcze wtedy bez balkonika, ale z trudem.

Doczłapawszy do sypialni, zobaczyłem ją leżącą na prawym boku obok łóżka. Wezwałem pogotowie, ukląknłem przy niej, przekręciłem na plecy i poszukałem pulsu na szyi. Był niewyczuwalny. Pochyliłem się i zacząłem jej robić sztuczne oddychanie, tak jak pokazywali w telewizji, ale bez rezultatu. Dałem w końcu za wygraną, pocałowałem ją w usta i w oba policzki i do przyjazdu karetki tuliłem jej głowę do piersi. Ruth, moja żona od ponad pięćdziesięciu pięciu lat, umarła i wraz z nią w mgnieniu oka odeszło wszystko, co kochałem.

– Co cię tu sprowadza? – zagaduję.

– Też pytanie. Ty.

No tak, a cóż by innego.

– Długo spałem?

– Nie wiem – odpowiada. – W każdym razie ciemno już. A tobie pewnie zimno.

– Zimno to mi jest zawsze.

– Ale nie aż tak.

– Fakt – przyznaję – aż tak to nie.

– Co robiłeś na tej drodze? Dokąd jechałeś?

Chętnie bym się poprawił w fotelu, ale powstrzymuje mnie wspomnienie błyskawicy bólu.

– Przecież wiesz.

– Wiem – mówi. – Jechałeś do Black Mountain. Spędzaliśmy tam miesiąc miodowy.

- Chciałem tam jeszcze raz zajrzeć. Jutro rocznica. Zastanawia się przez chwilę.
- Mieszka ci się w głowie. Pobraliśmy się w sierpniu, nie w lutym.
- Nie o tę rocznicę mi chodzi – wyjaśniam. Nie mówię jej, że lekarz nie przewiduje, bym dociągnął do sierpnia. – Mamy jeszcze jedną.
- Co ty pleciesz? Jaką znowu?
- Rocznicę dnia, w którym moje życie na zawsze się odmieniło – oświadczam uroczyście.
- Dnia, w którym po raz pierwszy cię zobaczyłem.

Ruth nie odzywa się przez chwilę. Wie, że mówię poważnie, ale jej coś takiego nie przeszłoby przez gardło. Kochała mnie namiętnie, lecz poznawałem to jedynie po wyrazie jej twarzy, po pieszczotach, po czułych muśnięciach wargami. W skrajnych zaś przypadkach wyznawała mi swoją miłość na piśmie.

– Był szósty lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku – ciągnąłem. – Robiłyście z twoją matką, Elisabeth, zakupy w śródmieściu i zaszłyście do naszego sklepu. Ona chciała kupić twojemu ojcu kapelusz.

Ruth, nie odrywając ode mnie oczu, odchyła się na oparcie fotela.

– Wszedłeś z zaplecza – mówi. – A zaraz za tobą twoja matka.

Tak, przypominam sobie, matka wyszła zaraz za mną. Ruth do końca swoich dni miała fenomenalną pamięć.

Rodzina Ruth, podobnie jak rodzina mojej matki, pochodziła z Wiednia, ale wyemigrowała stamtąd do Karoliny Północnej dopiero przed dwoma miesiącami. Uciekli z Wiednia po przyłączeniu Austrii do Rzeszy. Ojciec Ruth, Jakob Pfeffer, profesor historii sztuki, doskonale rozumiał, co oznacza dla żydów dojście Hitlera do władzy. Wyprzedał cały majątek, żeby mieć na łapówki niezbędne, by wywieźć rodzinę z kraju. Przez Szwajcarię przedostali się do Londynu, stamtąd do Nowego Jorku, by ostatecznie osiaść w Greensboro. Jeden z wujów Jakoba miał zakład stolarski kilka przecznic od sklepu mojego ojca i przez wiele miesięcy rodzina Ruth gnieździła się w dwóch klitkach nad warsztatem. Ruth opowiadała mi potem, że nie mogła spać po nocach przez unoszące się stamtąd opary pokostu.

– Zaszłyśmy do waszego sklepu, bo wiedziałyśmy, że twoja matka zna niemiecki. Powiedziano nam, że może nam pomóc. – Ruth kręci głową. – Tak tęskniłyśmy za krajem, za kontaktem z kimś stamtąd.

Kiwam głową. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Matka wszystko mi opowiedziała, kiedy wyszłyście. Musiała. Nie zrozumiałem ani słowa z waszej rozmowy.

– Trzeba się było uczyć niemieckiego od matki.

– A po co? Nie wyszłyście jeszcze ze sklepu, a już wiedziałem, że pewnego dnia się pobierzemy. I będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

– Wciąż to powtarzasz, a ja i tak ci nie wierzę. Nawet na mnie nie spojrzaleś.

– Nie mogłem. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. To tak, jakby patrzeć w słońce.

– Oj, nie przesadzaj z tą pięknnością – fuka Ruth. – Byłam jeszcze dzieckiem. Miałam dopiero szesnaście lat.

– A ja skończyłem właśnie dziewiętnaście. I na moje wyszło.

– Tak – Ruth wzdycha – wyszło na twoje.

Naturalnie, już wcześniej widywałem Ruth i jej rodziców. Przychodzili do naszej synagogi i siadali w pierwszych rzędach – obcy w obcym kraju. Matka pokazywała mi ich dyskretnie, kiedy po nabożeństwach opuszczali spieszenie świątynię, by jak najszybciej znaleźć

się z powrotem w domu.

Ja uwielbiałem sobotnie poranne powroty z matką z synagogi. Miałem ją wtedy tylko dla siebie i byłem wniebowzięty. Tematów do rozmowy mieliśmy zawsze bez liku i przechodziliśmy swobodnie z jednego do następnego. Mogłem zwierzyć się jej z każdego problemu, zadać każde pytanie, jakie przyszło mi do głowy, nawet takie, które ojciec uznałby za bezsensowne. Ojciec był od udzielania rad, matka od dodawania otuchy. On nigdy nam nie towarzyszył; wołał w soboty otwierać sklep wcześniej, licząc na większy w weekendy ruch w interesie. Matka go rozumiała. Nawet ja zdawałem sobie już wtedy sprawę, że to walka o przetrwanie, o to, żeby w ogóle było co otwierać. Wielki kryzys, w którym pogrążył się kraj, nie oszczędził również Greensboro i bywały dni, kiedy do sklepu nie zaglądał nikt. Bezrobocie osiągało zastraszające rozmiary, wielu głodowało. Po darmową zupę z garkuchni i chleb ustawiały się długie kolejki. Wiele miejscowych banków poszło na dno razem z oszczędnościami klientów. Ojciec należał do tych, którzy w czasach prosperity odkładają na czarną godzinę, ale rok 1939 był trudny nawet dla niego.

Matka od początku pomagała ojcu w sklepie, ale rzadko stawiała za ladą, by obsługiwać klientów. Mężczyźni – a ci stanowili większość klientów – woleli w tamtych czasach męską pomoc zarówno przy wyborze ubrań, jak i w ich dopasowywaniu. Jednak matka nigdy nie zamykała drzwi od zaplecza i widziała stamtąd każdego klienta. Trzeba jej przyznać, że krawcową była genialną. Ojciec naciągał i podciągał materiał, robiąc kredą znaki w stosownych miejscach, ale matce wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, czy wprowadzać poprawki sugerowane przez ojca. Oczywiście wyobraźni widziała klienta w dopasowanym garniturze, z uwzględnieniem kroju, każdej zmarszczki, każdego szwu. Ojciec o tym wiedział i dlatego ustawiał lustro tak, żeby ich widziała. Niektórzy mężczyźni czują się zagrożeni talentem żony, jednak ojciec był dumny z matki. Jedną z jego *Zasad życia* brzmiała: jak już masz się żenić, to tylko z kobietą mądrzejszą od ciebie. „Ja tak zrobiłem – mawiał – i ty też powinieneś. Po co miałbyś główkować sam?”

Matka, trzeba przyznać, była inteligentniejsza od ojca. Chociaż nigdy nie opanowała sztuki gotowania – powinno się jej było zakazać wstępu do kuchni – to znała cztery języki i potrafiła cytować po rosyjsku Dostojewskiego; była znakomitą pianistką i ukończyła Uniwersytet Wiedeński w czasach, kiedy studentek było tam jak na lekarstwo. Ojciec natomiast wyższym wykształceniem pochwalić się nie mógł. Podobnie jak ja, od szczenięcych lat pomagał swojemu ojcu w sklepie z odzieżą męską, był dobry w rachunkach i miał podejście do klientów. I podobnie jak ja, po raz pierwszy zobaczył swoją przyszłą żonę w synagodze wkrótce po tym, jak zamieszkała w Greensboro.

Ale na tym podobieństwa się kończą, bo często się zastanawiam, czy moi rodzice byli ze sobą szczęśliwi. Owszem, pobierali się w innych czasach, kiedy ślub brało się nie tyle z miłości, ile z rozsądku. Nie twierdę jednak, że zupełnie do siebie nie pasowali. Byli zgodnym małżeństwem i nigdy nie słyszałem, żeby się kłócili. Ale nie mam pewności, czy kiedykolwiek tak naprawdę się kochali. Przez wszystkie te lata, jakie z nimi przemieszkalem, nie widziałem nigdy, żeby się pocałowali albo wzięli za ręce. Wieczorami ojciec ślęczał w kuchni nad księgami rachunkowymi, a matka czytała książkę w salonie. Miałem nadzieję, że kiedy przejdą na emeryturę, bardziej się do siebie zbliżą. Że będą razem jeździli po świecie, zwiedzali, ale po pierwszej wyprawie do Jerozolimy ojciec już zawsze podróżował sam. Żyli każde swoim życiem, coraz bardziej się od siebie oddalając, stając się na powrót obcymi sobie ludźmi. Kiedy oboje przekroczyli osiemdziesiątkę, można było odnieść wrażenie, że już nic nie mają sobie do powiedzenia. Potrafili przesiedzieć kilka godzin w jednym pokoju, nie odzywając się ani słowem. Kiedy odwiedzaliśmy ich z Ruth, rozmawialiśmy najpierw z jednym, potem z drugim,

a w samochodzie Ruth ścisnęła mnie za rękę, tak jakby obiecywała sobie w duchu, że my nigdy tak nie skończymy.

Ruth przejmowała się ich wzajemnymi stosunkami chyba bardziej niż oni sami. Rodzice nie przejawiali specjalnej ochoty, żeby przerzucić most nad przepaścią, która coraz bardziej ich dzieliła. Dobrze im było we własnych małych świątkach. Z wiekiem ojciec coraz bardziej wracał do korzeni, matka zaś rozsmakowała się w ogrodnictwie i godzinami pielęła rabatki kwiatowe w ogrodzie za domem. Ojciec oglądał pasjami stare westerny i wieczorne wiadomości, matka miała swoje książki. No i, rzecz jasna, interesowali się oboje dziełami sztuki, które zbieraliśmy z Ruth i dzięki którym w końcu się wzbogaciliśmy.

– Potem długo nie zaglądałaś do naszego sklepu – mówię do Ruth.

Śnieg wciąż pada, zasypał już znowu przednią szybę. Na Kanale Meteo zapowiadano, że do tej pory pogoda powinna się wyklarować, ale pomimo tych wszystkich cudów nowoczesnej techniki i metod prognozowania, na synoptykach nadal nie można polegać. To jeszcze jeden powód, dla którego oglądanie Meteo tak mnie wciąga.

– Mama kupiła ojcu ten kapelusz. Na nic więcej nie mieliśmy pieniędzy.

– Ale wpadłem ci w oko.

– Niespecjalnie. Miałeś za duże uszy. Mnie się podobają małe i kształtne.

Z tymi uszami to prawda. Mam duże i odstające, po ojcu. Jemu to nie przeszkadzało, a ja zawsze się ich wstydzilem. Mając osiem, może dziewięć lat, zwędziłem ze sklepu długi ścinek materiału i do jesieni, kładąc się spać, obwiązywałem nim sobie głowę z nadzieją, że uszy bardziej przylgną mi do czaszki. Matka to ignorowała, ale podsłuchałem kiedyś, jak ojciec szepce do niej urażonym tonem: „Przecież on ma moje uszy. Czy z moimi uszami coś jest nie tak?”.

Kiedy wkrótce po ślubie powiedziałem o tym Ruth, skręcała się ze śmiechu. Od tamtego czasu pokpiwała sobie często, tak jak teraz, z tych moich uszu, ale z wyczuciem, żeby mnie nie urazić.

– A ja myślałem, że moje uszy ci się podobają. Tak je zawsze obcałowywałaś...

– Podobała mi się twoja twarz. Dobrze ci z oczu patrzyło. Po prostu przytrafiły ci się duże uszy.

– Dobrze mi z oczu patrzyło?

– Mhm. Była w nich jakaś łagodność, tak jakbyś widział w ludziach samo dobro. Od razu to zauważyłam, chociaż nawet na mnie nie spojrzales.

– Zbierałem się na odwagę, żeby spytać, czy mogę cię odprowadzić do domu.

– Nie. – Ruth kręci głową. Widzę ją jak przez mgłę, ale głos ma młodzieńczy. To głos szesnastolatki, którą dawno, dawno temu poznałem. – Potem często widywałam cię w synagodze i nigdy mnie o to nie spytałeś. Czasami czekałam na ciebie po nabożeństwie, ale ty mijales mnie bez słowa.

– Nie znałaś angielskiego.

– Wtedy już co nieco rozumiałam i nawet sama potrafiłam coś wydukać. Gdybyś zapytał, powiedziałabym: „Okay, Ira, możesz mnie odprowadzić?”.

Te ostatnie słowa wypowiada z charakterystycznym akcentem. Wiedeńskim, łagodnym i śpiewnym. Melodyjnym. Z czasem pozbyła się tego akcentu, ale nie do końca.

– Twoi rodzice by się nie zgodzili.

– Matka by się zgodziła. Lubiła cię. Twoja matka powiedziała jej, że kiedyś przejmiesz interes.

– Wiedziałem! Zawsze podejrzewałem, że wyszłaś za mnie dla pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? Byłeś golcem. Gdybym chciała wyjść za bogatego, poślubiłabym

David Epsteina. Jego ojciec miał przędzalnię bawełny i mieszkali w okazałej rezydencji.

To też był w naszym małżeństwie jeden z wielu tematów do przekomarzań. Moja matka mówiła prawdę, ale dobrze wiedziała, że na rodzinnym interesie nie zbiję kokosów. To był tylko nieduży sklep, który w końcu, przechodząc na emeryturę, sprzedałem.

– Pamiętam, jak widywałem was dwoje w kolejce ze słodkimi napojami po drugiej stronie ulicy. Spotykałaś się tam w lecie z Davidem prawie codziennie.

– Smakował mi czekoladowy z bąbelkami. Nigdy wcześniej takiego nie piłam.

– Byłem zazdrosny.

– Miałaś prawo. Bogaty, przystojny absztyfikant z idealnymi uszami.

Uśmiecham się. Szkoda, że nie widzę jej wyraźniej. Ale po ciemku to niemożliwe.

– Myślałem już, że się pobierzecie.

– Prosił mnie o rękę, i to wielokrotnie, ale za każdym razem odpowiadałam, że jestem jeszcze za młoda i będzie musiał poczekać, aż skończę college. Ale zwodziłam go tylko. Prawda była taka, że już wtedy wpadłeś mi w oko. To dlatego umawiałam się z nim w kafejce naprzeciwko sklepu twojego ojca.

Dobrze o tym wiedziałem. Ale lubiłem słuchać, jak to mówi.

– Sterczałem w oknie i gapiłem się, jak ze sobą rozmawia.

– Czasami cię widziałam. – Ruth się uśmiecha. – Raz ci nawet pomachałam, ale i tak nie próbowałeś zawrzeć ze mną bliższej znajomości.

– David był moim przyjacielem.

Nie przesadzałem. Po ślubie wciąż przyjaźniliśmy się z Davidem i jego żoną Rachel, a Ruth uczyła jedno z ich dzieci.

– To nie miało nic wspólnego z przyjaźnią. Bałeś się do mnie podejść, i tyle. Zawsze byłeś nieśmiały.

– Chyba mylisz mnie z kimś innym. Byłem uroczym podrywaczem, takim młodym Frankiem Sinatra. Kobiety za mną szalały, opędzić się od nich nie mogłem.

– Mijając mnie, spuszczałeś wzrok i czerwieniłeś się jak burak, kiedy do ciebie pomachałam. A potem, w sierpniu, wyjechałeś na uczelnię.

Tak, wyjechałem na studia w College of William and Mary w Williamsburgu w stanie Wirginia. Do domu wróciłem dopiero w grudniu. Przed powrotem do Williamsburga widziałem Ruth dwa razy, z daleka, w synagodze. W maju przyjechałem znowu i przez całe lato pomagałem ojcu w sklepie. W Europie szalała już druga wojna światowa. Po podbiciu Polski i Norwegii, zajęciu Belgii, Luksemburga i Holandii Hitler gromił Francję. W gazetach pisano tylko o wojnie, tylko o niej rozmawiano. Nikt nie wiedział, czy Ameryka do niej przystąpi, i nastroje były ponure. Za kilka tygodni Francja miała ponieść klęskę.

– Kiedy wróciłem, nadal spotykałaś się z Davidem.

– Ale zaraz po twoim wyjeździe zaprzyjaźniłam się z twoją matką. Kiedy mój ojciec był w pracy, wychodziłyśmy z mamą z domu i szłyśmy do waszego sklepu. Wspominałyśmy z twoją matką Wiedeń i stare dobre czasy, kiedy tam mieszkaliśmy. Bardzo za nimi z mamą tęskniłyśmy, a ja na dodatek byłam zła. Nie podobało mi się w Karolinie Północnej. Nie podobał mi się cały ten kraj. Obco się tutaj czułam. Wojna wojną, ale ja chciałam wracać do siebie. Chciałam pomagać rodzinie, która tam została. Bardzo się o nich martwiliśmy.

Ruth milknie i kątem oka widzę, że spogląda w okno. Wiem, że myśli o swoich dziadkach, ciotkach, wujach i kuzynach. W przeddzień wyjazdu Ruth do Szwajcarii cała ich liczna rodzina zebrała się na pożegnalnej wieczerzy. Przy stole były życzenia pomyślności na nowej drodze życia, zapewnienia o utrzymaniu kontaktu, ale prawie wszyscy biesiadnicy, choć szczerze przejęci decyzją ojca Ruth o emigracji, myśleli, że to nie tylko przesada, ale wprost

głupota rzucać wszystko i wybierać niepewną przyszłość na obczyźnie. Jednak kilkoro z nich wsunęło dyskretnie ojcu Ruth w garść trochę złotych monet, dzięki którym przetrwali te sześć tygodni, jakie zajęła podróż do Karoliny Północnej. Wyjechali tylko oni. Reszta rodziny została w Wiedniu. W lecie 1940 roku nosili już na rękawach opaski z gwiazdą Dawida i nie mieli pracy. Ale wtedy było za późno na ucieczkę.

Matka mówiła mi o tych wizytach Ruth z matką i ich obawach. Ona też nadal miała rodzinę w Wiedniu, ale podobnie jak wielu nie wiedzieliśmy jeszcze, co nadciąga ani jak strasznie się tam w końcu zrobi. Przewidział to zawczasu tylko ojciec Ruth i w porę ratował się ucieczką. Był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego dane mi było poznać.

– Twój ojciec robił wtedy meble?

– Tak – mówi Ruth. – Nie chciał go zatrudnić żaden uniwersytet, a przecież musieliśmy z czegoś żyć. To był dla niego trudny okres. Nie miał drygu do stolarstwa. Z początku wracał z pracy skonany, z trocinami we włosach i obandażowanymi dłońmi, osuwał się na pierwsze lepsze krzesło i zasypiał na siedząco. Ale ani razu się nie poskarżył. Wiedział, że jesteśmy szczęściarzami. Po przebudzeniu brał prysznic, przebierał się w garnitur i jak za nie tak dawnych dobrych czasów siadaliśmy do kolacji. Prowadziliśmy przy stole ożywione dysputy. Ojciec pytał, czego nauczyłam się w szkole, i uważnie wysłuchiwał moich relacji. „Dlaczego, według ciebie, tak jest?”, pytał. „Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?”. Wiedziałam, naturalnie, czemu to robi. Był urodzonym nauczycielem, i to dobrym. Po wojnie wrócił na uczelnię. Tam, jako wykładowca z tytułem profesorskim, był w swoim żywiole. Nauczył mnie, tak jak wszystkich swoich studentów, samodzielnego myślenia i wiary w to, co podszeptują instynkty.

Przyglądam się jej i nachodzi mnie refleksja, że to za sprawą ojca Ruth również została nauczycielką. I znowu przypomina mi się Daniel McCallum.

– I dzięki niemu rozsmakowałaś się w sztukach pięknych.

– Tak – przyznaje Ruth z nutką przekory w głosie. – Między innymi.

2 Sophia

Cztery miesiące wcześniej

– Musisz się z nami zabrać – Marcia przekonywała Sophię, która leżąc na łóżku, przeglądała beznamiętnie notatki z historii renesansu. – Koniecznie. Jedźcie nas kilkanaście. To niedaleko. Do McLeansville jest niecała godzina drogi. Będzie się działo, zobaczysz.

– Bo ja wiem... Rodeo?

– Nie narzekaj – fuknęła Marcia Peak, przymierzając przed lustrem czarny kowbojski kapelusz. Od drugiego roku studiów była współlokatorką Sophii i zdecydowanie jej najlepszą przyjaciółką w kampusie. – Po pierwsze, to nie rodeo, tylko ujeżdżanie byków. A po drugie, nie w tym rzecz. Chodzi o to, żeby wyrwać się z kampusu, zmienić klimat, zaszaleć z dziewczynami. Po zawodach będzie impreza w takiej wielkiej, staroświeckiej stodole blisko areny... barek, zespół country na żywo, tańce... i mówię ci, że tylu przystojniaków naraz już nigdy nie zobaczysz.

Sophia podniosła na nią wzrok znad notatnika.

– Nie w głowie mi teraz szukanie przystojniaka.

Marcia przewróciła oczami.

– Przecież musisz się kiedyś ruszyć z tego pokoju. Mamy już październik. Leci drugi miesiąc zajęć, a ty wciąż stroisz fochy.

– Nie stroję żadnych fochów – odburknęła Sophia. – Tylko... tylko mam już tego dość.

– Znaczą... widoku Briana, tak? – Marcia odwróciła się na pięcie i spojrzała na Sophię. – Dobra, rozumiem. Ale to mały kampus. A Chi Omega i Sigma Chi są w tym roku w parze. Klamka zapadła.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wciąż za mną łązi. W czwartek po wykładzie przylaźł do atrium Scales Center. Nigdy tego nie robił, nawet kiedy byliśmy razem.

– Rozmawiałaś z nim? Zaczepiał cię?

– Nie. – Sophia pokręciła głową. – Wyszłam stamtąd, udając, że go nie widzę.

– Więc nic się nie stało.

– Ale to takie dziwaczne...

– Też mi coś. – Marcia wzruszyła ramionami. – Nie pękaj. Przecież to nie psychol ani zbok. W końcu się od ciebie odczepi.

Mam taką nadzieję, pomyślała Sophia, odwracając wzrok. Kiedy długo się nie odzywała, Marcia podeszła do łóżka i usiadła obok niej.

– Zastanówmy się nad tym logicznie, dobrze? – zaproponowała, poklepując koleżankę po nodze. – Powiedziałaś, że przestał do ciebie wydzwaniać i przysyłać SMS-y, tak?

Sophia z ociąganiem kiwnęła głową.

– No i bardzo dobrze – podsumowała Marcia. – Najwyższy czas zacząć nowe życie.

– Myślisz, że nie próbuję? Ale gdziekolwiek się ruszę, on tam jest. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie daje mi spokoju.

Marcia podciągnęła kolana pod brodę.

– A co tu rozumieć? Brian po prostu sobie wyobraża, że jeśli uda mu się z tobą porozmawiać, zbajerować cię dobrym tekstem, to oczarowana zmienisz zdanie. Naprawdę w to wierzy. – Marcia spojrzała na koleżankę z powagą. – Zrozum, że wszyscy faceci są tacy. Wydaje im się, że byle gadką szmatką mogą wszystko odkręcić. Mają to w genach. Zraniłaś jego dumę, więc chce cię odzyskać. To dla niego sprawa honoru. – Mrugnęła do przyjaciółki. – Z czasem

dotrze do niego, że to już koniec. No, chyba że wcześniej pęknie.

– Ani myślę – fuknęła Sophia.

– I to właśnie chciałam usłyszeć – powiedziała Marcia. – Zawsze uważałam, że byłeś dla niego za dobra.

– Myślałam, że lubisz Briana.

– Bo go lubię. Jest dowcipny, przystojny i bogaty. Jak tu go nie lubić? Znamy się od pierwszego roku studiów i nadal ze sobą rozmawiamy. Ale był dupkiem i zdradził swoją dziewczynę, a moją współlokatorkę. I to nie raz, nie dwa, ale trzy razy.

Sophia smętnie zwiesiła ramiona.

– Dzięki, że mi o tym przypominasz.

– Posłuchaj, jako twoja przyjaciółka mam obowiązek pomóc ci przez to przebrnąć. Co zatem robisz? Proponuję ci genialne rozwiązanie wszystkich twoich problemów, wieczór z dziewczynami poza kampusem, a ty chcesz tu zostać? – Marcia nachyliła się do milczącej wciąż Sophii. – Proszę cię. Jedź z nami. Potrzebny mi ktoś, kto odholuje mnie potem do domu.

Sophia wzniosła oczy do nieba. Wiedziała, jaka nieustępliwa potrafi być Marcia.

– No, dobrze. – Westchnęła. – Pojadę. – I chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedziała, to wracając potem myślami wstecz, zawsze pamiętała, że tak się to wszystko zaczęło.

Okolo północy Sophia musiała przyznać, że przyjaciółka miała rację. Dobrze jej zrobił wypadek w plener. po raz pierwszy od kilku tygodni świetnie się bawiła. Nie co dzień miała okazję napawać się zapachami kurzu, potu i łajna, kibicować szalonym mężczyznom poskramiającym jeszcze bardziej rozszalałe zwierzęta. Marcia była zdania, że ujeżdżacze byków wprost kipią seksem. Co rusz trącała ją łokciem i pokazywała palcem szczególnie dorodny okaz, w tym chłopaka, który w końcu został zwycięzcą turnieju.

– Ale ciacho – zapięła z zachwytem i Sophia mimowolnie parsknęła śmiechem, przyznając jej w duchu rację.

Impreza po zawodach mile ją zaskoczyła. Ogromna, rozpadająca się stodoła z klepiskiem i ścianami ze spróchniałych desek, odsłoniętymi belkami stropowymi i dziurawym dachem była pełna gości. Przed prowizorycznym barkiem kłębił się tłum spragnionych, tłoczno było również przy rozmaitej maści stołach, stolikach i ławach. Sophia nie przepadała za muzyką country, ale grający na żywo zespół był naprawdę niezły, a na zaimprovizowanym parkiecie z desek roilo się od par. Co jakiś czas spontanicznie inicjowano taniec szeregowy, którego chyba tylko ona tutaj nie знаła. Odbywało się to jakby w myśl niepisanej zasady zrozumiałej jedynie dla wtajemniczonych; kończył się kolejny kawałek i zanim zaczął się następny, tańczący zbiegali z parkietu, a wsypywała się na niego inna grupa i sprawnie ustawiała w szereg. Można było odnieść wrażenie, że wcześniej ustalono choreografię. Marcia i reszta dziewcząt ze stowarzyszenia studentek też tańczyły. Gołym okiem widać było, że wszystkie kroki i figury mają opanowane do perfekcji, i Sophia zachodziła w głowę, gdzie się nauczyły. Znały się od ponad dwóch lat, a ani Marcia, ani żadna z dziewczyn słowem nie napomknęły, że potrafią tańczyć szeregowca.

Sophia, chociaż nie zamierzała robić z siebie widowiska na parkiecie, nie żałowała, że dała się namówić na imprezę. W odróżnieniu od barów studenckich w okolicy kampusu – a jak się dobrze zastanowić, to i wszystkich barów, w jakich dotąd bywała – tutaj ludzie byli naprawdę mili. Nedorzecznie mili. Nigdy jeszcze nie słyszała od tylu uśmiechniętych i ustępujących jej z drogi obcych: „Przepraszam” albo „Czy mogę?”. I Marcia miała rację jeszcze co do jednego: przystojniaków było tu na pęczki, i Marcia – nie tylko ona, nawiasem mówiąc – skwapliwie to wykorzystywała. Żadna z nich nie wydała ani centa na drinki.

Sophia nie była nigdy w Kolorado, Wyoming ani w Montanie, ale tak właśnie wyobrażała sobie sobotnie tamtejsze wieczory. Kto by pomyślał, że w Karolinie Północnej jest tylu kowbojów. Rozglądając się w tłumie, uznała, że to raczej nie są prawdziwi kowboje – większość przysłała tu popatrzeć na zawody w ujeżdżaniu byków i napić się piwa – ale nigdy jeszcze nie widziała tylu kowbojskich kapeluszy, butów i pasów naraz. A kobiety? Część również paradowała w kowbojskich kapeluszach i butach, ale wśród jej koleżanek ze stowarzyszenia królowały kuse szorty i odsłaniające brzuch koszulki i Sophia głupio się czuła w dzinsach i bluzce bez rękawów.

Sącząc niespiesznie drinka, obserwowała, słuchała i chłonęła to wszystko. Marcia z Ashley ulotniły się kilka minut wcześniej, pewnie udzielać się towarzysko z poznanymi wcześniej chłopakami. Inne dziewczyny też stały w grupkach. Sophia jakoś nie miała ochoty brać z nich przykładu. Będąc z natury samotniczką, nieswojo się czuła w rojnym, gwarnym akademiku. Miała tam, co prawda, garstkę przyjaciółek, ale niewiele to zmieniało. Nie mogła się już doczekać, kiedy skończy studia i zamieszka wreszcie sama, w obojętnie jakim mieście, najlepiej na poddaszu, w dzielnicy, gdzie jest dużo bistr, kafejek i barów, tylko czy to nie nazbyt wygórowane wymagania? Akademika miała już tak serdecznie dosyć, że teraz wystarczyłaby jej byle klitka przy autostradzie w Omaha w Nebrasce. Bokiem wychodziły jej już akademik i stowarzyszenie, i to nie tylko dlatego, że Chi Omega i Sigma Chi znów byli w parze. Była zmęczona dramatami dziewczyn z klubu, zamartwiających się bezustannie, co myślą o nich inni, i rywalizujących o jak najwyższą pozycję w grupie.

Cała ta dziecinada z ceremoniałami i ścisłym przestrzeganiem zasad niewiele ją obchodziła. Wstąpiła do stowarzyszenia na pierwszym roku po części za namową koleżanki z pokoju, po części dlatego, że tak robiła większość pierwszoroczniczek. Ciekawa była tego greckiego systemu, który porządkował całe życie towarzyskie w Wake. Wkrótce dowiedziała się, że od teraz należy do Chi Omega, i wpłaciła depozyt za pokój.

Starala się wejść w rolę. Naprawdę się starała. Na trzecim roku nosiła się nawet z myślą o zgłoszeniu swojej kandydatury na przewodniczącą. Marcia, kiedy to usłyszała, parsknęła śmiechem tak zaraźliwym, że Sophia też się roześmiała i dała sobie z tym spokój. I bardzo dobrze, bo od początku podejrzewała, że przewodnicząca byłaby z niej kiepska. Chociaż brała udział w każdej nieformalnej imprezie i każdym obligatoryjnym zebraniu, nie mogła się jakoś przekonać do hasła w rodzaju „stowarzyszenie odmieni na lepsze twoje życie” ani uwierzyć, że „przynależność do Chi Omega będzie procentowała do końca życia”.

Ilekczo słyszała te slogany na zebraniach kapituły, korciło ją, by podnieść rękę, wstać i zapytać koleżanki, czy naprawdę w to wierzą. Bo sama nie potrafiła sobie nijak wyobrazić, że siedząc kiedyś na rozmowie kwalifikacyjnej, usłyszy nagle od przyszłego pracodawcy: „O, widzę, że robiła pani choreografię tamtego słynnego układu tanecznego, dzięki któremu Chi Omega awansowało do czołówki rankingu trzeciego roku. Wyśmienicie, panno Danko, osoby o dokładnie takich kwalifikacjach poszukujemy właśnie na stanowisko kustosa naszego muzeum”.

Litości!

Stowarzyszenie stanowiło część jej uniwersyteckiego życia, ale ona chciała czegoś więcej. Podjęła studia w Wake Forest przede wszystkim z myślą o zdobyciu wiedzy, zresztą umowa stypendialna wymagała od niej, żeby naukę stawiała na pierwszym miejscu. I tak też robiła.

Obracała teraz w rękach szklankę z drinkiem i wspominała ubiegły rok.

Kiedy na ostatnim semestrze dowiedziała się, że Brian po raz drugi ją zdradził, kompletnie się załamała. Straciła chęć do nauki i przed sesją musiała ostro zakuwać, żeby

utrzymać swoją średnią ocen. Z trudem jej się udało. Był to najbardziej stresujący okres w jej życiu i nie chciała więcej przez coś takiego przechodzić. Nie wiedziała, czy w ogóle przebrnęłaby przez ten ostatni semestr, gdyby nie Marcia – choćby dlatego była wdzięczna stowarzyszeniu. Jednak dla niej liczyła się przyjaźń, nie grupowa tożsamość. Ignorowała kliki wyznające kult jednostki, uosabianej przez Mary-Kate.

Mary-Kate była przewodniczącą stowarzyszenia – pełniła rolę siostry przełożonej żeńskiego zakonu, królowej i matki w pszczelim ulu – a przy tym wyglądała idealnie: pełne usta, lekko zadarty nos, nieskazitelna cera i boska figura. Dodać do tego fortunę, jaką przez pokolenia zbiła na uprawie tytoniu jej rodzina uznawana teraz za jedną z najbogatszych w stanie – i co tu się dziwić powszechnemu przekonaniu, że stowarzyszenie to ona. I Mary-Kate o tym wiedziała. Wodziła teraz rej przy jednym z większych okrągłych stolików, które obsiadły młodsze dziewczyny marzące, żeby w przyszłości stać się taką jak ona. Mary-Kate mówiła, jak zawsze, o sobie.

– Po prostu chcę coś zmieniać, rozumiecie? – perorowała. – Wiem, że całego świata nie da się naprawić, ale myślę, że od czegoś zacząć trzeba.

Jenny, Drew i Brittany, wpatrzone w Mary-Kate jak w obraz, spijały z jej warg każde słowo.

– I ja tak myślę – podchwyciła z zachwytem Jenny, drugoroczniczka z Atlanty. Sophia знаła dziewczynę na tyle, żeby witać się z nią rankami, ale to wszystko. Jenny była teraz wyraźnie wniebowzięta, że siedzi z Mary-Kate przy jednym stoliku.

– To znaczy... nie wybieram się do Afryki ani na Haiti czy gdzie tam jeszcze – ciągnęła Mary-Kate. – Bo i po co? Mój tato mówi, że tu, na miejscu, jest wiele rzeczy do zrobienia. Dlatego założył fundację charytatywną i po studiach będę w niej pracowała. Pomagała rozwiązywać lokalne problemy, zmieniać coś na lepsze tutaj, w Karolinie Północnej. Wiecie, że w tym stanie są jeszcze ludzie, którzy muszą biegać do wychodka, bo nie mają w domach kanalizacji? Wyobrażacie sobie? Takimi właśnie problemami musimy się zająć w pierwszym rzędzie.

– Zaraz, zaraz – przerwała jej Drew. – Czegoś tu nie rozumiem. – Pochodziła z Pittsburgha i miała na sobie prawie dokładnie to samo, co Mary-Kate, z kapeluszem i butami włącznie. – Chcesz powiedzieć, że fundacja twojego taty buduje łazienki?

Mary-Kate zmarszczyła kształtne brwi w groźne V.

– Co ty pleciesz?

– Z tego, co powiedziałaś, zrozumiałam, że fundacja twojego taty buduje łazienki.

Mary-Kate przekrzywiła głowę i spojrzała na Drew jak na upośledzoną umysłowo.

– Funduje stypendia potrzebującym dzieciom. Skąd ci przyszło do głowy, że buduje łazienki?

Zastanówmy się, pomyślała Sophia, uśmiechając się w duchu. Może stąd, że wspomniałaś o wychodkach? Nie powiedziała tego jednak głośno, bo Mary-Kate nie grzeszyła poczuciem humoru. Mimo wszystko planowanie przyszłości to poważna sprawa.

– Przecież miałaś zostać prezydentką wiadomości – odezwała się Brittany. – Opowiadałaś nam w zeszłym tygodniu o tej ofercie pracy, którą dostałaś.

Mary-Kate pokręciła głową.

– Odpada.

– Dlaczego?

– Chodziło o czytanie porannych wiadomości. Na dodatek w Owensboro w Kentucky.

– I co z tego? – zapytała naiwnie jedna z młodszych dziewczyn.

– Jak to co?! Owensboro? Słyszałyście o jakimś Owensboro?

– Nie. – Dziewczyny popatrzyły po sobie onieśmiałe.

– Same widzicie – podsumowała Mary-Kate. – Ani myślę przenieść się do Owensboro w Kentucky. To punkcik na mapie. I nie mam zamiaru zrywać się z łóżka o czwartej rano, razem z kurami. Zresztą, już mówiłam, chcę zmieniać świat. Mnóstwo ludzi potrzebuje pomocy. Od dawna nie daje mi to spokoju. Tato mówi...

Dalej Sophia już nie słuchała. Wstała, żeby rozejrzeć się za Marcją. Stodoła pękała w szwach. Zaczęła przepychać się przez tłum, wypatrując czarnego kowbojskiego kapelusza Marcii. Beznadziejna sprawa – gdziekolwiek spojrzeć, czarny kapelusz. Zaraz, a jaki kapelusz miała Ashley? Chyba kremowy. Zawęziwszy w ten sposób pole poszukiwań, dostrzegła wreszcie koleżanki. Już miała skrócić w ich stronę, kiedy nagle zauważyła coś kątem oka.

A właściwie kogoś.

Zatrzymała się, obróciła głowę. Zwykle wzrostem wyróżniał się z tłumy, ale tutaj wysokich mężczyzn było tylu, że nie miała pewności, czy to naprawdę on. Ale i tak ogarnął ją niepokój. Próbowала sobie wmawiać, że to niemożliwe, że się jej przywidziało.

Mimo to nie mogła przestać się gapić. Starala się nie zwracać uwagi na przykre uczucie w żołądku. Nie, to nie był on. I ledwie to pomyślała, zobaczyła go znowu – torował sobie drogę przez tłum, jak zwykł to robić na boisku do gry w lacrosse; towarzyszyło mu dwóch kolegów.

Brian.

Zamarła. Cała trójka kierowała się ku wolnemu stolikowi. Przez sekundę nie wierzyła własnym oczom. No nie, nawet tutaj za mną przylazłeś, pomyślała.

Czuła oblewający policzki pias. Była tu z koleżankami, poza kampusem... Co on sobie wyobraża? Przecież mu powiedziała, że nie chce go więcej widzieć, że nie chce z nim rozmawiać. Naszła ją pokusa, żeby podejść i wygarnąć mu jeszcze raz, prosto w oczy, że między nimi wszystko skończone.

Nie zrobiła tego jednak, bo wiedziała, że nic by to nie dało. Marcia miała rację. Brian był przekonany, że wystarczy mu wciągnąć ją w rozmowę i ona do niego wróci. Uważał, że jego czarowi i wystudiowanej skrusze nie sposób się oprzeć. Mimo wszystko już raz mu wybaczyła. Dlaczego nie miałyby znowu wybaczyć?

Odwróciła się i ruszyła w stronę Marcii szczęśliwa, że w porę odeszła od stolika. Tego by tylko brakowało, żeby się tam niby przypadkiem przypałała, udając zaskoczonego jej widokiem. I tak miała już opinię tej bez serca. Dlaczego? Otóż Brian był w swoim studenckim bractwie odpowiednikiem Mary-Kate. A do tego wyróżniającym się zawodnikiem uniwersyteckiej ligi lacrosse, przystojniakiem, jakich mało, oraz synem bogatego bankiera, a co za tym idzie, lwem salonowym kampusu. Dla wszystkich dziewcząt ze stowarzyszenia był bożyszczem, a większość z nich, gdyby tylko nadarzyła się po temu sposobność, zawarłaby z nim bliższą znajomość.

A niech go sobie biorą.

Zespół skończył grać jeden kawałek, zaczął następny. Sophia lawirowała w tłumie, starając się nie tracić z oczu Marcii i Ashley, które rozmawiały przy parkiecie tanecznym z trzema starszymi od nich o jakieś dwa lata chłopakami w kowbojskich butach i kapeluszach. Kiedy tam wreszcie dotarła i dotknęła ramienia Marcii, ta odwróciła się prawie ze złością. Była chyba lekko wstawiona.

– A, to ty! – wymruczała i wypchnęła Sopię przed siebie. – Panowie, to Sophia, moja współlokatorka. A to Brooks, Tom... i... – Patrzyła na trzeciego chłopaka, mrużąc oczy. – Zapomniałam, jak ci na imię?

– Terry.

– Cześć – powiedziała Sophia bez zaangażowania i odwróciła się do Marcii. – Możemy zamienić parę słów na osobności?

– Teraz? – Marcia, z irytacją ściągając brwi, zerknęła na kowbojów. – O co chodzi?

– Brian tu jest – syknęła Sophia.

Marcia patrzyła na nią przez chwilę, mrużąc oczy, jakby niepewna, czy słuch jej nie myli, w końcu kiwnęła głową. Odeszły parę kroków od parkietu. Zespół nie grał na cały regulator, ale Sophia i tak musiała podnieść głos, żeby Marcia ją słyszała.

– Przyniosło go tu za mną. Znowu.

Marcia rozejrzała się ponad ramieniem Sophii po stodołę.

– Gdzie jest?

– Przy stolikach naszej paczki. Przyprowadził Jasona i Ricka.

– Skąd wiedział, że cię tu zastanie?

– To żadna tajemnica. Połowa kampusu wiedziała, że się tu dzisiaj wybieramy.

Marcia obejrzała się na chłopaków, z którymi przed chwilą rozmawiała, potem, ze źle skrywanym zniecierpliwieniem, spojrzała znowu na zdenerwowaną Sophię.

– No, dobra... wierzę ci na słowo, jest tutaj. – Wzruszyła ramionami. – I co z tego?

– Nie wiem. – Sophia skrzyżowała ręce na piersi.

– Widział cię?

– Chyba nie. – Sophia nie była tego pewna. – Żeby tylko nie wszczynał tu jakichś awantur.

– Mam z nim pogadać?

– Nie, nie. – Sophia pokręciła głową. – Lepiej nie.

– No to wyluzuj. Olej go. Zostań ze mną i z Ashley. Nie musimy wracać do stolików. Może sobie pójdzie. A jak nas tu znajdzie, zacznę go podrywać. Tak dla picu, żeby go zbić z tropu. – Uśmiechnęła się prowokacyjnie. – Wiesz, że kiedyś się do mnie przystawiał. Zanim poznał ciebie, rzecz jasna.

Sophia mocniej skrzyżowała ręce na piersi.

– Może lepiej będzie, jak już stąd pójdziemy.

Marcia machnęła ręką.

– Na piechotę? Jesteśmy godzinę drogi od kampusu i nie mamy samochodu.

Przyjechałyśmy z Ashley, nie pamiętasz? A ona nie zamierza jeszcze wracać.

O tym Sophia nie pomyślała.

– Chodź do nas – kusiła Marcia. – Napijemy się czegoś. Spodobają ci się ci faceci. Są na studiach doktoranckich w Duke.

Sophia pokręciła głową.

– Nie jestem teraz w nastroju do rozmów, zwłaszcza z facetami.

– To co chcesz robić?

Sophia spojrzała przez dziurę w dachu na czyste nocne niebo i naszło ją nieprzeparte pragnienie, żeby wydostać się z tego kłębowiska spoconych ciał.

– Chyba wyjdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Marcia też spojrzała w górę.

– Mam iść z tobą? – spytała, przenosząc wzrok z powrotem na Sophię.

– Nie, nie musisz. Znajdę was potem. Tylko mi się gdzieś nie zapodziejcie, słyszysz?

– Słyszę. – Marci wyrażnie ulżyło. – Ale może z tobą pójść?

– Daj spokój. Nie jestem dzieckiem.

Marcia wróciła do towarzystwa, a Sophia, nie zwracając uwagi na zaczepki mijanych mężczyzn, ruszyła w stronę wyjścia.

Im bardziej oddalała się od parkietu i zespołu, tym luźniej się robiło. Wielkie, zbite z desek wierzeje stodoły stały otworem. Wyszła na zewnątrz i z miejsca poczuła ulgę. Muzyka

nie była tu tak głośna, a rześkie jesienne powietrze koilo jej skórę jak balsam. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak duszno było w stodole. Rozejrzała się za jakimś miejscem, gdzie można by przysiąść. Po prawej rósł stary rozłożysty dąb wyciągający na wszystkie strony świata sękatę konary; dokoła w małych grupkach stali ludzie z papierosami i drinkami. Po sekundzie uświadomiła sobie, że rozległy teren przed stodołą jest ogrodzony płotem z poziomych desek; kiedyś służył zapewne za coś w rodzaju korralu.

Nie było tu stołów ani krzeseł. Ci, którzy wyszli się przewietrzyć, albo siedzieli na płocie, albo się o niego opierali. Parę osób przycupnęło na starej łysej oponie od traktora. Trochę dalej, po prawej, stał tyłem samotny mężczyzna w kowbojskim kapeluszu zapatrzony w pastwisko rozciągające się za ogrodzeniem. Przemknęło jej przez myśl, że może też jest z Duke, ale ten kowbojski kapelusz jakoś nie pasował jej do doktoratu.

Ruszyła w kierunku pustego odcinka płotu i zatrzymała się kilka słupków od samotnego kowboja. Niebo było czyste, bez jednej chmury; w oddali, tuż nad linią drzew, wisiał księżyc w pełni. Oparła się łokciami o górną deskę płotu i rozejrzała po okolicy. Po prawej wznosiły się trybuny, z których niedawno oglądała zawody. W kilku małych zagrodach za nimi nocowali bohaterowie widowiska. Chociaż korrale nie miały oświetlenia, pałace się jeszcze nad areną lampy oblewały buhaje widmową poświatą. Za korralami parkowało kilkadziesiąt pick-upów i przyczep do przewozu zwierząt, przy których koczowali ich właściciele. Nawet z tej odległości widziała ogniki papierosów i słyszała pobrzękiwanie butelek. Zastanawiało ją, co się tu odbywa, kiedy nie ma rodeo. Wystawy koni? Wystawy psów? Okręgowe jarmarki? Jakies inne imprezy? Nad tym miejscem unosił się klimat opuszczenia i postępującej degradacji sugerujący, że przez większą część roku nic się tutaj nie dzieje. Rozpadająca się stodoła potęgowała jeszcze to wrażenie, ale może tak jej się tylko wydaje? Urodziła się przecież i wychowała w New Jersey.

Tak przynajmniej skwitowałyby jej odczucie Marcia. Od początku znajomości podsumowywała tym stwierdzeniem rozmaite osobiste refleksje Sophii, co najpierw ją śmieszyło, potem zaczęło drażnić, teraz znowu śmieszyło, stało się czymś w rodzaju żartu z długą brodą zrozumiałego tylko dla nich dwóch. Marcia dorastała w Charlotte, kilka godzin jazdy od Wake Forest. Sophia pamiętała jeszcze konsternację przyjaciółki, kiedy usłyszała, że ona pochodzi z Jersey City. Zupełnie jakby zwierzyła się jej, że jest z Marsa.

Musiała przyznać, że reakcja Marcii nie była do końca nieuzasadniona. Wywodziły się z zupełnie różnych środowisk. Marcia była młodszą z dwojga rodzeństwa; jej ojciec był chirurgiem ortopedą, matka prawnikiem. Brat kończył właśnie prawo na Uniwersytecie Vanderbilta i chociaż rodzina nie figurowała na liście najzamożniejszych magazynu „Forbes”, to z pewnością zaliczała się do klasy wyższej. Marcia należała do tych dziewcząt, które biorą lekcje jazdy konnej i tańca, a na szesnaste urodziny dostają w prezencie mercedesa kabrioleta. Natomiast Sophia przyszła na świat w rodzinie imigrantów. Jej matka była Francuzką, ojciec Słowakiem i przybyli do Stanów niemal tak, jak stali. Oboje, chociaż po studiach – ojciec ukończył chemię, matka farmację – słabo znali angielski, imali się więc przez wiele lat nisko płatnych zajęć, przemieszkiwali w małych, zapyziałych kłitkach i ciułali cent do centa, aż wreszcie uzbierali dość, żeby otworzyć własne delikatesy. W międzyczasie urodziło im się jeszcze troje dzieci – Sophia była najstarsza i po szkole oraz w weekendy pomagała rodzicom w sklepie.

Interes szedł kulawo. Co prawda wystarczało na utrzymanie rodziny, ale o żadnych fanaberiach nie było mowy. W ostatniej klasie, kilka miesięcy przed końcem roku szkolnego, Sophia zdecydowana była, jak większość zdolniejszych uczniów, kontynuować naukę na Uniwersytecie Rutgersa. Papiery na Wake Forest złożyła ot tak, za namową szkolnego doradcy, wiedząc doskonale, że na tę uczelnię nie będzie jej stać, a cała jej wiedza o samym Wake Forest

ograniczała się właściwie tylko do tego, co zobaczyła na pięknych fotografiach na stronie internetowej uniwersytetu. Jakież było jej zdumienie, kiedy Wake Forest przyznał jej stypendium na pokrycie kosztów nauki. I tak, pod koniec sierpnia, Sophia wsiadła w New Jersey do autobusu i ruszyła w nieznaną, by gdzieś tam, na Południu, spędzić blisko cztery następne lata.

Była to ze wszech miar słuszna decyzja, przynajmniej jeśli chodzi o edukację. Na Uniwersytecie Wake Forest, mniejszym od Rutgersa, mniej było grup studenckich, a profesorowie wydziału historii sztuki prowadzili wykłady z prawdziwą pasją. Sophia miała już za sobą jedną rozmowę kwalifikacyjną w sprawie stażu w Denver Art Museum – nie, pytanie o jej rolę w stowarzyszeniu Chi Omega nie padło – i w swoim odczuciu wypadła nieźle, ale muzeum jeszcze nie odpowiedziało. Za to, co zeszłego lata udało jej się zaoszczędzić, kupiła sobie pierwszy samochód. Nic specjalnego – jedenastoletnią toyotę corollę z ponad stu sześćdziesięcioma tysiącami kilometrów przebiegu, małym wgięciem na tylnych drzwiach i trochę porysowaną – ale dla niej, od dziecka chodzącej wszędzie piechotą albo dojeżdżającej autobusem, ten własny środek lokomocji był prawdziwym wyzwoleniem.

Skrzywiła się, stojąc przy ogrodzeniu. Tak, tylko nie dzisiaj. Ale sama była sobie winna. Trzeba było tu przyjechać swoim autem, tylko że...

Po co ten Brian się tu dzisiaj przypaętał? Co on sobie wyobraża? Naprawdę myśli, że ona mu zapomni, co jej zrobił – nie pierwszy, nie drugi, ale już trzeci raz? Że znowu mu wspaniałomyślnie wybaczy?

Najlepsze, że wcale za nim nie tęskniła. Nie zamierzała mu wybaczać i wątpiła, czy w ogóle by go wspominała, gdyby za nią wszędzie nie łąził. Tutaj też przyszedł i zachodziła obawa, że zepsuje jej cały wieczór. Bo mu na to pozwala. Bo nie potrafi go do siebie skutecznie zniechęcić.

Ale koniec z tym! Wróci teraz do stodoły, znajdzie Marcję, Ashley i tych chłopaków z Duke, a Briana, jak się napatoczy i będzie chciał z nią porozmawiać, potraktuje jak powietrze. A jeśli będzie namolny, to ona, żeby mu pokazać, że już dla niej nie istnieje, rzuci się może na szyję któremuś z doktorantów.

Wyobraziła sobie tę scenkę, z uśmiechem na ustach odwróciła się od ogrodzenia i zderzyła z kimś, o mało nie tracąc równowagi.

– Oj... przepraszam – jęknęła, kiedy odruchowo wyprostowała ręce, szukając po omacku punktu oparcia. Natrafiła dłońmi na męski tors, podniosła wzrok i odskoczyła jak oparzona.

– Spokojnie – wymamrotał Brian, chwytając ją za ramiona.

Ale Sophia odzyskała już równowagę i oceniła sytuację. Dopadł ją jednak. Byli teraz sam na sam, patrzyli sobie w oczy. Takiej właśnie konfrontacji starała się unikać od czasu zerwania. No, pięknie.

– Przepraszam, że cię tak podszedłem. – Mówił, podobnie jak Marcia, trochę bełkotliwie, co nie było dla niej żadnym zaskoczeniem; nigdy nie należał do tych, co wylewają za kołnierz. – Nie znalazłem cię przy stolikach i pomyślałem sobie, że może wyszłaś się przewietrzyć...

– Czego chcesz, Brian? – wpadła mu bezceremonialnie w słowo.

Speszył go na chwilę jej ton, ale jak zawsze szybko odzyskał rezon.

Dzieciaki z zamożnych domów – od małego rozpieszczane – już to do siebie mają.

– Niczego nie chcę – mruknął, wsuwając rękę w kieszeń dzinsów. Zatoczył się przy tym lekko, co znaczyło, że ma już nieźle w czubie.

– To po co tu przyszedłeś?

– Zobaczyłem, jak stoisz tu sama, więc pomyślałem, że podejdę i spytam, czy wszystko w porządku. – Przekrzywił kokieteryjnie głowę, ale nabiegłe krwią oczy psuły zamierzony efekt.

– Było w porządku, póki tu nie przylazłeś.

Uniósł brew.

– Ojoj! To zabolalo.

– Bo miało zboleć. Snujesz się za mną jak cień.

Kiwnął głową na znak, że przyznaje jej rację i rozumie, skąd to wzburzenie. Mógłby z powodzeniem zagrać główną rolę w filmie pod tytułem *Jak nakłonić byłą dziewczynę do przebaczenia... kolejny raz.*

– Wiem, wiem – wyrecytował z mistrzowską intonacją swoją kwestię. – I niezmiernie mi przykro.

– Doprawdy?

Wzruszył ramionami.

– Nie chciałem, żeby to się tak skończyło... i chciałem ci tylko powiedzieć, jak bardzo mi wstyd. Nie zasłużyłaś sobie na to i nie mam do ciebie pretensji, że ze mną zerwałaś. Zdaję sobie sprawę, że jestem...

Sophia pokręciła głową, miała już dosyć tego melodramatycznego gładzenia.

– Czemu to robisz?

– Co?

– Czemu odstawiasz tę farsę? Przychodzisz tutaj, udajesz wielką skruczę. Co chcesz osiągnąć?

Zaskoczyła go chyba tym pytaniem.

– Chcę cię tylko przeprosić...

– Za co? – przerwała mu. – Za to, że mnie trzeci raz zdradziłeś? Czy za to, że okłamywałeś mnie od samego początku?

Zamrugął.

– Przestań, Sophia. Nie bądź taka. Naprawdę nie mam żadnych ukrytych zamiarów. Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że chociaż tyle nas łączyło, teraz mnie unikasz.

Język mu się trochę plątał, ale to, co mówił, brzmiało niemal szczerze. Niemal. Czy naprawdę wierzy, że ona mu wybaczy?

– Do ciebie chyba jeszcze nie dotarło, prawda? Unikam cię, bo mdli mnie na widok twojej fałszywej gęby.

Gapił się na nią, wyraźnie zbity z pantałyku.

– Ale dlaczego?

– Żartujesz, prawda?

– Kiedy ze mną zerwałaś, uświadomiłem sobie, że popełniłem największy w życiu błąd. Bo cię potrzebuję. Masz na mnie dobry wpływ. Przy tobie staję się lepszym człowiekiem. A jeśli nie chcesz do mnie wrócić, to myślę, że moglibyśmy przynajmniej spotkać się i porozmawiać. Tylko porozmawiać. Jak kiedyś. Zanim wszystko spieprzyłem.

Miała na końcu języka ciętą ripostę, ale jego tupet odebrał jej mowę. Naprawdę myśli, że nabierze ją znowu na takie bajery?

– No, chodź – powiedział, sięgając po jej rękę. – Napijemy się czegoś, pogadamy. Na pewno dojdziemy do porozumienia...

– Nie dotykaj mnie! – zareagowała ostro.

– Sophia...

Odsunęła się wzdłuż płotu.

– Powiedziałam: nie dotykaj mnie!

Chwycił ją za nadgarstek i po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach gniew.

– Uspokój się...

Szarpnęła się, usiłując uwolnić rękę z jego uścisku.

– Puszczaj!

Nie posłuchał i przyciągnął ją do siebie na tyle blisko, że poczuła jego piwny oddech.

– Dlaczego ty zawsze musisz robić sceny? – wysyczał.

Wyrywając się Brianowi, podniosła na niego wzrok i padł na nią blady strach. Takiego go jeszcze nie widziała – wykrzywiona furią twarz, zmarszczone brwi, wysunięta szczęka.

Zmartwiała z głową odchylną w tył przed jego gorącym, ciężkim oddechem.

– Puść ją – usłyszała za sobą.

Brian zerknął ponad jej ramieniem.

– Tylko rozmawiamy – wycedził przez zaciśnięte zęby, przyciągając ją mocniej do siebie.

– Nie wygląda mi na to, żebyście tylko rozmawiali – powiedział nieznajomy spokojnie, ale z ostrzegawczą nutką. – Lepiej ją puść.

Brian albo nie wychwycił groźby, albo się nią nie przejął.

– Wszystko pod kontrolą. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

– Masz ostatnią szansę. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Ale zrobię, jak jej nie puścisz.

Sophia była zbyt przerażona, żeby się obejrzeć. Ludzie, którzy wyszli ochłodzić się przed stodołę, zaczęli spoglądać w ich stronę. Kątem oka zobaczyła, że dwóch chłopaków podnosi się z traktorowych opon; dwaj inni, o twarzach ocienionych rondami kapeluszy, oderwali się od ogrodzenia, o które się dotychczas opierali. Cała czwórka ruszyła w ich kierunku.

Brian łypnął przekrwionymi oczami na nich, a potem, ponad ramieniem Sophii, na mężczyzną za jej plecami.

– Co, skrzykujesz kumpli?

– Sam sobie z tobą poradzę – zapewnił go flegmatycznie tamten.

Brian odepchnął od siebie Sophię i postąpił krok w stronę nieznajomego.

– Nie odpuścisz, co?

Sophia odwróciła się i już wiedziała, skąd u Briana ta buńczuczność. Miał dobre metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ze sto kilo; pięć dni w tygodniu ćwiczył na siłowni. Chłopak, który rzucał mu wyzwanie, był o głowę od niego niższy i chudy; jego sfatygowany kowbojski kapelusz czasy świetności miał już dawno za sobą.

– Daj spokój, stary – warknął kowboj, cofając się o krok. – Nie przeginaj.

Brian z zadziwiającą szybkością ruszył na przeciwnika z szeroko rozrzuconymi ramionami. Niewątpliwie zamierzał zwalić go z nóg. Sophia знаła tę taktykę; niejednokrotnie była świadkiem, jak taranował w ten sposób graczy drużyny przeciwnej podczas meczów lacrosse, i dobrze wiedziała, co się zaraz wydarzy: w ostatniej chwili Brian opuści nisko głowę i uderzy z byka. Tak też się stało, ale... rezultat nie był taki, jak zazwyczaj. Kiedy rozpędzony Brian z pochyloną głową był już blisko, kowboj odskoczył zwinnie w bok i podstawił mu nogę. Brian zarył nosem w ziemię.

– Poleż i się zrelaksuj – poradził kowboj, następując mu kowbojskim butem na kark.

Brian zaczął się wić, chciał się podźwignąć, ale kowboj – nie odrywając buta od jego karku – naskoczył mu drugim na palce dłoni i szybko go cofnął. Brian zaskowyczał i odruchowo schował rękę pod siebie.

– Leż spokojnie, bo tylko pogarszasz sprawę. – Kowboj wypowiedział te słowa wyraźnie i powoli, tak jakby adresował je do opóźnionego w rozwoju.

Sophia, oszołomiona błyskawicznym przebiegiem wypadków, gapiała się na niego szeroko otwartymi oczami. To był ten mężczyzna, którego zauważyła przy ogrodzeniu zaraz po wyjściu ze stodoły. Nie spojrział jeszcze na nią, skoncentrowany na przydeptywaniu butem Briana, jak, nie przymierzając, grzechotnika gdzieś na dnie kanionu. Tak, Brian z takim grzechotnikiem w pewnym sensie jej się kojarzył.

Teraz znowu zaczął się wić. I znów obcy przydeptał mu palce. Brian wydał z siebie zboląły jęk i znieruchomiał. Dopiero wtedy kowboj spojrział na Sopię błękitnymi oczami, w których odbijało się światło wylewające się ze stodoły.

– Jak chcesz się ewakuować, chętnie przytrzymam go tu chwilę – zaproponował.

Mówił tak opanowanym głosem, jakby tego rodzaju sytuacje zdarzały mu się codziennie. Spod kapelusza sterczały mu potargane kasztanowe włosy. Był niewiele starszy od niej. Wyglądał znajomo, ale nie dlatego, że widziała go wcześniej przy ogrodzeniu. Widziała go gdzie indziej, może w stodole, ale raczej nie tam. Nie mogła sobie przypomnieć.

– Dzięki – bąknęła. – Ale wszystko już w porządku.

Ledwie to powiedziała, Brian znowu się ożywił i znowu z bolesnym skowytem cofnął rękę.

– Na pewno? – spytał kowboj. – Bo coś czuję, że jeszcze trochę się gniewa.

To mało powiedziane, pomyślała Sophia. O ile znała Briana, to rozsadzała go furia. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Myślę, że dostał już swoją lekcję.

Kowboj zastanowił się.

– Może powinnaś go spytać – zasugerował, zsuwając kapelusz na tył głowy. – Dla pewności.

Sophia z uśmiechem pochyliła się nad leżącym.

– Odczepisz się teraz ode mnie, Brian? – spytała.

– Zabieraj go ode mnie! – wymamrotał zduszonym głosem Brian. – Zabiję go...

Nieznajomy westchnął i mocniej przydepnął Brianowi kark, wciskając mu twarz w ziemię.

Sophia zerknęła na kowboja i ponownie zwróciła się do swojego byłego chłopaka:

– Tak czy nie, Brian?

Kowboj roześmiał się, odsłaniając równy rząd białych zębów.

Dopiero teraz się zorientowała, że w międzyczasie otoczyła ich czwórka innych kowbojów; robiło się coraz bardziej surrealistycznie. Miała wrażenie, że trafiła na plan jakiegoś starego westernu, i nagle przypomniało jej się, gdzie już widziała tego kowboja. Nie w stodole, lecz wcześniej, na rodeo. To jego Marcia nazwała ciachem. Był ujeżdżaczem byków, który wygrał zawody.

– Wszystko gra, Luke? – zapytał jeden z tych, którzy ich otaczali. – Pomóc ci?

Niebieskooki kowboj pokręcił głową.

– Nie, dzięki, wszystko w porządku. Ale jak się nie uspokoi, to skończy z przetrąconym nosem, czy mu się to podoba, czy nie.

Sophia spojrzała na niego.

– Masz na imię Luke?

Kiwnął głową.

– A ty?

– Sophia.

– Miło cię poznać, Sophia. – Uchylił przed nią kapelusza i z uśmiechem spojrział znowu z góry na Briana. – Zostawisz Sopię w spokoju, jeśli pozwolę ci wstać?

Rozciągnięty na ziemi Brian znieruchomiał. Nacisk podeszwy na kark zaczął stopniowo słabnąć i Brian ostrożnie obrócił głowę.

– Zabieraj tego buciora! – wymamrotał z hardą, ale podszytą strachem miną.

– Pozwól mu wstać – zwróciła się do Luke'a Sophia, przestępując z nogi na nogę.

Luke odczekał jeszcze chwilę, potem zdjął but z karku Briana i cofnął się o krok. Brian

zerwał się natychmiast na równe nogi i przyjął postawę boksera. Nos i policzek miał zadrapane, piasek trzeszczał mu w zębach. Wodził nerwowo wzrokiem po twarzach otaczających go mężczyzn.

Chociaż wstawiony, nie zatracił instynktu samozachowawczego. Spiorunował Sopię spojrzeniem i cofnął się. Piątka kowbojów patrzyła na niego spokojnie, ale Sophia wyczuwała, że to tylko pozory. Byli gotowi w każdej chwili zareagować, gdyby coś głupiego strzeliło Brianowi do łba, ale on cofnął się o jeszcze jeden krok i wymierzył palec wskazujący w Luke'a.

– Z nami jeszcze nie koniec – wyrzucił z siebie. – Kumasz?

Odczekał chwilę, żeby ta pogrożka dotarła w pełni do adresata, i przeniósł wzrok na Sopię. Była w tym spojrzeniu wściekłość, ale i rozżalenie. Potem odwrócił się i pokuśtykał w stronę stodoły.

3

Luke

Po cholerę się wtrącał?

Przecież każdy bywalec barów dobrze zna ten scenariusz: wchodzi para, zamawiają drinki, piją dużo, w pewnym momencie – najczęściej dlatego, że przeholowali z alkoholem – dochodzi między nimi do kłótni. Z początku to zwyczajna kameralna sprzeczka, ale jedno podnosi stopniowo głos, zaczyna krzyczeć na drugie, drugie się odgryza, atmosfera się podgrzewa i w końcu, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, mężczyzna chwyta kobietę. Za rękę, za nadgarstek. A potem?

Potem sprawa się komplikuje. Przed kilkoma laty, w Houston, gdzie brał udział w zawodach rodeo, wplątał się w podobne zajście. W miejscowym barze, w którym odreagowywał swój występ, posprzeczala się para. Oboje coraz bardziej podnosili głos, doszło do rękoczynów i Luke postanowił interweniować. Rezultat był taki, że tamci zwarli szyki i naskoczyli na niego z wrzaskiem, żeby pilnował własnego nosa. Kiedy szamotał się z mężczyzną, kobieta rzuciła się na niego z pazurami, podrapała mu twarz i wczepiła się we włosy. Na szczęście na tym się skończyło, bo klienci baru szybko całą trójkę rozdzielili. Luke wrócił do swojego stolika, kręcąc głową i przysięgając sobie, że już nigdy nie wtrąci się w taką awanturę. Kurczę, jak chcą robić z siebie widowisko, to proszę bardzo.

I w tym przypadku też nie zamierzał interweniować. W ogóle nie miał ochoty przychodzić na tę potańcówkę po zawodach, ale namówili go znajomi z ekipy, chcący uczcić jego powrót i oblać zwycięstwo. Owszem, wygrał, chociaż niczym szczególnym się nie wykazał. Pierwsze miejsce przypadło mu w zasadzie z automatu, bo z całej stawki tylko jemu udało się utrzymać na grzbiecie wierzgającego byka przez całą ostatnią rundę. No, ale czasami bywa i tak.

Na szczęście nikt nie zauważył, jak wcześniej drżały mu dłonie. Pierwszy raz przytrafiła mu się taka trzęsączka i chociaż usiłował sobie wmawiać, że jest ona skutkiem długiej przerwy w występach na arenie, to wiedział, co było prawdziwą przyczyną. Mama też wiedziała i nie kryła, że jest przeciwna jego powrotowi na arenę. Od kiedy o tym napomknął, stosunki między nimi bardzo się popsęły. Zazwyczaj dzwonił do niej po zawodach, dzisiaj tego nie zrobił. Wysłał jej tylko SMS-a, że jest cały i zdrowy. Zwycięstwem się nie pochwalił, bo to by jej nie zainteresowało. Nie oddzwoniła.

Po paru piwach strach zaczął mijać. W przerwach między kolejnymi rundami wracał do swojego pick-upa, żeby w samotności wyciszyć tam nerwy. Na arenie szło mu nieźle, ale na poważnie rozważał możliwość wycofania się z zawodów. Stłumił jednak tę pokusę i dotrwał do końca. Przygotowując się przy bramce wybiegu, słyszał, jak spiker opowiada o jego kontuzji i wynikłej z tego przerwie w występach. Byk, którego wylosował – zażarta bestia imieniem Pompiarz – zakręcił młynka, ledwie ich wypuścili, a potem wierzgał z taką furią, że Luke tylko cudem utrzymał się na jego grzbiecie do gongu kończącego rundę. Zaraz potem spadł z buhaja, ale nic mu się nie stało. Widownia nagrodziła go gorącym aplauzem, a on, pozbierawszy się z ziemi, pomachał do trybun kapeluszem.

Poklepywaniu po plecach i gratulacjom nie było końca, a chętnych do postawienia mu piwa tylu, że nie wypadało odmówić. Zresztą i tak nie był jeszcze gotów na powrót do domu. Musi przedtem ochłonąć i, jeśli dalej chce się w to bawić, przeanalizować na chłodno przebieg zawodów. W ich trakcie na taką analizę nie było czasu. Chociaż wygrał, daleko mu było do dawnej świeżości po występie. Jeszcze długa droga przed nim.

Ta dziewczyna przyciągnęła jego uwagę, kiedy rozpamiętywał drugą rundę. Trudno było

pozostać obojętnym wobec tej grzywy blond włosów i głęboko osadzonych oczu; wyczuwał, że jest tak samo jak on zatopiona w myślach. Była ładna, a do tego emanowała z niej naturalność; równie dobrze prezentowałaby się w wytartych dżinsach, co i w eleganckiej wieczorowej sukni. W niczym nie przypominała tych wystrojonych fanek rodeo, które przychodzą zapolować na zawodników. Zawsze spotykał je w trasie – tutaj też dwie przysiadły się do niego w stodole – ale on nie zamierzał ich zachęcać. Zdarzyło mu się kilka przygód na jedną noc i wiedział, że pozostaje po nich tylko pustka.

Ale dziewczyna przy ogrodzeniu wzbudziła jego zainteresowanie. Była inna niż tamte. Może to ta zaduma, z jaką patrzyła w dal. I wyczuwał, że w tej chwili potrzebna jej przyjazna dusza. Przyszło mu do głowy, żeby do niej podejść i zagadnąć, ale odrzucił ten pomysł i przeniósł wzrok na byki w oddali. Lampy nad samą areną świeciły, lecz ich blask ledwie sięgał zagród i zwierzęta trudno było odróżnić, ale on mimo wszystko wypatrywał wśród nich Zakapiora. Los chyba na dobre go z tą bestią połączył. Ciekawe, czy zamknęli już buhaja w przyczepie. Wątpliwe, żeby właścicielowi uśmiechało się ruszać z nim w całonocną trasę, czyli byk powinien tu wciąż być, ale trochę trwało, zanim go wreszcie wypatrzył.

I wtedy nadszedł ten podchmielony były chłopak. Trudno było nie podsłuchać ich rozmowy, ale po incydencie w Houston zapowiedział sobie przecież, że nie będzie się wtrącał w damsko-męskie afery. I nie wtrącał się do chwili, kiedy ten dryblas zaczął ją szarpać. Wtedy stało się jasne, że ona nie chce mieć z nim więcej do czynienia, a kiedy wychwyił w jej gniewnym dotąd głosie strach, niewiele myśląc, oderwał się od ogrodzenia. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie przyjdzie mu żałować tej męskiej decyzji, ale zanim ruszył w stronę tamtych dwojga, przypomniał sobie, jakie ta dziewczyna zrobiła na nim wcześniej wrażenie, i wiedział już, że nie ma innego wyboru.

Luke patrzył przez chwilę za oddalającym się na miękkich nogach pijanym chłopakiem, potem podziękował kolegom z areny za gotowość do pomocy. Ci zaczęli się jeden po drugim rozchodzić i w końcu został z Sophią sam.

Ebonitowe niebo nad nimi skrzyło się mrowiem gwiazd. W stodole zespół skończył grać kolejny kawałek i zaczynał następny, klasyczny przebój Gartha Brooksa. Sophia opuściła z ciężkim westchnieniem ręce i spojrzała na Luke'a. Jesienny wietrzyk mierzwił delikatnie jej włosy.

– Przepraszam, że zostałeś w to wciągnięty, ale dziękuję, że zareagowałeś – powiedziała z lekkim zawstydzeniem.

Dopiero teraz, z bliska, zauważył niezwykłą zieleń jej oczu, zaś jej aksamitny głos przeniósł go w odległe miejsce. Na chwilę odjęło mu mowę.

– Nie ma za co – wydusił z siebie.

Przestąpiła z nogi na nogę, odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Nie zawsze jest takim narwańcem, za jakiego go pewnie wzięłeś. Spotykaliśmy się, zerwałam z nim i teraz nie może się z tym pogodzić.

– Domyśliłem się – bąknął Luke.

– Słyszałeś... wszystko? – Na jej twarzy malowała się mieszanina zakłopotania i zmęczenia.

– Trudno było nie słyszeć.

Zacisnęła wargi.

– Tak myślałam.

– Jeśli pomoże ci to zasnąć, to obiecuję, że zapomnę, co słyszałem – zapewnił ją.

Roześmiała się i w tym śmiechu była chyba ulga.

– Ja też postaram się o tym zapomnieć – powiedziała. – Mam tylko nadzieję...

Zawiesiła głos i Luke dokończył za nią:

– Że to się nie powtórzy. Przynajmniej dzisiaj.

Spojrzała na stodołę.

– Właśnie.

Luke ze spuszczoną głową dłużej czubkiem buta w ziemi, jakby szukał tam słów.

– Jesteś w towarzystwie, tak?

Powiodła wzrokiem wśród tłumku szukających ochłody przed stodołą i grupkę rozsianych po korralu.

– Przyjechałyśmy tu całą paczkę – odparła. – Studiuję na Wake Forest i koleżanka ze stowarzyszenia, moja współlokatorka uznała, że babski wieczór w plenerze dobrze mi zrobi.

– Pewnie się zastanawiają, gdzie przepadłaś.

– Wątpię – mruknęła. – I beze mnie dobrze się tu bawią.

Z drzewa przy ogrodzeniu dobiegło pohukiwanie sowy. Spojrzeli tam oboje odruchowo.

Ptaszysko siedziało na najniższym konarze.

– Odprowadzić cię do środka? Znaczy... na wypadek gdyby znowu cię zaczepiał.

Ku jego zdziwieniu pokręciła głową.

– Nie. Chyba lepiej będzie, jak jeszcze trochę tu postoję. Niech Brian ochłonie.

Najpierw musiałby wytrzeźwieć, pomyślał Luke. To nie twoja sprawa, napomniał siebie w duchu.

– To może wolisz zostać sama?

Wyraz rozbawienia zagościł na chwilę na jej twarzy.

– A co? Już ci się znudziłam?

– Nie – wyrzucił z siebie, kręcąc zapamiętałe głową. – Wcale nie. Chciałem tylko...

– Żartuję. – Odwróciła się do ogrodzenia, oparła o nie łokciami i obejrzała na niego z zapraszającym uśmiechem.

Luke podszedł do niej niepewnie i stanął obok. Przyglądał się w milczeniu profilowi dziewczyny kontemplującej pagórkowaty, typowy dla tych stron krajobraz. Zbierając myśli, zauważył mały srebrny kolczyk wpięty w płatek jej ucha.

– Na którym jesteś roku? – zagadnął w końcu. Zdawał sobie sprawę, że to durne pytanie, ale żadne inne nie przychodziło mu jakoś do głowy.

– Na ostatnim.

– Więc masz... dwadzieścia dwa lata?

– Dwadzieścia jeden. – Spojrzała na niego. – A ty?

– Ciut więcej.

– Ale chyba nie za dużo. Studiujesz?

– To nie dla mnie. – Wzruszył ramionami.

– I zarabiasz na ujeżdżaniu byków?

– Od przypadku do przypadku – mruknął. – Znaczy... dopóki mnie któryś nie zrzuci.

Uniosła brew.

– Dzisiaj pokazałeś klasę.

– Widziałas mnie?

– No pewnie. Ty jeden dałeś radę wszystkim tym buhajom. I wygrałeś, prawda?

– Miałem dobry dzień – przyznał.

Złożyła dłonie.

– Nazywasz się Luke...

– Collins – dopowiedział.

– O, właśnie – podchwyciła. – Spiker się nad tobą rozwodził, zanim wypadłeś na arenę.
– No i co?
– Szczerze mówiąc, słuchałam jednym uchem. Nie wiedziałam wtedy, że mowa o tym, który wieczorem pospieszy mi na ratunek.

Próbował wychwycić w jej tonie nutkę sarkazmu, ale mu się to, o dziwo, nie udało. Wskazał kciukiem za siebie, na starą oponę od traktora.

– Tamte chłopaki też ruszyły ci na pomoc.
– Ale oni nie przeszli do rzeczy. Ty się nie zawahałeś. – Odczekała, aż komentarz do niego dotrze. – Mogę cię o coś spytać? – podjęła. – Cały wieczór mnie to nurtuje.

Luke oderwał drzazgę od deski w płocie.
– Śmiało.
– Dlaczego, do diabła, ujeżdżacie te byki? To chyba śmiertelnie niebezpieczne. Żebyś wiedziała, pomyślał. Wszyscy o to pytali. Odpowiedział, jak tym wszystkim:
– Zawsze chciałem to robić. Od dziecka. Miałem chyba cztery lata, kiedy dosiadłem pierwszego cielaka, a na większe byczki przesiadłem się w trzeciej klasie podstawówki.
– Ale jak to się zaczęło? Kto zaraził cię tym bakcylem?
– Tato – odparł. – Był przez wiele lat zawodnikiem rodeo. Ujeżdżał dzikie konie.
– To inne od ujeżdżania byków?
– Po prostu zamiast byka jest koń. Trzeba się utrzymać osiem sekund na grzbiecie rozwierzganego konia, trzymając się jedną ręką grzywy.
– Tylko że konie nie mają rogów wielkości kijów baseballowych. Poza tym są mniejsze i nie takie wściekle.

– Chyba masz rację – przyznał Luke po chwili zastanowienia.
– To dlaczego nie ujeżdżasz koni, tylko byki? – spytała, odgarniając z twarzy pasemka rozwichrzonych włosów.

– Długo by opowiadać – mruknął. – Naprawdę chcesz wiedzieć?
– Nie pytałabym, gdybym nie chciała.
Zdjął kapelusz i zaczął go obracać w rękach.

– No więc... tak jakoś się złożyło. Tato robił po kilkaset kilometrów rocznie, jeżdżąc z jednego rodeo na drugie, żeby się zakwalifikować do Krajowych Finałów Rodeo. Rodzinie było ciężko; tata w domu był gościem i kiepsko zarabiał, bo w tamtych czasach stawki były niskie. Po odliczeniu kosztów podróży i wpisowego na zawody w kieszeni zostawało mu tyle, że chyba lepiej by na tym wyszedł, gdyby pracował na etacie za płacę minimalną. Nie chciał, żebym poszedł w jego ślady i klepał biedę, więc kiedy usłyszał, że trasę organizują ujeżdżacze byków, pomyślał sobie od razu, że to dla mnie dobra szansa na lepsze życie. No i wciągnął mnie w to. Też dużo podróżuję, ale zawody odbywają się tylko w weekendy i podróże nie zajmują mi zwykle wiele czasu. No i kasa jest większa.

– Czyli miał rację.
– Miał nosa. Do wszystkiego. – Powiedział to bez zastanowienia i dopiero widząc jej minę, domyślił się, o co go zaraz zapyta. Westchnął. – Zmarł sześć lat temu.

Nie odwracając wzroku, odruchowo wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Przykro mi – powiedziała cicho.
Chociaż tylko musnęła go dłonią, jego jakby przeszedł prąd.
– W porządku – bąknął, prostując się. Zaczął się odzywać ból, jaki odczuwał zawsze po zawodach. – No to już wiesz, dlaczego ujeżdżam byki, a nie konie.

– A lubisz to robić?
Trudne pytanie. Przez długi czas lubił, bez dwóch zdań. Ale teraz? Nie potrafił

odpowiedzieć, bo sam nie był pewny.

– Czemu cię to ciekawi? – odburknął.

– Nie wiem – przyznała. – Może dlatego, że nie mam zielonego pojęcia o rodeo? Może dlatego, że z natury jestem ciekawska? A może tylko próbuję podtrzymać rozmowę?

– Więc dlaczego?

– Mogłabym ci powiedzieć. – Jej zielone oczy lśniły uwodzicielsko w blasku księżyca. – Ale to by zepsuło całą zabawę. Świat byłby nudny bez paru sekretów.

Zafrapowało go zawołane wyzwanie, które mu rzuciła.

– Skąd jesteś? – spytał, zdając sobie sprawę, że połknął haczyk, ale nic przeciwko temu nie miał. – Bo raczej nie stąd.

– Czemu tak myślisz? Mam nietutejszy akcent?

– Nietutejszy dla tutejszych. Na Północy to ja bym mówił z akcentem. Ale skąd dokładnie jesteś, to już nie wiem.

– Z New Jersey. – Zawiesiła na moment głos. – Tylko bez żartów, proszę.

– Dlaczego miałbym żartować? Lubię New Jersey.

– Byłeś tam kiedyś?

– Byłem, w Trenton. Nawet kilka razy. Brałem udział w zawodach na Sovereign Bank Arena. Wiesz, gdzie to jest?

– Gdzie jest Trenton, wiem – odparła. – Leży na południe od mojego miasteczka, bliżej Filadelfii.

– A byłeś tam?

– Parę razy. Ale na arenie nigdy. Na rodeo też nie. To mój pierwszy raz.

– No i co?

– Nie powiem, robi wrażenie. A największe wy, jeźdźcy pomyleńcy.

Roześmiał się, ujęty jej szczerością.

– Moje nazwisko już znasz, a ja twojego nie.

– Danko – powiedziała i uprzedzając jego pytanie, dodała: – Mój tato pochodzi ze Słowacji.

– To gdzieś niedaleko Kansas?

Zamrugała. Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Kiedy była już gotowa do wyjawienia mu tajemnicy istnienia Europy, podniósł ręce.

– Żartowałem – powiedział. – Wiem, gdzie leży ten kraj. W środkowej Europie, był kiedyś częścią Czechosłowacji. Chciałem tylko zobaczyć, jak zareagujesz.

– I co zobaczyłeś?

– Szkoda, że nie mam aparatu, bo zrobiłbym ci zdjęcie i pokazywał potem znajomym.

Ściągnęła brwi i dała mu kuksańca.

– Tak się nie robi.

– Ale było śmiesznie.

– Tak – mruknęła. – Bardzo śmiesznie.

– Twój tato jest Słowakiem...

– A mama Francuzką. Przyjechali tutaj rok przed moim urodzeniem.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Poważnie?

– Co cię tak dziwi?

– Nie spotkałem dotąd nikogo o francusko-słowackim pochodzeniu. – Urwał. – Kurczę, z New Jersey też nikogo nie znam.

Roześmiała się, a jemu ciepło zrobiło się na sercu. Tego śmiechu mógłby słuchać

w nieskończoność.

– A ty mieszkasz gdzieś w okolicy? – spytała.

– Niedaleko stąd. Kawalek na północ od Winston-Salem. Pod King.

– Fantastycznie.

– Nie za bardzo. Miasteczko jest małe, mieszkańcy życzliwi, ale to wszystko. Mamy tam ranczo.

– My?

– Ja z mamą. Właściwie to jej ranczo. Ja tam tylko mieszkam i pracuję.

– Więc... to takie prawdziwe ranczo? Z krowami, końmi i trzodą chlewną?

– Jest tam nawet stodoła, przy której ta tutaj to nówka.

Obejrzała się na stodołę, pod którą stali.

– Nie wierzę.

– Jak chcesz, to mogę ci ją kiedyś pokazać. Przejechałabyś się na koniu i w ogóle...

Patrzyli sobie przez moment w oczy, potem ona znowu wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Trzymam cię za słowo, Luke.

Sophia

Sophia nie była do końca pewna, dlaczego to powiedziała. Wyrwało jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język. Przemknęło jej przez myśl, żeby to jakoś odkręcić, obrócić w żart, ale, nie wiedzieć czemu, nie zrobiła tego.

Może dlatego, że ten chłopak naprawdę jej się podobał. Marcia miała rację, nazywając go ciachem. Był niezaprzeczalnie przystojny i miał ujmujący, chłopięcy uśmiech, taki z dołkami w policzkach. Był szczupły i wysportowany, szeroki w barach, wąski w biodrach i zdecydowanie seksowny z tymi niesfornymi kasztanowymi kędziorami, które wymykały się spod sfatygowanego kapelusza. Ale największe wrażenie zrobiły na niej jego piękne oczy – na oczy zawsze zwracała szczególną uwagę. Miały kolor błękitnego letniego nieba, były tak wyraziste i żywe, jakby nosił kolorowe szkła kontaktowe, ale jak już zdążyła się zorientować, to zdecydowanie nie wchodziło w grę.

Może nie odwołała swoich słów, bo widziała, że ona jemu też się spodobała. W szkole podstawowej, a potem w średniej była niezgrabna, miała długie, patykowate nogi, w okolicach bioder zero ciała i powracający trądzik. Długo wystarczał jej tylko sportowy stanik. Wszystko zaczęło się zmieniać w ostatniej klasie, wprawiając ją w zakłopotanie. Nawet teraz, ilekroć przeglądała się w lustrze, widziała w nim pokraczną nastolatkę, którą kiedyś była, i dziwiło ją, że nikt poza nią tego nie dostrzega.

Pochlebiała jej atencja Luke'a, godna podziwu była też łatwość, z jaką wszystko zdawało się mu przychodzić – bez trudu rozprawił się z Brianem, a potem tak swobodnie przeskakiwał z tematu na temat w tej ich chaotycznej rozmowie. Ani razu nie odniosła wrażenia, że się przed nią popisuje; skromnością odróżniał się zdecydowanie od chłopaków z Wake – a zwłaszcza od Briana.

Godne uznania było też jego wyczucie, kiedy należy pozostawić ją z własnymi myślami. Mnóstwo ludzi stawia sobie za punkt honoru wypełnianie pustą gadaniną każdej przerwy w rozmowie, a Luke w takich chwilach zamyślał się i patrzył na byki. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że ze stodoły nie dobiega już muzyka – zespół zrobił sobie przerwę – i przemknęło jej przez myśl, że Marcia pewnie się za nią rozgląda. Miała nadzieję, że szybko jej nie wypatrzy.

– Jak wygląda dzień pracy na ranczu? – zapytała, przerywając milczenie. – Czym się tam zajmujesz?

Luke skrzyżował nogi, wbił w ziemię czubek buta.

– Wszystkim po trochu. Zawsze jest coś do zrobienia.

– Co na przykład?

Zbierał przez chwilę myśli, trąc dłonią o dłoń.

– No, na początek, z samego rana, trzeba nakarmić konie, świnie i kury i wyczyścić ich boksy. Potem trzeba zajrzeć na pastwisko. Codziennie muszę sprawdzać, czy u bydła wszystko w porządku, czy krowom nie ropieją oczy, czy nie pokaleczyły się o drut kolczasty i takie tam. Jak któraś jest poraniona albo chora, to staram się jej pomóc na miejscu. Potem trzeba podlać pastwiska i kilka razy w roku muszę przepędzać bydło z jednego na drugie, żeby zawsze miało dobrą trawę. Dwa razy na rok trzeba szczepić stado, wtedy muszę wyłapać na łące sztukę po sztuce i po zaszczepieniu separować od reszty. Mamy jeszcze całkiem spory warzywniak na własne potrzeby i o niego też dbam...

Zatrzepotała powiekami.

– I to już wszystko? – zażartowała.

– Niezupełnie – podjął. – Sprzedajemy jeszcze dynie, borówki, miód i choinki, a więc czasami spora część dnia schodzi mi na sadzeniu, pielenu, podlewaniu i wybieraniu miodu z uli. Przed świętami wiązę drzewka w pęczki, pomagam ładować dynie na ciężarówkę i tak dalej. No i wciąż trzeba coś reperować. Jak nie traktor, to agregat, jak nie ogrodzenie, to dach stodoły albo domu. – Pokręcił smętnie głową. – Mówię ci, roboty nie brakuje.

– Chyba nie robisz tego wszystkiego sam – wtrąciła z niedowierzaniem Sophia.

– Nie, nie. Mama mi sporo pomaga i zatrudniamy parobka. Jose ma na imię. Wyřęcza nas w tym, z czym sami nie dajemy sobie rady. A jak już i on nie daje rady, to wynajmujemy na parę dni ekipę do kształtowania drzewek i takich tam prac.

Ściągnęła brwi.

– Do „kształtowania drzewek”? Masz na myśli choinki?

– Może tego nie wiesz, ale one nie rosną takie ładne i trójkątne. Żeby nabrały takiego kształtu, trzeba je co jakiś czas przycinać.

– Naprawdę?

– Dynie też trzeba turlać, żeby nie podgniły od spodu i były okrągłe, a przynajmniej owalne, bo innych nikt nie kupi.

Zmarszczyła nos.

– I ty je dosłownie turlasz?

– No, tak. Trzeba przy tym uważać, żeby nie złamać łodygi.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– Mało kto wie. Ale ty pewnie wiesz wiele rzeczy, o których ja nie wiem.

– Gdzie leży Słowacja, wiedziałeś.

– Zawsze lubiłem historię i geografię. Ale gdybyś mnie zapytała o coś z chemii albo algebry, to pewnie dałbym plamę.

– Ja też nie przepadałam za matmą.

– Ale byłaś w niej dobra. Założę się, że jedna z najlepszych w klasie.

– Niby skąd to wiesz?

– Do Wake Forest byle kogo nie przyjmują – odparł. – Co studiujesz?

– No, z pewnością nie jest to nic, co wiązałoby się z prowadzeniem rancza. Luke uśmiechnął się, znowu demonstrując te urocze dołeczki w policzkach. Dłubała przez chwilę paznokciem w górnej desce ogrodzenia.

– Studiuję historię sztuki.

– Zawsze cię to interesowało?

– Wcale nie – przyznała. – Kiedy przyjmowali mnie na Wake Forest, nie miałam pojęcia, co chcę robić, i tak jak wszyscy pierwszorocznicy wybierałam na chybił trafił wykłady i zajęcia w nadziei, że coś mi w końcu podejdzie. Szukałam czegoś, co mnie... bez reszty wciągnie, rozumiesz?

Wyczuwała, że on uważnie słucha, że nie zadał tego pytania ot tak sobie i jest szczerze zainteresowany. Nie to, co chłopcy z kampusu.

– Na drugim roku zapisałam się na wykłady z impresjonizmu francuskiego. Nie żeby mnie ten temat szczególnie pociągał, bardziej żeby zapłacić plan zajęć. Ale profesor był cudowny, wykladał ze swadą, potrafił wzbudzić zainteresowanie i zainspirować, miał te wszystkie cechy rasowego nauczyciela akademickiego. Kiedy się go słuchało, sztuka ożywała, nabierała jakiegoś szczególnego znaczenia... i po dwóch wykładach olśniło mnie. Już wiedziałam, co chcę robić, i zapisałam się na cykl wykładów z historii sztuki.

– Założę się, że nie żałujesz tego wyboru, mam rację?

– Tak... ale gorzej z moimi rodzicami. Woleliby, żebym wybrała medycynę, prawo albo zarządzanie. Kierunek, który po studiach zapewniłby mi pracę.

Obciągnął wypuszczoną na wierzch koszulę.

– Najważniejszy chyba jest dyplom. Ty na pewno znajdziesz pracę w każdym zawodzie.

– Tak im właśnie powiedziałam. Tylko że ja marzę o pracy w muzeum.

– No to jej poszukaj.

– To nie takie proste, jak może ci się wydawać. Historię sztuki kończy co roku mnóstwo ludzi, a propozycji pracy dla nich jak na lekarstwo. Do tego niedofinansowane muzea zamiast przyjmować nowych pracowników, redukują stanowiska. Ja miałam to szczęście, że Denver Art Museum zaprosiło mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Nie proponują tam, co prawda, etatu, tylko coś w rodzaju bezpłatnego stażu, ale zapewniają, że jeśli się sprawdzę, pojawi się możliwość zatrudnienia. Tylko z czego miałabym płacić rachunki, pracując za darmo. Nie chciałabym rodziców prosić o wsparcie finansowe, nawet gdyby byłoby ich na to stać. Mam młodszą siostrę studiującą na Rutgersie i jeszcze dwie, które niedługo idą na studia i...

Zamilkła zażenowana swoją wylewnością. Luke chyba to wyczuł, bo zmienił temat.

– A czym zajmują się twoi rodzice? – spytał.

– Prowadzą delikatesy. Sprzedają sery i wędliny, pieczywo prosto z piekarni, domowe kanapki i zupy.

– Smaczne?

– Pyszne.

– Co powinienem zamówić, gdybym tam kiedyś zajrzał?

– Nie da się spudłować. Mama gotuje zachwycającą zupę grzybową. To moja ulubiona, ale słyniemy ze steków z serem. W porze lunchu ustawia się po nie długa kolejka. Wszyscy je zamawiają. Parę lat temu wygrały nawet konkurs na Najlepszą Kanapkę w Mieście.

– Naprawdę?

– Tak. Gazeta zrobiła taki ranking i czytelnicy głosowali. Tato oprawił certyfikat w ramki i powiesił nad kasą. Może ci go kiedyś pokażę.

Złożył ręce, naśladując jej wcześniejszą postawę.

– Trzymam cię za słowo, Sophia.

Roześmiała się ubawiona. Ładnie wypowiedział jej imię. Jakoś tak powoli, płynnie, przeciągając sylaby. Byli sobie obcy, a zaczynała odnosić wrażenie, że znają się od nie wiadomo kiedy. Oparła się o słupek ogrodzenia.

– Ci, którzy do nas podeszli, to twoi znajomi? – spytała.

Zerknął w kierunku chłopaków siedzących na oponie.

– Nie – odparł. – Z nich znam tylko jednego. Moi koledzy są w środku. Pewnie gapią się na twoje koleżanki.

– A ty dlaczego z nimi nie jesteś?

Przesunął palcem po rondzie kapelusza.

– Wyszedłem, bo nie byłem w nastroju do rozmowy.

– Teraz rozmowa całkiem dobrze ci idzie.

– Sam się sobie dziwię. – Uśmiechnął się skromnie. – Ale niewiele mam do powiedzenia prócz tego, co już powiedziałem. Ujeżdżam byki i pracuję na rodzinnym ranczu. W moim życiu nie ma niczego ciekawego.

Przyjrzała się mu.

– To powiedz mi coś, czego zwykle ludziom nie mówisz.

– Na przykład, co? – spytał.

– Cokolwiek. – Uniosła ręce. – Na przykład o czym myślałeś, kiedy stałeś tu sam.

Luke przestąpił z nogi na nogę, odwrócił wzrok, oparł się łokciami o ogrodzenie; zwlekał z odpowiedzią.

– Powiedziałbym ci, ale żeby naprawdę zrozumieć, trzeba to zobaczyć na własne oczy – odezwał się w końcu. – A żeby zobaczyć, musiałabyś się ze mną przejść.

– Dokąd? – spytała zaintrygowana.

– Tam. – Wskazał ruchem głowy na zagrody dla byków.

Zawahała się. Któż nie słyszał tych historii: dziewczyna poznaje przystojnego i sympatycznego z pozoru faceta, a kiedy tylko zostają sam na sam... Ale, przyglądając się teraz Luke'owi, nie słyszała żadnych dzwonek alarmowych. Z jakiegoś powodu wzbudzał jej zaufanie, i to nie tylko dlatego, że przyszedł jej z pomocą. Po prostu nie wyglądał na takiego, który rzuciłby się na nią, zwabiwszy ją w ustronne miejsce; wyczuwała nawet, że gdyby go poprosiła, żeby zostawił ją samą, posłuchałby i więcej się do niej nie odezwał. Poza tym rozśmieszał ją. Rozmawiając z nim, ani razu nie pomyślała o Brianie.

– Okay – zdecydowała. – Chodźmy.

Jeśli nawet jej decyzja go zaskoczyła, nie okazał tego po sobie. Kiwnął tylko głową, wsparł się obiema dłońmi o górną deskę ogrodzenia i z gracją przeskoczył na drugą stronę.

– Szpaner – zakpiła. Pochyliła się, przecisnęła między deskami i po chwili szli już spacerowym krokiem przez łąkę w stronę zagród.

Luke zachowywał stosowny dystans. Sophia wodziła wzrokiem po falistych konturach ogrodzenia, które to opadało w zagłębienia terenu, to znów wznosiło się, wspinając na pagórki. Nie mogła się nadziwić, jak tu inaczej niż w jej rodzinnych stronach. Zaczynała sobie uświadamiać, że podoba jej się spokojne, niemal surowe piękno tego krajobrazu. Karolina Północna była krainą tysięcy małych miasteczek, każde ze swoim klimatem i historią, i coraz lepiej rozumiała, dlaczego wielu jej mieszkańców zarzeka się, że nigdy stąd nie wyjedzie. Daleko od rozgwieżdżonego nieba odcinała się czarnym kleksem gęsta kępa sosen i dębów. W miarę jak oddalali się od stodoły, muzyka stopniowo cichła, za to coraz śmieiej i donośniej koncertowały polne świerszcze. Pomimo ciemności czuła, że Luke rzuca jej ukradkowe spojrzenia.

– Za tym ogrodzeniem jest następne i jak pójdziemy na skróty, to stamtąd już tylko dwa kroki do mojego pick-upa – odezwał się w pewnej chwili.

– Do twojego pick-upa? – zachnęła się zaniepokojona.

– Bez obawy – wyrzucił z siebie, unosząc ręce. – Nigdzie cię nie wywiozę. Nawet do niego nie wsiądziemy. Ale z paki będziesz miała lepszy widok. Jak z balkonu w teatrze. Mam tam dwa krzeselka ogrodowe, takie składane.

– Wozisz na pace krzeselka ogrodowe? – spytała z niedowierzaniem, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Dużo na niej wożę.

No i słusznie. Od tego są przecież paki pick-upów. Tego, co wozila na swojej Marcia, wystarczyłoby na szkolne zawody olimpijskie.

Doszli do następnego ogrodzenia. Tutaj poświata od lamp nad areną była silniejsza. Luke przeskoczył przez nie zwinnie, tak jak przez poprzednie, ale to miało węższe szpary między deskami i o przecięnięciu się pomiędzy nimi nie było co marzyć. Wspięła się więc na nie, przysiadła bokiem na górnej desce i przerzuciła nogi na drugą stronę. Luke podał jej ręce. Ścisnęła kurczowo jego ciepłe, spracowane dłonie i zeskoczyła na ziemię.

Wyszli z zagrody przez pobliską furtkę i skręcili w stronę parkujących przy bandzie pick-upów. Luke zatrzymał się przed lśniącym czarnym, z reflektorami na dachu kabiny, jedynym, jaki stał tyłem do ogrodzenia. Obszedł go, opuścił klapę i wskoczył na pakę. Znowu podał jej ręce, podciągnął i już stała obok niego.

Luke odwrócił się i przystąpił do przeszukiwania graciarni na pace. Skrzyżowała ręce na piersi, zastanawiając się, co na to wszystko powiedziałaaby Marcia. Już słyszała jej pytania: „Chodzi o tego przystojniaka, tak? Już całkiem cię pogięło? A gdyby się okazało, że to jakiś świr?”. Luke tymczasem nadal przeszukiwał swoją kolekcję rzeczy, które mogą się kiedyś przydać. Z zamyślenia wyrwało ją metaliczne kliknięcie. Luke znalazł już to, czego szukał, i stał obok z rozłożonym krzeselkiem, takim, jakie zabiera się na plażę. Postawił je na pace pick-upa.

– Siadaj – powiedział, wskazując na krzeselko zapraszającym gestem. – Ja się zaraz dosiędę.

Znieruchomiała na chwilę – znowu stanęła jej przed oczami sceptyczna mina Marcii – a potem zdecydowała. A co mi tam? Cały ten wieczór miał w sobie coś surrealistycznego, a w takich okolicznościach siedzenie na składanym krzeselku na pace pick-upa należącego do ujeżdżacza byków było czymś jak najbardziej naturalnym. Uzmysławiała sobie, że jeśli nie liczyć Briana, poprzednio była sam na sam z chłopakiem ostatniego lata przed wyjazdem do Wake. Tony Russo upatrzył ją sobie na balu maturalnym. Właściwie to znali się od dawna, ale zaczęli się spotykać dopiero po tym balu. Tony był przystojny, zdolny i na jesieni miał rozpocząć studia na Princeton. Już na trzeciej randce zaczął się do niej dobierać i...

Do rzeczywistości przywołał ją stukot rozkładanego krzeselka. Ale Luke zamiast na nim usiąść, zeskoczył z paki, podszedł do drzwi od strony kierowcy, wsunął tułów do kabiny i zaraz potem popłynęła muzyka z radia. Country and western.

Jakżeby inaczej, pomyślała rozbawiona. To było do przewidzenia.

Luke wrócił na pakę, usiadł na krzeselku, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je.

– Wygodnie ci? – spytał.

– Ujdzie. – Owszem, uszłoby, gdyby nie siedzieli tak blisko siebie.

– Może chcesz się zamienić krzeselkami?

– Nie o to chodzi. Tylko... to wszystko. – Wykonała ręką nieokreślony gest obejmujący całą okolicę. – Siedzieć na krzeselkach na pace twojego pick-upa. To dla mnie coś nowego.

– Nie robicie tego w New Jersey?

– Robimy tam różne rzeczy. Na przykład chodzimy do kina, do restauracji, spotykamy się w gronie znajomych. Ty pewnie inaczej spędzałeś czas, kiedy dorastałeś?

– Wcale nie. Nadal tak spędzam czas.

– To kiedy ostatnio byłeś w kinie?

– A co to jest kino?

Dopiero kiedy parsknął śmiechem, zorientowała się, że się z nią droczy. Wskazał na ogrodzenie.

– Z bliska są większe, nie uważasz?

Sophia spojrzała w tamtym kierunku. Do ogrodzenia zbliżał się powoli byk, był już niespełna dwa metry od nich, pod skórą na piersi grały mu mięśnie. Widok ogromnego zwierzęcia zaparł jej dech; z trybun areny byki wydawały się mniejsze.

– O, kurczę – wykrztusiła z podziwem, pochylając się. – Ale... wielki. – Spojrzała na Luke'a. – I ty je ujeżdżasz? Z własnej, nieprzymuszonej woli?

– Kiedy mi na to pozwalają.

– To właśnie chciałeś mi pokazać?

– Tak jakby – odparł. – A dokładniej, tamtego, w głębi.

Pokazał palcem byka kremowej maści stojącego nieruchomo pośrodku zagrody; tylko drgające uszy i ogon świadczyły, że to nie rzeźba, lecz żywe stworzenie. Jeden róg miał ukruszony i nawet z tej odległości rozróżniała liczne blizny na jego boku. Nie był największy z nocujących tutaj byków, ale biła od niego jakaś dzikość i zادیorność, a Sophia wyczuwała, że

swoją postawą rzuca pobratymcom wyzwanie: no, niech tylko któryś spróbuje mnie podejść. Nocną ciszę mąciło co rusz jego gniewne parskanie.

Spojrzała na Luke'a i zauważyła na jego twarzy dziwną zmianę. Patrzył na byka z pozoru spokojnie, ale pod maską spokoju kryło się coś, czego nie potrafiła nazwać.

– To Zakapior – powiedział, nie odrywając od byka wzroku. – O nim myślałem, stojąc pod stodołą. Próbowałem go stamtąd wypatrzeć.

– Ujeżdżałeś go?

– Nie – mruknął. – Ale po zawodach powiedziałem sobie, że nie odjadę stąd, dopóki nie przyjrzę mu się z bliska. Kiedy tu dzisiaj przyjechałem i go zobaczyłem, pomyślałem sobie, że to ostatni byk, na jakiego chciałbym trafić. Dlatego zaparkowałem swojego pick-upa tyłem do ogrodzenia. W każdym razie gdybym go dzisiaj wylosował, to nie wiem, co bym zrobił.

– Ujeżdżałeś go wcześniej? – spytała.

– Próbowałem – odparł. – Trzy razy. To byk z najwyższej półki. Do tej pory tylko dwóch facetów dało mu radę, a i to parę lat temu. Kręci piruety, wierzga, zmienia nagle kierunek, a jak już zrzuci jeźdźca, to próbuje wziąć go na rogi za to tylko, że śmiał go dotknąć. Śnił mi się po nocach. Boję się go. – Spojrzał na nią. – Tobie pierwszej to mówię.

Twarz miał ściągniętą; nie spodziewała się go takim zobaczyć.

– Zrobiłeś na mnie wrażenie takiego, który niczego się nie przestraszy – powiedziała cicho.

– No, widzisz... jestem tylko człowiekiem. – Uśmiechnął się. – Burzy też się boję, jeśli chcesz wiedzieć.

Usiadła prosto.

– A ja lubię burze.

– Bo żadna nie zaskoczyła cię jeszcze pośrodku pastwiska, a tam nie ma się gdzie przed nią schować.

– Wierzę na słowo.

– Teraz moja kolej na odpytywanie.

– Słucham.

– Długo byłaś z tym Brianem?

Ulżyło jej, mało brakowało, a by się roześmiała.

– Zaczęliśmy się spotykać, kiedy byłam na drugim roku.

– Kawał z niego chłopca – zauważył.

– Gra w lacrosse.

– Pewnie dobry jest.

– W lacrosse, owszem – przyznała. – Gorzej z innymi sprawami.

– Ale mimo to spotykałaś się z nim dwa lata.

– No, tak... – Złączyła kolana i objęła je rękami. – Byłeś kiedyś zakochany?

Zadarł głowę, tak jakby próbował szukać odpowiedzi w gwiazdach.

– Czy ja wiem...?

– To znaczy, że nie byłeś.

– No, chyba nie – przyznał po chwili zastanowienia.

– Chyba?

– Sam nie wiem.

– A byłeś nieszczęśliwy, kiedy się skończyło?

Zacisnęła usta, układając w myślach odpowiedź.

– Właściwie to nie, ale Angie też nie. To była taka szkolna historia. Po maturze nasze drogi same się rozeszły. Ale nadal się przyjaźnimy. Zaprosiła mnie nawet na swój ślub. Dobrze

się bawiłem na weselu z jej druhną.

Sophia spuściła wzrok.

– Ja Briana kochałam. Wcześniej byłam parę razy zadurzona. No wiesz, wypisywałam imię i rysowałam serca na okładce zeszytu. Myślę, że chyba wszyscy mają tendencję do gloryfikowania swojej pierwszej miłości i ja nie byłam wyjątkiem. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego akurat mnie sobie upatrzył... jest przystojny, ma stypendium sportowe, jest lubiany i bogaty... każda chciałaby z nim chodzić. Na początku był miły i czarujący. Kiedy mnie pierwszy raz całował, już byłam zadurzona. Z czasem zakochałam się bez pamięci, a potem... – Zawiesiła głos, wołała nie wnikać w szczegóły. – Tak czy owak, zerwałam z nim na początku tego roku akademickiego. Wyszło na jaw, że przez całe wakacje sypiał z inną dziewczyną.

– I teraz chce, żebyś do niego wróciła.

– Tak, tylko dlaczego? Dlatego, że mu na mnie zależy, czy dlatego, że zostać porzuconym przez dziewczynę to dla niego plama na honorze?

– Mnie o to pytasz?

– Ciekawa jestem, jak to widzisz. Z męskiej perspektywy. Nie żebym zamierzała do niego wrócić, bo o tym nie ma mowy.

– Według mnie wchodzi w grę i jedno, i drugie – powiedział, ważąc słowa. – Ale przede wszystkim chyba zaczyna rozumieć, jaki wielki błąd popełnił.

Przyjęła ten zakamuflowany komplement w milczeniu. Była pełna uznania dla jego umiejętności posługiwania się wymownymi niedopowiedzeniami wtedy, gdy nie chciał powiedzieć czegoś wprost.

– Nie żałuję, że tu dzisiaj przyjechałam – powiedziała szczerze. – Bardzo dobrze radziłeś sobie na arenie.

– Miałem szczęście. Wyszedłem trochę z wprawy. To był mój pierwszy występ po dłuższej przerwie.

– Ile trwała?

Potarł dłońmi dzinsy; zwlekał z odpowiedzią.

– Osiemnaście miesięcy – mruknął w końcu.

Myślała, że się przesłyszala.

– I to był twój pierwszy występ po półtorarocznej przerwie?

– Tak.

– A dlaczego przerwałeś?

Wyczuła, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Przed półtora rokiem źle mi poszło.

– Bardzo źle?

– Tak.

Natychmiast zrozumiała.

– Z Zakapiorem – nie tyle spytała, ile stwierdziła.

– Tak, z nim – przyznał i uprzedzając jej następne pytanie, czym prędzej zmienił temat. – Należysz do stowarzyszenia studentek, tak?

Zauważyła ten unik. Najwyraźniej nie miał ochoty na udzielanie bliższych wyjaśnień.

– Już trzy lata.

– To prawda, co o was opowiadają? – spytał z przekornym błyskiem w oczach. – O pizamowych imprezach i bitwach na poduszki?

– Wcale nie. – Udała obruszoną. – Na poduszki walczyliśmy, ale w bieliźnie.

– Chyba spodobałoby mi się w akademiku.

Roześmiała się.

– Założę się, że tak.

– To jak z wami naprawdę jest? – spytał ze szczerym zaciekawieniem.

– Grupa dziewczyn mieszka razem i w zasadzie jest to bezkonfliktowa koegzystencja.

Zdarza się, że dochodzi do zatargów. To hierarchiczny świat, którym rządzą dziewczyny z zamożnych domów. Ale ja jestem z New Jersey, mojej rodzinie się nie przelewa, a na Wake studiuje tylko dzięki stypendium. Takich jak ja na uczelni można policzyć na palcach jednej ręki. Nie żeby studiowali tam sami bogaci. I wiele dziewczyn dorabiało sobie dorywczymi pracami w szkole średniej. Po prostu...

– Ty jesteś inna – wpadł jej w słowo. – Idę o zakład, że żadna z twoich koleżanek ze stowarzyszenia nie odważyłaby się wybrać ze mną w nocy na środek pastwiska, żeby podziwiać tam byka.

Nie byłabym tego taka pewna, pomyślała. Wygrał dzisiejsze rodeo i Marcia ani trochę nie przesadziła, uznając go za ciacho. Niejednej dziewczynie ze stowarzyszenia wystarczyłoby to aż nadto, żeby zaryzykować taką wyprawę.

– Wspominałeś, że macie na ranchu konie? – spytała.

– Tak, mamy.

– Często ich dosiadasz?

– Prawie codziennie – odparł. – Doglądam konno bydła. Mógłbym objeżdżać pastwiska quadem, ale wolę tradycyjny sposób.

– A jeździsz czasem konno ot tak, dla przyjemności?

– Zdarza się. A co? Ty jeździsz?

– Nie – przyznała. – Nigdy nie siedziałam na koniu. Mało ich w Jersey City. Ale od dziecka o tym marzyłam. Chyba wszystkie dziewczynki tak mają. – Urwała. – Jak ma na imię twój koń?

– Koń.

Uznała to za żart i czekała na sprostowanie, ale nie nadeszło.

– Zwracasz się do swojego konia per „Koń”?

– Jemu tam wszystko jedno.

– Powinieneś mu dać jakieś szlachetniejsze imię. Na przykład Książę, Wódz, coś w tym stylu.

– Teraz już za późno. Mogłoby mu się pomieszać we łbie.

– Mówię ci. Już każde inne imię lepsze. Nazywać konia Koniem to tak, jak wołać na psa Pies.

– Mam psa, który wabi się Pies. To australijski pies pasterski. – Spojrzał na nią z całkiem poważną miną. – Bardzo dobry z niego kowboj.

– A co na to twoja mama?

– Sama je tak ponazywała.

Sophia pokręciła głową.

– Moja współlokatorka nigdy w to nie uwierzy.

– W co? Że moje zwierzaki mają, twoim zdaniem, dziwne imiona?

– Między innymi.

– Opowiedz mi lepiej o college'u – poprosił i przez następne pół godziny opisywała mu swoje codzienne życie na uniwersytecie. Nawet jej wydawało się mało ciekawe – wykłady, zajęcia, przesiadywanie w bibliotece, życie towarzyskie tylko w weekendy – ale on słuchał uważnie, zadając od czasu do czasu pytania. Tymczasem na parking zaczęli się schodzić ludzie; krążyli między pickupami, ten i ów gratulował Luke'owi sukcesu.

Zrobiło się chłodno, ramiona Sophii pokryła gęsia skórka. Skuliła się na krzeselku i objęła

się w talii.

– Jak chcesz, to przyniosę ci koc z kabiny – zaproponował Luke.

– Nie, nie trzeba – odparła. – Chyba powinnam już wracać. Tylko tego by brakowało, żeby dziewczyny odjechały beze mnie.

– Też tak sobie pomyślałem – przyznał. – Odprowadzę cię.

Pomógł jej zeskoczyć z paki i ruszyli po własnych śladach z powrotem. W miarę jak zbliżali się do stodoły, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Zatrzymali się przed otwartymi wierzejami. W środku nadal było tłoczno, choć już nie tak, jak wcześniej. Odnosiła wrażenie, że od tego „wcześniej” upłynęło kilka dobrych godzin.

– Chcesz, żebym tam z tobą wszedł? Na wypadek gdyby Brian gdzieś tu się jeszcze kręcił?

– Nie – odparła. – Dam sobie radę. Będę się trzymała blisko mojej współlokatorki.

Wpatrywał się przez chwilę w ziemię, potem podniósł głowę i spojrzał na Sophię.

– Dobrze mi się z tobą rozmawiało, Sophia.

– Mnie z tobą też – powiedziała. – I jeszcze raz dziękuję. Za tamto wcześniej.

– Nie ma za co.

Kiwnął jej głową, odwrócił się i ruszył przed siebie. I na tym mogło się to skończyć, a później może by żałowała...

– Luke! – zawołała za nim, niewiele myśląc. – Zaczekaj!

Kiedy się zatrzymał i odwrócił, zadarła lekko głowę.

– Obiecałeś pokazać mi swoją stodołę. Podobno rozpada się jeszcze bardziej niż ta tutaj.

Uśmiechnął się, prezentując urocze dołeczki w policzkach.

– Może być jutro o pierwszej? – spytał. – Rano mam trochę roboty w obejściu, ale do pierwszej powinienem się wyrobić. Przyjechać po ciebie?

– Sama przyjadę – odparła. – Prześlij mi tylko SMS-em wskazówki, jak do ciebie trafić.

– Nie mam twojego numeru.

– Podaj mi swój. – Wybrała numer, który jej podyktował, i słysząc sygnał jego komórki, przerwała połączenie. Spojrzała na niego, zachodząc w głowę, co też jej odbiło. – To już go masz.

5 Ira

Robi się coraz ciemniej, a późnozimowa aura coraz bardziej się pogarsza. Wicher przeraźliwie zawodzi, szyby samochodu znowu pokrywa gruba warstwa śniegu. Jestem powoli grzebany żywcem i myślę znowu o samochodzie. To chrysler z 1988 roku w kolorze kremowym. Ciekawe, czy po wschodzie słońca zostanie przez kogoś zauważony, czy też zwyczajnie zleje się z otoczeniem.

– Nie wolno ci tak myśleć – słyszę głos Ruth. – Ktoś niedługo nadjedzie. Tylko go patrzeć.

Siedzi tam, gdzie poprzednio, ale teraz wygląda trochę inaczej. Jest trochę starsza i ma na sobie inną sukienkę... ale ta sukienka wydaje mi się znajoma. Wyteżam pamięć, starając się sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ją w niej widziałem, i znowu słyszę jej głos.

– W lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego. W lipcu.

No tak, już wiem! To były wakacje po pierwszym roku college'u.

– Pamiętam – mówię.

– Tak, pamiętasz, bo ci przypominałam – mówi z przekąsem. – Kiedyś sam wszystko pamiętałeś.

– Byłem młodszy.

– Ja też kiedyś byłam młodsza.

– Wciąż jesteś.

– Już nie – mówi ze smutkiem. – Młoda byłam wtedy.

Niewyraźnie ją widzę, mruganie nic nie pomaga. Miała siedemnaście lat.

– Byłaś w tej sukience, kiedy wreszcie odważyłem się spytać, czy nie zechciałabyś, żebym cię odprowadził do domu.

– Nie – ona na to. – To ja ciebie o to spytałam.

Uśmiecham się. To historia, którą często opowiadaliśmy podczas rodzinnych obiadów, historia naszej pierwszej randki. Z biegiem lat doszliśmy z Ruth do perfekcji we wspólnym jej snuciu. Teraz, w samochodzie, ona zaczyna tak jak kiedyś przed audytorium złożonym ze zgromadzonych przy stole gości. Składa ręce na kolanach i wzdycha, na jej twarzy malują się rozczarowanie i zakłopotanie.

– Zdążyłam się już wtedy zorientować, że ty z własnej inicjatywy nigdy do mnie nie podejdziesz. Mijał miesiąc, odkąd wróciłeś do domu na wakacje, a ty wciąż ani be, ani me. Wzięłam więc sprawy we własne ręce i sama do ciebie podeszłam po szabasowym nabożeństwie. Spojrzałam ci prosto w oczy i powiedziałam: „Nie chodź już z Davidem Epsteinem”.

– Pamiętam – mrużę.

– A pamiętasz, co mi odpowiedziałeś? Bąknąłeś: „Aha”, spłonąłeś rumieńcem, spuściłeś wzrok i zapatrzyłeś się w swoje buty.

– Chyba nie do końca tak było.

– Dobrze wiesz, że tak właśnie było. A ja, kując żelazo, póki gorące, poprosiłam cię, żebyś mnie odprowadził do domu.

– Pamiętam, że twój tato nie był tym specjalnie zachwycony.

– On uważał, że David jest dla mnie bardzo dobrą partią. Ciebie nie znał.

– I nie spodobałem mu się – wtrącam. – Szedł za nami, a ja czułem na plecach jego niechętnie spojrzenie. Właśnie dlatego trzymałem ręce w kieszeniach.

Ruth przekrzywia głowę i przygląda mi się taksująco.

– I dlatego przez całą drogę słówkiem się do mnie nie odezwałeś?
– Chciałem mu dać w ten sposób do zrozumienia, że mam szlachetne zamiary.
– Kiedy wróciłam do domu, tato spytał, co z ciebie za niemota. Nie mógł uwierzyć, kiedy mu powiedziałam, że jesteś wzorowym studentem college’u, masz bardzo dobre oceny i za trzy lata odbierzesz dyplom ukończenia wyższej uczelni. Twoja mama, ilekroć z nią rozmawiałam, nigdy nie zapomniała mi o tym napomknąć.

Moja mama swatką!

– Gdyby w charakterze przyzwoitek nie szli za nami twoi rodzice, byłoby zupełnie inaczej – mówię. – Porwałbym cię w ramiona. Ująłbym twoją dłoń i wyśpiewał serenadę. Narwałbym ci bukiet kwiatów. Zemdlałabyś z wrażenia.

– Tak, tak, wiem. Znowu ten młody Frank Sinatra. Już to kiedyś mówiłeś.

– Staram się tylko dbać o szczegóły. Podobałem się jednej dziewczynie ze szkoły, jak chcesz wiedzieć. Miała na imię Sarah.

Ruth kiwa głową; nie wygląda na zainteresowaną.

– O niej twoja mama też mi opowiadała. Zapewniła mnie również, że po powrocie do domu na wakacje ani razu do niej nie zadzwoniłeś ani nie napisałeś. Wiedziałam, że to nic poważnego.

– Często rozmawiałaś z moją mamą?

– Z początku nie za często i zawsze w obecności mojej mamy. Ale kilka miesięcy przed twoim powrotem poprosiłam twoją mamę, żeby mi pomogła w nauce angielskiego, i zaczęłyśmy się spotykać dwa razy w tygodniu. Nie znałam jeszcze wielu słów, a ona potrafiła zrozumiale wyjaśnić mi, co znaczą. Często powtarzałam, że wybrałam zawód nauczycielki zainspirowana przez tatę, ale twoja mama też się do tego przyczyniła. Miała do mnie anielską cierpliwość. Opowiadała mi rozmaite historyjki, dzięki czemu szybciej opanowałam język. Zachęcała mnie, żebym tej sztuki też się nauczyła, bo na Południu każdy jest gawędziarzem.

Uśmiecham się.

– No i o czym ci tak opowiadała?

– O tobie.

Naturalnie nie jest to dla mnie żadną nowiną. W każdym małżeństwie z długoletnim stażem tajemnic uchowa się niewiele.

– I która z tych historyjek najbardziej zapadła ci w pamięć?

Ruth zastanawia się przez chwilę.

– Chyba ta z okresu twojego dzieciństwa – uznaje w końcu. – Podobno znalazłeś poranioną wiewiórkę i chociaż tato zabronił ci trzymać ją w sklepie, ty umieściłeś ją w pudełku, pudełko ukryłeś za maszyną do szycia mamy i pielęgnowałeś bidulkę, dopóki nie wyzdrowiała. Kiedy doszła do siebie, odniosłeś ją do parku i wypuściłeś na wolność. I chociaż od razu czmychnęła na drzewo, ty chodziłeś tam codziennie sprawdzać, czy aby znowu nie potrzebuje twojej pomocy. Zdaniem twojej mamy świadczyło to, że masz dobre i czyste serce, że jesteś stały w uczuciach i jak już coś, albo kogoś, pokochasz, to na zawsze.

No, urodzona swatka, jak zresztą wcześniej wspomniałem.

O tym, że mama „uczyła” Ruth języka, opowiadając jej po angielsku o zdarzeniach z moich szczenięcych lat, dowiedziałem się dopiero po ślubie. Jakoś nieszczególnie przypadło mi to do gustu. Wcześniej myślałem, że samodzielnie, bez niczyjej pomocy, podbiłem serce Ruth, ale kiedy powiedziałem to mamie, ona się tylko roześmiała i odparła, że zachwalanie syna to matczyne obowiązki. I dodała, że ja ze swej strony miałem tylko udowodnić, że nie kłamię, bo to jest obowiązek syna.

– A ja głupi myślałem, że ujął cię mój urok osobisty.

– Twój urok osobisty objawił się dopiero wtedy, gdy wreszcie przestałeś się mnie bać. A nie stało się to na pewno na tamtym pierwszym spacerze. Kiedy w końcu doszliśmy do zakładu stolarskiego, w którym mieszkałam z rodzicami, powiedziałam: „Dziękuję za odprowadzenie, Ira”, a ty bąknąłeś tylko: „Nie ma za co”. Potem się odwróciłeś, ukloniłeś moim rodzicom, i już cię nie było.

– Ale tydzień później poszło mi lepiej.

– Tak. Rozprawiałeś o pogodzie. Trzy razy powtórzyłeś: „Ale pochmurno”. Dwa razy dodałeś: „Chyba będzie padać”. Byłeś nadzwyczaj rozmowny.

– Jednak nadal chciałaś, żebym odprowadzał cię do domu.

– Tak – mówi, spoglądając mi w oczy.

– I na początku sierpnia zaprosiłem cię na napój czekoladowy. Tak jak wcześniej David Epstein.

Ruth, nie odrywając ode mnie wzroku, przygląda włosy.

– Pamiętam, jak ci wtedy powiedziałam, że smaczniejszego napoju czekoladowego jeszcze nie piłam.

Tak to się między nami zaczęło. Nasza historia nie jest żadną obfitującą w przygody powieścią awanturczą ani bajkowym romansiem nadającym się na adaptację filmową, lecz bez boskiej interwencji raczej się tu nie obeszło. Nie mam bladego pojęcia, co ona we mnie takiego specjalnego zobaczyła, ale sprytnie wykorzystałem okazję. Od tamtej pory spędzaliśmy ze sobą wszystkie wolne chwile, których nie pozostało nam już wiele. Lato miało się wtedy ku końcowi. Po drugiej stronie Atlantyku Francja już skapitulowała, toczyła się bitwa o Anglię, ale to było daleko i mało nas obchodziło. Chodziliśmy na długie spacery i rozmawialiśmy bez końca na ławce w parku; tak jak wcześniej David, fundowałem Ruth napoje czekoladowe. Dwa razy zabrałem ją do kina, a raz postawiłem jej i jej matce lunch. I co sobota odprowadzałem ją do domu z synagogi. Jej rodzice szli dziesięć kroków za nami, co dawało nam tę namiastkę prywatności.

– Twoi rodzice z czasem mnie polubili.

– Owszem. – Kiwa głową. – Ale tylko dlatego, że ja cię lubiłam. Jako pierwszy w tym kraju potrafiłeś poprawić mi humor. Ojciec zawsze pytał, co takiego zabawnego opowiadasz, że aż tak mnie to śmieszy, a ja mu na to odpowiadałam, że śmieszy mnie nie tyle to, co mówisz, ile jak to mówisz. Na przykład mina, z jaką opisujesz zdolności kulinarne twojej mamy.

– Moja mama nawet jajka na miękko nie potrafiła porządnie ugotować.

– Nie było chyba aż tak źle?

– Od dziecka uczyłem się jedzenia na wstrzymanym oddechu. Myślisz, że dlaczego byliśmy z ojcem tacy chudzi?

Kręci głową.

– Żeby twoja mama to słyszała.

– Nie obraziłaby się. Sama wiedziała, że do gotowania nie ma drygu.

Ruth milczy przez chwilę.

– Szkoda, że tamtego lata nie mieliśmy dla siebie więcej czasu. Było mi bardzo smutno, kiedy po wakacjach wróciłeś na uniwersytet.

– Nawet gdybym został, nie bylibyśmy razem. Ty wyjeżdżałaś do College’u.

Kiwa w zamyśleniu głową.

– Miałam szczęście. Mój tato znał profesora z Wellesley i ten człowiek bardzo mi pomógł. Ale tamten rok i tak był dla mnie ciężki. Wiedziałaś, że chociaż nie korespondujesz z Sarah, to nigdzie nie jest powiedziane, że w końcu znowu się z nią nie zejdiesz. I obawiałam się, że Sarah widzi w tobie to samo co ja i zrobi wszystko, żeby cię odzyskać.

- Nie miałyby na to szans.
- Teraz to wiem, ale wtedy nie wiedziałam.

Przekrzywiam lekko głowę i z bólu gwiazdy stają mi przed oczami.

Zupełnie jakby ktoś wbijał mi gwóźdź w czoło. Zaciskam powieki, czekam, aż ból minie, ale jakoś się na to nie zanosi. Koncentruję się, staram się oddychać powoli i w końcu zaczyna ustępować. Świat wraca po kawałku na swoje miejsce, a ja wracam myślami do samego wypadku. Twarz mi się lepi, a sflaczała poduszkę powietrzną pokrywają pył i krew. Widok tej krwi napelnia mnie strachem, a jednocześnie wyczuwam w samochodzie magię, dzięki której mogę znowu pogawędzić z Ruth. Staram się przełknąć ślinę, żeby choć trochę zwilżyć wyschnięte gardło, ale na próżno.

Wiem, że Ruth się o mnie martwi. Pośród wydłużających się cieni widzę, jak kobieta mojego życia patrzy na mnie z zafrasowaną miną. Powracam myślami do roku 1940, próbuję ją trochę odstresować.

– Tak ci spędzała sen z oczu ta Sarah – mówię – a na zimowe ferie w grudniu nie wróciłaś do domu, żeby się ze mną spotkać.

Już widzę, jak Ruth przewraca oczami – to jej standardowa reakcja na moje pretensje.

– Nie wróciłam, bo nie miałam na bilet kolejowy – mówi. – Dobrze o tym wiesz. Poza tym dorabiałam sobie w hotelu i o urlopie nie miałam co marzyć. Stypendium pokrywało tylko koszty nauki, za wszystko inne musiałam płacić z własnej kieszeni.

– To tylko wymówki.

Puszcza moją uwagę mimo uszu. Jak zawsze.

– Czasami wypadał mi nocny dyżur w recepcji, a po nim rano biegłam prosto z hotelu na wykłady. Nie było łatwo. Pod koniec pierwszego roku nie mogłam się już doczekać letnich wakacji; zapowiadałam sobie, że po powrocie do domu położę się od razu do łóżka i nareszcie porządnie się wyspię.

– Ale z tych planów nic nie wyszło, bo na stacji kolejowej czekałem na ciebie ja.

– Właśnie. – Ruth uśmiecha się. – Mój plan wziął w łeb.

– Nie widziałem cię od dziewięciu miesięcy – podkreślam. – Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– I zrobiłeś. Zastanawiałam się nawet w pociągu, czy po mnie wyjdiesz, ale za bardzo się na to nie nastawiałam, żeby nie przeżyć zawodu. Kiedy pociąg wjechał na stację i zobaczyłam cię przez okno, serce żywiej mi zabiło. Bardzo elegancko się prezentowałeś.

– Mama uszyła mi nowy garnitur.

Ruth, wciąż pogrążona we wspomnieniach, uśmiecha się.

– I przyprowadziłeś moich rodziców.

Wzruszyłbym ramionami, ale obawiam się bólu.

– Wiedziałem, że oni też się wybierają na stację, żeby cię powitać, pożyczyłem więc od taty auto.

– To było bardzo szarmanckie.

– Raczej samolubne. Gdyby nie to, mogłabyś się udać prosto do domu.

– Owszem, mogłabym – droczy się ze mną. – Ale ty, oczywiście, o wszystkim zawczasu pomyślałeś. Tato powiedział mi potem, że przyszedłeś w godzinach pracy do stolarni i zapytałeś go, czy nie ma nic przeciwko temu, żebyś mnie w dniu mojego przyjazdu zaprosił na kolację.

– Chciałem ci odebrać pretekst do odmowy.

– Nie odmówiłabym, nawet gdybyś nie wydebił na moim tacie zgody.

– Teraz to wiem, ale wtedy nie wiedziałem – mówię, powtarzając jak echo jej wcześniejsze słowa. Pod wieloma względami jesteśmy, i zawsze byliśmy, tacy sami. – Pamiętam,

że kiedy wysiadałaś tamtego wieczoru z wagonu, dziwiłem się, że na stacji nie kłębi się tłum fotografów polujących na zdjęcie. Wyglądałaś jak gwiazda filmowa.

– Wyglądałaś okropnie. Miałam za sobą dwunastogodzinną podróż koleją.

Oboje wiemy, że to tylko takie krygowanie się. Ruth była piękna i nawet dobrze po pięćdziesiątce przyciągała spojrzenia mężczyzn, gdziekolwiek się pojawiła.

– Miałem ogromną ochotę cię pocałować.

– Nieprawda – zaprzecza. – Nie odważyłbyś się na coś takiego w obecności moich rodziców.

Ma, oczywiście, rację. Stałem z boku i patrzyłem, jak rodzice Ruth witają wylewnie swoją pierworodną; podszedłem do niej, kiedy wreszcie skończyli. Ruth czyta w moich myślach.

– Tamtego wieczoru mój tato zrozumiał wreszcie, co w tobie widzę. Powiedział mi później, że jego zdaniem jesteś nie tylko ambitny, ale masz również zadatki na dżentelmena.

– Mimo to dobrej partii dla ciebie wciąż chyba jakoś we mnie nie widział.

– Nie ma ojca, który uznałby jakiegokolwiek mężczyznę za odpowiednią partię dla swojej córki.

– Chyba że byłby to David Epstein.

– Tak – przyznaje z sarkazmem Ruth. – Chyba że byłby to on.

Uśmiecham się, chociaż wywołuje to kolejną erupcję bólu.

– Podczas kolacji nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Byłaś piękniejsza, niż cię zapamiętałem.

– Ale znowu byliśmy sobie obcy – wzdycha. – Rozmowa się nie kleiła. Odblokowaliśmy się chyba dopiero po wyjściu z restauracji.

– Udawałem niedostępnego.

– Nie, byłeś sobą – mówi Ruth. – A jednocześnie jakbyś nie był. Przez tamten rok rozłąki stałeś się mężczyzną. Odprowadziłeś mnie pod same drzwi i tam wzięłeś za rękę, czego nigdy wcześniej nie robiłeś. Pamiętam to, bo całe ramię mnie wtedy zamrowiło. A potem pochyliłeś się, spojrzawszy mi w oczy i już wiedziałam, co się zaraz stanie.

– Pocałowałem cię na dobranoc.

– Nie – koryguje Ruth uwodzicielskim głosem. – Owszem, pocałowałeś mnie, ale to nie był pocałunek na dobranoc. Już wtedy wyczułam w nim obietnicę, że będziesz mnie tak całował zawsze.

Zakleszczony w samochodzie wspominam tamten moment – ten zawrót głowy, kiedy spotkały się nasze usta, to wzbierające podniecenie i zachwyt, kiedy brałem ją w ramiona. I nagle świat zaczyna wirować. Mam wrażenie, że kręcę się na karuzeli, która wymknęła się spod kontroli; Ruth momentalnie znika z moich objęć.

Głowa opada mi na kierownicę, mrugam zapamiętałe, modląc się, żeby to wirowanie ustało. Napiłbym się wody, jeden mały łyżeczek na pewno coś by tu zaradził. Ale nie mam pod ręką wody, poddaję się więc temu wirowaniu i po chwili wszystko czernieje.

Po jakimś czasie odzyskuję przytomność i świat wokół mnie z wolna się krystalizuje. Mrużę w ciemnościach oczy, ale Ruth nie ma już w fotelu pasażera obok mnie. Pragnę, żeby wróciła. Koncentruję się, próbuję wyczarować z powrotem jej obraz, lecz bez skutku i gardło mi się ściska.

Jeśli dobrze się zastanowić, to Ruth miała rację w kwestii zmian, jakie niby we mnie wtedy zaszły. Tamtego lata zmienił się cały świat i zdawałem sobie sprawę, że każda spędzona z nią chwila jest na wagę złota. Wojna była już wszędzie. Od czterech lat walczyły Japonia i Chiny, a wiosną 1941 roku Wehrmacht zajął kolejne kraje, w tym Jugosławię i Grecję. Anglicy wycofali się aż do Egiptu pod naporem Afriki Korps Rommla. Zagrożony był Kanał Sueski i chociaż jeszcze tego wówczas nie wiedziałem, zresztą nie tylko ja, niemieckie dywizje pancerne i piechota gotowały się do uderzenia na Rosję. Zastanawiało mnie, jak długo jeszcze Stany Zjednoczone będą się temu przyglądały z boku.

Nigdy nie zamierzałem zostać żołnierzem; nigdy nie trzymałem w rękach karabinu. Nie miałem w sobie żyłki wojownika, ale kochałem swój kraj i od początku tamtego roku próbowałem sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała przyszłość zwichrowana przez tę wojnę. I nie tylko ja. Tamtego lata tato czytał po kilka gazet dziennie i na okrągło słuchał radia; mama została wolontariuszką Czerwonego Krzyża. Szczególnie zaniepokojeni byli rodzice Ruth. Zastawałem ich często siedzących ramię w ramię przy stole i rozmawiających przyciszonymi głosami. Od miesięcy nie mieli żadnych wiadomości od nikogo z pozostawionej w Europie rodziny. To przez tę wojnę, pocieszali ich znajomi. Ale nawet do Karoliny Północnej zaczynały docierać pogłoski o tym, co się dzieje z Żydami na terenie okupowanej Polski.

Pomimo docierających zza Atlantyku pogłosek o okropieństwach wojny i obaw, jakie budziły, a może właśnie z ich powodu, lato 1941 roku uważałem zawsze za swoje ostatnie lato niewinności. Tamtego lata ja i Ruth spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę, coraz bardziej się w sobie zakochując. W ciągu dnia ona zaglądała do mnie do sklepu, ja wpadałem do niej do zakładu stolarskiego – podczas wakacji odbierała za wujka telefony – a wieczorami spacerowaliśmy pod gwiazdami. W niedziele piknikowaliśmy w pobliskim parku, ale bez żadnych ekstrawagancji, byle tylko dotrzeć do wspólnej kolacji. Wieczorami ona przychodziła czasami do nas albo ja do niej i słuchaliśmy muzyki klasycznej z płyt puszcanych na fonografie. Kiedy kończyło się lato i Ruth wsiadła do pociągu zmierzającego do Massachusetts, wycofałem się z twarzą w dłoniach w kąt stacji, bo przeczuwałem, że od teraz nic już nie będzie takie samo. Przeczuwałem, że zbliża się dzień, kiedy w końcu i ja zostanę powołany do wojska.

No i kilka miesięcy później, 7 grudnia 1941 roku, moje przeczucia się potwierdziły.

Przez całą noc to tracę świadomość, to ją odzyskuję. Dalej wieje i śnieży. W chwilach, gdy jestem przytomny, zastanawiam się, czy w ogóle kiedyś się przejaśni; zastanawiam się, czy zobaczę jeszcze wschód słońca. Ale głównie skupiam się na wspomnieniach z nadzieją, że Ruth znowu się pojawi. Bez niej, myślę sobie, jestem już trupem.

Wróciwszy w maju 1942 roku do domu z dyplomem w kieszeni, nie poznałem naszego sklepu. Tam gdzie dawniej stały wieszaki z garniturami, teraz trzydzieści szwaczek szyło na trzydziestu maszynach mundury dla wojska. Pomieszczenie na zapleczu było całkowicie wypełnione dostarczonymi dwa razy na dzień grubymi belami wytrzymałego materiału. Tato zajął też pomieszczenie na parterze sąsiedniego budynku, które od lat stało puste i było na tyle duże, że pomieściło kolejnych sześćdziesiąt maszyn do szycia. Mama nadzorowała produkcję, tato zaś odbierał telefony, prowadził księgowość i zaopatrywał w odzież bazy wojsk lądowych i piechoty morskiej, które wyrastały na Południu jak grzyby po deszczu.

Wiedziałem, że bezapelacyjnie zostanę powołany. Pytanie tylko, kiedy i do jakiego

rodzaju wojsk. Piechota albo marines to walka w okopach. Tam trafiali najodważniejsi, ale mnie, jak już wspominałem, do odważnych było daleko. Z pociągu, którym wracałem do domu, wysiadałem zdecydowany już, że zaciągnę się do lotnictwa. Nie wiedzieć czemu walka w powietrzu wydawała mi się mniej straszna od tej toczonej na ziemi. Z czasem przekonałem się, że tak mi się tylko wydawało.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, w kuchni, zakomunikowałem rodzicom swoją decyzję. Mama natychmiast zaczęła załamywać ręce. Tato nic nie powiedział, ale potem, kiedy siadał do ksiąg rachunkowych, wydało mi się, że ma wilgotne oczy.

I podjąłem jeszcze jedną decyzję. Przed powrotem Ruth do Greensboro poszedłem do jej ojca i powiedziałem mu, jak bardzo mi zależy na jego córce. Dwa dni później, tak jak poprzedniego roku, zawiozłem jej rodziców na stację. Tak jak wtedy zczekałem, aż się z nią przywitają, i jak wtedy zaprosiłem Ruth na kolację. Podczas posiłku w świecącej pustkami restauracji wyjawiałem jej swoje plany. W odróżnieniu od moich rodziców nie uroniła ani jednej łzy. Przynajmniej wtedy, tamtego wieczoru.

Nie odprowadziłem jej od razu do domu. Po kolacji poszliśmy do parku, w którym zwykliśmy piknikować. Noc była bezksiężycowa, latarnie w parku wygaszone. Biorąc Ruth w tych ciemnościach za rękę, ledwie widziałem jej twarz.

Namacalem w kieszeni pierścioneł, ten, który pokazywałem już jej ojcu, pytając, czy mogę go ofiarować jego córce. Długo się przedtem biłem z myślami. Nie żebym był niezdecydowany, lecz nie miałem pewności, co na to powie ona. Ale po uszy w niej zakochany szedłem na wojnę i chciałem wiedzieć, czy mogę liczyć, że będzie na mnie czekała. Przyklęknąłem na jedno kolano i wyznałem jej, ile dla mnie znaczy. Wyznałem, że nie wyobrażam sobie życia bez niej, i spytałem, czy zechce zostać moją żoną. Dukając to pytanie, wyjąłem z kieszeni i zaprezentowałem jej pierścioneł. Nie odpowiedziała od razu i skłamałbym, twierdząc, że w tym momencie nie obleciał mnie strach. Ale to trwało tylko chwilę. Potem wzięła ode mnie pierścioneł, wsunęła go sobie na palec i podała mi rękę. Powstałem z klęczek i stanąłem przed nią pod rozgwieżdżonym niebem. Zarzuciła mi ręce na szyję i szepnęła: „Tak”. Nie wiem, jak długo staliśmy przytuleni. Nawet teraz, po prawie siedemdziesięciu latach, w wyiębionym samochodzie, czuję wciąż ciepło jej ciała. Czuję zapach jej perfum, kwiatowy i delikatny. Wciągam go w nozdrza, biorąc, jak tamtego wieczoru, głębokę, powolny wdech.

Potem spacerowaliśmy po parku, trzymając się za ręce i snując plany na przyszłość. Ruth miała głos przepelniony miłością, podekscytowany, jednak właśnie na wspomnienie tamtej części wieczoru zawsze robi mi się ciężko na duszy. Wyrzucam sobie, że nie udało mi się zostać mężczyzną takim, jakim chciałem być; że większość naszych marzeń nie wyszła poza etap planowania. Zalewa mnie fala wstydu i nagle znowu czuję woń jej perfum. Tym razem jest silniejszy i uświadamiam sobie, że to nie wspomnienie, że ten zapach rzeczywiście unosi się w moim samochodzie. Boję się otworzyć oczy, ale w końcu to robię. Z początku wszystko jest rozmazane, pogrążone w mroku. Ogarniają mnie wątpliwości, czy w ogóle jeszcze coś zobaczę.

Ale po chwili już ją widzę. Jest prześwietlająca, widmowa, ale to Ruth. Jest tutaj, wróciła do mnie. Serce o mało nie wyskoczy mi z piersi. Najchętniej porwałbym ją w objęcia, wiem jednak, że to niemożliwe. Koncentruję się, wyteżam wzrok i w miarę jak oczy przywykają do ciemności, widzę ją coraz wyraźniej. Jest w przymarszczonej z przodu kremowej sukience, tej, którą miała na sobie w wieczór, kiedy się jej oświadczałem.

Jest wyraźnie naburmuszona.

– Nie, Ira – odzywa się naraz ostrzegawczym tonem. – Nie wolno nam poruszać tego tematu. O kolacji, owszem, możemy rozmawiać, o oświadczeniach też, ale nie o tym.

Nie mogę jeszcze uwierzyć, że wróciła.

– Wiem, że jest ci z tego powodu przykro... – zaczynam.

– Wcale nie jest mi przykro – wpada mi w słowo. – To tobie jest przykro. Gnębiło cię to, od kiedy pamiętam. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby z tym wtedy wyskoczyć.

– Ale wyskoczyłaś.

Ruth zwiesza głowę. Włosy ma kasztanowe, gęste, puszyste.

– Tamtego wieczoru wyznałam ci po raz pierwszy, że cię kocham – mówi. – Powiedziałam ci, że chcę za ciebie wyjść. Obiecałam, że będę na ciebie czekała i że pobierzemy się zaraz po twoim powrocie.

– To nie wszystko, co wtedy powiedziałaś...

– Tylko to się liczy – odparowuje, zadzierając buńczucznie bródkę. – Byliśmy szczęśliwi, prawda? Przez te wszystkie przeżyte razem lata?

– Tak.

– I kochałeś mnie?

– Bez pamięci.

– No to słuchaj, co mam ci do powiedzenia, Ira – wyrzuca z siebie z ledwie maskowanym zniecierpliwieniem. Pochyla się. – Nigdy nie żałowałam, że za ciebie wyszłam. Byłam z tobą szczęśliwa, wprawiałeś mnie w dobry humor i gdybym miała to zrobić jeszcze raz, zrobiłabym bez wahania. Spójrz na nasze życie, przypomnij sobie nasze eskapady, przygody, jakie nas spotykały. Odbywaliśmy ramię w ramię tę, jak mawiał twój tato, najdłuższą podróż zwaną życiem i dzięki tobie zniosłam ją beztrudno. W odróżnieniu od innych małżeństw my się nawet nie kłóciliśmy.

– Jak to nie? – obruszasz się.

– To nie były poważne kłótnie – obstaje przy swoim Ruth. – Nic nie znaczą. Nie da się ukryć, zmywałam ci czasami głowę za niewyniesienie śmieci, ale trudno to nazwać kłótniami z prawdziwego zdarzenia. Co najwyżej połajankami. Spływały po nas jak woda po kaczce. Zdarzały się, mijały i szybko o nich zapominaliśmy.

– Zapominasz...

– Pamiętam. – Znów wpada mi w słowo, bo wie, co chcę powiedzieć. – Ale mieliśmy swój sposób na wychodzenie z takich kryzysików. Wspólnymi siłami. Jak we wszystkim zresztą. Pomimo tych słów nadal odczuwam przygnębienie, głęboko zakorzeniony ból, który od lat w sobie noszę.

– Przepraszam – bąkam w końcu. – Wiedz, że nigdy nie mogłem przejść nad tym do porządku dziennego.

– Nie opowiadaj takich rzeczy – mówi Ruth łamiącym się głosem.

– Nic na to nie poradzę. Wiele godzin przegadaliśmy tamtego wieczoru.

– Owszem – przyznaje. – Rozmawialiśmy o letnich miesiącach, które wspólnie spędzimy. Rozmawialiśmy o studiach, o tym, że kiedyś przejmiesz po ojcu sklep. Po powrocie do domu poszłam od razu z pierścieniem od ciebie do łóżka i wpatrując się w niego, marzyłam. Zasnęłam dopiero nad ranem. Nazajutrz pokazałam go rodzicom i mama cieszyła się razem ze mną. Nawet tato był zadowolony.

Wiem, że stara się przestawić zwrotnicę, skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, ale nic to nie daje. Nadal na nią patrzę.

– Tamtego wieczoru rozmawialiśmy też o tobie. O twoich marzeniach. Na te słowa Ruth odwraca głowę do okna po swojej stronie.

– Zgadza się – mówi. – Rozmawialiśmy o moich marzeniach.

– Powiedziałaś, że zamierzasz zostać nauczycielką i że kupimy sobie dom tam, skąd będzie blisko i do twoich, i do moich rodziców.

– Tak.

– I powiedziałaś, że chcesz podróżować. Że pojedziemy do Nowego Jorku, do Bostonu, może nawet do Wiednia.

– Tak – powtarza.

Zamykam oczy, przygniata mnie znajomy, stary gład frustracji.

– I powiedziałaś jeszcze, że chcesz mieć dzieci. Że twoje największe marzenie to zostać matką. Że chcesz mieć dwie dziewczynki i dwóch chłopców, założyć prawdziwą rodzinę, dom na wzór tych, jakie mają twoi kuzyni, dom, w którym wciąż coś się dzieje, dom tętniący życiem. Uwielbiałaś ich odwiedzać, bo dobrze się tam czułaś. Tego pragnęłaś najbardziej.

Ruth przygarbia się i spogląda na mnie.

– Tak – szepcze – przyznaję, że tego pragnęłam.

Serce mi pęka, kiedy to słyszę, czuję, że coś się we mnie kruszy. Prawda potrafi często dobić i znowu mi wstyd, że jestem, jaki jestem. Ale już za późno, żeby to zmienić. Jestem stary, samotny i stoję nad grobem. I jestem zmęczony, zmęczony bardziej niż kiedykolwiek.

– Powinnaś wyjść za kogoś innego – szepczę.

Ruth kręci głową i na znak, że nie ma do mnie żalu, przysuwa się bliżej, jak za dawnych dobrych czasów, przesuwa palcem po linii mojej szczęki i całuje mnie w czubek głowy.

– Za nikogo innego bym nie wyszła – mruczy. – Skończmy już z tym tematem. Musisz odpocząć. Śpij.

– Nie – mamroczę. Chcę pokręcić głową, ale nie mogę, ból mi to uniemożliwia. – Nie chcę spać. Chcę być z tobą.

– Nie martw się. Będę tutaj, kiedy się obudzisz.

– Ale wtedy sobie poszłaś.

– Nigdzie nie poszłam. Byłam tu przez cały czas i zawsze będę.

– Skąd ta pewność?

Całuje mnie znowu i z czułością mówi:

– Stąd, Ira, że ja zawsze przy tobie jestem.

6 Luke

Zwlekał się bladym świtem z łóżka cały obolały i kiedy szcztokował teraz szyję i kłąb Konia, zakłuło go w krzyżu. Ibuprofen złagodził trochę ból, ale nadal trudno mu było unieść rękę powyżej barku. Objeżdżając wczesnym rankiem pastwiska, krzywił się przy każdej próbie obrócenia głowy. Dziękował Bogu, że do pomocy w pracach na ranchu ma Jose.

Odwiesił szcztokę, podsypał Koniowi owsa do żłobu i pokuśtykał do domu ze świadomością, że minie dzień, a może i ze dwa, zanim w pełni dojdzie do siebie. Ta obolałość i dolegliwości były po każdym zawodach czymś normalnym. Bywało gorzej. Każdy ujeżdżacz byków doznaje wcześniej czy później mniej lub bardziej poważnych kontuzji. On, jeśli nie liczyć potyczek z Zakapiorem, po kilku latach występów na arenie miał już na koncie dwukrotne złamanie żeber z zapadnięciem się płuc i uszkodzone rzepki w obu kolanach. W 2005 roku strzaskał sobie lewy nadgarstek i zwichnął oba barki. Przed czterema laty startował w mistrzostwach świata zawodowych ujeżdżaczy byków w specjalnym kowbojskim bucie unieruchamiającym pogruchotany wcześniej i zrastający się jeszcze staw skokowy. Do tego, rzecz jasna, dochodziły liczne utraty przytomności po zrzuceniu przez byka z grzbietu. Ale to go w najmniejszym stopniu nie zniechęcało do dalszego uprawiania tej dyscypliny sportu.

Może Sophia miała rację, nazywając go szalonym.

Zajrzał w okienko nad kuchennym zlewem i zobaczył krzątającą się matkę. Ciekawe, czy stosunki między nimi kiedyś się unormują. Od kilku tygodni, wchodząc rankiem do kuchni, zastawał ją kończącą już śniadanie. Wstawała wcześniej niewątpliwie po to, żeby uniknąć rozmowy z nim przy stole. Na każdym kroku dawała mu ostentacyjnie do zrozumienia, że wciąż się na niego boczy; zabierała swój talerz i zostawiała go przy stole samego, żeby odczuł ciężar jej milczenia. A przede wszystkim pragnęła wzbudzić w nim poczucie winy. Mógłby jeść śniadanie u siebie – zbudował sobie mały domek po drugiej stronie kępy drzew – ale wiedział z doświadczenia, że jeszcze bardziej by ją tym rozjątrzył. Na pewno kiedyś się w końcu udobrucha.

Wspiął się na stertę spękanych cementowych bloków i spojrzał z niej na dom. Dach był w dobrym stanie – wymieniał go kilka lat temu – ale ściany przydałoby się odmalować. Przedtem jednak trzeba by oskrobać deski jedną po drugiej ze starej farby i je oszlifować. Tylko jak tu znaleźć na to czas? Dom wzniesiony pod koniec dziewiętnastego wieku był już malowany i odmalowywany tyle razy, że teraz grubość tych wszystkich kolejno nakładanych warstw przekraczała pewnie grubość samych desek. Farba odłaziła całymi płatami i drewno pod okapami gniło. No właśnie, te okapy też trzeba wyreperować.

Wszedł do małej sieni i starannie wytarł buty na słomiance. Drzwi do kuchni otworzyły się ze znajomym skrzypieniem; poczuł smakowity aromat świeżo smażonych ziemniaków i bekonu. Matka stała przy piecu, mieszając łydą jajecznicę na patelni. Piec był nowy – kupił go jej zeszłego roku pod choinkę – za to kuchenne szafki miały tyle samo lat, co dom, a blat był tutaj, od kiedy pamiętał. Tak samo linoleum na podłodze. Dębowy stół zmajstrowany kiedyś przez dziadka zmatowiał ze starości. Widok staroświeckiego żelaznego piecyka stojącego w kącie przypominał mu, że musi narąbać drewna. Zbliżają się chłody i najwyższy czas uzupełnić zapas opału. Piecyk ogrzewał nie tylko kuchnię, ale i cały dom. Postanowił, że zabierze się do tego zaraz po śniadaniu, zanim przyjedzie Sophia.

Wieszając kapelusz na kołku, spojrzał na matkę. Była wyraźnie zmęczona. Nie dziwota – kiedy on siodłał Konia, ona już ciężko pracowała, czyszcząc boksy w stajni.

– Dzień dobry, mam – powiedział neutralnym tonem, podchodząc do zlewu, żeby umyć ręce. – Pomóc ci?

– Zaraz będzie gotowe – burknęła, nie podnosząc na niego wzroku. – Ale mógłbyś włożyć do tosterka te kromki chleba, co leżą za tobą na blacie.

Zrobił to i nalał sobie kawy do kubka. Matka stała tyłem do niego, ale czuł od niej aurę, tę samą, bijącą od kilku tygodni. Wstydź się, ty wyrodny synu. Jestem twoją matką. Nie obchodzi cię, co czuję? – niemal słyszał jej głos.

Owszem, obchodzi, odpowiedział sobie w myślach. I dlatego robię, co robię. Ale głośno tego nie powiedział. Po blisko ćwierćwieczu wspólnego gospodarowania na ranchu osiągnęli mistrzostwo świata w sztuce nieodzywania się do siebie.

Siorbnął kawy, wsłuchując się w stukanie drewnianej łydki o patelnię.

– Dzisiaj, na razie, żadnych problemów – zagaił znowu. – Obejrzałem szwy na nogach tego cielaka, co to się zaplątał w drut kolczasty. Rana dobrze się goi.

– Cieszę się. – Odłożyła łydkę i wyjęła z szafki talerze. – Już podaję.

Odstawił kubek z kawą i wyjął z lodówki dżem i masło. Kiedy stawiał je na stole, matka już przy nim siedziała. Podał jej gotowego tosta i przeniósł na stół dzbanek z kawą.

– Trzeba w tym tygodniu zebrać resztę dyń – przypomniała mu, sięgając po dzbanek. Żadnego, jak dotąd, kontaktu wzrokowego, o cmoknięciu w policzek na dzień dobry nie wspominając... co było zresztą do przewidzenia. – I trzeba rozstawić labirynt. We wtorek mają dowieźć siana. I musisz wydrażyć trochę dyń.

Połowę plonu dyń sprzedali już hurtem Pierwszemu Kościołowi Baptistów w King, ale w weekendy prowadzili na ranchu dni otwarte, żeby wyprzedać ludziom resztę. Jedną z atrakcji dla dzieciarni – a tym samym wabikiem przyciągającym rodziców – był labirynt z bel siana. Na ten pomysł wpadł ojciec, kiedy Luke był jeszcze mały, i z biegiem lat labirynt coraz bardziej się rozrastał i komplikował. Jego pokonywanie stało się lokalną tradycją.

– Zajmę się tym – mruknął. – Plan dalej leży w szufladzie biurka?

– Powinien, jeśli go tam w zeszłym roku schowałeś.

Luke posmarował tosta masłem i dżemem; przez jakiś czas milczeli oboje.

W końcu matka westchnęła.

– Późno wczoraj wróciłeś – zauważyła, też sięgając po masło i dżem.

– Nie spałeś? W oknach było ciemno.

– Spałam. Ale obudziłam się, kiedy podjeżdżałeś pod dom. Wątpił, żeby faktycznie tak było. Okna jej sypialni nie wychodziły na podjazd, co oznaczało, że siedziała raczej w salonie. I czekała tam, zamartwiając się o niego.

– Zostałem z paroma kolegami na imprezie po zawodach. Namówili mnie.

Wpatrywała się w talerz.

– Tak też myślałam.

– Dostałaś mojego SMS-a?

– Dostałam – burknęła i znowu zamilkła. Żadnych pytań o to, jak mu poszło na zawodach, jak się czuje, czy sobie czegoś nie obtłukł. Za to kuchnię wypełniła bijąca od niej aura. Uraza i przygnębienie kapały z sufitu, ściekały po ścianach. Musiał przyznać, że dobrze jej wychodzi to wywoływanie w nim poczucia winy.

– Może o tym porozmawiamy? – zaproponował w końcu.

Po raz pierwszy podniosła na niego wzrok.

– Nie mam ochoty.

Jak uważasz, pomyślał. Ale pomimo opryskliwości matki podjął jeszcze jedną próbę nawiązania konwersacji.

– A mogę cię o coś zapytać?
Niemal słyszał ten zgrzyt trybów, z jakim gotowała swoją najcięższą artylerię do bitwy. Zaraz zabierze swój talerz i wyjdzie z nim na werandę, zostawiając go przy stole samego.

– Jaki numer butów nosisz? – spytał czym prędzej.
Zastygła z widelcem w połowie drogi do ust.

– Numer butów?
– Ma tu dzisiaj przyjechać jedna taka – wyjaśnił. Nabrał jajeczniczy na widelec. – I może będą jej potrzebne buty. Jakby chciała pojeździć na koniu.
Matka po raz pierwszy od tygodni okazała zainteresowanie.

– Jakaś dziewczyna?
Kiwnął głową, nie przerywając jedzenia.

– Ma na imię Sophia. Poznałem ją wczoraj. Chce obejrzeć naszą stodołę.
Matka zamrugła.

– A co jej do naszej stodoły?
– Nie wiem. Tak powiedziała.
– Co to za jedna?
Luke wypatrzył na twarzy matki cień zaciekawienia.

– Studentka. Jest na ostatnim roku na Wake Forest. Pochodzi z New Jersey. I jak wybierzemy się na tę konną przejażdżkę, będzie potrzebowała butów. Dlatego pytam, jaki numer nosisz.
Jej zmieszanie świadczyło, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów myśli o czymś innym niż o ranczu. Albo o ujeżdżaniu byków.
Albo o tym, co ma jeszcze do zrobienia w obejściu przed zachodem słońca. Ale ten efekt był tylko chwilowy, potem znowu wpatrzyła się w talerz. Była na swój sposób tak samo jak on uparta.

– Siedem i pół. Może wziąć te stare, co stoją w szafie. Jak będą pasowały.
– Dzięki – mruknął. – Narąbię drewna przed jej przyjazdem, chyba że jest coś pilniejszego do zrobienia.
– Trzeba nawodnić drugie pastwisko, trawa tam wysycha.
– Puściłem rano irygację.
Przesunęła na talerzu kupkę jajeczniczy.

– W ten weekend będziesz mi musiał pomóc w obsłudze klientów.
Sposób, w jaki to powiedziała, uświadomił mu, że zamierza zacząć znowu swoje, że tylko dlatego nie odeszła jeszcze od stołu.

– Przecież wiesz, że w tę sobotę jadę do Knoxville.
– Tak, na zawody – burknęła.
– To ostatnie w tym roku.
– To po co na nie jedziesz? Przecież nie ciuć punktów. – W jej głosie coraz wyraźniej pobrzmiwały nutki rozgoryczenia.

– Nie o punkty chodzi. Po prostu nie chcę zaczynać następnego sezonu nieprzygotowany.
– Rozmowa znowu się urwała, słysząc było tylko pobrzękiwanie widelców o talerze. – Wczoraj byłem najlepszy – mruknął.
– Gratulacje.
– Pieniądze z wygranej przeleję w poniedziałek na twoje konto.
– Zatrzymaj je sobie – warknęła. – Ja ich nie chcę.
– A ranczo?
W jej oczach, kiedy na niego spojrzała, zamiast rozdrażnienia, które spodziewał się tam

zobaczyć, była rezygnacja, może nawet zasmucenie podkreślane malującym się na twarzy znużeniem. Wyglądała na starszą, niż była.

– Nie o ranczo się martwię – powiedziała. – Martwię się o syna.

Po śniadaniu Luke przez półtorej godziny rąbał drewno, uzupełniając stos piętrzący się pod boczną ścianą domu matki, która od śniadania znowu go unikała. Było mu z tego powodu przykro, ale bezmyślne machanie siekierą poprawiało samopoczucie, rozluźniało mięśnie, a przy okazji mógł na spokojnie pomyśleć o Sophii.

Ta dziewczyna miała w sobie coś, czego u innych, jak sięgał pamięcią, nie zauważał. No, może z wyjątkiem Angie, ale to też nie było to samo. Angie lubił, nie przypominał sobie jednak, żeby aż tak zburzyła mu spokój ducha. Prawdę mówiąc, to do wczorajszego wieczoru nawet przez myśl mu nie przeszło, że coś takiego może go spotkać. Po śmierci taty był zupełnie rozbity. Kiedy pierwszy szok minął na tyle, że przestał na okrągło wspominać ojca, postanowił zostać jak najlepszym ujeżdżaczem byków. Stało się to jego obsesją i po każdym zawodach coraz wyżej podnosił sobie poprzeczkę, dążąc do osiągnięcia formy, która pozwoli mu wreszcie wygrywać.

To zaangażowanie nie pozostawiało wiele miejsca na żadne poważniejsze związki, co najwyżej na przelotne, nic nieznaczące przygody. Ale przez ostatnie półtora roku to się zmieniło. Skończyły się rozjazdy, treningi, i chociaż na ranczu zawsze było coś do zrobienia, on był do tego przyzwyczajony. Żeby prowadzenie rancza przynosiło profity, pracę na nim trzeba sobie dobrze zorganizować, a oni z matką byli w tym dobrzy. Dawało mu to więcej czasu na rozmyślanie, więcej czasu na snucie planów na przyszłość, i po raz pierwszy w życiu pod koniec dnia stwierdzał, że brakuje mu kogoś bliskiego, z kim mógłby pogawędzić przy kolacji, bo z matką takie rozmowy rzadko się kleiły.

Nie zaprzętało mu to jakoś specjalnie myśli, ale podświadomie pragnął znaleźć kogoś takiego. Sęk w tym, że nie wiedział, jak się do tego zabrać... a teraz, po powrocie na arenę, nie miał do tego głowy.

No i proszę – kiedy najmniej się tego spodziewał, poznał Sophię. Myślał o niej przez cały poranek, wyobrażał sobie, jak gładzi dłonią jej włosy, ale zdawał sobie sprawę, że ta znajomość nie ma większych szans na przetrwanie. Nie pasowali do siebie. Sophia była studentką ostatniego roku historii sztuki i po odebraniu dyplomu wyjedzie stąd, by podjąć pracę w muzeum w jakimś odległym mieście. Taka była prawda, on jednak raz po raz przywoływał z pamięci kontur jej sylwetki, kiedy siedziała pod rozgwieżdżonym niebem na pace jego pick-upa, i miał cichą nadzieję, że może jakimś cudem coś z tego wyjdzie.

Rozsądek podpowiadał, że przecież ledwie się znają i że te nadzieje są płonne, jednak na myśl, że ona zaraz tu będzie, ścisnęło go w dołku.

Skończył rąbanie, wysprzątał oboje i pojechał quadem na pastwisko odciąć irygację. W drodze powrotnej zahaczył o sklep i kupił to i owo do zapełnienia lodówki. Nie wiedział, czy ona wejdzie do domku, ale wołał być na to przygotowany.

Myślał o niej nawet pod prysznicem. Nadstawiając twarz pod strugi wody, zastanawiał się, co go, u licha, naszło.

Kwadrans po pierwszej Luke, siedząc w bujanym fotelu na werandzie swojego domku, usłyszał samochód sunący wolno długą gruntową ni to dróżką, ni podjazdem. Kurz wzbijany jego kołami unosił się po wierzchołki drzew. U nóg Luke'a, obok kowbojskich butów, które znalazł w szafie matki, leżał Pies. Pies usiadł, zastrzygł uszami i spojrzał pytająco na pana.

– Przyprowadź – mruknął Luke i Pies oddalił się truchcikiem. Luke wstał z fotela i z kowbojskimi butami w rękę zszedł z werandy na trawę. Zbliżając się do głównego podjazdu, zamachał kapeluszem nad rosnącymi wzdłuż niego krzakami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdyby pojechała prosto, podjazd zaprowadziłby ją pod główny dom; żeby trafić do jego domku, musiała skrócić wcześniej w przerwę w tym naturalnym żywopłocie, od której odbiegała w bok zarośnięta trawą dróżka. Trudno było ją zauważyć, jeśli się nie wiedziało, że tam jest. Przydałoby się wysypać ją żwirem, ale zawsze było coś ważniejszego do zrobienia i odkładał to na potem, jednak teraz, kiedy nadjeżdżała Sophia i serce biło mu żywiej niż zwykle, żałował, że nie znalazł na to czasu.

Na szczęście Pies wiedział, co ma robić. Wybiegł na środek głównego podjazdu i stał tam jak wartownik, dopóki Sophia nie zatrzymała samochodu, a wtedy szczerknął autorytatywnie i wrócił truchtem do nogi Luke'a. Luke znowu zamachał kapeluszem i Sophia dopiero teraz go zauważyła. Wrzuciła jedynkę i skreśliła. Chwilę później zatrzymywała się już pod wybujałą magnolią.

Wysiadła. Miała na sobie wytarte, obcisłe dzinsy z dziurami na kolanach i wyglądała świeżo jak letni dzień. Z tymi kocimi oczami i słowiańskimi rysami twarzy była w blasku słońca jeszcze bardziej zjawiskowa niż poprzedniego wieczoru. Zaniemówił z wrażenia. Już wiedział, że taką właśnie na zawsze ją zapamięta. Była zbyt piękna, zbyt doskonała i egzotyczna jak na tę wiejską scenerię, ale kiedy jej usta rozciągnęły się w szerokim, promiennym uśmiechu, to jakby słońce przebiło się przez mgłę. Błogo zrobiło mu się na sercu.

– Przepraszam za spóźnienie! – zawołała, zatraskując drzwi. Próżno było doszukiwać się w jej głosie tremy, jaką odczuwał on.

– Nie ma sprawy – powiedział, nakładając z powrotem kapelusz i wsuwając ręce w kieszenie.

– Źle skreśliłam i musiałam zawracać. Ale przynajmniej obejrzałam sobie King. Przeształ z nogi na nogę.

– No i co?

– Miałaś rację. Miasteczko takie sobie, ale ludzie bardzo uczynni. Jeden staruszek siedzący na ławce wyjaśnił mi, jak tu dojechać – powiedziała. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – bąknął i dopiero teraz otwarcie podniósł na nią wzrok.

Jeśli nawet zauważyła, jaki jest stremowany, to nie dała tego po sobie poznać.

– Wyrobiłaś się już ze wszystkim, co miałaś rano do zrobienia?

– Bydło przejrzone, drewno porąbane, zakupy w sklepie zrobione.

– No, no – mruknęła z uznaniem. Ocinając dłonią oczy i obracając się powoli w kółko, dokonała przeglądu okolicy. Tymczasem Pies podszedł do niej i przedstawił się, ocierając się o nogi. – To Pies, jak się domyślam?

– Innych tu nie ma.

Przykucnęła i podrapała Psa za uszami. Wniebowzięty zamerdał ogonem.

– Straszne imię ci nadali, Psie – wyszeptwała współczująco. Pies zamerdał żywiej ogonem.

– Pięknie tutaj – zwróciła się do Luke'a. – To wszystko twoje?

– Mamy. Ale to, co tu widzisz, to tylko kawałek rancza.

– Duże jest?

– Ma ponad trzysta hektarów – odparł.

Ściągnęła brwi.

– Nic mi to nie mówi. Jestem z New Jersey. Dziewczyna z miasta, pamiętasz?

Podobał mu się ton, jakim to powiedziała.

– To może inaczej – zaproponował. – Zaczyna się od drogi, z której tu skręciłaś, i ciągnie dwa i pół kilometra w tamtym kierunku, aż do rzeki. Ma z grubsza kształt wachlarza, jest wąskie przy drodze, a potem się stopniowo poszerza i nad rzeką jest już szerokie na ponad trzy kilometry.

– Tak już lepiej – powiedziała.

– Naprawdę?

– No, nie do końca. Ile miejskich kwartałów by się na tej powierzchni zmieściło?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Roześmiała się na widok jego zakłopotanej miny.

– Żartowałam – powiedziała, wstając z kucek. – Ale jestem pod wrażeniem. Jeszcze nigdy nie byłam na ranchu. – Wskazała na domek za jego plecami. – Tutaj mieszkasz?

Obejrzał się.

– Zbudowałem go dwa lata temu.

– To znaczy sam, własnymi rękami?

– Nie licząc instalacji wodno-kanalizacyjnej i elektrycznej. Nie mam uprawnień na takie rzeczy. Ale plan i stan surowy to moja robota.

– Podziwu godne. Gdyby zepsuł mi się samochód, to pewnie też potrafiłbyś go naprawić.

Zerknął na jej toyotę.

– Chyba tak.

– Jesteś... jak widzę... jesteś jak ci dawni samowystarczalni mężczyźni. Prawdziwa złota rączka. Takich jak ty można teraz na palcach policzyć.

Nie był pewien, czy to pochwała, czy kpina, ale ujmował go sposób, w jaki stara się zbić go z tropu. Wydawała mu się, nie wiedzieć czemu, dojrzała od dziewczyn, jakie do tej pory spotykał.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedział.

Przez chwilę sprawiała takie wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, co ma na to odpowiedzieć.

– Ja też się cieszę, że tu jestem. Dzięki za zaproszenie.

Odchrząknął.

– Pomyślałem sobie, że może byśmy się wybrali na przejażdżkę.

– Konno?

Nie odpowiedział wprost.

– Nad rzeką jest jedno takie ładne miejsce.

– Romantyczne?

Na to pytanie też nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć.

– Mnie się raczej podoba – wybąkał łamiącym się głosem.

– To mi wystarczy – odrzekła ze śmiechem. Pokazała na buty, które trzymał w ręku. – Mam je włożyć?

– To mojej mamy. Nie wiem, czy ci przypasują, ale łatwiej w nich utrzymać nogi w strzemionach. Włożyłem do nich skarpety. Są moje i chyba za duże dla ciebie, ale czyste.

– Wierzę na słowo – powiedziała. – Skoro umiesz naprawiać samochody i stawiać domy, to obsługiwać pralkę i suszarkę też na pewno potrafisz. Mogę przymierzyć?

Wręczył jej buty. Ruszyła z nimi w stronę werandy, a on patrzył za nią zachwycony

podkreślaną obcisłymi dżinsami figurą. Pies, merdając wciąż ogonem, dreptał z wywieszonym jęzorem krok w krok za swoją nową sympatią. Wyglądało na to, że przypadła zwierzakowi do serca. Ledwie usiadła na schodkach, zaczął trącać nosem jej dłoń, domagając się pieśczoć. Dobry znak – Pies mało kiedy zachowywał się tak przyjaźnie w stosunku do obcych. Sophia zdjęła czólenka. Płynnymi ruchami wciągnęła skarpety, a potem włożyła kowbojskie buty. Wstała i zrobiła na próbę kilka niepewnych kroków.

– Nigdy nie miałam na nogach kowbojskich butów – przyznała, patrząc na nie z góry. – No i jak mi w nich?

– Jak w butach.

Roześmiała się i ze wzrokiem spuszczonego na buty zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po werandzie.

– Chyba tak – powiedziała, zatrzymując się i spoglądając na niego. – A wyglądam jak kowbojka?

– Kapelusza ci tylko brakuje.

– Daj mi swój do przymierzenia – poprosiła, wyciągając rękę.

Luke ściągnął kapelusz z głowy, podszedł do werandy i podał go dziewczynie. Już pewniej niż teraz czuł się, dosiadając wczoraj byków. Nałożyła kapelusz i zsunęła go na tył głowy.

– No i jak teraz?

Idealnie, pomyślał, nie widziałem jeszcze dziewczyny, która lepiej by w takim przebraniu wyglądała. Uśmiechnął się. Zaszło mu w ustach. Oj, niedobrze z tobą, przemknęło mu przez myśl.

– Teraz wyglądasz jak urodzona kowbojka.

Rozpromieniła się zadowolona z tej opinii.

– To ja rekwiruję na dziś ten kapelusz. Chyba że jesteś do niego szczególnie przywiązany?

– Nie, mam takich na pęczki – powiedział tak cicho, że sam siebie ledwie słyszał.

Przestąpił znowu z nogi na nogę, starając się wziąć w garść. – I jak się wczoraj skończyło? – spytał. – Martwiłem się o ciebie.

– Bez awantur – odparła, schodząc z werandy. – Marcię znalazłam tam, gdzie ją zostawiłam.

– Ten Brian już cię nie nagabywał?

– Nie. Chyba się bał, że gdzieś tam się jeszcze kręcisz. Zresztą nie zabawiłyśmy już tam długo. Najwyżej jakieś pół godziny. Zmęczona byłam. – Stała już obok niego. – Podobają mi się te buty i kapelusz. Dobrze się w nich czuję. Chyba powinnam podziękować twojej mamie. Jest tutaj?

– Nie, jest w dużym domu. Ale później jej przekażę.

– Jak to? Nie chcesz mnie przedstawić swojej mamie?

– Chcieć to bym chciała, ale ona boczy się na mnie dzisiaj od samego rana.

– Z jakiego powodu?

– Długo by opowiadać.

Sophia przekrzywiła głowę.

– To samo powiedziałaś wczoraj, kiedy cię spytałam, dlaczego tak się zaparłeś, żeby ujeżdżać byki – zauważyła. – Też wtedy powiedziałaś: „Długo by opowiadać”, a tak naprawdę chciałaś powiedzieć: „Nie chcę o tym rozmawiać”. Mam rację?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Roześmiała się i zarumieniła.

– I co teraz?

– To może chodźmy do tej stodoły – mruknął. – Powiedziałaś, że chcesz ją zobaczyć.

Uniosła brew.

– Przecież wiesz, że nie przyjechałam tu oglądać stodół.

Sophia

Ups, chyba się trochę zagalopowałam, pomyślała zaraz potem.

To przez Marcję. Gdyby nie zasypywała jej wczoraj wieczorem i dzisiaj rano pytaniami o to, co się wczoraj wydarzyło i dlaczego jedzie dzisiaj na jakieś ranczo; gdyby nie oprotestowała dwóch pierwszych wybranych przez nią kreacji, przez cały czas powtarzając: „Nie chce mi się wierzyć, że będziesz jeździła konno z tym przystojniaczkiem!”, to nie byłaby teraz taka stremowana. Ciacho. Przystojniak. Przystojniaczek. Marcia uparcie wstawiała te określenia w miejsce jego imienia. Na przykład: „Czyli Pan Ciacho wkroczył zdecydowanie i wybawił cię z opresji, tak?” albo: „O czym rozmawiałaś z tym przystojniaczkiem?” albo po prostu: „Ależ z niego przystojniak!”. Nic dziwnego, że po zjechaniu z autostrady Sophia przeoczyła tę dróżkę i pojechała dalej; kiedy wreszcie w nią skręcała, kropelki potu ściekały jej po klatce piersiowej. Nie panikowała jeszcze, ale niewiele do tego brakowało, a w takim stanie paplała zawsze jak najęta, wplątując teksty zasłyszane od takich jak Marcia albo Mary-Kate. Ale czasami górę brało jej własne ja i wtedy wyskakiwała z czymś, z czym lepiej byłoby nie wyskakiwać. Tak jak teraz. I jak wczoraj wieczorem, kiedy powiedziała, że chętnie pojeździłaby na koniu.

Luke, gdy go zobaczyła, siedząc jeszcze w samochodzie, też się do tego jej stanu ducha przyczynił – flanelowa koszula, sprane dżinsy, kosmyki kasztanowych włosów wymykające się spod kapelusza. I te ocieniane długimi rzęsami, rozbiegane niebieskie oczy patrzące wszędzie, byle nie na nią. Zastanawiająca była ta jego nieśmiałość, bo ją po prostu mrowiło w dołku na sam jego widok. Podobał jej się... zdecydowanie podobał. Co więcej, nie wiedzieć czemu, wzbudzał w niej zaufanie. Odnosiła wrażenie, że jego świat jest poukładany w sensie dobra i zła, że nic jej z jego strony nie zagraża. Nie udawał kogoś, kim nie jest, a z jego twarzy można było czytać jak z otwartej książki. Kiedy go zaskakiwała, od razu było to po nim widać; nie obruszał się, gdy z niego żartowała. I kiedy napomknął w końcu o stodołę... no, samo jej się jakoś powiedziało.

Wydało jej się, że się zarumienił, ale on spuścił szybko głowę i wszedł do domku po drugi kapelusz. Wrócił po chwili i ramię w ramię ruszyli spacerowym krokiem skrajem lasu rosnącego przy domku Luke’a w kierunku głównego podjazdu. Pies wysforował się, wrócił i pognął znowu w inną stronę – kłęb żywej energii. Trema stopniowo jej mijała. Wyszli na podjazd i na jego końcu zobaczyła główny dom z dużą, krytą werandą i czarnymi okiennicami, nad którym górowały stare, wysokie drzewa. Kawalek dalej wznosiła się wiekowa stodoła, a za nią rozciągał się pofałdowany bezmiar pastwisk. Brzegi małego jeziora w oddali upstrzone były kropkami skubiących trawę krów. Krajobraz obramowywało jak staroświecką widokówkę mającące na horyzoncie pasmo gór o błękitnych wierzchołkach. Po drugiej stronie podjazdu ciągnęły się równe rzędy choinek. Wietrzyk wygrywał na igiełkach melodyjne tony.

– Nie chce mi się wierzyć, że się tu wychowywałaś. – Odetchnęła pełną piersią. Wskazała na dom. – To tam mieszka twoja mama?

– I tam mnie urodziła.

– Co? Nie w szpitalu?

Roześmiał się. Nie był już taki spięty jak z początku.

– Jedna pani z sąsiedniego rancza jest akuszerką. Mama się z nią przyjaźni i dzięki temu taniej wyszło. Ona już taka jest... moja mama, znaczy. Każdego centa dwa razy obejrzy, zanim go wyda.

– Nawet na poród?

– Dla mamy poród nie był chyba niczym nadzwyczajnym. Na ranczu co rusz coś

przychodzi na świat. Zresztą sama urodziła się w domu i kiedy przyszło co do czego, pomyślała sobie pewnie: wielkie mi rzeczy!

Pod podeszwami butów zachrząścił żwir.

– Od dawna gospodarujecie na tym ranczu? – spytała.

– O, szmat czasu. Pradziadek kupił je w latach dwudziestych, a potem, kiedy przyszedł wielki kryzys, dokupił jeszcze parę działek. Miał głowę do interesów. Po jego śmierci przeszło na dziadka, a potem na moją mamę. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata.

Sophia, rozglądając się, nie mogła się nadziwić, że tak tu zacisznie, chociaż w pobliżu przebiega autostrada. Minęli główny dom. Za nim stały dwa małe podniszczone drewniane szalasy otoczone płotem. Wiatr zmienił kierunek i poczuła zapach igliwia i dębu. Wszystko na tym ranczu było odświeżającą odmianą w porównaniu z tym, co miała na co dzień w kampusie. Z Lukiem włącznie, pomyślała, ale uzasadnianie tego spostrzeżenia wolała sobie darować.

– Co to za chatki? – spytała, pokazując palcem.

– Ta pierwsza z brzegu to kurnik, trzymamy tam kury. Druga to chlewik dla świń.

Niedużo ich mamy... trzy, góra cztery naraz. Jak już ci wczoraj mówiłem, specjalizujemy się w hodowli bydła.

– Dużo go macie?

– Ponad dwieście parok – odparł. – I do tego dziewięć byków.

Ściągnęła brwi.

– Jakich parok?

– Parka to dorosła krowa ze swoim cielęciem.

– To dlaczego od razu nie mówisz, że wasze stado liczy czterysta sztuk?

– Tak się je przyjęło rachować. Dzięki temu wiadomo, ile sztuk można w danym roku przeznaczyć na sprzedaż. Cieląt nie sprzedajemy. Inni sprzedają... na cielęcinę... ale my jesteśmy znani z ekologicznej wołowiny z krów pasionych naturalną trawą.

Szli wzdłuż płotu w kierunku starego, rozłożystego dębu, jak pająk rozpościerającego na wszystkie strony swe konary. Kiedy pod nimi przechodzili, przywitał ich chór ostrzegawczych ptasich krzyków. Sophia spojrzała na stodołę, do której się zbliżali. Luke nie przesadzał. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się zawalić – wykoślawiona, przechylona na bok, trzymająca się jeszcze jako tako na gnijących deskach porośniętych bluszczem ścian, całe połączenie dachu łyse, ogolone z gontów.

Luke wskazał ruchem głowy tę ruinę.

– No i co ty na to?

– Nie przyszło ci nigdy na myśl, żeby w akcie miłosierdzia zrównać ją z ziemią?

– Jest trwalsza, niż wygląda. A poza tym to zabytek. Utrzymujemy ją w takim stanie dla lepszego efektu folklorystycznego.

– No nie wiem – mruknęła sceptycznie. – Prędzej uwierzyłabym, że nie masz czasu jej wyremontować.

– Co ty opowiadasz? Żebyś widziała, jak wyglądała przed remontem.

Uśmiechnęła się. On chyba próbował obrócić to w żart.

– Trzymacie w niej konie?

– No co ty. Żeby je przywaliło, jak runie?

Tym razem roześmiała się w głos.

– To co w niej teraz jest?

– Graciarnia. Składowisko rozmaitego złomu. Dwa zdechłe pick-upy, traktor z lat pięćdziesiątych, wysłużone pompy, zepsute pompy ciepła, zdekompletowane silniki. Większość z tego do niczego się już nie nadaje, ale, jak już powiedziałem, mama ma bzika na punkcie

oszczędzania. Jak coś na ranczu nawali, to znajduję tam czasem jakąś część potrzebną do naprawy. Jedyne sprawny eksponat w tym muzeum to mechaniczny byk, na którym trenuję.

– A często udaje ci się znaleźć taką potrzebną część?

– Rzadko kiedy. Ale nie wolno mi zamówić nowej, dopóki się nie upewnię, czy nie mamy tam takiej. To jedna z zasad mojej mamy.

Za stodołą stała mała stajnia. Z przylegającego do niej niewielkiego korrala obserwowały ich trzy dobrze utrzymane konie. Luke otworzył wrota stajni i wyjął z plecaka trzy jabłka.

– Koniu! Do mnie! – zawołał i w jego kierunku ruszył inochodem dorodny kasztan. Za nim podążyły dwa konie ciemniejszej maści. – Koń jest mój – powiedział Luke. – Tamte dwa to Przyjemniak i Demon.

Sophia, ściągając brwi, zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

– To ja chyba pojedę na Przyjemniaku, co? – spytała niepewnie.

– Nie radziłbym – ostrzegł ją. – On gryzie i będzie próbował cię zrzucić. Pozwala się dosiąść tylko mojej mamie. Ją jedną uznaje. Za to Demon to aniołek.

Pokręciła głową.

– Co wy macie z tym nadawaniem imion zwierzętom?

Ani się obejrzała, a Koń był już przy niej. Cofnęła się odruchowo, chociaż Koń nie zwracał na nią uwagi, koncentrując się na jabłku, które Luke trzymał w dłoni.

– Mogę go pogłaskać?

– Pewnie – powiedział, częstując Konia jabłkiem. – Najlepiej po chrapach. To najbardziej lubi. I podrap go za uszami.

Chrap wołała nie dotykać, odważyła się jednak delikatnie podrapać chrupiącego jabłko Konia za uszami. Zastrzygł nimi zadowolony.

Luke wprowadził go do boksu i zaczął siodłać: najpierw uzda, potem derka pod siodło i na koniec siodło – każdy ruch wypraktykowany, automatyczny. Kiedy się pochylił, dżinsy napięły mu się na siedzeniu i Sophia spiekła raka. Tak seksownego faceta jeszcze nie widziała. Kiedy skończył i zabrał się do siodłania Demona, odwróciła się szybko i uniosła głowę, udając, że podziwia krokiew.

– No, gotowe – rzucił, regulując wysokość strzemion. – Możesz wsiadać.

– Chwilkę, niech się w sobie zbiorę. Naprawdę taki aniołek z tego Demona?

– Potulny jak dziecko – zapewnił ją Luke. – Chwyć za łąk... o tutaj... wsuń lewą stopę w strzemie, podciągnij się i przerzuć prawą nogę nad zadem.

Postępując zgodnie z tymi instrukcjami, znalazła się w siodle. Kiedy z walącym sercem spróbowała się w nim poprawić, wyczuła między udami pulsujący splot końskich mięśni szykujących się do cwau.

– Uf... wyżej tutaj, niż myślałam.

– Dasz radę – orzekł, podając jej cugle.

Zanim zdążyła zaprotestować, siedział już na Koniu.

– Demona łatwo się prowadzi – powiedział. – Wystarczy dotknąć cuglami tej strony jego szyi, w którą chcesz skrócić... o tak...

1 on w nią skręci. Żeby ruszył, trąć jego boki piętami; żeby się zatrzymał, ściągnij cugle.

– Zademonstrował to kilka razy, żeby zapadło jej w pamięć.

– Chyba pamiętasz, że to mój pierwszy raz? – spytała.

– Pamiętam.

– No to wiedz jeszcze, że ja nie mam skłonności do żadnych kaskaderskich wyczynów.

Tego by tylko brakowało, żebym z niego zleciała. Koleżanka ze stowarzyszenia spadła kiedyś z konia i złamała sobie rękę, a ja nie chcę skończyć z ręką w gipsie, bo mi potrzebna do pisania

prac zaliczeniowych.

Słuchał cierpliwie jej wywodu, drapiąc się po policzku.

– Skończyłaś?

– Ustalam tylko podstawowe zasady.

Westchnął i rozbawiony pokręcił głową.

– Och, te miastowe dziewczyny – mruknął, pstryknął palcami i Koń ruszył. Chwilę później Luke schylił się, odsunął zatrask furty, pchnął ją i wyjechał z korrala. – No, co z tobą?! – zawołał. – Miałaś się mnie trzymać.

Serce wciąż jej waliło, w ustach wyszło na wiór. Wzięła głęboki oddech. Raz kozie śmierć. Na rowerze jeździć potrafi, a to prawie to samo, nie? Jazda na koniu też dla ludzi. Nawet małe dzieci na nich jeżdżą, czyli to żadna filozofia. A nawet gdyby, to co? Nie takim wyzwaniom potrafiła już sprostać. Za pierwszym podejściem zaliczyła u profesora Aldaira literaturę angielską, a to mało komu się udawało. Harowała w soboty po czternaście godzin w delikatesach rodziców, kiedy jej koleżanki szły w miasto. Albo zerwanie z niewiernym Brianem – to dopiero było trudne. Wzięła się w garść, trzepnęła cuglami i trąciła piętami boki Demona.

Żadnej reakcji.

Jeszcze raz trąciła go piętami.

Zastrzygł uszami, ale nadal nie ruszał z miejsca.

Tak, to jednak nie takie proste, pomyślała. Demon nie miał najwyraźniej ochoty na żadne wycieczki.

Wrócił Luke na Koniu.

– No, jedziesz? – spytał, zsuwając kapelusz na tył głowy.

– On nie chce ruszyć – wyjaśniła.

– Trąć go jeszcze raz piętami i powiedz, czego od niego oczekujesz. Musi poczuć, że pewnie się na nim czujesz.

Mała nadzieja, że to pomoże, pomyślała. Wcale nie czuję się na nim pewnie. Trąciła konia jeszcze raz piętami, szarpnęła cugle i nadal nic.

Luke wymierzył w Demona palec jak nauczyciel karcący niesforne go ucznia.

– Przestań się wygłupiać, Demon – warknął. – Straszysz ją. Chodź tu.

O dziwo, to wystarczyło, żeby koń posłuchał bez żadnej interwencji z jej strony. Nie była na to przygotowana. Odrzuciło ją do tyłu i żeby utrzymać równowagę w siodle, pochyliła się instynktownie ku przodowi.

Demon znowu zastrzygł uszami, tak jakby uznał, że zrobiła to dla żartu.

Ścisnęła cugle oburącz, gotowa nim kierować, ale on nie potrzebował jej wskazówek.

Wyszedł przez otwartą furkę, parsknął, mijając Konia, i zatrzymał się, i czekał, aż Luke ją zamknie.

Ruszyli stępą. Nie musiała nic robić; Demon sam wiedział, że ma się trzymać Luke'a. Przecięli podjazd i znaleźli się na ścieżce biegnącej skrajem plantacji choinek.

Zapach igliwia przypominał jej o świętach Bożego Narodzenia. W miarę wczuwania się w rytm końskiego chodu coraz bardziej się odprężyła i oddychała coraz swobodniej.

Skończyła się plantacja, wjechali w las ciągnący się wąskim pasmem szerokości mniej więcej boiska futbolowego. Konie szły jak na autopilocie zarośniętym trawą szlakiem wcinającym się coraz głębiej w pagórkowatą głąszę. Wkrótce drzewa przesłoniły ranczo, które zostawiali za sobą.

Luke nie odzywał się; las wokół nich gęstniał. Pies biegł przodem z nosem przy ziemi, to znikając między drzewami po jednej albo po drugiej stronie szlaku, to znów się pojawiając. Schyliła głowę, przejeżdżając pod obwisłą gałęzią, kątem oka zauważyła, że Luke robi to samo.

Podłoże stawało się coraz bardziej kamieniste, przy pniach omszałych dębów pleniły się kolonie krzaków jeżyn i kolczastych zarośli. Po konarach orzechów śmigały, popiskując ostrzegawczo, wiewiórki, przesączaające się przez listowie smugi słonecznego światła przydawały otoczeniu jakiegoś odrealnionego kolorytu.

– Pięknie tutaj – odezwała się i własny głos dziwnie obco zabrzmiał jej w uszach.

Luke odwrócił się do niej w siodle.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

– Ten las też jest wasz?

– Częściowo. Dzielimy go do spółki z sąsiednim ranczem. Służy za wiatrochron i jednocześnie wytycza granicę.

– Często tu zaglądasz?

– Kiedys często. Ale ostatnio rzadziej. Tylko kiedy w ogrodzeniu powstanie jakaś wyrwa.

Czasami bydlę się tutaj zapuszcza.

– A ile swoich dziewczyn już tu zwabiłeś?

Pokręcił głową.

– Żadnej.

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Sprawa miała wrażenie tak samo zdziwionego jak ona. Pies wrócił i upewniwszy się, że wszystko u nich w porządku, wysforował się znowu do przodu.

– Opowiedz mi o tej swojej byłej dziewczynie, o tej Angie. Tak miała na imię, prawda?

Luke, zaskoczony tą prośbą, poprawił się w siodle.

– Co tu do opowiadania... Już ci mówiłem, że to była znajomość ze szkoły średniej.

– Dlaczego ze sobą zerwaliście?

Zastanowił się.

– Tydzień po ukończeniu szkoły średniej wyjechałem w trasę – powiedział. – Na latanie samolotami nie było mnie wtedy stać i podróżowałem na zawody samochodem, a to zabierało strasznie dużo czasu. Wyjeżdżałem z domu w czwartek, a wracałem w poniedziałek albo we wtorek. Zdarzały się tygodnie, kiedy w ogóle nie wracałem, i wcale się nie dziwię, że jej to nie pasowało. Zwłaszcza że nie zanosilo się, że to się szybko zmieni.

Pokiwala głową.

– Jak to się robi? – spytała. – To znaczy... jak się zostaje ujeżdżaczem byków? Jakie są wymagania?

– Niewielkie – odparł. – Trzeba wykupić w ZUB-ie kartę...

– W jakim ZUB-ie? – wpadła mu w słowo.

– To związek Zawodowych Ujeżdżaczy Byków – wyjaśnił. – Oni organizują zawody.

Potem przyjeżdżasz na miejsce, zapisujesz się, płacisz wpisowe, losujesz byka i jesteś w stawce.

– Czyli każdy może wziąć udział w tych zawodach? Gdybym, na przykład, miała brata i on by jutro postanowił, że chce brać w nich udział, toby go dopuścili?

– Bez problemu.

– Coś podobnego. A jak ktoś nie ma w tym żadnego doświadczenia?

– To się pewnie potłucze.

– Tak myślisz?

Uśmiechnął się i podrapał za uchem.

– Zawsze tak było. W rodeo większość pieniędzy na nagrody pochodzi od samych zawodników. Więc tym, którzy są w tym dobrzy, zależy, żeby w zawodach uczestniczyło jak najwięcej takich, którzy są od nich gorsi. Mają wtedy większe szanse na zainkasowanie jakiegóś

poważniejszej sumki w przypadku zajęcia premiowanego miejsca.

– Trzeba nie mieć serca.

– Takie już jest życie. Człowiek może sobie ćwiczyć do woli, ale żeby się przekonać, czy naprawdę się do tego nadaje, musi w końcu zaliczyć ten swój pierwszy raz na arenie.

Ciekawa była, ilu wczorajszych zawodników było takimi „pierwszorazowcami”.

– No dobrze, a przypuścimy, że ktoś zgłasza się po raz pierwszy do zawodów i wygrywa.

Co wtedy?

Luke wzruszył ramionami.

– Ujeżdżanie byków to niezupełnie to samo, co tradycyjne rodeo. Ujeżdzacze byków mają teraz własną trasę, a właściwie to nawet dwie. Jedną dużą, którą pokazują w telewizji, i drugą małą, taki rodzaj drugiej ligi. Jak wyjeździsz dużo punktów w drugiej lidze, awansujesz do pierwszej. A w tym sporcie to tam się dopiero zarabia.

– A wczoraj?

– To były zawody małej ligi.

– A jeździłeś kiedyś w dużej?

Luke pochylił się i poklepał Konia po szyi.

– Przez pięć lat.

– I dobry byłeś?

– Nie najgorszy.

Coś jej to przypominało. Wczoraj też, chociaż wygrał, powiedział coś podobnego.

– Czemu odnoszę wrażenie, że jesteś lepszy, niż chcesz przyznać?

– Skąd mam wiedzieć?

Spojrzała na niego.

– Nie kryguj się. Przecież wiesz, że zawsze mogę to wygooglować.

Wyprostował się w siodle.

– Cztery lata z rzędu startowałem w mistrzostwach świata ZUB-u. Żeby się do nich zakwalifikować, trzeba być w pierwszej trzydziestcepiątce rankingu.

– Innymi słowy, należysz do najlepszych.

– Należałem. Teraz już nie. Właściwie to zaczynam od początku.

Wyjechali na małą polankę i zatrzymali konie na skraju niewysokiej skarpy. Dołem przepływała rzeczka. Nie była szeroka, ale Sophia odnosiła wrażenie, że chociaż leniwie toczy swe wody, to jest głębsza, niżby się mogło wydawać. Fruwające tuż nad nią ważki muskały raz po raz jej gładź, a wtedy po powierzchni rozchodziły się na wszystkie strony kręgi mikroskopijnych zmarszczek. Pies położył się i dyszał zmachany, wywiesiwszy język na bok kufy. Za nim, w cieniu rozłożystego dębu, zobaczyła pozostałości dawnego obozowiska z przegniłym stołem piknikowym i dołkiem na ognisko.

– Co to za miejsce? – spytała, poprawiając kapelusz na głowie.

– Przyjeżdżaliśmy tutaj z tatą na ryby. Okonie dobrze tu biorą, bo na dnie leży powalone drzewo. Łowiliśmy przez cały dzień. To był taki nasz zakątek. Tylko my dwaj. Mama nie znosi zapachu ryb, a więc oskrobywaliśmy je i piekliśmy tu, na miejscu, i do domu wracaliśmy z już gotowymi. Czasami tato zabierał mnie tutaj wieczorem po treningu i patrzyliśmy w gwiazdy. Nie miał ukończonej szkoły średniej, ale znał nazwy wszystkich gwiazdozbiorów. Na tej polance spędziłem najlepsze chwile swojego życia.

Pogłaskała grzywę Demona.

– Brakuje ci go.

– Cały czas go wspominam – przyznał. – A kiedy zaglądam tutaj, staje mi zwyczajnie przed oczami. Taki, jakiego go zapamiętałem.

Wychwyciła w jego tonie nutkę tęsknoty; zmarkotniał.

– Jak umarł? – spytała cicho.

– Wracaliśmy z zawodów w Greenville. To w Karolinie Południowej. Było już późno, on był zmęczony i nagle przed samą maskę wyskoczył nam jelen. Tato nie zdążył nawet wcisnąć hamulca. Jeleń wpadł do wozu przez przednią szybę. Pick-up przeokoziółkował trzy razy, ale tacie już sam impet zderzenia przetrzącił kark.

– Byłeś z nim wtedy?

– Wyciągnąłem go z wraku – powiedział. – Pamiętam, jak go tuliłem i aż do przyjazdu karetki próbowałem rozpaczliwie cucić.

Pobladła.

– Straszne.

– Żebyś wiedziała – przyznał. – Gawędzimy w najlepsze o moich postępach w ujeżdżaniu, a sekundę potem jego już nie ma. W głowie mi się to nie mieściło. Dalej się nie mieści. Bo on nie tylko był moim tatą. Był mi też trenerem, doradcą i przyjacielem. I... – Zawiesił głos, zamyślił się, a potem pokręcił głową. – I nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię.

– Bardzo dobrze, że mówisz – zapewniła go cichym głosem. – Pochlebia mi, że się przede mną otwierasz.

Podziękował jej za te słowa kiwnięciem głowy.

– A jacy są twoi rodzice? – spytał.

– Są... bardzo żywiołowi – odparła po chwili zastanowienia. – We wszystkim, co robią.

– To znaczy?

– Musiałbyś z nami mieszkać, żeby to zrozumieć. Potrafią się zażarcie o coś kłócić, a chwilę potem spokojnie dyskutować o polityce, o ochronie środowiska, o ilości ciastek, jakie zjemy na deser po kolacji, a nawet o tym, w jakim języku będziemy danego dnia rozmawiali...

– W jakim języku? – wpadł jej w słowo.

– Postanowili, że będziemy rodziną wielojęzyczną, a więc w poniedziałki rozmawialiśmy po francusku, we wtorki po słowacku, w środy po czesku. Mnie i moje siostry do szału to doprowadzało, zwłaszcza kiedy w te dni przychodziły do nas koleżanki, bo czuły się jak na tureckim kazaniu. No i byli perfekcjonistami, jeśli chodzi o nasze oceny. Musiałyśmy uczyć się w kuchni, a mama przepytывała nas przed każdym testem. I przyznam ci się, że ilekroć przyniosłam do domu ocenę niższą od celującej, mama z tatą wpadali w czarną rozpacz, zupełnie jakby nastąpił koniec świata. Mama załamywała ręce, a tato klarował mi, jak wielki zawód mu sprawiłam. Siadałam wtedy z ogromnym poczuciem winy do nauki i wkuwałam od nowa materiał do testu, który już napisałam. Wiem, że reagowali tak, bo nie chcieli, żebym borykała się w życiu tak jak oni, ale było to czasami przytłaczające. A do tego wszystkie musiałyśmy pomagać w delikatesach, przez co spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i... co tu ukrywać... nie mogłam się już doczekać, kiedy wreszcie wyjadę na studia i będę mogła sama decydować o sobie.

Luke uniósł brew.

– I zdecydowałaś się na Briana.

– Jakbym słyszała swoich rodziców – mruknęła. – Brian od początku im się nie podobał. Są w niektórych sprawach bardzo nieporadni, co bynajmniej nie znaczy, że ogólnie nierozgarnięci. Szkoda, że ich nie słuchałam.

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedział. – Ile znasz języków?

– Cztery – odparła, tak jak on zsuwając kapelusz na tył głowy. – W tym angielski.

– Ja jeden, w tym angielski.

Uśmiechnęła się. Podobał jej się jego komentarz. Lubiła tego chłopaka.

– Nie wiem, czy coś mi to da. Chyba że skończę jako kustoszka w jakimś europejskim muzeum.

– A chciałybyś?

– Może. Ciężko powiedzieć. Ostatnio tak trudno o pracę w moim zawodzie, że nie pogardziłabym żadną propozycją.

Milczał przez chwilę, rozważając tę odpowiedź.

– Jak tak ciebie teraz słucham, to żałuję, że nie przykładałem się za bardzo do nauki. Nie byłem złym uczniem, ale orłem też nie. Tak sobie teraz myślę, że chyba jednak źle zrobiłem, odpuszczając sobie college.

– Studia, moim zdaniem, są o wiele bezpieczniejsze od ujeżdżania byków.

Żartowała, ale on się nawet nie uśmiechnął.

– A żebyś wiedziała.

Opuścili nadrzeczną polankę i spacerowym tempem ruszyli w objazd reszty rancza. Po drodze rozmawiali, przeskakując z tematu na temat, Pies hasał przed nimi, uważając jednak, żeby się za bardzo nie oddalić. Przecięli plantację choinek i minawszy pasiekę, wjechali na pofałdowane pastwiska dla bydła. Gawędzili o wszystkim – od gatunku muzyki, jaki preferują, poprzez ulubione filmy, po wrażenie, jakie Karolina Północna robi na Sophii. Opowiadała mu o swoich siostrach, o dorastaniu w mieście i o życiu w zamkniętym kampusie Wake. Z zaskoczeniem stwierdzała, że chociaż ich światy tak bardzo się różnią, to Luke jest zafascynowany jej światem tak samo, jak ona jego.

Po jakimś czasie pewniej poczuła się w siodle i rozpędziła Demona najpierw do kłusa, a potem do galopu. Luke jechał obok, gotów ratować ją przed ewentualnym upadkiem, podpowiadał, kiedy ma się bardziej pochylić do przodu albo odchylić do tyłu, i przypominał, żeby luźno trzymała cugle. Kłus zdecydowanie jej nie odpowiadał i dopiero kiedy koń przeszedł w galop, zaczęła chwytać rytm. Przejechali od ogrodzenia do ogrodzenia i z powrotem cztery razy, za każdym trochę szybciej. Po czwartym nawrocie Sophia, czując się już pewniej, trąciła boki Demona piętami i ten jeszcze bardziej przyspieszył. Niespodziewający się tego Luke dogonił ją dopiero po chwili. Pędzili teraz bardzo blisko siebie, ona z duszą na ramieniu. Pęd powietrza omywającego twarz napełniał ją lękiem, a jednocześnie upajał. W drodze powrotnej jeszcze bardziej rozpędziła Demona, a kiedy po kilku minutach osadzili wreszcie konie, rozładowała podniecenie i strach, wybuchając niepohamowanym śmiechem.

Kiedy ta nerwowa wesołość w końcu jej przeszła, ruszyli, już wolno, ku stajniom. Luke rozsiadł tam spocone, zdyszane konie, a ona pomogła mu je wytrzeć. Poczęstowała Demona jabłkiem. Czowała już ból w nogach, ale nie zwracała na to uwagi. Jechała na koniu – niebywałe! Kiedy wracali do domku, w przyпыływie dumy i satysfakcji wzięła Luke'a pod rękę.

Szli spacerowym krokiem, w milczeniu. Sophia – rada, że tu przyjechała, rozpamiętująca wypadki tego dnia. Luke – zamyślony, ale wyraźnie w dobrym, tak jak ona, nastroju.

Kiedy zbliżali się do domku, Pies ożywił się i popędził do stojącej na werandzie miski z wodą; zziąjany wychłptał ją do dna i położył się z łbem między łapami.

– Ale się zmachał – odezwała się Sophia. Zdumiała ją brzmienie własnego głosu.

– Dojdzie zaraz do siebie. Co rano towarzyszy mi w objeżdżaniu pastwisk. – Zdjął kapelusz i otarł pot z czoła. – Napijesz się czegoś? – spytał. – Nie wiem, jak ty, ale ja strzeliłbym sobie browarka.

– To ja też.

– Zaraz przyniosę – obiecał i wszedł do środka.

Odprowadzała go wzrokiem, zachodząc w głowę, co ją tak w nim pociąga. Gdzie tu sens, gdzie logika? Zanim zdążyła się ich dopatrzeć, wrócił z dwiema oszronionymi butelkami.

Odkapslował je i podał jej jedną. Ich palce na moment się zetknęły. Wskazał na bujane fotele.

Usiadła, odchyliła się z westchnieniem na oparcie i kapelusz zsunął się jej na oczy. Zupełnie zapomniała, że ma go na głowie. Zdjęła go, położyła sobie na kolanach i pociągnęła łyček z butelki. Piwo było lodowate i orzeźwiające.

– Nieźle ci poszło – stwierdził.

– Nieźle jak na pierwszy raz, chciałeś powiedzieć. Na udział w rodeo nie jestem jeszcze gotowa, ale fajnie było.

– Masz dryg do konnej jazdy – zauważył.

Ale Sophia już go nie słuchała. Patrzyła ponad jego ramieniem na cielę, które wyjrzało właśnie zza węgła domku i przyglądało się im z niekłamanym zainteresowaniem.

– Chyba krowa odłączyła ci się od stada. – Pokazała cielaka palcem. – Jakaś mała taka.

Obejrzał się i uśmiechnął.

– A, to Błociutka. Nie wiem, jak ona to robi, ale przychodzi tu parę razy w tygodniu.

W ogrodzeniu jest chyba jakiś wyłom, którego jeszcze nie znalazłem.

– Musi cię lubić.

– Ho, ona mnie uwielbia – mruknął. – W marcu lało przez parę dni jak z cebra, ziemia rozmiękła i bidulka ugrzęzła w błocie. Przez parę godzin ją z niego wyciągałem i przez kilka dni musiałem karmić z butelki. Od tamtego czasu regularnie mnie odwiedza.

– Wzruszające – zachwyciła się, starając się na niego nie patrzeć, co nie było takie proste.

– Masz tu ciekawe życie.

Zdjął kapelusz, przeczesał włosy palcami i uniósł butelkę do ust.

Kiedy się odezwał, w jego tonie nie było już tej rezerwy, do której zdążyła przywyknąć.

– Powiedz ci coś? – Zawiesił na chwilę głos. – Tylko źle mnie nie zrozum – zastrzegł.

– Słucham.

– Z tobą tu ciekawiej, niż jest naprawdę.

– Co ty opowiadasz?

Zaczął z uwagą podważać kciukiem etykietę na butelce, tak jakby szukał pod nią odpowiedzi. A może zbierał się tylko na odwagę. Po chwili podniósł na nią wzrok.

– Bo... widzisz... jeszcze żadna dziewczyna tak mi się nie podobała.

Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, ale wydało jej się, że tonie w tych błękitnych oczach, i zabrakło jej słów. Nachylił się do niej, zawahał, przekrzywił lekko głowę. Ona też to bezwiednie zrobiła. Niemal stykali się twarzami.

Pocałunek nie był długi ani szczególnie namiętny, ale ledwie ich usta się złączyły, wiedziała już z całą pewnością, że nie przeżyła dotąd niczego tak bezpretensjonalnego i tak naturalnego. Była to idealna puenta niewyobrażalnie idealnego popołudnia.

8 Ira

Gdzie ja jestem?

Ta dezorientacja nie trwa długo. Kiedy próbuję poprawić się w fotelu, ból przynosi mi odpowiedź. Moje ramię i bark eksplodują wodospadem rozpalonego do białości żaru. Głowę wypełnia szklana tłuczka, klatka piersiowa zaczyna pulsować, jakby uniesiono z niej właśnie coś bardzo ciężkiego.

Przez noc samochód zamienił się w igloo. Warstwa śniegu pokrywająca przednią szybę zaczyna się jarzyć, co oznacza, że słońce wschodzi. To niedzielny poranek 6 lutego 2011 roku. Spoglądam w półmroku na cyferblat zegarka, mrużę oczy, wytyżam wzrok, już widzę. Dwadzieścia po siódmej. Wczoraj słońce zaszło o siedemnastej pięćdziesiąt i przed wypadnięciem z drogi jechałem jeszcze przez godzinę w ciemnościach. Tkwę tu od ponad dwunastu godzin i chociaż życie się jeszcze we mnie kołacze, to na moment paraliżuje mnie strach.

Bałem się już tak kiedyś. Nieznajomi, patrząc na mnie, nigdy by tego nie odgadli. Klienci naszego sklepu robili często wielkie oczy, dowiadując się, że byłem na wojnie. Ja nigdy o tym nie mówiłem; tylko raz powiedziałem Ruth, co mi się tam przydarzyło. Potem już o tym nie rozmawialiśmy. Greensboro, w którym dorastałem, daleko było jeszcze wtedy do takiego wielkiego miasta, w jakie z biegiem lat się rozrosło – było małym miasteczkiem, gdzie wszyscy się znali, i wielu jego mieszkańców wiedziało, że walczyłem w Europie i że zostałem tam ranny. Ale oni, podobnie jak ja, nie mieli ochoty rozprawiać o wojnie, kiedy ta się skończyła. Dla jednych wspomnienia z niej były zbyt traumatyczne; inni, zamiast rozpamiętywać, co było i minęło, woleli patrzeć w przyszłość.

Gdyby ktoś mnie o nią pytał, powiedziałbym mu, że szkoda czasu, żeby poruszać ten temat. Jednak przypierany do muru powiedziałbym mu, że w czerwcu 1942 roku zaciągnąłem się do sił powietrznych Stanów Zjednoczonych i po złożeniu przysięgi wsiałem z innymi kadetami do pociągu jadącego do Kalifornii, gdzie w Santa Ana mieściło się Centrum Wyszkozenia Sił Powietrznych USA. Była to moja pierwsza podróż na zachód. Przez następny miesiąc uczono mnie tam, jak się wykonuje rozkazy, pucuje wychodki i maszeruje. Stamtąd trafiłem do Szkoły Pilotażu w Mira Loma Flight Academy w Oxnard, gdzie zgłębiałem podstawy meteorologii, nawigacji, aerodynamiki oraz mechaniki. A dodatkowo, pod okiem instruktora, opanowywałem stopniowo sztukę latania. Tam odbyłem swój pierwszy lot solo i po trzech miesiącach miałem już wystarczającą ilość wylatanych samodzielnie godzin, by przejść do następnego etapu szkolenia, tym razem w bazie sił powietrznych Gardner Field w Taft, niedaleko słynnego Roswell w Nowym Meksyku, gdzie dalej szlifowałem swoje umiejętności za sterami samolotu, a potem wylądowałem z powrotem w Santa Ana na kursie dla nawigatorów. Ukończyłem ten kurs, ale to nie był jeszcze koniec szkolenia. Wysłano mnie do bazy Mather Field pod Sacramento na Akademię Zaawansowanej Nawigacji, gdzie uczyłem się nawigowania według gwiazd, nawigacji zliczeniowej oraz nawigowania na podstawie punktów odniesienia na ziemi. Po jej ukończeniu nadano mi wreszcie stopień oficerski.

Minęły jeszcze dwa miesiące, zanim znalazłem się na europejskim froncie. Najpierw naszą grupę żółtodziobów wysłano do Teksasu i przydzielono do eskadry bombowców B-17, i dopiero stamtąd trafiliśmy do Anglii. Przed odbyciem w październiku 1943 roku swojej pierwszej misji bojowej prawie osiemnaście miesięcy szkoliłem się na tyłach, w Stanach, czyli tak daleko od teatru działań wojennych, że dalej już się nie dało.

Nie to ludzie spodziewali się usłyszeć, ale tak właśnie było. Szkolenia, przeniesienia i kolejne szkolenia. Weekendowe przepustki i pierwsza wizyta na kalifornijskiej plaży, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem Pacyfik. Okazja do podziwiania na własne oczy gigantycznych sekwoi w północnej Kalifornii, drzew przechodzących swoim ogromem ludzkie wyobrażenie. Nabożna cześć, jaka mnie ogarniała, kiedy przelatywałem o brzasku nad pustynią. No i, rzecz jasna, Joe Torrey, najlepszy przyjaciel, jakiego w życiu miałem.

Niewiele nas łączyło. On był katolikiem z Chicago, baseballistą i miał między przednimi zębami szparę widoczną, kiedy się uśmiechał. Nie potrafił sklecić zdania nieokraszonego choćby jednym przekleństwem, ale poza tym tryskał zawsze humorem, był duszą towarzystwa i każdy chciał go na kompana, kiedy w weekendy szliśmy w miasto na przepustkę. Wszyscy chcieli grać z nim w pokera i szwendać się z nim po ulicach, bo dziewczyny też na niego leciały i mało która mu się oparła. Dlatego najczęściej dobierał sobie do towarzystwa mnie, nie mam zielonego pojęcia, ale to dzięki Joemu nie czułem się w jednostce całkiem wyobcowany. To z Joem wypiliśmy na Santa Monica Pier swoje pierwsze piwo i to z Joem wypaliłem swojego pierwszego i ostatniego zarazem papierosa w życiu. To Joemu wyplakiwałem się w rękaw w te dni, kiedy szczególnie brakowało mi Ruth, a Joe słuchał mnie w takim skupieniu, że mówiłem i mówiłem, dopóki mi nie ulżyło. Joe też zostawił w domu narzeczoną – ładną dziewczynę imieniem Marla – i przyznawał, że wojna wojną, a on nie może się już doczekać, kiedy do niej wróci.

Weszliśmy z Joem w skład załogi tego samego B-17. Naszym dowódcą był pułkownik Bud Ramsey, prawdziwy bohater i genialny pilot. Wylatał już jedną turę misji bojowych i wysyłano go na następną. Zachowywał zimną krew i nie tracił głowy w najkoszarniejszych nawet okolicznościach, i mogliśmy się uważać za w czepku urodzonych, że trafił nam się taki dowódca.

Moja przygoda z wojną zaczęła się 2 października, kiedy to dokonaliśmy nalotu na bazę łodzi podwodnych w Emden. Dwa dni później poleciliśmy w składzie eskadry trzystu bombowców nad Frankfurt. 10 października zbombardowaliśmy węzeł kolejowy w Münsterze, a 14 października, w dniu, który zapisał się w historii jako Czarny Czwartek, wojna się dla mnie skończyła.

Naszym celem była fabryka łożysk tocznych w Schweinfurcie. Kilka miesięcy wcześniej już ją zbombardowano, ale Niemcy w szybkim tempie ją odbudowywali. Ze względu na odległość od bazy naszej formacji bombowców nie osłaniały myśliwce i tym razem spodziewano się tam nalotu. Niemieckie myśliwce pojawiły się, ledwie przekroczyliśmy linię brzegową, i przez całą drogę zawzięcie nas nękały, a kiedy cel był już blisko, całe miasto zasnuł gęstą mgłą dym z dział walącej do nas artylerii przeciwlotniczej. Wokół rozrywał się pocisk za pociskiem i samolotem targały fale uderzeniowe eksplozji. Ledwie zdążyliśmy zrzucić swój ładunek, kiedy nad nami zaroilo się od niemieckich myśliwców. Nadlatywały ze wszystkich stron i nasze bombowce zaczęły spadać z nieba w płomieniach, roztrzaskując się o ziemię. W kilka minut eskadra została zdziesiątkowana. Nasz strzelec pokładowy dostał w czoło, odrzuciło go w głąb samolotu. Wskoczyłem instynktownie na jego siodełko i otworzyłem ogień. Wystrzeliłem z pięćset pocisków, nie wyrządzając nieprzyjacielowi specjalnych szkód. Właściwie to zęgnąłem się już z życiem, ale przerażenie nie pozwalało mi przerwać ognia.

Nieprzyjaciel ostrzeliwał nas to z jednej, to z drugiej strony. Ze swojego stanowiska widziałem, jak w strzępy idzie poszycie skrzydła. Kiedy straciliśmy jeden silnik, maszyna zaczęła się przechylać.

Siedzący za sterami Bud starał się gorączkowo odzyskać nad nią kontrolę, ryk pozostałych silników narósł tak, że mało brakowało, a popękałyby mi bębenki w uszach. Samolot zaczął wytracać wysokość, ciągnąc za sobą pióropusz dymu. Myśliwce zbliżały się, żeby nas

dobić, pociski artylerii przeciwlotniczej dziurawiły kadłub. Opadliśmy o trzysta, potem o sześćset metrów. Tysiąc pięćset. Dwa i pół tysiąca. Na tej wysokości Budowi udało się jakimś cudem zapanować nad maszyną i ta, niczym jakiś mitologiczny stwór, zaczęła unosić dziób i wyrównywać lot. I, o dziwo, wciąż leciała, ale oddzieliliśmy się od formacji i znajdowaliśmy nad wrogim terytorium ostrzeliwani wciąż przez artylerię przeciwlotniczą.

Bud położył maszynę na skrzydło, biorąc kurs na bazę. Wracaliśmy do domu, podejmując desperacką próbę ucieczki spod ostrzału. I wtedy odłamek rozrywającego się przed nami pocisku przeciwlotniczego roztrzaskał kokpit. Joe oberwał i instynktownie obejrzał się na mnie. Zobaczyłem niedowierzanie w jego wychodzących z orbit oczach i odczytałem swoje imię z ruchu jego warg. Rzuciłem się ku niemu, żeby go jakoś – sam jeszcze nie wiedziałem jak – ratować, i nagle nogi się przede mną ugięły, całe ciało zwiotczało. Nie rozumiałem, co się dzieje. Nie docierało do mnie, że też oberwałem, i usiłowałem się bezskutecznie podnieść, spieszyć Joemu z pomocą, a wtedy poczułem serię ostrych, palących użądleń. Spuściłem wzrok i zobaczyłem wielkie wykwity czerwieni rozlewające się po dolnych partiach mego ciała. Świat wokół mnie złożył się w harmonijkę i straciłem przytomność.

Nie wiem, jak dowlekleliśmy się do bazy; wystarczy powiedzieć, że Bud Ramsey dokonał cudu. Później, w szpitalu, opowiadano mi, że kiedy wylądowaliśmy, ludzie obfotografowali nasz samolot i nie mogli się nadziwić, że zdołał utrzymać się w powietrzu. Nie obejrzałem jednak tych zdjęć, nawet gdy wróciły mi siły.

Powiedziano mi, że cudem wymknąłem się śmierci. W drodze powrotnej do Anglii straciłem ponad połowę krwi i byłem błydy jak trup. Puls miałem ledwie wyczuwalny, ale mimo to przewieziono mnie do szpitala. Nie dawano mi większych szans na przeżycie tej ani następnej nocy. Do rodziców wysłano telegram z powiadomieniem, że zostałem ranny, i zapewnieniem, że wkrótce zostaną bliżej poinformowani, co ze mną. Stosowana przez armię formułka „bliżej poinformowani” oznaczała zapowiedź kolejnego telegramu z informacją o moim zejściu.

Ale ten kolejny telegram nie został nigdy wysłany, bo jakoś nie zszedłem. Nie był to świadomy wybór bohatera; nie byłem żadnym bohaterem i przez długi czas leżałem bez przytomności. Kiedy ją w końcu odzyskałem, nie pamiętałem ani jednego snu, nie wiem nawet, czy w ogóle coś mi się śniło. Ale piątego dnia po operacji chirurgicznej ocknąłem się cały zły potem. Pielęgniarki powiedziały mi, że majaczyłem i strasznie krzyczałem. Wdało się zapalenie otrzewnej i znowu przewieziono mnie na salę operacyjną. Tego też nie pamiętam, tak jak nie pamiętam, co było potem. Przez trzynaście dni miałem gorączkę i kiedy każdego z tych dni pytałem lekarza, co ze mną będzie, on tylko kręcił głową. Podobno, bo tego też nie pamiętam, odwiedził mnie w szpitalu Bud Ramsey z członkami załogi, którzy wyszli z tamtej opresji cało i wkrótce mieli dostać nowy samolot. W międzyczasie wysłano telegram do rodziny Joego Torrey'a z powiadomieniem o jego śmierci. RAF zbombardował Kassel, wojna trwała.

Na początku listopada gorączka w końcu ustąpiła. Otworzyłem oczy i nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie mogłem sobie przypomnieć, co się stało, nie mogłem się ruszyć. Czuję się jak żywcem pogrzebany, ale mobilizując wszystkie siły, wyszeptałem bezwiednie tylko jedną sylabę.

Ruth.

Słońce świeci coraz jaśniej, wiatr się wzmacnia, a mnie wciąż nikt nie przychodzi z pomocą. Strach, który mnie paraliżował, w końcu minął i pod jego nieobecność znowu zaczynam błądzić myślami. Stwierdzam, że pogrzebanie żywcem w samochodzie podczas śnieżycy nie jest dla mnie niczym nowym. Nie tak dawno widziałem na Kanale Meteo migawkę o pewnym mężczyźnie ze Szwecji, który, podobnie jak ja, ugrzązł w samochodzie, i ten samochód był stopniowo przysypywany przez śnieg. Zdarzyło się to w okolicach miasta Umea, pod kręgiem polarnym, gdzie temperatura spada dobrze poniżej zera. Ale samochód, według

prezentera pogody, stał się czymś w rodzaju igloo. Mężczyzna ten, chociaż nie przetrwałby długo wystawiony bezpośrednio na żywioły, przeżył we wnętrzu samochodu, gdzie przez długi czas utrzymywała się znośna temperatura, a do tego był stosownie do warunków pogodowych ubrany i miał ze sobą śpiwór. Ale nie to było najbardziej zdumiewające; najbardziej zdumiewało to, ile czasu tak wytrzymał. Lekarze orzekli, że chociaż nie miał zapasu żywności ani wody i żywił się jedynie jedzonym garściami śniegiem, to jego organizm zapadł w coś w rodzaju stanu hibernacji. Procesy życiowe spowolniły na tyle, że chociaż został znaleziony dopiero po sześćdziesięciu czterech dniach, to udało się go odratować.

Pamiętam, jak pomyślałem sobie wtedy: Boże kochany, sześćdziesiąt cztery dni! Podczas oglądania tego klipu nawet przez myśl mi nie przeszło, że znajdę się kiedyś w podobnej sytuacji, no i proszę, właśnie się w takiej znalazłem. Gdybym i ja miał przesiedzieć w swoim samochodzie dwa miesiące, to wychodziłoby na to, że znaleziono by mnie tutaj gdzieś w kwietniu. Kwitłyby już azalie, śnieg dawno by stopniał i wiosna byłaby w pełnym rozkwicie. Gdybym miał zostać znaleziony w kwietniu, to najprawdopodobniej przez jakichś młodych wagabundów w szortach i okularach przeciwsłonecznych.

Nie, na pewno ktoś mnie wcześniej znajdzie. To przekonanie, chociaż powinno mi poprawić samopoczucie, jakoś mi go nie poprawia. Nie pociesza mnie też świadomość, że temperaturze na zewnątrz daleko do trzaskającego mrozu ani że mam ze sobą dwie kanapki. Nie pociesza, bo przecież ja nie jestem Szwedem. On miał czterdzieści cztery lata i nie był ranny; ja mam złamane rękę i obojczyk, dziewięćdziesiąt jeden lat na karku i straciłem dużo krwi. Boję się, że w każdej chwili mogę stracić przytomność, bo szczerze mówiąc, to w stanie hibernacji wegetuję już od dziesięciu lat. Jeśli moje funkcje życiowe spowolnią jeszcze bardziej, niż przez te dziesięć lat, to wyniosą mnie stąd nogami do przodu.

Jedyna jaśniejsza strona mojej oplakanej sytuacji to to, że nie jestem głodny. Normalna rzecz u ludzi w moim wieku. Apetyt ostatnimi czasy mi nie dopisuje. Rano zmęczonego jednego tosta, popiję kubkiem kawy i mam dosyć. O, właśnie, zwilżyłbym gardło, bo wyschło mi na wiór. Tylko to nie takie proste. Mam tu gdzieś, co prawda, butelkę wody, ale boję się po nią sięgnąć pomny, jaką katorgę przynosi mi każdy ruch.

I jest mi zimno, bardzo zimno. Ostatni raz telepało mną tak szmat czasu temu, podczas wojny, w szpitalu. Kiedy przeszedłem wszystkie operacje, ustąpiła gorączka i już myślałem, że idzie ku lepszemu, pojawiły się straszne bóle głowy i zaczęły mi się powiększać szyjne węzły chłonne. Wróciła gorączka i czułem pulsujący ból w okolicach, w których żaden mężczyzna wolałby jej nie doświadczać. Lekarze przyjmowali początkowo, że to gorączkowanie ma jakiś związek z poprzednim. Ale nie miało. Gość z łóżka obok miał te same objawy i po paru dniach wystąpiły one u jeszcze trzech pacjentów z naszej sali. To była świnka, z reguły choroba wieku dziecięcego, jednak dla zapadających na nią dorosłych o wiele bardziej groźna. Spośród wszystkich „świnkowców” na mnie choróbko najbardziej się wyżyło. Byłem z nich najbardziej wycieńczony i wirus przez prawie trzy tygodnie siał w moim organizmie spustoszenie. Kiedy odpuścił, ważyłem zaledwie pięćdziesiąt dwa kilogramy i byłem taki słaby, że bez pomocy nie mogłem ustać na nogach.

Miesiąc później wypisano mnie wreszcie ze szpitala, ale do dywizjonu już nie wróciłem. Nadal byłem niemożliwie wychudzony, a po załodze, w której skład wchodziłem, zostało tylko wspomnienie. Powiedziano mi, że Bud Ramsey został zestrzelony nad Niemcami i wszyscy zginęli. Siły powietrzne nie bardzo wiedziały, co ze mną począć, w końcu zdecydowano się odesłać mnie do Santa Ana. Zostałem tam instruktorem rekrutów i szkoliłem ich już do końca wojny. Po demobilizacji w styczniu 1946 roku pojechałem pociągiem do Chicago, żeby złożyć kondolencje rodzinie Joego Torrey'a, a stamtąd wróciłem do Karoliny Północnej.

Jak wszyscy weterani na całym świecie chciałem jak najszybciej zapomnieć o wojnie. Ale nie mogłem. Byłem zły i rozgoryczony, pełen obrzydzenia do tego, co ze mnie zrobiła. Poza dramatyczną nocą nad Schweinfurtem mało z niej pamiętałem, ale ona we mnie siedzi. Do tej pory noszę w sobie rany, których z zewnątrz nie widać, ale one tam są i nigdy się nie zbliznią. Joe Torrey i Bud Ramsey byli wspaniałymi ludźmi, ale zginęli, podczas gdy ja przeżyłem, i dręczy mnie z tego powodu poczucie winy. Wciąż odczuwam skutki podziobania odłamkami pocisku przeciwlotniczego i rankiem mam trudności z poruszaniem się, szwankuje też żołądek. Nie wolno mi pić mleka ani jeść pikantnych potraw, straty na wadze do tej pory nie nadrobiłem. Od 1945 roku ani razu nie wsiadłem do samolotu i nie mogę patrzeć na filmy wojenne. Nie lubię szpitali. Co tu dużo mówić – wojna i tygodnie spędzone wówczas w lazarecie odcisnęły na mnie niezatarte piętno.

– Ty płaczesz – zauważa Ruth.

Kiedy indziej i gdzie indziej otarłbym łzy grzbietem dłoni. Ale tu i teraz ta na pozór prosta czynność jest raczej niewykonalna.

– Ja? – wymrukuje. – Co ty powiesz?

– Często płakałeś przez sen – ciągnie Ruth. – Na początku naszego małżeństwa.

Słyszałam w nocy twój szloch i serce mi się krajało. Głaskałam cię wtedy po plecach, uciszałam i bywało, że przekręcałeś się na drugi bok i uspokajałeś. Ale kiedy indziej przeplakiwałaś całe noce, a rano mówiłaś, że nic nie pamiętasz.

– Czasami nie pamiętałem.

Przygląda mi się uważnie.

– Ale czasami owszem – dopowiada.

Zerkam na nią spod przymrużonych powiek. Jej postać faluje jak widziana poprzez warstwy nagrzanego powietrza unoszące się w upalne lato nad asfaltem. Ma na sobie granatową sukienkę, we włosach białą opaskę, jej głos brzmi dojrzałe. Po chwili już wiem – ma dwadzieścia trzy lata, tyle ile miała, kiedy wróciłem z wojny.

– Wspominałem Joego Torreya – mówię.

– Swojego przyjaciela – Ruth kiwa głową – tego, który zjadł w San Francisco pięć hot dogów z rzędu i postawił ci pierwsze piwo.

Do papierosa wołałem jej się nie przyznawać, boby tego nie pochwaliła. Nie znosiła ich zapachu. Takie niedopowiedzenia to rodzaj kłamstwa, ale już dawno się przekonałem, że czasami lepiej nie wykladać całej kawy na ławę.

– Tak, tego – wymrukuje.

– Szkoda, że go nie poznałam – mówi; przesączający się do wozu blask poranka otacza ją aureolą.

– Na pewno przypadłby ci do serca.

Ruth odchrząkuje i odwraca głowę. Wpatruje się w zamyśleniu w zalepioną śniegiem szybę. Ten samochód stał się moim grobowcem, stwierdzam w duchu.

– Wspominałeś również szpital – wymrukuje Ruth i wzdycha, kiedy kiwam potakująco głową. – Słyszałaś, co ci powiedziałam? – pyta, znowu spoglądając na mnie. – Że ja nie przywiązuję do tego żadnej wagi? Nie okłamywałabym cię w takiej sprawie.

– Świadomie nie – mówię. – Ale tak sobie myślę, że może czasami okłamywałaś siebie samą.

Jest zaskoczona moimi słowami, choćby dlatego, że nigdy nie wypowiadałem się w tej kwestii tak bezpośrednio. Ale ja wiem, że mam rację.

– To dlatego przestałaś do mnie pisać – odgaduje. – Od czasu, kiedy odesłali cię do

Kalifornii, listy od ciebie zaczęły przychodzić coraz rzadziej, aż w końcu całkiem przestały. Przez sześć miesięcy nie miałam od ciebie wiadomości.

– Przestałem pisać, bo pamiętałem, co mi powiedziałaś.

– I chciałeś zakończyć naszą znajomość. – W jej głosie pojawia się nutka gniewu; nie potrafię spojrzeć jej w oczy.

– Chciałem, żebyś była szczęśliwa.

– Nie byłam szczęśliwa – fuka. – Byłam dezorientowana i załamana, nie rozumiałam, co się stało. I co dnia modliłam się za ciebie w nadziei, że pozwolisz mi sobie pomóc. Ale chociaż zasypywałam cię listami, ty na żaden nie odpisałeś.

– Przepraszam. Nieładnie się wtedy zachowałem.

– Czytałeś w ogóle te listy ode mnie?

– Po wielekroć i za każdym razem ręka mnie świerzbiała, żeby chwycić za pióro i napisać ci, co mnie spotkało. Ale nie mogłem się przemóc.

Ruth kręci głową.

– Nie powiadomiłeś mnie nawet, kiedy wracasz. Dopiero od twojej mamy się tego dowiedziałam i pomyślałam sobie: wyjdę po niego na stację, tak jak on po mnie wychodził, kiedy wracałam do domu na wakacje.

– Ale nie wyszłaś.

– Bo chciałam się upewnić, czy nadal jesteś mną zainteresowany. Ale mijał dzień za dniem, upłynął tydzień, i kiedy w sobotę nie zobaczyłam cię w synagodze, zrozumiałam, że mnie unikasz. Pomaszerowałam więc do waszego sklepu i oświadczyłam ci stanowczo, że musimy porozmawiać. Pamiętasz, co mi wtedy odpowiedziałeś?

Ze wszystkiego, co kiedykolwiek wyszło z mych ust, tego zawsze najbardziej żałowałam. Ale Ruth, jak to ona, czeka, nie spuszczając ze mnie wzroku. W tym jej czekaniu na wyjaśnienia jest ogniste wyzwanie.

– Powiedziałem ci, że zaręczyny zerwane i że między nami wszystko skończone.

Unosi brew.

– Tak – przyznaje – to mi właśnie powiedziałaś.

– Nie byłem wtedy w stanie z tobą rozmawiać. Byłem...

– Rozdrażniony – kończy za mnie i kiwa głową. – Widziałam to w twoich oczach, ale mimo to nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nadal mnie kochasz.

– Tak – przyznaję. – Kochałem cię.

– Ale twoje słowa raniły – mówi. – Wróciłam do domu i płakałam jak dziecko. W końcu przyszła mama i przytuliła mnie, żadna z nas nie wiedziała, co robić. Tyle już straciłam, gdybym jeszcze straciła ciebie, nie zniosłabym tego.

Ma na myśli swoją rodzinę, która została w Wiedniu. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak egoistycznie się zachowuję ani jak Ruth może to odbierać. Wspomnienie tego przykrego incydentu też się za mną od tamtej pory ciągnie i zalewa mnie teraz fala zastarzałego wstydu.

Urojona Ruth z mojego snu wie, co czuję.

– Ale jeśli naprawdę chciałeś ze mną zerwać – odzywa się do mnie z czułością – to ja musiałam poznać powód, a więc nazajutrz poszłam do tego barku naprzeciwko waszego sklepu i zamówiłam napój czekoladowy. Usiadłam z nim przy oknie i patrzyłam, jak się tam krzątasz. Wiem, że tylko udawałeś, że mnie nie widzisz. Wróciłam tam następnego dnia, i następnego znowu, i dopiero wtedy się zламаłeś, i przeszedłeś przez ulicę, żeby się ze mną spotkać.

– Mama mi kazała – przyznaję. – Powiedziała, że należą ci się jakieś wyjaśnienia.

– Zawsze tak mówiłeś. Ale podejrzewam, że sam chciałeś się ze mną spotkać, bo wciąż o mnie myślałeś. I dobrze wiedziałeś, że tylko ja jedna mogę ci pomóc dojść do siebie.

Przymykam oczy. Naturalnie ma rację, absolutną rację. Ruth zawsze знаła mnie lepiej, niż ja sam siebie znałem.

– Usiadłem naprzeciwko ciebie – mówię. – I po chwili kelnerka postawiła przede mną napój czekoladowy.

– Byłeś strasznie wychudzony. Pomyślałam sobie, że trzeba cię trochę podtuczyć, pomóc obrosnąć w tłuszczu.

– Nigdy nie byłem obrosnięty tłuszczem – zacham się. – Kiedy zgłosiłem się do wojska, komisja poborowa o mało mnie nie odrzuciła z powodu niedowagi.

– Tak, ale po powrocie wyglądałeś jak śmierć na chorągwi. Garnitur wisiał na tobie jak na wieszaku. Kiedy przechodziłeś przez ulicę, trzymałam za ciebie kciuki w obawie, że wiatr cię zaraz zdmuchnie. Wmawiałam sobie, że z czasem nabierzesz ciała, staniesz się na powrót dawnym sobą, takim, jakiego cię pokochałam, ale większych nadziei na to nie miałam.

– Dałaś mi jednak szansę.

Ruth wzrusza ramionami.

– Nie miałam wyboru – mówi z figlarnym błyskiem w oku. – David Epstein był już wtedy żonaty.

Parskam mimowolnie śmiechem i moje ciało dostaje spazmów, neurony stają w ogniu, żołądek podchodzi do gardła. Oddycham przez zaciśnięte zęby i fala nudności zaczyna się stopniowo cofać. Ruth czeka cierpliwie, a widząc, że dochodzę do siebie, podejmuje:

– Nie ukrywam, że cała byłam w nerwach. Chciałam, żeby między nami było jak dawniej, udawałam więc, że nic się nie zmieniło. Paplałam o swoich znajomych z uniwersytetu, o tym, ile wiedzy wyniosłam ze studiów i jaką niespodziankę sprawili mi rodzice, zjawiając się na rozdaniu dyplomów. Opowiadałam o szkole za rogiem, niedaleko synagogi, z którą współpracowałam jako nauczycielka na zastępstwa, napomknęłam również, że byłam niedawno na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy na pełen etat w podmiejskiej szkole podstawowej i że zaczynam na jesieni. Powiedziałam ci też, że mój tato już trzy razy spotykał się z dziekanem wydziału historii sztuki na Duke i że moi rodzice przeprowadzą się chyba do Durham. I zastanawiałam się głośno, czy nie będę czasem musiała zrezygnować ze swojej nowej posady i przeprowadzić się tam z nimi.

– A ja uświadomiłem sobie nagle, że nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

– Z rozmysłem to powiedziałam. – Ruth uśmiecha się. – Chciałam zobaczyć twoją minę i przez chwilę widziałam dawnego Irę. I przeszła mi jak ręką odjął obawa, że się nieodwracalnie zmieniłeś.

– Ale nie poprosiłaś mnie o odprowadzenie do domu.

– Na to nie byłeś jeszcze gotowy. Za dużo złości nadal w sobie nosiłeś. I dlatego zaproponowałam, żebyśmy tak jak kiedyś spotykali się raz w tygodniu przy napoju czekoladowym. Byłam ci potrzebna, ale wolałam poczekać.

– Długo to czekanie nie trwało.

– Ano, nie. Pod koniec lutego zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze mnie kiedyś pocałujesz.

– Chciałem – przyznaję. – Za każdym razem, kiedy cię widziałem.

– O tym też wiedziałam i bardzo mnie to frustrowało. Nie rozumiałam, o co chodzi. Nie rozumiałam, co cię powstrzymuje, dlaczego mi nie ufasz. Powinieneś wiedzieć, że cię Kocham i będę kochała bez względu na wszystko.

– Wiedziałem – wymrukuje. – I dlatego nie mogłem ci powiedzieć.

Naturalnie w końcu jej powiedziałem. A stało się to pewnego chłodnego wieczoru na początku marca. Zadzwoiłem do niej i spytałem, czy nie spotkałaby się ze mną w parku, w którym setki razy kiedyś spacerowaliśmy. Nie miałem początkowo w planach tego wyznania. Chciałem po prostu porozmawiać z jakąś bratnią duszą, bo atmosfera w domu stawała się nie do wytrzymania.

Tato odkuł się finansowo podczas wojny i kiedy ta się skończyła, zajął się na powrót odzieżą męską. Ze sklepu zniknęły maszyny do szycia, na ich miejsce wróciły wieszaki z garniturami i od zewnątrz sklep znowu wyglądał tak, jak przed wojną. Ale w środku zaszły zmiany. Przede wszystkim zmienił się tato. Zamiast, jak dawniej, witać klientów w drzwiach, przesiadywał całymi popołudniami na zapleczu, słuchał wiadomości w radiu i usiłował ogarnąć szaleństwo, które miliony ludzi przypłaciło życiem. Tylko o tym można z nim było teraz rozmawiać; Holocaust stał się głównym tematem do poruszania przy każdym posiłku i w każdej wolnej chwili. Z kolei mama, im więcej tato o nim mówił, tym bardziej ona uciekała w szycie, bo nawet słuchać nie mogła o tych okropieństwach. Dla taty Holocaust był jakimś abstrakcyjnym horrorem, dla mamy – która podobnie jak Ruth straciła w nim znajomych i rodzinę – osobistą tragedią. I wskutek swoich rozbieżnych reakcji moi rodzice zaczęli się stopniowo od siebie oddalać.

Ja, ich syn, próbowałem nie opowiadać się po żadnej ze stron. Słuchałem z tatą radia, z mamą nie podejmowałem tematu zagłady, ale kiedy zebraliśmy się we trójkę, przychodziło mi czasami na myśl, że zapomnieliśmy, co to znaczy być rodziną. Co gorsza, tato zaczął chodzić z nami, czyli ze mną i z mamą, do synagogi; tym samym moje intymne rozmowy z mamą w drodze na nabożeństwo i z powrotem przeszły do historii. Kiedy tato oznajmił, że bierze mnie na współnika w interesie – co oznaczało, że cała nasza trójka wiąże się ze sobą na zawsze – załamałem się przekonany, że nie będzie już ucieczki przed tą mroczną atmosferą, która wsączyła się w nasze życie.

- Wspominasz swoich rodziców – ni to pyta, ni stwierdza Ruth.
- Zawsze ich lubiłaś – mówię.
- Twoją mamę uwielbiałam – przyznaje Ruth. – Pomimo różnicy wieku była pierwszą prawdziwą przyjaciółką, jaką znalazłam w tym kraju.
- A tatę?
- Jego też kochałam. Jak mogłoby być inaczej? To przecież rodzina.
- Uśmiecham się, przypominając sobie, że w późniejszych latach miała do niego więcej cierpliwości niż ja.
- Mogę cię o coś zapytać?
- Możesz mnie pytać o wszystko.
- Dlaczego na mnie czekałaś? Chociaż przestałem do ciebie pisać? Wiem, wiem, powiesz zaraz, że mnie kochałaś, ale...
- Znowu do tego wracamy? Dziwisz się, że cię kochałam?
- Mogłaś mieć każdego.
- Nachyla się do mnie, zniża głos.
- To twój stary problem, Ira – mówi. – Nie dostrzegasz w sobie tego, co widzą w tobie inni. Uważasz się za niedostatecznie przystojnego, ale za młodu byłeś bardzo przystojny. Wmawiasz sobie, że nie jesteś dostatecznie atrakcyjny ani inteligentny, i tu też się mylisz, a ta niska samoocena czyni cię jeszcze bardziej uroczym. Tyle zawsze dostrzegasz u innych... ze mną włącznie. To za twoją sprawą poczułam się kimś wyjątkowym.
- Bo ty jesteś wyjątkowa.
- Zachwycona unosi rękę.

– No właśnie – mówi ze śmiechem. – Jesteś altruistą, który każdemu, bezinteresownie, nieba by przychylił, i nie ja jedna to zauważyłam. Twój przyjaciel Joe Torrey też to w tobie wyczuł. Wyczuła to moja mama i dlatego podtrzymywała mnie na duchu, kiedy już myślałam, że cię straciłam. Bo obie wiedziałyśmy, że ludzi takich jak ty ze świecą szukać.

– Dziękuję, że przyszedł tamtego wieczoru – zmieniam temat. – Byłaś mi potrzebna.

– I kiedy ruszyliśmy krok w krok przez park, podjąłeś ostateczną decyzję, że mi to powiesz. Bez owijania w bawełnę.

Kiwam głową. W jednym ze swoich ostatnich listów do niej napomknąłem o nalocie bombowym na Schweinfurt i o Joem Torreyu. Donosiłem w nim, że zostałem ranny i że wdała się jakaś infekcja, ale nie napisałem o najważniejszym. Jednak tamtego wieczoru, w parku, wyznałem jej wszystko, wszyściuteńko, niczego nie zatajając. Siedzieliśmy na ławce i ona słuchała w milczeniu tej mojej spowiedzi.

Kiedy skończyłem, zarzuciła mi ręce na szyję. Przytuliłem się do niej i targany emocjami słuchałem słów pocieszenia, które szeptała mi do ucha, a te, zamiast pocieszać, przywoływały przykre wspomnienia.

Nie wiem, jak długo szalała we mnie ta burza uczuć, w każdym razie strasznie mnie wyczerpała. A przecież nie wyznałem jeszcze jednego, czegoś, o czym nie wiedzieli nawet moi rodzice.

Ruth milczy. Wiem, że odtwarza sobie w pamięci to, co usłyszała ode mnie tamtego wieczoru.

– Powiedziałem ci, że w szpitalu zaraziłem się świnką; mój lekarz nie miał jeszcze do czynienia z tak ciężkim przypadkiem tej choroby. I powtórzyłem ci jego słowa.

Ruth wciąż milczy, ale oczy jej wilgotnieją.

– Powiedział mi, że świnka może spowodować bezpłodność – ciągnę. – Dlatego właśnie próbowałem zakończyć naszą znajomość. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że jeśli za mnie wyjdiesz, to możemy nigdy nie doczekać się dzieci.

Sophia

– I co było potem? – spytała Marcia. Stała przed lustrem i nakładając drugą warstwę makijażu, słuchała Sophii zdającej relację ze spędzonego na ranczu dnia. – Tylko mi nie mów, że się z nim przespałaś. – Spojrzała badawczo na odbicie Sophii w lustrze.

– No coś ty! – zachnęła się wyciągnięta na łóżku Sophia, krzyżując nogi. – Nic z tych rzeczy. Pocałowaliśmy się, a potem dalej rozmawialiśmy, a kiedy odjeżdżałam, on jeszcze raz mnie pocałował przy samochodzie. To było... słodkie.

– E tam – mruknęła Marcia, nachylając się do lustra i poprawiając puszką wszelkie niedoróbki.

– Powiedz od razu, że jesteś zawiedziona.

– Ja? – obruszyła się Marcia. – Spójrz na siebie. Po twojej minie widać, że żałujesz, że skończyło się na buźki-buźki.

– Ledwie go znam!

– Jakie ledwie? Wczoraj wieczorem przegadałaś z nim z godzinę, dzisiaj z sześć, jak nie siedem. To w zupełności wystarcza. Na dodatek konna przejażdżka, parę browarków. na twoim miejscu złapałabym go za rękę i zaciągnęła do łóżka.

– Marcia!

– Tak tylko mówię. On jest naprawdę sexy. Chyba nie zaprzeczysz?

Sophia nie miała ochoty na wdawanie się w dyskusje na te tematy. Spróbowała skierować rozmowę na neutralne tory.

– Jest bardzo sympatyczny – bąknęła.

– Powiedziała, co wiedziała – skwitowała Marcia, puszczając do niej oko i sięgając po spinkę do włosów. – Ale niech ci będzie, przyjmuję do wiadomości. Różnimy się, ale szanuję twoją postawę, naprawdę szanuję. I bardzo dobrze, że zerwałaś z Brianem.

– Bo co?

– Bo śmo. – Marcia zebrała bujne kasztanowe włosy w koński ogon i spięła go spinką. – Rozmawiałam z nim, jak chcesz wiedzieć.

– Kiedy?

– Na rodeo, kiedy ty gruchałaś na wybiegu z Panem Ciacho.

Sophia ściągnęła brwi.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– A o czym tu mówić? Próbowałam go zagadać. A tak dla twojej wiadomości, chłopcom z Duke bardzo się nie spodobał. – Poprawiła kilka pasemek włosów, które opadały jej w artystycznym nieładzie na policzki, i spojrzała na odbicie Sophii w lustrze. – Przyznasz chyba, że masz we mnie wymarzoną współlokatorkę. Kto cię namówił, żebyś z nami jechała? Gdyby nie ja, przepokutowałabyś cały dzień w tym pokoju. Ciekawa jestem, kiedy mi przedstawiś to swoje nowe ciacho.

– Nie umówiliśmy się.

Na twarzy Marcii odmalowało się niedowierzanie.

– Jak to?

A tak, że do siebie nie pasujemy, pomyślała Sophia. A poza tym... nie wiedziała, co poza tym. Tamten pocałunek na pożegnanie zawrócił jej w głowie do tego stopnia, że zapomniała się umówić na następne spotkanie.

– Wiem tylko, że w następnym weekend go tu nie będzie. Jedzie na zawody do Knoxville.

- To zadzwoń do niego. Zaproś go przed wyjazdem do akademika.
- Sophia pokręciła głową.
- Nie.
- A jak on też do ciebie nie zadzwoni?
- Powiedział, że to zrobi.
- Faceci często tak mówią, a potem słuch o nich ginie.
- On nie jest taki – obruszyła się Sophia i jakby na potwierdzenie tych słów rozdzwoniła się jej komórka. Widząc na wyświetlaczu numer Luke’a, chwyciła ją i zerwała się z łóżka.
- Tylko mi nie mów, że to on. Już?
- Powiedział, że zadzwoni, żeby się upewnić, czy bezpiecznie wróciłam do akademika.
- Sophia wybiegła na korytarz, nie zwracając uwagi na zaskoczoną minę koleżanki i puszczając mimo uszu słowa, które ta, odprowadzając ją wzrokiem, wymrukiwała pod nosem:
- No nie, muszę się bliżej przyjrzeć temu facetowi.

W czwartkowy wieczór, godzinę po zachodzie słońca, Marcia odwróciła się na pięcie od okna, przez które wypatrywała pick-upa Luke’a, i z przejściem w oczach podbiegła do czeszącej się Sophii. Zdążyła już wcześniej zawetować trzy kreacje przyjaciółki, pożyczyła jej złote zwisające kolczyki i pasujący do nich naszyjnik. Jej zaaferowanie i podniecenie, którego nawet nie próbowała maskować, działało na nerwy i tak już zdenerwowanej Sophii.

- Jest, przyjechał. Lecę na dół przywitać go w naszych progach.
- Sophia westchnęła przeciągle.
- No dobrze. Jestem gotowa. Chodźmy.
- Nie, nie, ty zostajesz w pokoju. Chyba nie chcesz, żeby sobie pomyślał, że go z zapartym tchem wyglądałaś.
- Ja go nie wyglądałam – mruknęła Sophia. – To ty od godziny sterczysz w oknie.
- Przecież wiesz, o co mi chodzi. Musisz zachować dystans. Chyba nie chcesz, żeby zobaczył cię zbiegającą na łeb na szyję po schodach i pomyślał, że bardzo ci na nim zależy?
- Dlaczego ty tak to komplikujesz? – zaprotestowała Sophia.
- Zaufaj mi – powiedziała Marcia. – Wiem, co robię. Zejdź na dół za jakieś trzy minuty. Odlicz do stu... czy co tam. No, ja lecę.

I wybiegła z pokoju, zostawiając Sopię roztrzęsioną, z podchodzącym do gardła żołądkiem. Dziwne, bo od trzech dni rozmawiali z Lukiem co wieczór dobrą godzinę przez telefon, podejmując każdą z tych rozmów dokładnie od miejsca, w którym skończyli poprzednią. Dzwonił zawsze o zmierzchu i rozmawiała z nim z ganku, starając się sobie wyobrazić, jak w tej chwili wygląda, i bez końca odtwarzając w pamięci tamtą spędzoną wspólnie niedzielę.

Dzień na ranczu to jedno. Tam on musiał pełnić honory domu. Ale gościć go tutaj, w tym babińcu? Będzie się czuł jak na innej planecie. W ciągu trzech spędzonych tu przez nią lat zdecydowaną większość chłopaków, jacy tu zaglądali, stanowili w zasadzie tylko chłopcy z męskiego akademika albo studenci innych uczelni.

Starła się go delikatnie ostrzec, ale nie bardzo wiedziała, jak mu powiedzieć, że dziewczyny z akademika uznają go prawdopodobnie za przedstawiciela jakiegoś egzotycznego gatunku i kiedy tylko odjedzie, wezmą na języki. Zaproponowała, żeby spotkali się gdzieś poza terenem kampusu, ale powiedział, że nigdy nie był w Wake, a bardzo go ciekawi, jak tam jest. Teraz zwalczyła w sobie impuls, który kazał jej zbiec na dół, odciągnąć go czym prędzej od drzwi i zabrać na spacer.

Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Dzinsy, bluzka, tenisówki: strój podobny do tego, w którym była na ranczu, trochę tylko zmodyfikowany. Obróciła się do

lustra bokiem, potem drugim. Może być, pomyślała. Nawet nieźle.

Spojrzała na zegarek, odczekała jeszcze jedną minutę i wyszła z pokoju. W tygodniu mężczyźni wpuszczano tylko do foyer i saloniku. Salonik z ogromnym płaskoekranowym telewizorem i kilkoma przepastnymi sofami był miejscem, w którym dziewczyny ze stowarzyszenia bardzo lubiły przesiadywać, ale teraz dolatywał stamtąd tylko perlisty śmiech Marcii. Sophia przyspieszyła kroku, modląc się w duchu, żeby udało jej się wyciągnąć Luke'a na zewnątrz, zanim zostanie zauważony.

Stał pośrodku pomieszczenia, obok Marcii, z kapeluszem w rękach. Był, jak zawsze, w kowbojskich butach i w dżinsach, stroju dopełniał pas z wielką srebrną klamrą. Sophii słabo się zrobiło, kiedy stwierdziła, że Marcia i Luke nie są w saloniku sami. Było tu jeszcze tłoczniej niż zwykle, ale niezwykajnie cicho. Trzej studenci z kampusu w płóciennych szortach, koszulkach polo i tenisówkach gapili się na Luke'a z jednej sofy, z drugiej, stojącej naprzeciwko, pożerały go wzrokiem Mary-Kate, Jenny, Drew i Brittany. W kącie siedziało jeszcze pięć dziewczyn i całe to towarzystwo starało się usilnie rozszyfrować niespodziewanego gościa, który zaszczycił ich swą obecnością.

Ale ta lustracja zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia. Stał rozluźniony i spokojnie słuchał roztrajkotanej, gestykulującej z ożywieniem Marcii. Zobaczył Sopię w drzwiach saloniku i uśmiechnął się, demonstrując mimowolnie te swoje urocze dołeczki w policzkach. Można było odnieść wrażenie, że Marcia i reszta zniknęli i zostali tutaj tylko on z Sopią.

Sophia wzięła głęboki oddech i weszła. Oczy wszystkich skierowały się teraz na nią. Jenny nachyliła się do Drew i Brittany i zaczęły szeptać coś między sobą. Wiedziały, że zerwała z Brianem, ale wszystko wskazywało na to, że o Luke'u jeszcze nie słyszały. Teraz tylko kwestią czasu było, kiedy Brian się dowie, że przyjechał po nią jakiś kowboj. Tego rodzaju sensacyjne wieści rozchodziły się po kampusie lotem błyskawicy. Oczywiście wyobraźni widziała już, jak po ich wyjściu dziewczyny chwytają za komórki.

Tak, Brian na pewno będzie zaraz wiedział. I od razu się domyśli, że to ten sam kowboj, który upokorzył go w zeszłą sobotę. Oj, nie będzie mu to w smak, nie będzie. Jego kolegom z bractwa też. I zależnie od tego, ile już wypili – a w czwartki wcześniej zaczynali – może im przyjść do głowy, że wypadaloby się zemścić. Przeszedł ją dreszcz. Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć?

– Cześć – powiedziała, stając przed Lukiem i usiłując ukryć niepokój, jaki ni stąd, ni zowąd ją ogarnął.

Luke uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bombowo wyglądasz.

– Dzięki – mruknęła.

– Podoba mi się ten facet – wtrąciła Marcia.

Luke zerknął na nią zbity z tropu, ale zaraz przeniósł wzrok na Sopię.

– To, jak się zdążyłem zorientować, twoja współlokatorka.

– Wypytywałam go, czy ma jakichś niezajętych jeszcze kolegów – wyjaśniła Marcia.

– I co?

– Obiecał, że się rozejrzy.

Sophia wykonała znaczący ruch głową.

– To co, idziemy? – zwróciła się do Luke'a.

Marcia już kręciła głową.

– Zaraz, zaraz, nie tak prędko. On dopiero co tu wszedł. Sophia spiorunowała ją wzrokiem z nadzieją, że przyjaciółka zrozumie jej intencje.

– Naprawdę musimy już iść.

– Weź na wstrzymanie – zaszcebiotała Marcia. – Wypijmy najpierw po drinku. To czwartkowy wieczór, zapomniałaś? Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o ujeżdżaniu byków.

Po minie siedzącej obok Mary-Kate widać było, że w jej głowie toczy się jakiś wymagający intensywnego skupienia proces myślowy. Bez wątpienia Brian wrócił tamtej soboty do stolika i uraczył towarzystwo relacją z napadu, jakiego dokonała na niego banda kowbojów. Brian i Mary-Kate byli dobrymi przyjaciółmi i kiedy Mary-Kate wyjęła telefon komórkowy, wstała z sofy i wyszła z saloniku, Sophia, spodziewając się najgorszego, nie wahała się dłużej.

– Nie możemy zostać – oznajmiła stanowczo. – Mamy rezerwację.

– Co? – Marcia zamrugwała. – Nic mi nie mówiłaś. Gdzie?

Sophię zatkało, w głowie miała pustkę. Luke spojrział na nią i odchrząknął.

– U Fabiana – odparł.

Marcia popatrywała podejrzliwie to na jedno z nich, to na drugie.

– Nie obrażaj się tam na was, jak się parę minut spóźnicie.

– Niestety, już jesteśmy spóźnieni – powiedział Luke. A potem, zwracając się do Sophii, spytał: – Masz wszystko?

Sophii ulżyło. Poprawiła torebkę na ramieniu.

– Jestem gotowa.

Luke podał jej ramię i pociągnął ją w stronę drzwi.

– Miło mi było cię poznać, Marcia.

– I wzajemnie – bąknęła skonsternowana.

Otworzył drzwi, przepuścił Sophię przodem i wyszedł za nią, nakładając z rozbawioną miną kapelusz.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, z wnętrza dobiegł gwar podekscytowanych głosów. Luke, nawet jeśli to słyszał, nie dał tego po sobie poznać. Podprowadził Sophię do pick-upa, otworzył drzwi od strony pasażera, pomógł jej wsiąść, po czym obszedł wóz od przodu, żeby zająć miejsce za kierownicą. Kiedy to robił, Sophia zobaczyła mnóstwo zaaferowanych twarzy – w tym twarz Marcii – w oknach saloniku. Nie mogła się zdecydować, czy im pomachać, czy udawać, że ich nie widzi. Luke wsiadł i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Twoi znajomi oczy za tobą wypatrują – zauważył.

Pokręciła głową.

– Nie za mną. To ty ich zaciekawileś.

– A, rozumiem – mruknął. – Bo jestem chudy, tak?

Roześmiała się i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że ma w nosie, co o nich mówią czy myślą inni.

– Dzięki za wsparcie tam, w środku.

– Co tu jest grane?

Powiedziała mu o swoich obawach co do Briana i podejrzaniach w stosunku do Mary-Kate.

– Miałem to na uwadze – przyznał. – Wspominałaś, że on cię śledzi. Nastawiałem się na to, że wpadnie tam lada chwila rozjuszony.

– A mimo to przyjechałeś?

– Jak miałbym nie przyjechać? – Wzruszył ramionami. – Przecież mnie zaprosiłaś.

Odchyliła głowę na zagłówek. Tak bezpretensjonalnie to powiedział.

– Przepraszam, że nie oprowadzę cię dzisiaj po kampusie.

– Nie ma sprawy.

– Może innym razem – obiecała. – To znaczy... kiedy on nie będzie wiedział, że tu jesteś.

Pokażę ci wszystkie najciekawsze miejsca.

– Trzymam za słowo – mruknął.

Z bliska jego oczy były krystalicznie błękitne, porażały wyrazistością. Wyskubała wymaginowane włókienko z nogawki džinsów.

– To co robimy?

Zastanowił się.

– Głodna jesteś?

– Trochę – przyznała.

– To może pojedziemy do tego Fabiana? Tylko nie wiem, czy nas tam wpuszczą, bo tak naprawdę to rezerwacji nie mamy. Ale spróbować nie zawadzi.

Po chwili namysłu pokręciła głową.

– Nie, nie dzisiaj. Wolę jakąś knajpkę na uboczu. Albo sushi?

Nie odpowiedział od razu; zastanawiał się.

– Niech będzie – przystał w końcu.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Jadłeś już kiedyś sushi?

– To, że mieszkam na ranczu, nie znaczy jeszcze, że od czasu do czasu nie wypuszczam się stamtąd w wielki świat.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Przebierał chwilę w kluczykach na breloczku, znalazł ten, którego szukał, i wsunął go w stacyjkę.

– Nie – przyznał. – Sushi jeszcze nie jadłem.

Parsknęła śmiechem.

Pojechali do japońskiej restauracji Sakura. Większość stolików była zajęta, większość stołków przy barku sushi też. Kiedy czekali na hostessę, Sophia z duszą na ramieniu rozglądała się po sali, modląc się w duchu, żeby nie było tutaj kogoś znajomego. Studenci rzadko tu zaglądali – studencka brać jak świat długi i szeroki gustuje raczej w hamburgerach i pizzy – co nie znaczy, że od Sakury stronili. Sama wpadała tu czasami z Marcją i chociaż nie wypatrzyła żadnej znajomej twarzy, to poprosiła o stolik w ogródku na zewnątrz.

Lampy grzewcze w rogach emitowały ciepło, które wypędzało z ogródka chłód jesiennego wieczoru. Tylko jeden stolik był zajęty. Siedząca przy nim para kończyła właśnie posiłek i zalegała tu błoga cisza. Widok nie był jakiś zachwycający, ale japońskie lampiony zawieszane nad stolikami przydawały temu miejscu romantyczności.

Usiedli i Sophia nachyliła się do Luke'a.

– Co myślisz o Marcii?

– Tej twojej współlokatorce? Nawet sympatyczna. Ale jakaś taka... pobudzona.

Przekrzywiła głowę.

– Chcesz powiedzieć... irytująca?

– Nie, tylko jak coś mówiła, to raz po raz dźgała mnie palcem w ramię.

Sophia machnęła ręką.

– Ona już taka jest. Każdemu tak robi. To jej zdaniem najlepszy sposób na poderwanie faceta.

– Wiesz, jakie były jej pierwsze słowa, kiedy witała mnie w drzwiach?

– Aż się boję zapytać.

– Powiedziała: „Podobno całowałeś się z moją najlepszą przyjaciółką”.

Normalna rzecz, pomyślała Sophia.

– Cała Marcia. Co na myśli, to na języku, żadnej filtracji.
– Ale lubisz ją.
– Tak – powiedziała Sophia. – Lubię. Wzięła mnie pod swoje skrzydła, kiedy tego potrzebowałam. Według niej jestem... jestem pierwszą naiwną.
– I ma rację?

– Poniekąd – przyznała Sophia. Sięgnęła po pałeczki. – Przed przyjazdem do Wake nie chodziłam z żadnym chłopakiem. W szkole średniej miałam opinię kujona, poza tym pracowałam i brakowało mi czasu na imprezowanie, i w ogóle. Nie, tak zupełnie oderwana od świata to nie byłam, wiedziałam, jak inni spędzają weekendy. Wiedziałam, że w szkole bierze się narkotyki, uprawia seks i tak dalej, ale głównie z plotek i tego, co przypadkiem zasłyszałam. W każdym razie zdawałam sobie sprawę, co się wokół mnie dzieje. Tu, w kampusie, w czasie pierwszego semestru, zszokowało mnie, jak otwarcie i bez zahamowań to wszystko się odbywa. Dziewczyny rozmawiały między sobą o facetach, których ostatnio zaliczyły, a ja nie byłam nawet do końca pewna, co pod tym słowem rozumieć. Czy umówienie się z kimś na randkę, czy pójscie z nim do łóżka, czy coś pomiędzy, no wiesz. Sporo czasu zajęło mi rozszyfrowanie tego kampusowego slangu.

Luke uśmiechnął się.

– No i ogólnie życie studenckie nie wygląda tak, jak je sobie wyobrażałam – ciągnęła. – Bez przerwy jakieś imprezy, mnóstwo ludzi, a co za tym idzie, alkohol i narkotyki, że o innych rzeczach nie wspomnę. Przyznam ci się, że kilka razy za dużo wypiałam, a potem wymiotowałam w łazience i film mi się urywał. Wstydzę się tego, ale w kampusie jest wiele osób, które spędzają tak każdy weekend. Ja nie biorę w tym już udziału, przez co inni, z Marcją włącznie, uważają mnie za naiwniaczkę. Do tego nie startuję w konkurencji „zaliczania” i z tego powodu mam u wielu opinię świętoszki. Nawet Marcia tak o mnie myśli. Ona nie pojmuje, jak studentka college’u może szukać faceta na stałe. Mówi, że związek na poważnie to nie dla niej.

Luke, idąc za jej przykładem, sięgnął po pałeczki.

– Znam paru gości, którzy byliby szczerze zainteresowani dziewczyną taką jak ona. Dać ci na nich namiary?

– Nie, dziękuję... Marcia chyba tylko tak mówi. Podejrzewam, że chciałaby związać się z kimś na poważnie, ale nie wie, jak znaleźć chłopaka, który też by tego chciał. W college’u ze świecą takich szukać, bo i po co się angażować, skoro w bezpruderyjnych dziewczynach mogą tu przebierać jak w ulęgalkach? Rozumiem jeszcze, że sypia się z kimś, kogo się kocha, ale iść do łóżka z pierwszym lepszym, którego się ledwie zna? Jaki w tym sens? To brak szacunku dla siebie samej.

Zamilkła, uświadamiając sobie, że jemu pierwszemu zdradziła tak otwarcie swoje poglądy. Dziwne, nieprawdaż?

Luke bawił się w zamyśleniu pałeczkami.

– To bardzo dojrzałe, co mówisz – odezwał się w końcu, wsuwając głowę w światło lampionu.

Żeby pokryć zakłopotanie, wzięła do ręki menu.

– Jeśli nie chcesz sushi, możesz zamówić dla siebie coś innego. Mają tu też kurczaki i befsztyki teriyaki.

Luke studiował swoje menu.

– A ty co zamawiasz?

– Sushi – odparła.

– Gdzie nauczyłaś się jeść sushi?

– W szkole średniej. Miałam tam koleżankę Japonkę. Opowiadała mi do znudzenia

o restauracyjce w Edgewater, do której chodzi, kiedy dopada ją tęsknota za przepysznymi japońskimi potrawami. Jak człowiek żywi się na okrągło gotowymi daniami z delikatesów, tak jak ja, to w końcu przychodzi mu ochota na skosztowanie czegoś innego. No więc poszłam tam z nią któregoś dnia i zakochałam się w sushi. Od tamtej pory jeździłyśmy często jej samochodem do Edgewater, do tej małej, niepozornej restauracyjki. Można nas było nazwać stałymi klientkami. I teraz też od czasu do czasu nachodzi mnie ochota na sushi. Tak jak dzisiaj.

– Ja również mam swój przysmak – powiedział. – Kiedy w szkole średniej brałem udział w wystawach Cztery H na targach stanowych, to zajadałem się tam smażonymi w głębokim tłuszczu twinkies.

Zrobiła wielkie oczy.

– Porównujesz smażone twinkies z sushi?

– A jadłaś kiedy smażonego twinkie?

– Nie brzmi apetycznie.

– Może i nie, ale nie krytykuj, dopóki nie spróbujesz. Mówię ci, niebo w gębie. Jak się ich za dużo zje, to można się przejechać na zawał, trzeba zachować umiar, ale próżno szukać czegoś pyszniejszego. Są o wiele smaczniejsze od smażonych oreos.

– Smażone oreos?!

– Jakby twoi rodzice chcieli poszerzyć asortyment swoich delikatesów o jakiś smakołyk, to polecam smażone twinkies. Będą się rozchodziły jak ciepłe bułeczki.

Z początku nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Potem, poważnym tonem, orzekła:

– Wątpię, czy ktoś z północnego wschodu skusiłby się na coś takiego.

– To byś się zdziwiła – powiedział. – Byłyby tam czymś nowym, ludzie ustawialiby się po nie w kolejki.

Pokręciła głową i znowu spojrzała w menu.

– Czyli należałaś do Cztery H, tak?

– Od małego. Byłem w sekcji świń.

– Co to za organizacja? Słyszałam o niej, ale nie bardzo wiem, czym się zajmuje.

– Tak w ogóle to krzewieniem właściwego podejścia do pracy na farmie i ranczu, odpowiedzialności i tego rodzaju rzeczami. A współzawodnictwo w mojej sekcji polegało na tym, że spośród kilku prosiaków wybierało się tego najlepiej się zapowiadającego. Sprawdzano się, kim są rodzice, oglądało zdjęcia, a potem wskazywało tego, który twoim zdaniem ma największe szanse na medale. Musiał być dorodny, dobrze umięśniony, ale nie za tłusty i bez żadnych widocznych wad. A potem hodowało się go przez jakiś rok, karmiło, doglądało; można powiedzieć, że te świnki stawały się twoimi pupilkami, oczkiem w głowie.

– Niech zgadnę. Każdą nazywałaś Świnia.

– To nie zgadłaś. Na pierwszą wołałem Edith, na drugą Fred, a na trzecią Maggie. Jak chcesz, to mogę dalej wymieniać.

– To ile tych prosiąt w sumie odchowalesz?

Zabębnił palcami w blat stolika.

– Chyba z dziewięcioro. Pierwszego w trzeciej klasie podstawówki, a ostatniego, kiedy już chodziłem do szkoły średniej.

– A jak już wyrosły, to gdzie je wystawialesz?

– Na targach stanowych. Sędziowie oglądali je tam ze wszystkich stron i wydawali werdykt.

– A jeśli twój wygrał?

– Dostawało się wstęgę zwycięzcy – wyjaśnił. – Ale świnię, obojętne, czy zajęła pierwsze, czy ostatnie miejsce, trzeba było w końcu sprzedać.

– I co się z nią działo?

– To, co dzieje się ze wszystkimi świniami – odparł. – Trafiała do rzeźni.

Sophia zamrugła.

– Chcesz powiedzieć, że chowałeś taką od prosięcia, nadawałeś imię, doglądałeś przez rok, a potem sprzedawałeś i szła pod nóż?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– A co innego można zrobić ze świnia?

Zamurowało ją. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała głos.

– Wiesz, co ci powiem? Jeszcze nigdy, przenigdy, nie zdarzyło mi się poznać kogoś takiego jak ty.

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie – odparował.

10 Luke

Przestudiował menu od deski do deski i dalej nie miał pojęcia, co sobie zamówić. Korciło go, żeby wybrać coś bezpiecznego – na przykład wspomnianego przez nią kurczaka albo ten befsztyk teriyaki – ale wahał się jeszcze. Słyszał, że niektórzy przepadają za sushi, i wypadaloby przynajmniej spróbować tego wynalazku. Kto wie, może by mu nawet podszedł?

Sęk w tym, że w menu było kilka rodzajów sushi. No i bądź tu mądry, człowieku, zdecyduj się na któreś. Surowa ryba to surowa ryba, a fotografie nic mu nie mówiły. Miał do wyboru czerwonawą, różowawą i białawą; ciekawe, czy w smaku też się czymś różnią.

Zerknął sponad menu na Sophie. Była umalowana mocniej niż podczas wizyty na ranczu. Podobny makijaż miała, kiedy się poznali. Wierzyć się nie chciało, że od tamtego wieczoru nie upłynął jeszcze tydzień. Preferował urodę naturalną, ale musiał przyznać, że ten makijaż dodaje jej rysom wyrazistości. Kiedy szli do stolika, obejrzał się za nią niejeden mężczyzna.

– Jaka jest różnica między nigiri-sushi a maki-sushi? – spytał.

Sophia także przeglądała wciąż menu. Kiedy podeszła kelnerka, zamówiła dwie butelki japońskiego piwa Sapporo, którego jeszcze nie próbował.

– Nigiri znaczy, że ryba podawana jest w płatku ryżowym – wyjaśniła. – A maki to ryba zawinięta w wodorosty.

– W wodorosty?

Puściła do niego oko.

– Pyszności. Będzie ci smakowało.

Zacisnął usta, nie kryjąc powątpiewania. Przez okna widać było ludzi siedzących w środku i delektujących się tym, co sobie zamówili. Wszyscy z wprawą posługiwali się pałeczkami. On też był w tym niezły, opanował tę sztukę, żywiąc się w trasie chińszczyzną z cienkich kartonowych pudełek.

– Wiesz co? Zdaję się na ciebie – powiedział, odkładając menu. – Ty wybieraj.

– Okay – przystała.

– Masz już coś upatrzonego?

– O, niejedno – zapewniła go. – Weźmiemy anago, ahi, aji, hamachi... co by tu jeszcze. Sięgnął po butelkę.

– Nic mi to nie mówi.

– Anago to węgorz – wyjaśniła.

Butelka zastygła w połowie drogi do ust.

– Węgorz?

– Zasmakuje ci – zapewniła go, nie kryjąc rozbawienia.

Podeszła ponownie kelnerka i Sophia, sypiąc jak z rękawa egzotycznymi nazwami dań, złożyła sążniste zamówienie. Czekając na obsłużenie, wdali się w luźną rozmowę, którą przerwała dopiero kelnerka wracająca z tacą. Podczas posiłku opisał jej pokrótce swoje dzieciństwo i szczeniące lata, które w zasadzie przebiegały dość typowo, jeśli nie brać pod uwagę pracy na ranczu. Podzielił się z nią wspomnieniami ze szkoły średniej, gdzie przez trzy lata występował w szkolnej reprezentacji zapaśniczej, ze spędzanych w domu wakacji i paru imprez, które zapadły mu w pamięć. Opowiadał, jak latem ładowali z rodzicami na przyczepę trzy konie i jechali na kilka dni w góry, w okolice Boone, żeby kłusować tam po bezdrożach; to był jedyny rodzaj ich rodzinnych wakacji. Napomknął o treningach w stodole na mechanicznym byku, którego ojciec podrasował tak, żeby gwałtowniej wierzgał. Trenować zaczął pod okiem ojca

jeszcze w podstawówce. Wspomnił o kontuzjach, jakie wtedy odniósł, oraz o emocjonującym finale swoich pierwszych mistrzostw świata zawodowych ujeżdźaczy byków – prowadził aż do ostatniej rundy, żeby ostatecznie zająć trzecie miejsce. Sophia słuchała z zapartym tchem, tylko od czasu do czasu mu przerywając, żeby zadać jakieś pytanie.

Czuł, że jest autentycznie zainteresowana, że chłonie każde jego słowo. I kiedy kelnerka zbierała ze stolika puste talerzyki, stwierdził, że wszystko w Sophii, od naturalnego śmiechu po lekki, ale niezaprzeczalnie północny akcent, rozbraja go i uwodzi. Co więcej, odkrywał, że pomimo różnic, jakie ich dzielą, potrafi czuć się przy niej swobodnie i nie musi udawać kogoś, kim nie jest. W jej towarzystwie zapominał o stresie, jaki odczuwał, ilekroć pomyślał o ranczu. Albo o mamie. Albo o tym, co będzie, jeśli jego plany nie wypalą.

Pogrążony w tych myślach, nie od razu się zorientował, że Sophia na niego patrzy.

– O czym tak myślisz? – spytała.

– Ja?

– Przez chwilę wyglądałeś tak, jakbyś się wyłączył.

– Wydawało ci się.

– Na pewno? Mam nadzieję, że to nie przez anago.

– Nie. Myślałem, co mam jeszcze do zrobienia przed wyjazdem na zawody.

Ściągnęła brwi, przyglądając mu się uważnie.

– Okay – mruknęła w końcu. – Kiedy ruszasz?

– Jutro po południu – podchwycił rad, że mu odpuściła. – W Knoxville będę przed północą i tam przenocuję. W sobotę wieczorem ruszę w drogę powrotną. Do domu dotrę nad ranem, ale w ten weekend zaczynamy sprzedaż dyni. Uwinąłem się już z większością przygotowań do Halloween, między innymi zbudowaliśmy z Jose taki fajny wielki labirynt z bel siana, ale teraz będzie do nas przyjeżdżało mnóstwo ludzi i mama z Jose sami sobie nie poradzą.

– To dlatego mama gniewa się na ciebie? Za to, że jutro wyjeżdżasz?

– Za to też – mruknął, przesuwając po talerzu wiórek imbiru. – Ale głównie za to, że biorę udział w zawodach.

– To jeszcze się z tym nie pogodziła? Czy może raczej ma do ciebie pretensję, że się nie wycofałeś po tym, jak się potłukłeś, spadając z Zakapiora?

– Mama – powiedział, dobierając starannie słowa – boi się, że coś mi się stanie.

– Przecież już nieraz odnosiłeś kontuzje.

– Tak.

– Ukrywasz coś przede mną?

– Umówmy się może tak – zaproponował po chwili zastanowienia, odkładając pałeczki – powiem ci wszystko, ale w odpowiednim czasie.

– Zawsze mogę zapytać twoją mamę.

– Możesz. Ale najpierw musiałabyś ją poznać.

– A gdybym pojechała tam w sobotę i spróbowała się z nią zaznajomić?

– Proszę bardzo. Ale przygotuj się na to, że zostaniesz zaprzęgnięta do roboty i przez cały dzień będziesz dźwigała dynie.

– Jestem silna.

– A nosiłaś kiedyś przez cały dzień dynie?

Nachyliła się do niego nad stolikiem.

– A ty rozładowywałaś kiedyś ciężarówkę pełną mięsa i wędlin? – Uśmiechnęła się triumfująco, kiedy na to nie odpowiedział. – Widzisz? Mamy jednak coś wspólnego. Oboje ciężko harowaliśmy.

– I oboje potrafimy już dosiadać konia.

Uśmiechnęła się.

– To też. Jak smakowało sushi?

– Niezłe – bąknął.

– Odnoszę wrażenie, że wolałbyś mielonego kotleta.

– Mielonego kotleta mogę zjeść w każdej chwili. To jedna z moich specjalności.

– Umiesz gotować?

– Grillować – uściślił. – Tato mnie nauczył.

– A nie ugrillowałbyś czegoś kiedyś dla mnie?

– Co tylko chcesz. Do wyboru masz hamburgery, steki i mielone. Nachyliła się jeszcze bliżej.

– I co dalej robimy? Może zaryzykujesz i pójdziesz ze mną na imprezę organizowaną przez zaprzyjaźnione bractwo? Już się pewnie zaczęła.

– A Brian?

– On jest z tym bractwem skłócony i nigdy u nich nie bywa. I nie musimy długo tam zabawić. Ale kapelusz zostaw lepiej w samochodzie.

– Jak tak bardzo chcesz, to chodźmy.

– Jeszcze nie wiem, czy chcę. Pytam ciebie.

– A jak te imprezy wyglądają? – spytał. – Muzyka, rój studenciarni, coś w tym rodzaju?

– Mniej więcej.

Po chwili zastanowienia pokręcił głową.

– Raczej sobie daruję – orzekł.

– Tak myślałam. To może oprowadzę cię po kampusie?

– Zostawmy to na kiedy indziej. O ile się jeszcze kiedyś ze mną umówisz.

Sunęła palcem po brzegu szklanki z wodą.

– Więc co proponujesz?

Nie odpowiedział od razu. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jaki przemożny wpływ wywarła na jego życie decyzja o powrocie do ujeżdżania byków. Z jednej strony zraził nią siebie mamę i szczerze mówiąc, sam nie był przekonany, czy to był dobry pomysł, jednak z drugiej poznał dzięki temu dziewczynę, której z całą pewnością nigdy nie zapomni.

– Masz ochotę na małą przejażdżkę? Znam takie miejsce, gdzie nie spotkasz nikogo znajomego. Gwarantuję. Cicho tam w nocy, ale naprawdę uroczo.

Wysiedli z pick-upa. Księżyc nad ranczem oblewał okolicę srebrzystą poświatą. Pies wypadł spod werandy, pognął im na spotkanie i zatrzymał się obok Sophii, zupełnie jakby się ich spodziewał.

– Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana – powiedział Luke. – Przywiozłem cię tu, bo nie wiedziałem, gdzie jeszcze mogę cię zabrać.

– Byłam pewna, że jedziemy tutaj – odparła Sophia, schylając się, żeby pogłaskać Psa. – Gdybym miała coś przeciwko, powiedziałabym.

Pokazał na swój domek.

– Usiądźmy na ganku albo chodźmy nad jezioro.

– Nie nad rzekę?

– Nad rzeką już byłaś.

Rozejrzała się.

– I znowu usiądziemy na krzeselkach na pace pick-upa?

– A jakżeby inaczej – powiedział. – Na ziemi lepiej tam nie siadać. W końcu to pastwisko.

Spojrzał na Psa ocierającego się o jej nogi.

– A Psa ze sobą zabierzemy? – spytała.

– Nawet gdybym kazał mu zostać, i tak pobiegnie za nami.

– No to jedziemy nad jeziorko.

– Zabiorę tylko to i owo z domu, dobrze?

Wrócił po chwili z przenośną chłodziarką i kocami pod pachą. Załadował to na pakę pick-upa. Wsiedli, silnik zaskoczył z basowym odgłosem.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę – powiedziała podniesionym głosem, przekrzykując ten ryk – ale twój samochód hałasuje jak czółg!

– Miłe dla ucha, prawda? Specjalnie przerobiłem układ wydechowy, żeby uzyskać to brzmienie. Dodałem drugi tłumik i takie tam.

– Nie wierzę. Nikt tego nie robi.

– Ja zrobiłem – odparł. – I wielu tak robi.

– Chyba tylko ci z rancz.

– Nie tylko my. Myśliwi i wędkarze też.

– Innymi słowy, każdy, kto ma karabin i lubi przebywać na świeżym powietrzu.

– A są jeszcze jacyś inni na tym świecie?

Sophia uśmiechnęła się. Wycofał, skręcił w podjazd i ruszył nim w kierunku głównego domu. W salonie paliło się światło. Mama jeszcze nie spała. Spróbował sobie przypomnieć, co Sophii powiedział, a co przemilczał.

Musi przewietrzyć umysł. Opuścił szybę i wystawił za okno łokieć. Pick-up podskakiwał na nierównościach terenu. Kątem oka widział, jak wpadający przez otwarte okno prąd powietrza rozwiewa pszenicznazłote włosy Sophii. Wyglądała przez okno od strony pasażera. Minęli w milczeniu stodołę.

Zatrzymał się przed pastwiskiem, wyskoczył z kabiny, otworzył bramę i po przejechaniu przez nią zamknął za sobą. Włączył długie światła i ruszył dalej wolno, żeby nie niszczyć trawy. Nie dojeżdżając do samego jeziorka, zatrzymał wóz, zawrócił, tak jak to zrobił na rodeo, i zgasił silnik.

– Patrz pod nogi – ostrzegł Sophię. – To pastwisko, jak już powiedziałem.

Opuścił szybę w oknie od jej strony, włączył radio i obszedł pick-upa od tyłu. Pomógł Sophii wspiąć się na pakę, potem rozstawił na niej krzeselka. Usiedli tak jak niecały tydzień temu, tym razem Sophia z kocem na kolanach. Wyjął z chłodziarki dwie butelki piwa. Odkapslował obie, podał jedną Sophii i patrzył, jak ta unosi ją do ust.

Tafla jeziorka przed nimi była gładka jak lustro, odbijały się w niej sierp księżycy i gwiazdy. W dali, nad przeciwległym brzegiem, zgromadziło się stado bydła, w ciemności połyskiwały białe piersi krów. Ich porykiwania niosły się nad wodą, mieszając się z rechotem żab i cykaniem świerszczy. Pachniało trawą, piaskiem i samą ziemią.

– Pięknie tutaj – wyszeptała Sophia.

Przemknęło mu przez myśl, że ją też można było opisać tym słowem, ale nie powiedział tego głośno.

– Jak na tamtej polance nad rzeką – dodała. – Tylko perspektywa szersza.

– Mhm – mruknął. – Ale nad rzekę jeżdżę, jak chcę powspominać tatę. Tutaj przychodzę, żeby pomyśleć o innych rzeczach.

– Na przykład jakich?

– Różnych. – Wzruszył ramionami. – O życiu. O pracy. O dziewczynach.

Spojrzała na niego spod oka.

– Mówiłeś, że wielu ich nie miałeś.

– I dlatego pozostaje mi tylko o nich myśleć.

Zachichotała.

– W nawiązywaniu znajomości z dziewczynami trzeba zachować daleko posuniętą ostrożność. No ale co ja, młoda i naiwna, mogę o tym wiedzieć.

– Czyli gdybym zwrócił się do ciebie o poradę...

– Odesłałabym cię do kogoś z większym doświadczeniem życiowym. Dajmy na to, do twojej mamy.

– Dajmy na to – powtórzył za nią. – Między nią i tatą dobrze się układało. Zwłaszcza od kiedy tato rzucił rodeo i był zawsze pod ręką, bo na ranczu roboty huk. Gdyby tego nie zrobił, to nie wiem, co by było. Sama nie dawała sobie tutaj rady, zwłaszcza kiedy ja przyszedłem na świat i na dodatek musiała się jeszcze zajmować mną. Dam sobie rękę uciąć, że właśnie to przeważyło. No i przestał jeździć w trasy. A jak już podrosłem i spytałem go kiedyś dlaczego, powiedział, że małżeństwo z mamą było dla niego ważniejsze od ujeżdżania koni.

– Z tego, co mówisz, wnoszę, że jesteś z niej dumny.

– Bo jestem – przyznał. – Tato i mama oboje ciężko pracowali, ale to ona postawiła ranczo na nogi. Kiedy odziedziczyła je po dziadku, ledwie zipsało. Ceny na rynku bydła skakały to w górę, to w dół i w niektóre lata nie wychodziło się nawet na swoje. To ona wpadła na pomysł wyspecjalizowania się w ekologicznej wołowinie. To ona wsiadła do samochodu i objechała cały stan, rozmawiając z właścicielami restauracji, rozdając broszury. Bez niej nie byłoby Collins Beef. Tobie może niewiele mówi ta nazwa, ale dla odbiorców wołowiny z Karoliny Północnej to dobra marka.

Sophia słuchała tego, patrząc na majaczący w oddali główny dom.

– Chciałabym ją poznać.

– Przedstawiłbym cię jej choćby teraz, ale pewnie już śpi. Chodzi spać z kurami. Ale jak chcesz, to wpadnij w niedzielę. Ja już tu będę.

– Aha, i zaprzęgniesz mnie z miejsca do pomocy przy dźwiganiu dyń.

– Myślałem, że mogłabyś przyjechać na kolację. W ciągu dnia jest tu spory ruch.

– Odpowiada mi, tylko czy twoja mama nie będzie miała nic przeciwko?

– Nie będzie.

– O której?

– Tak koło szóstej.

– To jesteśmy umówieni – powiedziała. – A przy okazji, gdzie ten labirynt, o którym mówiłeś?

– Przy poletku z dyniami.

Ściągnęła brwi.

– Pokazywałeś mi to miejsce, kiedy byłam tu ostatnio?

– Nie – odparł. – To bliżej głównej drogi, tam gdzie rosną choinki.

– To dlaczego go nie zauważyłam, kiedy tu skręcaliśmy?

– Nie wiem. Może dlatego, że było ciemno.

– Bardzo w nim strasznie? Są tam strachy na wróble, pająki i inne szkarady?

– Straszdyła są, ale nie takie straszne. Labirynt jest dla małych dzieci. Tato kiedyś przegiął i parę szkrabów wyszło stamtąd z płaczem. Od tamtego czasu staramy się zachować umiar. Dekoracji jest tam od groma. Pająki, duchy, strachy na wróble. Ale wszystko to bardziej przymilne niż straszące.

– Możemy tam pójść?

– Pewnie. Chętnie cię oprowadzę. Ale musisz wziąć poprawkę na to, że on nie jest dla dorosłych i że głowa ci będzie wystawała ponad bele. – Odpędził machnięciem ręki kilka

komarów. – Ale nie odpowiedziałas jeszcze na moje wcześniejsze pytanie.

– Jakie?

– Pytałem o związki damsko-męskie – przypomniał jej.

Wygładziła koc na kolanach.

– Mama z tatą od dawna są małżeństwem. Obserwowałam ich przez wiele lat i myślałam, że się na tym znam. Ale okazuje się, że umknęło mi chyba to, co najważniejsze.

– Znaczy co?

– Przede wszystkim trzeba dokonać właściwego wyboru.

– A po czym poznać, że jest właściwy?

– Jak by to powiedzieć... – Zawiesiła na chwilę głos. – To nie takie proste. Ale chyba na początek trzeba ocenić, czy do siebie pasujecie. Czy wyznajecie te same wartości. Ja się już na tym sparzyłam. Wiążąc się z Brianem, byłam przekonana, że dochowa mi wierności. Ale z czasem wyszło na jaw, że on ani myślał jej dochowywać. Dla niego skoki w bok były czymś zupełnie naturalnym. Inna skala wartości, krótko mówiąc.

– Jakoś nie widzę, żeby cię to gnębiło.

– Było, minęło. Ale nie powiem, przeżyłam to. Kiedy wiosną dowiedziałam się, że przespał się z inną dziewczyną, przez tydzień nie mogłam nic przełknąć. Schudłam prawie siedem kilo.

– To co z ciebie zostało?

– Po prostu straciłam apetyt. Jedni w stresie jedzą bez opamiętania, ja odwrotnie. Kiedy przyjechałam na letnie wakacje do domu, tato z mamą wpadli w panikę. Podtykali mi na każdym kroku rozmaite smakołyki, błagali, żebym jadła. Do tej pory nie odzyskałam w pełni dawnej wagi. No, ale od rozpoczęcia roku akademickiego na jedzenie nie bardzo jest czas.

– To się cieszę, że zjadłaś coś ze mną.

– Ty mnie nie stresujesz.

– Chociaż nie mamy ze sobą wiele wspólnego?

Miał nadzieję, że nie wychwyciła w jego tonie niepokoju.

– Więcej, niż ci się wydaje. Nasi rodzice byli do siebie pod wieloma względami podobni. Długoletnie małżeństwa, ciężka praca w rodzinnym biznesie, pokładanie nadziei w nas, dzieciach. Moi chcieli, żebym się dobrze uczyła, twój tato, żebyś został mistrzem w ujeżdżaniu byków, i oboje spełniliśmy ich oczekiwania.

Jej odpowiedź przyniosła mu ulgę.

– To co, chcesz obejrzeć ten labirynt?

– Dopijmy najpierw piwo. Tak tu uroczo, że żal już odjeżdżać.

Sącząc niespiesznie piwo, gawędzili wpatrzeni w smugę księżycowej poświaty przecinającej nieruchomą taflę jeziora. Korciło go, żeby znów ją pocałować, ale się powstrzymywał. Analizował w myślach jej stwierdzenie, że mają ze sobą wiele wspólnego, i dochodził do wniosku, że musi jej przyznać rację. Miał nadzieję, że to wystarczy, by tu częściej przyjeżdżała.

Po jakimś czasie zamilkli oboje. Pod wpływem impulsu wziął ją za rękę. Robiło się coraz chłodniej, gwiazdy nabierały krystalicznej wyrazistości. Spojrzał na nie, potem na nią, i kiedy zaczęła gładzić kciukiem grzbiet jego dłoni, odpowiedział tym samym. W tym momencie był już pewien, że się w niej zakochuje i że nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby zatrzymać ów proces.

Trzymając się za ręce, szli przez dyniowe poletko w stronę labiryntu. Dziwne, ale ten kontakt dłoni wydawał mu się bardziej znamienny niż wcześniejsze pocałunki; symbolizował

trwałość. Ujrzał oczyma wyobraźni, jak po latach idą tak wciąż, ręka w rękę, przez życie, i przeszedł go dreszcz.

– O czym tak myślisz?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– O tym i owym – mruknął w końcu.

– Powiedział ci ktoś kiedyś, że masz skłonności do udzielania mało konkretnych odpowiedzi?

– Razi cię to?

– Jeszcze nie wiem – odparła, ściskając jego dłoń. – Powiem ci, jak będę wiedziała.

– A labirynt jest tam. – Pokazał palcem. – Ale chciałem, żebyś najpierw zobaczyła poletko z dyniami.

– Mogę sobie jedną wziąć?

– Pewnie.

– Pomożesz mi ją wystrugać na Halloween?

– Możemy to zrobić po kolacji. To moja specjalność.

– Naprawdę?

– Już ze dwadzieścia wyrzeźbiłem w tym tygodniu. Straszne, śmieszne, jakie chcesz.

Popatrzyła na niego z uznaniem.

– Jesteś człowiekiem wszechstronnie utalentowanym.

Wiedział, że się z nim droczy, ale mu to nie przeszkadzało.

– Dziękuję.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy poznam twoją mamę.

– Spodoba ci się.

– Jaka ona jest?

– Uprzedzę cię tylko, żebyś się nie spodziewała damy w kwiecistej sukience i w perłach.

Nastaw się raczej na... dzinsy, kowbojskie buty i słomę we włosach.

Sophia uśmiechnęła się.

– Rozumiem. Na co jeszcze mam się nastawić?

– Mama jest prawdziwą pionierką. Jak trzeba coś zrobić, robi to i ode mnie też tego wymaga. Jest rzeczowa. I twarda.

– Tak ją sobie właśnie wyobrażam. Życie tutaj nie jest łatwe.

– Ona naprawdę jest twarda. Wytrzymała na ból, na nic się nie poskarży, nie biadoli, nie płacze. Trzy lata temu spadła z konia i złamała sobie nadgarstek. Co zrobiła? Nic nikomu nie powiedziała, pracowała przez resztę dnia, przygotowała kolację i dopiero potem pojechała sama do szpitala. Co jej się przytrafiło, dowiedziałem się następnego dnia, kiedy zobaczyłem, że ma rękę w gipsie.

Sophia przestąpiła przez wijące się po ziemi pnącza, żeby broń Boże nie uszkodzić któregoś z dyń.

– Będę się musiała przy niej pilnować.

– Dasz sobie radę. Spodobasz się jej. Jesteście do siebie bardziej podobne, niż ci się może wydawać.

Sophia spojrzała na niego zdziwiona.

– Jest inteligentna – ciągnął. – W szkole średniej była gospodynią klasy, dużo czyta, prowadzi księgowość rancza i w ogóle jest tutaj pierwszą po Bogu. Jest uparta, ale więcej wymaga od siebie niż od innych. Jej jedyna pięta achillesowa to słabość do facetów w kowbojskich kapeluszach.

Sophia roześmiała się.

– Ja też taka jestem? Mam słabość do kowbojów?

– Nie wiem. A masz?

Nie potwierdziła, nie zaprzeczyła.

– Z tego, co słyszę, twoja mama to bardzo barwna postać.

– Żebyś wiedziała – przytaknął. – I jak będzie w nastroju, to opowie ci może którąś ze swoich przypowieści. A opowiadać potrafi jak nikt.

– I o czym te przypowieści?

– O czym chcesz. Ale mnie zawsze dają do myślenia.

– Opowiedz mi którąś – poprosiła.

Zatrzymał się, przykucnął przy ogromnej dyni.

– No, dobrze – mruknął, przetaczając dynię na drugi bok. – Kiedy zająłem pierwsze miejsce w krajowych mistrzostwach szkół średnich w rodeo...

– Zaraz, zaraz – przerwała mu. – Mistrzostwa szkół średnich w rodeo? To odbywają się tu takie?

– Wszędzie się odbywają. A co?

– W New Jersey ich nie ma.

– Jasne, że są. Zjeżdżają się na nie reprezentanci szkół średnich ze wszystkich stanów.

– I ty wygrałeś?

– Tak, ale nie o to chodzi – powiedział, wstając i znowu biorąc ją za rękę. – Słuchaj dalej.

Kiedy po tym pierwszym zwycięstwie wróciłem do domu i usiedliśmy do kolacji, paplałem jak najęty, że ujeżdżanie byków będzie od tej pory moim sposobem na życie. Tato w pełni mnie popierał w tym postanowieniu, ale mama, sprzątając ze stołu, przerwała moje fantazjowanie i opowiedziała mi przypowieść, którą do dziś pamiętam.

– O czym była?

– Jeden młody człowiek mieszka w małej, rozpadającej się chatce przy plaży i codziennie wypływa swoją łódką na ocean łowić ryby nie tylko dlatego, że coś jeść trzeba, ale też dlatego, że na wodzie czuje się wolny. A poza tym chce zapewnić sobie i swojej rodzinie lepszy byt, a więc wychodzi z siebie, żeby wracać z jak największym połowem. Za to, co zarobił na nadwyżkach, kupuje z czasem większą łódź, żeby łowić jeszcze więcej. Potem trzecią i czwartą, i z biegiem lat ma już całą flotę takich łodzi. Jest coraz bogatszy, ma duży dom i kwitnący interes, ale nerwy i ciągła presja związane z prowadzeniem firmy robią swoje. Mężczyzna uświadamia sobie, że najszczęśliwszy był, mieszkając w małej chatce i łowiąc ryby z małej łódki... bo najważniejsze w życiu są spokój i poczucie wolności.

Sophia przekrzywiła głowę.

– Twoja mama jest mądrą kobietą. Wiele w tej przypowieści prawdy.

– Tak myślisz?

– Moim zdaniem ludzie często nie zdają sobie sprawy, że nic nie jest dokładnie takie, jak to sobie wyobrażają.

Byli już u wejścia do labiryntu. Luke wkroczył tam pierwszy, Sophia za nim. Pokazywał jej odnogi, które po paru zakrętach kończyły się ślepym zaułkiem, i te, które prowadziły dalej. Labirynt zajmował pół hektara i przebrnięcie przez niego było dla dzieciarni nie lada wyzwaniem.

Dotarli wreszcie do wyjścia i podeszli do składowiska zebranych już dyń. Jedne były ułożone w stosy, inne zapakowane do skrzyń, jeszcze inne leżały na ziemi luzem. A na poletku, przez które niedawno przechodzili, pozostały jeszcze setki do zebrania.

– Tak to wygląda – powiedział.

– Zatrzęsienie. I to wszystko się sprzeda?

– W trzy dni.

Pokręciła z niedowierzaniem głową i pochyliła się nad dyniami. Wybrała taką średniej wielkości i mu ją podała. Wrócili do pick-upa i Luke wrzucił dynię na pakę.

Odwrócił się i znalazł oko w oko z Sophią. Jej jasnoblonde włosy były w księżycowej poświacie niemal białe. Odruchowo wziął ją za rękę, potem za drugą.

– Chciałbym się wszystkiego o tobie dowiedzieć – wymruczał.

– Wiesz o mnie więcej, niż ci się wydaje – odparła. – Opowiedziałam ci o swojej rodzinie i swoim dzieciństwie. Opowiedziałam o studiach i życiowych planach. To chyba wszystko.

Ale dla niego to nie było wszystko. Chciał wiedzieć więcej.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – wyszeptał.

Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Sam mnie przywiozłeś.

– Dlaczego jesteś ze mną?

– Bo tak mi się podoba.

– To się cieszę.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo jesteś inteligentna. I interesująca.

Uniosła zapraszająco głowę.

– Kiedy ostatnim razem nazwałeś mnie interesującą, skończyło się pocałunkiem.

Nic na to nie powiedział. Pochylił się tylko i patrzył, jak jej oczy powoli się zamykają.

A kiedy spotkały się ich usta, poczuł się jak odkrywca docierający wreszcie do odległych brzegów, które do tej pory tylko sobie wyobrażał albo znał ze słyszenia. Pocałował ją jeszcze raz i znowu, a potem przyłożył czoło do jej czoła. Wziął głęboki oddech, starając się zapanować nad emocjami. Wiedział już, że to nie jest jakaś przelotna miłośćka, że nigdy nie przestanie jej kochać.

Jest niedzielne popołudnie i zaraz po zapadnięciu zmroku upłynie dwudziesta czwarta godzina, od kiedy tu tkwię. Ból to się nasila, to słabnie, a nogi i stopy tak mi przemarzły, że już ich zupełnie nie czuję. Zaczyna mnie za to boleć twarz. Zwłaszcza w miejscach, gdzie styka się z kierownicą; to chyba odleżyny. Najgorsze jednak, że strasznie chce mi się pić. Za łyk wody dałbym się pokrajać, w gardle piecze przy każdym oddechu. Wargi mam spierzchnięte i spękane jak pole w czasie suszy.

Wody, kołacze mi się po głowie, wody, bo szesznię tu marnie.

Wody.

Wody.

Wody.

Nie potrafię myśleć o niczym innym. Nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnąłem; nigdy w życiu nie zdarzyło mi się tak o czymś marzyć. Nie trzeba mi wiele. Wystarczyłyby mały lyczek. Już jedna pełna zakrętka odmieniłaby mój świat. Jedna kropelka.

Siedzę jednak dalej w bezruchu. Nie wiem, gdzie szukać tej butelki z wodą, a nawet gdybym wiedział i ją znalazł, to wątpię, czy dałbym radę ją otworzyć. Boję się, że jeśli odepnę pas bezpieczeństwa, to zsunę się bezwładnie na podłogę i już tam zostanę. Jestem tak osłabiony, że nie mam siły unieść głowy, oderwać jej od kierownicy, o przetrząsaniu samochodu w poszukiwaniu czegokolwiek już nie wspominając.

Ale mój organizm tego nie rozumie, nadal natarczywie domaga się nawilżenia, a mnie ogarnia czarna rozpacz. Umrę tu z pragnienia, przemyka mi przez myśl, tak mi pisane skończyć. I nie ma mowy o przeczołganiu się na tylną kanapę, żeby ułatwić robotę sanitariuszom z karetki. Nie wyciągną mnie stąd jak mrożonego rybnego paluszka z pudełka, oj, nie wyciągną.

– Masz wisielcze poczucie humoru – stwierdza Ruth, wrywając mnie z tych niewesołych rozpamiętywań, i przypominam sobie, że ona jest tutaj tylko w mojej wyobraźni.

– Adekwatne do okoliczności, nie uważasz?

– Jeszcze nie umarłeś.

– Jeszcze nie, ale co się odwlecze, to nie uciecze.

– Rekord wynosi sześćdziesiąt cztery dni. Należy do jednego Szweda. Widziałam na Kanale Meteo.

– Nie. To ja to widziałem na Kanale Meteo.

Ruth wzrusza ramionami.

– Co za różnica?

Też prawda.

– Muszę się czegoś napić.

– Nie – mówi. – Musimy rozmawiać, zająć cię czymś, bo jak nie przestaniesz myśleć w kółko o wodzie, to jakiegoś fiksum-dyr dum na tym punkcie dostaniesz.

– Taka sztuczka – mruczę.

– Nie jestem żadną sztukmistrzynią – odpowiada. – Jestem twoją żoną. I masz mnie słuchać.

Niech jej będzie. I patrząc na nią, znowu zaczynam odpływać.

Powieki mi w końcu opadają i odnoszę wrażenie, że płynę z prądem jakiejś rzeki nie rzeki. Przed moimi oczami to pojawiają się jeden po drugim, to rozmywają rozmaite obrazy.

Płynę tak.

I płynę.

I nagle cały ten fotoplastykon scala się w coś realnego, namacalnego.

Otwieram oczy i mrugam zaskoczony zmianą, jaka zaszła w wyglądzie Ruth od czasu, kiedy ostatnim razem mi się objawiła. Ale to wspomnienie, w odróżnieniu od poprzednich, jest ostre, wyraziste. Taka była w czerwcu 1946 roku. Jestem tego pewien, bo wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ją w bezpretensjonalnej letniej sukience. Zmienia się, jak wszyscy po wojnie. Zmieniają się stroje. Trochę później tamtego roku Louis Reard, francuski inżynier, wymyślił bikini i patrząc teraz na Ruth, podziwiam jej kształtne ramiona. Skórę ma gładziuchną, opaloną na orzechowy brąz po tygodniach plażowania z rodzicami. Jej ojciec dostał wreszcie pracę na Duke i żeby to uczcić, zabrał żonę i córkę na wczasy do Outer Banks. Miał propozycje z wielu miejsc, między innymi z małej eksperymentalnej akademii sztuk pięknych w górach, ale najbardziej przypadły mu do gustu gotyckie zabudowania Duke. Na jesieni miał tam rozpocząć wykłady, po tylu chudych latach pojawiało się wreszcie światło w tunelu.

Od tamtego wieczoru w parku coś się między mną a Ruth zmieniło. Ruth nie komentowała mojego wyznania, ale odprowadziwszy ją pod dom, nie próbowałem nawet pocałować jej na dobranoc. Wiedziałem, że przetrawia jeszcze to, co ode mnie usłyszała, a ona sama powiedziała mi później, że przez kilka tygodni nie mogła dojsć do siebie. Na następne spotkanie przysłała bez pierścionka zaręczynowego na palcu, ale nie miałem o to do niej pretensji. Była w szoku, a jednocześnie nie mogła mi darować, że wcześniej jej nie powiedziałem.

To musiał być dla niej straszny cios, zwłaszcza że nastąpił zaraz po tym, jak dowiedziała się o tragicznym losie rodziny, która została w Wiedniu. Zapewniać kogoś, że się go kocha, to jedno, a pogodzić się z tym, że miłość do tego kogoś wymaga wyrzeczenia się swoich marzeń, to zupełnie coś innego. A posiadanie dzieci – założenie rodziny, inaczej mówiąc – nabrało teraz dla niej nowego znaczenia.

Rozumiałem to intuicyjnie i przez kolejne dwa miesiące nie wracaliśmy do tego tematu. Nie rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości, ale spotykaliśmy się nadal jakieś dwa, trzy razy w tygodniu. Czasami zabierałem ją do kina, kiedy indziej przyprawdzałem do domu na kolację, a najczęściej spacerowaliśmy. W naszej dzielnicy znajdowała się galeria sztuki, którą też regularnie odwiedzaliśmy. Większość wystawianych tam prac nie była najwyższego lotu, ale zdarzało się, że Ruth dopatrywała się w nich czegoś, na co ja nie zwróciłbym uwagi. Była, podobnie jak jej ojciec, pasjonatką sztuki współczesnej, kierunku zapoczątkowanego przez takich malarzy jak van Gogh, Cezanne czy Gauguin, i potrafiła na pierwszy rzut oka rozróżnić wpływ tych mistrzów pędzla nawet w ostatnich dziełach, jakie tam wisiały.

Wizyty z nią w tej galerii otworzyły mi oczy na zupełnie obcy mi wcześniej świat. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nasze dyskusje o sztuce są w jakiejś mierze sposobem na stronienie od rozmów, co z nami teraz będzie, bo żadne z nas nie miało na nie specjalnej ochoty.

Wiedziałem, że Ruth bije się jeszcze z myślami. Nie, od tamtej wieczornej rozmowy w parku nie traktowała mnie chłodno, ale ciepła też nie okazywała, jakież było więc moje zdumienie, kiedy jej rodzice zaproponowali mi spędzenie z nimi urlopu.

Dwa tygodnie spacerów z Ruth plażą mogłyby nas z powrotem do siebie zbliżyć, ale ja, niestety, nie mogłem na tak długo wyjechać. Musiałem zastępować za ładą ojca, który całe dni przesiadywał na zapleczu z uchem przyklejonym do radioodbiornika, a w sklepie ruch był jak nigdy. Szukający pracy weterani przychodzili kupować za ostatnie wysupłane dolary garnitury w nadziei, że elegancko ubrani szybciej znajdą jakieś zatrudnienie. Ale nie było z tym tak łatwo i kiedy do sklepu wchodził taki jeden z drugim, od razu przypominali mi się Joe Torrey i Bud Ramsey i starałem się im w miarę swoich możliwości pójść na rękę. Między innymi podsunąłem

ojcu pomysł, żeby przecenić najtańsze garnitury, a mamie, żeby dokonywała przeróbek gratis. Wieść o naszych niewygórowanych cenach rozeszła się po okolicy lotem błyskawicy i chociaż nie otwieraliśmy już sklepu w soboty, sprzedaż rosła z miesiąca na miesiąc.

Poprosiłem jednak rodziców o kilka dni wolnego, pożyczyłem od nich samochód i któregoś czwartkowego poranka ruszyłem w drogę. Długa to była droga, a przez ostatnią godzinę wiodła przez krainę piasku. W pierwszych latach po wojnie Outer Banks zachwycało dzikim, nieujarzmionym pięknem. Enklawę tę, odciętą praktycznie od reszty stanu, zasiedlały rodziny mieszkające tam od pokoleń i utrzymujące się z darów morza. Na wydmach rosły kępki trawy i pojedyncze poskręcane, jakby ulepione przez dzieci z plasteliny, drzewka. Co jakiś czas mijalem skubiące trawę dzikie konie. Unosiły łby, kiedy usłyszały mój samochód, i majtały ogonami, opędzając się od much. Z jednej strony ryczał ocean, z drugiej nad wydmami szumił wiatr. Opuściłem szyby w oknach, chłonąc to wszystko i zastanawiając się, co mnie czeka u celu podróży.

Słońce już zachodziło, kiedy skręcałem w żwirowo-piaszczysty podjazd. Serce żywiej mi zabiło, gdy zobaczyłem na werandzie czekającą na mnie Ruth. Była boso i miała na sobie tę samą sukienkę, co teraz. Wsiadłem z samochodu i gapilem się na nią oniemiały. Rozpuszczone włosy opadały jej w nieładzie na ramiona, a jej uśmiech zdawał się wyrażać tajemnicę znaną tylko nam dwojgu. Kiedy do mnie pomachała, już zupełnie dech mi w piersiach zaparło na widok skier bijących z jej palca, rozsiewanych w promieniach zachodzącego słońca przez diamencik osadzony w pierścionku zaręczynowym, który jej sprezentowałem i którego od paru miesięcy nie nosiła.

Stałem jak słup soli, a ona zbiegła po schodkach z werandy na piasek i chwilę później rzuciła mi się już na szyję. Pachniała solą, wodą morską i wiatrem; od tamtej pory te zapachy zawsze mi się z nią i z tamtym weekendem kojarzą. Przyciągnąłem ją do siebie i upajając się bliskością naszych ciał, zacząłem sobie uzmysławiać, jak wiele straciłem przez te trzy ostatnie lata.

– Jak dobrze, że przyjechałeś – wyszeptała mi do ucha, a ja, niewiele myśląc, pocałowałem ją przy aprobującym ryku oceanu. Oddała mi ten pocałunek, co oznaczało, że podjęła już decyzję względem mojej osoby, i ogarnęła mnie euforia.

Nie był to nasz pierwszy pocałunek, ale miał dla mnie szczególne znaczenie, bo zdarzył się, kiedy go najbardziej potrzebowałem, i zapoczątkował jeden z dwóch najcudowniejszych i przełomowych okresów mojego życia.

Siedząca obok mnie Ruth uśmiecha się. Pięknie jej w tej letniej sukience. Czubek nosa ma lekko zaróżowiony, włosy rozwiane i pachnące oceaniczną bryzą.

- Lubię to wspomnienie – mówi.
- Ja też – wymrukuje.
- Byłam wtedy młoda. Gęste włosy, ani jednej zmarszczki, zero cellulitu.
- Nic a nic się nie zmieniłaś.
- Daruj sobie. – Macha lekceważąco ręką. – Zmieniłam się, postarzałam, a życie staruszki wcale nie jest wesołe. To, co w młodości nie sprawiało najmniejszych kłopotów, staje się z wiekiem coraz trudniejsze.
- Jakbym słyszał siebie – zauważam, a ona wzrusza ramionami, nic sobie nie robiąc z faktu, że jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Wraca do moich odwiedzin.
- Nie posiadałam się ze szczęścia, że znalazłeś czas, żeby do nas przyjechać.
- Szkoda, że na tak krótko.
- Wiesz – odzywa się po chwili zastanowienia – dobrze mi zrobiły te dwa tygodnie

samotności i wyciszenia. Moi rodzice chyba właśnie na to liczyli. Poza przesiadywaniem na werandzie, spacerami plażą i sączeniem wina o zachodzie słońca niewiele było tam do roboty. Miałam mnóstwo czasu na przemyślenia. Na zastanawianie się nad sobą. Nad nami.

– To teraz już wiem, dlaczego się tak na mnie rzuciłaś, kiedy przyjechałem – żartuję.

– Wcale się na ciebie nie rzuciłam – obrusza się. – Coś ci się pomyliło. Koloryzujesz.

Zeszłam z werandy i uściśnęłam cię. Byłam dobrze wychowana. Po prostu się z tobą przywitałam.

Może i tak było, może było inaczej. Kto by teraz pamiętał? Mniejsza z tym.

– A przypominasz sobie, co było potem? – pyta.

Czyżby mnie sprawdzała?

– Naturalnie – odpowiadam. – Weszliśmy do domu i przywitałem się z twoimi rodzicami.

Twoja mama kroїła w kuchni pomidory, a tato grillował tuńczyka na tylnej werandzie.

Powiedział mi, że kupił go po południu od rybaka, który wrócił właśnie z połowu i cumował łódź do nabrzeża. Był z siebie bardzo dumny. Stojąc tamtego wieczoru nad grillem, wyglądał jakoś inaczej, wyglądał na... zrelaksowanego.

– Pomyślnie układało mu się tamto lato – przyznaje Ruth. – W stolarni awansował, został brygadzystą, dzięki czemu nie musiał już tak ciężko pracować, i po raz pierwszy stać go było na zabranie mamy i mnie na urlop. A najbardziej ekscytowało go to, że znowu będzie wykładał.

– Twoja mama też była w wyśmienitym nastroju.

– Dobre nastroje taty były zaraźliwe. – Ruth zawiesza na chwilę głos. – No i... tak jak mnie... zaczęło jej się tutaj podobać. Co prawda Greensboro to nie Wiedeń, ale nauczyła się wreszcie języka i zaprzyjaźniła z kilkoma osobami. Zaczęła też doceniać ciepło i wielkoduszność tutejszych i chyba czuć się w Karolinie Północnej jak u siebie.

Na zewnątrz wiatr strąca z gałęzi pecyny śniegu. Słyszę, jak spadają wokół samochodu, i przypomina mi się, gdzie jestem. Ale to nie ma znaczenia, przynajmniej teraz.

– Pamiętasz, jak czyste było niebo, kiedy jedliśmy kolację? – pytam. – I całe gęsto usiane gwiazdami.

– To dlatego, że było tak ciemno. Nie przyćmiewały ich światła miasta. Tato też to zauważył.

– Outer Banks mnie zauroczyło – mówię. – Powinniśmy byli jeździć tam co roku.

Ruth kręci głową.

– Opatrzyłoby się nam wtedy, straciłoby swój czar – orzeka.

– Co kilka lat, tak jak to robiliśmy, było w sam raz. Dzięki temu odkrywaliśmy je za każdym razem na nowo. Zresztą kiedy mielibyśmy tam jeździć? W lecie zawsze wybieraliśmy się do Nowego Jorku, do Bostonu, do Filadelfii, do Chicago, nawet do Kalifornii. I zawsze do Black Mountain. Zjeździliśmy ten kraj jak mało kto, czy to nie wspaniałe?

Owszem, myślę, i w głębi duszy przyznaję jej rację. W domu mam zatrzęsienie pamiątek z tych wojaży. Ale dziwna rzecz... chociaż prócz muszli, którą znaleźliśmy nazajutrz na plaży, nie ma wśród nich niczego, co przypominałoby mi Outer Banks, to wspomnienia z tamtego zakątka nigdy się nie zatarły.

– Lubiłem kolacje z twoimi rodzicami. Z twoim tatą można było porozmawiać na każdy temat.

– Żebyś wiedział – przytakuje Ruth. – Jego ojciec był wykładowcą, jego brat też.

Wykładowcami byli jego wujowie. Pochodził z rodziny nauczycieli akademickich. Ale ty też zrobiłeś na nim wrażenie. Zaimponowało mu, że chociaż podczas wojny byłeś nawigatorem bombowca, to niechętnie o tym opowiadasz. Chyba nabrał przez to szacunku do ciebie.

– Ale twoja mama była innego zdania.

Ruth namyśla się, pewnie dobiera słowa. Bawi się kosmykiem rozwichrzonych włosów, przygląda się mu, w końcu mówi:

– Wtedy wciąż się o mnie martwiła. Wiedziała tylko, że kilka miesięcy wcześniej złamałeś mi serce i że chociaż nadal się spotykamy, to mnie ciągle coś gnębi.

Ruth ma na myśli moją świnkę i ewentualne związane z nią konsekwencje. Powiedziała mamie o wszystkim dopiero po latach, gdy ta coraz natarczywiej zaczęła się dopytywać, kiedy wreszcie zostanie babcią. Wyjawiała jej w łagodny sposób, że nie możemy mieć dzieci, nie zrzucając winy tylko na mnie, chociaż mogła to zrobić.

I za to byłem jej wdzięczny.

– Mało się odzywała przy kolacji, ale ulżyło mi, kiedy na koniec się do mnie uśmiechnęła.

– To z wdzięczności, że zaofiarowałaś się posprzątać ze stołu.

– Musiałem się jej jakoś odwdziaczyć. Lepszego posiłku nigdy wcześniej nie jadłem.

– Smakowało, co? – mówi Ruth. – Mama znalazła wtedy jakiś przydrożny stragan i kupiła na nim warzywa, i sama upiekła chleb. Tato zaś odkrył w sobie talent do grillowania.

– A kiedy już posprzątałem ze stołu, poszliśmy na spacer.

– Mhm – mruczy. – Popisałeś się tamtego wieczoru, nie ma co.

– Czym? Poprosiłem tylko o butelkę wina i dwa kieliszki.

– Tak, ale nie o to chodzi. Mama nie знаła cię od tej strony. Zaniepokoiła się.

– Byliśmy przecież dorośli.

– No właśnie. Byłeś mężczyzną, a ona wiedziała, że mężczyźni mają swoje popędy.

– A kobiety ich nie mają?

– Owszem, mają. Ale w odróżnieniu od mężczyzn tymi popędami się nie kierują.

Zachowują się cywilizowanie.

– Mama ci to powiedziała? – pytam z nutką przekąsu w głosie.

– Nie musiała. Sama wiedziałam, co ci chodzi po głowie. Pożądanie wyzierało ci z oczu.

– O ile dobrze pamiętam – mówię z lekką urazą – nie dopuściłem się tamtego wieczoru niczego, co by nie przystało dżentelmenowi.

– Przyznaję, ale mimo to setnie się ubawiłam, obserwując, jak starasz się zapanować nad żądzami. Zwłaszcza kiedy zdjąłeś marynarkę, rozpostarłeś ją na piasku, usiedliśmy na niej i odkorkowałeś wino. Ocean zdawał się spijać księżycową poświatę, a ja czułam, że mnie pragniesz, chociaż tego nie okazywałeś. Otoczyłeś mnie tylko ramieniem, chwilę rozmawialiśmy, potem mnie pocałowałeś, potem znowu rozmawialiśmy, a mnie szumiało trochę w głowie...

– I było wspaniale – podsumowuję.

– Tak – przyznaje. – Było wspaniale. – Na jej twarzy odmalowuje się nostalgia z odrobiną smutku. – Wiedziałam, że chcę za ciebie wyjść, i byłam przekonana, że będziemy szczęśliwi.

– Miałaś wciąż nadzieję, że być może lekarze są w błędzie.

– Powiedziałam chyba, że wszystko w rękach Boga.

– Na jedno wychodzi, prawda?

– Może i na jedno – odpowiada i kręci głową. – Ale siedząc tam wtedy z tobą, czułam, że Bóg pochwała moją decyzję.

– I w pewnej chwili zobaczyliśmy spadającą gwiazdę.

– Przecinała niebo, jasno płonąca – mówi głosem, w którym nawet teraz pobrzmiewa zachwyty. – Pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego.

– Poradziłem ci, żebyś pomyślała sobie jakieś życzenie.

– I pomyślałam – mówi Ruth, spoglądając mi w oczy. – A kilka godzin później się spełniło.

Chociaż było już bardzo późno, gdy wróciliśmy z Ruth do domu, jej matka jeszcze nie spała. Siedziała przy oknie, czytając, i ledwie przekroczyliśmy próg, zlustrowała nas bacznym spojrzeniem, szukając pewnie krzywo zapiętej koszuli i piasku we włosach. Nie dopatrzwszy się niczego takiego, wstała z krzesła ze źle skrywaną ulgą na twarzy.

Wdały się z Ruth w pogawędkę, a ja poszedłem do samochodu po walizkę. Dom, podobnie jak wiele innych wzdłuż tego odcinka plaży, miał dwa poziomy. Pokoje Ruth i jej rodziców znajdowały się na dole, ten, w którym ja miałem nocować, na pierwszym piętrze, tuż przy kuchni. Posiedzieliśmy jeszcze jakiś czas w kuchni, potem Ruth zaczęła ziewać. Jej matka też, dając tym do zrozumienia, że pora kłaść się do łóżek. Ruth, nie całując mnie na dobranoc nawet w policzek, żeby nie gorszyć mamy, poszła do siebie, matka zaraz po niej.

Ja pogasiłem światła i wyszedłem na tylną werandę, żeby trochę ochłonąć. Siedziałem tam długi czas i zapatrzony w srebrzącą się w blasku księżycy wodę myślałem o Ruth i o sobie, o Joem Torreyu, o rodzicach.

Próbowałem sobie wyobrazić tatę z mamą w takim miejscu, ale jakoś nie mogłem. Ani razu nie wyjechaliśmy na wakacje – sklep był nam kotwicą – ale nawet gdyby nadarzyła się taka możliwość, to z pewnością nie spędzilibyśmy ich tak, jak rodzina Ruth. Nie wyobrażałem sobie taty grillującego z kieliszkiem wina w dłoni; równie dobrze mogłem go sobie wyobrazić na szczycie Mount Everestu i nie wiem czemu, ale mnie to zasmucało. Tato, uświadamiałem sobie teraz, nie umiał wypoczywać; brnął przez życie pochłonięty bez reszty pracą i zamartwianiem się. Rodzice Ruth byli zupełnie inni, zdawali się cieszyć każdą chwilą. Uderzyło mnie również to, jak odmiennie zareagowali na wybuch wojny. Moja mama z ojcem wycofali się – każde na swój sposób – w przeszłość, rodzice Ruth wybiegli w przyszłość, upatrując w tym szansy na przetrwanie. Postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i byli losowi wdzięczni za jego zrządzenia.

W domu, kiedy w końcu do niego wróciłem, panowała cisza. Pomyślałem o Ruth i coś mnie podkuśiło, żeby zejść na palcach po schodach prowadzących na dolny poziom. Znalazłem się w korytarzyku z pokojami po obu stronach, ale ponieważ drzwi do nich pozamykano, nie sposób było odgadnąć, w którym śpi Ruth. Stałem tam przez chwilę niezdecydowany, spoglądając to na jedne, to na drugie, potem machnąłem ręką, zrobiłem w tył zwrot i wróciłem na górę.

Skręciwszy do swojego pokoju, rozebrałem się i wślizgnąłem do łóżka. Księżycowa poświata sącząca się oknami srebrzyła ściany i podłogę. Słyszałem usypiający swą monotonią szum fal i po paru minutach zaciążyły mi powieki.

Jakiś czas później z letargu, w jaki zapadłem, wybudziło mnie skrzypienie otwieranych drzwi. Najpierw myślałem, że się przesłyszałem. Sen od małego miałem lekki – a po wojnie jeszcze lżejszy – i chociaż otworzywszy oczy, zobaczyłem tylko jakąś majaczącą w posrebrzonym mroku postać, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to Ruth. Zdezorientowany usiadłem na łóżku, a ona weszła do pokoju i cichutko zamknęła za sobą drzwi. Była w szlafroku, którego pasek, podchodząc do mojego łóżka, rozwiązała jednym płynnym ruchem i szlafrok zsunął się z niej na podłogę.

Chwilę później leżała już obok mnie. Nasze usta się złączyły i poczułem jej język napierający na mój. Pogładziłem ją po włosach i zsunąłem dłoń na plecy. Wszystko to odbywało się w ciszy, co było jeszcze bardziej podniecające. Pocałowałem ją w policzek, obsypałem pocałunkami szyję i powróciłem do ust, zachwycony jej urodą i tą chwilą.

Kochaliśmy się raz, potem drugi. W przerwie tuliłem ją do siebie i szeptałem na ucho, że ją kocham i że nigdy nie będzie innej. Ruth mało się odzywała, ale w jej oczach i dotyku wyczuwałem echo swoich słów. Przed samym świtem pocałowała mnie czule i narzuciła na

siebie szlafrok. Otwierając drzwi, obejrzała się jeszcze.

– Ja też cię kocham, Ira – wyszeptła i wyszła.

Niebo zaczynało już jaśnieć, a ja wciąż leżałem z szeroko otwartymi oczami i rozpamiętywałem te godziny, które właśnie ze sobą spędziliśmy. Ciekaw byłem, czy Ruth też nie może zasnąć i myśli o mnie. Obserwowałem przez okno słońce wynurzające się zza widnokągu. W życiu nie widziałem tak spektakularnego świtu. Z kuchni zaczęły dochodzić przyciszone głosy rodziców Ruth, ale nie wstawałem jeszcze. W końcu usłyszałem, jak do kuchni wchodzi Ruth. Oczekałem jeszcze chwilę, potem ubrałem się i otworzyłem drzwi.

Matka Ruth stała przy blacie kuchennym i nalewała kawę do kubka, ojciec siedział przy stole.

– Dobrze się spało? – spytała z uśmiechem matka Ruth.

Starłem się nie spoglądać na Ruth, ale kątem oka zauważyłem nikły uśmieszek przemykający przez jej wargi.

– Cudownie – wymruczałem.

12

Luke

Trybuny areny w Knoxville były już niemal po brzegi wypełnione. Ostatni raz Luke brał tu udział w zawodach w ujeżdżaniu przed sześcioma laty. Znajdował się teraz w zagrodzie, doświadczając znajomego przyływu adrenaliny; świat gwałtownie się skurczył. Ledwie słyszał spikera opisującego kibicom przebieg jego kariery zawodniczej.

Nie czuł się jeszcze gotowy. Ręce już wcześniej mu drżały, teraz czuł narastający lęk utrudniający koncentrację. Celownik – byk, którego wylosował – miotał się pod nim i porykiwał wściekle. Inni kowboje napięli linę przebiegającą pod brzuchem zwierzęcia i Luke poprawił szelki. Były to te same sfatygowane szelki, których używał od początku swoich występów, między innymi podczas ujeżdżania Zakapiora. Ledwie skończył je regulować, Celownik przygniótł mu nogę do bandy. Kowboje pomagający napinać linę szybko odepchnęli od niej buhaja. Luke zebrał się w sobie i kiedy uznał, że jest już gotów, powiedział spokojnie:

– Jedziemy.

Furta zagrody otworzyła się na oścież i byk jednym karkołomnym susem wypadł na arenę, opuszczając łeb ku samej ziemi i wierzgając w niebo zadnimi nogami, zaraz potem zaczął kręcić młynka w lewo.

Luke robił, co mógł, żeby utrzymać się na jego grzbiecie, balansując wyciągniętą w bok ręką. Celownik wierzgnął znowu i zmienił raptownie kierunek. Luke nie spodziewał się tego i stracił na moment równowagę, ale zrzucić się nie dał. Celownik wygiął grzbiet w łuk, podskoczył i opadając na wyprostowane nogi, zaczął się z zapamiętaniem kręcić w kółko, ale w tym momencie odezwał się brzęczyk kończący rundę. Luke wypiął się z szelek i zeskoczył z byka. Wylądował na czworakach, zerwał się momentalnie na równe nogi i nie oglądając za siebie, pognął ku bandzie otaczającej arenę. Kiedy wdrapał się na jej szczyt i usiadł tam, żeby zaczekać na ogłoszenie wyniku, Celownik opuszczał właśnie plac boju. Trybuny zanosły się rykiem, kiedy spiker oznajmił, że przyznano mu osiemdziesiąt jeden punktów – za mało, żeby zmieścić się w pierwszej czwórce, ale wystarczająco, żeby pozostać w stawce.

Dochodził już do siebie, poziom adrenaliny w organizmie powoli spadał, ale nie miał jeszcze pewności, czy będzie czuł się na siłach stanąć do drugiej rundy. Strach wracał, i to ze zdwojoną siłą. Następny wylosowany byk wyczuł jego stan ducha i zrzucił go z siebie przed końcem drugiej rundy. Jeszcze w powietrzu ogarnęła Luke'a panika. Wylądował na jednym kolanie i coś mu w nim chrupnęło. Przewrócił się zdezorientowany na bok, ale zaraz zerwał się instynktownie z ziemi i po chwili siedział już bezpieczny na szczycie bandy.

Wynik z pierwszej rundy ledwie starczył na uplasowanie się w pierwszej piętnastce. Ale po udanej trzeciej, i ostatniej, awansował na miejsce dziewiąte.

Zaraz po zawodach wysłał SMS-a do mamy, wsiadł do pick-upa, wyprowadził go z parkingu i o czwartej nad ranem był już z powrotem na ranczu. Kiedy zobaczył światła w oknach głównego domu, przemknęło mu przez myśl, że mama albo bardzo wcześnie wstała, albo w ogóle się nie kładła.

Zgasił silnik i wysłał do niej kolejnego SMS-a.

Nie odpowiedziała, jak to zresztą było do przewidzenia.

Rano, po dwóch godzinach niespokojnego snu, Luke wkuśtykał do głównego domu i zastał mamę kończącą właśnie przyrządzanie śniadania składającego się ze średnio ściętej jajeczniczy na kiełbasie i naleśników. Kuchnię wypełniały smakowite aromaty.

– Cześć, mam – rzucił, sięgając po kubek, a potem po dzbanek z kawą. Musiał popić czymś szybko tabletkę ibuprofenu, którą ścisnął w garści. Matka przyglądała mu się badawczo. Jej uwagi nie uszło, że kuleje, chociaż starał się to ukryć.

– Znowu się poturbowałeś – zauważyła tonem łagodniejszym, niżby się można było spodziewać. Bardziej z troską w głosie.

– Takie tam stłuczenie – odparł, opierając się o kuchenną szafkę i uważając, żeby nie skrzywić się z bólu. – Kolano mi trochę spuchło i tyle. Samo przejdzie.

Zacisnęła usta najwyraźniej nieprzekonana, ale w końcu kiwnęła głową.

– Oby. – Przetawiła patelnię z jajecznicą na wygaszony palnik, a potem, o dziwo, po raz pierwszy od tygodni go objęła. Kiedy się odsunęła, zauważył, że ma podkrążone oczy. Widocznie, podobnie jak on, mało spała tej nocy. Klepnęła go w pierś. – No, siadaj – powiedziała. – Zaraz podaję śniadanie.

Podszedł z kubkiem kawy do stołu, usiadł ostrożnie i ledwie zdążył wyprostować pod stołem kontuzjowaną nogę, mama stawiała już przed nim pełny talerz. Doniosła jeszcze dzbanek z kawą i też usiadła. Jajecznicy nałożyła sobie o połowę mniej niż jemu.

– Wiedziałam, że wróciłeś dopiero nad ranem, więc sama nakarmiłam już inwentarz i objechałam pastwiska.

Nie zająknęła się słówkiem, nie poskarżyła, że do jego powrotu nie zmrużyła oka.

– Dziękuję – powiedział. – Dużo mieliście wczoraj klientów?

– Ze dwie setki, ale po południu się rozpadało. Dzisiaj pewnie więcej ich przyjedzie.

– Dozbierać jeszcze dyni?

Kiwnęła głową.

– Jose narwał ich wczoraj sporo przed pójściem do domu, ale trochę by się jeszcze przydało.

Jadł przez chwilę w milczeniu.

– Byk mnie zrzucił – odezwał się znowu. – Stąd to utykanie. Źle spadłem.

Postukała widelcem o talerz.

– Wiem.

– Niby skąd?

– Liz, ta babka z biura areny, do mnie zadzwoniła. Zrelacjonowała mi twój występ.

Znamy się od dawna, pamiętasz ją?

Tego się nie spodziewał; zamurowało go. Nadział na widelec plasterek kielbasy, wsunął go do ust i żując, zastanawiał się, jak by tu zmienić temat.

– Przed wyjazdem wspominałem ci, że dzisiaj przyjeżdża Sophia, tak?

– Tak, na kolację. Na deser wymyśliłam placek jagodowy.

– Nie fatyguj się.

– Już się pofatygowałam. – Pokazała widelcem na szafki. W rogu stało ceramiczne naczynie na wypieki z zakrzepłymi już sopolkami jagodowego soku na ściankach.

– Kiedyś ty to zrobiła?

– Wczoraj wieczorem, jak już nie było klientów. Może gulasz jeszcze upitrasić?

– Nie, dziękuję. Ugrilluję parę steków.

– To może tłuczone ziemniaczki do nich z fasolką szparagową... No i mogę zrobić sałatę.

– Daj sobie spokój, nie fatyguj się.

– To dla mnie żadna fatyga. Gość w dom, Bóg w dom. Jak chcesz, żeby tu jeszcze wróciła, to lepiej nie żałuj jej tłuczonych ziemniaków.

Uśmiechnął się. Dopiero teraz zauważył, że nie tylko upiekła placek, ale również wysprzątała kuchnię. A siłą rozpędu pewnie i cały dom.

– No, dobrze, z góry dziękuję – powiedział. – Ale za bardzo jej nie nadskakuj.

– Nikomu nie nadskakuję. A ty siedź prosto, jak ze mną rozmawiasz.

Roześmiał się.

– Widzę, że w końcu przestałaś się na mnie bocyć, co?

– To źle widzisz – odfuknęła. – Dalej jestem zła, że robisz z siebie widowisko na tych durnych zawodach, ale nic na to nie poradzę. A zresztą sezon się już skończył. Mam nadzieję, że pójdziesz po rozum do głowy i do stycznia zmądrzejesz.

Wolał nie podejmować tego drażliwego tematu.

– Sophia ci się spodoba – zaczął z innej beczki.

– Dobrze by było. Bo to pierwsza dziewczyna, jaką tutaj zapraszasz.

– Angie też tu wpadała.

– Ale wyszła za innego. A zresztą wtedy byłeś jeszcze gołowąsem. To się nie liczy.

– Jakim gołowąsem? Kończyłem szkołę średnią.

– Na jedno wychodzi.

Sięgnął po kolejnego naleśnika i umaczał go w syropie.

– Nie we wszystkim się z tobą zgadzam, ale cieszę się, że znowu ze sobą rozmawiamy.

Nabrała na widelec porcję jajecznicy.

– Ja też.

Reszta dnia upłynęła Luke'owi trochę inaczej niż zwykle. Zazwyczaj zaraz po śniadaniu brał się do pracy, czas z reguły płynął szybko i zanim się obejrzał, nadchodziła pora lunchu. To samo popołudniami. Niemal co dnia wracał do domu na kolację zły, że nie zdołał się wyrobić przed zmrokiem ze wszystkim, co było do zrobienia, i że ten dzień taki krótki.

Dzisiaj też nic nie zapowiadało, że będzie inaczej, a ruch, jak to przewidywała mama, był większy niż w sobotę. Po obu stronach podjazdu parkowały sznury samochodów osobowych, pick-upów i minivanów, wszędzie pełno było dzieciarni. Nie zważając na ból w kolanie, donosił dynie, pomagał rodzicom szukać pociech, które zabłądziły w labiryncie, napełniał helem setki baloników. Baloniki były w tym roku nowością, tak samo hot dogi, chipsy i woda sodowa przy stole obsługiwanych przez jego mamę. Ale krzątając się tak, myślał wciąż o Sophii. Co jakiś czas zerkał na zegarek, pewny, że upłynęła co najmniej godzina, i stwierdzał, że to dopiero dwadzieścia minut.

Nie mógł się doczekać, kiedy znowu ją zobaczy. Dzwonił do niej w piątek i w sobotę i za każdym razem, czekając na połączenie, przygryzał z nerwów wargę niepewny, czy odbierze. Wiedział, co do niej czuje; problem w tym, że nie miał zielonego pojęcia, czy ona czuje to samo do niego. Odebrała i w piątek, i w sobotę, ale chociaż rozmawiała z nim całkiem na luzie, swobodnie, on nadal nie był do końca przekonany, czy mu się tak tylko nie wydawało.

Coś takiego jeszcze mu się nie przydarzyło. Nie był przecież jakimś znerwicowanym, skłonny do popadania w obsesję smarkaczem. Nigdy zresztą taki nie był i po raz pierwszy w życiu nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Jednego tylko był pewien – chciał z nią być, a do kolacji jeszcze tyle czasu.

13 Sophia

– Wiesz, co to oznacza? Ta kolacja z jego mamuszką? – powiedziała Marcia, wydłubując z torebki rodzynekę po rodzynce; miały jej tego dnia zastąpić śniadanie, lunch i kolację. Jak wiele dziewcząt z akademika albo robiła miejsce na kalorie przed jakąś imprezą, albo je zbijała po imprezie z poprzedniego wieczoru.

Sophia, gotowa już prawie do wyjścia, wsuwała spinkę we włosy.

– Oznacza chyba tyle, że będziemy jedli.

– Znowu coś kręcisz – zauważyła Marcia. – Nie powiedziałaś mi nawet, co z nim robiłaś w czwartkowy wieczór.

– Mówiłam ci przecież, że zmieniliśmy plany i poszliśmy do japońskiej restauracji.

A potem pojechaliśmy na ranczo.

– No, proszę, proszę! Już sobie wyobrażam, coście tam robili, ze szczególnym uwzględnieniem tych pikantnych momentów.

– Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz? – fuknęła rozdrażniona Sophia.

– Szczegółów. Mów wszystko jak na spowiedzi, bo inaczej założę, że doszło tam między wami do czegoś tak wyuzdanego, że aż wstyd ci się teraz przyznać przed najlepszą przyjaciółką.

Sophia uporała się wreszcie ze spinką.

– Do niczego takiego nie doszło. I nie rozumiem, dlaczego tak mi wiercisz dziurę w brzuchu...

– Oj, przepraszam, ale sama nie wiem. Może dlatego, że cała jesteś teraz w skowronkach? Może dlatego, że jak poszliśmy w piątek na imprezę, to nie spanikowałaś, kiedy zobaczyłaś tam Briana. A jak kowboj do ciebie zadzwonił na meczu futbolowym, to odeszłaś na stronę, żeby z nim pogruchać, chociaż zanosilo się właśnie, że nasza drużyna zdobędzie punkt. To mi pachnie czymś poważnym.

– Nic w tym poważnego. Znamy się dopiero od tygodnia.

Marcia pokręciła głową.

– Nie kupuję. Ten facet podoba ci się bardziej, niż przyznajesz. Ale ostrzegam cię, nie idź lepiej tą drogą.

Sophia odwróciła się do koleżanki, a ta wysypała sobie na dłoń resztę rodzynek, zmięła w garści pustą torebkę i cisnęła ją w kierunku kosza na śmieci. Jak zwykle nie wcelowała.

– Zerwałaś właśnie z chłopakiem. Jesteś zdołowana po zawodzie miłosnym.

A znajomości zawierane w takim stanie ducha prowadzą zwykle na manowce – wyrecytowała z całym przekonaniem.

– Nie jestem wcale zdołowana. Zerwałam z Brianem wieki temu.

– Nie takie znowu wieki. I jeśli chcesz wiedzieć, to on sobie ciebie jeszcze nie odpuścił. Nawet po tym, co go spotkało w zeszły weekend, nadal chce cię odzyskać.

– I co z tego?

– Chcę ci tylko przypomnieć, że ten Luke to pierwszy facet, z jakim się od tamtego zerwania umówiłaś. A to znaczy, że nie miałaś czasu na zastanowienie się, czego tak naprawdę od faceta wymagasz. Błądzisz wciąż we mgle. Nie pamiętasz, w jakim byłaś dołku jeszcze w zeszły weekend? Na widok Briana wpadłaś w panikę i zaraz znalazłaś sobie innego. Mówię ci, takie znajomości zawierane pod wpływem emocji do niczego dobrego nie prowadzą, bo emocje biorą wtedy górę nad rozsądkiem. Luke to odtrutka na Briana. Rozumiem. Chcę ci tylko uświadomić, że za parę miesięcy możesz stwierdzić, że zasługujesz na coś więcej niż jakiegoś

tam prostaczka. Pomyślisz sobie, to jednak nie to co Brian. I będziesz żałowała. A i tego chłopaka zdołujesz.

– Jadę tam tylko na kolację – obruszyła się Sophia. – To nic wielkiego.

Marcia wrzuciła sobie do ust ostatnią rodzynekę.

– Skoro tak uważasz...

Sophii zdarzało się nienawidzić swojej współlokatorki. Tak jak teraz, w drodze na ranczo. Przez ostatnie trzy dni była w doskonałym humorze, dobrze się nawet bawiła na imprezie i piątkowym meczu futbolowym. Dzisiaj rano napisała obszerną pracę na zajęcia ze sztuki renesansu, które miała dopiero we wtorek. Czyli w sumie udany weekend. I kiedy szykowała się już do jego ukoronowania, Marcia otworzyła jadaczkę i nabiła jej głowę tymi swoimi durnowatymi przemyśleniami. A przecież ona wcale nie żałuje, że zerwała z Brianem, jedyne czego żałuje, to tego, że zrobiła to tak późno.

No nie?

Wcale jej na Brianie nie zależy. Od wiosny związek z nim sprawiał, że czuła się jak ten duch Jakuba Marleya z *Opowieści wigilijnej* Dickensa, ciągnący za sobą na łańcuchach ogrom nieprawości, jakich się dopuścił za życia. Kiedy Brian zdradził ją po raz drugi, jeszcze mu darowała, ale dała wirtualną żółtą kartkę. Nadal go kochała, ale już nie ślepo, nie bezkrytycznie. Przeczuwała, że on się nie zmieni, i latem okazało się, że to przeczucie jej nie myliło. Zrywając z nim, miała wrażenie, że od dawna już ze sobą nie są.

I, owszem, była potem rozbita. Kto by nie był? Przecież chodzili ze sobą blisko dwa lata. A jeszcze bardziej dołowały ją te jego telefony, SMS-y i łażenie za nią po kampusie. Dlaczego Marcia tego nie rozumie?

Zatopiona w tych myślach zjechała z autostrady w szosę prowadzącą w kierunku rancza. Nie, Marcia plecie, co jej ślina na język przyniesie. Wcale nie jest rozbita emocjonalnie ani zdołowana po zawodzie miłosnym. Luke to sympatyczny chłopak i dopiero się nawzajem poznają. Do zakochania jeszcze daleko. Nawet jej to przez myśl nie przeszło.

No nie?

Skrecała w podjazd z mętkiem w głowie nabitej pouczeniami współlokatorki, niezdecydowana jeszcze, czy zaparkować pod domkiem Luke'a, czy podjechać od razu pod główny dom. Ściemniało się już, znad pastwisk napływał tuman mgły. Pomimo włączonych reflektorów musiała pochylać się nad kierownicą i wyteżać wzrok, żeby widzieć drogę. Jechała powoli ciekawa, czy Pies wybiegnie jej na spotkanie. Wybiegł, a jakże, a właściwie to wyszedł na podjazd z bocznej dróżki prowadzącej do domku Luke'a.

Na widok samochodu zawrócił i potruchtał przodem w kierunku domku Luke'a, oglądając się raz po raz, żeby sprawdzić, czy Sophia za nim nadaża. Zatrzymała się w tym samym miejscu, co ostatnio. W oknach paliło się światło, w jednym z nich, chyba kuchennym, stał Luke. Zanim zdążyła zgasić silnik i wysiąść, on zbiegał już po schodkach z werandy. Był w dzinsach, kowbojskich butach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami, ale bez kapelusza. Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić wzbierające emocje. Żałowała teraz, że nie wzięła sobie do serca dobrych rad Marcii. Nie widziała go dobrze w zapadających ciemnościach, ale założyłaby się, że zbliża się z uśmiechem na ustach.

– Cześć. – Zatrzymał się przed nią, pochylił i pocałował. Pachniał szamponem i mydłem. Był to przelotny, powitalny pocałunek, ale chyba wyczuł jej rozkojarzenie. – Stało się coś? – spytał.

– Nie, nic – bąknęła i uśmiechnęła się, nie spoglądając mu w oczy.

– Mhm – mruknął. – Dzięki, że przyjechałaś.

– Nie ma za co.

Cofnął się o krok i wsunął rękę do kieszeni.

– Napisałaś tę swoją pracę?

Kiedy nie stał już tak blisko, powróciła jej zdolność logicznego myślenia.

– Tak, ale muszę jeszcze nad nią posiedzieć – odparła. – A jak poszło tutaj?

– Nieźle. Sprzedaliśmy prawie wszystkie dynie. Te, co zostały, nadają się tylko na ciasto. Dopiero teraz zauważyła, że włosy jeszcze mu nie wyschły.

– I co z nimi zrobicie?

– Mama je zawekuje. A potem, do końca roku, będzie piekła na nich najsmaczniejsze na świecie placki i dyniowy chleb.

– Czyli jeszcze jedno źródło dochodu.

– Nic z tych rzeczy. Nie żeby nie można było na tym zarobić, ale przesiadywanie całymi dniami w kuchni to dla mamy nie do pomyślenia. Nie ma w sobie nic z kury domowej.

– Tak ją sobie właśnie wyobrażam.

Zamilkli oboje na chwilę i po raz pierwszy, od kiedy go poznała, to milczenie wydało jej się niezręczne.

– To co, idziemy? – spytał, wskazując na główny dom. – Rozpaliłem już pod grillem.

– Idziemy – powiedziała. Myślała, że weźmie ją za rękę, ale on tego nie zrobił. Szli w milczeniu skrajem lasu, każde zatopione we własnych myślach. Mgła gęstniała, pastwisk nie było już praktycznie widać, stodoła ledwie w niej majaczyła, a główny dom z rozświetlonymi oknami przypominał halloweenową dynię. Pod stopami chrząścił żwir. – Ach, właśnie, nie powiedziałaś mi jeszcze, jak ma na imię twoja mama. Mam się do niej zwracać per pani Collins?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

– Czy ja wiem? Mówię jej po prostu mamo.

– Ale jak ma na imię?

– Linda.

Sophia porównała w myślach te możliwości.

– Chyba w ten wieczór zapoznawczy stosowniej będzie pani Collins. Nie chcę jej do siebie zrazić na samym wstępie zbytnią poufałością.

Spojrzał na nią i dopiero teraz wziął ją za rękę.

– Bez obawy, spodobasz się jej.

Kiedy wchodzili do kuchni, Linda Collins wyłączyła mikser i spojrzała najpierw na Luke'a, potem na Sophię i znowu na syna. Odstawiła na szafkę mikser z puree ziemniaczanym i wytarła dłonie w fartuch. Była w dzinsach i koszuli z krótkimi rękawami; szpakowate włosy miała ściągnięte w luźny koński ogon.

– To ta młoda dama, którą przede mną ukrywałeś?

Ucisnęła Sophię mocno.

– Miło cię poznać. Mów mi Linda.

Na jej twarzy odcisnęło się piętno lat ciężkiej, fizycznej pracy w palącym słońcu, ale skórę miała mniej zniszczoną, niż można by się spodziewać.

– A mnie miło poznać panią. Mam na imię Sophia.

Linda uśmiechnęła się.

– Tak się cieszę, że Luke wreszcie się zdecydował mi ciebie przedstawić. Myślałam już, że wstydzi się swojej starej mamy.

– Nie mów takich rzeczy – obruszył się Luke.

Linda puściła do Sophii oko i jego też uścisnęła.

– Zabieraj się lepiej do steków. Leżą przyprawione w lodówce, wystarczy wrzucić na grill. A my tu sobie tymczasem z Sophią pogawędzimy.

– Już to robię, a ty pamiętaj, że obiecałaś być dla niej miła.

Linda nie potrafiła ukryć rozbawienia.

– Doprawdy nie wiem, po co on mi to mówi. Ja z natury jestem miła. Napijesz się czegoś? Po południu zrobiłam mrożoną herbatę.

– Chętnie – powiedziała Sophia. – Z góry dziękuję.

Luke posłał jej spojrzenie z gatunku „trzymaj się” i wyszedł ze stekami na werandę.

Linda podała Sophii szklankę z herbatą i odwróciła się do szafki, żeby otworzyć słoik z fasolką szparagową pochodzącą zapewne z przydomowego ogródka.

Wrzuciła ją na rozgrzaną patelnię, doprawiła solą i pieprzem, dodała masła.

– Luke mówił mi, że studiujesz na Wake Forest.

– Na ostatnim roku.

– Skąd pochodzisz? – Zmniejszyła gaz pod patelnią. – Bo tutejsza chyba nie jesteś.

Wypytywała ją w ten sam sposób, co Luke w wieczór, kiedy się poznali – z autentycznym zainteresowaniem, bez napastliwości. Sophia stopniowo i w ogólnych zarysach odsłaniała jej swój życiorys. Linda ze swej strony opowiadała o życiu i pracy na ranchu, które wspólnie z Lukiem prowadzili. On zajmował się głównie księgowością i kuchnią, on pracami typowo męskimi.

Luke wrócił, nalał sobie do kubka herbatę z dzbanka i wyszedł z nią z powrotem na werandę dalej grillować steki.

– Był czas, kiedy ja też myślałam o college’u – ciągnęła Linda. – Albo przynajmniej o zapisaniu się na jakieś kursy.

– A co chciałaś studiować?

– Księgowość. Może jeszcze coś o rolnictwie, hodowli bydła. Bo kierowanie się samym babskim rozumem często nie wystarcza.

– Z tego, co tu widzę, nieźle sobie radzisz – zauważyła Sophia.

Linda sięgnęła po swoją szklankę i upiła łyk herbaty.

– Masz młodsze siostry, tak?

– Trzy – przytaknęła Sophia.

– W jakim wieku?

– Jedna ma dziewiętnaście, dwie po siedemnaście lat.

– Bliźniaczki?

– Mama mówi, że dwie córki w zupełności by jej wystarczyły, ale tato strasznie chciał mieć syna, więc spróbowali jeszcze raz. O mało nie doznała zawału u lekarza, kiedy usłyszała, co się urodzi.

Linda znowu pociągnęła łyk herbaty.

– Idę o zakład, że wesoło było wychowywać się w tak licznej rodzinie.

– Mieszkaliśmy w kamienicy. Nadal tam mieszkamy. Wesoło było, ale trochę ciasno. Do wyjazdu do college’u dzieliłam pokój z siostrą Alexandrą. Brakuje mi jej teraz.

– Znaczący jesteście ze sobą zżyte.

– Owszem – przyznała Sophia.

Linda przyglądała się jej uważnie, tak jak często robił to Luke.

– Ale?

– Ale... teraz jest inaczej. To wciąż moja rodzina i zawsze będziemy ze sobą blisko, ale coś się zmieniło, kiedy wyjechałam studiować na Wake. Alexandra studiuje na Uniwersytecie Rutgersa i przyjeżdża do domu co drugi weekend, czasami częściej, Branca i Dalena mieszkają

z rodzicami, chodzą do szkoły średniej, a po lekcjach pomagają w delikatesach. Ja osiem miesięcy w roku spędzam tutaj. W komplecie spotykamy się tylko w letnie wakacje i kiedy wszystko zdaje się już wracać do normy, ja muszę znowu wyjeżdżać. – Przesunęła paznokciem po porysowanym blacie drewnianego stołu. – Kłopot w tym, że nie wiem, jak się z powrotem wpasować w życie rodzinne. Za kilka miesięcy kończę studia i jeśli nie znajdę dla siebie pracy w Nowym Jorku albo w New Jersey, to trudno powiedzieć, jak często będę się mogła widywać z rodziną. I co wtedy?

Sophia czuła na sobie uważne spojrzenie Lindy. Po raz pierwszy dzieliła się z kimś tymi myślami. Sama nie wiedziała, czemu to robi. Może to Marcia wytrąciła ją z równowagi swoimi uwagami, a może Linda wzbudzała w niej zaufanie. W każdym razie czuła potrzebę zwierzenia się z tego, co ją dręczy, komuś, kto to zrozumie.

Linda nachyliła się nad stołem i poklepała ją po dłoni.

– To się niestety zdarza w prawie każdej rodzinie. Dzieci wyprowadzają się od rodziców, rozchodzą się drogi braci i siostr. Takie już jest życie. Ale potem, po jakimś czasie, schodzą się znowu. Tak było z Drakiem i jego bratem...

– Z jakim Drakiem?

– Moim świętej pamięci mężem – wyjaśniła Linda. – Ojcem Luke’a. Byli z bratem bardzo zżyci, potem, kiedy Drake zaczął jeździć w trasy, przez wiele lat prawie się nie widywali. Ale kiedy Drake wycofał się z występowania na rodeo, znowu zaczęli się spotykać. To odróżnia rodzinę od znajomych. Rodzinę ma się na zawsze, bez względu na wszystko, nawet jak słabną kontakty, bo te można zawsze z powrotem zacieśnić. Zwłaszcza kiedy człowiek pojmie, jaka jest ważna.

– Ja to wiem – powiedziała Sophia.

Linda westchnęła.

– Zawsze chciałam mieć rodzeństwo – wyznała. – Braci i siostry, z którymi mogłabym się bawić i rozmawiać. Od dziecka wierciłam o to dziurę w brzuchu mamie, a ona powtarzała tylko: „Zobaczymy, co się da zrobić”. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że mama ma za sobą całą serię poronień i... – Głos jej się na chwilę załamał. – Nie mogła mieć już dzieci. Czasami nie wszystko układa się po twojej myśli.

Słuchając tego, Sophia odniosła w pewnej chwili wrażenie, że matka Luke’a miała ten sam problem. Ledwie przyszło jej to na myśl, Linda odsunęła się z krzesłem od stołu, najwyraźniej kończąc temat.

– Pokroję pomidory na sałatkę – oznajmiła. – Tylko patrzeć, jak steki będą gotowe.

– Pomóc w czymś?

– Możesz nakryć do stołu – powiedziała Linda. – Talerze są tam, a sztucce w tamtej szufladzie. – Pokazała palcem.

Sophia zabrała się do nakrywania, a Linda do krojenia pomidorów, ogórków i rwania liści sałaty. Kiedy wrzucała to wszystko do kolorowej salaterki, żeby wymieszać składniki, z werandy wrócił Luke ze stekami.

– Niech przez chwilę dojdą – powiedział, stawiając parujący półmisek na stole.

– Dobrze się składa – skomentowała Linda. – Ja w tym czasie przełożę fasolkę i kartofle do misek i siadamy do stołu.

Luke odsunął sobie krzesło.

– No i o czym rozmawialiście? Jak tu zaglądałem od czasu do czasu przez okno, to wyglądało, że o czymś bardzo poważnym.

– O tobie – powiedziała Linda, odwracając się od szafek z pełnymi miskami w obu rękach.

- Nie wierzę – mruknął. – Taki znowu interesujący to ja nie jestem.
- Jak dla kogo – fuknęła Linda.

Kolacja upłynęła w pogodnej atmosferze, okraszona wybuchami śmiechu i dykteryjkami. Sophia opowiadała o zabawnych zdarzeniach z życia kampusu – między innymi o konieczności wymiany instalacji wodno-kanalizacyjnej w akademiku, bo rury skorodowały przez studentki z bulimią, których było niemało – Luke zaś o co barwniejszych przygodach, jakie spotykały jego i innych chłopców z areny, w tym o koledze, który poderwał w barze kobietę i poniewczasie stwierdził, że to wcale nie... ale mniejsza z tym. Linda zasypywała Sopię historyjkami z dzieciństwa i lat szkolnych Luke'a. Jak wielu chłopaków ze szkoły popadał często w tarapaty, ale dwukrotnie, w pierwszej i w ostatniej klasie, wywalczył również pierwsze miejsce w stanowych mistrzostwach w zapasach. Nic dziwnego, że poradził sobie z Brianem.

Niepokój wzbudzony ostrzeżeniami Marcii z każdą minutą słabł. Kolacja z Lindą i Lukiem przebiegała na zupełnym luzie. Sophia czuła się z nimi jak we własnej rodzinie.

Na deser był placek, który Linda sama upiekła. Sophia nie jadła nigdy smaczniejszego. Po kolacji posprząтали we trójkę ze stołu. Luke zmywał naczynia, Sophia wycierała, a Linda zawijała w folię i chowała do lodówki to, czego nie zjedli.

Sophii przypomniało to dom rodzinny i po raz pierwszy zadała sobie pytanie, co rodzice pomyśleliby o Luke'u.

Na odchodnym Sophia uściśnęła mocno Lindę. Kiedy się cofnęła, Linda puściła do niej oko.

– Wiem, że jeszcze się nie rozstajecie, ale pamiętaj, Luke, że Sophia idzie jutro na zajęcia. Nie zatrzymuj jej długo. Chyba nie chcesz, żeby się spóźniła. Sam też musisz wstać skoro świt.

– Zawsze wstaję skoro świt.

– Dzisiaj zaspaleś, nie pamiętasz? – wypomniała mu Linda i zwróciła się do Sophii: – Cieszę się, że cię poznałam. Jesteś tu zawsze mile widziana.

– Będę zaglądała – obiecała Sophia.

Wyszli z Lukiem w chłodną noc. Mgła, jeszcze gęstsza niż wcześniej, nadawała okolicy bajkowy charakter. Przy każdym wydechu z ust Sophii wydobywały się obłoczki pary. Wzięła Luke'a pod rękę i ruszyli w stronę jego domku.

– Podoba mi się twoja mama – zagaiła. – Wcale nie jest taka, jak ją sobie wyobrażałam na podstawie twojego opisu.

– A jak ją sobie wyobrażałaś?

– Jako kobietę surową, skrytą, małomówną. Mało kto wytrzymałby bez skargi cały dzień ze złamanym nadgarstkiem.

– Dzisiaj przeszła samą siebie – wyjaśnił Luke. – Nie zawsze z niej taka przyjemniaczka.

– Na przykład kiedy się na ciebie gniewa.

– Na przykład kiedy się na mnie gniewa – przyznał. – I nie tylko wtedy. Żebyś ją zobaczyła, jak targuje się z dostawcami albo kiedy sprzedaje bydło do rzeźni. O, wtedy wyłazi z niej herod-baba.

– Mów sobie, co chcesz, ale na mnie zrobiła wrażenie milej, inteligentnej i wesołej.

– To się cieszę. Ty też jej się spodobałaś.

– Tak? Skąd wiesz?

– Nie doprowadziła cię do płaczu.

Dała mu kuksańca.

– Nie mów tak o swojej mamie, bo zaraz tam wrócę i wszystko jej powtórzę.

- Jestem dobrym synem.
- Nie zawsze. Bo inaczej byś jej nie podpadł.

Doszli do domku i Luke po raz pierwszy zaprosił ją do środka. Podeszedł od razu do kominka w salonie, gdzie na palenisku piętrzył się już stosik przygotowanych zawczasu polan i podpałka. Wziął z obramowania pudełko zapalek i przykucnął, żeby rozniecić ogień.

Sophia tymczasem rozglądała się z zainteresowaniem po eklektycznie urządzonej wnętrze. Między niskimi, obitymi skórą, nowoczesnymi kanapami stała na dywaniku z cielejącej skóry toporna ława, a na koślawych stolikach stylowe, kute w brązie lampy. Nad kominkiem wisiał rogaty łeb byka. Pokój był funkcjonalny i bezpretensjonalny – ani jednego trofeum z polowania, oprawionego w ramki dyplomu czy laminowanego wycinka z gazety na ścianach. Zauważyła, co prawda, kilka fotografii Luke'a dosiadającego byków, ale wśród innych tradycyjnych zdjęć: jego z rodzicami chyba w rocznicę ich ślubu, jego z ojcem i rybą, którą złowili, uśmiechniętej mamy trzymającej za uzdę konia.

Po prawej znajdowała się trudniejsza do scharakteryzowania kuchnia. Podobnie jak w głównym domu pośrodku stał stół, ale szafki z drewna klonowego wyglądały na nowe. Krótki korytarzyk po lewej prowadził do łazienki i chyba do sypialni.

Rozpaliwszy w kominku, Luke wstał z kucek i wytarł dłonie o dzinsy.

– No i jak?

Podeszła do kominka.

– Cieplutko.

Stali przez chwilę, ogrzewając się w ciepłe bijącym od paleniska, potem podeszli do kanapy i usiedli.

– Mogę cię o coś spytać? – zwrócił się do niej Luke.

– Oczywiście.

Zawahał się.

– Naprawdę nic się nie stało?

– A co miałyby się stać?

– Nie wiem. Ale przyjechałaś tu jakaś nieswoja.

Sophia zastanawiała się przez chwilę, czy szczerze mu odpowiedzieć. W końcu podjęła decyzję – a co mi tam – i wzięła go za nadgarstek. Zrozumiał bez słów, o co jej chodzi, i otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego.

– Marcia mi coś powiedziała.

– O mnie?

– Niezupełnie. Jej zdaniem trochę za szybko zawarłam nową znajomość, bo nie jestem jeszcze na to gotowa po zerwaniu z Brianem.

Luke odsunął się i spojrzał na nią.

– A nie jesteś?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Pierwszy raz mi się to zdarza.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

– Tak, hm, jeśli poprawi ci to nastrój, to wiedz, że mnie też się to pierwszy raz przytrafia.

Siedzieli przed kominkiem, gawędząc o wszystkim i o niczym. Co jakiś czas rozlegał się trzask i któreś z płonących polan strzelało iskrami, oblewając pokój kameralnym, nastrojowym blaskiem.

Sophia stwierdziła, że w towarzystwie Luke'a czuje się nie tylko całkiem wyluzowana,

ale również skora do zwierzeń. Przy nim mogła być sobą; odnosiła wrażenie, że może mu powiedzieć wszystko, a on zrozumie, że pasują do siebie jak groszek z marchewką.

Z Brianem było zupełnie inaczej. Przy nim była zawsze usztywniona, stremowana, niepewna siebie; co gorsza, powątpiewała czasami, czy naprawdę go zna. Zdawał się ukrywać swoje prawdziwe oblicze pod jakąś maską, maską, przez którą nigdy nie uda jej się przeniknąć. Wmawiała sobie, że to ona swoim zachowaniem mimowolnie wznosi między nimi bariery. Za to z Lukiem czuła się swobodnie, nie przyprawiał jej o kompleksy, można by pomyśleć, że znają się od dziecka, i chyba tego właśnie jej dotąd brakowało.

Pośród syku i trzasków płonących w kominku polan komentarze Marcii kołatające się jej po głowie cichły stopniowo, by w końcu całkiem zamilknąć. Czy działo się to za szybko, czy nie, lubiła Luke'a i dobrze się czuła w jego towarzystwie. Nie była w nim zakochana, ale czuła, że to się może wkrótce zmienić.

Kiedy przechodzili do kuchni drążyć dynię, szczerze żałowała, że ten wieczór dobiega już końca. Stojąc obok Luke'a, przyglądała się z uwagą, jak pod jego niespiesznymi, wprawnymi ruchami powstaje halloweenowe straszdyło – istne dzieło sztuki, do którego nie umywały się prymitywne wydłubki, jakie robiła sama w dzieciństwie. Na kuchennej szafce leżały różnej wielkości noże, każdy do czego innego. Najpierw pojawił się dyniowy uśmiech z wargami i zębiskami w komplecie, potem oczy. Po ich wycięciu Luke wsunął rękę do wnętrza dyni, żeby wybrać mięsz.

– Nigdy nie lubiłem tego robić – powiedział, krzywiąc się z obrzydzenia.

Zachichotała.

Na koniec Luke wręczył jej nóż i zaproponował, żeby dokończyła dzieła. Nos wyszedł całkiem niezły, ale jedna z brwi już nie za bardzo. Nieważne, przydawało to tylko maszkarze niesamowitości.

Luke wstawił do wydrążonej i wyrzeźbionej dyni małą świeczkę, zapalił ją i wyszli z nią na werandę. Siedząc w bujanych fotelach, rozmawiali przyciszonymi głosami, a podświetlona dynia słuchała i uśmiechała się aprobująco. W pewnym momencie Luke przysunął się z fotelem bliżej i Sophia wyobraziła sobie, jak w przyszłości spędzają w ten sposób tysiące takich jak ten wieczorów. Kiedy odprowadzał ją do samochodu, odniosła wrażenie, że on też to sobie wyobrażał. Umieściwszy dynię na fotelu pasażera, wziął Sophię za rękę i przyciągnął do siebie. Widziała w jego oczach pożądanie, czuła, że chce, żeby została, a kiedy złączyły się ich usta, uświadomiła sobie, że ona też chce tu zostać. Ale nie zrobi tego. Nie dzisiaj. Nie była jeszcze na to gotowa, wyczuwała jednak w tych pożegnalnych, gorących pocałunkach obietnicę przyszłości, której już teraz nie mogła się doczekać.

Ściemnia się, a to znaczy, że słońce już zachodzi i najwyższy czas przygotować się psychicznie na koszmar nadciągającej nocy, ale mnie tylko jedno w głowie.

Wody, skądkolwiek. Kąpiącej z roztopiającego się sopla lodu, z rzeki, z wodospadu. Kranówką też bym nie pogardził. Byle tylko zwilżyć gardło, rozpuścić tę kulę suchości, która nie wiadomo skąd się tam nieproszona załęgła. A teraz pęcznieje z każdym oddechem.

Zdaję sobie sprawę, że mającę. Jedyne, co mnie jeszcze łączy z realnym światem, to świadomość, że siedzę w rozbitym samochodzie. Zamykam oczy i koncentruję się na przypomnieniu sobie, jak się tu znalazłem. Ale to nie takie proste, kiedy w ustach posucha. Międzystanówka mi nie leżała – ludzie za szybko po niej jeżdżą – więc na mapie znalezionej w szufladzie szafki kuchennej wytyczyłem sobie trasę bocznymi drogami. Pamiętam, że zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby zatankować, i wyjechawszy z niej, straciłem orientację. Przypomina mi się, że przejeżdżałem przez jakąś miejscinę, Clemmons się chyba nazywała. A za nią, zorientowawszy się, że jadę w przeciwnym do zamierzonego kierunku, skręciłem w gruntową drogę, która doprowadziła mnie do innej jednopasmowej szosy o numerze 421. Zobaczyłem drogowskaz do miasteczka Yadkinville. Pogoda zaczynała się psuć, a ja byłem już zbyt zdenerwowany, żeby się zatrzymać i zastanowić. Niewiele myśląc, skręciłem w tamtym kierunku i pokonując liczne zakręty, dojechałem do skrzyżowania z jeszcze inną szosą biegnącą w stronę gór. Nie zwróciłem uwagi, jaki ma numer, a zresztą nie robiło to żadnej różnicy, bo śnieg zaczął sypać na potęgę. I było ciemno, tak ciemno, że nie zauważyłem tego zakrętu. Przebiłem barierkę ochronną i słysząc za sobą zgrzyt rozrywanego metalu, pomknąłem w dół skarpy.

A teraz siedzę tu sam, uwięziony w samochodzie, i nikt mnie jeszcze nie znalazł. Przez cały dzień śniła mi się żona. Ruth nie żyje. Umarła dawno temu w naszej sypialni i nie ma jej na fotelu pasażera obok mnie. Tęsknię za nią. Tęsknię od dziewięciu lat i mam do losu żal, że to nie ja pierwszy umarłem. Ona lepiej poradziłaby sobie beze mnie, potrafiłaby się odnaleźć we wdowieństwie. Zawsze była silniejsza, mądrzejsza i lepsza we wszystkim i nie po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że z nas dwojga to ja dokonałem przed laty lepszego wyboru. Do tej pory nie wiem, dlaczego jej wybór padł na mnie. Była przecież wyjątkową kobietą, a ja przeciętniakiem, mężczyzną, który miał w życiu tyle szczęścia, że ją poznał i pokochał miłością bezgraniczną, i tak już zostanie. Ale teraz jestem wyczerpany, spragniony i czuję, że siły mnie opuszczają. Pora kończyć tę walkę. Pora połączyć się z Ruth. Zamykam oczy. Zасыpiając, myślę, odejdę do niej i już na zawsze będziemy razem.

– Ty nie umierasz, Ira – wyrywa mnie z tej maligny głos Ruth. Głos stanowczy, gniewny.
– Twój czas jeszcze nie nadszedł. Jechałeś do Black Mountain, pamiętasz? Masz jeszcze coś do załatwienia.

– Pamiętam – wyszeptuję z trudem. Wyschnięty na wiór język ledwie mieści mi się w ustach, a ta gula w gardle wciąż pęcznieje. Ciężko mi oddychać. Marzę o wodzie, choćby kropelce wilgoci, o czymkolwiek, co pomogłoby mi przełknąć ślinę, a muszę przełknąć, bo jak nie przełknę, to się zaraz zaduszę. Próbuję wziąć wdech, ale powietrza z tego wdechu dociera do płuc tyle, co kot napłakał, i nagle serce zaczyna mi kołatać w piersi.

Zawrót głowy, mroczyki przed oczami, omamy słuchowe. No to już koniec, przemyka mi przez myśl, przyszła kryśka na Matyska. Powieki same mi opadają, jestem gotów.

– Ira! – krzyczy Ruth, nachylając się do mnie. Chwyta mnie za ramię, ściska. – Ira!

Mówię do ciebie! Wracaj!

Jestem już daleko, ale słyszę w jej głosie strach, chociaż ona stara się go przede mną ukrywać. Czuję, jak szarpie mnie za ramię, ale to ramię nawet nie drgnie, to znaczy, że majaczą.

– Wody – chrypię.

– Zdobędziemy wodę – zapewnia mnie. – Teraz musisz oddychać, a żeby móc oddychać, musisz przełknąć ślinę. Masz w przełyku skrzep krwi po wypadku. Blokuje ci drożność dróg oddechowych.

Jej głos jest słabiutki, dobiega z oddali, więc nie odpowiadam. Czuję się jak pijany. Jak zalany w trupa. Czoło na kierownicy, myśli się rozbiegają, sen morzy. Odpływam...

Ruth znowu szarpie mnie za ramię.

– Nie wolno ci dopuszczać do siebie myśli, że siedzisz uwięziony w tym samochodzie! – krzyczy.

– Ale siedzę – mamrocę. Nawet w otępieniu, w jakie popadłem, zdaję sobie sprawę, że nikt mnie za ramię nie szarpie, a głos Ruth to tylko wytwór chorobliwej wyobraźni.

– Jesteś na plaży! – Dyszy mi zmysłowo prosto w ucho, muskając je niemal rzęsami; czuję ciepło jej oddechu, kolejna ułuda. – Tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty rok. Pamiętasz? Nazajutrz po tym, jak pierwszy raz się kochaliśmy. Przełknij ślinę, a znowu się tam znajdziesz. Na plaży, ze mną. Pamiętasz, jak wyszedłeś ze swojego pokoju? Podałam ci szklankę soku pomarańczowego. Teraz też ci ją podaję...

– Ciebie tu nie ma.

– Jestem, jestem i podaję ci tę szklankę!

Otwieram oczy i widzę ją ze szklanką w dłoni.

– Wypij to szybko.

Przytyka szklankę do moich ust i przechyla ją.

– Pij! – komenderuje. – A jak się coś wychłapie na tapicerkę, to pal sześć!

Ciekawa rzecz, ale właśnie ten wtręt – o zachłapaniu tapicerki – działa na mnie otrzeźwiająco. Bardziej niż cokolwiek przypomina mi Ruth i jej rozkazujący ton, kiedy kazała mi zrobić coś ważnego. Próbuję przełknąć ślinę. Z początku czuję tylko dratwę w gardle, ale zaraz potem... coś innego, coś, co na dobre zatyka mi drogi oddechowe.

I wpadam na chwilę w panikę.

Instykt samozachowawczy to potężna siła, ale ja nie jestem już w stanie kontrolować tego, co się ze mną dzieje, tak jak nie kontroluję bicia własnego serca. Przełykam odruchowo ślinę, raz, drugi i kolejny; nie przestaję nawet wówczas, gdy czuję w ustach miedziany smak, aż w końcu gula w gardle ustępuje.

Przez cały ten czas przyciskam głowę do kierownicy i dyszę jak zgrzany pies, aż w końcu mój oddech się wyrównuje. Wraz z nim wracają wspomnienia.

Ruth i ja zjedliśmy śniadanie w towarzystwie jej rodziców i resztę poranka spędziliśmy na plaży, podczas gdy rodzice Ruth czytali na werandzie. Daleko na horyzoncie zaczęły tworzyć się chmury i pierwszy raz od dwóch dni zerwał się wiatr. Po południu rodzice Ruth przyszli zapytać, czy pojedziemy z nimi do Kitty Hawk, gdzie Orville i Wilbur Wright zapisali się na kartach historii i odbyli pierwszy lot samolotem. Byłem tam w dzieciństwie i choć z miłą chęcią pojechałbym jeszcze raz, Ruth pokręciła głową, tłumacząc się, że w ostatni dzień wolałaby odpocząć.

Godzinę później już ich nie było. Do tego czasu niebo pociemniało, a Ruth i ja wróciliśmy do domu. Kiedy weszliśmy do kuchni, przytuliłem ją i objęci patrzyliśmy przez okno. W pewnej chwili, bez słowa, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem do swojego pokoju.

Choć widzę wszystko jak przez mgłę, dostrzegam Ruth, która znowu siedzi obok mnie. Może to tylko moje pobożne życzenie, ale mógłbym przysiąc, że jest ubrana w tę samą sukienkę, którą miała na sobie tego dnia, gdy pierwszy raz się kochaliśmy.

- Dziękuję – mówię. – Za to, że pomogłaś mi złapać oddech.
- Sam wiedziałeś, co robić – odpowiada. – Ja jestem tu tylko po to, żeby ci o tym przypominać.
- Bez ciebie nie dałbym rady.
- Gadanie – odpowiada przekonana o własnej racji. Bawi się dekoltem sukienki i po chwili dodaje uwodzicielsko: – Tamtego dnia, na plaży, byłeś wobec mnie dość bezczelny. Zanim się pobraliśmy. Kiedy moi rodzice pojechali do Kitty Hawk.
- Tak – przyznaję. – Wiedziałem, że przez kilka godzin będziemy mieć dom wyłącznie dla siebie.
- Przyznam, że byłam dość... zaskoczona.
- To dziwne – mówię. – W końcu byliśmy sami, a ty byłaś taka piękna. Szarpie materiał sukienki.
- Powinnam potraktować to jako ostrzeżenie?
- Ostrzeżenie?
- Przed tym, co miało się wydarzyć – tłumaczy. – Aż do tamtego weekendu nie byłam pewna, czy mnie... pragniesz. Później czasami brakowało mi dawnego Iry. Tego nieśmiałego chłopaka, który w każdej sytuacji zachowywał się powściągliwie. Zwłaszcza kiedy chciałam dłużej pospać.
- Byłem taki straszny?
- Nie – mówi i przechyla głowę, by spojrzeć na mnie spod opadających powiek. – Wręcz przeciwnie.

Spędziliśmy popołudnie w pomiętej pościeli, kochając się jeszcze namiętniej niż ubiegłej nocy. W pokoju było ciepło, więc nasze ciała lśniły od potu, a włosy Ruth były wilgotne. Kiedy po wszystkim poszła wziąć prysznic, zaczęło padać, a ja siedziałem w kuchni szczęśliwy jak nigdy dotąd i słuchałem dudnienia kropli deszczu o blaszany dach.

Niedługo potem wrócili jej rodzice, przemoczeni do suchej nitki. Zastali nas, jak krzątailiśmy się w kuchni, przygotowując kolację. Gdy usiedliśmy do stołu i zajadaliśmy spaghetti z sosem mięsny, słuchając ojca Ruth, który opowiadał o minionym dniu, rozmowa zesła, jak zwykle w takich sytuacjach, na temat sztuki. Kiedy ojciec Ruth mówił o fowizmie, kubizmie, ekspresjonizmie i futuryzmie – nigdy wcześniej nie słyszałem podobnych słów – zdumiało mnie nie tylko to, z jakim zapalem opowiadał o różnicach między nimi, przede wszystkim zdumiał mnie głód, z jakim Ruth chłonęła każde jego słowo. Prawdę powiedziawszy, niewiele z tego rozumiałem, ale ani ona, ani jej ojciec nie zwracali na to uwagi.

Po kolacji, kiedy deszcz ustał i zaczęło zmierzchać, oboje z Ruth poszliśmy na spacer po plaży. Powietrze było duszne, a piasek kleił się nam do stóp; delikatnie muskałem kciukiem wierzch jej dłoni. Zerknąłem w stronę wody. Rybitwy wpadały między fale i wystrzeliwały spomiędzy nich niczym skrzydlate strzały, a wśród grzywaczy dostrzegliśmy stado morświnów. Ruth i ja przyglądaliśmy się im, aż na dobre zniknęły wśród mgiełki. Dopiero wówczas na nią spojrzałem.

- Twoi rodzice przeprowadzą się w sierpniu – zauważyłem.
- Uścisnęła moją rękę.
- W przyszłym tygodniu wybierają się do Durham, żeby rozejrzeć się za domem.
- A ty w sierpniu zaczynasz uczyć?
- Chyba że wyjadę z nimi – odparła. – Wtedy będę musiała szukać nowej pracy.

Daleko, za jej plecami, w domu zapaliły się światła.

– W takim razie nie mamy wyboru – powiedziałem. Strzepnąłem piasek, który przykleił mi się do stopy, i zebrałem się na odwagę potrzebną, by spojrzeć jej w oczy. – Musimy pobrać się w sierpniu.

Uśmiecham się do wspomnień, jednak z zamyślenia wyrывa mnie pełen rozczarowania głos Ruth.

– Mogłeś być bardziej romantyczny – mówi z nadąsaną miną.

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć.

– Masz na myśli moje oświadczenia?

– A o czym innym mogłabym mówić? – Rozkłada ręce. – Mogłeś chociaż przykłęknąć na jedno kolano albo zapewnić mnie o swej dożgonnej miłości. Nie mówiąc o tym, że mogłeś oficjalnie poprosić mnie o rękę.

– Przecież już to zrobiłem – bąknąłem. – Za pierwszym razem, gdy ci się oświadczyłem.

– Ale później dałeś sobie spokój. A powinieneś być zacząć od nowa. Chętnie powspominałabym oświadczenia, o których czyta się w książkach.

– Chcesz, żebym zrobił to teraz?

– Teraz jest już za późno – mówi, w jednej chwili rezygnując z pomysłu. – Zmarnowałeś swoją szansę.

Kokieteria w jej głosie sprawia, że nie mogę się doczekać, aż wrócę do przeszłości.

Podpisaliśmy ketubę tuż po tym, jak wróciliśmy do domu z wakacji, i w sierpniu 1946 roku poślubiłem Ruth. Ceremonia – jak przystało na tradycyjny żydowski ślub – odbyła się pod chuppą, jednak brało w niej udział niewiele osób. Wśród gości przeważali znajomi mojej mamy, których znaliśmy z synagogi, ale ja i Ruth tego właśnie chcieliśmy. Była zbyt praktyczna na bardziej ekstrawagancką uroczystość i choć interes szedł dobrze, oboje chcieliśmy zaoszczędzić, ile się da, żeby wpłacić zaliczkę na nasz przyszły dom. Kiedy stłukłem kieliszek i patrzyłem, jak nasze matki radują się i klaszczą, wiedziałem, że ślub z Ruth był czymś, co na zawsze odmieni moje życie.

W podróż poślubną pojechaliśmy na zachód. Ruth nigdy dotąd nie była w tej części stanu. Zatrzymaliśmy się w zajeździe Grove Park Inn w Asheville. Był to, i nadal jest, jeden z legendarnych kurortów na Południu, a z okien naszego pokoju mieliśmy widok na Pasma Błękitne. Miejsce to szczyliło się również uroczymi szlakami turystycznymi, kortami tenisowymi i basenem, który mieliśmy okazję podziwiać w licznych folderach.

Jednak Ruth nie wykazywała zainteresowania żadną z tych rzeczy. Wkrótce po naszym przyjeździe uparła się, żeby zwiedzać miasteczko. Zakochany do szaleństwa, nie dbałem o to, co będziemy robić, pod warunkiem że będziemy to robić razem. Podobnie jak ona nigdy wcześniej nie byłem w tej części stanu, wiedziałem jednak, że Asheville to mekka, do której latem ściągali bogacze. Powietrze było tu świeże, a temperatura umiarkowana. Nic dziwnego, że w okresie pozłocanego wieku George Vanderbilt wybudował tam słynny Biltmore Estate, który w tamtym czasie był największą rezydencją na świecie. Niebawem inni zamożni Amerykanie poszli w jego ślady i tak oto Asheville zyskało miano artystycznego i kulturalnego centrum Południa. Właściciele tutejszych restauracji zatrudniali kucharzy z Europy, a przy głównej ulicy miasta mieściły się liczne galerie sztuki.

Drugiego dnia naszego pobytu, po południu, Ruth nawiązała rozmowę z właścicielem jednej z galerii i wówczas po raz pierwszy usłyszałem o Black Mountain, małej, sielskiej miejscinie niedaleko miejsca, w którym spędzaliśmy miesiąc miodowy.

A dokładnie rzecz biorąc, dowiedziałem się o istnieniu Black Mountain College.

Choć przeżyłem w tym stanie całe swoje życie, nigdy wcześniej o nim nie słyszałem; co więcej, szedłem o zakład, że większość ludzi, którzy spędzili w Karolinie Północnej resztę stulecia, słysząc tę nazwę, byłaby równie zdumiona co ja. Teraz, przeszło pół wieku po zamknięciu college'u, niewielu okolicznych mieszkańców pamiętało o jego istnieniu. Jednak przed rokiem 1946 Black Mountain przeżywał prawdziwy rozkwit – być może największy w historii amerykańskich uczelni – i gdy wyszliśmy z galerii, wyczytałem z twarzy Ruth, że nazwa ta była jej znana. Kiedy wieczorem przy kolacji zapytałem ją o to, odparła, że wiosną tego roku jej ojciec miał tam rozmowę kwalifikacyjną i zachwycił się tym miejscem. Tym bardziej byłem zdumiony, gdy dowiedziałem się, że bliskość college'u zdecydowała o tym, że Ruth właśnie tu chciała spędzić miesiąc miodowy.

Ożywiona opowiadała mi, że Black Mountain był postępową akademią sztuk pięknych, założoną w 1933 roku, gdzie wykładali najwybitniejsi autorzy sztuki współczesnej. Każdego lata odbywały się tam warsztaty prowadzone gościnnie przez artystów, o których nigdy dotąd nie słyszałem. W miarę jak wymieniała kolejne nazwiska, Ruth stawała się coraz bardziej podekscytowana myślą, że będziemy mogli odwiedzić dawną siedzibę college'u.

Jak mógłbym jej odmówić?

Nazajutrz rano, w piękny słoneczny dzień, pojechaliśmy do Black Mountain i podążając za drogowskazami, dotarliśmy do college'u. Traf chciał – ja tymczasem wierzyłem, że to przeznaczenie, bo Ruth zaklinała się, że nie miała o niczym bladego pojęcia – że tego dnia w głównym budynku organizowano wystawę, która rozpościerała się aż na trawnik. Choć była otwarta dla publiczności, zwiedzających było niewielu i kiedy tylko weszliśmy do środka, Ruth zatrzymała się i powiodła dookoła zdumionym wzrokiem. Jej ręka zacisnęła się na mojej, a oczy chciwie chłonęły każdy szczegół. Zaintrygowany przyglądałem się jej reakcji, próbując zrozumieć, co tak bardzo ją fascynuje. Dla mnie, czyli dla kogoś, kto nie miał pojęcia o sztuce, wystawa niczym nie różniła się od innych, które odwiedziłem przez lata.

– Ależ była różnica! – wykrzykuje Ruth i mam wrażenie, że nadal zachodzi w głowę, jak mogłem być taki tępy. Siedzi w samochodzie i ma na sobie tę samą sukienkę z kołnierzykiem, którą włożyła w dniu, kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Black Mountain. W jej głosie pobrzmiwa to samo zdumienie, które słyszałem wtedy. – Te prace były niepodobne do niczego, co wcześniej widziałam. Nie przypominały dzieł surrealistów. Ani nawet Picassa. Były... nowe. Rewolucyjne. Żeby stworzyć coś takiego, trzeba mieć niebywałą wyobraźnię, wizję. I pomyśleć tylko, że to wszystko przez cały czas kryło się w tym małym college'u na odludziu! To jak znalezienie... – Zawiesza głos, szukając odpowiedniego słowa.

Patrzę na nią i dodaję niepewnie:

– Skrzyni ze skarbem?

Podnosi głowę.

– Tak! – potwierdza skwapliwie. – To tak, jakbyś odnalazł skarb w najmniej spodziewanym miejscu. Tyle że wtedy tego nie rozumiałeś.

– W tamtym czasie większość dzieł sztuki, które widziałem, przypominała mi zlepek kolorów i zawijasów.

– To ekspresjonizm abstrakcyjny.

– Dla mnie bez różnicy – drażnię się z nią, jednak widzę, że na dobre pogрузzyła się we wspomnieniach tamtego dnia.

– Spędziliśmy tam ze trzy godziny, przechodząc od obrazu do obrazu.

– Spędziliśmy tam ponad pięć godzin.

– A tobie spieszyło się do wyjścia – mówi z wyrzutem.

– Byłem głodny – tłumaczę. – Nie jedliśmy obiadu.
– Jak mogłeś myśleć o jedzeniu, mając przed sobą takie rzeczy? – pyta. – Kiedy mieliśmy okazję porozmawiać z tak niezwykłymi artystami.

– W ogóle nie rozumiałem, co do nich mówisz. Zupełnie jakbyście rozmawiali w obcym języku. Mówiliście o pasji i wyrzeczeniach, posługując się takimi terminami jak futurizm, Bauhaus czy kubizm syntetyczny. Dla człowieka, który zarabia na życie, sprzedając garnitury, to brzmiało jak jakiś bełkot.

– Nawet po tym, jak ojciec wszystko ci wytłumaczył? – pyta zrozpaczona.

– Twój ojciec próbował wytłumaczyć mi pewne rzeczy. A to zasadnicza różnica.

– Więc dlaczego nie zmusiłeś mnie do wyjścia? – Uśmiecha się. – Dlaczego nie wzięłeś mnie za rękę i nie zaprowadziłeś do samochodu?

Już wcześniej zadawała mi to pytanie, jednak nie była w stanie zrozumieć odpowiedzi.

– Ponieważ – odpowiadam jak zawsze – wiedziałem, jakie to dla ciebie ważne.

Nieusatysfakcjonowana, nie odpuszcza.

– Pamiętasz, kogo wtedy spotkaliśmy? – pyta.

– Elaine – mówię niemal odruchowo. Możliwe, że nie znam się na sztuce, ale mam pamięć do ludzi i twarzy. – No i oczywiście poznaliśmy jej męża, choć nie mieliśmy pojęcia, że będzie wykładowcą w college'u. Później, po południu, spotkaliśmy Kena, Raya i Roberta. Byli studentami, to znaczy Robert dopiero miał nim zostać, ale spędziłaś z nimi mnóstwo czasu.

Z jej miny wnioskuję, że jest zadowolona.

– Tamtego dnia nauczyli mnie wielu rzeczy. Rozmowa z nimi uświadomiła mi, skąd czerpią inspirację, i pomogła mi zrozumieć, w jakim kierunku podąża sztuka.

– Ale polubiłaś ich również jako ludzi.

– Oczywiście. Byli fascynujący. I każdy z nich był na swój sposób geniuszem.

– I dlatego wracaliśmy tam każdego dnia, aż w końcu wystawę zamknięto.

– Nie mogłam przepuścić tak wyjątkowej okazji. Miałam szczęście, że mogłam obcować z tymi ludźmi.

Z perspektywy czasu wiem, że miała rację, jednak wtedy dbałem wyłącznie o to, by jej miesiąc miodowy był udany i godny zapamiętania.

– Oni też cię lubili – zauważam. – Elaine i jej mąż z chęcią zjedli z nami kolację.

A w dniu zamknięcia wystawy zaprosili nas na prywatne przyjęcie nad brzegiem jeziora.

Ruth po raz kolejny wraca wspomnieniami do tych dni i przez chwilę siedzi w milczeniu. Kiedy w końcu podnosi wzrok, na jej twarzy maluje się powaga.

– To był najcudowniejszy tydzień mojego życia – wyznaje.

– Dzięki tym wszystkim artystom?

– Nie – mówi, delikatnie kręcąc głową. – Dzięki tobie.

W piąty i ostatni dzień wystawy Ruth i ja spędziliśmy ze sobą mało czasu. Nie dlatego, że było między nami jakieś napięcie, ale dlatego, że Ruth chciała poznać kolejnych pracowników wydziału, a ja wolałem podziwiać wystawione prace i rozmawiać z artystami, których już miałem okazję poznać.

I nagle było po wszystkim. Gdy zamknięto wystawę, przez kolejne dni robiliśmy to, co zwykle robią nowożeńcy. Rano chodziliśmy na piesze wędrówki, popołudniami czytaliśmy książki nad brzegiem basenu albo pływaliliśmy. Co wieczór jadaliśmy w innej restauracji, a ostatniego dnia, po tym jak wykonałem telefon i zapakowałem do bagażnika nasze walizki, wsiedliśmy do samochodu, zrelaksowani i wypoczęci jak nigdy dotąd.

W drodze powrotnej po raz ostatni przejeżdżaliśmy przez Black Mountain i gdy

zblizaliśmy się do wjazdu na autostradę, zerknąłem na Ruth. Jej pragnienie powrotu do tego miejsca było prawie namacalne. Celowo zjechałem w drogę prowadzącą do college'u. Ruth spojrziała na mnie i uniosła brwi, zastanawiając się, co znowu przyszło mi do głowy.

– Wpadniemy tam tylko na chwilę – zaznaczyłem. – Chcę ci coś pokazać.

Kluczyłem uliczkami miasta, aż w końcu skręciłem w taką, którą natychmiast rozpoznała. I tak jak wtedy, teraz również się do mnie uśmiecha.

– Wiozłeś mnie z powrotem nad jezioro przy głównym budynku – mówi. – Gdzie wieczorem w dniu zamknięcia wystawy odbywało się przyjęcie. Nad jezioro Eden.

– Widok był piękny. Chciałem zobaczyć go jeszcze raz.

– Tak. – Mówiąc to, kiwa głową. – To samo powiedziałeś mi tamtego dnia, a ja ci uwierzyłam. Okłamałeś mnie jednak.

– Nie podobał ci się widok? – pytam niewinnie.

– Nie pojechaliśmy tam, żeby podziwiać widoki – mówi. – Wróciliśmy z powodu tego, co dla mnie zrobiłeś.

Tym razem to ja się uśmiecham.

Kiedy przyjechaliśmy do college'u, nakazałem Ruth zamknąć oczy. Zgodziła się niechętnie i dała się poprowadzić żwirową ścieżką do punktu widokowego. Poranek był pochmurny i zimny, a widok robił większe wrażenie w dniu przyjęcia, jednak nie miało to znaczenia. Gdy stanęła w wyznaczonym przeze mnie miejscu, poprosiłem, by otworzyła oczy.

Przed nami, na sztalugach, stało sześć obrazów pędzla artystów, których Ruth najbardziej podziwiała i z którymi spędziła najwięcej czasu: Kena, Raya, Elaine, Roberta i dwa obrazy namalowane przez męża Elaine.

– Przez chwilę – mówi Ruth – nie rozumiałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego je tam postawiłeś.

– Ponieważ – tłumaczę – chciałem, żebyś zobaczyła je w naturalnym świetle.

– Masz na myśli obrazy, które kupiłeś?

Oto, co robiłem, gdy Ruth spotykała się z wykładowcami; poranna rozmowa telefoniczna była po to, żeby się upewnić, że obrazy zostaną wystawione nad brzegiem jeziora.

– Tak – mówię. – Obrazy, które kupiłem.

– Wiesz, co zrobiłeś, prawda?

Ostrożnie dobieram słowa.

– Uczyniłem cię szczęśliwą? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Ale dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Nie dlatego kupiłem te obrazy. Zrobiłem to, ponieważ byłaś nimi taka zachwycona.

– A jednak... – zaczyna, chcąc zmusić mnie do mówienia.

– A jednak nie kosztowały mnie aż tak wiele – oświadczam stanowczo. – W tamtym czasie nie byli ludźmi, którymi stali się dopiero później. Byli grupą nikomu nieznanym młodych artystów.

Pochyla się w moją stronę, zachęcając mnie, bym mówił dalej.

– I...

Ulegam z cichym westchnieniem, bo wiem, co chce usłyszeć.

– Kupiłem je – mówię – bo jestem samolubny.

Mówię szczerze. Choć kupiłem je dla Ruth, ponieważ ją kochałem, i choć kupiłem je, ponieważ te obrazy ją zachwyciły, kupiłem je również dla siebie.

Wystawa odmieniła Ruth. Odwiedziłem z nią niezliczoną liczbę galerii, jednak pobyt w Black Mountain College sprawił, że coś się w niej obudziło. Spotęgował zmysłowy aspekt jej osobowości i wzmocnił jej naturalną charyzmę. Kiedy spoglądała na płótna, jej spojrzenie pogłębiało się, skóra nabierała koloru, a postawa świadczyła o tak głębokim skupieniu i zaangażowaniu, że nie można było jej nie zauważyć. Sama Ruth była kompletnie nieświadoma zmian, jakie się w niej dokonywały. Oto dlaczego nabrałem przekonania, że ma na artystów wielki wpływ. Przyciągała ich, podobnie jak przyciągała mnie, i myślę, że dlatego zgodzili się rozstać z pracami, które od nich kupiłem.

Elektryzująca, zmysłowa aura pozostawała na długo po tym, jak opuszczaliśmy wystawę i wracaliśmy do hotelu. Przy kolacji z błyszczących oczu Ruth można było wyczytać skupienie i wzmogoną świadomość, a w jej ruchach pojawiała się gracia, której dotąd nie widziałem. Nie mogłem się doczekać, aż wrócimy do pokoju, gdzie udowodni mi, jak bardzo jest zuchwała i namiętna. Pragnąłem wówczas, by to, co tak na nią działało, trwało wiecznie.

Innymi słowy, jak już powiedziałem, byłem samolubny.

– Nie jesteś samolubny – mówi. – Jesteś najmniej samolubnym człowiekiem, jakiego znam.

W moich oczach wygląda równie oszalamiająco, jak ostatniego dnia naszej podróży poślubnej, kiedy staliśmy nad brzegiem jeziora.

– Dobrze, że nie pozwoliłem ci spotkać innego mężczyzny, w przeciwnym wypadku mogłabyś zmienić zdanie.

Śmieje się.

– Żartuj sobie. Zawsze lubiłeś błaznować. Ale wiedz, że to nie sztuka mnie odmieniła.

– Nie wiesz tego. Nie widziałas wtedy siebie.

Znowu się śmieje, by chwilę później zamilknąć. Jej powaga ma sprawić, bym skupił się na tym, co ma do powiedzenia.

– Oto co myślę. Owszem, uwielbiałam sztukę. Ale najcudowniejsze było to, że poświęcałeś tak wiele czasu temu, co kochałam. Rozumiesz, dlaczego tyle to dla mnie znaczyło? Wiedzieć, że poślubiłam człowieka zdolnego do poświęceń? Dla ciebie to nic takiego, ale coś ci powiem: niewielu jest mężczyzn, którzy w podróży poślubnej spędzaliby sześć godzin dziennie, rozmawiając z nieznajomymi i podziwiając dzieła sztuki, na których wcale się nie znają.

– Do czego zmierzasz?

– Próbuję ci powiedzieć, że nie o sztukę tu chodzi. Odmieniło mnie to, jak na mnie patrzyłeś, kiedy ja patrzyłam na sztukę. Innymi słowy, to ty wszystko zmieniłeś.

W przeszłości wielokrotnie prowadziliśmy tę rozmowę i najwyraźniej mieliśmy na ten temat odmienne opinie. Wiem, że Ruth nie zmieni zdania, tak jak ja nie zmienię swojego, ale myślę, że to bez znaczenia. Tak czy siak, nasza podróż poślubna dała początek nowej letniej tradycji, którą kultywowaliśmy niemal przez całe życie. A w końcu, po tym, jak w „New Yorkerze” ukazał się pamiętny artykuł, kolekcja, którą udało nam się zgromadzić, pod wieloma względami zdefiniowała nas jako parę.

Te sześć płócien – które w drodze do domu zwinąłem w rulony i położyłem na tylnym siedzeniu samochodu – były pierwszymi z dziesiątków, setek, przeszło tysiąca obrazów, które zgromadziliśmy w naszym domu. Choć wszyscy znają van Gogha, Rembrandta i Leonarda da Vinci, Ruth i ja skupiliśmy się na nowoczesnej sztuce amerykańskiej dwudziestego wieku. Wielu artystów, których spotkaliśmy przez lata, stworzyło dzieła pożądane przez wszystkie muzea

i prywatnych kolekcjonerów. Nazwiska takie jak Andy Warhol, Jasper Johns czy Jackson Pollock stopniowo stały się powszechnie znane, podczas gdy inni, mniej znani artyści, tacy jak Rauschenberg, de Kooning czy Rothko, również tworzyli dzieła, które sprzedawano na aukcjach w Sotheby's i Christie's za dziesiątki milionów dolarów albo i więcej. W 2006 roku *Kobieta III* Willema de Kooninga została sprzedana za sto trzydzieści siedem milionów dolarów, jednak wiele innych obrazów, w tym płótna Kena Nolanda i Raya Johnsona, również osiągnęły ceny rzędu milionów dolarów.

Oczywiście nie każdy współczesny artysta zyskał sławę, tak jak nie każdy obraz, który kupiliśmy z Ruth, stał się wyjątkowo cennym dziełem sztuki, jednak nie tym się kierowaliśmy, podejmując decyzję o kupnie kolejnych obrazów. Dziś płótno najbliższe memu sercu nie przedstawia żadnej wartości. Zostało namalowane przez byłego ucznia Ruth i wisi nad kominkiem; to amatorski obraz, który jest mi szczególnie bliski. Dziennikarka „New Yorkera” kompletnie go zignorowała, a ja nie zadałem sobie trudu, by wyjaśnić jej, dlaczego jest dla mnie taki ważny, bo wiem, że i tak by nie zrozumiała. Nic dziwnego, skoro nie rozumiała nawet, co miałem na myśli, tłumacząc jej, że monetarna wartość dzieł sztuki nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jedyne, co ją interesowało, to sposób, w jaki wybieraliśmy płótna do naszej kolekcji, choć miałem wrażenie, że moje wyjaśnienia nie spełniły jej oczekiwań.

– Dlaczego nie rozumiała? – pyta nagle Ruth.

– Nie wiem.

– Powiedziałeś jej to, co zawsze mówiliśmy w takich sytuacjach?

– Tak.

– Więc co w tym takiego trudnego? Ja bym mówiła o tym, w jaki sposób oddziaływała na mnie sztuka...

– A ja patrzyłbym na ciebie – kończę – i wiedziałbym, czy kupić obraz, czy nie.

Nie było to racjonalne wytłumaczenie, ale nam wystarczało, nawet jeśli irytowało dziennikarzy. Podczas podróży poślubnej nasz sposób sprawdził się bez zarzutu, chociaż przez kolejnych pięćdziesiąt lat nie do końca rozumieliśmy konsekwencje swoich czynów.

Niewiele jest bowiem par, które w czasie miesiąca miodowego kupują obrazy Kena Nolanda czy Raya Johnsona. A nawet płótno autorstwa przyjaciółki Ruth, Elaine, której prace wiszą teraz w największych muzeach świata, takich jak Metropolitan Museum of Art. I, oczywiście, trudno uwierzyć, że Ruth i ja nie tylko potrafiliśmy wybrać jeden wybitny obraz Roberta Rauschenberga, ale aż dwa obrazy namalowane przez męża Elaine, Willema de Kooninga.

15 Luke

Choć myślał o Sophii od dnia, w którym spotkali się po raz pierwszy, myśli te nie dorównywały gorączce, która ogarnęła go następnego poranka. Naprawiając ogrodzenie na odległym pastwisku i wymieniając gnijące słupki, przyłapywał się na tym, że od czasu do czasu uśmiecha się na myśl o niej. Nawet zimna jesienna ulewa, która przemoczyła go do suchej nitki, nie zdołała popsuć mu humoru. Później, kiedy razem z matką usiedli do kolacji, zauważył, że nawet nie próbowała ukryć uśmiešku, który zdradzał, że wiedziała o wpływie, jaki ma na niego Sophia.

Po kolacji zadzwonił do niej i przez godzinę wisieli na telefonie; kolejne trzy dni wyglądały podobnie. W czwartek wieczorem pojechał do Wake Forest, gdzie w końcu mieli okazję pospacerować po kampusie. Pokazała mu Wait Chapel i Reynolds Hall i trzymając się za rękę, spacerowali po Hearn Plaza i Manchester Plaza. W kampusie panował spokój, a sale wykładowe od dawna świeciły pustkami. Liście sypały się z drzew, tworząc na ziemi gruby szeleszczący dywan. W oknach akademików rozbłysły światła; tu i ówdzie słychać było przytłumione dźwięki muzyki, świadczące o tym, że studenci szykują się do kolejnego weekendu.

W sobotę Sophia przyjechała na ranczo. Pojechali konno na krótką przejażdżkę, po której towarzyszyła Luke'owi w licznych obowiązkach i wykorzystywała każdą nadarzącą się okazję, żeby mu pomóc. Po raz kolejny zjedli obiad w domu jego matki i udali się do domku Luke'a, gdzie w palenisku, jak przed tygodniem, czekały polana i podpałka. Tak jak poprzednio, wróciła do akademika, gdy ogień zaczął przygasać – nie była jeszcze gotowa spędzić z nim nocy – jednak następnego dnia pojechali do parku stanowego Pilot Mountain. Po południu wdrapali się na Big Pinnacle, gdzie urządzili piknik i podziwiali widoki. Tydzień wcześniej mieliby okazję podziwiać feerię jesiennych barw, za to teraz widoczna pod bezchmurnym niebem panorama ciągnęła się daleko, aż do Wirginii.

Tydzień po Halloween Sophia znów zaprosiła Luke'a do akademika, gdzie w sobotni wieczór odbywała się impreza. Odkąd pojawił się tam po raz pierwszy, wieści o jego niecodziennej profesji i związku tych dwojga musiały spowszednieć mieszkańcom kampusu, bo poza zwykłym powitaniem nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Luke nadal rozglądał się niepewnie, wypatrując Briana, ten jednak się nie pojawił.

– Pojechał na mecz do Clemson – wyjaśniła Sophia. – Dlatego to idealny dzień na spotkanie.

Nazajutrz rano Luke wrócił po nią do kampusu i wybrali się na spacer po Old Salem, zanim po raz trzeci z rzędu wrócili na ranczo, by spędzić kolejny weekend w domu jego matki. Kiedy żegnali się przy samochodzie, zapytał ją, czy będzie wolna w przyszły weekend – chciał zabrać ją do miejsca, w którym jako dziecko spędzał każde wakacje i w którym z końskich grzbietów można było podziwiać zapierające dech w piersi widoki.

Sophia pocałowała go i się uśmiechnęła.

– Brzmi cudownie.

Zanim dotarła na ranczo, Luke wprowadził konie na przyczepę i załadował ciężarówkę. Kilka minut później jechali już na zachód, w kierunku autostrady. Sophia zmieniała stacje radiowe. Ostatecznie zdecydowała się na hip-hop i podkręcała głośność, aż Luke nie mógł znieść hałasu i przełączył na stację z muzyką country.

– Zastanawiałam się, jak długo wytrzymasz – rzuciła, uśmiechając się znacząco.

– Po prostu myślę, że coś takiego lepiej pasuje do całej sytuacji; no wiesz, konie i te sprawy.

– A mnie się wydaje, że jakoś nigdy nie przekonałeś się do innych gatunków muzyki.

– Słucham innej muzyki.

– Ach tak? Jakiej?

– Hip-hopu. Przez ostatnie pół godziny. Ale dobrze, że zmieniłem stację. Czułem, że moje nogi rwą się do tańca, a nie chciałbym stracić kontroli nad ciężarówką.

Zachichotała.

– Jasne. Wiesz co? Kupiłam wczoraj kowbojki. Moje pierwsze w życiu. Widzisz? – Uniosła nogi i pieszczotliwie pogłaskała buty.

– Zauważyłem, kiedy pakowałem twoją torbę.

– I jak?

– Zdecydowanie zmieniasz się w dziewczynę ze wsi. Jeszcze trochę i będziesz wywijająca lassem jak prawdziwa kowbojka.

– Wątpię – odparła. – Z tego, co wiem, niewiele krów błąka się po muzeach. Ale może pouczysz mnie trochę w ten weekend?

– Nie wziąłem liny. Za to zabrałem dodatkowy kapelusz. Jeden z ładniejszych. Miałem go na sobie podczas mistrzostw świata.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego czasami mam wrażenie, że próbujesz mnie zmienić?

– Nie próbuję cię zmieniać. Proponuję tylko pewne... poprawki.

– Lepiej uważaj albo powiem mamie. Na razie przekonałam ją, że jesteś miłym facetem, i wierz mi, lepiej, żebyś jej nie podpadł.

Roześmiał się.

– Będę o tym pamiętał.

– A teraz powiedz mi, dokąd jedziemy. Mówiłeś, że bywałeś tam w dzieciństwie.

– Moja mama odkryła to miejsce. Była w okolicy, żeby rozkręcić interes i znaleźć nowych klientów. Natknęła się na nie przypadkiem. Dawniej był tu kulejący obóz letni, ale nowi właściciele uznali, że jeśli przyciągną jeźdźców, będą mieli ruch w interesie przez cały rok. Wyremontowali domki i za każdym wybudowali zagrody dla koni. Wystarczyło, żeby mama zakochała się w tym miejscu. Kiedy tam dojedziemy, zobaczysz dlaczego.

– Nie mogę się doczekać. Jak przekonałeś mamę, żeby pozwoliła ci wyjechać na cały weekend?

– Zrobiłem większość rzeczy przed wyjazdem i zaproponowałem Jose dodatkowe pieniądze, jeśli pomoże mamie pod moją nieobecność. Da sobie radę.

– Pamiętam, jak mówiłeś, że w gospodarstwie zawsze jest coś do roboty.

– Bo to prawda. Ale nic, z czym mama nie dałaby sobie rady. Chyba że wydarzy się coś niespodziewanego.

– Czy ona kiedykolwiek opuszcza ranczo?

– Bez przerwy. Stara się co najmniej raz w roku odwiedzać naszych klientów, a oni mieszkają w różnych zakątkach stanu.

– A wakacje?

- Nie przepada za wakacjami.
- Od czasu do czasu każdy potrzebuje przerwy.
- Wiem. Próbowalem jej to wytłumaczyć. Raz nawet kupilem jej bilety na rejs wycieczkowy.
- I co? Skorzystała?
- Oddała bilety i dostała zwrot pieniędzy. W tygodniu, w którym miała wypłynąć, pojechała do Georgii, żeby zobaczyć byka wystawionego na sprzedaż, i skończyło się na tym, że go kupiła.
- Do ujeżdżania?
- Nie, na chów. Zresztą nadal u nas jest. Wredne bydlę. Ale robi, co do niego należy. Sophia potrzebowała chwili, by przyswoić te informacje.
- Czy twoja mama ma przyjaciół?
- Jakichś tam ma. Czasem ich odwiedza. Przez pewien czas należała do klubu brydzowego, ale ostatnio kombinuje, jak powiększyć stado, i nie ma głowy do innych rzeczy. Chciałaby kupić kilkaset sztuk bydła, ale mamy za mało pastwiska, więc szuka miejsca, gdzie moglibyśmy je wypasać.
- Ale po co? Mało macie roboty?
- Luke westchnął i zacisnął dłonie na kierownicy.
- Prawdę mówiąc – odparł – nie mamy wyboru.
- Czuł na sobie pytające spojrzenie Sophii, ale nie miał ochoty o tym rozmawiać, więc pospiesznie zmienił temat.
- Wracasz do domu na Święto Dziękczynienia?
- Tak – odparła. – Jeśli mój samochód nie nawali. Kiedy go odpalam, słysząc, jak coś piszczy i trze, a silnik jakby wył z bólu.
- To pewnie luźny pasek klinowy.
- Tak, no cóż, pewnie trochę to kosztuje, a u mnie krucho z pieniędzmi.
- Jak chcesz, zobaczę, co da się zrobić.
- Spojrzała na niego.
- Ciekawe, dlaczego w to nie wątpię.

Dojazd do ośrodka zajął im nieco ponad dwie godziny. W tym czasie niebo zasnuło się chmurami, które sięgały aż do widocznych na horyzoncie niebieskich szczytów. Droga zaczęła piąć się ku górze, a w rozrzedzonym powietrzu czuć było chłód. Zatrzymali się przy sklepie spożywczym i zapakowali zakupy do lodówek na pace ciężarówki.

Po wyjeździe z miasteczka Luke zjechał z autostrady i od tej pory podążali lokalną drogą, która zakręcała stopniowo i wyglądała, jakby wycięto ją w zboczu góry. Kiedy opadała, Sophia dostrzegała za szybą strzeliste czubki drzew. Na szczęście ruch był niewielki, jednak za każdym razem, gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, Luke obiema rękami ścisnął kierownicę i czuł, że koła przyczepy ślizgają się po brzegu asfaltu.

Ponieważ nie był tu od lat, zwolnił, szukając drogi zjazdowej. Kiedy zaczął się obawiać, że pojechał za daleko, zauważył znajomy zjazd. Była to droga gruntowa, bardziej stroma, niż zapamiętał, więc musiał włączyć reduktor terenowy i powoli lawirować między drzewami, które napierały z obu stron.

Kiedy dotarli na miejsce, od razu pomyślał, że niewiele się tu zmieniło. Obok sklepu wielobranżowego, który pełnił również funkcję biura, stało w półkolu dwanaście domków kempingowych. Na tyłach sklepu znajdowało się jezioro z mieniącą się, krystalicznie czystą wodą, jaką widuje się tylko w górach.

Po dopełnieniu formalności Luke zdjął z paki lodówki turystyczne i nalał koniom wody. Tymczasem Sophia postanowiła przejść się w stronę wąwozu. W milczeniu podziwiała widoczną trzysta metrów niżej dolinę, a gdy Luke skończył rozpakowywać rzeczy, dołączył do niej i oboje przyglądali się górzystej panoramie. Daleko w dole widzieli zbite w gromadę wiejskie domy i wysypane żwirem drogi, przy których rosły potężne dęby i klony. Jednak nawet one wydawały się miniaturowe, jak modele na makiecie.

Patrząc na nią, zauważył na jej twarzy to samo zdumienie, które czuł, gdy jako dziecko przyjechał tu po raz pierwszy.

– Nigdy w życiu nie widziałam niczego podobnego – szepnęła oniemiała z wrażenia. – Widok zapiera dech w piersi.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie stała się dla niego tak bardzo ważna. Badał wzrokiem profil jej twarzy i był przekonany, że nigdy dotąd nie widział nikogo równie pięknego jak ona.

– Myślałem dokładnie o tym samym.

16 Sophia

Weszli do domku tylko na chwilę. Sophia włożyła kilka rzeczy do lodówki i zauważyła wannę na mosiężnych nogach. Wnętrze, chociaż podniszczone, sprawiało wrażenie przytulnego azylu, idealnego na krótkie wakacje. Luke tymczasem szykował kanapki, pakował owoce, chipsy i butelki z wodą, które kupił w sklepie.

Spakował prowiant do przytroczonych do siodeł sakiew i chwilę później wyjechali na jeden z wielu szlaków, które przecinały teren ośrodka. Jak zwykle on dosiadał Konia, a Sophia jechała na grzbiecie Demona, który, jak się jej zdawało, powoli, choć niechętnie przyzwyczajał się do niej. Trącał pyskiem jej rękę, a siodłany przez Luke'a zarżał z zadowoleniem; i choć przyczyną mogło być nowe otoczenie, wystarczyło delikatnie poruszyć wodzami, by nim pokierować.

Szlak wznosił się przed nimi, klucząc między drzewami, które miejscami rosły tak gęsto, że Sophia wątpiła, by ktokolwiek tędy przejeżdżał. Innym razem ścieżka otwierała się na rozległe panoramy, jakie do tej pory podziwiała tylko na widokówkach. Przejeżdżali przez porośnięte bujną wysoką trawą zielone łąki, które próbowała sobie wyobrazić latem – pełne kwiatów i motyli. Cieszyła się w duchu, że włożyła kurtkę i kowbojski kapelusz, bo biegnący wśród drzew szlak był zacieniony, a w miarę jak pieli się do góry, powietrze stawało się coraz bardziej rześkie.

W miejscach, gdzie ścieżka była zbyt wąska, by mogli jechać obok siebie, Luke nakazywał jej jechać przodem, a sam zostawał nieco z tyłu. W takich chwilach wyobrażała sobie, że jest osadniczką zmierzającą na zachód, zupełnie samą pośród dziewiczego krajobrazu sięgającego aż po horyzont.

Jechali przez kilka godzin, zanim zatrzymali się na posiłek, na polance nieopodal szczytu. Usiedli na głazach i jedząc, obserwowali parę jastrzębi kołujących nad widoczną w dole doliną. Po lunchu dosiedli koni i podążali ścieżką przez kolejne trzy godziny; w miejscach, gdzie szlak biegł nad krawędzią stromego urwiska, Sophia niemal czuła, jak groźba niebezpieczeństwa wyostrza jej zmysły.

Wrócili do domku niespełna godzinę przed zachodem słońca, wyszczotkowali konie i nakarmili je jabłkami oraz obrokiem. Kiedy skończyli, na niebie wisiał już mlecznobiały okrągły księżyc, a zza chmur wychynęły pierwsze gwiazdy.

- Zanim coś zjemy, chciałabym się wykapać – przyznała.
- A mogę przedtem wziąć szybki prysznic?
- Ale musisz obiecać, że nie zużyjesz całej ciepłej wody.
- Obiecuję, że się pospieszę.

Zostawiła Luke'a w łazience, weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. W środku znalazła butelkę chardonnay i sześciopak piwa Sierra Nevada Pale Ale, które kupili w drodze do domku. Przez chwilę zastanawiała się, na co właściwie ma ochotę, aż w końcu zaczęła przetrząsać szuflady w poszukiwaniu korkociągu.

W szafce nie było kieliszków do wina, ale znalazła słoik. Będzie musiał wystarczyć. Wprawnym ruchem otworzyła butelkę i nalała wina do słoika.

Delikatnie mieszając chardonnay, poczuła się jak dzieciak udający dorosłego. Ta prozaiczna czynność uświadomiła jej, że często tak właśnie się czuła, nawet teraz, gdy była już dorosła i niebawem miała ukończyć college. Na przykład nigdy nie musiała wynajmować mieszkania. Nigdy tak naprawdę nie pracowała dla nikogo poza własną rodziną. Nigdy nie musiała płacić rachunków za prąd i choć wyprowadziła się daleko od domu, mieszkanie w Wake

nie przypominało prawdziwego życia. Studia nie przypominały prawdziwego życia. Były niczym baśniowy świat, kompletnie niepodobny do tego, z którym przyjdzie się jej zmierzyć już za kilka miesięcy. Zajęcia, w przeciwieństwie do pracy, zaczynały się o dziesiątej i zwykle kończyły około czternastej. Noce i weekendy prawie zawsze oznaczały dobrą zabawę, zawieranie nowych znajomości i przekraczanie granic. Nie miały nic wspólnego z życiem, które wiedli jej rodzice.

Mimo świetnej zabawy na studiach bywały chwile, gdy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przez ostatnie kilka lat jej życie wstrzymywało oddech. Dopiero gdy poznała Luke'a, uświadomiła sobie, jak niewiele nauczyła się w szkole.

W przeciwieństwie do niej Luke wydawał się taki dorosły. Nie był w college'u, ale rozumiał, jak wygląda prawdziwe życie: ludzie, ich wzajemne relacje i praca. Kiedyś był jednym z najlepszych ujeżdżaczy byków i Sophia nie miała wątpliwości, że jeszcze nieraz sięgnie po trofeja. Potrafił naprawić każdą rzecz i sam zbudował swój własny dom. W swoim życiu nauczył się wielu rozmaitych rzeczy i nagle wydało jej się nie do pomyślenia, że w ciągu kolejnych kilku lat ona również będzie musiała wiele się nauczyć, nawet jeśli będą to rzeczy zupełnie niepodobne do tych, które znał Luke. Kto wie, czy w ogóle znajdzie pracę w swoim zawodzie, taką, dzięki której...

Wiedziała jedynie, że jest tu razem z Lukiem, a spędzone wspólnie chwile dają poczucie, że jej życie w końcu obrało jakiś kurs. To, co ich łączyło, było przecież tak bardzo rzeczywiste i rozgrywało się w prawdziwym świecie, nie w bańce mydlanej, jaką było jej studenckie życie. Luke był najbardziej autentyczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała.

Z zamyślenia wyrwał ją jęk rur, który towarzyszył zakręcaniu wody. Trzymając w dłoni słoik z winem, przechodziła z pokoju do pokoju. Kuchnia była mała i funkcjonalna, z prostymi niedrogimi szafkami. Choć farba z blatu odchodziła płatami, a dno zlewu upstrzone było rdzawymi kółkami, pachniało tu mleczkiem do czyszczenia i wybielaczem. Ktoś niedawno zamiótł podłogi i pościelał kurze.

W niewielkim salonie była porysowana sosnowa podłoga, ściany z cedrowych desek i dość miejsca, by pomieścić postrzępioną kraciastą kanapę i dwa bujane fotele. W oknie wisiały niebieskie zasłony, a w kącie stała lampa. Sophia przecięła pokój, by ją zapalić, jednak okazało się, że nie daje więcej światła niż żarówka w kuchennym żyrandolu. Tłumaczyło to obecność świec i zapalek na stoliku. Na półce, naprzeciw okien, stały książki, które – jak przypuszczała – pozostawili tu inni goście, przynęty łowieckie – kaczki – i wypchana wiewiórka. Mały telewizor z anteną przywodzącą na myśl królicze uszy stał na środku półki i choć nie próbowała go włączyć, wątpiła, by odbierał więcej niż dwa kanały.

Znowu usłyszała szum wody, a zaraz potem drzwi do łazienki otworzyły się ze skrzypnięciem i do pokoju wszedł Luke, czysty, pachnący, w dżinsach, białej koszuli z kołnierzykiem przypinanym na dwa guziki i podwiniętymi rękawami. Był bosy i potargany, jakby zamiast grzebienia użył palców. Stojąc w drugim końcu pokoju, zauważyła małą białą bliznę na jego policzku, która dotąd nie rzuciła jej się w oczy.

- Łazienka jest twoja – oznajmił. – Puściłem wodę do wanny.
- Dziękuję – odparła. Mijając go, musnęła ustami jego policzek. – Wyjdę za jakieś pół godziny.
- Nie spiesz się. I tak muszę przygotować kolację.
- Kolejna specjalność szefa kuchni?! – zawołała z sypialni, gdzie zostawiła swoją torbę podróżną.
- Mnie smakuje.
- A innym?
- Dobre pytanie. Myślę, że wkrótce się przekonamy.

Tak jak obiecał, woda powoli wypełniała wannę. Była cieplejsza, niż się spodziewała. Odkręciła drugi kurek, żeby zmniejszyć temperaturę, żałując, że nie wzięła ze sobą płynu do kąpieli albo zapachowej oliwki dla niemowląt.

Rozebrała się, świadoma uporczywego bólu w nogach i krzyżu. Miała nadzieję, że jutro nie będzie zbyt obolała, żeby chodzić. Sięgnęła po słoik z winem i wślizgnęła się do wanny. Mimo skromnych warunków poczuła się wyjątkowo.

Na karniszu, na którym wisiała zasłona oddzielająca wannę od reszty łazienki, dostrzegła wilgotny ręcznik Luke'a. Świadomość, że ledwie chwilę temu był tu zupełnie nagi, sprawiła, że poczuła w podbrzuszu przyjemne mrowienie.

Wiedziała, co może wydarzyć się w ten weekend. Po raz pierwszy nie pożegnają się przy samochodzie; dziś wieczorem nie wróci do kampusu. Jednak przebywanie w towarzystwie Luke'a było takie naturalne. Miała poczucie, że postępuje właściwie, nawet jeśli musiała przed sobą przyznać, że w tej kwestii nie ma zbyt dużego doświadczenia. Brian był pierwszym i jedynym facetem, z którym do tej pory spała. Zrobili to w noc bożonarodzeniowej zabawy, spotykali się już od przeszło dwóch miesięcy. Nie miała pojęcia, że wydarzy się to akurat wtedy, ale jak wszyscy świetnie się bawiła i może wypła trochę za dużo. Kiedy odprowadził ją do pokoju, wylądowali w łóżku. Brian był natarczywy, Sophii kręciło się w głowie i skończyło się tak, jak się skończyło. Rano, kiedy doszła do siebie, nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Brian nie ułatwiał jej sprawy – jak przez mgłę pamiętała, że poprzedniego wieczoru umawiał się z przyjaciółmi na poranną popijawę w jednym z pokoi. Walcząc z koszmarnym bólem głowy, powlokła się do łazienki. Gdy stała pod prysznicem, próbowała uporządkować myśli. Teraz, kiedy w końcu miała to za sobą, odetchnęła z ulgą – jak wszyscy zastanawiała się, jak to będzie – i cieszyła się, że zrobiła to z Brianem, w łóżku, a nie na tylnym siedzeniu samochodu czy w innym, równie niefortunnym miejscu. Z drugiej strony, nie wiedzieć czemu, było jej smutno. Wyobrażała sobie, co powiedziałyby na to jej mama – czy, Boże broń, ojciec – i, prawdę mówiąc, sama spodziewała się, że wszystko to będzie jakieś takie... inne. Bardziej doniosłe. Romantyczne. Godne zapamiętania. Tak naprawdę jedyne, czego chciała w tamtej chwili, to jak najszybciej wrócić do kampusu.

Po wszystkim Brian zachowywał się jak większość facetów. Za każdym razem, gdy zostawali sami, chciał czegoś więcej i przez chwilę ona chyba też tego chciała. Sęk w tym, że po jakimś czasie zaczęła odnosić wrażenie, że tylko na tym mu zależy, i myśl ta nie dawała jej spokoju, nawet jeszcze zanim zaczął ją zdradzać.

I oto znowu miała spędzić noc z mężczyzną, pierwszy raz, odkąd rozstała się z Brianem. Zastanawiała się, dlaczego nie jest zdenerwowana, dlaczego czuje się tak dziwnie spokojna. Namydliła myjkę i musnęła nią skórę, ciekawa, co Luke robi w kuchni. Interesowało ją, czy myśli o niej, zanurzonej w kąpieli, czy wyobraża sobie, jak wygląda bez ubrania, i znowu poczuła w podbrzuszu znajome mrowienie.

Nagle uświadomiła sobie, że chce tego. Chciała zakochać się w kimś, komu mogła ufać. A Luke'owi ufała. Nigdy nie nalegał, by zrobiła coś, na co nie miała ochoty, i zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Im dłużej się znali, tym głębszego nabierała przekonania, że jest najseksowniejszym mężczyzną na świecie. Jaki inny facet pracował tak ciężko? Który potrafił ją tak rozśmieszyć? Który był równie mądry, czarujący, samodzielny i czuły? I który wzięłby ją na konną przejażdżkę w jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi?

Leżąc w wannie i popijając wino, po raz pierwszy poczuła się bardziej dorosła, niż naprawdę była. Rozgrzana i zrelaksowana dopiła chardonnay, a gdy woda zaczęła stygnąć, wyszła z wanny i wytarła się ręcznikiem. Przez chwilę szperała w torbie, chcąc włożyć dzinsy, jednak uświadomiła sobie, że zawsze miała je na sobie, kiedy się spotykali. Zmieniła więc zdanie

i wyjęła z torby spódnicę i obcisłą bluzkę. Ułożyła włosy, dziękując losowi, że pamiętała o lokówce i suszarce. Następnie przyszła kolej na makijaż; pociągnęła rzęsy tuszem i nałożyła odrobinę więcej cienia niż zwykle, kilkakrotnie przecierając zaparowane lustro. Całości dopełniły złote kolczyki obręcze, które w ubiegłym roku dostała od mamy pod choinkę. Kiedy była gotowa, po raz ostatni przejrzała się w lustrze, wzięła głęboki wdech, sięgnęła po pusty słoik i wyszła z łazienki. Luke stał w kuchni i odwrócony do niej plecami mieszał coś w garnku. Na blacie obok stały pudełko krakersów i butelka piwa. Sophia patrzyła, jak sięga po nią i pociąga duży łyk.

Nie słyszał, jak wychodziła z łazienki, więc przez chwilę przyglądała mu się, podziwiając obcisłe dzinsy i płynne, leniwe ruchy. Najciszej jak mogła, podeszła do stołu i zapaliła świeczki. Cofnęła się, podziwiając efekt, i zadowolona wyłączyła lampę. W pomieszczeniu zapanował przyjemny półmrok, a roztańczone płomienie świec podkreśliły intymną atmosferę.

Luke najwyraźniej zauważył zmianę w oświetleniu, bo obejrzał się przez ramię.

– O, hej – rzucił, kiedy weszła do kuchni. – Nie wiedziałem, że już skończyłaś... – Zawiesił głos, kiedy wyszła z cienia wprost w żółte kuchenne światło. Przez chwilę upajał się jej widokiem, wycytując z jej oczu nadzieję i pożądanie. – Sophia. – Wyszeptał jej imię tak cicho, że ledwie go usłyszała.

W jego głosie było wszystko to, czego nie potrafił wyrazić słowami; w tamtej chwili wiedziała już, że jest w niej naprawdę zakochany. I może było to złudzenie, ale poczuła, że tak już zostanie, bez względu na to, co się wydarzy, i niezależnie od tego, co będzie musiał poświęcić.

– Przepraszam, że tak się na ciebie gapię – rzucił zmieszany. – Po prostu wyglądasz tak pięknie...

Uśmiechnęła się i podeszła bliżej, a kiedy się pochylił, by ją pocałować, wiedziała, że nawet jeśli wcześniej nie była w nim zakochana, teraz się to zmieniło.

Pocałunek wywołał w niej niepokój i wyczuwała, że Luke czuje podobnie. Odwrócił się, zmniejszył płomień na kuchence i sięgnął po butelkę z piwem, która – jak się okazało – była już pusta. Odstawił ją obok zlewu i ruszył do lodówki po kolejną, kiedy zauważył słoik, który trzymała w rękach.

– Chcesz jeszcze wina? – spytał.

Pokiwała głową, jakby bała się, że głos ją zawiedzie, i podała mu naczynie. Gdy ich palce się zetknęły, poczuła w dłoni przyjemne mrowienie. Luke wyciągnął korek i wlał do słoika trochę wina.

– Jak chcesz, możemy coś zjeść – oznajmił, wręczając jej słoik i z powrotem korkując butelkę. – Ale jedzenie będzie lepsze, jak postoi na wolnym ogniu jeszcze przez jakieś pół godziny. Jeśli jesteś głodna, pokroję trochę sera.

– Brzmi świetnie – odparła. – Usiądźmy na kanapie.

Wstawił wino do lodówki, wyciągnął kolejną butelkę piwa i wziął talerz z serem. Położył na nim winogrona i w drodze na kanapę sięgnął po pudełko krakersów.

Postawił talerz na stoliku i z butelką w dłoni usiadł obok Sophii. Wyprostował rękę, tak by mogła oprzeć się plecami o jego pierś. Chwilę później objął ją w pasie, a ona przykryła jego dłoń swoją. Czuła, jak przy każdym oddechu jego pierś unosi się i opada.

– Tak tu cicho – zauważyła, kiedy odstawił butelkę na skraj stołu i objął ją drugim ramieniem. – Na dworze też nic nie słychać.

– Pewnie niedługo usłyszysz konie – odparł. – Nie należą do najcichszych zwierząt, a zagroda jest tuż za oknem sypialni. Bywa też, że szopy zakradają się na ganek i zrzucają różne

rzeczy.

– Dlaczego przestałeś tu przyjeżdżać? – spytała. – Z powodu taty?

Kiedy zaczął mówić, głos miał zgaszony.

– Po śmierci taty wiele się zmieniło. Mama została sama, a ja bez przerwy podróżowałem.

Kiedy byłem w domu, miałem wrażenie, że oddaliliśmy się od siebie... ale to pewnie tylko wymówka. Dla mojej mamy to było ich miejsce. Ja spędzałem tyle czasu na dworze, biegając, jeżdżąc konno, pływając i bawiąc się z rówieśnikami, że po kolacji dosłownie padałem z nóg.

Rodzice mieli więc domek tylko dla siebie. Później, kiedy poszedłem do liceum, czasami przyjeżdżali tu sami... ale teraz mama nie chce nawet o tym słyszeć. Prosiłem ją, ale tylko kręci głową. Myślę, że chce zapamiętać to miejsce takie, jakie było kiedyś, kiedy żył tata.

Sophia upiła kolejny łyk wina.

– Wcześniej myślałam o tym, jak wiele przeszedłeś. To trochę tak, jakbyś przeżył już całe życie.

– Miejmy nadzieję, że nie – odparł. – Nie chcę, żebyś myślała, że taki ze mnie staruch.

Uśmiechnęła się świadoma ich bliskości, starając się nie myśleć o tym, co może wydarzyć się później.

– Pamiętasz tamten wieczór, kiedy się poznaliśmy? Gdy zaczęliśmy rozmawiać i zabrałeś mnie na spacer, żeby pokazać mi byki?

– Pewnie, że pamiętam.

– Pomyślałeś wtedy, że tak to się skończy? Że zabierzesz mnie tutaj?

Sięgnął po piwo, pociągnął solidny łyk i postawił butelkę na kanapie, tuż obok Sophii.

Przez moment czuła na udzie przyjemny chłód.

– Wtedy byłem zaskoczony, że w ogóle ze mną rozmawiasz.

– Niby czemu?

Pocałował ją w czubek głowy.

– Naprawdę musisz pytać? Jesteś idealna.

– Wcale nie – oburzyła się. – Daleko mi do ideału. – Zamieszała winem w słoiku. –

Zapytaj Briana.

– To, co się z nim stało, nie ma nic wspólnego z tobą.

– Może nie – odparła. – Ale...

Luke milczał, pozwalając, by dokładnie przemyślała to, co chce powiedzieć. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że ubiegłej wiosny byłam zupełnie zdołowana? I że strasznie schudłam, bo nie mogłam jeść?

– Pamiętam.

– To wszystko prawda. Ale nie powiedziałam ci, że był czas, kiedy myślałam o samobójstwie. Nie chodzi o to, że naprawdę próbowałam się zabić, ale o to, że chodziło mi to po głowie. Myśl, której się uczepiłam, żeby poczuć się lepiej. Budziłam się i nic mnie nie obchodziło; nie mogłam jeść i wtedy myślałam sobie, że jest tylko jeden sposób, żeby to wszystko zakończyć. Już wtedy wiedziałam, że to szaleństwo, i, tak jak mówiłam, nie wierzyłam, że mogłabym to zrobić. Ale świadomość, że jest taka możliwość, sprawiała, że czułam się, jakbym nadal panowała nad własnym życiem. A był taki czas, że niczego bardziej nie pragnęłam. Chciałam tylko wierzyć, że mam nad wszystkim kontrolę. Krok po kroku wzięłam się w garść. Dlatego gdy Brian znowu mnie zdradził, odeszłam. – Zamknęła oczy, a wspomnienia tamtych dni przemknęły po jej twarzy niczym mroczne cienie. – Pewnie myślisz, że zapraszając mnie tu, popełniłeś błąd.

– Wcale nie – odparł.

– Nawet jeśli jestem szalona?
– Nie jesteś szalona. Sama powiedziałaś, że tak naprawdę nie wierzyłaś, że mogłabyś to zrobić.
– W takim razie po co uczepliłam się tej myśli? Po co w ogóle o tym myślałam?
– Wciąż o tym myślisz?
– Wcale – odparła. – Od ubiegłej wiosny ani razu nie przyszło mi to do głowy.
– Wobec tego nie masz czym się martwić. Nie jesteś pierwszą osobą, która o tym myślała.

To, że o czymś myślisz, wcale nie znaczy, że to rozważasz, a tym bardziej, że to zrobisz.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami i próbowała zrozumieć, co właściwie chciał jej powiedzieć.

– Jesteś w tym wszystkim zbyt logiczny.
– Pewnie dlatego, że nie mam pojęcia, o czym mówię.
Ścisnęła go za ramię.
– Nikt o tym nie wie. Ani moja mama, ani tata. Nawet Marcia.
– Nie martw się, nikomu nie powiem – obiecał. – Ale jeśli znowu najdą cię takie myśli, może porozmawiasz o tym z kimś mądrzejszym ode mnie. Kimś, kto będzie wiedział, co ci powiedzieć, i pomoże ci wyjść z tarapatów.
– Mam taki zamiar. Ale wierzę, że to się więcej nie powtórzy.
Siedzieli w milczeniu, tuląc się do siebie.
– I tak myślę, że jesteś idealna – orzekł, na co odpowiedziała uśmiechem.
– Pochlebca z ciebie. – Przechyliła głowę i pocałowała go w policzek. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj, o co chcesz.
– Powiedziałaś, że twoja mama chce powiększyć stado, a kiedy zapytałam dlaczego, odparłaś, że nie ma wyboru. Co miałaś na myśli?

Przez chwilę wodził palcem po wewnętrznej stronie jej dłoni.

– To długa historia.
– Kolejna? W takim razie odpowiedz mi, czy ma coś wspólnego z Zakapiorem.
Poczuła, że mimowolnie napiął mięśnie.
– Dlaczego tak myślisz?
– Powiedzmy, że mam przecucie – odparła. – Nie dokończyłaś tamtej historii, więc zakładałam, że coś je łączy. – Zawahała się. – Mam rację, prawda?
Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.
– Myślałem, że go znam – zaczął Luke – i na początku rzeczywiście tak było. Ale w końcu popełniłem błąd. Pochyliłem się zbyt nisko, a on szarpnął łbem i straciłem przytomność. Kiedy spadłem, Zakapior jeszcze przez jakiś czas włókł mnie po arenie. Miałem zwichnięty bark, ale nie to było najgorsze. – Podrapał się po brodzie. Kiedy znów się odezwał, głos miał stanowczy, choć dziwnie chłodny. – Kiedy leżałem na ziemi, zawrócił i natarł na mnie. Było naprawdę źle. Wylądowałem na oddziale intensywnej terapii. Lekarze wykonali kawał dobrej roboty, no i wygląda na to, że miałem szczęście. Dochodziłem do siebie znacznie szybciej, niż się spodziewali. Mimo to musiałem zostać w szpitalu. Później czekała mnie wielomiesięczna rehabilitacja. Moja mama...

Urwał i choć starał się nie okazywać emocji, Sophia czuła, że serce bije jej mocniej, kiedy wyobraża sobie, przez co przeszedł.

– Moja mama... zrobiła to, co w tej sytuacji zrobiłaby każda matka. Zadbana o to, żebym miał najlepszą opiekę. Niestety, nie miałem ubezpieczenia zdrowotnego. Ujeżdżacze byków nie mają ubezpieczenia ze względu na ryzyko zawodowe. Przynajmniej wtedy tak było. Pieniądze

z udziału w zawodach wystarczyły, żeby pokryć część wydatków, ale pobyt w szpitalu kosztował znacznie więcej. Więc mama obciążyła ranczo hipoteką.

Zamilkł i przez chwilę miała wrażenie, że przybyło mu lat.

– Warunki kredytu nie były dogodne, a latem stopy procentowe ulegną zmianie. Dochody z rancza nie wystarczają na spłatę kredytu. Już teraz ciężko nam spłacać kolejne raty. Przez ostatni rok robiliśmy, co w naszej mocy, żeby wycisnąć z niego jak najwięcej pieniędzy, ale nic to nie dało. Nadal jesteśmy zadłużeni po uszy.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że będziemy zmuszeni sprzedać gospodarstwo. Albo bank położy na nim łapę. Moja mama nie zna innego życia. Zbudowała to ranczo i spędziła na nim całe swoje życie... – Odetchnął głęboko, zanim podjął na nowo. – Ma pięćdziesiąt pięć lat. Dokąd miałyby pójść? Co miałyby robić? Ja jestem młody. Mogę pójść gdziekolwiek. A ona, jeśli straci dorobek całego życia? Przeze mnie? Nie mogę jej tego zrobić. Po prostu nie mogę.

– Dlatego znowu zacząłeś jeździć – zgadła.

– Tak – przyznał. – Pieniądze z zawodów wystarczą na pokrycie kilku rat; za parę lat może uda mi się spłacić część kredytu i zadłużenie się zmniejszy.

Sophia podciągnęła kolana pod brodę.

– W takim razie dlaczego nie chce, żebyś jeździł?

Wydawało się, że Luke ostrożnie dobiera słowa.

– Nie chce, żeby znowu coś mi się stało. Ale jaki mam wybór? Nie chcę już jeździć... to już nie to samo. Ale nie wiem, co innego mógłbym robić. W najlepszym wypadku pociągniemy tak do czerwca, może lipca. Potem...

Poczucie winy i cierpienie, jakie pojawiły się na jego twarzy, sprawiły, że coś ścisnęło ją za serce.

– Może znajdziecie pastwisko, którego potrzebujecie.

– Może – odparł, choć, sądząc po jego tonie, szczerze w to wątpił. – Tak właśnie wygląda sytuacja na ranczu. Wcale nie jest tak kolorowo, jak mogłoby się wydawać. To jeden z powodów, dla których chciałem cię tu zabrać. Przyjazd tu oznaczał, że nie będę musiał o tym myśleć. Że nie będę musiał się martwić. Odkąd tu jestem, myślę wyłącznie o tobie i o tym, jak bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną.

Na zewnątrz koń zarżał przeciągle. W pokoju zrobiło się chłodniej. Zimne górskie powietrze wdzierало się do środka przez okna i ściany.

– Chyba powinienem zajrzeć do kuchni – rzucił. – Sprawdzić, czy kolacja się nie przypala.

Sophia niechętnie się wyprostowała, robiąc mu przejście między kanapą i stolikiem. Gnębiące go poczucie winy, że naraził ranczo na szwank, było tak szczerze i oczywiste, że ona również wstała. Chciała, by wiedział, że będzie przy nim, żeby go pocieszać, nie dlatego, że tego od niej oczekiwał, ale dlatego, że sama tego chce. Jej miłość do niego wszystko zmieniła i chciała, by on także to poczuł.

Mieszał chilli con carne, gdy podeszła do niego i objęła go w pasie. Czując jej dotyk, wyprostował się, a ona uścisnęła go delikatnie i chwilę później zwolniła uścisk. Odwrócił się i przyciągnął ją bliżej. Przyłgnęli do siebie, a ona wtuliła się w niego i przez jakiś czas stali tak w milczeniu.

Był dla niej taki dobry. Opierając głowę na piersi Luke'a, czuła bicie jego serca i słyszała łagodny rytm oddechu. Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi i wdychając zapach ciała Luke'a, poczuła, że budzi się w niej pragnienie, jakiego nigdy dotąd nie poznała. Powoli zaczęła całować jego szyję, słuchając przyspieszonego oddechu.

– Kocham cię, Sophio – szepnął.

– Ja też cię kocham, Luke – odparła szeptem, gdy zbliżył twarz do jej twarzy. Kiedy zaczęli się całować, do głowy przyszło jej wyłącznie to, że powinno tak być zawsze. Z początku nieśmiałe pocałunki stały się coraz bardziej namiętne, a kiedy podniosła wzrok, wiedziała już, czego chce. Pragnęła go tak, jak nigdy nikogo nie pragnęła, i po kolejnym pocałunku sięgnęła za jego plecy, żeby wyłączyć palnik. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, wzięła go za rękę i powoli poprowadziła do sypialni.

17 Ira

Kolejny wieczór, a ja nadal tu tkwię. Otulony ciszą, pogrzebany wśród białego mrozu zimy i niezdolny, żeby się poruszyć.

Przetrwiałem w tym więzieniu ponad dobę. Dla kogoś w moim wieku fakt, że znalazł się w takim położeniu i nadal żyje, powinien być okazją do świętowania. Ale czuję, że tracę siły. Tylko ból i pragnienie wydają się realne. Ciało odmawia mi posłuszeństwa i jedyne, co mogę zrobić, to mieć otwarte oczy. Wiem, że niebawem powieki znowu mi opadną, i coś mi mówi, że nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze się otworzą. Spoglądam na Ruth, zachodząc w głowę, dlaczego się nie odzywa. Nie patrzy na mnie. Widzę tylko jej profil. Z każdym mrugnięciem oka wydaje się inna. Jest młoda, stara i znowu młoda i nurtuje mnie, o czym myśli, kiedy tak się zmienia.

Choć kocham ją nad życie, muszę przyznać, że zawsze stanowiła dla mnie swoistą zagadkę. Rankiem, gdy siadaliśmy przy kuchennym stole, żeby zjeść śniadanie, widziałem, jak patrzy przez okno. W tamtych chwilach wyglądała dokładnie tak jak teraz, a moje oczy podążały za jej wzrokiem. Siedzieliśmy w milczeniu, obserwując ptaki przeskakujące z gałęzi na gałąź, albo podziwialiśmy chmury, które z czasem zaczynały nabierać realistycznych kształtów. Czasami przyglądałem się Ruth, próbując odgadnąć jej myśli, ale ona tylko się uśmiechała, zadowolona, że pozostały one tajemnicą.

Lubiłem to w niej. Lubiłem tajemniczość, którą wносиła do mojego życia. Sporadyczne chwile ciszy, w której oboje potrafiliśmy się odnaleźć. Była to namiętna cisza, która ma swój początek w pocieszeniu i pragnieniu. Często zastanawiałem się, czy to coś wyjątkowego, co przydarza się wyłącznie nam, czy inne pary też tak mają. Byłoby mi smutno, gdybym dowiedział się, że jesteśmy jedyni, ale żyję na tym świecie wystarczająco długo, by rozumieć, że to, co połączyło mnie i Ruth, było wyjątkowym błogosławieństwem.

Ona nadal się nie odzywa. Może także wróciła wspomnieniami do naszych wspólnych dni.

Kiedy podróż poślubna dobiegła końca i wróciliśmy do domu, zaczęliśmy budować wspólne życie. Do tego czasu rodzice Ruth przeprowadzili się do Durham, więc zamieszkaliśmy w domu moich rodziców i zaczęliśmy rozglądać się za własnym gniazdkiem. Choć w Greensboro nowe dzielnice wyrastały jak grzyby po deszczu, my szukaliśmy domu z charakterem. Przez większość czasu oglądaliśmy domy w zabytkowej dzielnicy i właśnie tam znaleźliśmy taki w stylu królowej Anny, wybudowany w 1886 roku, z dwuspadowym dachem, okrągłą wieżyczką i werandami z przodu i z tyłu. Najpierw pomyślałem, że dom jest za duży i nigdy nie zagospodarujemy takiej przestrzeni. Do tego był w opłakanym stanie i rozpaczliwie wymagał remontu. Jednak Ruth pokochała ten dom, a ja kochałem ją, więc gdy powiedziała, że decyzyję pozostawia mnie, już następnego dnia po południu złożyłem ofertę kupna.

Kiedy sfinalizowaliśmy umowę z bankiem – miesiąc później już tam mieszkaliśmy – ja wróciłem do pracy w sklepie, a Ruth rzuciła się w wir nauczania. Przyznaję, że bałem się o nią. Do wiejskiej szkoły, w której ją zatrudniono, chodziły głównie dzieci wychowujące się na farmach. Przeszło połowa z nich mieszkała w domach bez kanalizacji i wiele codziennie miało na sobie te same ubrania. Dwoje pojawiło się pierwszego dnia w szkole boso. Tylko garstka była zainteresowana nauką, a część w ogóle nie umiała czytać i pisać. Był to rodzaj ubóstwa, z jakim Ruth nigdy dotąd się nie zetknęła; i nie chodziło nawet o brak pieniędzy, ale o zupełny brak marzeń. Nigdy nie widziałem Ruth tak udręczonej, jak w pierwszych miesiącach nauczania, i już

nigdy więcej nie miałem jej takiej zobaczyć. Nauczyciel potrzebuje czasu, żeby stworzyć własny plan zajęć i poczuć się dobrze nawet w najlepszej szkole. Często widziałem, jak Ruth pracuje do późna w nocy przy naszym kuchennym stole, wymyślając coraz to nowe sposoby, by obudzić w swoich uczniach ciekawość.

Jednak sądząc po tym, jak umęczona była w trakcie pierwszego semestru, praca z takimi dziećmi, nawet bardziej niż kolekcja dzieł sztuki, którą w końcu zgromadziliśmy, była nie tylko jej powołaniem, ale też prawdziwą pasją. Przystąpiła do pracy w pełni zdeterminowana. Chciała, by jej uczniowie się uczyli, ale przede wszystkim pragnęła, by cenili edukację tak jak ona. Wyzwanie, jakim była praca z dziećmi tak okrutnie skrzywdzonymi przez los, jeszcze bardziej podsycalo jej entuzjazm. Przy kolacji opowiadała mi o uczniach i swoich małych zwycięstwach, dzięki którym przez kilka dni uśmiech nie schodził jej z twarzy. „Ira – mawiała, zanim w końcu przechodziła do sedna sprawy – jeden z moich uczniów odniósł dziś swoje pierwsze małe zwycięstwo”. Opowiadała z dumą, że któreś z dzieci pożyczyło ołówek swojemu koledze, że jej uczniowie pisali coraz staranniej i coraz bardziej czytelnie albo że któryś z uczniów pochwalił się jej, że sam przeczytał książkę. Poza tym dbała o nich. Potrafiła zauważyć, gdy któreś z dzieci jest smutne, i rozmawiała z nim jak matka; kiedy dowiedziała się, że niektórzy z jej uczniów są zbyt biedni, by przynosić do szkoły drugie śniadanie, zaczęła brać do pracy dodatkowe kanapki. Trochę to trwało, ale w końcu dzieci zaczęły reagować na jej starania, tak jak sadzonki kwiatów reagują na słońce i wodę.

Martwiła się, czy ją zaakceptują. Ponieważ była żydówką, a większość uczniów pochodziła z rodzin katolickich, ponieważ przyjechała z Wiednia i mówiła z niemieckim akcentem, nie wiedziała, czy nie potraktują jej jak obcej. Nigdy mi tego nie powiedziała, ale przekonałem się o tym pewnego grudniowego dnia, kiedy wieczorem zastałem ją, jak szlochając, siedziała przy kuchennym stole. Oczy miała opuchnięte, a w jej spojrzeniu było coś dzikiego, co mnie przeraziło. Wyobraziłem sobie, że coś strasznego przydarzyło się jej rodzicom albo że przytrafił jej się jakiś wypadek. Dopiero po chwili zauważyłem, że stół jest zasłany różnymi ręcznie zrobionymi przedmiotami. Wyjaśniła mi, że jej uczniowie – wszyscy, co do jednego – przynieśli jej prezenty z okazji Chanuki. Nie wiedziała, jak do tego doszło; nie wspominała im o święcie, bo była pewna, że żadne z dzieci nie rozumiało jego znaczenia. Dopiero później powiedziała mi, że słyszała, jak jeden uczeń tłumaczył drugiemu, że „Chanuka to święto, w czasie którego żydzi celebrują narodziny Jezusa”. Ale prawda była mniej istotna od tego, co zrobiły dzieci. Większość prezentów nie przedstawiała żadnej wartości – były to pomalowane kamienie, wykonane ręcznie laurki, bransoletka z muszelek – ale stworzono je z miłości i myślę, że od tamtej pory Ruth zaczęła traktować Greensboro w Karolinie Północnej jak swój dom.

Mimo rozlicznych obowiązków Ruth stopniowo udało nam się umeblować nasz nowy dom. Podczas tego pierwszego roku często w weekendy chodziliśmy po sklepach, polując na antyki. Ruth nie dość, że miała nosa do dzieł sztuki, to potrafiła też wybrać meble, które sprawiły, że nasz dom stał się nie tylko wyjątkowo piękny, ale także przytulny.

Latem następnego roku rozpoczęliśmy remont. Dom potrzebował nowego dachu, a kuchnia i łazienki, choć nadawały się do użytku, nie podobały się Ruth. Trzeba było wycyklinować podłogi, a większość okien nadawała się jedynie do wymiany. Kupując dom, postanowiliśmy poczekać z remontem do lata, kiedy Ruth będzie miała czas, by nadzorować robotników.

Ulżyło mi, gdy zgodziła się wziąć na siebie ten obowiązek. Moi rodzice coraz rzadziej bywali w sklepie, który zwiększył obroty w roku, gdy Ruth zaczęła uczyć w szkole. Tak jak mój ojciec w czasie wojny, teraz i ja wydzierzawiłem teren przyległy do sklepu, powiększyłem go

i zatrudniłem trzech nowych pracowników. Lecz nawet wtedy nie nadążałem ze wszystkim i, podobnie jak Ruth, często pracowałem do późnej nocy.

Remont domu przeciągnął się w czasie, kosztował więcej, niż się spodziewaliśmy, i nie ulega wątpliwości, że był dużo bardziej męczący, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Był koniec lipca 1947 roku, gdy ostatni robotnik zapakował do samochodu swoje narzędzia. Jednak zmiany – niektóre subtelne, inne bardziej spektakularne – sprawiły, że nasz dom w końcu wyglądał tak, jak sobie wymarzyliśmy; aż strach pomyśleć, że przeżyłem w nim sześćdziesiąt pięć lat. W przeciwieństwie do mnie dom trzyma się zadziwiająco dobrze. Woda płynie w rurach wartkim strumieniem, szafki otwierają się z łatwością, a podłogi są równe jak stół bilardowy. Tymczasem ja nie potrafię przejść z pokoju do pokoju bez pomocy balkonika. Przeszkadza mi tylko to, że dom pełen jest przeciągów, choć z drugiej strony od tak dawna marzę, że zapomniałem już, jak to jest, gdy człowiek się rozgrzeje. Moim zdaniem nasz dom wciąż jest pełen miłości i w tym punkcie mojego życia, w którym się znajduję, nie śmiałybym prosić o nic więcej.

– Masz rację, bez wątpienia jest pełen miłości – parska Ruth. – Mam na myśli dom.

Wyczuwam w jej głosie dezaprobatę i zerkam na nią kątem oka.

– Podoba mi się taki, jaki jest.

– Jest niebezpieczny.

– Wcale nie.

– Nie? A jeśli wybuchnie pożar? Jak się stamtąd wydostaniesz?

– Gdyby wybuchł pożar, nie umiałbym wydostać się na zewnątrz, nawet gdyby dom stał pusty.

– Szukasz wymówki.

– Jestem stary. Mam prawo być zniedołężniały.

– Nie jesteś zniedołężniały, tylko uparty.

– Lubię pamiętać. To zasadnicza różnica.

– Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Wspomnienia sprawiają, że bywasz smutny.

– Może – mówię, patrząc na nią. – Ale to wszystko, co mi pozostało.

Oczywiście Ruth ma rację, mówiąc o wspomnieniach. Ale ma również rację w kwestii domu. Jest zagracony, nie rupieciami, ale dziełami sztuki, które udało nam się zgromadzić. Przez lata trzymaliśmy obrazy w klimatyzowanych magazynach, które co miesiąc opłacałem. To był pomysł Ruth – zawsze bała się pożaru – ale kiedy odeszła, wynająłem dwóch robotników, którzy przywieźli wszystko z powrotem do domu. Teraz każda ściana przywodzi na myśl barwny kalejdoskop, a obrazy wypełniają cztery z pięciu sypialni. Od lat nie używam salonu ani jadalni, bo zgromadzone tam obrazy zajmują każdy skrawek wolnej powierzchni. Choć setki z nich zostały oprawione, większość nigdy nie doczekała się ram. Te przedzieliłem specjalnym papierem i zamknąłem w dębowych skrzyniach, z których każda opatrzona jest etykietką z rokiem, w którym miejscowy stolarz wykonał ją na moje zamówienie. Przyznaję, że dom wydaje się zagracony, a niektórzy mogą odczuwać w nim klaustrofobię. Dziennikarka, która do mnie przyszła, chodziła od pokoju do pokoju z otwartymi ustami. Za to jest w nim czysto. Firma sprzątająca dwa razy w tygodniu przysyła do mnie panią utrzymującą pokoje, z których korzystam, w nienagannym porządku i choć nieliczne z tych kobiet mówiły po angielsku, wiem, że Ruth byłaby zadowolona, że je zatrudniłem. Nienawidziła kurzu i bałaganu.

Panujący w domu ścisk nie przeszkadza mi. Wręcz przeciwnie, przypomina mi najpiękniejsze chwile naszego małżeństwa, a zwłaszcza wycieczki do Black Mountain College. Kiedy remonty dobiegły końca i gdy oboje poczuliśmy, że potrzebujemy odpoczynku, spędziliśmy pierwszą rocznicę ślubu w Grove Park Inn, miejscu, do którego pojechaliśmy

w podróż poślubną. Po raz kolejny odwiedziliśmy college, jednak tym razem powitali nas przyjaciele. Nie zastaliśmy Elaine i Willema, ale spotkaliśmy Roberta i Kena, ci zaś przedstawili nas Susan Weil i Pat Passlof, dwóm wybitnym artystkom, których prace można podziwiać w rozmaitych muzeach. Tamtego lata wróciliśmy do domu z czternastoma nowymi obrazami.

Nawet wtedy żadne z nas nie pomyślało o tym, by zacząć kolekcjonować dzieła sztuki. Przecież nie byliśmy bogaci, a kupno tych obrazów znacznie uszczupliło nasz budżet, nadwyrężony po remontach. Nie od razu wszystkie z nich zawisły na ścianach. Ruth, w zależności od nastroju, przenosiła je z pokoju do pokoju i bywało tak, że po powrocie do domu czułem się, jakbym wchodził do miejsca, które znam, a które zarazem jest mi obce. W latach 1948 i 1949 po raz kolejny odwiedziliśmy Asheville i Black Mountain College. Kupiliśmy nowe obrazy, a kiedy wróciliśmy do domu, ojciec Ruth zaproponował, żebyśmy potraktowali nasze hobby nieco poważniej. Podobnie jak Ruth on również doceniał jakość kupowanych przez nas obrazów i zaszczerpił w nas pomysł, by stworzyć prawdziwą kolekcję, która pewnego dnia być może trafi do muzeum. Myśl ta spodobała się Ruth. Choć nie podjęliśmy oficjalnej decyzji, postanowiliśmy odkładać niemal całą pensję Ruth. Niebawem moja żona zaczęła pisać listy do znajomych malarzy – pytała w nich o nazwiska artystów, których prace mogłyby przypaść nam do gustu. W roku 1950, po wycieczce do Outer Banks, po raz pierwszy pojechaliśmy do Nowego Jorku. W ciągu trzech tygodni odwiedziliśmy każdą galerię w mieście. Spotykaliśmy się z właścicielami i artystami, których przedstawili nam przyjaciele. Tamtego lata zaczęliśmy tworzyć sieć kontaktów, która powiększała się przez kolejne czterdzieści lat. Pod koniec wakacji wróciliśmy do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, zupełnie jakbyśmy nie mieli wyboru.

Nie jestem pewien, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy plotki o tym, że Black Mountain College może zostać zamknięty – w 1952 albo w 1953 roku – ale podobnie jak artyści i wykładowcy, których traktowaliśmy jak przyjaciół, postanowiliśmy je zlekceważyć. A jednak w 1956 roku nasze obawy się potwierdziły. Kiedy Ruth usłyszała złe wieści, rozplakała się, jakby przeczuwała, że oto nadszedł koniec pewnej epoki. Tamtego lata po raz kolejny pojechaliśmy na północny wschód. Chociaż wiedziałem, że to nie będzie to samo, wracając, postanowiliśmy uczcić rocznicę ślubu w Asheville. Jak zwykle pojechaliśmy do college'u, jednak stojąc nad brzegiem jeziora Eden i patrząc na opuszczone budynki, zacząłem się zastanawiać, czy wszystkie cudowne chwile, które tu spędziliśmy, nie były niczym więcej niż tylko snem.

Odnaleźliśmy miejsce, w którym czekało na Ruth sześć pierwszych obrazów. Staliśmy nad spokojną błękitną wodą i pomyślałem, że to idealna nazwa dla tego jeziora. Dla nas ten zakątek był namiastką raj. Wiedziałem, że niezależnie od tego, dokąd zaprowadzi nas życie, jezioro Eden na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Zaskoczyłem Ruth, gdy wręczyłem jej list napisany ubiegłej nocy. Był to pierwszy list, który napisałem do niej, odkąd wróciłem z wojny, i przeczytawszy go, objęła mnie. Już wtedy wiedziałem, co muszę zrobić, by zatrzymać to miejsce w naszych sercach. Rok później, w jedenastą rocznicę ślubu, napisałem do niej kolejny list, który przeczytała pod tymi samymi drzewami nad brzegiem jeziora. Tak oto narodziła się nasza kolejna małżeńska tradycja.

W sumie Ruth otrzymała czterdzieści pięć listów i zachowała wszystkie, co do jednego. Nadal leżą w pudełku, które trzymała w komodzie. Czasami przyłapywałem ją, kiedy je czytała, i sądząc po jej uśmiechu, wracała wspomnieniami do chwil, o których dawno już zapomniała. Listy te były dla niej czymś w rodzaju pamiętnika i z wiekiem sięgała po nie coraz częściej, nieraz czytała wszystkie w ciągu jednego popołudnia.

Przynosiły jej spokój i myślę, że dlatego, dużo, dużo później, ona też postanowiła do mnie napisać. Znalazłem ten list dopiero po jej śmierci, jednak mogę śmiało powiedzieć, że niejednokrotnie uratował mi życie. Wiedziała, że będę go potrzebował, bo знаła mnie lepiej niż

ja sam.

Jednak Ruth nie przeczytała wszystkich listów, które do niej napisałem. Nie mogła. Bo choć pisałem je dla niej, pisałem je także dla siebie i kiedy odeszła, obok pudełka, w którym je przechowywała, pojawiło się kolejne. Są w nim listy, które napisałem drżącą ręką, zroszone moimi łzami, nie łzami Ruth. Mówią o tym, jak wyglądałyby nasze kolejne rocznice. Czasami mam ochotę je przeczytać, tak jak robiła to ona, ale boli mnie myśl, że Ruth nie może tego uczynić. Więc tylko trzymam je w dłoniach, a gdy ból staje się nie do wytrzymania, zaczynam snuć się po domu i gapię się na obrazy. Czasami kiedy to robię, lubię sobie wyobrażać, że Ruth przychodzi do mnie, tak jak teraz, w samochodzie, bo wie, że nie potrafię bez niej żyć.

– Potrafisz beze mnie żyć – mówi do mnie.

Na zewnątrz samochodu wiatr ucichł, a otaczająca mnie ciemność nie jest już tak nieprzenikniona. To światło księżyca, myślę sobie, i dociera do mnie, że w końcu przestało sypać. Jutro wieczorem, jeśli wytrzymam tak długo, pogoda się poprawi, a we wtorek śnieg zacznie topnieć. Świadomość ta daje mi chwilową nadzieję, która znika równie szybko, jak się pojawiła. Nie przeżyję do tego czasu.

Jestem słaby, tak słaby, że nawet skupianie się na Ruth sprawia mi trudność. Wnętrze samochodu wiruje jak oszalałe i chcę wziąć ją za rękę, żeby mnie uspokoiła, ale wiem, że to niemożliwe. Próbuję więc przypomnieć sobie jej dotyk, jednak nie jest to łatwe.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – pyta poirytowana.

Zamykam oczy i staram się opanować zawroty głowy, ale jest jeszcze gorzej i pod powiekami eksplodują mi kolorowe spirale.

– Tak – mówię w końcu szeptem. Głos mam schrypnięty, jakby w gardle zalegała gruba warstwa popiołu wulkanicznego. Chce mi się pić. Jeszcze bardziej niż przedtem. Znacznie bardziej. Nie piłem nic od przeszło dwudziestu czterech godzin i pragnienie staje się nie do wytrzymania; narasta z każdym umęczonym oddechem.

– Gdzieś tu jest butelka z wodą – mówi nagle Ruth. – Chyba na podłodze, pod moimi nogami.

Głos ma łagodny i śpiewny jak muzyka. Skupiam się na nim, żeby nie myśleć o tym, co oczywiste.

– Skąd wiesz?

– Nie jestem pewna. Ale gdzie indziej mogłaby być? Na fotelu jej nie ma.

Ma rację, myślę. Butelka leży pewnie gdzieś na podłodze, ale i tak jej nie dosięgnę.

– Nieważne – mówię w końcu zrezygnowany.

– Oczywiście, że to ważne. Musisz znaleźć sposób, żeby jej dosięgnąć.

– Nie dam rady. Brakuje mi sił.

W milczeniu trawi moje słowa. Słyszę, jak oddycha, i dopiero po chwili dociera do mnie, że to mój własny świszczący oddech. Coś znowu blokuje mi gardło.

– Pamiętasz tornado? – pyta nagle. Błagalna nuta w jej głosie każe mi się skupić i próbuję przypomnieć sobie, o co właściwie jej chodzi. Tornado. Z początku nic mi to nie mówi, ale z czasem, powoli, wspomnienia zaczynają nabierać kształtu.

Wróciłem z pracy do domu, a godzinę później niebo zasnuły złowieszcze szarozielone chmury. Ruth wyszła na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje; pamiętam, że chwyciłem ją za rękę i zaciągnąłem do łazienki w głębi domu. Było to pierwsze tornado, jakie przeżyła, i choć nasz dom nie ucierpiał, przewrócone drzewo na końcu ulicy spadło na samochód sąsiada.

– To był tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy rok – mówię. – Kwiecień.

– Tak – przytakuje. – To było wtedy. Nie dziwię się, że pamiętasz. Zawsze pamiętasz,

jaka była pogoda.

– Pamiętam, bo się bałem.

– Ale pamiętasz też pogodę.

– Bo oglądałam w telewizji kanał Meteo.

– I dobrze. Mają ciekawe programy. Można się sporo dowiedzieć.

– Dlaczego o tym rozmawiamy?

– Bo jest coś, o czym musisz pamiętać – mówi i wyczuwam w jej głosie niepokój. – Coś więcej.

Nie rozumiem, co ma na myśli, i jestem tak wyczerpany, że niewiele mnie to obchodzi. Oddycham z coraz większym trudem, zamykam oczy i zaczynam dryfować po bezkresnym morzu czerni. W stronę odległego horyzontu, z dala od tego miejsca. I z dala od Ruth.

– Widziałeś ostatnio coś ciekawego! – krzyczy nagle.

Ja jednak unoszę się na falach. Na zewnątrz samochodu. Wzbijam się coraz wyżej. Do księżycy i gwiazd. Noc jest bezchmurna, wiatr ucichł, a ja jestem tak bardzo zmęczony, że będę spał przez całą wieczność. Czuję, jak moje członki rozluźniają się i tracą wagę.

– Ira! – krzyczy coraz bardziej przerażona. – Jest coś, o czym musisz pamiętać! Coś, co widziałeś na Kanale Meteo!

Jej głos, dziwnie odległy, brzmi jak echo.

– Mężczyzna w Szwecji! – krzyczy. – Nie miał jedzenia ani wody!

Choć prawie jej nie słyszę, jakimś cudem rozróżniam poszczególne słowa. Tak, myślę, i wspomnienie, niczym tornado, zaczyna nabierać kształtu. Umea. Krąg polarny. Sześćdziesiąt cztery dni.

– On przeżył! – krzyczy Ruth. Wyciąga do mnie rękę i kładzie ją na moim kolanie.

W tym samym momencie przestaję dryfować. Kiedy otwieram oczy, znów jestem w samochodzie.

Pogrzebany we własnym samochodzie, pod śniegiem.

Bez wody...

Bez wody...

Ruth pochyla się w moją stronę; jest tak blisko, że wyczuwam w jej perfumach delikatną różaną nutę.

– Tak, Ira – mówi z powagą. – On też nie miał wody. Jak więc przetrwał? Musisz przecież pamiętać!

Mrugam i czuję, jakbym oczy miał pokryte łuskami, niczym gad.

– Śnieg – mamrocę. – Jadł śnieg.

Patrzy na mnie, jakby chciała sprawdzić, jak długo wytrzymam jej spojrzenie.

– Tu też jest śnieg – przypomina mi. – Za oknem jest mnóstwo śniegu.

Słyszac to, czuję, jak mimo zmęczenia coś się we mnie budzi, i choć boję się poruszyć, powoli podnoszę lewą rękę. Centymetr po centymetrze unoszę ją na wysokość kolana i opieram na podłokietniku. Wysilek jest ogromny i potrzebuję chwili, by złapać oddech. Ale Ruth ma rację. W pobliżu jest woda i prostuję palec, żeby dotknąć przycisku. Boję się, że okno się nie otworzy, ale nie ustaję w wysiłkach. Jakiś pierwotny instynkt każe mi działać dalej. Mam nadzieję, że akumulator wciąż jest na chodzie. Wcześniej nie było z nim problemu, uspokajam się w myślach. Po wypadku działał. W końcu mój palec trafia do celu i naciska guzik.

I oto, w cudowny sposób, wewnątrz samochodu wypełnia rześkie, lodowate powietrze. Chłód jest przejmujący, ale na wierzchu dłoni ląduje drobinka śniegu. Tak niewiele dzieli mnie od szczęścia, jednak moja głowa przekrzywiona jest w drugą stronę. Zadanie wydaje się niewykonalne, lecz woda przyzywa mnie i nie mogę nie odpowiedzieć.

Gdy unoszę głowę, ręka, bark i obojczyk eksplodują bólem. Widzę oślepiającą jasność, a zaraz potem wszechobecny mrok, jednak nie daję za wygraną. Moja twarz wydaje się opuchnięta i przez chwilę zaczynam wątpić, że mi się uda. Chcę z powrotem opuścić głowę. Chcę, by ból ustał, ale moja lewa ręka zmierza nieuchronnie w kierunku ust. Śnieg topnieje, ścieka strużkami po mojej skórze, jednak ręka pozostaje w ciągłym ruchu.

I wtedy, w chwili gdy jestem u kresu sił, dotyka ust. Śnieg jest cudowny i mam wrażenie, że moje usta ożywają. Czuję na języku wilgoć. Jest zimna, cierpka i cudowna; czuję, jak pojedyncze krople spływają mi do gardła. Cud ten dodaje mi odwagi i sięgam ręką po kolejną garść śniegu. Moje gardło wydaje się młode jak siedząca obok mnie Ruth i choć w samochodzie panuje przeraźliwy chłód, nie czuję zimna. Biorę kolejną porcję śniegu i jeszcze jedną, a wycieńczenie, które czułem chwilę temu, znika jak ręką odjął. Jestem zmęczony i słaby, ale i tak czuję się o niebo lepiej. Kiedy spoglądam na Ruth, widzę ją wyraźnie. Znowu jest kobietą po trzydziestce; wtedy była najpiękniejsza i cała promieniała.

– Dziękuję – mówię w końcu.

– Nie musisz mi dziękować. – Wzrusza ramionami. – Ale lepiej podnieś szybę. Zanim przemarzniesz.

Robię, co mi każe, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Kocham cię, Ruth – mówię chrapliwym głosem.

– Wiem – odpowiada, patrząc na mnie z czułością. – Dlatego przyszedłam.

Woda sprawiła, że poczułem się znacznie lepiej, co jeszcze kilka godzin temu wydawało się niemożliwe. Mówiąc, że czuję się lepiej, mam na myśli umysł. Moje ciało nadal przypomina wrak i wciąż boję się poruszyć, jednak Ruth wyraźnie cieszy się z poprawy mojego stanu. Siedzi i w milczeniu słucha zgiełku moich myśli. Teraz najbardziej interesuje mnie to, czy ktoś mnie tu znajdzie.

W końcu dla świata stałem się prawie niewidzialny. Nawet kiedy tankowałem samochód – gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że właśnie to doprowadziło do mojej zguby – stojąca za kontuarem kobieta patrzyła na stojącego za mną młodego mężczyznę w dżinsach. Jestem kimś, kim boją się stać młodzi ludzie, jednym z wielu bezimiennych starców, zniedołężniałym człowiekiem, który nie ma już nic do zaoferowania.

Moje dni są bez znaczenia; składają się ze zwykłych chwil i jeszcze zwykleszych przyjemności. Jem, śpię i myślę o Ruth; snuję się po domu i gapię na obrazy, a rankiem karmię gołębie, które zlatują się do ogrodu. Mój sąsiad skarży się na to. Uważa, że ptaki to roznoszące choroby utrapienie. Możliwe, że ma rację, ale swego czasu wyciął okazały klon, który stał na granicy naszych posiadłości, tylko dlatego, że dość miał grabienia liści, tak więc niespecjalnie ufam jego osądom. Poza tym lubię ptaki. Lubię słuchać ich gruchania i podoba mi się, jak podnoszą i pochylają główki, uganiając się za ziarnem, które dla nich rozsypuje.

Wiem, że większość ludzi uważa mnie za odludka. Właśnie tak przedstawiła mnie ta dziennikarka. I choć gardzę tym słowem i wszystkim, co ono oznacza, w jej postrzeganiu mnie jest ziarno prawdy. Od lat jestem wdowcem, nie mam dzieci i, o ile wiem, żadnych żyjących krewnych. Moi przyjaciele, z wyjątkiem mojego pełnomocnika Howiego Sandersa, dawno już odeszli z tego świata i od kiedy w mediach wybuchła wrzawa – wywołana artykułem w „New Yorkerze” – rzadko wychodzę z domu. Tak jest łatwiej, jednak często się zastanawiam, czy w ogóle powinienem był rozmawiać z tą dziennikarką. Pewnie nie, ale kiedy Janice, Janet, czy jak tam miała na imię, nagle pojawiła się na progu mojego domu, jej ciemne włosy i inteligentne spojrzenie przypomniały mi o Ruth i zanim się zorientowałem, była już w salonie. Wyszła sześć godzin później. W jaki sposób dowiedziała się o kolekcji, nadal pozostaje dla mnie tajemnicą.

Pewnie od handlarza dziełami sztuki z północy – ci dopiero lubią plotkować – ale nawet jeśli tak było, nie winię jej za to, co stało się później. Wykonywała swoją pracę i mogłem kazać jej opuścić mój dom, a ja cierpliwie odpowiadałem na jej pytania i pozwalałem robić zdjęcia. Zapomniałem o niej tuż po tym, jak zamknąłem za nią drzwi. Kilka miesięcy później zadzwonił do mnie młody człowiek o piskliwym głosie, przedstawił się jako redaktor merytoryczny w jednym z magazynów i oznajmił, że chce zweryfikować informacje uzyskane przez tamtą dziennikarkę. W swojej naiwności powiedziałem mu wszystko, co chciał wiedzieć, a kilka tygodni później do mojej skrzynki na listy trafiła niewielka paczuszka. Dziennikarka była na tyle uprzejma, by wysłać mi egzemplarz pisma, w którym ukazał się artykuł. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo mnie on rozwścieczył. Przeczytawszy, co napisała, wyrzuciłem magazyn do śmieci, jednak gdy ochłonąłem, wyciągnąłem go z kosza i przeczytałem raz jeszcze. Z perspektywy czasu uświadomiłem sobie, że to nie jej wina, że nie zrozumiała, co chciałem jej powiedzieć. Od początku interesowały ją wyłącznie nasze zbiory i to o nich chciała napisać.

Zdarzyło się to sześć lat temu i wywróciło moje życie do góry nogami. W oknach domu pojawiły się kraty, a wokół podwórza stanął płot. Zainstalowałem system alarmowy, a patrole policyjne mijały mój dom przynajmniej dwa razy dziennie. Byłem nękanym telefonami. Dzwonili reporterzy. Producenci. Scenarzysta, który obiecał, że przeniesie moją historię na duży ekran. Trzech albo czterech prawników. Dwoje ludzi, którzy twierdzili, że są dalekimi kuzynami ze strony Ruth. Obcy ludzie, którym życie nie szczędziło problemów i którzy liczyli, że im pomogę. W końcu wyłączyłem telefon, bo wszyscy – łącznie z dziennikarzami – postrzegali sztukę wyłącznie przez pryzmat pieniędzy.

Nie rozumieli, że nie chodzi o pieniądze, ale o wspomnienia. Tak jak Ruth miała listy, które do niej pisałem, ja miałem obrazy i zakłęte w nich okruchy czasu. Patrząc na dzieła de Kooninga, Rauschenberga czy Warhola, przypominam sobie, jak staliśmy objęci nad brzegiem jeziora; podziwiając płótna Jacksona Pollocka, wracam wspomnieniami do naszej pierwszej wyprawy do Nowego Jorku, w 1950 roku. Byliśmy w połowie podróży, gdy niespodziewanie postanowiliśmy pojechać do Springs, małej wioski nieopodal East Hampton na Long Island. Był piękny letni dzień i Ruth włożyła uroczą żółtą sukienkę. Miała wówczas dwadzieścia osiem lat i z każdym dniem piękniała w oczach, co nie umknęło uwadze Pollocka. Jestem przekonany, że to dzięki jej elegancji postanowił zaprosić dwoje obcych ludzi do swojej pracowni. To również tłumaczyło, dlaczego zgodził się sprzedać Ruth obraz, który niedawno ukończył, choć robił tak niezwykle rzadko, a w późniejszych czasach w ogóle. Potem, tego samego dnia, w drodze do miasta zatrzymaliśmy się w niewielkiej restauracji w Water Mill. Było to urocze miejsce z podniszczoną drewnianą podłogą i wysokimi oknami, przez które do środka wpadały promienie słońca. Właściciel zaprowadził nas do rozchwianego stolika. Tamtego dnia Ruth zamówiła białe wino, lekkie i słodkie, i sącząc je niespiesznie, spoglądaliśmy na cieśninę. Dzień był ciepły, niemal bezwietrzny, a gdy na horyzoncie pojawiała się łódź, próbowaliśmy zgadnąć, dokąd płynie.

Obok obrazu Pollocka wisi kolejny, pędzla Jaspersa Johnsa. Kupiliśmy go latem 1952 roku, gdy włosy Ruth były długie jak nigdy. W kącikach jej oczu pojawiły się wtedy pierwsze delikatne zmarszczki, które przydawały jej twarzy kobiecości. Rankiem tego samego dnia staliśmy na szczycie Empire State Building, a po południu zaszyliśmy się w ciszy hotelowego pokoju i kochaliśmy się godzinami, aż w końcu zasnęła w moich ramionach. Ja sam nie mogłem zasnąć.

Gapiałem się na nią, na jej piersi, które wznosiły się i opadały przy każdym oddechu, i ciepłą, miękką skórę. W przyćmionym świetle patrzyłem na jej włosy rozsypane na poduszce i pytałem się w duchu, czy jest na świecie mężczyzna równie szczęśliwy jak ja.

Oto dlaczego wieczorami spaceruję po naszym domu; dlaczego kolekcja pozostaje nietknięta. Oto dlaczego nie sprzedałem żadnego obrazu. Jakżebym mógł? W tych farbach olejnych i barwnikach są zaklęte moje wspomnienia o Ruth; każdy obraz to kolejny rozdział naszego wspólnego życia. Nie ma na świecie cenniejszej rzeczy. To wszystko, co pozostało mi po żonie, którą kochałem nad życie, i będę na nie patrzył i rozpamiętywał tak długo, jak długo starczy mi sił.

Zanim Ruth odeszła, czasami towarzyszyła mi w nocnych wędrówkach. Podobnie jak ja lubiła cofać się w czasie i podobnie jak ja lubiła opowiadać historie, nawet jeśli nie wiedziała, że to ona była ich bohaterką. Trzymając się za ręce, przechodziliśmy z pokoju do pokoju, rozkoszując się wspomnieniami.

Nasze małżeństwo wniosło do mojego życia wiele radości, jednak ostatnimi czasy czuję jedynie smutek. Rozumiem, że miłość i tragedia idą w parze, bo jedna nie istnieje bez drugiej, a jednak zastanawiam się, czy bilans jest sprawiedliwy. Myślę, że człowiek powinien umierać tak, jak żył; otoczony tymi, których zawsze kochał.

Ja wiem, że w chwili śmierci będę zupełnie sam.

18 Sophia

Kolejne tygodnie należały do tych rzadkich i cudownych okresów, gdy niemal wszystko utwierdzało Sophię w przekonaniu, że nie może być już lepiej.

Zajęcia na uczelni były inspirujące, oceny doskonałe i choć nie dostała odpowiedzi z Denver Art Museum, jej doradca polecił ją na staż w nowojorskim Museum of Modern Art. Rozmowa miała się odbyć w przerwie świątecznej. Nie była to posada płatna i gdyby Sophia ją dostała, musiałaby dojeżdżać z domu, ale chodziło przecież o Museum of Modern Art. W najśmielszych snach nie brała pod uwagę takiej możliwości.

Choć rzadko bywała teraz w akademiku, zauważyła, że Marcia od jakiegoś czasu paraduje tanecznym krokiem, jak zawsze, gdy skupiała się na czymś wyjątkowym. I choć nieustannie była w dobrym humorze, zaprzeczała, by miało to coś wspólnego z facetem. Mniej więcej w tym samym czasie Mary-Kate zaczęła coraz rzadziej udzielać się w stowarzyszeniu, więc i Sophia była zwolniona z większości obowiązków. Pewnie wynikało to ze słomianego zapału Mary-Kate, ale co tam, skoro wszystko działało, jak należy. Najlepsze jednak było to, że do tej pory nie wpadła na Briana, a także to, że nie pisał i nie dzwonił. Dzięki temu łatwiej jej było zapomnieć, że w ogóle byli parą.

No i był jeszcze Luke.

Sophia czuła, że po raz pierwszy rozumie, co naprawdę znaczy kogoś kochać. Od ich wspólnego weekendu w domku kempingowym – oprócz Święta Dziękczynienia, które spędziła w domu – w każdą sobotnią noc byli razem na ranczu, ciesząc się swoją bliskością. W przerwach między pocałunkami i pieszczotami rozkoszowała się dźwiękiem jego głosu, kiedy powtarzał, jak bardzo ją kocha i jak wiele dla niego znaczy. Leżąc w ciemnościach, wodziła palcami po jego bliznach, czasami natrafiając na taką, o której istnieniu nie miała pojęcia; rozmawiali do późnej nocy, przerywając tylko po to, by znowu się sobą nacieszyć. Namiętność, jaka ich połączyła, była odurzająca i zupełnie niepodobna do tego, co było pomiędzy nią a Brianem. Przywodziła na myśl więc wykraczającą poza zwykły fizyczny akt. Polubiła chwile, gdy w niedzielę rano Luke wymykał się z łóżka, żeby nakarmić zwierzęta i zajrzeć do bydła; robił to tak, by przypadkiem jej nie obudzić. Zwykle po jego wyjściu zasypiała i budziła się, gdy wracał do niej z filiżanką gorącej kawy. Czasami umilali sobie czas, siedząc na werandzie albo szykując razem śniadanie. Prawie zawsze wybierali się na konną przejażdżkę, niekiedy na całe popołudnie. Rześkie zimowe powietrze barwiło jej policzki na czerwono i sprawiało, że grabiały jej dłonie, ale właśnie w takich chwilach czuła tę wyjątkową bliskość z Lukiem i ranczem; bliskość, z której powodu zastanawiała się, jak to możliwe, że nie spotkali się wcześniej.

Przed Bożym Narodzeniem spędzali coraz więcej czasu w świerkowym zagajniku. Luke wycinał, przewoził i wiązał choinki, a Sophia prowadziła rejestr, w wolnych chwilach zaś uczyła się do egzaminów końcowych.

Luke na dobre zaczął też ćwiczyć na mechanicznym byku. Czasami patrzyła, jak siedział na masce rdzewiejącego ciągnika w podupadającej stodole. Byk stał na prowizorycznej arenie, wyścielanej grubą warstwą pianki, by zamortyzować upadki. Luke zwykle zaczynał powoli, żeby rozluźnić mięśnie, i dopiero po chwili wrzucał byka na wyższy bieg. Maszyna obracała się i rzucała na wszystkie strony, a Luke pozostawał skupiony i unosił wolną rękę, tak by nie dotykała ciała. Podejmował trzy, cztery próby i siadał z Sophią, żeby odzyskać siły. Po jakimś czasie znowu wsadał na byka i bywało, że trenował przez dwie godziny. Choć nigdy się nie skarżył, patrząc na jego twarz albo chód, potrafiła poznać, gdy go bolało. W niedzielne wieczory

leżał w sypialni otoczony świecami, a Sophia masowała jego mięśnie, próbując złagodzić ból.

Choć w kampusie spędzali razem niewiele czasu, niekiedy szli na kolację albo do kina, a raz odwiedzili nawet bar z muzyką country, gdzie występował ten sam zespół, który przygrywał w dniu, kiedy się poznali. Tam Luke w końcu nauczył ją tańca szeregowego. Dzięki Luke'owi świat wydawał się dużo bardziej kolorowy i rzeczywisty, a gdy nie było go obok, myśli Sophii niezmiennie ku niemu podążały.

Wraz z drugim tygodniem grudnia nastały chłody, a od strony Kanady nadciągnęły burze śnieżne. Był to pierwszy tej zimy śnieg i choć większość stopniała już następnego dnia, rano Sophia i Luke podziwiali pokryte białym puchem ranczo, zanim udali się do zagajnika, by spędzić wśród choinek kolejny pracowity dzień.

Później, jak mieli w zwyczaju, poszli do domu matki Luke'a. Kiedy on wymieniał klocki hamulcowe w swoim pick-upie, Linda uczyła Sophię piec ciasta. Luke nie kłamał, kiedy mówił, jakie są pyszne. Spędziły w kuchni miłe popołudnie, rozmawiając, śmiejąc się i brudząc fartuchy mąką.

Przebywanie w towarzystwie Lindy przypominało Sophii o jej rodzicach i o tym, jak bardzo się dla niej poświęcali. Kiedy patrzyła na Lindę i Luke'a, jak przekomarzali się i żartowali, zastanawiała się, czy pewnego dnia ona również będzie miała tak dobre relacje ze swoimi rodzicami. Może kiedyś przestaną widzieć w niej małą dziewczynkę i zobaczą nie tylko córkę, ale i przyjaciółkę. Teraz, gdy stała się częścią życia Luke'a, czuła się doroślejsza. Został jej tylko semestr nauki i nie zastanawiała się już, po co były jej studia. Zrozumiała, że wszystkie wzloty i upadki, marzenia i starania, były częścią podróży, która zaprowadziła ją na ranczo pod King, gdzie pokochała kowboja imieniem Luke.

– Znowu? – jęknęła Marcia. Skrzyżowała nogi na łóżku, naciągając na uda rozciągnięty sweter. – Spędziłaś na ranczu dwanaście weekendów z rzędu i jeszcze ci mało?

– Przesadzasz. – Sophia przewróciła oczami i po raz ostatni pociągnęła usta błyszczkiem. Obok niej leżała spakowana niewielka torba.

– Jasne, że przesadzam. Ale to nasz ostatni weekend przed przerwą świąteczną. W środę rozjedziemy się do domów, a w tym semestrze właściwie się nie widywałyśmy.

– Cały czas jesteście razem – oburzyła się Sophia.

– Nie – fuknęła Marcia. – Kiedyś tak było. Teraz prawie każdy weekend spędzasz na ranczu razem z nim. Nawet nie byłaś na zimowym balu w zeszły weekend. Naszym zimowym balu.

– Wiesz, że nie przepadam za takimi imprezami.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że on nie przepada za takimi imprezami.

Sophia zacisnęła wargi. Nie chciała być niegrzeczna, ale ton Marcii zaczynał działać jej na nerwy.

– Oboje nie mieliśmy ochoty na żadne imprezy, okay? Luke pracował i potrzebował mojej pomocy.

Marcia przeczesła palcami włosy; była wyraźnie poirytowana.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żebyś się na mnie nie wściekała.

– Niby co chcesz mi powiedzieć?

– Że popełniasz błąd.

– Co takiego? – Sophia odłożyła błyszczek i spojrzała na przyjaciółkę.

Marcia uniosła rękę.

– Pomyśl, jak to wygląda. Wyobraź sobie, co byś powiedziała, gdybyśmy zamieniły się rolami. Gdybym to ja była w związku od dwóch lat...

– To mało prawdopodobne – przerwała jej Sophia.

– Dobra, wiem, że trudno to sobie wyobrazić, ale załóżmy. Robię to dla ciebie.

Powiedzmy, że zakończyłam burzliwy związek i tygodniami nie wychodziłam z pokoju, i nagle, ni stąd, ni zowąd, poznaję tego faceta. Rozmawiam z nim i odwiedzam go następnego dnia, gadam z nim przez telefon i w następny weekend do niego jadę. Zaczynam go traktować, jakby był dla mnie całym światem, i spędzam z nim każdą wolną chwilę. Co byś pomyślała? To przypadek, że poznałam swój ideał akurat wtedy, kiedy próbowałam się pozbierać po ciężkich przejściach? To znaczy... jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego się wydarzy?

Sophia poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Nie bardzo rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

– Chcę ci powiedzieć, że być może popełniasz błąd. I że jeśli nie będziesz ostrożna, możesz znowu cierpieć.

– Nie popełniam błędu – warknęła Sophia, zapinając torbę. – I nie zamierzam znowu cierpieć. Po prostu lubię spędzać czas z Lukiem.

– Wiem. – Marcia złagodniała i poklepała łóżko. – Usiądź przy mnie – dodała błagalnie. – Proszę.

Po chwili wahania Sophia przecięła pokój i usiadła na łóżku. Marcia spojrzała na przyjaciółkę.

– Rozumiem, że go lubisz – zaczęła. – Naprawdę. I cieszę się, że znowu jesteś szczęśliwa. Ale jak myślisz, dokąd to wszystko zmierza? To znaczy... gdyby chodziło o mnie, spędzałabym z nim czas i świetnie się bawiła, chciałabym zobaczyć, co z tego wyjdzie, i żyć z dnia na dzień. Ale nawet przez chwilę nie dopuściłabym do siebie myśli, żeby spędzić z tym facetem resztę życia.

– Ja też o tym nie myślę – wtrąciła Sophia.

Marcia nerwowo skubała sweter.

– Jesteś pewna? Bo ja odnoszę zupełnie inne wrażenie. – Urwała, a na jej twarzy pojawił się smutek. – Nie powinnaś była się w nim zakochać. Za każdym razem, gdy z nim jesteś, tylko pogarszasz sprawę.

Sophia oblała się rumieńcem.

– Dlaczego mi to robisz?

– Bo nie myślisz racjonalnie – odparła Marcia. – Gdyby tak było, zobaczyłabyś, że właśnie kończysz historię sztuki i jesteś, na litość boską, z New Jersey. A Luke ujeżdża byki i mieszka na ranchu w Karolinie Północnej. Zastanowiłabyś się, co będzie pół roku po tym, jak skończysz studia. – Zamilkła, dając Sophii czas na przemyślenie jej słów. – Wyobrażasz sobie, że przez kolejne pięćdziesiąt lat mieszkasz na ranchu? Jeździsz konno, wypasasz krowy i do końca życia sprzątasz zagrody?

Pokręciła głową.

– Nie...

– Czyżby? – rzuciła Marcia, nie dając jej dokończyć. – To może myślisz, że Luke zamieszka w Nowym Jorku, bo ty dostaniesz pracę w tamtejszym muzeum? Może wydaje ci się, że co niedziela będziecie jadać brunch w drogich lokalach, sączyć cappuccino i czytać „New York Timesa”? Tak wyobrażasz sobie waszą wspólną przyszłość?

Kiedy Sophia nie odpowiedziała, Marcia wzięła ją za rękę i uściśniła.

– Wiem, jak bardzo ci na nim zależy. Ale twoje życie i jego życie to nie dwie różne bajki, to dwie różne galaktyki. A to znaczy, że od tej chwili musisz uważać na swoje serce, bo inaczej w końcu rozpadnie się na milion drobnych kawałków.

– Jesteś dziś jakaś cicha – zauważył Luke między kolejnymi łykami gorącego kakao. Sophia objęła kubek dłońmi i ze swojego miejsca na kanapie patrzyła na sypiący za oknami śnieg, drugi w tym roku, choć wyglądało na to, że i ten długo nie poleży. Jak zwykle Luke rozpalili w kominku, jednak tym razem nie mogła pozbyć się uczucia chłodu.

– Przepraszam – odparła. – Jestem zmęczona.

Nie wiedzieć czemu jego zainteresowanie sprawiało, że czuła się dziwnie niespokojna.

– Wiesz, co myślę? – spytał. – Myślę, że Marcia powiedziała coś, co cię zmartwiło.

Sophia nie odpowiedziała od razu.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała głosem, który jej samej wydał się słaby i drżący.

Luke wzruszył ramionami.

– Kiedy zadzwoniłem przed wyjazdem, byłaś w świetnym humorze i paplałaś jak najęta.

Ale jak dotarłem na miejsce, nagle zaniemówiłaś. Zauważyłem też, jak ty i Marcia na siebie zerkałyście. Jakbyście odbyły jakąś poważną rozmowę, o której obie wołałybyście zapomnieć.

Gorący kubek parzył jej dłonie.

– Jesteś niezwykle spostrzegawczy jak na faceta, który potrafi przez cały dzień nie powiedzieć ani słowa – odparła, zerkając na niego.

– Właśnie dlatego jestem taki spostrzegawczy.

Jego odpowiedź przypomniała jej, dlaczego w tak krótkim czasie stali się sobie tacy bliscy. Problem w tym, że nie była już pewna, czy to był dobry pomysł.

– Znowu myślisz – zbeształ ją. – Zaczynam się denerwować.

Roześmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Jak sądzisz, dokąd to wszystko zmierza? – odezwała się nagle, powtarzając pytanie, które zadała jej Marcia.

– Chodzi ci o nas?

– Wiosną skończę studia. To już za kilka miesięcy. Co wtedy? Co się stanie, kiedy wrócę do domu? Albo znajdę gdzieś pracę?

Pochylił się, postawił kubek na stoliku i dopiero po chwili spojrzął na nią.

– Nie wiem – odparł.

– Nie wiesz?

Z jego twarzy nie umiała nic wyczytać.

– Nie potrafię przewidzieć przyszłości, tak samo jak ty.

– To mi wygląda na wymówkę.

– Nie szukam wymówek – rzucił. – Staram się być szczery.

– Ale ty nic nie mówisz! – krzyknęła. Zdenerwowała ją rozpacz, którą usłyszała we własnym głosie.

– A co powiesz na to? – spytał spokojnie Luke. – Kocham cię. Chcę być z tobą.

Znajdziemy sposób, żeby to jakoś pogodzić.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie mówiłbym tego, gdybym sam w to nie wierzył.

– Nawet gdybyś musiał przeprowadzić się do New Jersey? Połowa twarzy Luke'a skryta była w cieniu.

– Chcesz, żebym przeprowadził się do New Jersey?

– Co jest nie tak z New Jersey?

– Nic – odparł. – Mówiłem ci, że tam byłem i całkiem mi się podobało.

– Ale?

Po raz pierwszy spuścił wzrok.

– Nie zostawię rancza, dopóki nie będę pewny, że mama da sobie radę – powiedział

stanowczo.

Rozumiała go, a jednak...

– Chcesz, żebym tu została – rzuciła. – Po studiach.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nigdy bym cię o to nie poprosił. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

– W takim razie co zrobimy?

Położył rękę na jej kolanie.

– Nie jesteśmy jedyną parą, która staje przed takim wyborem. Ale myślę, że jeśli mamy być razem, wszystko się ułoży. Nie, nie znam odpowiedzi i nie powiem ci, jak to się wszystko skończy. Martwiłbym się, gdybyś dziś musiała wyjechać. Ale mamy pół roku. Przez ten czas wszystko może się zmienić... Być może wrócę do formy i nie będę musiał martwić się o ranczo. A może naprawiając płot, wykopię ukryty skarb. Może stracimy ranczo i będę musiał się wyprowadzić. A może znajdziesz pracę w Charlotte albo gdzieś blisko, dokąd mogłabyś dojeżdżać. Nie wiem. – Pochylił się jeszcze niżej, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. – Wiem tylko, że jeśli oboje będziemy chcieli, znajdziemy rozwiązanie.

Zdawała sobie sprawę, że jedynie to mógł powiedzieć, jednak pytanie o przyszłość ich związku wciąż nie dawało jej spokoju. Ale nie odezwała się. Przytuliła się do niego i pozwoliła, by objął ją ramieniem i ogrzał jej zziębnięte ciało. Wzięła głęboki oddech, pragnąc, by czas stanął w miejscu. Albo przynajmniej zwolnił.

– Dobrze – szepnęła.

Pocałował włosy Sophii i oparł brodę o czubek jej głowy.

– Wiesz, że cię kocham.

– Wiem – odparła. – Ja ciebie też.

– Będę tęsknił, gdy wyjedziesz.

– Ja też.

– Ale cieszę się, że spędzisz trochę czasu z rodziną.

– Ja także.

– Może zrobię ci niespodziankę i przyjadę do New Jersey.

– Przykro mi – odparła – ale nie możesz.

– Dlaczego nie?

– Nie chodzi o to, że nie chcę, żebyś przyjeżdżał. Ale to nie będzie niespodzianka.

Właśnie ją zepsułeś.

Zastanowił się przez chwilę.

– Chyba masz rację; wszystko spałam. W takim razie może zrobię ci niespodziankę i nie przyjadę.

– Lepiej przyjedź. Moi rodzice chcą cię poznać. Nigdy wcześniej nie znali żadnego kowboja i pewnie wyobrażają sobie, że chodzisz po ulicach z rewolwerem i mówisz rzeczy typu: „Siemasz, chłopie”.

Roześmiał się.

– Chyba ich rozczaruję.

– Nie – rzuciła pospiesznie. – Z pewnością ich nie rozczarujesz.

Uśmiechnął się.

– To może w sylwestra? Masz jakieś plany?

– Nie wiem. A mam?

– Teraz już tak.

– Cudownie. Ale nie możesz przyjechać w nocy. Mówiłam ci przecież, że musisz spędzić trochę czasu z moimi rodzicami.

– W porządku – odparł. – Pomożesz mi ubrać choinkę? – spytał, wskazując głową pustą kąt.

– A gdzie drzewko?

– Za domem. Wybrałem je wczoraj i przywlokłem do domu. Ma rzadkie gałęzie i jest małe, więc pewnie by się nie sprzedało, ale pomyślałem, że może tu pasować. Żebyś wiedziała, co cię ominie.

Nachyliła się do niego.

– I bez tego wiem, co mnie ominie.

Godzinę później Sophia i Luke cofnęli się na środek pokoju i spojrzeli na swoje dzieło.

– Coś tu nie gra – orzekł Luke, krzyżując ręce na piersi i przypatrując się ozdobionej lametą choince. – Przydałoby się coś jeszcze.

– Nie mamy zbyt wielkich możliwości – zauważyła Sophia, wyciągając rękę, żeby poprawić sznur lampek. – Gałęzie już i tak są obciążone.

– Nie o to chodzi – odparł. – Chodzi o... Zaczekaj. Zaraz wrócę. Wiem, czego jej potrzeba. Daj mi chwilę...

Sophia patrzyła, jak znika w sypialni i wraca z przewiązanim wstążką średniej wielkości pudełkiem. Ominął ją, położył prezent pod choinką i stanął obok niej.

– Od razu lepiej – stwierdził.

Spojrzała na niego.

– To dla mnie?

– Właściwie to tak.

– To nie w porządku. Ja nic ci nie kupiłam.

– Nie chcę prezentów.

– Może i tak, ale czuję się podle.

– Daj spokój. Wynagrodzisz mi to później.

Przyjrzała mu się.

– Wiedziałeś, że to powiem, prawda?

– Taki miałem plan.

– Co jest w środku?

– Dalej – zachęcił ją. – Otwórz i zobacz.

Podeszła do choinki i wzięła do rąk pudełko. Było tak lekkie, że wiedziała, co jest w środku, jeszcze zanim rozwiązała wstążkę i zdjęła wieczko. Wyjęła jego zawartość i przyjrzała się jej. Był farbowany na czarno, zrobiony ze słomy i ozdobiony paciorkami oraz tasiemką, za którą zatknięto małe piórko.

– Kowbojski kapelusz?

– Ładny – powiedział. – Dla dziewczyn.

– Jest jakaś różnica?

– Ja nigdy bym nie włożył kapelusza z piórem i paciorkami. Pomyślałem, że skoro tak często tu bywasz, powinnaś mieć własny.

Pochyliła się i pocałowała go.

– Jest idealny. Dziękuję.

– Wesołych świąt.

Włożyła kapelusz i spojrzała na niego zalotnie.

– Jak wyglądam?

– Pięknie – odparł. – Ale ty przecież zawsze wyglądasz pięknie.

19 Luke

Niespełna miesiąc przed rozpoczęciem sezonu – po tym jak Sophia wyjechała do New Jersey – Luke zwiększył intensywność treningów. Tuż przed świętami nie tylko wydłużył o pięć minut dziennie treningi na mechanicznym byku, ale też włączył do programu ćwiczenia siłowe. Nigdy nie przepadał za podnoszeniem ciężarów, a teraz, bez względu na to, czym zajmował się w ciągu dnia – ostatnio było to głównie sprzedawanie choinek – o pełnej godzinie przerywał pracę i robił pięćdziesiąt pompek, co w sumie dawało czterysta, pięćset pompek dziennie. W końcu dodał do tego podciąganie się na drążku i trening na wzmocnienie mięśni brzucha i pleców. Kiedy wieczorem kładł się do łóżka, zasypiał w ciągu kilku sekund.

Mimo bólu mięśni i zmęczenia stopniowo czuł, że wraca do formy. Poprawiła się jego równowaga, więc łatwiej mu było utrzymać się na grzbiecie. Zmysły miał wyostrzone i potrafił przewidzieć kolejne ruchy mechanicznego byka. Cztery dni po Bożym Narodzeniu pojechał do hrabstwa Henderson, gdzie miał okazję poćwiczyć na żywych bykach. Facet, którego znał, prowadził tam ośrodek treningowy i mimo że nie były to zwierzęta, jakie widuje się na zawodach, wiedział, że ćwiczenia na mechanicznym byku to nie to samo. Żywe zwierzęta są nieprzewidywalne i choć Luke miał na sobie kask i kamizelkę ochronną, denerwował się przed spotkaniem tak samo, jak w październiku w McLeansville.

Robił, co mógł – albo jeszcze więcej. Sezon zaczynał się w połowie stycznia i do tego czasu musiał być silny. Musiał wygrać albo trafić do ścisłej czołówki, żeby zgromadzić wystarczająco dużo punktów i w marcu wystartować w zawodach pierwszej ligi. W czerwcu mogło być już za późno.

Matka widziała jego starania i powoli znowu zaczęła się wycofywać. Jej złość była aż nadto widoczna, podobnie jak smutek, i z czasem Luke zaczął żałować, że nie ma przy nim Sophii, która jak nikt potrafiła złagodzić napięcie między nim a matką. W ogóle chciał, żeby tu była. Bez niej Wigilia wydawała się dziwnie cicha, a pierwszy dzień świąt markotny i nijaki. Luke odwiedził matkę dopiero późnym popołudniem, jednak napięcie między nimi było wyraźnie wyczuwalne.

Cieszył się, że ma już za sobą sprzedaż choinek, bo choć rozchodziły się jak świeże bułeczki, miesiąc spędzony w zagajniku oznaczał, że musiał odstawić część obowiązków na boczny tor, a pogoda wcale mu nie sprzyjała. Lista rzeczy, którymi powinien się zająć, stale się wydłużała i to martwiło go najbardziej, zwłaszcza że w nadchodzącym roku czekało go sporo wyjazdów. To z kolei oznaczało, że wiele rzeczy spadnie na matkę.

Chyba że zacznie od razu wygrywać.

Wszystko zawsze sprowadzało się do tego. Mimo pieniędzy ze sprzedaży choinek, za które mama kupiła siedem parok, dochody nadal nie wystarczały na opłaty.

Wiedząc o tym, Luke włókł się do stodoły, by dosiąść mechanicznego byka, i odliczał dni do sylwestra, kiedy znów zobaczy Sophię.

Wyjechał wczesnym rankiem i przyjechał do Jersey City tuż przed lunchem. Spędzili popołudnie z rodzicami i siostrami Sophii, nie mieli więc ochoty świętować wśród tłumów zgromadzonych na Times Square. Zjedli kolację w bezpretensjonalnej tajskiej restauracji, a potem wrócili do hotelu, w którym zatrzymał się Luke.

Tuż po północy Sophia leżała na brzuchu, a Luke wodził palcami po jej plecach, kreśląc na nich kółka.

– Przestań – poprosiła go, umykając przed jego dotykiem. – To nic nie da.
– Co nic nie da?
– Powiedziałam ci, że nie mogę zostać. Mam w domu godzinę policyjną.
– Masz dwadzieścia jeden lat – przypomniał jej.
– Ale jestem w domu rodziców, w którym obowiązują pewne zasady. Zresztą i tak byli wyjątkowo pobłażliwi, że pozwolili mi zostać aż do drugiej. Zwykle muszę być w domu przed pierwszą.
– Co by się stało, gdybyś została?
– Pomyśleliby, że śpimy ze sobą.
– Przecież śpimy ze sobą.
Spojrzała na niego.
– Tak, ale oni nie muszą o tym wiedzieć. Poza tym nie chcę, żeby to było takie oczywiste.
– Spędzę tu tylko jedną noc. Jutro po południu muszę wracać.
– Wiem, ale zasady to zasady. Poza tym chyba nie chciałbyś podpaść moim rodzicom.
Polubili cię. Chociaż siostry były rozczarowane, że nie przyjechałeś w kapeluszu.
– Nie chciałem wyglądać jak dziwadło.
– Świetnie się spisałeś. Zwłaszcza gdy zacząłeś mówić o wystawach farmerskich.
Zauważyłeś, że zareagowali tak samo jak ja, kiedy dowiedziałam się, że sprzedajecie te biedne małe świnki na rzeź?
– Dzięki, że poruszyłaś ten temat.
– Proszę bardzo – odparła figlarnie. – Widziałeś minę Daleny, kiedy tłumaczyłam jej, o co chodzi? Myślałam, że oczy wyjdą jej z orbit. A przy okazji, co u twojej mamy?
– Wszystko w porządku.
– Rozumiem, że wciąż jest na ciebie zła.
– Można tak powiedzieć.
– Przejdzie jej.
– Mam nadzieję. – Pochylił się i pocałował ją. Choć odwzajemniła pocałunek, oparła dłoń na jego piersi i delikatnie go odepchnęła.
– Możesz mnie całować, ile chcesz, ale i tak musisz odwieźć mnie do domu.
– Przemycisz mnie do swojego pokoju?
– Nie kiedy jest w nim moja siostra. To byłoby dość dziwaczne.
– Gdybym wiedział, że nie zostaniesz na noc, nie jechałbym taki kawał drogi.
– Nie wierzę ci.
Roześmiał się i chwilę później spoważniał.
– Tęskniłem za tobą.
– Wcale nie. Byłeś zbyt zajęty, żeby za mną tęsknić. Kiedy dzwoniłam, zawsze coś robiłeś. Nic, tylko pracowałeś i ćwiczyłeś; pewnie w ogóle nie miałeś czasu, żeby o mnie myśleć.
– Tęskniłem za tobą – powtórzył.
– Wiem. Ja też za tobą tęskniłam. – Dotknęła jego twarzy. – Ale, niestety, musimy się ubierać. Jesteś zaproszony na brunch, pamiętasz?

Po powrocie do domu Luke postanowił podwoić częstotliwość treningów. Do pierwszych zawodów w tym roku zostały niespełna dwa tygodnie. Dwa dni w New Jersey wystarczyły, by odpoczął i odzyskał siły; od tygodni nie czuł się tak dobrze. Jedyne problemy polegały na tym, że w Karolinie Północnej było tak zimno jak w New Jersey, i idąc do stodoły, obawiał się panującego tam chłodu.

Włączył światła i zaczął rozgrzewkę przed pierwszą jazdą, kiedy drzwi otworzyły się ze

skrzypnięciem i do środka weszła Linda.

– Cześć, mamó – rzucił zaskoczony.

– Cześć – odparła. Podobnie jak on miała na sobie grubą kurtkę.

– Byłam u ciebie, a jak zobaczyłam, że cię nie ma, od razu wiedziałam, gdzie cię szukać.

Nie odpowiedział. Linda w milczeniu weszła na wyściełaną gąbką arenę, z każdym krokiem zapadając się coraz głębiej, aż w końcu zatrzymała się przy mechanicznym byku. Niespodziewanie wyciągnęła rękę i pogłaskała go.

– Pamiętam, kiedy twój tata przywiózł go do domu – zaczęła.

– Wtedy był to ostatni krzyk mody. Każdy, kto widział ten stary film z Johnem Travoltą, chciał na takim jeździć. Właściciele barów kupowali mechaniczne byki, chociaż rok, dwa lata później ludzie stracili zainteresowanie. Przy rozbiórce jednego z takich barów twój ojciec zapytał, czy mógłby kupić byka. Nie kosztował dużo, ale i tak nie było nas na niego stać. Pamiętam, jak się wtedy wściekałam. Był w Iowa, Kansas albo jeszcze gdzieś indziej i specjalnie przyjechał, żeby przywieźć go do domu, po czym zawrócił i ruszył do Teksasu na kolejne zawody. Dopiero gdy wrócił do domu, okazało się, że maszyna jest uszkodzona. Musiał zbudować ją niemal od nowa i ślęczał nad nią przez prawie rok, zanim zaczęła działać, jak należy. Później pojawiłeś się ty, a ojciec właściwie przeszedł na emeryturę. Byk stał w stodole, pokrywał się coraz grubszą warstwą kurzu, aż pewnego dnia ojciec wsadził cię na niego... Myślę, że miałaś wtedy ze dwa lata. Byłam na niego zła, choć maszyna ledwie się ruszała. Już wtedy wiedziałam, że pójdziesz w jego ślady. Chodzi o to, że nie chciałam, żebyś jeździł. Byłam zdania, że to szalony sposób na zarabianie pieniędzy. – Usłyszał w jej głosie dziwną gorycz.

– Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś?

– A co miałam powiedzieć? Miałaś taką samą obsesję jak twój ojciec. Jeżdżąc na cielaku, w wieku pięciu lat, złamałaś rękę. Ale wcale się nie przejęłaś. Byłaś zły, bo nie mogłaś jeździć przez kilka miesięcy. Co mogłam zrobić? – Nie czekając na odpowiedź, westchnęła. – Przez długi czas miałam nadzieję, że z tego wyrośniesz. Byłam pewnie jedyną matką na świecie, która modliła się, żeby jej nastoletni syn zainteresował się samochodami, dziewczynami albo muzyką, ale tak się nie stało.

– Lubiłem samochody, dziewczyny i muzykę.

– Możliwe. Ale ujeżdżanie było całym twoim światem. To jedyne, co chciałaś robić.

Tylko o tym marzyłeś i... – Zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. – Miałaś zadatki na gwiazdę. I choć wcale mi się to nie podobało, wiedziałam, że masz zdolności, chęć i motywację, by zostać najlepszym ujeżdżaczem świata. Byłam z ciebie dumna. Ale i wtedy ta myśl łamała mi serce. Nie dlatego, że w ciebie nie wierzyłam, ale dlatego, że wiedziałam, iż zaryzykujesz wszystko, żeby spełnić swoje marzenie. Często widziałam, jak cierpisz i próbujesz bez końca. – Przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Musisz pamiętać, że dla mnie na zawsze pozostaniesz moim synkiem, którego tuż po urodzeniu trzymałam w ramionach.

Luke milczał, czując znajomy wstyd.

– Powiedz – ciągnęła Linda, szukając wzrokiem jego twarzy. – Czujesz, że to jest coś, bez czego nie potrafisz żyć? Nadal chcesz być najlepszy?

Utkwił spojrzenie w czubkach butów i niechętnie podniósł głowę.

– Nie – przyznał.

– Nie wiedziałam – jęknęła.

– Mamó...

– Wiem, dlaczego to robisz. Tak jak ty wiesz, dlaczego chcę, żebyś przestał. Jesteś moim synem, ale wiem również, że nie mogę cię powstrzymać.

Wciągnął powietrze, widząc, jak bardzo jest zmęczona. Rezygnacja oblekała ją niczym zniszczony całun.

– Po co tu przyszłaś, mamó? – spytał. – Bo nie po to, żeby mi o tym powiedzieć.

Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

– Nie. Prawdę mówiąc, przyszłam sprawdzić, czy nic ci nie jest. I zapytać, jak tam wycieczka do New Jersey.

Wiedział, że chodziło o coś więcej, ale postanowił odpowiedzieć.

– W porządku. Chociaż mogła potrwać trochę dłużej. Mam wrażenie, że więcej czasu spędziłem w samochodzie niż z Sophią.

– Pewnie tak było – zgodziła się. – A jak jej rodzina?

– To mili ludzie. Są ze sobą blisko. Uśmieliśmy się.

Pokiwała głową.

– To dobrze. – Skrzyżowała i rozmasowała ręce. – A Sophia?

– Jest świetna.

– Widzę, jak na nią patrzysz.

– Tak?

– Od razu widać, co do niej czujesz – oznajmiła.

– Tak? – powtórzył.

– To dobrze – dodała. – Bo to wyjątkowa dziewczyna. Cieszę się, że ją poznałam.

Myślisz, że wasz związek ma przyszłość?

Przestąpił z nogi na nogę.

– Mam nadzieję.

Spojrzała na niego z powagą.

– W takim razie powinienes jej powiedzieć.

– Już jej mówiłem.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Powinienes jej powiedzieć.

– O czym?

– Co stwierdził lekarz – wyjaśniła, nie owijając w bawełnę. – Że jeśli nadal będziesz jeździł, prawdopodobnie nie dożyjesz następnego roku.

– Kiedy nocami chodzisz po domu – odzywa się nagle Ruth – nie robisz tego, co mówisz.
– Co masz na myśli? – Jestem zdumiony, gdy po tak długiej ciszy słyszę nagle jej głos.
– Obrazy to nie to samo, co pamiętnik, który dla mnie napisałeś. Ja mogłam czytać listy, ale ty nie możesz zobaczyć wszystkich obrazów. Wiele z nich leży poupychanych w zagraconych pokojach i nie widziałeś ich od lat. Na te, które zamknąłeś w drewnianych skrzyniach, też nie patrzysz. Teraz pewnie nawet nie dasz rady ich otworzyć.

To prawda.

– Może powinienem kogoś wezwać – mówię. – Wymienić te, które wiszą na ścianach. Tak jak robiłaś to ty.

– Kiedy ja to robiłam, wiedziałam, co gdzie powiesić, żeby ładnie wyglądało. Ty nie masz gustu. Kazałeś robotnikom porozwieszać je w każdym wolnym miejscu.

– Lubię eklektyczne wnętrza.

– Ale one nie są eklektyczne. Są tandetne, zagracone i stanowią zagrożenie pożarowe. Uśmiecham się znacząco.

– W takim razie dobrze, że nikt mnie nie odwiedza.

– Nie – mówi. – To wcale nie dobrze. Może i byłeś nieśmiały, ale obcowanie z ludźmi zawsze dodawało ci sił.

– Ty dodawałaś mi sił – upieram się.

Choć w samochodzie panuje mrok, widzę, jak przewraca oczami.

– Mówię o twoich klientach. Zawsze wiedziałeś, jak z nimi postępować. Właśnie dlatego wciąż byli twoimi klientami. I dlatego sklep splajtował po tym, jak go sprzedałeś. Ponieważ nowych właścicieli bardziej interesowały pieniądze niż świadczenie usług.

Całkiem możliwe, że ma rację, ale czasami zastanawiam się, czy przyczyną nie był zmieniający się rynek. Nawet zanim przeszedłem na emeryturę, sklep z roku na rok miał coraz mniej klientów. W całym Greensboro powstawały nowe sklepy, z większym asortymentem, ludzie zaczęli uciekać z miasta na przedmieścia, a sklepy w centrum miasta przeżywały ciężkie chwile. Ostrzegałem nowego właściciela, ale on chciał iść do przodu, więc odszedłem ze świadomością, że potraktowałem go sprawiedliwie. Choć sklep nie należał już do mnie, poczułem ukłucie żalu, gdy dowiedziałem się, że po przeszło dziewięćdziesięciu latach został zamknięty. Dawny sklep z odzieżą męską, który sam prowadziłem przez dziesiątki lat, podzielił los wozów pionierów, batów i telefonów z obrotową tarczą.

– Moja praca nigdy nie była taka jak twoja – mówię w końcu. – Nie kochałem jej tak, jak ty kochałaś swoją.

– Mogłam nie pracować przez całe lato.

Kręcę głową. Albo raczej wyobrażam sobie, że nią kręcę.

– To z powodu dzieci – mówię. – Może je inspirowałaś, ale i one inspirowały ciebie.

Niezależnie od tego, jak cudowne było nasze lato, pod koniec zaczynałaś tęsknić i nie mogłaś się doczekać, kiedy wrócisz do szkoły. Tęskniłaś za nimi. Za ich śmiechem, ciekawością i niewinnym spojrzeniem na świat.

Patrzy na mnie i unosi brew.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Bo – odpowiadam – sama mi powiedziałaś.

Ruth była nauczycielką w trzeciej klasie i jej zdaniem był to jeden z kluczowych okresów w życiu każdego ucznia. Większość dzieci miała wtedy osiem albo dziewięć lat, a to znaczyło, że były w punkcie zwrotnym swojej edukacji. W tym wieku uczniowie są wystarczająco duzi, by zrozumieć pojęcia, które jeszcze rok temu wydawały się im obce, jednak wciąż są wystarczająco młodzi, by zaufać dorosłym i ich przewodnictwu.

Zdaniem Ruth był to również okres, gdy uczniowie zaczęli różnić się pod względem nauki. Niektórzy odkrywali swoje mocne strony, a inni zostawali w tyle. Było ku temu mnóstwo powodów, choćby to, że w tamtej szkole i w tamtych czasach wielu uczniom, a także ich rodzicom, po prostu nie zależało. Dzieciaki kończyły edukację na ósmej, dziewiątej klasie i zaczynały pracę na farmie. Nawet dla Ruth było to wyzwanie, któremu nie potrafiła sprostać. Myśląc o swoich uczniach, nie spała po nocach, martwiła się o nich i latami głowiła się nad planem lekcji, szukając sposobu, by dotrzeć zarówno do nich, jak i ich rodziców. Razem z nimi siała nasiona w papierowych kubeczkach i podpisywała je, żeby zachęcić dzieci do czytania; kazała im łapać owady i opisywać je z nadzieją, że obudzi w nich naturalną ciekawość świata. W testach z matematyki zawsze można było znaleźć coś na temat farmy i pieniędzy: „Jeśli Joe z każdego drzewa zerwie cztery kosze brzoskwiń, a w każdym z sześciu rzędów rośnie pięć drzew, ile koszy brzoskwiń będzie miał Joe?”. Albo: „Jeśli masz dwieście dolarów i kupisz ziarno, które kosztuje sto dwadzieścia dolarów, ile pieniędzy ci zostanie?”. Był to świat, który uczniowie rozumieli i który był dla nich ważny, i dlatego najczęściej udawało jej się do nich dotrzeć. Choć niektórzy z nich i tak rzucali szkołę, po latach wracali, by podziękować jej za to, że nauczyła ich czytać, pisać i rozwiązywać podstawowe zadania, dzięki którym spokojnie mogli robić zakupy.

Była z tego dumna, tak jak dumna była ze swoich uczniów, którzy ostatecznie ukończyli szkołę i zaczęli naukę w college'u. Jednak od czasu do czasu trafiał się uczeń, który przypominał jej, dlaczego w ogóle chciała zostać nauczycielką. Kiedy o tym myślę, mam przed oczami obraz wiszący nad kominkiem.

- Myślisz o Danielu McCallumie – mówi do mnie.
- Tak – przyznaję. – O twoim ulubionym uczniu.
- Słyszac to, wyraźnie się ożywia i wiem, że jej wspomnienie o nim jest równie żywe jak w dniu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Uczyła wówczas od piętnastu lat.
- Był bardzo trudnym dzieckiem.
- Tak mi mówiłaś.
- Kiedy przyszedł do szkoły, zachowywał się jak dzikus. Jego ogrodniczki były wiecznie brudne i nie mógł usiedzieć na miejscu. Codziennie go karciłam.
- Ale nauczyłaś go czytać.
- Wszystkich nauczyłam czytać.
- Ale Daniel był inny.
- Tak – potwierdza. – Był większy od innych chłopców i na przerwie szturchał swoich kolegów tak mocno, że mieli siniaki. To przez niego zaczęłam siwieć.
- Do dziś pamiętam, jak się na niego skarżyła, choć w jej głosie, tak jak teraz, słyhać było sympatię.
- Nigdy wcześniej nie chodził do szkoły – przypominam jej. – Nie rozumiał zasad.
- Znał zasady. Ale na początku niewiele go obchodziły. Siedział za ładną dziewczynką imieniem Abigail i bez przerwy ciągnął ją za włosy. Mówiłam mu, że tak nie wolno, ale nic sobie z tego nie robił. W końcu posadziłam go w pierwszym rzędzie, gdzie miałam na niego oko.
- I wtedy zauważyłaś, że nie umie czytać i pisać.

- Tak. – Nawet teraz, gdy o tym mówi, głos ma posępny.
- Kiedy poszłaś porozmawiać z jego rodzicami, odkryłaś, że nie żyją. Okazało się, że Daniela wychowują starszy przyrodni brat i jego żona, którzy nie chcą, żeby chłopiec chodził do szkoły. Uderzyło cię też, że wszyscy troje mieszkają w walącej się chałupie.
- Wiesz, bo poszedłeś tam razem ze mną.
- Kiwam głową.
- W drodze do domu byłaś taka cicha.
- Nie dawało mi spokoju, że w tym bogatym kraju są ludzie, którzy nadal mieszkają w takich warunkach. Poza tym nie mogłam pogodzić się z myślą, że nikt o niego nie dbał.
- Więc postanowiłaś udzielać mu korepetycji. Zarówno przed lekcjami, jak i po nich.
- Siedział w pierwszym rzędzie – wspomina Ruth. – Nie byłabym dobrą nauczycielką, gdyby niczego się nie nauczył.
- No i współczułaś mu.
- Jak mogłabym mu nie współczuć? Nie miał łatwego życia. Zresztą później dowiedziałam się, że jest więcej takich dzieci jak Daniel.
- Nie – mówię. – Dla nas obojga było tylko jedno takie dziecko.

Był początek października, gdy Daniel po raz pierwszy przyszedł do nas do domu – tyczkowaty jasny blondyn, nieokrzesany i zadziwiająco nieśmiały. Przy pierwszej wizycie nie podał mi ręki ani nawet nie spojrzał mi w oczy. Stał tylko z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w podłogę. Choć Ruth dawała mu lekcje po szkole, wieczorem usiadła z nim przy kuchennym stole, podczas gdy ja byłem w salonie i słuchałem radia. Kiedy lekcja dobiegła końca, uparła się, żeby został na kolację.

Daniel nie był pierwszym uczniem, którego zaprosiła do domu na kolację, ale jedynym, który pojawiał się u nas regularnie. Ruth tłumaczyła mi, że to przez jego sytuację rodzinną. Przyrodni brat Daniela i jego żona z trudem utrzymywali gospodarstwo i mieli pretensję do szeryfa, że ten kazał posłać Daniela do szkoły. Z drugiej strony sprawiali wrażenie, jakby nie chcieli go na farmie. W dniu, kiedy Ruth odwiedziła ich w domu, siedzieli na werandzie, palili papierosy i odpowiadali na jej pytania monosylabami. Nazajutrz rano Daniel przyszedł do szkoły z siniakiem na policzku i jednym okiem czerwonym jak rubin. Jego widok omal nie złamał Ruth serca i sprawił, że jeszcze bardziej chciała mu pomóc.

Jednak nie tylko te widoczne oznaki przemocy i zaniedbania nie dawały jej spokoju. Kiedy siedziała z nim po lekcjach, często słyszała, jak burczy mu w brzuchu, ale gdy pytała, czy jest głodny, chłopiec zaprzeczał. Kiedy w końcu wyznał, że bywały dni, gdy nie dostawał nic do jedzenia, miała ochotę chwycić za telefon i zadzwonić do szeryfa. Daniel błagał ją jednak, by tego nie robiła, choćby dlatego, że nie miał dokąd pójść. Więc przyprowadziła go do nas na kolację.

Po pierwszej wizycie w naszym domu Daniel zaczął jadać z nami dwa, trzy razy w tygodniu. Z upływem czasu poczuł się nieco swobodniej, jego nieśmiałość zniknęła, ustępując miejsca uprzejmości. Witał mnie uściskiem dłoni, zwracał się do mnie „panie Levinson” i zawsze pytał, jak minął mi dzień. Jego powaga zasmucała mnie i robiła na mnie wrażenie, może dlatego, że życie przedwcześnie go doświadczyło. Ale od początku wydał mi się miły i z czasem lubiłem go coraz bardziej. Jeśli chodzi o Ruth, pokochała go jak własnego syna.

Wiem, że dzisiaj to niestosowne opisywać w ten sposób uczucie nauczyciela do ucznia i pewnie wtedy było to równie niestosowne. Ale miłość Ruth była miłością matczyną, zrodzoną z czułości i troski, i muszę przyznać, że pod opieką Ruth Daniel McCallum rozkwitł. Wciąż podkreślała, że jeśli tylko chce, może zmienić świat, uczynić go lepszym miejscem, zarówno dla

niego, jak i innych, a on jej wierzył. Przede wszystkim jednak chciał spełnić jej oczekiwania i przestał sprawiać kłopoty na lekcjach. Ciężko pracował, by poprawić oceny, i zaskakiwał Ruth łatwością, z jaką przyswajał wiedzę. Choć wcześniej się nie uczył, był niezwykle inteligentny i z końcem stycznia czytał równie dobrze jak jego rówieśnicy. Pod koniec maja wyprzedzał ich o prawie dwa lata nie tylko w czytaniu, ale we wszystkich przedmiotach. Miał niewiarygodną pamięć; jego umysł był niczym gąbka, nasiąkał wszystkim, co powiedziała mu Ruth.

Chcąc się jej przypodobać, okazywał zainteresowanie obrazami, które wisiały na ścianach naszego domu, więc po kolacji Ruth często chodziła z nim od pokoju do pokoju i pokazywała mu nasze zbiory. Trzymał ją wówczas za rękę i słuchał, jak o nich opowiadała, spoglądając to na obrazy, to na jej twarz. Kiedy zapamiętał nazwiska wszystkich malarzy i styl, jaki reprezentowali, wiedziałem już, że lubił ją tak bardzo, jak ona jego. Pewnego razu Ruth poprosiła mnie, bym zrobił im zdjęcie. Kiedy mu je pokazała, zachwycił się nim przez całe popołudnie i nawet później widziałem, jak patrzy na nie zdumiony. Gdy Ruth odwoziła go do domu, nigdy nie zapomniał podziękować jej za wspólnie spędzony czas. A w dzień rozdania świadectw, zanim pobiegł bawić się z kolegami, powiedział jej, że ją kocha.

Już wtedy w głowie Ruth narodził się pomysł, by zapytać Daniela, czy nie chciałby zamieszkać z nami na stałe. Rozmawialiśmy o tym i, prawdę mówiąc, nie miałem nic przeciwko temu. Lubiłem, gdy był w naszym domu, i jej to powiedziałem. Przed końcem roku szkolnego Ruth wciąż nie wiedziała, jak poruszyć ten temat. Nie była pewna, czy Daniel zgodzi się z nami zamieszkać i czy w ogóle tego chce, nie wiedziała także, w jaki sposób zacząć rozmowę z jego przyrodnim bratem. Nie było gwarancji, że prawo zezwala na coś podobnego, więc na wszelki wypadek nie wspomniała o tym w szkole. Postanowiła odłożyć tę sprawę do powrotu z wakacji. Jednak w czasie podróży często rozmawialiśmy o Danielu i zdecydowaliśmy dołożyć wszelkich starań, by mógł z nami zamieszkać. Kiedy w końcu wróciliśmy do Greensboro, chata, w której mieszkał z bratem i jego żoną, była pusta i wszystko wskazywało na to, że została opuszczona kilka tygodni temu. W sierpniu Daniel nie wrócił do szkoły i żadna inna placówka nie prosiła o przesłanie jego akt. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechał i co się stało z jego rodziną. Uczniowie i inni nauczyciele wkrótce o nim zapomnieli, ale z Ruth było inaczej. Płakała tygodniami, kiedy dotarło do niej, że Daniel nie tylko zniknął, ale że ona nigdy więcej może go już nie zobaczyć. Uparła się, żeby odwiedzić okoliczne farmy, z nadzieją, że ktoś powie jej, dokąd wyjechała rodzina chłopca. W domu skwapliwie przeszukiwała pocztę, licząc, że znajdzie list od Daniela, i nie potrafiła ukryć rozczarowania, gdy mijały kolejne dni, a ona nie miała od niego żadnych wieści. Daniel wypełnił pustkę w duszy Ruth, której nie mogłem wypełnić ja; był wszystkim tym, czego brakowało w naszym małżeństwie. Stał się dzieckiem, którego tak bardzo pragnęła, a którego ja nie mogłem jej dać.

Chciałbym móc powiedzieć, że Ruth i Daniel w końcu się spotkali; że po latach skontaktował się z nią, choćby po to, żeby powiedzieć jej, jak sobie radzi. Latami zamartwiała się o niego, jednak z upływem czasu coraz rzadziej wymawiała jego imię, aż w końcu w ogóle przestała o nim mówić. Wiem jednak, że nigdy nie przestała go szukać. To jego wyglądała, gdy jechaliśmy po spokojnych wiejskich drogach, mijając podupadłe farmy; to jego miała nadzieję zobaczyć, gdy wracała do szkoły po lecie spędzonym w pracowniach i galeriach. Raz wydawało się jej, że zobaczyła go na ulicach Greensboro, podczas parady w Dzień Weteranów, ale zanim zdolał się przecisnąć przez tłum, chłopiec zniknął, jakby nigdy go tam nie było.

Po Danielu już żaden uczeń nie bywał w naszym domu.

W samochodzie jest przeraźliwie zimno, to dlatego, że opuściłem szybę. Na desce rozdzielczej skrzy się szron i przy każdym oddechu z moich ust ulatuje obłoczek pary. Choć

ugasilem pragnienie, moje gardło i żołądek wydają się zmrożone od śniegu. Chłód jest wszędzie – wewnątrz mnie i na zewnątrz – i nie mogę przestać się trząść.

Obok mnie Ruth wygląda przez okno i uświadamiam sobie, że przez szybę widzę gwiazdy. Nie jest jeszcze widno, ale światło księżycy sprawia, że śnieg na drzewach emanuje srebrzystym blaskiem, i wiem już, że najgorszą pogodę mam za sobą. Dziś w nocy śnieg na samochodzie zmieni się w twardą skorupę, ale jutro, pojutrze temperatura wzrośnie, świat zrzuci z siebie białe okowy zimy i śnieg zacznie topnieć.

Myślę sobie, że to i dobrze, i źle. Dobrze, bo mój samochód stanie się widoczny z drogi, a źle, bo żeby przeżyć, potrzebuję śniegu, który za dzień, dwa może zupełnie zniknąć.

– Na razie świetnie sobie radzisz – uspokaja mnie Ruth. – Nie przejmuj się jutrem do czasu, gdy będzie to konieczne.

– Łatwo ci mówić – rzucam nadąsany. – To ja mam kłopoty, nie ty.

– Fakt – przyznaje. – Ale to twoja wina. Nie powinieneś był siadać za kierownicą.

– Znowu zaczynasz?

Odwraca się do mnie z kpiarskim uśmiechem. Jest po czterdziestce i ma krótkie włosy. Ma prosto skrojoną sukienkę w odcieniach czerwieni, które tak bardzo lubiła, z dużymi guzikami i eleganckimi kieszonkami. Jak każda kobieta w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku Ruth była fanką Jacqueline Kennedy.

– Sam zacząłeś.

– Liczyłem na odrobinę współczucia.

– Znowu narzekasz. Z wiekiem robisz się coraz bardziej marudny. Jak z tym sąsiadem, który ściał drzewo. I dziewczyną na stacji benzynowej, która potraktowała cię, jakbyś był niewidzialny.

– Nie narzekałem. Obserwowałem. To zasadnicza różnica.

– Nie powinieneś narzekać. To takie mało pociągające.

– Dawno temu przestałem być pociągający.

– Wcale nie – oburza się. – Myślę, że się mylisz. Nadal masz piękne serce i łagodne spojrzenie. Jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem. To wystarczy, byś na zawsze pozostał piękny.

– Flirtujesz ze mną?

Unosi brew.

– Sama nie wiem. Flirtuję?

Myślę, że tak. I po raz pierwszy od wypadku, choćby na krótką chwilę, jest mi naprawdę ciepło.

Dziwne, myślę sobie, jak układa się nasze życie. Przypadkowe sytuacje w połączeniu ze świadomymi decyzjami, czynami i mnóstwem nadziei mogą ukształtować przyszłość, która wydaje się z góry zaplanowana. Doświadczyłem tego, gdy pierwszy raz zobaczyłem Ruth. Nie kłamałem, gdy powiedziałem jej, że już wtedy wiedziałem, iż pewnego dnia będziemy małżeństwem.

A jednak wiem z doświadczenia, że los bywa okrutny, a nadzieja to niekiedy za mało. Ruth zrozumiała to, gdy w naszym życiu pojawił się Daniel. Przekroczyła czterdziestkę, a ja byłem jeszcze starszy. Oto kolejny powód, dla którego nie mogła przestać płakać, gdy Daniel zniknął. W tamtych czasach oczekiwania społeczne były inne i oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy za starzy, by adoptować dziecko. Kiedy Daniel zniknął z naszego życia, nie mogłem pozbyć się uczucia, że po raz ostatni los sprzysiągł się przeciwko nam.

Choć wyszła za mnie, wiedząc o śwince, czułem, że w głębi duszy liczy na to, iż lekarze

się pomylili. W końcu nie było jednoznacznej diagnozy i przyznam szczerze, że sam wciąż miałem nikłą nadzieję. Ale ponieważ tak bardzo kochałem żonę, rzadko o tym myślałem. W pierwszych latach małżeństwa kochaliśmy się często i choć życie co miesiąc przypominało Ruth o tym, jak bardzo się poświęciła, decydując się na małżeństwo z kimś takim jak ja, z początku się tym nie przejmowała. Myślę, że wierzyła, iż samo pragnienie, chęć posiadania dziecka, wystarczy. Wierzyła skrycie, że nadejdzie nasz czas, i myślę, że dlatego nigdy nie rozmawialiśmy o adopcji.

To był błąd. Teraz to wiem, ale wtedy nie miałem o tym pojęcia. Lata pięćdziesiąte nastąpiły i minęły, a nasz dom powoli wypełniał się sztuką. Ruth uczyła w szkole, a ja pracowałem w sklepie i choć z każdym rokiem przybywało jej lat, w głębi duszy nigdy nie porzuciła nadziei. I wtedy, niczym długo oczekiwana odpowiedź na modlitwy, pojawił się Daniel. Na początku był jej uczniem, jednak z czasem stał się dla niej jak syn, którego zawsze pragnęła. A gdy pękła bańka mydlana i złudzenie prysło, pozostałem jej tylko ja. A to było za mało.

Kolejne lata były dla nas naprawdę trudne. Ruth obwiniała mnie i ja również się obwiniałem. Błękitne niebo nad naszymi głowami zasnuły szare burzowe chmury, a do naszego życia wdarły się smutek i chłód. Rozmowy się nie kleiły i po raz pierwszy zaczęliśmy się kłócić. Czasami trudno jej było wytrzymać ze mną w jednym pokoju. Weekendy spędzała w domu swoich rodziców w Durham – jej ojciec podupadł na zdrowiu – i bywało tak, że przez kilka dni nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Wieczorami, kiedy leżeliśmy w łóżku, przestrzeń między nami przypominała ocean, którego żadne z nas nie potrafiło przepłynąć. Ona nie chciała, a ja bałem się spróbować, tak więc dryfowaliśmy na jego wodach, coraz bardziej oddalając się od siebie. Był nawet czas, gdy zastanawiała się, czy nadal chce ze mną być, i wieczorami, gdy kładła się do łóżka, siedziałem w salonie, żałując, że nie jestem kimś innym, mężczyzną, który dałby jej to, czego tak bardzo pragnęła.

Ale nie mogłem. Byłem załamany. Wojna odebrała mi jedyną rzecz, której kiedykolwiek chciała. Było mi jej żal, wściekałem się na siebie i nienawidziłem tego, co się z nami działo. Oddałbym życie, by móc ją uszczęśliwić, ale nie wiedziałem jak; tak więc w ciepłe jesienne wieczory wypełnione muzyką świerszczy kryłem twarz w dłoniach i płakałem, płakałem, płakałem.

– Nigdy bym cię nie zostawiła – zapewnia mnie Ruth. – Przepraszam, że przeze mnie takie rzeczy przychodziły ci do głowy. – W jej głosie słychać szczerzy żal.

– Ale myślałaś o tym.

– Tak – przyznaje. – Ale nie tak, jak myślisz. Nie na poważnie. Wszystkie zamężne kobiety mają czasem takie pomysły. Mężczyźni też.

– Ja nie.

– Wiem – przyznaje. – Ale ty jesteś inny niż wszyscy. – Uśmiecha się i sięga po moją rękę. Dotyka jej i gładzi kościste palce.

– Widziałam cię raz – mówi. – W salonie.

– Wiem – odpowiadam.

– Pamiętasz, co się wtedy stało?

– Podeszłaś do mnie i mnie przytuliłaś.

– Od tamtej nocy w parku, po wojnie, pierwszy raz widziałam, jak płaczesz – ciągnie. – Przestraszyłam się. Nie wiedziałam, co się dzieje.

– Chodziło o nas – mówię. – Nie wiedziałem, co robić. Nie miałem pojęcia, jak cię uszczęśliwić.

– Nic nie mogłeś zrobić – tłumaczy.

– Byłaś na mnie taka... zła.
– Byłam smutna – mówi. – To nie to samo.
– Czy to ważne? Tak czy siak, nie byłaś ze mną szczęśliwa. Ściska mnie za rękę; skórę ma miękką i delikatną.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Ira, ale czasami myślę, że nie potrafisz zrozumieć kobiet. Wiem, że w tej kwestii ma rację.

– Kiedy Daniel zniknął, byłam załamana. Chciałam, by stał się częścią naszego życia. I, tak, było mi smutno, że nie mieliśmy dzieci. Ale byłam też smutna, bo skończyłam czterdzieści lat, choć dla ciebie to może bez znaczenia. Przed czterdziestką nie przejmowałam się wiekiem. To wtedy pierwszy raz w życiu poczułam, że jestem dorosła. Dla kobiet przekroczenie czterdziestki nie zawsze jest takie łatwe. W dniu urodzin nie mogłam przestać myśleć o tym, że przeżyłam już połowę swojego życia, i kiedy patrzyłam w lustro, nie widziałam w nim młodej kobiety, którą kiedyś byłam. Wiem, to próżne, ale męczyło mnie to. Moi rodzice się starzeli. Dlatego tak często ich odwiedzałam. Ojciec przeszedł na emeryturę, ale sam wiesz, że nie czułam się dobrze. Mamie trudno było się nim opiekować. Innymi słowy, nie było mi wtedy łatwo. Nawet gdyby Daniel rzeczywiście z nami zamieszkał, i tak byłby to dla mnie ciężki okres.

Myślę o tym, co mi powiedziała. Już wcześniej mówiła mi to samo, ale czasami zastanawiam się, czy jest ze mną zupełnie szczerą.

– Tamtej nocy, gdy mnie przytuliłaś, wiele to dla mnie znaczyło.

– Co innego mogłam zrobić?

– Mogłaś odwrócić się na pięcie i wrócić do sypialni.

– Nie umiałabym. Twój widok rozdarł mi serce.

– Scałowałaś moje łzy – wspominam.

– Tak – potwierdza.

– A później leżeliśmy objęci w łóżku. Pierwszy raz od dawna.

– Tak – przyznaje.

– Od tamtej pory wszystko zaczęło iść ku lepszemu.

– Był najwyższy czas – mówi. – Dość już miałam zamartwiania się.

– I wiedziałaś, jak bardzo nadal cię kochałem.

– Tak. Zawsze o tym wiedziałam.

W 1964 roku, podczas podróży do Nowego Jorku, Ruth i ja przeżyliśmy drugi miesiąc miodowy. Nie planowaliśmy tego i nie zrobiliśmy niczego wyjątkowego; była to raczej codzienna celebrowanie tego, że jakimś cudem udało nam się przetrwać najgorsze chwile. Chodząc po galeriach, trzymaliśmy się za ręce i znowu zaczęliśmy się śmiać. Jej uśmiech, nadal w to wierzę, nigdy nie był równie zaraźliwy i radosny jak tamtego lata. Było to również lato Andy'ego Warhola.

Jego sztuka, tak komercyjna, a zarazem wyjątkowa, nie przemawiała do mnie. Nie interesowało mnie malowanie puszek zupy. Ruth była podobnego zdania, jednak zaintrygowała ją, kiedy go poznała. Myślę, że był to jedyny raz, gdy kupiła obraz, bo urzekła ją osobowość artysty. Intuicja podpowiadała jej, że człowiek ten zdefiniuje sztukę lat sześćdziesiątych, dlatego kupiliśmy cztery oryginalne sitodruki. Już wtedy jego prace były drogie – to oczywiście pojęcie względne, zwłaszcza gdy zna się ich obecną wartość – więc zostaliśmy bez pieniędzy. Po zaledwie tygodniu spędzonym na Północy wróciliśmy do Karoliny Północnej i pojechaliśmy do Outer Banks, gdzie wynajęliśmy domek na plaży. Tamtego lata Ruth po raz pierwszy włożyła bikini, choć nie zgodziła się wyjść w nim dalej niż na werandę na tyłach naszego domku, osłoniętą przed wzrokiem ciekawskich zawieszonymi na płocie ręcznikami. Po wycieczce na

plażę jak zwykle pojechaliśmy do Asheville. Stojąc nad jeziorem, przeczytałem list, który do niej napisałem, i czas płynął dalej. Lyndon Johnson został wybrany na prezydenta i przyjęto ustawę o prawach obywatelskich. Wojna w Wietnamie nabierała rozpędu, podczas gdy my coraz częściej słyszeliśmy o programie walki z ubóstwem. Świat oszalał na punkcie The Beatles, a kobiety masowo zatrudniały się do pracy w przemyśle. Ruth i ja byliśmy tego wszystkiego świadomi, ale dla nas najważniejsze było to, co działo się w naszym domu. Żyliśmy tak jak zawsze, oboje pracowaliśmy i latem kolekcjonowaliśmy dzieła sztuki, jedliśmy śniadania w kuchni, a przy kolacji opowiadaliśmy sobie rozmaite historie. Kupiliśmy obrazy Victora Vasarely'ego, Arnolda Schmidta, Franka Stelli i Ellswortha Kelly'ego. Zainteresowały nas prace Juliana Stańczaka i Richarda Anuszkiewicza i je także kupiliśmy. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Ruth, gdy wybierała każdą z nich.

Mniej więcej w tym czasie zaczęliśmy używać aparatu fotograficznego. Dziwne, ale wcześniej nigdy nie było to dla nas istotne i w ciągu naszego długiego życia zapełniliśmy tylko cztery albumy. Mnie to wystarcza, bym mógł odwracać kartki i patrzeć, jak powoli się starzejemy. Jest wśród nich zdjęcie, które Ruth zrobiła mi w dniu moich pięćdziesiątych urodzin, w 1970 roku, i kolejne, tym razem jej, z 1972 roku, kiedy ona skończyła pięćdziesiąt lat. W 1973 roku wynajęliśmy pierwszy magazyn, by przenieść tam część naszej kolekcji, a w roku 1975 razem z Ruth wsiedliśmy na pokład *Queen Elizabeth II* i popłynęliśmy do Anglii. Nawet wtedy nie mogłem przekonać się do latania. Spędziliśmy w Londynie trzy dni i kolejne dwa w Paryżu, po czym pojechaliśmy pociągiem do Wiednia, gdzie spędziliśmy dwa tygodnie. Dla Ruth był to bolesny i nostalgiczny powrót do miasta, które niegdyś nazywała domem, i choć zwykle wiedziałem, co czuje, tym razem zastanawiałem się, co powiedzieć.

W 1976 roku Jimmy Carter prześcignął w wyborach prezydenckich Geralda Forda, który zastąpił Richarda Nixona. Gospodarka była w dołku, a na stacjach paliw ustawiały się długie kolejki. Jednak Ruth i ja właściwie nie zwracaliśmy na to uwagi, ponieważ zakochaliśmy się w nowym nurcie sztuki zwanym abstrakcjonizmem lirycznym, który miał korzenie w płótnach Pollocka i Rothki. W tym samym roku – był to rok, kiedy Ruth w końcu przestała farbować włosy – obchodziliśmy trzydziestą rocznicę ślubu. Choć kosztowało to małą fortunę i byłem zmuszony wziąć pożyczkę, podarowałem Ruth jedyne obrazy, które kupiłem sam: dwa małe płótna Picassa, jedno z okresu niebieskiego i drugie z okresu różowego. Jeszcze tego samego wieczoru zawiesiła je w naszej sypialni i po tym, jak się kochaliśmy, godzinami leżeliśmy w łóżku, gapiąc się na nie.

W 1977 roku, kiedy ruch w interesie niemal całkowicie ustał, w wolnym czasie zacząłem budować karmniki dla ptaków z zestawów, które kupowałem w sklepie dla hobbystów. Nie trwało to długo, może trzy, cztery lata, ale ruchy miałem niezdarne i w końcu dałem sobie spokój. Mniej więcej wtedy zaczęła się era Reagana. Chociaż w telewizji zapewniali mnie, że dług nie stanowi problemu, spłaciłem pożyczkę zaciągniętą na kupno Picassa. Ruth skręciła kostkę i przez miesiąc chodziła o kulach. W 1985 roku sprzedałem sklep i zacząłem pobierać emeryturę; w 1987, po czterdziestu latach nauczania, Ruth też przeszła na emeryturę. Szkoła i rada samorządu zorganizowały przyjęcie na jej cześć. Kiedy pracowała, trzykrotnie zdobywała tytuł Nauczyciela Roku. Moje włosy zmieniły kolor z czarnego na siwy i z siwego na białe i z każdym kolejnym rokiem stawały się coraz rzadsze. Zmarszczki na naszych twarzach pogłębiły się i dotarło do nas, że nie widzimy bez okularów. W 1990 roku skończyłem siedemdziesiąt lat, a w roku 1996, na pięćdziesiątą rocznicę ślubu, wręczyłem Ruth najdłuższy list, jaki kiedykolwiek napisałem. Przeczytała go głośno, a ja zdałem sobie sprawę, że ledwie ją słyszę. Dwa tygodnie później dostałem swój pierwszy aparat słuchowy, jednak przyjąłem to ze spokojem.

Widać przyszedł na to czas. Starzałem się. Choć od momentu zniknięcia Daniela nasze małżeństwo nie przeżywało więcej trudnych chwil, nie zawsze było nam łatwo. Ojciec Ruth odszedł w 1966 roku, a dwa lata później jej matka zmarła na udar. W latach siedemdziesiątych Ruth odkryła guz w piersi i dopóki wyniki biopsji nie wykazały, że to nic groźnego, myślała, że ma raka. Moi rodzice zmarli w ciągu niespełna roku, pod koniec lat osiemdziesiątych, i stojąc nad ich grobami, uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy ostatnimi przedstawicielami naszych rodzin.

Nie mogłem przewidzieć przyszłości, ale któż to potrafi? Nie wiem, czego się spodziewałem po naszych ostatnich wspólnych latach. Zakładałem chyba, że wszystko będzie jak do tej pory, bo nie znałem innego życia. Myślałem, że będziemy mniej podróżować – wycieczki i chodzenie sprawiały nam coraz więcej trudności – ale poza tym nie spodziewałem się żadnych istotnych zmian. Nie mieliśmy dzieci ani wnuków, które moglibyśmy odwiedzać; nie było powodu, by wyjeżdżać za granicę. Ruth coraz częściej zaszywała się w ogrodzie, a ja zacząłem dokarmiać gołębie. Zaczęliśmy brać witaminy i oboje straciliśmy apetyt. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że już wtedy powinienem był zauważyć, że obchodząc złote gody, Ruth przeżyła oboje swoich rodziców, jednak byłem zbyt przerażony, by zastanawiać się nad konsekwencjami. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej i nie chciałem takiego życia, jednak Bóg miał wobec nas inne plany. W 1998 roku, podobnie jak wcześniej jej matka, Ruth miała udar, który znacznie osłabił lewą połowę jej ciała. I choć była w stanie poruszać się po domu, czasy, gdy kolekcjonowaliśmy sztukę, dobiegły końca i nigdy już nie kupiliśmy żadnego obrazu. Dwa lata później, w chłodny wiosenny poranek, kiedy rozmawiając, siedzieliśmy przy kuchennym stole, urwała nagle w połowie zdania. Widząc, że nie może zebrać myśli, wiedziałem już, że ma kolejny udar. Spędziła w szpitalu trzy dni, przechodząc rozmaite testy, i choć ostatecznie wróciła do domu, nasze rozmowy już nigdy więcej nie były tak płynne.

Lewa połowa jej twarzy stała się jeszcze bardziej bezwładna i Ruth zaczęła zapominać najbardziej podstawowe słowa. Denerwowało ją to nawet bardziej niż mnie; w moich oczach wciąż była równie piękna jak tamtego dnia, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Ja natomiast, z całą pewnością, nie byłem już tym samym mężczyzną. Twarz miałem pomarszczoną i wychudzoną i za każdym razem, gdy spoglądałem w lustro, nie mogłem się nadziwić, jak wielkie są moje uszy. Nasze codzienne zajęcia stały się jeszcze bardziej prozaiczne i tak oto mijały kolejne dni. Rankiem robiłem jej śniadanie i jedliśmy razem, przeglądając gazety; po śniadaniu siedzieliśmy w ogródku i karmiliśmy gołębie. Późnym rankiem ucinaliśmy sobie drzemkę, a przez resztę dnia czytaliśmy albo słuchaliśmy muzyki, czasami szliśmy na zakupy. Raz w tygodniu zawoziłem ją do salonu piękności, gdzie fryzjerka myła i układała jej włosy; wiedziałem, że sprawia jej to przyjemność. Z nadejściem sierpnia siadałem przy biurku i godzinami pisałem list do żony. W dzień naszej rocznicy wiozłem ją do Black Mountain, gdzie jak co roku stawaliśmy nad brzegiem jeziora, a ona czytała słowa, które dla niej napisałem.

Nasze przygody już dawno dobiegły końca, ale mnie wystarczała myśl, że podróż naszego życia trwa nadal. Nawet wtedy, gdy leżeliśmy w łóżku, tuliłem ją do siebie, wdzięczny losowi za błogosławieństwo, jakim było nasze wspólne życie, i za tę kobietę. W tamtych chwilach modliłem się w duchu, żebym to ja odszedł pierwszy, bo już wtedy przeczuwałem to, co nieuniknione.

Wiosną 2002 roku, tydzień po tym, jak zakwitły azalie, spędziliśmy razem kolejny ranek, a po południu wybieraliśmy się na obiad do restauracji. Rzadko to robiliśmy, ale tego dnia oboje mieliśmy ochotę wyjść z domu, więc dobrze pamiętam, jak zadzwoniłem do lokalu, żeby zrobić rezerwację. Po południu poszliśmy na spacer. Niedługo, zaledwie do końca ulicy i z powrotem. Choć powietrze było rześkie, Ruth zdawała się tego nie zauważać. Gawędziliśmy chwilę z jednym z sąsiadów – nie tym niemiłym człowiekiem, który wyciął drzewo – i po powrocie do

domu dzień toczył się dalej, tak jak zawsze. Ruth nie powiedziała mi o bólu głowy, ale wczesnym wieczorem, przed kolacją, poszła do łazienki. Nie zwróciłem na to uwagi. Czytałem w fotelu i musiałem uciąć sobie kilkuminutową drzemkę. Kiedy się obudziłem, Ruth nadal nie było. Zawołałem ją, a gdy nie odpowiedziała, dźwignąłem się z fotela. Wychodząc na korytarz, znowu ją zawołałem. Kiedy zobaczyłem, że leży obok łóżka, serce zamarło mi w piersi. Miała kolejny udar, pomyślałem. Było jednak gorzej, niż podejrzewałem, i gdy próbowałem ją reanimować, czułem, jak moja dusza zaczyna usychać z tęsknoty.

Kilka minut później przyjechało pogotowie. Słyszałem, jak sanitariusze pukają, a chwilę później walą do drzwi. Ja jednak trzymałem Ruth w ramionach i nie chciałem wypuszczać jej z objęć.

Słyszałem, jak weszli do domu, i zawołałem ich. Kiedy znaleźli się w sypialni, zastali w niej starca, który trzymał w ramionach miłość swojego życia.

Byli mili, przemawiali do mnie łagodnie; jeden pomógł mi wstać, a drugi zajął się Ruth. Błagałem ich, żeby jej pomogli, i chciałem wymusić na nich obietnicę, że nic jej nie będzie. Podali jej tlen, położyli ją na noszach, pozwolili mi usiąść w karetce i zawieźli ją do szpitala.

Lekarz, który wyszedł porozmawiać ze mną w poczekalni, był bardzo delikatny. Kiedy szliśmy korytarzem, położył mi rękę na ramieniu. Szare płytki i lampy fluorescencyjne sprawiały, że bolały mnie oczy. Spytałem, czy moja żona dobrze się czuje; pytałem, kiedy będę mógł ją zobaczyć. On jednak nie odpowiadał. Zaprowadził mnie do pustego pokoju i zamknął za nami drzwi. Był bardzo poważny, a gdy wbił wzrok w podłogę, wiedziałem już, co za chwilę usłyszę.

– Bardzo mi przykro, panie Levinson, ale nie mogliśmy nic zrobić...

Kiedy to powiedział, chwyciłem się najbliższego łóżka, bo bałem się, że upadnę. Słuchając go, miałem wrażenie, że ściany pokoju napierają na mnie, a moje pole widzenia zawęża się, aż jedyną rzeczą, którą widziałem, była jego twarz. Głos miał metaliczny, a jego słowa nie miały sensu, ale to było bez znaczenia. Wyraz jego twarzy mówił wszystko – spóźniłem się. Ruth, moja słodka Ruth, zmarła na podłodze naszej sypialni, podczas gdy ja drzemałem w fotelu.

Nie wiem, jak wyszedłem ze szpitala, a kolejne dni pamiętam jak przez mgłę. Mój pełnomocnik, Howie Sanders, nasz serdeczny przyjaciel, pomógł mi zorganizować pogrzeb, małą prywatną ceremonię. Po wszystkim zapalono świece, w domu porozkładano poduszki i na tydzień pogrzeżyłem się w żałobie. Ludzie pojawiali się i znikali; ludzie, których znaliśmy od lat. Sąsiedzi, również ten, który ściał klon. Klienci sklepu. Trzech właścicieli galerii z Nowego Jorku. Pół tuzina artystów. Kobiety z synagogi przychodziły codziennie, żeby gotować i sprzątać. A ja siedziałem i marzyłem o tym, by obudzić się z koszmarnego snu, w który zmieniło się moje życie.

Z czasem ludzie zaczęli znikać, aż zostałem zupełnie sam. Nie miałem do kogo zadzwonić ani z kim porozmawiać i dom pogrzyżył się w ciszy. Nie wiedziałem, jak mam żyć, a czas stał się bezlitosny. Dni wlokły się bez końca. Nie potrafiłem zebrać myśli. Czytałem gazetę i nie pamiętałem, co czytam. Siedziałem godzinami, zanim docierało do mnie, że w tle gra radio. Nawet ptaki nie mogły mnie rozweselić; gapiłem się na nie i myślałem, że Ruth powinna siedzieć obok mnie, tak by nasze ręce ocierały się o siebie, gdy oboje sięgaliśmy do torby po ziarno.

Nic nie miało sensu, zresztą wcale nie chciałem, by cokolwiek go miało. Dni mijały w cichej, powolnej agonii. Wieczorami nie było lepiej. Nocami leżałem w pustym łóżku, nie mogłem zasnąć i czułem, jak lzy spływają mi po policzkach. Ocierałem oczy i po raz kolejny stawałem twarzą w twarz z bolesną prawdą o tym, że Ruth odeszła na zawsze.

21

Luke

Chodziło o jazdę na Zakapiorze.

Tę, o której śnił koszmary i z której powodu nie wracał na arenę przez osiemnaście miesięcy. Powiedział o niej Sophii i opowiedział jej trochę o obrażeniach, jakich wówczas doznał.

Ale nie powiedział wszystkiego. Po wyjściu matki, kiedy został sam w stodole, oparł się o mechanicznego byka i zaczął rozpamiętywać przeszłość, o której tak bardzo chciał zapomnieć.

Minęło osiem dni, zanim zrozumiał, co się stało. Choć miał świadomość, że został ranny, i z pomocą innych przypomniał sobie co nieco, nie miał pojęcia, że otarł się o śmierć. Nie wiedział, że oprócz pękniętych czaszki i pierwszego kręgu szyjnego ma również obrzęk mózgu.

Nie powiedział Sophii, że lekarze przez miesiąc nie ruszali kości twarzy w obawie, że ingerencja spowoduje kolejne urazy. Nie wspomniał też ich słów, że po tak poważnym urazie głowy już nigdy w pełni nie wróci do zdrowia, i wstawili mu w czaszkę tytanową płytkę. Powiedzieli, że kolejny uraz głowy, w kasku czy bez, prawdopodobnie go zabije. Płytkę, którą wszczepili w jego strzaskaną czaszkę, znajdowała się zbyt blisko pnia mózgu, by stanowić odpowiednią ochronę.

Po pierwszym spotkaniu z lekarzami miał mniej pytań, niż można się było spodziewać. Już wtedy postanowił zakończyć karierę ujeżdżacza i poinformował o tym innych. Wiedział, że będzie mu tego brakowało i że już zawsze będzie się zastanawiał, jakie to uczucie wygrać mistrzostwa. Ale nie zamierzał kusić losu i wtedy wydawało mu się, że wciąż ma na koncie mnóstwo pieniędzy.

Rzeczywiście miał pieniądze, jednak nie było ich wystarczająco dużo. Mama złożyła ranczo jako zabezpieczenie kredytu, który zaciągnęła, by opłacić kolosalne rachunki za leczenie. I choć powtarzała, że nie obchodzi ją, co stanie się z gospodarstwem, Luke dobrze wiedział, że to nieprawda. Ranczo było całym jej życiem, jedynym, jakie znała, i wszystko, co robiła od czasu wypadku, zdawało się to potwierdzać. W ubiegłym roku zaharowywała się, żeby zapobiec temu, co nieuniknione. Mogła mówić, co chciała, a on i tak znał prawdę.

Potrafił ocalić ranczo. Nie, w przyszłym roku – ani nawet w ciągu kolejnych trzech lat – nie był w stanie zarobić tyle, by spłacić kredyt, ale był dość dobry, by wystarczyło na bieżące raty, nawet gdyby występował wyłącznie w małej trasie. Podziwiał starania matki i jej pomysły, by sprzedawać choinki, dynie i powiększyć stado, ale oboje wiedzieli, że to za mało. Wystarczająco się nasłuchał, ile kosztuje naprawa tego czy owego, by wiedzieć, że nawet w najlepszych czasach należało liczyć się z każdym groszem.

Co zatem miał zrobić? Mógł udawać, że wszystko się ułoży, co było niemożliwe, albo znaleźć sposób, by rozwiązać problemy. Musiał tylko wrócić do formy.

Ale nawet wówczas mógł zginąć.

Luke znał ryzyko. Oto dlaczego drżały mu ręce za każdym razem, gdy szykował się do jazdy. Nie dlatego, że zapomniał, jak ujeżdżać byki, i nie przez nerwy. Za każdym razem, gdy ścisnął w dłoniach linę, zastanawiał się, czy będzie to jego ostatnia jazda.

Lęk ograniczał jego szanse na wygraną. Chyba że stawka była naprawdę wysoka, a w przypadku Luke'a chodziło przecież o ranczo. I jego mamę. Nie dopuści do tego, by straciła przez niego dorobek swojego życia.

Pokręcił głową. Nie zamierzał o tym myśleć. Wystarczająco trudno było znaleźć pewność siebie, której potrzebował, by dotrzeć do końca sezonu i go wygrać. Jedyłą rzeczą, o której

wolał nie myśleć, było to, że nie będzie w stanie pojechać.

Albo że mógłby umrzeć...

Nie okłamał lekarza, mówiąc, że jest gotów dać sobie spokój z ujeżdżaniem. Dobrze wiedział, co takie życie potrafi zrobić z człowiekiem; widział, jak ojciec rankiem krzywi się z bólu, jakby każdy ruch był prawdziwą torturą. Dobrze znał to uczucie. Przeszedł trening i dał z siebie wszystko, ale to nie wystarczyło. I nie dalej jak osiem miesięcy temu był z tym pogodzony.

Teraz, stojąc obok mechanicznego byka, wiedział, że nie ma wyboru. Włożył rękawicę, odetchnął głęboko i wszedł na byka. Wziął do ręki wiszącego na rogu pilota. Ale ponieważ sezon był coraz bliżej albo dlatego, że nie powiedział Sophii prawdy, nie był w stanie nacisnąć guzika. Jeszcze nie teraz.

Przypomniał sobie, co mogło się stać, i próbował przekonać samego siebie, że jest gotowy. Był gotów ujeżdżać i szykował się do powrotu na arenę bez względu na to, co mogło się wydarzyć. Był ujeżdżaczem byków. Robił to, odkąd sięgał pamięcią, i zrobi to po raz kolejny. Wsiądzie na byka, ponieważ był w tym dobry i dlatego że rozwiąże to wszystkie problemy...

Sęk w tym, że może nie przeżyć upadku.

Poczuł, jak drżą mu ręce, jednak zebrał się w sobie i w końcu nacisnął przycisk.

Gdy Sophia wracała z New Jersey na uczelnię, pojechała okrężną drogą i wstąpiła na ranczo. Luke, który spodziewał się jej przyjazdu, posprzątał dom i werandę.

Było już ciemno, kiedy zaparkowała na podjeździe. Słyszac nadjeżdżający samochód, Luke wyszedł na schody, zastanawiając się, czy coś się zmieniło, odkąd widzieli się po raz ostatni. Jego wątpliwości rozwiały się, gdy tylko wysiadła z samochodu i do niego podbiegła.

Rzuciła mu się na szyję i oplótła go nogami. Kiedy tak stali, tuląc się do siebie, Luke rozkoszował się jej bliskością, pewien swoich uczuć i tego, jak wiele dla niego znaczyła, i zastanawiał się, co przyniesie przyszłość.

Tamtego wieczoru kochali się, ale Sophia nie mogła zostać na noc. Zaczynał się nowy semestr i wczesnym rankiem musiała być na zajęciach. Kiedy tylne światła jej samochodu zniknęły za zakrętem, Luke wrócił do stodoły, by jeszcze raz dosiąść mechanicznego byka. Nie miał na to specjalnej ochoty, ale pierwsze zawody odbywały się za niecałe dwa tygodnie i wiedział, jak wiele czeka go pracy.

W drodze do stodoły zdecydował, że będzie ćwiczył krócej niż zwykle, niecałą godzinę. Był zmęczony, zziębnięty i już zaczynał tęsknić za Sophią.

Po szybkiej rozgrzewce, która miała pobudzić krążenie, wskoczył na byka. Ojciec Luke'a przy okazji naprawy zmodyfikował urządzenie, tak by jazda na najwyższych obrotach była gwałtowniejsza, a pilot miał dodatkowy przycisk, by Luke mógł trzymać go w wolnej ręce. Teraz, z przyzwyczajenia, zaciskał pięść nawet wtedy, gdy ujeżdżał żywego byka, jednak do tej pory nikt nigdy go nie pytał, dlaczego to robi.

Kiedy był gotowy, włączył urządzenie na niskich obrotach, by rozluźnić mięśnie. Przygotowując się do sezonu, starał się utrzymać na byku przez szesnaście sekund, czyli dwukrotnie dłużej niż czas wymagany na arenie. Jego ojciec przystosował urządzenie do dłuższych jazd, twierdząc, że po takim treningu ujeżdżanie żywego zwierzęcia będzie nieco łatwiejsze. I może rzeczywiście tak było. Ale dla ciała był to dwukrotnie większy wysiłek.

Po każdej jeździe Luke robił krótką przerwę, żeby dojść do siebie, a po kolejnych trzech przerwa była nieco dłuższa. Zwykle w takich chwilach nie myślał o niczym, jednak dziś wrócił wspomnieniami do dnia, w którym wsiadł na Zakapiora. Nie miał pojęcia, dlaczego te obrazy

nagle zalały jego umysł, ale nie potrafił ich zatrzymać i spoglądając na mechanicznego byka, czuł, że nerwy ma jak postronki. Nadszedł czas na prawdziwą jazdę, na najwyższych obrotach. Ojciec Luke'a zaprogramował pięćdziesiąt różnych jazd, które następowały po sobie w przypadkowej kolejności, tak więc Luke nie wiedział, czego może się spodziewać. W poprzednich latach uważał, że to dobre rozwiązanie, jednak teraz wolałby wiedzieć, co go czeka.

Kiedy mięśnie dłoni i przedramienia rozluźniły się, powlókł się z powrotem do mechanicznego byka i dosiadł go. Po trzech jazdach przyszedł czas na kolejne trzy. I kolejne trzy. Podczas siedmiu utrzymał się na grzbiecie do samego końca. Łącznie z przerwami ujeżdżał mechanicznego byka przez dobre czterdzieści pięć minut. Postanowił, że zrobi jeszcze trzy tury, każdą po trzy jazdy, i dopiero wróci do domu.

Nie dał jednak rady.

W trakcie drugiej jazdy, w drugiej turze, poczuł, że przestaje panować nad maszyną. Niespecjalnie go to zaniepokoiło. Spadał z mechanicznego byka miliony razy, a tu, w przeciwieństwie do areny, ziemia była wyściełana grubą warstwą gąbki. Nawet spadając, nie martwił się i próbował wylądować tak, jak chciałby zrobić to na arenie: albo na stopy, albo tak, żeby znaleźć się na czworakach.

Udało mu się spaść na stopy i choć gąbka zamortyzowała upadek, stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. Instynktownie próbował utrzymać się na nogach. Zrobił trzy szybkie kroki i upadł, uderzając tułowiem o wyściełaną gąbką podłogę, a czołem o klepisko.

W głowie mu zadźwięczało, a przed oczami eksplodowały miriady świetlistych punktów. Wnętrze zawirowało, pograżyło się w ciemności, a zaraz potem rozbłysło światłem. Poczuł ból, który nasilał się z każdą chwilą i stawał się nie do wytrzymania. Potrzebował czasu, żeby wyteńczyć siły i dzwignąć się na nogi, oprzeć o stary ciągnik i wyprostować. Ogarnął go strach, gdy dotknął czoła i wyczuł pod palcami solidnego guza.

Był duży i bolesny, ale dotykając twarzy, Luke nabierał przekonania, że nic ponadto mu się nie stało. Nie uszkodził czaszki, był tego pewny. Wyglądało na to, że z twarzą też wszystko jest w porządku. Prostując się, odetchnął głęboko i ostrożnie ruszył w stronę drzwi.

Był już na zewnątrz, gdy rozbolał go brzuch i zgiął się wpół. Wróciły zawroty głowy i zwymiotował na ścieżkę. Tylko raz, ale wystarczyło, by się zaniepokoił. Wymiotował już wcześniej po wstrząśnieniu mózgu i uznał, że teraz jest tak samo. Nie musiał iść do lekarza, by wiedzieć, że na tydzień, dwa powinien odpuścić sobie treningi.

Albo raczej w ogóle dać sobie spokój z ujeżdżaniem.

Na szczęście nic mu nie było. Mało brakowało – naprawdę niewiele – ale przeżył. Postanowił, że bez względu na zbliżający się początek sezonu zrobi sobie kilka dni wolnego, i z tą myślą powlókł się do domu. Ćwiczył intensywnie i przyda mu się chwila wytchnienia. Powróci na arenę silniejszy niż kiedykolwiek. Ale chociaż próbował się pocieszać, nie potrafił pozbyć się niepokoju, który towarzyszył mu przy każdym kroku.

Tylko jak wytłumaczy to Sophii?

Dwa dni później nadal nie był pewny. Odwiedził ją w Wake i kiedy późnym wieczorem spacerowali po kampusie, nie zdejmował kapelusza, pod którym ukrywał posiniaczone czoło. Zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć jej o wypadku, ale obawiał się jej pytań i tego, dokąd mogły go zaprowadzić. Bał się pytań, na które nie znał odpowiedzi. W końcu, kiedy spytała, dlaczego jest taki cichy, wytłumaczył się gorączkowym okresem na ranczu. Po części była to prawda, bo matka uparła się, żeby przed otwarciem sezonu zawieźć bydło na targ, tak więc przez kilka dni łapali zwierzęta na łąski i zapędzali je na paki samochodów.

Podejrzewał jednak, że Sophia знаła go na tyle dobrze, by wyczuć, że nie dlatego jest nieswój. W kolejny weekend przyjechała na ranczo ubrana w kapelusz, który kupił jej na Gwiazdkę, i grubą puchową kurtkę. Kiedy siodłali konie, przyglądała mu się bez słowa. Pojechali na przejażdżkę w to samo miejsce, w które zabrał ją po raz pierwszy; jechali między drzewami, w stronę rzeki. W końcu się odwróciła i spojrzała na niego.

– Dobra, dość tego – oznajmiła. – Chcę wiedzieć, co cię gryzie. Od tygodnia jesteś nie w sosie.

– Przepraszam – odparł. – Nadal jestem trochę zmęczony. – Promienie słońca boleśnie wdarły się w głębię jego czaszki, potęgując ból głowy, który towarzyszył mu od czasu upadku.

– Już cię widziałam zmęczonego. Tym razem chodzi o coś więcej, ale nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, w czym problem.

– Po prostu myślę o przyszłym weekendzie. No wiesz, początek sezonu i takie tam.

– Na Florydzie?

Pokiwał głową.

– W Pensacola.

– Słyszałam, że ładnie tam. Białe piaszczyste plaże.

– Pewnie tak. Chociaż żadnej nie zobaczę. Wracam w sobotę, zaraz po turnieju. –

Pomyślał o wczorajszym treningu, pierwszym odkąd spadł z mechanicznego byka. Poszło mu całkiem nieźle. Jego równowaga nie ucierpiała, ale dudnienie w głowie sprawiło, że odpuścił sobie po czterdziestu minutach.

– Będzie późno.

– Zawody odbywają się po południu. Powinienem być w domu około drugiej nad ranem.

– Więc... zobaczymy się w niedzielę?

Poklepał dłonią udo.

– Jeśli dasz radę przyjechać. Ja będę wykończony.

Mrużąc oczy, spojrzała na niego spod runda kapelusza.

– Nie wyglądasz na zachwyconego.

– Chcę się z tobą zobaczyć. Ale nie chcę, żebyś myślała, że musisz specjalnie przyjeżdżać.

– Wolisz przyjechać do kampusu? Siedzieć w akademiku?

– Nie bardzo.

– To może wolisz, żebyśmy spotkali się gdzieś indziej?

– Obiad u mojej mamy, pamiętasz?

– W takim razie przyjadę. – Czekwała na odpowiedź, coraz bardziej poirytowana, bo się nie odzywał. Po chwili znów odwróciła się w siodle. – Co cię ugryzło? Zachowujesz się, jakbyś był na mnie zły.

To była idealna okazja, by powiedzieć jej prawdę. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, ale nie wiedział, jak zacząć. „Chciałem ci powiedzieć, że jeśli nadal będę jeździł, mogę umrzeć”.

– Nie jestem na ciebie zły – wykręcił się. – Po prostu myślę o otwarciu sezonu i o tym, co muszę zrobić.

– Teraz? – spytała z powątpiewaniem.

– Cały czas o tym myślę. I będę myślał przez cały sezon. Chciałbym, żebyś wiedziała, że od przyszłego weekendu będę w ciągłych rozjazdach.

– Wiem – odparła ostro. – Mówiłeś mi.

– Kiedy trasa przeniesie się na zachód, mogę nie wracać do domu przez cały tydzień, aż do niedzieli wieczorem.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie będziemy widywać się tak często jak do tej pory i że

przeze mnie nie możesz się skupić?

– Może. – Wzruszył ramionami. – Chyba tak.

– To nie jest śmieszne.

– A co mam powiedzieć?

– Może po prostu na chwilę przestań myśleć o zawodach. Spróbujmy nacieszyć się sobą, dobrze? Skoro będziesz w rozjazdach i skoro nie będziemy widywać się tak często jak do tej pory, taki dzień może się długo nie powtórzyć.

Pokręcił głową.

– Nie o to chodzi.

– A o co chodzi?

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co mnie czeka – odparł, podnosząc głos. – Moje życie nie jest takie jak twoje. Nie polega na chodzeniu na zajęcia, siedzeniu na dziedzińcu i plotkowaniu z Marcją. Żyję w prawdziwym świecie. Mam obowiązki. – Usłyszał, jak Sophia wciąga powietrze, jednak nie przerywał, coraz bardziej przekonany o słuszności swoich słów. – Mam niebezpieczną pracę. Wszedłem w wprawę i wiem, że w zeszłym tygodniu powinienem był ćwiczyć więcej. A od przyszłego tygodnia muszę dać z siebie wszystko, choćby nie wiem co, albo ja i moja mama stracimy dorobek życia. Więc to chyba normalne, że o tym myślę... i, tak, twoja obecność będzie mnie rozpraszać.

Zamrugła, zaskoczona tym potokiem słów.

– No proszę. Ktoś tu naprawdę ma kiepski dzień.

– Nie mam kiepskiego dnia – warknął.

– W takim razie nieźle udajesz.

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

Po raz pierwszy była zła i widział, że próbuje zachować spokój.

– Mogłeś powiedzieć, że chcesz, żebyśmy spotkali się w niedzielę, nawet jeśli będziesz zmęczony. Mogłeś uprzedzić, że będziesz rozkojarzony, i powiedzieć, żebym nie brała tego do siebie. Mogłeś przeprosić i powiedzieć: „Masz rację, Sophia. Po prostu cieszymy się tym dniem”. Ale ty mówisz mi, że twoje zajęcia, w prawdziwym świecie, to nie to samo co college.

– College to nie jest prawdziwy świat.

– Myślisz, że tego nie wiem?! – wybuchła.

– Więc czemu się wściekasz, że to powiedziałem? – rzucił.

Ściągnęła wodze, by zatrzymać Demona.

– Żartujesz? – spytała. – Zachowujesz się jak dupek! Sugerujesz, że z nas dwojga tylko ty masz w życiu jakieś obowiązki. Słyszysz, co mówisz?

– Próbowałem tylko odpowiedzieć na twoje pytanie.

– Obrażając mnie?

– Nie obraziłem cię.

– Ale myślisz, że to, co robisz, jest dużo ważniejsze od tego, co robię ja?

– Bo jest.

– Dla ciebie i twojej mamy! – wrzasnęła. – Wierz lub nie, ale moja rodzina jest dla mnie równie ważna! Moi rodzice są dla mnie ważni! Zdobywanie wykształcenia jest ważne! I, tak, mam obowiązki. Tak jak ty czuję presję, żeby być jak najlepszą w tym, co robię. I ja też mam marzenia!

– Sophia...

– Co? Teraz jesteś taki uprzejmy? Wiesz co? Odpuść sobie. Bo prawda jest taka, że przyjechałam tu tylko po to, żeby spędzić z tobą trochę czasu, a ty od samego początku próbujesz wywołać kłótnię!

– Nie próbuję wywoływać kłótni – bąknął.

Ale ona go nie słuchała.

– Dlaczego to robisz? – domagała się odpowiedzi. – Dlaczego tak się zachowujesz? Co się z tobą dzieje?

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć, a ona patrzyła na niego wyczekująco, aż w końcu zrezygnowana pokręciła głową. Chwilę później szarpnęła wodze, zawróciła konia i zmusiła go do galopu. Luke został sam między drzewami i odprowadzając ją wzrokiem, zastanawiał się, dlaczego nie znalazł w sobie odwagi, by powiedzieć jej prawdę.

22

Sophia

- Więc odjechałaś i zostawiłaś go samego? – spytała Marcia.
- Nie wiedziałam, co robić – odparła Sophia, podpierając brodę rękami. Marcia przysiadła na łóżku, na którym leżała przyjaciółka. – Byłam tak wściekła, że nie mogłam na niego patrzeć.
- Hm. On chyba też był wkurzony – zauważyła ze współczuciem Marcia. – Przecież obie wiemy, że studenci ostatniego roku historii sztuki wyrażają krytykę wobec sposobu, w jaki funkcjonuje współczesne społeczeństwo. Jeśli to nie jest poważny obowiązek, to nie wiem, co nim jest.
- Sophia posłała jej wściekle spojrzenie.
- Zamknij się.
- Marcia ją zignorowała.
- Zwłaszcza jeśli muszą znaleźć pracę, z której zdołają wyżyć.
- Nie powiedziałam ci przypadkiem, żebyś się zamknęła?
- Drocę się z tobą – rzuciła Marcia, szturchając ją łokciem.
- Powiedzmy, że nie jestem w nastroju, dobrze?
- Och, daj spokój. Nie chciałam cię wkurzyć. Po prostu cieszę się, że tu jesteś. Zdążyłam pogodzić się z faktem, że przez cały dzień i większość nocy będę sama.
- Próbuję z tobą porozmawiać!
- Wiem. Brakowało mi naszych pogaduszek. Nie gadałyśmy od wieków.
- I nie pogadamy, jeśli będziesz się tak zachowywać. Wszystko utrudniasz.
- A co niby powinnam zrobić?
- Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Żebyś powiedziała mi, co mam robić.
- Słucham cię – odparła. – Słyszałam każde twoje słowo.
- I co?
- Szczerze? Cieszę się, że w końcu się pokłóciliście. Najwyższy czas. Jestem zdania, że prawdziwy związek zaczyna się po pierwszej poważnej kłótni. Do tego czasu to miesiąc miodowy. Człowiek nie ma pojęcia, czy coś jest mocne, dopóki tego nie przetestuje. – Mówiąc to, puściła oko. – Przeczytałam to w ciasteczku z wróżbą.
- Ciasteczku z wróżbą?
- Ale to prawda. Poza tym dobrze wam to robi. Jeśli dacie sobie z tym radę, wasz związek stanie się silniejszy. Dodam, że seks na zgodę zawsze jest fantastyczny.
- Sophia się skrzywiła.
- A ty jak zwykle o seksie.
- Wcale nie. Ale seks z Lukiem? – Uśmiechnęła się lubieżnie. – Na twoim miejscu chciałabym pogodzić się tak szybko, jak to możliwe. To taki przystojniak.
- Przestań zmieniać temat. Masz mi doradzić, co mam zrobić!
- A jak myślisz, co właśnie robię?
- Robisz wszystko, żeby mnie wkurzyć?
- Marcia spojrzała na nią z powagą.
- Wiesz, co myślę? – spytała. – Z tego, co mi powiedziałaś? Myślę, że Luke denerwuje się tym, co was czeka. Będzie podróżować i zanim się obejrzyście, ty skończysz college i pewnie wyjedziesz. Dlatego zaczyna się dystansować.
- Może, pomyślała Sophia. Było w tym trochę prawdy, ale...

– Tu chodzi o coś więcej – odparła. – Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Coś jest na rzeczy.

– Jest coś, o czym mi nie powiedziałas?

Może stracić ranczo. Nie powiedziała o tym Marcii i nie zamierzała nic mówić. Luke jej się zwierzył i nie chciała zawieść jego zaufania.

– Wiem, że czuje dużą presję – odparła. – Chce wypaść jak najlepiej w zawodach. Denerwuje się.

– No to masz odpowiedź – rzuciła Marcia. – Denerwuje się i czuje presję, a ty kazałaś mu o tym nie myśleć. Facet na ciebie naskoczył, bo ma wrażenie, że nie obchodzi cię, co przeżywa.

Może, pomyślała Sophia.

– Zaufaj mi – ciągnęła Marcia. – Pewnie już tego żałuje. I założę się, że lada chwila zadzwoni, żeby cię przeprosić.

Luke jednak nie zadzwonił. Ani tamtego wieczoru, ani następnego, ani jeszcze kolejnego. Wtorek upłynął Sophii głównie na czekaniu na wiadomość od niego i zastanawianiu się, czy może ona powinna zadzwonić. Choć poszła na zajęcia i robiła notatki, niewiele zapamiętała.

W przerwie między zajęciami, przechodząc z budynku do budynku, przypomniała sobie słowa Marcii i musiała przyznać, że przyjaciółka miała rację. Mimo to nie mogła wyrzucić z pamięci złości Luke'a. Jego wrogości. Nie była pewna, czy to właściwe słowa, ale czuła się tak, jakby naprawdę chciał ją do siebie zniechęcić.

Dlaczego po długim okresie spokoju i sielanki nagle wszystko zaczęło się walić?

Gdyby się nad tym zastanowić, wiele rzeczy nie trzymało się kupy. W końcu zdecydowała, że powinna wziąć telefon i do niego zadzwonić. Kiedy usłyszy jego głos, będzie wiedziała, czy rzeczywiście zareagowała przesadnie.

Sięgnęła do torby i wyjęła telefon, jednak w chwili, gdy zamierzała wybrać numer, spojrzęła na dziedziniec i zauważyła znajome poruszenie. Ludzi spieszących gdzieś z plecakami, studenta pędzącego na rowerze, wycieczkę, która zatrzymała się przed budynkiem administracji, a w oddali, pod drzewem, stojącą naprzeciw siebie parę.

Nie było w tym nic niezwykłego, jednak z jakiegoś powodu tych dwoje zwróciło jej uwagę i po chwili opuściła rękę, w której trzymała telefon. Całkowicie się na nich skoncentrowała. Śmiali się, niemal stykając się głowami, a dziewczyna gładziła chłopaka po ramieniu. Nawet z tej odległości widać było, że jest między nimi chemia. Prawie ją wyczuwała, ale przecież znała ich. Tych dwoje łączyło zdecydowanie coś więcej niż przyjaźń, o czym ostatecznie przekonał ją ich pocałunek.

Sophia nie mogła oderwać od nich wzroku; jej mięśnie stężały.

Wiedziała, że nie pojawiał się w akademiku; nikt też nie wspominał, że coś między nimi jest. A przecież w kampusie żadna tajemnica nie była tajemnicą, plotki rozchodziły się tu z prędkością światła. A więc aż do teraz oboje ukrywali swój związek. Nie tylko przed nią, przed całym światem.

Ale Marcia i Brian?

Jej współlokatorka nie zrobiłaby jej tego, prawda? Zwłaszcza że wiedziała, jak potraktował Sophie.

Jednak teraz, gdy o tym pomyślała, przypomniała sobie, że w ostatnich tygodniach Marcia kilkakrotnie wspominała o Brianie... I czy nie przyznała, że nadal z nim rozmawia? Co o nim mówiła? Nawet gdy wciąż dręczył Sophie? Że jest dowcipny, przystojny i bogaty. Jak tu takiego nie lubić? W dodatku zawsze podkreślała, że miał do niej słabość, zanim poznał Sophie.

Wiedziała, że nie powinno jej to obchodzić. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Ale

kiedy Marcia podniosła wzrok i spojrzała w jej stronę, poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Miałam ci powiedzieć – wyjaśniła Marcia, dziwnie skruszona.

Były w pokoju i Sophia stała przy oknie, krzyżując ramiona. Tylko tyle mogła zrobić, żeby uspokoić głos.

– Od jak dawna się spotykacie?

– Od niedawna – odparła Marcia. – W przerwie świątecznej odwiedził mnie w domu i...

– Dlaczego on? Wiesz przecież, jak bardzo mnie skrzywdził – rzuciła Sophia łamiącym się głosem. – Myślałam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– Nie planowałam tego... – tłumaczyła się Marcia.

– Ale się stało.

– Nie było cię w weekendy, a ja spotykałam go na imprezach. Zaczęliśmy rozmawiać. Zwykle o tobie...

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

– Nie – zaprzeczyła Marcia. – To niczyja wina. Nie chciałam, żeby tak się stało. Ale im dłużej gadaliśmy i lepiej się poznawaliśmy...

Sophia nie usłyszała, co było później. Nagły ból brzucha sprawił, że się skrzywiła. Kiedy w pokoju zapadła cisza, odparła ze spokojem:

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Mówiłam ci. Wspominałam, że nadal ze sobą rozmawiamy. I dawałam ci do zrozumienia, że wciąż się przyjaźnimy. Wszystko zmieniło się kilka tygodni temu. Przysięgam. Sophia odwróciła się od okna, spojrzała na przyjaciółkę i poczuła, że jej nienawidzi.

– To jest... po prostu złe.

– Myślałam, że już ci przeszło... – bąknęła Marcia.

Twarz Sophii wykrzywił wściekły grymas.

– Bo mi przeszło! Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Tu chodzi o nas! Sypiasz z moim byłym facetem! – Przeczesała dłonią włosy. – Przyjaciele tak nie robią! Jak możesz w ogóle się usprawiedliwiać?

– Wciąż jestem twoją przyjaciółką. – Głos Marcii był cichy i spokojny. – Nie będę przyprowadzała go do pokoju, kiedy ty tu będziesz...

Sophia nie wierzyła własnym uszom.

– Zdradzi cię, dobrze o tym wiesz. Tak jak zdradzał mnie.

Marcia gwałtownie pokręciła głową.

– Brian się zmienił. Wiem, że w to nie uwierzysz, ale tak jest.

Po tych słowach Sophia po prostu musiała wyjść. Ruszyła w stronę drzwi, sięgając po drodze po leżącą na biurku torebkę. W drzwiach odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę.

– Brian się nie zmienił – rzuciła stanowczo. – Jestem o tym przekonana.

Nie wiedząc, co począć, pojechała na ranczo. Gdy wysiadła z samochodu, Luke, jak zwykle, wyszedł na schody. Sądząc po jego minie, od razu wiedział, że coś jest nie tak, i chociaż nie kontaktowali się od kilku dni, podszedł do niej z otwartymi ramionami.

Sophia ukryła się w nich, a gdy zamknęły się wokół niej, rozplakała się.

– Nadal nie wiem, co zrobić – wyznała, opierając głowę na jego piersi. – Przecież nie mogę zabronić jej się z nim spotykać.

Siedzieli przytuleni na kanapie, patrząc w płomień. Luke godzinami słuchał jej głosu, od czasu do czasu przytakując, lecz przede wszystkim kojąc ją swoją milczącą obecnością.

– Faktycznie – przyznał. – Nie możesz.
– Ale jak mam się zachować, gdy będziemy razem? Udawać, że nic się nie dzieje?
– Tak byłoby najlepiej. W końcu jest twoją współlokatorką.
– On ją skrzywdzi – powtórzyła po raz setny Sophia.
– Pewnie tak.
– Wszyscy będą o tym mówić. Za każdym razem, gdy mnie zobaczą, będą szeptać między sobą, chichotać albo udawać, że się o mnie troszczą, a ja przez resztę semestru będę musiała sobie z tym radzić.
– Pewnie tak.
Zamilkła na chwilę.
– Zamierzasz tak siedzieć i we wszystkim się ze mną zgadzać?
– Pewnie tak – powtórzył, a ona się roześmiała.
– Cieszę się, że nie jesteś już zły.
– Przepraszam za tamto – odparł. – Miałś rację. Miałem kiepski dzień i wyżyłem się na tobie. Nie powinienem był tego robić.
– Każdy ma prawo mieć zły dzień.
Przytulił ją jeszcze mocniej. Dopiero później dotarło do niej, że nie powiedział, co tak naprawdę trapiło go tamtego dnia.

Po nocy na ranchu Sophia wróciła do akademika i wchodząc do pokoju, wzięła głęboki wdech. Nadal nie była gotowa na rozmowę z Marcją, ale wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziała już, że niepotrzebnie się martwiła.

Marcii nie było w pokoju, a jej łóżko było pościelone.
Najwyraźniej spędzała tę noc z Brianem.

23

Luke

Kiedy kilka dni później pojechał do Pensacola, miał świadomość, że nie ćwiczył wystarczająco dużo. Ciągły pulsujący ból głowy sprawiał, że nie potrafił zebrać myśli, i uniemożliwiał treningi. Tłumaczył sobie, że jeśli przejdzie eliminacje, będzie miał czas, by wrócić do zdrowia przed następnymi zawodami.

Nie wiedział nic o Miotaczu, pierwszym byku, jakiego miał dosiąść w Pensacola. Po długiej podróży był niewyspany i czuł, że znowu zaczynają drżeć mu ręce. Choć ból głowy złagodniał, nadal odczuwał dudnienie w skroniach i dziwne wibracje. Wśród ujeżdżaczy wypatrzył kilka znajomych twarzy, a spośród tych, których nie znał, ponad połowa wyglądała jak wyrostki. Wszyscy szukali zajęcia, próbując opanować nerwy. Wszyscy marzyli o tym samym. Żeby zwyciężyć albo trafić do ścisłej czołówki, zdobyć punkty i zarobić trochę grosza; bez względu na wszystko nie zrobić sobie krzywdy i móc jeździć w przyszłym tygodniu.

Podobnie jak w McLeansville, tak i teraz Luke trzymał się blisko samochodu, wyraźnie stroniąc od towarzystwa. Z parkingu słyszał panującą na arenie wrzawę, a gdy kilka sekund później, wśród ryku tłumu, usłyszał znajome: „Tak to czasami bywa”, wiedział, że rozjuszona zwierzę zrzuciło jeźdźca. Miał jechać jako czternasty i choć czas przeznaczony na jazdę mierzono w sekundach, zwykle między kolejnymi zawodnikami następowały kilkuminutowe przerwy. Zamierzał wejść mniej więcej za kwadrans; tymczasem próbował uspokoić skołatane nerwy.

Nie chciał tu być.

Myśl skryształizowała się w jego umyśle, jasna i wyraźna, choć w głębi duszy wiedział o tym już od dawna. To niezaprzeczalne przekonanie sprawiło, że poczuł się, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Nie był na to gotowy. I może, ale tylko może, nigdy nie będzie.

Mimo to piętnaście minut później powłókł się w stronę areny.

To zapach sprawił, że się nie rozmyślił. Znajoma woń wyzwalała reakcje, które przez lata stały się niemal odruchowe. Świat się skurczył. Luke ignorował ryk tłumu i konferansjera, skupiając całą uwagę na młodych pomocnikach, którzy pomagali mu przygotować się do jazdy. Naciągnięto liny. Luke zmieniał uchwyt, aż poczuł, że lina idealnie leży mu w dłoni. Poprawił się na grzbiecie byka, odczekał chwilę, chcąc się upewnić, że wszystko jest, jak należy, i skinął głową facetowi przy bramce.

– Jedziemy.

Miotacz, wierzgając, wypadł na arenę, rzucił się w prawo, na ułamek sekundy oderwał się od ziemi i próbował go zrzucić. Jednak Luke był przygotowany; pochylał się nad karkiem zwierzęcia i starał się utrzymać równowagę, podczas gdy byk znów wierzgnął dwa razy i zaczął biegać dookoła.

Luke działał instynktownie i chwilę po tym, jak usłyszał brzęczyk, wolną ręką sięgnął w dół i rozwiązał linę. Zeskoczył na obie nogi i pobiegł w kierunku ogrodzenia. Zanim byk przestał wierzgać, był już bezpieczny.

Tłum wiwatował, a konferansjer przypomniał publiczności, że Luke zajmował niegdyś trzecie miejsce w światowych rankingach. Słyszając to, zdjął kapelusz i pomachał nim w stronę trybun, po czym odwrócił się i powłókł z powrotem do samochodu.

Ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą.

Kolejnym bykiem, którego miał ujeżdżać, był Cukiereczek. Po pierwszej kolejce Luke zajmował czwartą pozycję.

I tym razem działał instynktownie, a świat wokół niego po raz kolejny skurczył się do minimum. Jak się okazało, Cukiereczek był bardziej narowisty. Większy. W czasie jazdy Luke słyszał pełne aprobaty okrzyki. Dotrwał do końca i znowu uciekł za bandę, kiedy byk miotał się po arenie.

Noty, które zdobył, zapewniły mu drugie miejsce.

Przez kolejną godzinę siedział za kierownicą, walcząc z bólem głowy, od którego pękała mu czaszka. Połknął garść ibuprofenu i tylenolu, jednak na niewiele się to zdało. Zastanawiał się, czy ma obrzęk mózgu, i starał się nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby spadł z byka.

Przed ostatnią turą miał szansę na zwycięstwo. Jednak wcześniej jeden z finalistów zakończył zawody z największą liczbą punktów.

Czekając w zagrodzie, nie denerwował się. Nie dlatego, że nagle przybyło mu pewności siebie, ale dlatego, że ból głowy i wysiłek zmęczyły go do tego stopnia, iż było mu wszystko jedno.

Chciał mieć to już za sobą. Co ma być, to będzie.

Kiedy był gotów, drzwi zagrody się otworzyły. Byk był potężny, choć nie tak narowisty jak Cukiereczek. Utrzymanie się na nim wymagało więcej siły i sprytu niż ujeżdżanie Miotacza, o czym świadczyły wyniki.

O zwycięstwie miał zdecydować występ lidera i punkty, które zdobędzie w trakcie jazdy finałowej. Jednak zwycięzca dwóch pierwszych rund w trzeciej stracił równowagę, nie odzyskał jej i runął na piach.

Dzięki temu Luke, który po drugiej rundzie zajmował drugie miejsce, ostatecznie wygrał konkurs.

Odebrał czek i napisał do mamy i Sophii, że wraca już do domu. Jednak gdy z bólem głowy wsiadł do samochodu, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie cieszy się ze zdobytych punktów.

– Wyglądasz strasznie – stwierdziła Sophia. – Wszystko w porządku?

Luke zdobył się na wymuszony uśmiech. Około trzeciej rano zmęczony padł na łóżko i obudził się po jedenastej. Jego ciało i głowa przypominały siedlisko bólu. Odruchowo sięgnął po proszki przeciwbólowe i połknął kilka, zanim, ślaniając się na nogach, poszedł pod prysznic, gdzie strumieniem gorącej wody próbował rozluźnić poobijane, napięte mięśnie.

– Nic mi nie jest – odparł. – To była długa podróż i odkąd wstałem, naprawiałem ogrodzenie.

– Jesteś pewien? – Sądząc po jej zatroskaniu, nie do końca wierzyła w jego zapewnienia. Odkąd wczesnym popołudniem przyjechała na ranczo, przyglądała się mu jak kwoka kurczętom.

– Wyglądasz, jakby coś cię brało.

– Jestem zmęczony, to wszystko. Ostatnie dni były naprawdę ciężkie.

– Tak, wiem. Ale wygrałeś.

– Taa – bąknął. – Wygrałem.

– To dobrze. Dobrze dla rancza. – Zmarszczyła czoło.

– Taa – powtórzył tępo. – Dobrze dla rancza.

24 Sophia

Luke czuł się źle. Nie tak jak w ubiegły weekend, ale było oczywiste, że coś jest nie tak. I nie chodziło o zmęczenie. Był blady, jego skóra stała się nienaturalnie biała i choć wszystkiemu zaprzeczał, Sophia wiedziała, że cierpi. Czasami, gdy robił szybki, niespodziewany ruch, krzywił się albo gwałtownie łapał powietrze.

Obiad w domu jego matki upłynął w napiętej atmosferze. I choć Linda wyraźnie ucieszyła się ze spotkania z Sophią, Luke siedział na zewnątrz, pilnując grilla, jakby starał się ich unikać. Kiedy zasiedli do stołu, stało się jasne, że są tematy, których woleliby nie poruszać. Luke nie chciał rozmawiać o dręczącym go bólu, Linda wołała nie pytać o rodeo, a Sophia unikała rozmów o Marcii, Brianie i ciężkim tygodniu. A był jednym z najtrudniejszych tygodni w jej życiu.

Kiedy wrócili do domku Luke'a, chłopak poszedł prosto do łazienki. Słyszała, jak wytrząsa na dłoń tabletki z jednego opakowania, a zaraz potem z drugiego, i poszła za nim do kuchni, gdzie popił wszystkie szklanką wody.

Jeszcze bardziej się zaniepokoiła, gdy oparł ręce o blat i zwiesił głowę.

– Jest aż tak źle? – szepnęła, dotykając jego pleców. – Mam na myśli ból głowy.

Nie odpowiedział od razu, za to kilkakrotnie wciągnął do płuc powietrze.

– Nic mi nie jest – odezwał się w końcu.

– Przecież widzę – rzuciła. – Ile ich wzięłeś?

– Po kilka z każdego opakowania – przyznał.

– Przed obiadem też brałeś proszki...

– Jak widać, nie wystarczyły.

– Jeśli jest tak źle, powinieneś pójść do lekarza.

– Nie ma potrzeby – odparł głucho. – Wiem, co mi jest.

– Co?

– Mam wstrząśnienie mózgu.

Zamrugła.

– Jak to? Uderzyłeś się w głowę, kiedy zeskakiwałeś z byka?

– Nie – mruknął. – Dwa tygodnie temu spadłem z mechanicznego byka.

– Dwa tygodnie temu?

– Tak – przyznał. – I chyba za wcześnie wróciłem do treningów.

– Chcesz powiedzieć, że od dwóch tygodni boli cię głowa? – Sophia nie chciała, by usłyszał w jej głosie panikę.

– Nie aż tak. Wszystko przez wczorajsze zawody.

– Więc po co brałeś w nich udział, skoro wiedziałeś, że prawdopodobnie masz wstrząśnienie mózgu?

Utkwił wzrok w podłodze.

– Nie miałem wyboru.

– Oczywiście, że miałeś wybór. I zrobiłeś najgłupszą z możliwych rzeczy. Chodź.

Pojedziemy do szpitala...

– Nie – przerwał jej.

– Dlaczego? – spytała zdumiona jego reakcją. – Ja poprowadzę. Musisz pójść do lekarza.

– Już wcześniej bolała mnie głowa i wiem, co powie lekarz. Każe mi odpocząć, a ja nie mogę odpoczywać.

– Chcesz powiedzieć, że w przyszły weekend zamierzasz jeździć?

– Muszę.

Sophia próbowała zrozumieć, co do niej mówi, jednak bez skutku.

– To dlatego mama jest na ciebie taka zła? Bo zachowujesz się jak idiota?

Nie odpowiedział od razu, tylko westchnął.

– Ona o niczym nie wie.

– Jak to o niczym nie wie? Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Bo nie chcę, żeby wiedziała. Tylko by się martwiła.

Sophia pokręciła głową.

– Nie rozumiem, dlaczego jeździsz, skoro wiesz, że to tylko pogarsza twój stan. To niebezpieczne.

– Przestałem się tym przejmować – odparł.

– Jak to?

Luke wyprostował się powoli i spojrzał na nią zrezygnowanym, przeproszającym wzrokiem.

– Ponieważ – zaczął – już przedtem nie powinienem był wsiadać na byka.

Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Nie powinieneś jeździć? – Zamrugła. – W ogóle?

– Zdaniem lekarzy za każdym razem ryzyko jest ogromne.

– Dlaczego?

– Przez Zakapiora – odparł. – Podczas upadku nie tylko straciłem przytomność i byłem wleczony po arenie. Powiedziałem ci, że mnie stratował, ale nie powiedziałem ci, że roztrzaskał mi czaszkę. Mam teraz w głowie metalową płytkę, ale nawet ona mnie nie ochroni, jeśli źle upadnę.

Słuchając jego monotonnego głosu, Sophia poczuła chłód, który rozlewał się po jej ciele. To nie mogła być prawda...

– Chcesz mi powiedzieć, że mogłeś umrzeć? – Ogarnięta paniką, nie czekała na odpowiedź. – To masz na myśli? Ze umrzesz? I nic mi nie powiedziałaś? Jak mogłeś mi o tym nie powiedzieć?

Nagle wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Zrozumiała, dlaczego tamtej nocy tak bardzo chciał zobaczyć byka; dlaczego jego matka była na niego taka zła; i dlaczego tak bardzo denerwował się przed otwarciem sezonu.

– W takim razie to koniec – dodała, starając się zamaskować przerażenie w swoim głosie. – Nie będziesz już jeździł, zgoda? Koniec z tym. Przechodzisz na emeryturę.

Nie odezwał się, ale miała wrażenie, że Luke jest innego zdania. Podeszła do niego i oplotła go ramionami. Czuła bicie jego serca i mocne, napięte mięśnie.

– Nie chcę, żebyś to robił. Koniec z ujeżdżaniem, dobrze? Proszę, powiedz, że z tym skończysz. Wymyślimy sposób, żeby uratować ranczo.

– Nie ma innego sposobu.

– Zawsze jest jakiś sposób...

– Nie – upierał się. – Nie ma.

– Luke, wiem, jak ważne jest ranczo, ale, uwierz mi, twoje życie jest ważniejsze. Wiesz o tym, prawda? Zacznesz od nowa. Kupisz nowe ranczo. Albo zatrudnisz się jako pracownik na innym ran...

– Nie potrzebuję rancza – przerwał jej. – Robię to dla mamy.

Odsunęła się od niego, czując, że ogarnia ją wściekłość.

– Ale ona nie chce, żebyś to robił! Bo wie, jakie to niebezpieczne i głupie! Bo jesteś jej

synem!

– Robię to dla niej...

– Wcale nie! – wtrąciła. – Robisz to, żeby nie czuć się winnym! Myślisz, że jesteś szlachetny, ale tak naprawdę zachowujesz się jak egoista! To najbardziej egoistyczna rzecz... – Nie dokończyła, z trudem łapiąc powietrze.

– Sophia...

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła. – Mnie też skrzywdzisz! Nie rozumiesz? Czy choć przez chwilę pomyślałeś, że może nie chcę, żebyś umierał? Albo jak bym się wtedy czuła? Nie, ponieważ tu nie chodzi o mnie! Ani nawet o twoją mamę! Tu chodzi o ciebie... i o to, jak ty się czujesz! – Cofnęła się o krok. – A do tego mnie okłamałeś... – szepnęła.

– Nie okłamałem cię..

– Nie powiedziałeś mi prawdy – rzuciła gorzko. – Okłamałeś mnie, bo wiedziałeś, że się z tobą nie zgodzę! Bo myślałeś, że nie zechcę związać się z kimś, kto robi coś tak... głupiego. I po co? Żeby zaciągnąć mnie do łóżka? Bo chciałeś się zabawić?

– Nie...

Jego zapewnienia nie przekonały jej. Poczwała gorące łzy, które wbrew jej woli toczyły się po jej policzkach.

– Ja... po prostu nie dam rady. Nie zniosę tego. To był koszmarne tydzień; wszystkie dziewczyny plotkują, Marcia unika mnie jak ognia... Potrzebowałam cię. Chciałam z kimś porozmawiać. Ale wiedziałam, jak bardzo zależy ci na zawodach. Pogodziłam się z tym, że taką masz pracę. Ale teraz? Kiedy wiem, że pojechałeś tam tylko po to, żeby próbować się zabić? – Słowa wylewały się z jej ust wartkim strumieniem, jakby próbowały nadażyć za gonitwą myśli w jej głowie. Chwilę później odwróciła się i chwyciła torebkę. Nie mogła dłużej tu być. Nie mogła być z nim. Nie teraz. – Nie zniosę tego...

– Zaczekaj!

– Nie mów do mnie! – rzuciła. – Nie mam ochoty słuchać, jak mi wyjaśniasz, dlaczego tak bardzo chcesz umrzeć.

– Nie umrę.

– Właśnie, że umrzesz! Może nie znamy się wystarczająco długo, żebym o tym wiedziała, ale twoja mama wie! I lekarze też! I ty też wiesz, że to, co robisz, jest złe... – Oddychała szybko. – Porozmawiamy, jak zmadrzejesz. Ale teraz...

Nie dokończyła. Zarzuciła tylko torbę na ramię i wybiegła z domu wprost do samochodu. Wrzuciła bieg i zawracając, niemal uderzyła w schody. Wcisnęła pedał gazu i niewiele widząc przez łzy, ruszyła w drogę powrotną.

Sophia była odrętwiała.

Odkąd wróciła do akademika, Luke dzwonił dwukrotnie, jednak nie odbierała telefonu. Siedziała sama w pokoju i choć wiedziała, że Marcia jest z Brianem, tęskniła za nią. Od ich kłótni Marcia spędzała każdą noc u Briana, jednak Sophia przypuszczała, że nie chodziło o niego, lecz o to, że przyjaciółka była zbyt zawstydzona tym, co się stało, by spojrzeć jej w oczy.

Wciąż była na nią zła. Marcia postąpiła źle i Sophia nie mogła udawać, że jej to nie obchodzi. Najlepsza przyjaciółka nie umawia się z twoim byłym. To była żelazna zasada albo coś w tym stylu. Po prostu przyjaciele nie robią sobie takich rzeczy. Nigdy. I choć czuła, że powinna oświadczyć Marcii, że z ich przyjaźnią koniec, nie potrafiła wypowiedzieć tych słów, bo w głębi duszy wiedziała, że Marcia nie zrobiła tego celowo. Nie była taka. Poza tym Sophia wiedziała, jak czarujący potrafił być Brian, kiedy mu na czymś zależało. A podejrzewała, że tak właśnie było w tym przypadku. Cały on. Dokładnie wiedział, co robi, i nie miała wątpliwości, że spotykał

się z Marcją tylko po to, żeby się zemścić. Chciał skrzywdzić Sopię po raz ostatni, niszcząc jej przyjaźń z Marcją.

A przy tym skrzywdzi Marcję. Już wkrótce przyjaciółka przekona się, jaki naprawdę jest Brian. Kiedy to się stanie, poczuje się jeszcze gorzej niż teraz. Z jednej strony wyjdzie jej to na dobre, mimo to...

Tymczasem Sophia naprawdę chciała z nią porozmawiać. Potrzebowała jej. Chciała pomówić z nią o Luke'u. Po prostu porozmawiać. Tak jak dziewczyny ze stowarzyszenia, które siedząc na dole w holu, bez przerwy o czymś paplały. Nawet teraz słyszała przez drzwi ich przytłumione głosy.

Nie miała ochoty się z nimi widzieć, bo choć nie mówiły pewnych rzeczy głośno, ich miny były bardzo wymowne. Ostatnio za każdym razem, gdy wchodziła do akademika, w pokojach i na korytarzach zapadała cisza i niemal wyczuwała, o czym myślą jej koleżanki. Jak sądzisz, jak się czuje? Słyszałam, że ona i Marcja unikają się jak zarazy. Szkoda mi jej. Nie wyobrażam sobie, przez co przechodzi.

Nie mogła stawić im teraz czoła i mimo wszystko żałowała, że nie ma przy niej Marcii. Bo nigdy nie czuła się tak samotna jak teraz.

Mijały godziny. Niebo za oknami zasnuły ciężkie zimowe chmury, podświetlone upiornie bladym światłem księżycy. Leżąc na łóżku, Sophia myślała o wieczorach, kiedy razem z Lukiem patrzyli w niebo. Przypominała sobie konne przejażdżki, to, jak się kochali, i obiady w domu Lindy. Pamiętała, jak tamtej nocy, gdy się poznali, siedzieli na składanych krzeselkach na pace pick-upa.

Po co kusił los i igrał ze śmiercią? Próbowała go zrozumieć, ale nie mogła. Wiedziała, że powodowało nim poczucie winy, jednak czy warto ryzykować życie? Wątpiła w to i wiedziała, że matka Luke'a jest tego samego zdania. On jednak był gotów się poświęcić. Nie potrafiła tego zrozumieć i nawet gdy zadzwonił po raz trzeci, nie odebrała telefonu.

Robiło się późno i akademik powoli, choć nieubłaganie pogrążał się w ciszy. Sophia była wyczerpana, wiedziała jednak, że nie zaśnie. Próbując zrozumieć autodestrukcyjne zachowanie Luke'a, zaczęła się zastanawiać, co właściwie wydarzyło się tamtego dnia, kiedy ujeżdżał Zakapiora. Powiedział, że ma w głowie metalową płytkę, jednak czuła, że sytuacja wyglądała znacznie gorzej. Powoli wygrzebała się z pościeli i podeszła do leżącego na biurku laptopa. Pełna złych przeczuc i zdecydowana, by ostatecznie poznać prawdę, wpisała w wyszukiwarkę jego imię i nazwisko.

Nie zdziwiła się, gdy zobaczyła całkiem pokaźną listę wyników, w tym krótką biografię w Wikipedii. Był przecież jednym z najlepszych zawodników. Nie była jednak zainteresowana jego biografią. Dopisała na pasku wyszukiwarki słowo „Zakapior” i wcisnęła „wyszukaj”.

U góry ekranu pojawił się link do zamieszczonego w serwisie YouTube wideo. Kliknęła go, zanim opuściła ją odwaga, i z niepokojem czekała na to, co zaraz zobaczy.

Nagranie trwało zaledwie dwie minuty, jednak z przerażeniem odkryła, że miało ponad pół miliona wyświetleń. Nie była pewna, czy chce je oglądać, mimo to wcisnęła „odtwórz”. Niemal od razu rozpoznała Luke'a, który siedząc na byku, szykował się do występu. Kamera, z której pochodził obraz, znajdowała się gdzieś na górze i najpewniej przeznaczona była dla widzów telewizji. Trybuny pękały w szwach; za zagrodą, wzdłuż ściany areny, ustawiono reklamy i kolorowe bannery. Inaczej niż w McLeansville, ta arena była kryta, więc mogły się tam odbywać również mecze koszykówki i koncerty. Luke miał na sobie dżinsy, kamizelkę ochronną, czerwoną koszulę z długim rękawem i kapelusz. Na kamizelce widniał numer 16.

Patrzyła, jak poprawił uchwyt, kiedy inni kowboje próbowali naciągnąć linę pod

brzuchem byka. Chwilę później uderzył pięścią w ogrodzenie, zacisnął uda i jeszcze raz zmienił pozycję. Ponad wrzawą tłumu rozlegały się nosowe głosy komentatorów.

Luke Collins zajmuje trzecie miejsce w światowych rankingach i mówi się o nim, że jest jednym z najlepszych ujeżdżaczy na świecie, jednak nigdy wcześniej nie dosiadał tego byka.

Mało kto go dosiadał, Clint. Zakapior był ujeżdżany zaledwie dwa razy i w zeszłym sezonie związek Zawodowych Ujeżdżaczy Byków okrzyknął go najbardziej narowistym bykiem roku. Jest silny i wredny. Jeśli Luke wytrzyma osiem sekund, może być pewien, że zdobędzie ponad dziewięćdziesiąt punktów.

Szykuje się...

Widoczny na ekranie Luke był dziwnie spokojny i nieruchomy, jednak trwało to tylko sekundę. Sophia patrzyła, jak bramka się otwiera, i słyszała ryk tłumu.

Byk wypadł z boks, wierzgając i młócąc powietrze tylnymi nogami. Ubrojona w potężne rogi głowa pochylała się nisko ku ziemi. Uskoczył w lewo, wierzgnął szaleńczo, oderwał nogi od ziemi i chwilę później, próbując zrzucić jeźdźca, pognął w przeciwnym kierunku.

Minęły cztery sekundy i Sophia usłyszała wrzawę na trybunach.

Uda mu się! – krzyknął komentator.

W tej samej chwili Luke pochylił się do przodu i stracił równowagę, a rozjuszony byk odrzucił do tyłu swój masywny łeb.

Siła uderzenia była ogromna; głowa Luke'a odskoczyła w przeciwnym kierunku, jakby jego szyja pozbawiona była mięśni...

Mój Boże!

Ciało Luke'a zwiotczało i bezwładnie ześlizgnęło się z byka, podczas gdy jego ręka nadal trzymała się liny.

Oszalałe z wściekłości zwierzę wyrwało się spod kontroli. Wierzgało i biegało po całej arenie, wlokąc Luke'a za sobą i ciskając nim na wszystkie strony jak szmacianą lalką. Kiedy zwierzę zaczęło kręcić piruety, stopy Luke'a zostawiały w piasku głębokie bruzdy.

Na arenę wybiegli inni kowboje oraz ich pomocnicy i próbowali ratować nieprzytomnego Luke'a, jednak byk nie zamierzał dawać za wygraną. Zatrzymał się i pognął w stronę intruzów, rzucając wściekle łbem. Cisnął jednym z zawodników, jakby ten nic nie ważył. Kolejny próbował uwolnić zaplątaną w linę rękę Luke'a; minęło kilka sekund, zanim udało mu się wskoczyć na byka i utrzymać się na nim wystarczająco długo, by poluzować sznur.

W tej samej chwili Luke osunął się na piach i leżał na brzuchu, z głową odwróconą na bok, nieruchomy, a jego wybawca biegł już w stronę ogrodzenia.

Jest ranny! Potrzebna będzie pomoc lekarzy!

Tymczasem byk nie odpuszczał. Jakby świadomy, że pozbył się balastu, ale zły na Luke'a, że ten w ogóle go dosiadł, odwrócił się i nie zważając na ludzi, którzy bezskutecznie próbowali przyciągnąć jego uwagę, pochylił łeb i rzucił się na niego. Uderzył rogami bezwładne ciało Luke'a, jakby chciał go zabić. Dwóch kowbojów przyskoczyło do niego, klepało go i szturchało, jednak byk ani myślał zostawić Luke'a w spokoju. Trącał go rogami, a chwilę później wskoczył na niego i zaczął wierzgać.

Nie, nie wierzgać. Tratować. I wywijać piruety. Oniemiała z przerażenia Sophia usłyszała głos komentatora.

Niech ktoś ściągnie z niego tego byka!

Rozjuszone zwierzę miażdżyło kopytami nieprzytomnego Luke'a. Deptało jego plecy, nogi, głowę.

Głowę...

Pięciu mężczyzn otoczyło byka, dwojąc się i trojąc, by odwrócić jego uwagę od Luke'a, jednak Zakapior kontynuował swój wściekły atak.

Jego kopyta unosiły się i opadały, spadając na Luke'a niczymrazy...

Trzeba go powstrzymać! – krzyczał komentator.

Zwierzę zachowywało się jak opętane...

Aż nagle, w końcu, zostawiło Luke'a w spokoju i nie przestając wierzgać, rzuciło się w bok areny.

Kamera przez chwilę śledziła byka, po czym skupiła się na nieruchomej sylwetce Luke'a. Między udzielającymi mu pomocy zawodnikami Sophia dostrzegła jego twarz, zakrwawioną i nie do poznania.

W tej samej chwili zakryła twarz rękami i przerażona zaczęła histerycznie szlochać.

25

Luke

W środę ból głowy zelżał, jednak Luke obawiał się, że stan jego zdrowia nie pozwoli mu wziąć udziału w nadchodzącym konkursie w Macon, w stanie Georgia. Kolejny turniej odbywał się we Florence, w Karolinie Południowej, i Luke zastanawiał się, czy do tego czasu poczuje się lepiej. Potem trasa przeniesie się do Teksasu, a on nie zamierzał przystępować do tej fazy konkursu z poważną kontuzją.

Poza tym zaczynał martwić się kosztami. Z harmonogramu zawodów wynikało, że od lutego będzie musiał latać samolotami. To oznaczało dodatkowe noce spędzone w motelach. Dodatkowe posiłki. Wynajem samochodów. W przeszłości, gdy ujeżdżając byki, gonił za swymi marzeniami, była to cena, jaką musiał zapłacić, by utrzymać się w branży. Nadal tak było, ale pamiętając, że za pół roku rata pożyczki wzrośnie trzykrotnie, zaczął szperać w internecie w poszukiwaniu najtańszych lotów, z których większość należało rezerwować z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Jeśli dobrze liczył, wygrana z pierwszego konkursu pokryje koszty podróży na kolejne osiem wyjazdów. Oznaczało to, że na najbliższe raty nie zostanie mu ani centa. Już dawno przestał gonić za marzeniami. Musiał wygrywać regularnie, bo tego wymagała sytuacja.

Za każdym razem, gdy o tym myślał, słyszał w głowie głos Sophii, który powtarzał mu, że tu nie chodzi o ranczo, ani nawet o jego mamę, ale o poczucie winy, którego tak bardzo chciał uniknąć.

Czy naprawdę zachowywał się jak egoista? Wcześniej tak o tym nie myślał. Nie on był tu najważniejszy. Jemu nic nie będzie. Najważniejsza była mama, jej dziedzictwo i to, by nie musiała zaczynać wszystkiego od nowa. Nie chciał jeździć. Robił to, bo poświęciła wszystko, żeby go ocalić, i był jej dłużnikiem. Nie mógł patrzeć, jak przez niego traci dorobek całego życia.

W przeciwnym razie czułby się winny. Więc jednak chodziło o niego. A może nie?

W niedzielę wieczorem dzwonił do Sophii trzy razy. W poniedziałek znowu trzy. I kolejne dwa razy we wtorek. Każdego dnia wysyłał jej wiadomość, jednak nie odpisywała. Pamiętał, jak denerwowało ją natrętne zachowanie Briana po ich rozstaniu, więc w środę sobie odpuścił. Jednak w czwartek nie potrafił już dłużej wytrzymać. Wsiadł do pick-upa, pojechał do Wake Forest i zatrzymał się przed akademikiem.

Na werandzie, w bujanych fotelach, siedziały dwie identycznie ubrane dziewczyny. Jedna rozmawiała przez telefon, druga pisała SMS-a. Obie przelotnie zerknęły w jego stronę, jednak rozpoznawszy go, zaczęły uważnie obserwować każdy jego ruch. Kiedy zapukał do drzwi, usłyszał dobiegający ze środka śmiech. Chwilę później drzwi otworzyła ładna brunetka z dwoma kolczykami w każdym uchu.

– Powiem Sophii, że przyjechałeś – rzuciła i odsunęła się, by wpuścić go do środka.

Trzy dziewczyny na kanapie wyciągały szyje, by lepiej mu się przyjrzeć. Luke domyślał się, że to ich śmiech słyszał przez drzwi, jednak teraz gapily się na niego, ignorując ryczący w tle telewizor. Czuł się tu zupełnie nie na miejscu.

Minęło kilka minut, zanim Sophia pojawiła się na szczycie schodów. Skrzyżowawszy ramiona, patrzyła na niego, najwyraźniej zastanawiając się, co zrobić. W końcu westchnęła i niechętnie ruszyła w jego stronę. Czując na sobie baczne spojrzenia koleżanek, nie odezwała się ani słowem. Skinęła tylko głową w kierunku drzwi i oboje wyszli na zewnątrz.

Nie zatrzymała się na werandzie; szła dalej chodnikiem, aż upewniła się, że nikt ich nie zobaczy. Dopiero wtedy odwróciła się ku niemu.

– Czego chcesz? – spytała beznamiętnym głosem.
– Chciałem cię przeprosić – odparł, chowając ręce w kieszeniach. – Za to, że nie powiedziałem ci wcześniej.
– W porządku – rzuciła.
Nie dodała nic więcej, a on zaczął się zastanawiać, co jeszcze powiedzieć. Kiedy tak stali w milczeniu, odwróciła się i utkwiała wzrok w domu po drugiej stronie ulicy.
– Oglądałam wideo z twojego występu – odezwała się. – Jak ujeżdżałeś Zakapiora. Kopnął kamyczki, które utkwily w szczelinie chodnika, bojąc się spojrzeć na Sophię.
– Mówiłem ci, że było naprawdę źle.
Pokręciła głową.
– Było gorzej niż naprawdę źle... – Spojrzała na niego, szukając w jego twarzy odpowiedzi. – Wiedziałam, że to niebezpieczne, ale nie przyszło mi do głowy, że to kwestia życia i śmierci. Chyba nie rozumiałam, jak wiele ryzykujesz za każdym razem, gdy wychodzisz na arenę. No i ten byk. Jak zobaczyłam, co ci zrobił... Próbował cię zabić...
Głos uwiązał jej w gardle. Luke też oglądał to nagranie. Raz, pół roku po wydarzeniach tamtego dnia. Kiedy obiecał sobie, że nigdy więcej nie wsiądzie na byka. I gdy zrozumiał, że ma szczęście, że w ogóle żyje.
– Powinieneś być zginąć, ale przeżyłeś – stwierdziła Sophia. – Dostałeś drugą szansę. Ktoś uznał, że zasługujesz na to, by prowadzić normalne życie. Niezależnie od tego, co powiesz, nie zrozumieję, dlaczego chcesz ją zaprzepaścić. Nie widzę w tym sensu. Powiedziałam ci, że myślałam o samobójstwie, ale tak naprawdę nigdy nie chciałam tego zrobić. Wiedziałam, że nie byłabym do tego zdolna. Ale ty... zachowujesz się tak, jakbyś naprawdę tego chciał. I mam wrażenie, że będziesz próbował, dopóki ci się nie uda.
– Nie chcę umierać – odparł.
– Więc przestań brać udział w zawodach – rzuciła. – Inaczej nie będziemy razem. Nie będę udawać, że nie próbujesz się zabić, bo czułabym się tak, jakbym się na to godziła. A tak nie jest.
Luke poczuł, że coś ściska go za gardło, przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.
– To znaczy, że nie chcesz mnie już widzieć?
Słyszac to, Sophia pomyślała, jak bardzo zmęczyła ją cała ta sytuacja, i dotarło do niej, że nie potrafi się nawet rozplakać.
– Kocham cię, Luke. Ale nie mogę brać w tym udziału. Nie mogę być z tobą i zastanawiać się, czy przeżyjesz kolejny weekend. I nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdybyś rzeczywiście zginął.
– A więc to koniec?
– Tak – odparła. – Jeśli nadal będziesz jeździł, to koniec.

Nazajutrz Luke usiadł przy kuchennym stole i spojrzal na leżące przed nim kluczyki do pick-upa. Było piątkowe popołudnie i jeśli wyjedzie za kilka minut, dotrze do hotelu przed północą. Samochód był gotowy do drogi, potrzebny sprzęt był załadowany.

Nadal ćmiła go głowa, ale prawdziwy ból czuł wtedy, gdy pomyślał o Sophii. Nie miał ochoty wyjeżdżać ani brać udziału w zawodach; pragnął jedynie spędzić weekend w jej towarzystwie. Szukał wymówki, żeby nie siadać za kółkiem. Chciał wybrać się z nią na konną przejażdżkę, usiąść przy kominku i wziąć ją w ramiona.

Wcześniej widział się z mamą, jednak ich stosunki pozostawały napięte. Podobnie jak Sophia, ona również nie chciała z nim rozmawiać. Kiedy była zmuszona się do niego odezwać, jej złość była wyczuwalna. Czuł na sobie ciężar jej trosk – o niego, o ranczo, o przyszłość.

Sięgając po kluczyki, dźwignął się z krzesła i ruszył w stronę pick-upa, zastanawiając się, czy da radę cało wrócić do domu.

26 Sophia

– Tak myślałam, że przyjedziesz. – Linda stanęła w drzwiach; twarz miała równie zmęczoną i spiętą, jak Sophia.

– Nie wiedziałam, dokąd pójść – odparła dziewczyna.

Był sobotni wieczór i obie wiedziały, że mężczyzna, którego kochają, być może jest już na arenie i ryzykuje życie.

Linda machnięciem ręki zaprosiła ją do środka i zachęciła, by usiadła przy kuchennym stole.

– Napijesz się gorącego kakao? – spytała. – Właśnie zamierzałam sobie zrobić.

Sophia skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, i utkwiała wzrok w leżącym na stole telefonie. Linda musiała zauważyć, że mu się przygląda.

– Wysyła mi wiadomość, kiedy jest już po wszystkim – wyjaśniła, krzątając się przy kuchence. – Zawsze tak robi. To znaczy kiedyś dzwonił. Opowiadał, jak mu poszło, dobrze czy źle, i rozmawialiśmy przez chwilę. Ale teraz... – Pokręciła głową. – Teraz wysyła SMS-y, żebym wiedziała, że nic mu nie jest. A ja mogę tylko siedzieć i czekać na wiadomość. Kiedy tak czekam, mam wrażenie, że czas zwalnia. Na przykład teraz czuję się, jakbym nie spała od tygodnia. Ale nawet kiedy dostanę wiadomość, wiem, że nie zasnę.

Bo boję się, że uszkodził sobie głowę, chociaż mówi, że nic mu nie jest.

Sophia skubała paznokciem blat stołu.

– Powiedział, że po wypadku wylądował na oddziale intensywnej terapii.

– Kiedy trafił do szpitala, był w stanie śmierci klinicznej – odparła Linda, powoli mieszając mleko. – Nawet kiedy przywrócili go do życia, nikt się nie spodziewał, że przeżyje. Tył jego czaszki był po prostu... roztrzaskany. Oczywiście wtedy nie miałam o niczym pojęcia. Przyjechałam do szpitala na drugi dzień i kiedy mnie do niego zaprowadzili, nie byłam w stanie go rozpoznać. Miał złamany nos i kość policzkową, uszkodzony oczodół. Jego twarz była opuchnięta i... zmiażdżona. Lekarze bali się cokolwiek zrobić, żeby nie spowodować dalszych uszkodzeń. Głowę miał zabandażowaną i był unieruchomiony. – Linda niespiesznie przelała mleko do kubków i wsypała kakao. – Przez prawie tydzień nie otwierał oczu. Kilka dni po tym, jak odzyskał przytomność, zawieźli go na salę operacyjną. Spędził na oddziale intensywnej terapii prawie miesiąc.

Sophia wzięła do rąk kubek i upiła łyk.

– Powiedział, że wszczepili mu płytkę.

– To prawda – przytaknęła Linda. – Małą. Ale lekarz powiedział, że kości czaszki mogą się nigdy nie zrosnąć, bo niektórych fragmentów nie dało się uratować. Powiedział, że przypomina to witraż, który ledwie się trzyma. Na pewno jest lepiej niż w ubiegłe lato i wiem, że Luke zawsze był dobrym ujeżdżaczem, ale... – Zawiesiła głos, niezdolna dokończyć myśli, i tylko pokręciła głową. – Kiedy opuścił oddział intensywnej terapii i lekarze uznali, że zniesie podróż, został przewieziony do Szpitala Uniwersyteckiego w Duke. Czułam, że najgorsze mamy już za sobą; wiedziałam, że przeżyje i być może całkowicie wróci do zdrowia. – Westchnęła. – Mniej więcej w tym samym czasie zaczęły przychodzić rachunki. Luke miał spędzić w Duke kolejne trzy miesiące, dojść do siebie i przejść operację rekonstrukcji twarzy. No i potrzebna była reha...

– Powiedział mi o ranczu – szepnęła Sophia.

– Wiem – odparła Linda. – Wiem, że usprawiedliwia to, co robi.

– To żadne usprawiedliwienie.
– Tak – przyznała Linda. – Żadne.
– Myślisz, że nic mu nie jest?
– Nie wiem – odparła, stukając palcem w ekran telefonu. – Nigdy nie wiem, dopóki nie napisze.

Kolejne dwie godziny upłynęły w zwolnionym tempie, każda minuta dłużyła się w nieskończoność. Linda ukroiła ciasta, ale żadna z nich nie była głodna. Tylko skubały okruchy i czekały.

I czekały.

Jadąc tu, Sophia miała nadzieję, że towarzystwo Lindy ją uspokoi, jednak, nie wiedząc czemu, poczuła się jeszcze gorzej. Już oglądanie nagrania było kiepskim pomysłem, ale szczegółowa relacja Lindy sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze.

Luke umrze.

W głębi duszy nie miała co do tego wątpliwości. Spadnie, a byk po raz kolejny uderzy go łbem. Albo dotrwa do końca, a zwierzę zaatakuje go, kiedy będzie schodził z areny...

Nie miał szans na przetrwanie; nie – jeśli nadal będzie brał udział w zawodach. Jego śmierć była tylko kwestią czasu.

Siedziała zatopiona w myślach aż do momentu, gdy telefon Lindy zawibrował na stole.

Linda chwyciła go i przeczytała wiadomość. Odprężyła się i odetchnęła z ulgą. Bez słowa przesunęła telefon w kierunku Sophii i zakryła twarz rękami.

Sophia zerknęła na widoczne na wyświetlaczu słowa: *Nic mi nie jest, wracam do domu.*

27

Luke

To, że nie wygrał w Macon, nie świadczyło o tym, jak jeździł, ale raczej o tym, jakimi przeciwnikami były byki. Ich zachowanie na arenie stanowiło połowę ogólnej oceny, co oznaczało, że losy każdego występu były w rękach bogów.

Pierwszy byk, którego ujeżdżał tego wieczoru, był niezwykle narowisty. Luke utrzymał się na grzbiecie i jazda niewątpliwie podobała się publiczności, ale sędziowskie noty zapewniły mu ledwie dziewiąte miejsce. Kolejny byk nie był lepszy, ale Luke dotrwał do końca, podczas gdy inni, którzy byli przed nim, dali się zrzucić, dzięki czemu wskoczył na szóste miejsce. Następną kolejkę ukończył z wynikiem, który zapewnił mu czwartą pozycję. Nie był to gwiazdorski popis, ale wystarczył, by zachować przewagę punktową, a nawet ją powiększyć.

Powinien być zadowolony. Jeszcze jeden taki weekend i zagwarantuje sobie miejsce w dużej lidze, nawet jeśli w nadchodzących kolejkach nie pójdzie mu tak dobrze. Pomimo braku odpowiedniego przygotowania i wstrząśnienia mózgu był dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć.

O dziwo, nie miał wrażenia, że udział w zawodach pogorszył stan jego zdrowia. W drodze do domu czekał, aż ból głowy się nasili, jednak tak się nie stało. Nadal czuł tępe pulsowanie, ale było ono niczym w porównaniu z bólem na początku tygodnia. Czuł się nawet lepiej niż po przebudzeniu i miał nadzieję, że nazajutrz rano ból zupełnie zniknie.

Krótko mówiąc, to był dobry weekend. Jak do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Wszystko, tylko nie sprawy z Sophią.

Przyjechał do domu godzinę przed świtem i spał prawie do południa. Dopiero po prysznicu uświadomił sobie, że nie brał środków przeciwbólowych. Ból głowy, tak jak się tego spodziewał, minął.

Jego ciało też nie było tak obolałe jak po pierwszym konkursie. Jak zwykle na drugi dzień łupało go w krzyżu, ale ból był znośny. Ubrał się, osiodłał Konia i pojechał sprawdzić, czy wszystko w porządku z bydłem. W piątek rano, przed wyjazdem do Macon, doglądał cielaka, który wpadł na drut kolczasty. Chciał się upewnić, czy rany dobrze się goją.

W niedzielę po południu i w poniedziałek sprawdzał system nawadniający i naprawiał przecieki, które powstały na skutek chłódów, a od wtorku, przez kolejne dwa dni, zrywał i wymieniał gonty na dachu domu matki.

To był udany tydzień, wypełniony prostą fizyczną pracą, i Luke spodziewał się, że w piątek poczuje zadowolenie na myśl o tym, jak wiele zrobił. Tak się jednak nie stało. Dopadła go tęsknota za Sophią. Nie dzwonił do niej i nie pisał, ona również nie próbowała się z nim skontaktować. Odczuwał dziwną pustkę i miał wrażenie, że czegoś mu brakuje. Chciał, żeby wszystko było tak jak dawniej; chciał mieć świadomość, że gdy wróci do domu po turnieju we Florence, spędzi z nią resztę dnia.

Jednak szykując się do wyjazdu do Karoliny Południowej, wiedział, że Sophia nigdy nie pogodziłaby się z wyborem, którego dokonał, i że – w przeciwieństwie do jego matki – mogła odejść.

W sobotę po południu Luke oglądał byki na tyłach areny we Florence, w Karolinie Południowej, i po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie drżą mu ręce.

W normalnych okolicznościach wzięłby to za dobrą monetę. Oznaczałoby to, że się uspokoił. Jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przyjeżdżając tu, popełnił błąd. Kiedy godzinę

temu dotarł na miejsce, obleciał go strach, a wraz z nim pojawiły się czarne myśli i głosy, które podszeptowały mu, żeby wsiadł z powrotem do samochodu i wrócił do domu.

Zanim będzie za późno.

Nie doświadczył niczego podobnego ani w Pensacola, ani w Macon. Zgoda, nie miał ochoty brać udziału w tamtych zawodach, tak jak nie miał ochoty brać udziału w tych, ale głównie dlatego, że nie czuł się gotowy do powrotu na arenę. Jednak strach, który czuł teraz, był inny.

Zastanawiał się, czy Zakapior jest w stanie go wyczuć.

Byk przebywał tutaj, we Florence, w Karolinie Południowej, co było równie bezsensowne jak to, że rok temu w październiku był w McLeansville. Nie pasował do tej fazy rozgrywek. Jego miejsce było wśród innych byków o złej sławie, z którymi mógł rywalizować o tytuł najbardziej narowistego buhaja roku. Luke nie rozumiał, dlaczego właściciel Zakapiora zgodził się na jego udział w zawodach małej ligi. Prawdopodobnie organizator turnieju, wspólnie z miejscowym dealerem samochodowym, złożyli mu ofertę nie do odrzucenia. W sezonie podobne promocje stawały się coraz popularniejsze: jeśli go ujedziesz, odjedziesz naszym nowym pick-upem! I choć publiczność uwielbiała dodatkowe wyzwania, Luke z chęcią wymówiłby się od udziału w tym konkursie. Nie był gotów po raz kolejny ujeżdżać Zakapiora i nie sądził, by ktokolwiek z tu obecnych był na to gotowy. Jednak nie ujeżdżanie martwiło go najbardziej. Ani nie upadek. Bał się reakcji byka.

Przyglądał mu się przez prawie godzinę. Nie powinno go tu być, mówił sobie w duchu. Jego zresztą też.

Konkurs zaczął się o czasie, gdy słońce weszło na tyle wysoko, by przynieść choćby odrobinę ciepła. Zgromadzeni na trybunach widzowie mieli na sobie kurtki i rękawiczki, a przed niemal każdym wejściem stały długie kolejki po gorącą czekoladę i kawę. Jak zwykle Luke zaszył się w swoim pick-upie, ogrzewając wnętrze samochodu gorącym powietrzem. Nie on jeden. Na parkingu dziesiątki innych pick-upów pracowały na jałowym biegu.

Wyszedł tuż przed własnym występem, podobnie jak inni zawodnicy, by zobaczyć, jak Trey Miller ujeżdża Zakapiora. Kiedy drzwi do boksu stanęły otworem, byk zarzucił łbem i wierzgając, wypadł na arenę. Miller nie miał najmniejszych szans. Kiedy runął na ziemię, zwierzę odwróciło się, tak jak tamtego dnia, i z pochylonym łbem ruszyło wprost na niego. Na szczęście Miller zdołał się podnieść i umknął za ogrodzenie.

Byk, jakby świadomy tego, ilu ludzi mu się przygląda, przerwał szarżę i parsknął. Zatrzymał się i spojrzał na uciekającego Millera. W mroźnym powietrzu obłoczki pary ulatujące z jego nozdrzy przywodziły na myśl smugi dymu.

Luke wylosował Drapieżcę, młodego byka, który choć od niedawna występował na arenie, dobrze rokował. I rzeczywiście, zwierzę kręciło piruety, wierzgało i skakało, jednak Luke miał dziwne wrażenie, że przez cały czas ma wszystko pod kontrolą, i na koniec zdobył największą liczbę punktów. Kiedy zeskoczył, byk – w odróżnieniu od Zakapiora – najzwyczajniej w świecie go zignorował.

Do trzeciego konkursu tego sezonu zgłosiło się więcej zawodników, więc przerwy między występami były znacznie dłuższe. Następnym bykiem, którego miał dosiąść Luke, był Parowóz i choć zdobył nieco mniejszą liczbę punktów, wciąż utrzymywał się na prowadzeniu.

Pięć kolejek później Jake Harris ujeżdżał Zakapiora. Nie trwało to długo, ale w pewnym sensie Harris miał mniej, albo może więcej, szczęścia niż Miller. Udało mu się wyjechać na środek, zanim wylądował na ziemi, a rozjuszony byk po raz kolejny odwrócił się i przypuścił

atak. Niedoświadczony ujeżdżacz mógłby mieć problemy, ale Harris był weteranem i czekał do ostatniej chwili, by zrobić unik. Na arenę wskoczyło dwóch kowbojów, którzy próbowali odwrócić uwagę Zakapiora, dając Harrisowi chwilę wytchnienia i czas potrzebny, by dotrzeć do ogrodzenia. Podźwignął się i przerzucił nogi ponad barierką w chwili, gdy rozwścieczony byk rzucił się na niego, gotowy wziąć go na rogi.

Chwilę później zwierzę zawróciło, pochyliło łeb i skupiło się na kowbojach, którzy wpadli na arenę, by pomóc Harrisowi. Jeden stał już bezpieczny za ogrodzeniem, jednak drugi, ratując się ucieczką, wskoczył do beczki. To na niej wyładował swoją złość Zakapior, wściekły, że zdobycz zdołała mu uciec. Zaatakował beczkę z taką siłą, że przewróciła się i potoczyła po arenie. Chwilę później ponowił atak, tym razem przyciskając beczkę do bandy, a potem zapamiętane walił w nią rogami, parszkając przy tym jak szalony.

Luke patrzył i czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Po raz kolejny pomyślał, że to nie miejsce dla tego byka. Że żadne miejsce nie było dla niego dobre i że prędzej czy później ktoś zapłaci za to życiem.

Po dwóch pierwszych kolejkach dwudziestu dziewięciu ujeżdżaczy wróciło do domów. Pozostało jedynie piętnastu. Luke zajmował pierwsze miejsce w tej rundzie rozgrywek i tego dnia miał jechać jako ostatni. Gdy krótka przerwa dobiegła końca, a zimowe niebo pociemniało, włączono reflektory.

Luke nadal pozostawał dziwnie spokojny. Trzymał nerwy na wodzy. Dobrze mu szło i wydawało się, że i tym razem mu się uda. Dziwne, zważywszy na niepokój, który nie opuszczał go od rana, mimo że do tej pory wszystko szło po jego myśli.

Lęk nasilił się po tym, jak zobaczył Zakapiora szarżującego na Harrisa. Organizatorzy konkursu, którzy z całą pewnością znali historię byka, powinni wiedzieć, jak wielkie stanowi zagrożenie. Powinni wypuścić na arenę nie dwóch, ale pięciu kowbojów. Najwyraźniej występ Millera niczego ich nie nauczył. Zakapior był niebezpieczny i żądny krwi.

Podobnie jak inni finaliści Luke ustawił się w kolejce do ostatniego losowania i słyszał, jak kolejne byki znajdują swoich ujeżdżaczy. Drapieżca miał wyjść na arenę jako trzeci, Parowóz jako siódmy i w miarę jak padały kolejne imiona, uczucie niepokoju rosło. Luke nie był w stanie patrzeć na innych zawodników; zamknął oczy i czekał na to, co wydawało się nieuniknione.

Kiedy przyszła jego kolej, tak jak się spodziewał, wylosował Zakapiora.

Podczas ostatniej kolejki czas zwolnił. Pierwszych dwóch ujeżdżaczy dotrwało do końca, trzech kolejnych wyładowało na arenie. Tak samo zakończyło swój występ następnych dwóch kowbojów.

Luke siedział w pick-upie, słuchając konferansjera. Adrenalina sprawiała, że serce biło mu jak szalone. Próbował przekonać samego siebie, że jest gotowy podjąć wyzwanie, ale nie był. Nie sprostał mu, gdy był w szczytowej formie, a co dopiero teraz.

Nie chciał tam iść. Nie chciał słyszeć, jak konferansjer wyczytuje nazwę pick-upa, którego mógł wygrać, i ogłasza, że od trzech lat żaden ujeżdżacz nie dał rady Zakapiorowi. Nie chciał słyszeć, jak mówi, że ten sam byk niemal stratował go na śmierć i że mają okazję wyrównać rachunki. Bo on tak na to nie patrzył. Nie chował urazy do byka. Zakapior był zwierzęciem, choć najbardziej szalonym i złośliwym, jakie Luke spotkał w swoim życiu.

Zastanawiał się, czy nie powinien się wycofać. Zachować punkty z dwóch pierwszych jazd i sobie odpuścić. I tak byłby w pierwszej dziesiątce, jeśli nie piątce, zależnie od tego, jak poradzą sobie inni zawodnicy. Być może spadłby w ogólnym rankingu, ale i tak miałyby zapewnione miejsce w dużej lidze...

Do której z pewnością trafi również Zakapior.

Tylko co zrobi następnym razem? Jeśli wylosuje go w pierwszej kolejce? Na przykład w Kalifornii? Albo w Utah? Po tym, jak wyda małą fortunę na przelot, motel i jedzenie? Czy wtedy również będzie gotów zrezygnować?

Nie miał pojęcia. W jego głowie panował chaos, choć gdy spojrzął w dół, zobaczył, że ręce ma nadal spokojne. Dziwne, pomyślał, biorąc pod uwagę...

W oddali ryk tłumu przybrał na sile – znak, że kolejny występ zakończył się pomyślnie. I dostarczył widzom wielu emocji. Gratulacje, pomyślał Luke, kimkolwiek był ów szczęśliwiec. Nie zazdrościł nikomu sukcesu. Bo lepiej niż ktokolwiek znał ryzyko.

Nadszedł czas. Jeśli chciał mieć to za sobą, musiał podjąć decyzję. Zostać czy iść, jechać czy się wycofać, ocalić ranczo, czy pozwolić, by bank zajął dorobek ich życia.

Życie czy umrzeć...

Odetchnął głęboko. Ręce wciąż miał opanowane. Był gotowy jak nigdy dotąd. Otworzywszy drzwi, wyszedł na ubitą ziemię i podniósł wzrok na ciemniejące zimowe niebo.

Życie czy śmierć. Bo przecież do tego wszystko się sprowadzało.

Przygotowując się do wyjścia na arenę, zastanawiał się, które z tych dwóch przypadnie mu w udziale.

Kiedy się budzę, od razu przychodzi mi do głowy, że jestem słaby i coraz bardziej opadam z sił. Sen, zamiast mi je przywrócić, ograbił mnie z kilku jakże cennych godzin, które mi pozostały.

Światło poranka wlewa się ukośnymi promieniami do wnętrza samochodu i odbija się od śniegu. Potrzebuję chwili, by uświadomić sobie, że jest poniedziałek. Od wypadku minęło więc przeszło trzydzieści sześć godzin. Kto mógłby przypuszczać, że coś takiego przydarzy się takiemu staruszkowi jak ja? No i ta wola życia. Ale odkąd sięgam pamięcią, zawsze spadałem na cztery łapy, śmiałem się śmierci w twarz i kpiłem z przeznaczenia. Nie boję się niczego, nawet bólu. Czas, bym otworzył drzwi, wspiał się na skarpę i zatrzymał przejeżdżający samochód. Skoro nikt nie chce przyjść do mnie, będę musiał pójść do nich.

Kogo ja oszukuję?

Nie dam rady. Ból jest tak wielki, że muszę się wysilić, żeby widzieć wyraźnie. Przez chwilę czuję się, jakbym opuścił własne ciało – widzę siebie, opartego o kierownicę, poobijanego i bez sił. Pierwszy raz od wypadku jestem pewien, że nie dam rady się poruszyć. Słyszę dzwony i wiem, że niedługo już pożyję. Powinno mnie to przerażać, ale tak nie jest. Prawdę mówiąc, od dziewięciu lat czekam, by zejść z tego świata.

Miałem nie być sam. Nie jestem w tym dobry. Lata, które minęły od śmierci Ruth, upłynęły w rozpaczliwej ciszy, znanej tylko ludziom starym. To cisza spotęgowana samotnością, świadomością, że najlepsze lata należą już do przeszłości, i zwykłymi problemami podeszłego wieku.

Ciało nie jest stworzone, by przeżyć niemal wiek. Wiem to z doświadczenia. Dwa lata po śmierci Ruth miałem lekki zawał serca – z ledwością udało mi się zadzwonić na pogotowie, zanim upadłem na podłogę i zemdlałem. Dwa lata później zacząłem mieć problemy z utrzymaniem równowagi, więc kupiłem balkonik, żeby nie wpadać na krzewy różane za każdym razem, gdy wychodziłem z domu.

Opieka nad ojcem nauczyła mnie, że należy spodziewać się podobnych trudności, i w znacznej mierze byłem na nie gotowy. Nie przewidziałem jednak całego mnóstwa pomniejszych problemów. Zwykle rzeczy, niegdyś takie proste, teraz wydawały się niewykonalne. Nie potrafię już odkręcić słoika z dżemem; proszę o to kasjerkę w supermarkecie, zanim schowa go do reklamówki. Moje ręce trzęsą się tak bardzo, że pismo staje się nieczytelne, więc mam problemy z płaceniem rachunków. Mogę czytać tylko przy mocnym świetle, a bez sztucznej szczęki jedyne, co mogę zjeść, to zupa. Nawet w nocy starość nie daje mi spokoju. Mam problemy z zasypianiem i co chwila się budzę. No i są jeszcze lekarstwa – jest ich tak wiele, że aby dojść ze wszystkimi do ładu, muszę wieszać na lodówce specjalną rozpiskę. Lekarstwa na artretyzm, wysokie ciśnienie i podniesiony cholesterol; niektóre muszę łykać w trakcie jedzenia, inne na czczo. Poza tym muszę zawsze mieć przy sobie tabletki nitrogliceryny, na wypadek gdybym znów poczuł ból w klatce piersiowej. Zanim zakorzenił się we mnie rak – który będzie zżerał mnie tak długo, aż zostaną ze mnie skóra i kości – zastanawiałem się, jakie upokorzenie tym razem zgotuje mi los. I oto Pan Bóg, w swojej mądrości, zesłał mi odpowiedź. Co powiesz na wypadek?

Połammy mu kości i pogrzebmy pod śniegiem! Czasem wydaje mi się, że Bóg ma specyficzne poczucie humoru.

Gdybym powiedział to Ruth, nie śmiałyby się. Powiedziałyby, że powinienem być

wdzięczny, bo nie każdy może cieszyć się długim życiem. Powiedziałyby, że ten wypadek to moja wina. I wruszywszy ramionami, wytłumaczyłyby mi, że przeżyłem, bo nasza historia jeszcze się nie skończyła.

Co się ze mną stało? I co stanie się z naszymi zbiorami?

Dziewięć lat próbuję odpowiedzieć sobie na te pytania i myślę, że Ruth byłaby zadowolona. Przeżyłem te lata otoczony jej pasją; przeżyłem je w jej objęciach. Gdziekolwiek spojrziałem, myślałem o niej, a kładąc się do łóżka, patrzyłem na wiszący nad kominkiem obraz, wiedząc, że nasza historia będzie miała dokładnie takie zakończenie, jakiego chciała Ruth.

W miarę jak słońce wznosi się coraz wyżej, ból wypełnia najdalsze zakamarki mojego ciała. Gardło mam wyschnięte i jedyne, czego chcę, to zamknąć oczy i odejść.

Jednak Ruth mi nie pozwoli. Wpatruje się we mnie uporczywym wzrokiem, więc i ja na nią patrzę.

– Jest gorzej – mówi. – Czujesz się gorzej.

– Jestem zmęczony – mamrocę.

– Tak – potwierdza. – Ale twój czas jeszcze nie nadszedł. Są jeszcze rzeczy, o których musisz mi powiedzieć.

– Po co? – mówię z trudem.

– Bo to nasza historia – tłumaczy. – I chcę usłyszeć o tobie.

W głowie mi się kręci. Boli mnie twarz przyciśnięta do kierownicy i zauważam, że złamana ręka jest dziwnie opuchnięta. Zrobiła się sina, a palce wyglądają jak serdelki.

– Przecież znasz koniec.

– Chcę usłyszeć to od ciebie.

– Nie – mówię.

– Po tygodniu żaloby przyszedł czas na depresję – ciągnie, ignorując mnie. – Byłeś bardzo samotny. Nie chciałam, żeby tak się stało.

Słyszę smutek w jej głosie i zamykam oczy.

– Nie mogłem nic na to poradzić – mówię. – Tęskniłem za tobą.

Milczy przez chwilę. Wie, że nie chcę na ten temat rozmawiać.

– Spójrz na mnie, Ira. Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będziesz mówił mi, co się stało.

– Nie chcę o tym mówić.

– Dlaczego? – upiera się.

Mój chrapliwy oddech wypełnia wnętrze samochodu, kiedy staram się ostrożnie dobrać słowa.

– Bo się wstydzę – mówię w końcu.

– Tego, co zrobiłeś – zgaduje.

Zna prawdę, dlatego kiwam głową, bojąc się, co sobie o mnie pomyśli. Chwilę później słyszę, jak wzdycha.

– Martwiłam się o ciebie – wyznaje. – Nic nie jadłeś, kiedy żaloba dobiegła końca i wszyscy rozeszli się do domów.

– Nie byłem głodny.

– Nieprawda. Byłeś wiecznie głodny. Po prostu postanowiłeś to ignorować. Chciałeś zagłodzić się na śmierć.

– Teraz to bez znaczenia... – mówię łamiącym się głosem.

– Chcę, żebyś powiedział mi prawdę – upiera się.

– Chciałem być z tobą.

– Co to znaczy?

Otwieram oczy, zbyt zmęczony, by się z nią wyklócać.

– To znaczy – mówię – że robiłem wszystko, żeby umrzeć.

To wina ciszy. Tej, której doświadczam teraz; tej samej, która nastąpiła po tym, jak żalobnicy rozeszli się do domów. W owym czasie nie byłem do niej przyzwyczajony. Była przytłaczająca, obezwładniająca – tak cicha, że w końcu brzmiała niczym ryk, który zagłuszył wszystko inne. I powoli, choć nieubłaganie, sprawiła, że zobojętniałem na świat.

Zmęczenie i przyzwyczajenia spiskowały przeciwko mnie. Szykując śniadanie, wyjmowałem dwie filiżanki zamiast jednej i ze ściśniętym gardłem odstawiałem jedną z powrotem do szafki. Popołudniami oznajmiałem na głos, że idę zajrzeć do skrzynki na listy, tylko po to, by uświadomić sobie, że nie doczekam się odpowiedzi. Mój żołądek był stale ściśnięty i wieczorami nie wyobrażałem sobie, że miałbym przygotować kolację, którą zjem sam. Mijały dni, a ja w ogóle przestałem jeść.

Nie jestem lekarzem. Nie wiem, czy był to kliniczny przypadek depresji, czy następstwo żaloby, ale efekt był taki sam. Straciłem sens życia. Ale byłem tchórzem, który nie potrafił podjąć odpowiednich działań. Więc nie robiłem nic poza tym, że właściwie przestałem jeść. Tutaj znowu efekt był taki sam. Straciłem na wadze i stopniowo opadałem z sił; mój los został przesądzony, a moimi myślami zawładnął chaos. Świadomość, że po raz kolejny tracę Ruth, pogarszała tylko sprawę, tak więc wkrótce w ogóle przestałem jeść. Niebawem wspomnienia wspólnie spędzonych lat na dobre zniknęły z mojej pamięci i nie widziałem powodu, by uciekać przed tym, co nieuniknione. Całymi dniami nie wychodziłem z łóżka i gapiąc się w sufit, spoglądałem w przeszłość, która była równie pusta jak przyszłość.

– Nie wierzę – odpowiada. – Mówisz, że nie jadłeś, bo byłeś przygnębiony. Twierdzisz, że nie jadłeś, bo utraciłeś wspomnienia. Ja myślę, że utraciłeś je, bo nie jadłeś. Przez to nie miałeś też sił, żeby walczyć z depresją.

– Byłem stary – tłumaczę. – Od dawna nie miałem już sił.

– Szukasz wymówek. – Mówiąc to, macha ręką. – Ale nie czas na żarty. Martwiłam się o ciebie.

– Nie mogłaś się martwić. Nie było cię tam. Oto cały problem.

Mruży oczy i wiem, że uderzyłem w czułą strunę. Przechyliła głowę tak, że połowa jej twarzy znika w cieniu.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo to prawda.

– Więc jak wytłumaczysz, że teraz tu jestem?

– Może wcale cię nie ma.

– Ira... – Kręci głową. Mówi do mnie tak, jak wyobrażałem sobie, że zwraca się do swoich uczniów. – Widzisz mnie? Słyszysz? – Pochyliła się i nakrywa dłonią moją rękę. – Czujesz to?

Jej dłoń jest ciepła i delikatna; znam ją lepiej niż swoją własną.

– Tak – mówię. – Ale wtedy było inaczej.

Uśmiecha się zadowolona, jakbym właśnie przyznał jej rację.

– Wszystko przez to, że nie jadłeś.

Każde małżeństwo z długim stażem zna prawdę, a brzmi ona tak: bywa, że nasi małżonkowie znają nas lepiej niż my sami.

Ruth nie była wyjątkiem. Znała mnie. Wiedziała, jak bardzo będę za nią tęsknił i jak

bardzo chciałem, by się ze mną skontaktowała. Wiedziała również, że ja, nie ona, zostanę sam. To jedyne wytłumaczenie i przez lata nigdy go nie kwestionowałem. Jedynym jej błędem było to, że nie dowiedziałem się, co zrobiła, dopóki moje policzki nie obwisły, a ramiona zaczęły przypominać gałązki. Niewiele pamiętam z dnia, kiedy dokonałem tego odkrycia. Wydarzenia zatarty się w mojej pamięci, ale to nic dziwnego. Wtedy już moje dni były do siebie podobne, pozbawione znaczenia, i dopiero gdy zapadł zmrok, dotarło do mnie, że wpatruję się w stojące na komodzie pudełko listów.

Odkąd odeszła, widziałem je co noc, ale należały do niej, nie do mnie, i wychodziłem z błędnego założenia, że czytanie ich tylko pogorszy mój stan. Bałem się, że przypomną mi, jak bardzo za nią tęsknię i wszystko to, co bezpowrotnie utraciłem. Myśl ta była nie do zniesienia. Nie byłem w stanie stawić jej czoła. Mimo to tamtej nocy, może dlatego, że stałem się niewrażliwy na własne uczucia, zmusiłem się, by wstać z łóżka, i sięgnąłem po pudełko. Chciałem odzyskać wspomnienia choćby na jedną noc, nawet gdybym musiał przez to cierpieć.

Pudełko było dziwnie lekkie, a kiedy uniosłem wieczko, poczułem zapach kremu do rąk, którego używała Ruth. Był słaby, ale wyczuwalny, i poczułem, że drżą mi ręce. Byłem jak opętany i sięgnąłem po list, który napisałem do niej w pierwszą rocznicę naszego ślubu.

Koperta była sztywna i pośliznęła. Imię Ruth napisane ze starannością, która dawno temu opuściła moje dłonie. Widok ten po raz kolejny przypomniał mi, ile mam lat. Mimo to nie zrezygnowałem. Wysunąłem z koperty kruchy papier i podniosłem go do światła.

Z początku słowa wydały mi się obce, jakby wyszły spod pióra kogoś innego. Przerwałem czytanie, jednak po chwili podjąłem je na nowo, skupiając się wyłącznie na słowach. Poczułem obecność Ruth, która stopniowo nabierała kształtu. Jest tutaj, pomyślałem; właśnie tego chciała. Mój oddech przyspieszył, wewnątrz sypialni się rozmyło, a ja znalazłem się nad jeziorem i odetchnąłem rozrzedzonym górskim powietrzem. Daleko w tyle majaczył gmach college'u, pusty i zapomniany, a stojąca obok mnie Ruth czytała list, wodząc wzrokiem po kartce papieru.

Przywiozłem Cię tu – do miejsca, gdzie sztuka nabrała dla mnie prawdziwego znaczenia – i choć nic już nie będzie takie samo, to miejsce na zawsze pozostanie „naszym miejscem”. To tu przypomniałem sobie, dlaczego się w Tobie zakochałem; to tu rozpoczęliśmy nasze nowe wspólne życie.

Kiedy skończyłem czytać list, schowałem go z powrotem do koperty i odłożyłem na miejsce. Przeczytałem drugi, a po nim kolejny i jeszcze jeden. Z roku na rok słowa płynęły coraz swobodniej, aż w końcu dotarłem do lata, którego w swoim smutku nie potrafiłem sobie przypomnieć. Czytając fragment listu, który napisałem w szesnastą rocznicę naszego ślubu, zamyśliłem się.

Chciałbym potrafić namalować, co do Ciebie czuję, bo obawiam się, że słowa to za mało. Wyobrażam sobie, że maluję czerwienią Twoją pasję, błękitem dobroć, zielenią głębię Twojej empatii i intensywną żółcią Twój niesłabnący optymizm. I zastanawiam się, czy jakkolwiek artysta ma w swojej palce wystarczająco dużo kolorów, by namalować to wszystko, czym dla mnie jesteś.

Nieco później natknąłem się na list napisany przeze mnie w tamtych mrocznych latach, które nastąpiły po zniknięciu Daniela.

Widzę, jak cierpisz, i nie wiem, jak Ci pomóc. Chciałbym móc zatrzeć wszelkie ślady, które przypominają Ci o tym, co straciłaś. Jedyne, czego pragnę, to sprawić, byś poczuła się lepiej, ale jestem bezsilny i czuję, że Cię zawiodłem. Przepraszam Cię za to. Jako Twój mąż mogę Cię wysłuchać, przytulić i scałować z Twojej twarzy lzy; jeśli tylko mi pozwolisz.

Czytałem dalej, list po liście, przeżywając od nowa życie zamknięte w pudełku. Za oknem księżyc stanął w zenicie i zaczął mozolną podróż w dół, aż w końcu na dobre straciłem go

z oczu. Każdy list był dowodem mojej niegasnącej miłości do Ruth, która z upływem lat nabierała coraz większego połysku. Ruth, jak się dowiedziałem, również mnie kochała, bo na dnie pudełka czekała na mnie niespodzianka.

Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego i nie sądziłem, że mnie tak zaskoczy. Gapilem się na leżący na dnie pudełka list, próbując zgadnąć, kiedy go napisała i dlaczego nigdy mi o nim nie powiedziała.

Odkąd go znalazłem, czytałem ten list tak wiele razy, że potrafię cytować go z pamięci. Teraz wiem, że schowała go, bo wiedziała, że znajdę go w najczarniejszym momencie swojego życia. Wiedziała, że w końcu zacznę czytać listy, które do niej pisałem, że nadejdzie chwila, gdy nie będę w stanie oprzeć się pokusie. I, jak zwykle, stało się tak, jak to sobie zaplanowała.

Jednak tamtej nocy nie myślałem o tym. Po prostu sięgnąłem po niego drżącymi rękami i powoli zacząłem czytać.

Najdroższy Iro,

piszę ten list, kiedy Ty śpisz, i nie bardzo wiem, od czego powinnam zacząć. Oboje wiemy, dlaczego go czytasz i co to oznacza. Przepraszam, że musisz przez to przechodzić.

W przeciwieństwie do Ciebie nie jestem dobra w pisaniu listów, a jest tak wiele rzeczy, o których chciałabym Ci powiedzieć. Może gdybym pisała po niemiecku, byłoby mi łatwiej, ale wówczas nie mógłbyś tego przeczytać, więc to nie miałyby sensu. Pragnę napisać list podobny do tych, które Ty pisałeś do mnie. To smutne, ale – w przeciwieństwie do Ciebie – nigdy nie radziłam sobie ze słowami. Mimo to spróbuję. Zaslugujesz na to; nie dlatego, że jesteś moim mężem, ale z powodu tego, jakim jesteś człowiekiem.

Powtarzam sobie, że powinnam zacząć od czegoś romantycznego, wspomnienia albo gestu, który oddaje to, jakim cudownym byłeś mężem: na przykład od długiego weekendu na plaży, kiedy po raz pierwszy się kochaliśmy, albo od podróży poślubnej, kiedy kupiłeś dla mnie pierwszych sześć obrazów. A może powinnam zacząć od listów, które do mnie pisałeś, albo od Twojego spojrzenia, które czułam na sobie za każdym razem, gdy podziwiałam dzieło sztuki. Ale prawda jest taka, że to w ciszy i spokoju naszego życia odnalazłam największe spełnienie. Twój uśmiech przy śniadaniu sprawiał, że serce biło mi mocniej, a dotyk Twojej dłoni przekonywał mnie o prawości świata. Widzisz więc, że nie potrafię wybrać pojedynczych zdarzeń – wolę przypominać sobie Ciebie w setkach rozmaitych galerii i pokoi hotelowych; wspominać tysiące pocałunków i noce, które spędzałam w bezpiecznej przystani Twoich ramion. Każde z tych wspomnień zasługuje na oddzielny list, bo dzięki Tobie zawsze czułam się wyjątkowa. W zamian za to kochałam Cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Wiem, że jest Ci ciężko, i przepraszam, że nie mogę Cię pocieszyć. To nie do pomyślenia, że nigdy więcej tego nie zrobię. Proszę Cię tylko o jedno: mimo smutku nie zapominaj, jak bardzo szczęśliwa byłam dzięki Tobie; nie zapominaj, że kochałam z wzajemnością i był to najcudowniejszy prezent, jaki mogłam otrzymać.

Pisząc to, uśmiecham się i mam nadzieję, że czytając ten list, Ty również się uśmiechniesz. Nie pogrążaj się w żalobie. Wspominaj mnie z radością, bo ja zawsze tak o Tobie myślałam. Tylko tego pragnę. Chcę, żebyś myśląc o mnie, uśmiechał się. Twój uśmiech sprawi, że będę żyła wiecznie.

Wiem, jak bardzo za mną tęsknisz. Ja też za Tobą tęsknię. Ale wciąż mamy siebie, bo jestem – i zawsze byłam – częścią Ciebie. Nosisz mnie w sercu, tak jak ja nosiłam Cię w swoim, i nic tego nie zmieni. Kocham Cię, skarbie, a Ty kochasz mnie. Trzymaj się tego uczucia. I pamiętaj o nas. A z czasem Twoje serce przestanie krwawić.

Ruth

- Myślisz o liście, który do ciebie napisałam – mówi Ruth.

Na dźwięk jej głosu z trudem podnoszę powieki i mrużę oczy, skupiając się na jej twarzy. Jest kobietą po sześćdziesiątce, doświadczoną i mądrą, a przez to jeszcze piękniejszą. Ma w uszach małe kolczyki z brylancikami, które kupiłem jej, kiedy przeszła na emeryturę. Próbuję zwilżyć wargi, jednak nic mi z tego nie wychodzi.

– Skąd wiesz? – mówię schrypniętym głosem.

– Nietrudno zgadnąć. – Wzrusza ramionami. – Zradza cię wyraz twarzy. Zawsze cię zdradzał. Dobrze, że nigdy nie grałeś w pokera.

– Grałem, na wojnie.

– Może – odpowiada. – Ale pieniędzy to ty raczej nie wygrałeś.

Potwierdzam prawdziwość jej słów słabym uśmiechem.

– Dziękuję za list – mówię chrapliwym głosem. – Nie wiem, czy dałbym radę, gdyby nie on.

– Zagłodziłbyś się na śmierć – przyznaje. – Zawsze byłeś uparty.

Ogarnia mnie fala nudności, przez co jej obraz staje się niewyraźny. Coraz trudniej mi się skupić.

– Tamtej nocy zjadłem tosta.

– Tak, wiem. Ty i te twoje tosty. Śniadanie na kolację. Nie potrafiłam tego zrozumieć.

A poza tym tost to za mało.

– To zawsze coś. Zresztą o tej porze bliżej już było do śniadania.

– Powinieneś jeść naleśniki. I jajka. Dzięki nim miałbyś siłę, żeby znowu chodzić po domu. Mógłbyś podziwiać obrazy i wspominać, tak jak kiedyś.

– Nie byłem jeszcze na to gotowy. Wspomnienia sprawiały mi ból. Poza tym brakowało jednego obrazu.

– Wcale nie brakowało – mówi. Odwraca się w stronę okna, tak że widzę jej profil. – Po prostu nie został przywieziony. Dotarł dopiero w następnym tygodniu. – Milczy przez chwilę i wiem, że nie myśli o liście. Ani o mnie. Myśli o pukaniu do drzwi. Usłyszałem je przeszło tydzień później, a gdy otworzyłem, w drzwiach stała zupełnie obca kobieta. Ruth skuliła ramiona, a w jej głosie słyszę żal. – Szkoda, że mnie tam nie było – mamrocze pod nosem. – Chętnie bym z nią porozmawiała. Mam tyle pytań.

Ostatnie słowa są zaczerpnięte z głębokiej studni smutku i mimo trudnego położenia, w jakim się znalazłem, czuję niespodziewane ukłucie bólu.

Moim gościem była wysoka atrakcyjna kobieta; siateczka zmarszczek wokół jej oczu świadczyła o wielu godzinach spędzonych na słońcu. Jasne włosy związała niedbale w koński ogon, miała na sobie sprane džinsy i prostą koszulkę z krótkim rękawem. Jednak obrączka na jej palcu i zaparkowane na chodniku bmw świadczyły o tym, że powodzi się jej znacznie lepiej niż mnie. Pod pachą trzymała paczkę o znajomym kształcie i rozmiarze, zawiniętą w zwykły brązowy papier.

– Pan Levinson? – spytała. Kiedy skinąłem głową, uśmiechnęła się. – Nazywam się Andrea Lockerby. Nie zna mnie pan, ale pańska żona, Ruth, była kiedyś nauczycielką mojego męża. To było dawno temu i pewnie pan nie pamięta, ale nazywał się Daniel McCallum. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy porozmawiać.

Przez chwilę byłem zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Jej słowa rozbrzmiewały w mojej głowie. Nie do końca wiedząc, co właściwie robię, odsunąłem się, by wpuścić ją do domu, i poprowadziłem do salonu. Usiadłem w fotelu, a ona przycupnęła na kanapie, naprzeciw mnie.

Wtedy też nie wiedziałem, co powiedzieć. Nadal nie mogę uwierzyć, że po prawie

czterdziestu latach usłyszałem nazwisko Daniela.

Kobieta odkaszlnęła.

– Chciałabym złożyć kondolencje. Wiem, że pańska żona niedawno zmarła, i bardzo mi z tego powodu przykro.

Zamrugąłem, szukając właściwych słów, by wyrazić ogrom emocji i wspomnień, które niczym powódź zalewały mój umysł. Gdzie on jest? – chciałem zapytać. Dlaczego zniknął? I dlaczego nigdy nie skontaktował się z Ruth? Jednak nie zadałem żadnego z tych pytań.

Wychrypiałem tylko:

– Daniel McCallum?

Odłożyła na bok pakunek i pokiwała głową.

– Wspominał, że jako dziecko przychodził do tego domu. Pańska żona udzielała mu lekcji.

– I... on jest pani mężem?

Odwróciła wzrok, jednak zaraz znów na mnie spojrzała.

– Był. Wysłałam ponownie za męża. Daniel zmarł szesnaście lat temu.

Poczułem odrętwienie. Zacząłem liczyć, żeby wiedzieć, ile miał wtedy lat, ale nic mi z tego nie wychodziło. Wiedziałem tylko, że był zbyt młody i że to wszystko nie ma sensu. Musiała wiedzieć, co myślę, bo chwilę później dodała:

– Miał tętniaka mózgu. Uaktywnił się nagle; wcześniej nie było żadnych objawów. Ale był bardzo duży i lekarze nie mogli nic zrobić.

Odrętwienie postępowało, aż miałem wrażenie, że nie mogę się ruszać.

– Przykro mi – bąknąłem. Moje słowa zabrzmiały jakoś tak nieadekwatnie.

– Dziękuję. – Pokiwała głową. – Mnie również jest przykro z powodu pańskiej straty.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu rozłożyłem ręce.

– Czym mogę pani służyć, pani...

– Lockerby – dokończyła, sięgając po pakunek. – Chciałam to panu dać. – Wyciągnęła go w moją stronę. – Przez lata leżał na strychu moich rodziców, a kiedy kilka miesięcy temu sprzedali dom, znalazłam go w jednym z pudeł, które mi przesłali. Daniel był z niego bardzo dumny i czułabym się źle, wyrzucając ten obraz.

– Obraz? – spytałem.

– Powiedział mi kiedyś, że była to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie zrobił w swoim życiu.

Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi.

– Chce pani powiedzieć, że Daniel coś namalował?

Pokiwała głową.

– W Tennessee. Powiedział mi, że namalował ten obraz, mieszkając w domu dziecka. Pomógł mu artysta, który pracował tam jako wolontariusz.

– Bardzo proszę – odparłem, unosząc rękę. – Nie rozumiem, o czym pani mówi. Zechce pani zacząć od początku i opowiedzieć mi o Danielu? Żona zawsze zastanawiała się, co się z nim stało.

Zawahala się.

– Nie jestem pewna, ile mogę panu powiedzieć. Poznaliśmy się w college'u i Daniel niewiele mówił o swojej przeszłości. To było dawno temu.

Milczałem, chcąc, aby mówiła. Patrzyłem, jak bawi się nitką koszulki, i miałem wrażenie, że szuka odpowiednich słów.

– Wiem tylko to, co mi powiedział – zaczęła. – Mówił, że po śmierci rodziców zamieszkał z przyrodnim bratem i jego żoną, gdzieś w tych okolicach, ale stracili farmę

i przeprowadzili się do Knoxville, w stanie Tennessee. Przez jakiś czas mieszkali w pick-upie, ale kiedy jego brat został za coś aresztowany, Daniel trafił do domu dziecka. Uczył się tam na tyle dobrze, by zdobyć stypendium na Uniwersytecie Tennessee... Oboje studiowaliśmy stosunki międzynarodowe i zaczęliśmy się spotykać na ostatnim roku. Pobraliśmy się kilka miesięcy po ukończeniu studiów, zanim wstąpiliśmy do Korpusu Pokoju. To wszystko, co wiem. Jak już mówiłam, Daniel rzadko wracał pamięcią do przeszłości. Wyglądało na to, że nie miał łatwego dzieciństwa, i wspomnianie go było dla niego bolesne.

Próbowałem przetrwać wszystko, co usłyszałem, i wyobrazić sobie, jak wyglądało życie Daniela.

– Jaki on był? – spytałem.

– Daniel? Był... niewiarygodnie bystry i miły, ale wyczuwało się w nim jakieś napięcie. Nie była to złość. Sprawiał wrażenie, jakby zobaczył już w swoim życiu wszystko, co najgorsze, i był zdecydowany naprawiać świat. Miał w sobie charyzmę, przekonanie, którym zjednywał sobie ludzi. Po dwóch latach spędzonych w Kambodży Daniel rozpoczął pracę w Fundacji „Wspólna Droga”, a ja pracowałam w darmowej klinice. Kupiliśmy mały domek i zaczęliśmy rozmawiać o dzieciach, ale mniej więcej rok później doszliśmy do wniosku, że nie dla nas wygodne życie na przedmieściach. Sprzedaliśmy więc wszystko, spakowaliśmy rzeczy i przewieźliśmy je do domu moich rodziców, a sami dołączyliśmy do organizacji działającej na rzecz obrony praw człowieka w Nairobi. Przeżyliśmy tam siedem lat i myślę, że Daniel nigdy nie był szczęśliwszy. Podróżował po świecie, realizował różne projekty i czuł, że jego życie ma jakiś sens; czuł, że zmienia świat na lepsze. – Wyjrzała przez okno i przez chwilę siedziała w milczeniu. Kiedy znów się odezwała, na jej twarzy żal mieszał się z podziwem. – Był taki... mądry i ciekawy świata. Uwielbiał czytać. Mimo młodego wieku miał szansę zostać dyrektorem wykonawczym organizacji i myślę, że zostałby nim. Ale zmarł w wieku trzydziestu trzech lat. – Pokręciła głową. – Kiedy odszedł, Afryka nie była już taka sama. Dlatego wróciłam do domu.

Słuchając jej, wyobrażałem sobie człowieka, o którym mówiła, i porównywałem go z umorusanym dzieckiem uczącym się w naszej jadalni. Na próżno. Jednak w głębi duszy wiedziałem, że Ruth byłaby z niego dumna.

– Więc znów wyszła pani za męża?

– Dwanaście lat temu. – Uśmiechnęła się. – Mam dwójkę dzieci. Pasierbów. Mój mąż jest chirurgiem ortopedą. Mieszkam w Nashville.

– I przejechała pani taki szmat drogi, żeby dać mi ten obraz?

– Moi rodzice przeprowadzili się do Myrtle Beach, właśnie jedziemy ich odwiedzić. Mój mąż czeka na mnie w kafejce, więc powinnam chyba już iść. Jeszcze raz przepraszam za najście. Wiem, że to kiepska pora na odwiedziny. Ale nie miałam serca wyrzucić tego obrazu, więc wyszukałam w internecie nazwisko pańskiej żony i zobaczyłam nekrolog. Pomyślałam, że jadąc do rodziców, będziemy przejeżdżać nieopodal państwa domu.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać, gdy jednak odwinąłem brązowy papier, poczułem, jak coś chwyta mnie za gardło. Był to obraz Ruth – prymitywny portret, namalowany ręką dziecka. Linie były niezdarne, a rysy twarzy nieproporcjonalne, ale Daniel zdołał uchwycić jej uśmiech i spojrzenie. Patrząc na obraz, potrafiłem dostrzec jej pasję i rozbawienie, a także zagadkowość, która nie przestała mnie zadziwiać bez względu na to, jak długo byliśmy razem. Wodziłem palcami po pociągnięciach pędzla, które tworzyły jej usta i policzek.

– Dlaczego... – Tylko tyle zdołałem wydusić.

– Odpowiedź jest z tyłu – odparła łagodnie.

Kiedy przechyliłem obraz, zobaczyłem zdjęcie, które dawno temu zrobiłem Danielowi i Ruth. Papier pożółkł i pozwijiał się w rogach. Wyciągnąłem je i utkwilem w nim wzrok.

– Z tyłu – powtórzyła, dotykając mojej ręki.
Odwrociłem fotografię i spojrzałem na zapisane starannym pismem słowa.

Ruth Leniujon

Nauczycielka w trzeciej klasie.

Wierzy we mnie i powtarza, że gdy dorosnę, zostanę, kim tylko będę chciał.

Będę mógł nawet zmieniać świat.

Pamiętam jedynie, że ogarnęło mnie wzruszenie; w głowie miałem pustkę. Nie przypominam sobie, o czym jeszcze rozmawialiśmy, jeśli w ogóle rozmawialiśmy. Wiem tylko, że gdy szykowała się do wyjścia, odwróciła się w drzwiach i spojrzała na mnie.

– Nie mam pojęcia, gdzie trzymał ten obraz w domu dziecka, ale musi pan wiedzieć, że w college’u wisiał na ścianie, nad jego biurkiem. Była to jedyna osobista rzecz, jaką miał. Po college’u wziął go ze sobą do Kambodży i wrócił z nim do Stanów. Daniel bał się, że coś mu się stanie, jeśli weźmie go do Afryki, więc zostawiliśmy go w domu moich rodziców. Później tego żałował. Powiedział, że znaczy dla niego więcej niż cokolwiek innego. Dopiero gdy znalazłam to zdjęcie, zrozumiałam, co miał na myśli. Nie mówił o obrazie. Mówił o pańskiej żonie.

Ruth milczy. Wiem, że ma wiele pytań dotyczących Daniela, ale jakoś wtedy nie przyszło mi do głowy, żeby je zadać. Żałuję, bo nigdy więcej nie spotkałem już Andrei. Zniknęła z mojego życia, podobnie jak Daniel zniknął z niego w 1963 roku.

– Powiesiłeś portret nad kominkiem – mówi w końcu. – A później wyciągnąłeś z magazynów pozostałe obrazy, zacząłeś wieszać je na ścianach i upychać po pokojach.

– Chciałem na nie patrzeć. Chciałem znów pamiętać. Chciałem widzieć ciebie.

Nie odzywa się, ale ją rozumiem. Pragnęła zobaczyć Daniela, choćby oczami jego żony.

Po tym, jak przeczytałem list i zawiesiłem nad kominkiem portret Ruth, z każdym kolejnym dniem czułem się trochę lepiej. Zacząłem jeść bardziej regularnie. Potrzebowałem roku, by wrócić do poprzedniej wagi, ale moje życie toczyło się według ustalonego porządku. W tym samym roku wydarzył się kolejny cud – trzeci w tym jakże trudnym dla mnie okresie – dzięki któremu odzyskałem spokój.

Otóż pewnego dnia na progu pojawił się kolejny gość – tym razem była to uczennica Ruth, która przyszła złożyć kondolencje. Miała na imię Jacqueline i choć jej nie pamiętałem, ona również chciała porozmawiać. Powiedziała mi, jak wspaniałą nauczycielką była Ruth, i wychodząc, pokazała mi podziękowania, które dla niej napisała i które miały ukazać się w lokalnej gazecie. Był to niezwykle miły gest i kiedy opublikowano podziękowania, rozpetęła się prawdziwa burza. W ciągu kolejnych miesięcy do mojego domu ściągali byli uczniowie Ruth. Lindsay, Madeline, Eric, Pete i wielu innych, o których istnieniu nie miałem pojęcia, a którzy niespodziewanie pojawiali się na progu, by dzielić się ze mną opowieściami o mojej zmarłej żonie.

Dzięki nim zrozumiałem, że Ruth była kluczem, który otworzył przed ludźmi – w tym również przede mną – niezliczone możliwości.

Czasami myślę, że lata po śmierci Ruth można podzielić na cztery okresy. Depresja i powrót do zdrowia to pierwszy; czas, kiedy starałem się wrócić do normalnego życia, drugi. Trzeci okres to lata po wizycie dziennikarki w 2005 roku, kiedy w oknach domu pojawiły się kraty. Jednak dopiero trzy lata temu zdecydowałem, co zrobić ze zbiorami, co doprowadziło do czwartego i ostatniego okresu.

Planowanie spadkowe to niezwykle skomplikowana sprawa, jednak zasadniczo problem

polegał na tym, że musiałem podjąć decyzję, co zrobić z naszą kolekcją, w przeciwnym razie zadecydowałyby o tym władze stanu. Howie Sanders od dawna wiercił nam o to dziurę w brzuchu. Pytał, czy jakieś organizacje charytatywne są mi szczególnie bliskie albo czy chciałbym przekazać obrazy do muzeum. Może planuję wystawić je na aukcji, a dochód ze sprzedaży przeznaczyć na rzecz jakiejś organizacji lub uczelni? Kiedy ukazał się artykuł – a potencjalna wartość kolekcji stała się tematem numer jeden w świecie sztuki – zrobił się jeszcze bardziej uparty, choć w tamtym czasie już tylko ja jeden go słuchałem.

Jednak dopiero w 2008 roku w końcu zgodziłem się przyjść do jego biura.

Howie zorganizował poufne spotkania z kustoszami różnych muzeów: Metropolitan Museum of Art, Museum of Modern Art, North Carolina Museum of Art oraz Whitney Museum of American Art, a także z przedstawicielami Uniwersytetu Duke, Wake Forest i Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill. Przyjechali ludzie z Ligi przeciwko Zniesławieniu i United Jewish Appeal – dwóch ulubionych organizacji mojego ojca – oraz ktoś z Sotheby's. Za każdym razem prowadzono mnie do sali konferencyjnej, gdzie byliśmy sobie przedstawiani, i patrzyłem na zdziwione twarze moich rozmówców, gdy zachodzili głowę, jak ja i Ruth – właściciel sklepu z odzieżą męską i nauczycielka – zdołaliśmy zgromadzić tak pokaźną kolekcję dzieł sztuki nowoczesnej.

Brałem udział w serii indywidualnych prezentacji i za każdym razem zapewniano mnie, że każda część kolekcji, którą zgodzę się sprzedać, zostanie uczciwie wyceniona, a w przypadku domu aukcyjnego zmaksymalizowana. Organizacje charytatywne obiecywały przeznaczyć pieniądze na wybrany przeze mnie cel.

Przed upływem dnia byłem zmęczony i po powrocie do domu zasnąłem w głębokim fotelu w salonie. Kiedy się obudziłem, spojrzałem na obraz Ruth, zastanawiając się, co chciałaby, żebym zrobił w tej sytuacji.

– Ale ci nie powiedziałam – mówi cicho. Minęło trochę czasu, odkąd się odzywała, i podejrzewam, że chce, żebym oszczędzał siły. Ona również czuje, że koniec jest już blisko.

Z wielkim trudem otwieram oczy, ale widzę tylko rozmazane, mgliste plamy.

– Nie – mówię. Głos mam schrypnięty i niewyraźny, prawie niezrozumiały. – Nigdy nie chciałaś o tym rozmawiać.

Przechyla głowę i patrzy na mnie.

– Zostawiłam decyzję tobie.

Pamiętam chwilę, kiedy w końcu podjąłem decyzję. Był wczesny wieczór, kilka dni po spotkaniach w biurze Howiego. Godzinę wcześniej zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mam jakieś wątpliwości i czy dokonałem już wyboru. Kiedy się rozłączyłem, za pomocą balkonika wyszedłem na werandę na tyłach domu.

Stały tam dwa bujane fotele i mały stolik; wszystko zakurzone i nieużywane. Kiedy byliśmy młodszy, Ruth i ja, siadaliśmy tu i rozmawialiśmy, patrząc na gwiazdy, które wychodziły ze swej kryjówki na ciemniejącym niebie. Później, kiedy byliśmy już starsi, rzadziej spędzaliśmy czas na werandzie, bo oboje staliśmy się wrażliwi na temperaturę. Zimowe chłody i letnie upały sprawiały, że przez prawie pół roku stała pusta; tylko wiosną i jesienią korzystaliśmy z jej uroków.

Jednak tamtej nocy, mimo upału i zalegającej na fotelach grubej warstwy kurzu, usiadłem na niej, tak jak kiedyś. Rozmyślałem o spotkaniach i wszystkim, co zostało powiedziane. Nagle dotarło do mnie, że Ruth miała rację: tak naprawdę nikt nas nie rozumiał.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zapisać całej kolekcji w spadku Andrei Lockerby, choćby dlatego, że ona również kochała Daniela. Ale ani ja, ani Ruth nie znaleźmy jej.

Poza tym byłem rozczarowany, że pomimo wpływu, jaki Ruth wywarła na życie Daniela, on sam nigdy nie próbował się z nią skontaktować. Nie mogłem tego zrozumieć, tak jak nie potrafiłem mu wybaczyć, bo wiedziałem, że jego zniknięcie na zawsze złamało serce Ruth.

Nie było łatwych odpowiedzi, ponieważ nam w przypadku sztuki nigdy nie chodziło o pieniądze. Kustosze, kolekcjonerzy, eksperci i handlarze nie rozumieli tego, tak jak nie rozumiała tego tamta dziennikarka. Mając w głowie słowa Ruth, w końcu poczułem, że jestem bliski znalezienia odpowiedzi.

Godzinę później zadzwoniłem do Howiego. Powiedziałem mu, że chcę sprzedać całą kolekcję na aukcji, a on, jak przystało na dobrego żołnierza, nie kwestionował mojej decyzji. Nie protestował też, gdy oznajmiłem, że chcę, by aukcję zorganizowano w Greensboro. Jednak gdy wyjaśniłem mu, jak, moim zdaniem, powinna ona wyglądać, zamilkł i zacząłem się zastanawiać, czy aby przypadkiem się nie rozłączył. W końcu odkaslnął i zaczął omawiać ze mną wszelkie związane z tym szczegóły. Powiedziałem mu, że najważniejsza jest dyskrecja.

W ciągu kolejnych miesięcy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Dwukrotnie pojechałem do biura Howiego i spotkałem się z przedstawicielami domu aukcyjnego Sotheby's. Spotkałem się też z dyrektorami wykonawczymi rozmaitych żydowskich organizacji charytatywnych. Pieniądze, które mieli otrzymać, zależały od sumy zgromadzonej na aukcji. Rzeczoznawcy tygodniami katalogowali i fotografowali całą kolekcję, szacowali wartość poszczególnych obrazów i ustalali ich pochodzenie. W końcu dostałem do zatwierdzenia gotowy katalog. Szacowana wartość kolekcji sprawiła, że otworzyłem oczy ze zdumienia, jednak nawet teraz nie miało to dla mnie większego znaczenia.

Kiedy przygotowania do wszystkich aukcji dobiegły końca – niemożliwością było sprzedanie całej kolekcji w jeden dzień – odbyłem rozmowę z Howiem i przedstawicielem Sotheby's, przypominając im o odpowiedzialności, jaka na nich ciążyła, i przedstawiając im zakres obowiązków. Kazałem im również podpisać stosowne dokumenty, gwarantujące, że wszystko odbędzie się dokładnie tak, jak to przewidziałem. Chciałem być przygotowany na każdą ewentualność, więc gdy wszystko było gotowe, podpisałem przy świadkach swój testament. Wyraźnie zazaczyłem, że jest to moja ostateczna decyzja, która pod żadnym pozorem nie może zostać zmieniona ani zmodyfikowana.

Kiedy po wszystkim wróciłem do domu, usiadłem w salonie i spojrzałem na obraz Ruth. Byłem zmęczony i zadowolony. W tamtej chwili tęskniłem za nią bardziej niż kiedykolwiek, a jednak uśmiechnąłem się i powiedziałem to, co z pewnością chciałyby usłyszeć.

– Zobaczysz, Ruth, zrozumieją – zwróciłem się do niej. – W końcu zrozumieją.

Jest popołudnie i czuję, że się kurczę; jestem jak podmywany przez fale zamek z piasku. Siedząca obok Ruth spogląda na mnie z niepokojem.

– Powinieneś się zdrzemnąć – mówi łagodnie.

– Nie jestem zmęczony – kłamię.

Wie, że to kłamstwo, ale udaje, że mi wierzy, i ciągnie z wymuszoną niefrasobliwością.

– Nie sędzę, że bym była dobrą żoną dla kogoś innego. Czasami jestem zbyt uparta.

– To prawda – potwierdzam z uśmiechem. – Masz szczęście, że z tobą wytrzymałem.

Przewraca oczami.

– Staram się być poważna, Ira.

Patrzę na nią i żałuję, że nie mogę jej objąć. Wkrótce, myślę sobie. Już niedługo będziemy razem. Mam trudności z mówieniem, ale zmuszam się do odpowiedzi.

– Gdybyśmy się nie spotkali, myślę, że moje życie nie byłoby kompletne.

Przemierzałbym świat w poszukiwaniu ciebie, nawet gdybym nie wiedział, kogo tak naprawdę

szukam.

Rozpromienia się i wyciąga rękę, żeby przeczesać palcami moje włosy. Jej dotyk jest ciepły i przynosi ukojenie.

– Już mi to mówiłeś. Zawsze lubiłam tę odpowiedź.

Zamykam oczy, a gdy znów je otwieram, Ruth rozmywa się i staje się niemal przezroczysta.

– Jestem zmęczony, Ruth.

– Jeszcze nie czas. Jeszcze nie przeczytałam twojego listu. Tego nowego, który chciałeś mi przekazać. Pamiętasz, co napisałeś?

Zastanawiam się, ale umiem sobie przypomnieć tylko maleńki skrawek, nic więcej.

– Nie bardzo – mamroczę.

– Powiedz mi, co pamiętasz. Cokolwiek.

Potrzebuję chwili, by zebrać siły. Ostrożnie wciągam do płuc powietrze i słyszę swój świszczący oddech. Nie czuję już suchości w gardle. Nawet ona ustąpiła miejsca potwornemu zmęczeniu.

– Jeśli istnieje niebo, odnajdziemy się, bo bez ciebie nie ma nieba. – Urywam, bo wypowiedzenie tych kilku słów pozbawia mnie tchu.

Myślę, że jest wzruszona, ale nie wiem tego na pewno. Patrzę na nią i widzę, że niemal rozplynęła się w powietrzu. Czuję jednak jej smutek i żal i wiem, że odchodzi. Tu i teraz, nie potrafi żyć beze mnie.

Ona chyba też to wie, bo choć znika, przysuwa się do mnie. Głaszcze dłonią moje włosy i całuje mnie w policzek. Ma szesnaście, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat, jest kobietą w każdym wieku. Jest tak piękna, że łzy napływają mi do oczu.

– Uwielbiam to, co do mnie napisałeś – szepcze. – Chcę usłyszeć resztę.

– Nie sędzę – bełkoczę. Czuję, jak jedna z jej łez rozplywa się na moim policzku.

– Kocham cię, Ira – mówi cicho. Jej oddech pieści moje ucho jak szept anioła. – Pamiętaj, ile dla mnie znaczyłeś.

– Pamiętam... – zaczynam, a kiedy mnie całuje, chyba po raz ostatni zamykam oczy.

29

Sophia

W sobotę wieczorem, kiedy cały kampus świętował kolejny weekend, Sophia zaszła się w bibliotece, żeby napisać pracę. W pewnej chwili wibrujący telefon zasygnalizował nadchodzącą wiadomość. Choć w budynku obowiązywał zakaz używania telefonów poza wyznaczonymi strefami, Sophia rozejrzała się dookoła i stwierdziwszy, że w pobliżu nie ma żywej duszy, sięgnęła po komórkę. Widząc treść wiadomości i nadawcę, zmarszczyła czoło.

Zadzwoń do mnie. To pilne – napisała Marcia.

Nie rozmawiały ze sobą od czasu kłótni i ta krótka wiadomość była jedyną formą kontaktu. Sophia zastanawiała się, co zrobić. Odpisać? Zapytać, o co chodzi? Czy zrobić to, o co prosiła ją Marcia?

Nie była pewna. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty z nią rozmawiać. Marcia, podobnie jak reszta dziewczyn, była pewnie na imprezie albo w miejscowym barze. Prawdopodobnie piła i być może pokłóciła się z Brianem. A Sophia z pewnością nie zamierzała mieszać się w ich awantury. Nie miała ochoty słuchać, jak Marcia płacze i żali się, jakim palantem jest Brian, nie miała też ochoty jej pocieszać, zwłaszcza po tym, jak Marcia jej unikała.

A jednak teraz chciała, żeby to Sophia do niej zadzwoniła. Bo, cokolwiek to było, było pilne.

Słowo „pilne” można interpretować na różne sposoby, pomyślała Sophia. Przez kilka kolejnych sekund zastanawiała się, co zrobić, zanim w końcu zapisała pracę i wyłączyła laptop. Schowała go do plecaka, włożyła kurtkę i ruszyła do wyjścia. Otworzywszy drzwi, poczuła na twarzy lodowaty powiew arktycznego powietrza i dostrzegła zaścielającą ziemię warstwę śniegu. W ciągu zaledwie kilku godzin temperatura musiała spaść o dobre siedem stopni. Zamarznie, zanim dojdzie do...

Ale jeszcze nie teraz. Wbrew zdrowemu rozsądkowi sięgnęła po telefon i wróciła do holu. Marcia odebrała po pierwszym sygnale. W tle słychać było muzykę i rozmaite głosy.

– Sophia? Dzięki Bogu, że zadzwoniłaś!

– Co to za pilna sprawa? – spytała oschle.

Hałas w tle przycichł; znak, że Marcia szukała miejsca, w którym mogłaby swobodnie rozmawiać. Chwilę później Sophia usłyszała trzask zamykanych drzwi i głos Marcii, tym razem dużo wyraźniejszy.

– Musisz natychmiast wrócić do akademika – oznajmiła spanikowana.

– Dlaczego?

– Luke tu jest. Zaparkował na chodniku. Od dwudziestu minut siedzi w samochodzie.

Musisz tu przyjść.

Sophia przełknęła z trudem ślinę.

– Zerwaliśmy ze sobą, Marcia. Nie chcę go widzieć.

– Och – jęknęła Marcia, nie próbując nawet ukryć zdumienia. – Tak mi przykro. Wiem, jak bardzo go lubiłaś.

– To wszystko? – spytała Sophia. – Muszę kończyć...

– Nie, zaczekaj! – krzyknęła Marcia. – Wiem, że jesteś na mnie zła, i wiem, że masz do tego pełne prawo, ale dzwonię w innej sprawie. Brian wie, że Luke tu jest... Mary-Kate mu powiedziała. Brian pije od kilku godzin i zaczyna się wściekać. Skrzyknął już kilku chłopaków. Próbowałam wybić mu to z głowy, ale wiesz, jaki on jest. A Luke nie ma pojęcia, co się kroi. Może nie jesteście już razem, ale chyba nie chcesz, żeby coś mu się stało...

Ale Sophia już jej nie słuchała; lodowaty wiatr zagłuszał głos Marcii, kiedy biegła do akademika.

Kampus sprawiał wrażenie opustoszałego, gdy pędziła skrótami, żeby jak najszybciej dotrzeć do akademika. Przez całą drogę próbowała dodzwonić się do Luke'a, ale z jakiegoś powodu nie odbierał telefonu. Wysłała mu krótką wiadomość, na którą również nie odpisał.

Droga, którą musiała pokonać, nie była daleka, ale mroźny lutowy wiatr wściekle kąsał jej uszy i policzki, a stopy ślizgały się na świeżym śniegu. Nie włożyła kozaków i śnieg przemoczył jej buty. Dookoła wirowały miękkie, grube płatki, które w kontakcie z ziemią niemal natychmiast zamarzały, sprawiając, że drogi były śliskie i niebezpieczne.

Biegła tak szybko, jak było to możliwe, automatycznie wybierając numer Luke'a. Na próżno. Wybiegła z głównej części kampusu wprost na ulicę. Mijała siedziby kolejnych bractw. Za oknami widziała zbitych w gromadki ludzi. Kilka osób przemykało chodnikiem z jednej imprezy na drugą; nieumiarkowanie w picie było rytuałem, któremu w sobotnie wieczory oddawała się większość studentów. Akademik był na końcu ulicy i mrużąc oczy w ciemnościach, Sophia dostrzegła zarys pick-upa Luke'a.

W tej samej chwili zauważyła grupkę pięciu, sześciu chłopaków wychodzących z męskiego akademika, trzy budynki dalej, po drugiej stronie ulicy. Przewodził im ktoś bardzo wysoki. Brian. Zaraz potem na ulicy pojawił się ktoś jeszcze i choć postać była widoczna przez krótką chwilę, gdy wybiegła na werandę i zbiegła po schodach, Sophia bez trudu rozpoznała w niej swoją współlokatorkę. Wietrzna zimowa pogoda tłumiła jej głos, jednak Sophia usłyszała, jak Marcia krzyczy do Briana, by się zatrzymał.

Kiedy Sophia biegła, plecak obijał się o jej plecy, a stopy ślizgały się w śnieżnej brei. Czuła się jak niezdara. Była już blisko, jednak nie zdążyła w porę. Brian i jego koledzy stanęli po obu stronach pick-upa. Sophia była cztery budynki dalej i nie umiała stwierdzić, czy Luke w ogóle jest w samochodzie. Powietrze przeszył wściekły krzyk Marcii.

– To bez sensu, Brian! Daj sobie spokój!

Jeszcze tylko trzy domy. Patrzyła, jak Brian i jego przyjaciele szarpnięciem otworzyli drzwi od strony kierowcy i sięgnęli do wnętrza samochodu. Zaczęła się szamotanina i chwilę później Luke został wywleczony z auta.

– Zostaw go w spokoju! – wrzasnęła Sophia.

– Przestań, Brian! – zawtórowała jej Marcia.

Brian – może tylko wstawiony, a może kompletnie pijany – zignorował je obie. Zaskoczony Luke potknął się i wpadł na Jasona i Ricka, którzy byli z Brianem na rodeo w McLeansville. Pozostałych czterech chłopaków podeszło bliżej, osaczając go jak zaszczute zwierzę.

Przerażona Sophia wybiegła na środek ulicy, tymczasem Brian zatoczył się i wyprowadził cios, od którego głowa Luke'a odskoczyła do tyłu. Do Sophii powróciła obezwładniająca groza, którą czuła, oglądając wideo.

Gdy pod Lukiem ugięły się nogi, Rick i Jason puścili go i pozwolili, by upadł na ośnieżony asfalt. Była już blisko i spanikowana miała nadzieję, że zobaczy jakikolwiek ruch, jednak Luke się nie poruszył.

– Wstawaj! – ryknął Brian. – Mówiłem ci, że to nie koniec!

Sophia zobaczyła Marcję, która stanęła między nim a Lukiem.

– Przestań! – krzyknęła, próbując go powstrzymać. – Masz przestać!

Brian zignorował ją i skupił się na Luke'u, który dźwignął się, tak że znalazł się na czworakach i próbował wstać.

– Wstawaj! – powtórzył Brian.

W tej samej chwili Sophia przepchnęła się między zgromadzonymi i stanęła między Brianem i Lukiem, obok Marcii.

– Dostyc, Brian! – wrzasnęła. – Odpuść sobie!

– Jeszcze z nim nie skończyłem!

– Dostyc! – powtórzyła.

– Chodź, Brian – prosiła Marcia, próbując wziąć go za rękę. – Po prostu chodźmy. Zimno tu. Zmarznę.

Luke zdążył dźwignąć się na nogi; skóra na kości policzkowej zaczynała już sinieć. Brian dyszał i, ku zaskoczeniu Sophii, odepchnął Marcie na bok. Nie było to brutalne pchnięcie, jednak wystarczyło, by zaskoczona dziewczyna upadła na ziemię. Brian jakby w ogóle tego nie zauważył. Postąpił krok do przodu, gotowy to samo zrobić z Sophią. Ona jednak odsunęła się i wyjęła z kieszeni telefon. Zanim zdążył chwycić Luke'a, uniosła go i wcisnęła przycisk.

– No, dalej! Wszystko nagram! Jak dla mnie możesz nawet iść do więzienia! Wylecieć z drużyny! Jak dla mnie każdy z was może z niej wylecieć!

Cofała się, nagrywając wszystkich, którzy brali udział w bijatyce. Robiła zbliżenie ich zaskoczonych, wściekłych twarzy, kiedy Brian wybuchnął śmiechem, wyrwał jej z dłoni telefon i roztrzaskał go o ziemię.

– Nie będziesz niczego nagrywać!

– Ona może nie – rzuciła Marcia, unosząc swój telefon. – Ale ja tak.

– Chyba sobie na to zasłużyłem – stwierdził Luke. – Po tym, co się wtedy stało.

Siedzieli w pick-upie, Luke za kierownicą, Sophia na fotelu pasażera. Groźby poskutkowały. Ostatecznie to Jason i Rick przekonali Briana, by wrócił z nimi do akademika, gdzie będzie mógł wspominać cios, którym posłał Luke'a na ziemię. Marcia nie poszła z nimi; wróciła do siebie i chwilę później Sophia dostrzegła światło w oknach pokoju.

– Nie zasłużyłeś – odparła. – O ile pamiętam, nigdy nie uderzyłeś Briana. Tylko... przygniotłeś go do ziemi.

– Twarzą w dół.

– Dokładnie – przytaknęła.

– A tak przy okazji, dzięki, że się za mną wstawiłaś. I że wymyśliłaś ten numer z telefonem. Kupię ci nowy.

– Nie musisz. Ten i tak był stary. Dlaczego nie odbierałeś?

– W drodze do domu padła mi bateria, a nie wziąłem ładowarki samochodowej. Tylko zwykłą. Nie myślałem, że zrobi się z tego taka afera.

– Wysłałeś mamie SMS-a?

– Tak – odparł. Nawet jeśli zastanawiał się, skąd o tym wiedziała, nie zapytał.

Sophia splotła ręce i położyła je na kolanach.

– Pewnie wiesz, o co cię teraz zapytam?

Luke spojrział na nią, mrużąc oczy.

– Dlaczego tu jestem?

– Nie powinieneś być przyjeżdżać. Nie chcę, żebyś tu był. Zwłaszcza zaraz po zawodach.

Bo...

– Nie możesz tak żyć.

– Żebyś wiedział – przytaknęła. – Nie mogę.

– Wiem – odparł. Westchnął i usiadł bokiem, by spojrzeć jej prosto w twarz. –

Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że ja też nie mogę. Przeszedłem dziś na emeryturę. Tym

razem na dobre.

– Chcesz powiedzieć, że rzucasz rodeo? – spytała z niedowierzaniem.

– Już rzuciłem.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Powinna mu pogratulować? Współczuć? Okazać ulgę?

– No i chciałem zapytać, czy jesteś wolna w weekend. I czy masz coś pilnego do roboty na poniedziałek. Jakies testy? Prace do napisania?

– Muszę napisać pracę na przyszły czwartek, to wszystko. Dlaczego pytasz?

– Pomyślałem, że przyda mi się trochę wolnego, żeby przemyśleć parę rzeczy. Zanim padła mi bateria, zadzwoniłem do mamy i powiedziałem jej o tym. Uważa, że to dobry pomysł. – Wypuścił powietrze. – Miałem jechać do domku kempingowego i pomyślałem, że może skoczyłabyś ze mną.

Sophia nie nadążała za wszystkim, co przed chwilą usłyszała, i nie bardzo wiedziała, czy powinna mu wierzyć. Czy to możliwe, żeby mówił prawdę? Czy rzeczywiście dał sobie spokój z zawodami?

– Dobrze – odparła, czując na sobie jego wzrok.

W pokoju zastała Marcję, która w pośpiechu pakowała torbę podróżną.

– Co robisz?

– Jadę do domu. Potrzebuję przespać się we własnym łóżku. Za chwilę mnie tu nie będzie.

– W porządku – odparła Sophia. – To też twój pokój.

Marcia pokiwała głową, wrzucając do torby kolejne przedmioty.

Sophia przestąpiła z nogi na nogę.

– Dzięki, że wysłałaś mi SMS-a. I za ten numer z telefonem.

– Taa, no cóż, zasłużył sobie. Zachowywał się jak... wariat.

– Tu chodziło o coś więcej – odparła Sophia.

Marcia po raz pierwszy podniosła wzrok.

– Nie ma sprawy.

– Pewnie i tak niewiele będzie pamiętał.

– To bez znaczenia.

– Nie, jeśli go lubisz.

Marcia zastanawiała się nad tym przez chwilę, a w końcu pokręciła głową. Sophia miała wrażenie, że doszła do pewnych wniosków, nawet jeśli nie była pewna do jakich.

– Luke pojechał?

– Zatankować i kupić coś do jedzenia. Wróci za kilka minut.

– Poważnie? Mam nadzieję, że tym razem jednak zamknie drzwi. – Zapięła torbę i po raz kolejny spojrzała na Sophię. – Chwileczkę... jak to wróci? Myślałam, że z nim zerwałaś.

– Bo tak było.

– Ale?

– Pogadamy o tym w przyszłym tygodniu, kiedy wrócisz. Teraz sama nie wiem, co z nami będzie.

Marcia nie drążyła tematu. Ruszyła w stronę drzwi, jednak się zatrzymała.

– Tak sobie myślałam – zaczęła – i wydaje mi się, że między wami wszystko się ułoży.

A jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że to dobrze.

W górach padał gęsty śnieg i miejscami drogi były oblodzone, dlatego na miejsce dotarli dopiero około czwartej rano. Okolica przypominała opuszczony dawno temu obóz pionierski.

Mimo braku oświetlenia Luke bezbłędnie zaparkował pick-upa przed tym samym domkiem, w którym zatrzymali się ostatnim razem. W zamku czekał na nich klucz.

W środku panował chłód, który wdzierał się do wnętrza przez cienkie ściany z desek. Luke uprzedził Sophie, żeby wzięła czapkę i rękawiczki. Miała je na sobie, podobnie jak kurtkę, podczas gdy on rozpałał w kominku i żelaznym piecyku na drewno. Jazda w trudnych warunkach sprawiła, że przez całą noc nie zmrużyła oka, więc dopiero teraz poczuła, że dopada ją zmęczenie.

Zasnęli w ubraniach, w kurtkach i czapkach zaledwie kilka minut po tym, jak wślizgnęli się do łóżka. Kiedy Sophia obudziła się kilka godzin później, w domu zrobiło się nieco cieplej, choć nadal miała na sobie kilka warstw ubrań. Uznała, że tani hotel byłby lepszym pomysłem, ale gdy wyjrzała przez okno, poraziło ją piękno tego miejsca. Zwisające z gałęzi sople lśniły w promieniach słońca. Luke krzątał się w kuchni, a powietrze wypełniał zapach bekonu i jajeczniczy.

– Nareszcie wstałaś – zauważył.

– Która godzina?

– Dochodzi południe.

– Chyba byłam zmęczona. Od jak dawna jesteś na nogach?

– Od kilku godzin. Ogrzanie tego miejsca, żeby nadawało się do mieszkania, nie jest takie proste, jak ci się zdaje.

Nie wątpiła w to. Stopniowo jej uwaga skupiła się na widoku za oknem.

– Byłeś tu kiedyś zimą?

– Tylko raz. Kiedy byłem mały. Przez cały dzień lepiłem bałwana i jadłem pieczone pianki.

Uśmiechnęła się, wyobrażając go sobie jako chłopca, jednak zaraz spoważniała.

– Jesteś gotowy porozmawiać? O tym, co cię skłoniło do zmiany decyzji?

Nadział na widelec kawałek bekonu i zdjął go z patelni.

– Właściwie to nic. Chyba w końcu posłuchałem zdrowego rozsądku.

– I to wszystko?

Odłożył widelec.

– Wylosowałem Zakapiora. I kiedy przyszło co do czego... – Pokręcił głową, nie dokończywszy myśli. – W każdym razie już wiedziałem, że najwyższy czas odwieść ostrogi. Dotarło do mnie, że powinienem z tym skończyć. To wykańczało moją mamę.

I mnie, chciała powiedzieć, ale się nie odezwała.

Luke obejrzał się przez ramię, jakby usłyszał jej myśli.

– No i dotarło do mnie, że tęsknię za tobą.

– A co z ranczem? – spytała.

Wyłożył jajecznicę na talerze.

– Pewnie je stracimy. I zaczniemy wszystko od nowa. Ludzie znają moją mamę. Mam nadzieję, że spadnie na cztery łapy. Oczywiście powiedziała, żebym się nią nie przejmował. Że powinienem pomyśleć o własnej przyszłości i zastanowić się, co chcę robić.

– No i co chcesz robić?

– Jeszcze nie wiem. – Odwrócił się i postawił talerze na stole, gdzie obok sztućców czekał dzbanek z kawą. – Mam nadzieję, że ten weekend rozjaśni mi trochę w głowie.

– I myślisz, że zaczniemy tam, gdzie przerwaliśmy?

– Wcale nie – odparł. Przetastował talerze i wysunął jej krzesło. – Ale miałem nadzieję, że może zaczniemy od nowa.

Po śniadaniu spędzili popołudnie, lepiąc bałwana, tak jak Luke w dzieciństwie. Tocząc

śnieżne kule, opowiadali sobie, co ostatnio dokonało się w ich życiu. Luke opisał wydarzenia w Macon i Karolinie Południowej i opowiedział Sophii, co działo się na ranchu. Ona wyznała mu, że z powodu napiętej sytuacji między nią i Marcją przez większość czasu siedziała w bibliotece i przygotowywała się do zajęć z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

– To jedna z tych dobrych rzeczy, które człowiek robi, kiedy unika swojej współlokatorki – skwitowała. – Zdecydowanie więcej się uczy.

– Zaskoczyła mnie wczoraj – przyznał Luke. – Nie sądziłem, że zrobi coś takiego. Biorąc pod uwagę całą tę sytuację.

– Ja nie byłam zdziwiona – odparła Sophia.

– Nie?

Pomyślała o tym, jak czuje się teraz Marcia.

– No dobrze. Może trochę.

Tego wieczoru, kiedy opatuleni kocem siedzieli na kanapie, Sophia spytała:

– Będziesz tęsknił za ujeżdżaniem?

– Trochę na pewno – odparł. – Ale nie na tyle, żebym do tego wrócił.

– Wydajesz się taki pewny.

– Bo jestem.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i jak zahipnotyzowana wpatrzyła się w blask płomieni odbity w jego oczach.

– Żał mi twojej mamy – wyznała. – Wiem, że cieszy się, że nie będziesz już jeździł, ale...

– Tak, wiem – przyznał. – Sam źle się z tym czuję. Ale postaram się jakoś jej to wynagrodzić.

– Myślę, że tak naprawdę zależało jej tylko na tym, żeby mieć cię przy sobie.

– Tak to sobie tłumaczę – odparł. – Ale teraz ja chcę zadać ci pytanie. I, proszę, zastanów się, zanim odpowiesz. To ważne.

– W takim razie pytaj.

– Jesteś zajęta w przyszły weekend? Bo jeśli nie, chciałbym zaprosić cię na kolację.

– Zapraszasz mnie na randkę? – spytała.

– Próbuję zacząć od początku. Tak to chyba wygląda? Zaprasza się kogoś na randkę?

Nachyliła się i po raz pierwszy tego dnia pocałowała go.

– Myślę, że nie musimy zaczynać od samego początku, prawda?

– To znaczy „tak” czy „nie”?

– Kocham cię, Luke.

– Ja ciebie też.

Kochali się tamtej nocy, a potem znowu, w poniedziałek rano, po tym jak leniuchowali w łóżku. Zjedli niespiesznie późne śniadanie, a po spacerze Sophia usiadła przy oknie i popijając kawę, przyglądała się, jak Luke pakuje ich rzeczy na pakę pick-upa. Nie byli już tacy sami. Doszła do wniosku, że w ciągu tych kilku miesięcy ich związek przerodził się w coś głębszego, coś, czego nie potrafiłaby przewidzieć.

Kilka minut później wyruszyli w drogę powrotną, ostrożnie pokonując krętą trasę w dół. Tańczące na śniegu słoneczne refleksy sprawiły, że Sophia odwróciła się i oparła głowę o szybę samochodu. Co jakiś czas zerkała ukradkiem na siedzącego za kółkiem Luke'a. Wciąż nie wiedziała, co się wydarzy, gdy w maju skończy studia, ale po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Luke będzie chciał wyjechać razem z nią. Nie rozmawiała z nim na ten temat, ale zastanawiała się, czy jej plany w jakikolwiek sposób wpłynęły na jego decyzję o zakończeniu kariery.

Siedząc w ciepłym wnętrzu samochodu, pogrążona w myślach zaczęła przysypiać, gdy

nagle usłyszała głos Luke'a.

– Widziałas to?

Dopiero gdy otworzyła oczy, zauważyła, że zwolnił.

– Nic nie widziałam – przyznała.

On jednak wcisnął hamulec i zjechał na pobocze, co rusz zerkając w lusterko wsteczne.

– Wydawało mi się, że coś widziałem – stwierdził. Wrzucił bieg, wyłączył silnik i włączył światła awaryjne. – Daj mi chwilę, dobrze?

– O co chodzi?

– Nie jestem pewien. Po prostu chcę coś sprawdzić.

Złapał kurtkę, wyszedł z samochodu i włożył ją, idąc poboczem do miejsca, w którym, jak mu się zdawało, coś zobaczył. Obejrawszy się przez ramię, Sophia zauważyła, że dopiero co wyjechali zza zakrętu. Luke rozejrzał się, czy nic nie nadjeżdża, przebiegł na drugą stronę ulicy i podszedł do barierki. Dopiero teraz zobaczyła, że była ona uszkodzona.

Luke spojrział w dół stromego nasypu i odwrócił się w jej stronę. Nawet z tej odległości widziała niepokój na jego twarzy i w każdym jego ruchu. Szybko wybiegła z samochodu.

– Weź mój telefon i zadzwoń na pogotowie! – krzyknął. – Samochód wypadł z drogi i myślę, że ktoś w nim jest!

Po tych słowach przeszedł nad uszkodzoną barierką i zniknął jej z oczu.

30 Sophia

To, co wydarzyło się później, przywodziło na myśl serię obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie: telefon na pogotowie i przyglądanie się, jak Luke schodzi w dół nasypu. Powrót biegiem do samochodu po butelkę wody, po tym jak Luke powiedział, że kierowca wciąż żyje. Chwytnie się krzaków i gałęzi, kiedy schodziła w dół porośniętego drzewami nasypu, i chwila, gdy dostrzegła wrak samochodu – zgniecioną maskę, niemal oderwany błotnik, pękniętą przednią szybę. Patrzyła, jak Luke usiłuje otworzyć zablokowane drzwi od strony kierowcy, jednocześnie starając się zachować równowagę na stromym zboczu, które zaledwie kilka metrów niżej przechodziło w ścianę klifu.

Jednak przede wszystkim zapamiętała ucisk w gardle na widok staruszka z kościstą głową opartą o kierownicę. Dostrzegła kosmyki włosów na upstrzonej plamami głowie i uszy, które sprawiały wrażenie za dużych. Rękę wykręconą pod nienaturalnym kątem. Ranę na czole, wykrzywione ramię i usta tak spierzchnięte, że krwawiły. Mężczyzna musiał potwornie cierpieć, a mimo to na jego twarzy malował się dziwny spokój. Kiedy Luke otworzył w końcu drzwi, podeszła bliżej, uważając, by nie stracić równowagi na śliskim zboczu.

– Jestem z panem – przemawiał Luke do staruszka. – Słyszysz mnie pan? Może się pan poruszyć?

Sophia słyszała panikę w jego głosie, kiedy dotykał ręką szyi mężczyzny w poszukiwaniu pulsu.

– Ledwie wyczuwalny – zwrócił się do niej. – Jest w bardzo kiepskim stanie.

Jęk staruszka był prawie niesłyszalny. Luke instynktownie sięgnął po butelkę z wodą, wlał odrobinę do nakrętki i przytknął ją do ust mężczyzny. Większość się wylała, jednak wystarczyło kilka kropli, by nawilżyć usta staruszka, i kilka kolejnych, które był w stanie przełknąć.

– Kim pan jest? – pytał łagodnie Luke. – Jak ma pan na imię?

Mężczyzna wydał z siebie chrapliwy dźwięk. Jego na wpół otwarte oczy były nieobecne.

– Ira.

– Kiedy to się stało?

Minęła chwila, zanim staruszek odpowiedział.

– O... botę...

Luke spojrział z niedowierzaniem na Sophię i ponownie skupił się na rannym.

– Sprowadzimy pomoc, dobrze? Karetka powinna tu być lada chwila. Niech pan jeszcze trochę wytrzyma. Chce pan jeszcze wody?

Z początku Sophia nie była pewna, czy Ira go usłyszał, ale chwilę później rozchylił wargi i Luke wlał mu do ust kolejnych kilka kropli. Mężczyzna przełknął je i coś wymamrotał. Zaraz potem z jego ust dobiegły się oddzielone ciężkim oddechem fragmenty słów: „Ist... o... jej... ony... Ruf?”.

Ani Sophia, ani Luke nie wiedzieli, o co mu chodzi. Luke nachylił się w stronę mężczyzny.

– Nie rozumiem. Chce pan, żebym do kogoś zadzwonił? Ma pan żonę, dzieci? Pamięta pan numer telefonu?

– Ist...

– Świst?

– Nie... Ist... ist... w... amo... chodzie...

Luke zerknął niepewnie na Sophię, która pokręciła głową, zastanawiając się, o co chodziło staruszkowi.

List?

– Myślę, że ma na myśli list. – Pochyliła się nad Irą. W jego płytkim oddechu wyczuwało się chorobę. – List? O to chodzi, prawda?

– ...ak – wyrzęził mężczyzna, z powrotem zamykając oczy. Oddech miał świszczący. Sophia rozejrzała się po wnętrzu samochodu, zatrzymując wzrok na przedmiotach, które walały się po podłodze, pod nogami kierowcy. Trzymając się wraku, obeszła go i podeszła do drzwi od strony pasażera.

– Co robisz?! – zawołał Luke.

– Chcę znaleźć ten list.

Strona pasażera była mniej uszkodzona i Sophia niemal bez trudu zdołała otworzyć drzwi. Na podłodze leżały termos i zgnieciona kanapka. Plastikowy woreczek pełen suszonych śliwek. Butelka wody... i, w samym rogu, koperta. Wyciągnęła rękę i czując, że traci grunt pod nogami, chwyciła się drzwi. Pochyliła się i z cichym stęknieniem ujęła kopertę w dwa palce. Podniosła ją i pokazała Luke'owi, który patrzył na nią z niedowierzaniem.

– List do jego żony – oznajmiła, zamykając drzwi i wracając do Luke'a. – To o nim mówił.

– Słyszałem, jak powiedział „ruf”.

– Nie „ruf” – odparła Sophia. Odwróciła kopertę, żeby pokazać ją Luke'owi, i schowała ją do kieszeni. – „Ruth”.

Pierwszy na miejscu pojawił się patrol policji. Kiedy funkcjonariusz dotarł do wraku samochodu, obaj z Lukiem uznali, że lepiej nie ruszać mężczyzny. Zdawało się, że minęła wieczność, zanim na poboczu pojawiła się karetka pogotowia; jednak już wtedy wiedzieli, że nie będzie łatwo wyciągnąć go z samochodu, położyć na noszach i zanieść po zaśnieżonym zboczu do ambulansu. Potrzeba było trzykrotnie więcej ludzi, a i tak było to ryzykowne przedsięwzięcie.

Ostatecznie wezwano pomoc drogową, co jeszcze bardziej wydłużyło czas oczekiwania. Kiedy w końcu przyjechała na miejsce, zaczęto linę o tylny zderzak samochodu, podczas gdy ratownicy medyczni – używając pasów bezpieczeństwa – starali się zabezpieczyć Irę tak, by nie doznał żadnych dodatkowych urazów. Dopiero wtedy wrak został wciągnięty na górę.

Kiedy Luke odpowiadał na pytania funkcjonariusza, Sophia patrzyła, jak ratownicy kładą Irę na nosze, podają mu tlen i zamykają drzwi ambulansu.

Kilka minut później ona i Luke zostali sami. Tuląc się do siebie, stali w milczeniu, jakby czerpali siłę z własnej bliskości. Nagle Sophia przypomniała sobie, że nadal ma w kieszeni list, który staruszek napisał do żony.

Dwie godziny później, trzymając się za ręce, siedzieli w zatłoczonej poczekalni miejscowego szpitala. W drugiej ręce Sophia trzymała list i od czasu do czasu zerkała na zapisane drżącą ręką koślawe litery, zastanawiając się, dlaczego podała pielęgniarce ich nazwiska i poprosiła, by informowała ich o stanie zdrowia staruszka, zamiast najzwyczajniej w świecie oddać jej list.

Dzięki temu mogliby kontynuować podróż do Winston-Salem. Ale kiedy przypomniała sobie twarz staruszka i jak bardzo zależało mu na odnalezieniu listu, poczuła się w obowiązku dopilnować, by list nie zaginął w szpitalu. Chciała przekazać go lekarzowi albo, najlepiej, jemu osobiście.

Tak przynajmniej to sobie tłumaczyła. Wiedziała jedynie, że spokój emanujący z twarzy

mężczyzny, kiedy go znaleźli, sprawił, iż zaczęła się zastanawiać, o czym myślał, albo raczej o czym śnił. To cud, że ktoś w tym wieku przeżył tak poważny wypadek. Przede wszystkim jednak zdumiewało ją, że w szpitalu nie pojawili się żadni bliscy ani krewni Iry. Kiedy tu przyjechał, był przytomny, więc z pewnością poprosił pracowników szpitala, by do kogoś zadzwonili. Gdzie zatem była jego rodzina? Dlaczego wciąż nie pojawili się w szpitalu? W tej sytuacji byli mu przecież potrzebni jak nigdy dotąd i...

Luke poruszył się na krześle, wrywając ją z zamyślenia.

– Wiesz, że pewnie nie pozwolą nam go zobaczyć? – spytał.

– Wiem – odparła. – Ale i tak chcę wiedzieć, jak się czuje.

– Dlaczego?

Obróciła w dłoniach list. Sama nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

– Nie wiem – przyznała.

Minęło kolejne czterdzieści minut, zanim na korytarzu pojawił się lekarz. Podeszedł do biurka i po krótkiej rozmowie z pielęgniarką skierował się w ich stronę. Luke i Sophia wstali.

– Nazywam się Dillon – przedstawił się. – Powiedziano mi, że czekają państwo, żeby zobaczyć się z panem Levinsonem.

– Ma pan na myśli Irę? – spytała Sophia.

– To państwo go znaleźli, tak?

– Tak.

– Mogę spytać, dlaczego chcą się państwo z nim widzieć?

Mało brakowało, a Sophia powiedziała by lekarzowi o liście, jednak w porę ugryzła się w język.

– Chcemy mieć pewność, że nic mu nie będzie.

– Niestety, nie są państwo rodziną, więc nie mogę udzielić żadnych informacji na temat stanu zdrowia pacjenta.

– Ale nic mu nie będzie, prawda?

Lekarz spoglądał to na Sopię, to na Luke'a.

– Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinno was tu być. Postąpiliście właściwie, wzywając karetkę, i cieszę się, że go znaleźliście, ale nic więcej nie możecie zrobić. Jesteście obcymi osobami.

Sophia spojrzała na lekarza, wyczuwając, że chce powiedzieć coś więcej.

– Tak naprawdę nie wiem, o co tu chodzi – przyznał z westchnieniem – ale kiedy pan Levinson usłyszał, że tu jesteście, chciał się z wami zobaczyć. Nie mogę powiedzieć nic o stanie jego zdrowia; proszę tylko, żebyście nie siedzieli u niego zbyt długo.

W szpitalnym łóżku Ira wydawał się jeszcze mniejszy niż w samochodzie; zupełnie jakby w ciągu tych kilku godzin skurczył się i zapadł w sobie. Zastali go w pozycji półleżącej, usta miał otwarte, policzki zapadnięte, a na przedramieniu niczym miniaturowe węże wiły się rurki kroplówki. Stojąca przy łóżku aparatura pikała w rytmie jego serca.

– Nie siedźcie zbyt długo – ostrzegł lekarz, a Luke pokiwał głową. Chwilę później weszli do pokoju. Sophia niepewnie podeszła do łóżka. Kątem oka zauważyła, że Luke bierze stojące pod ścianą krzesło i przesuwając w jej stronę. Usiadła więc i nachyliła się tak, by leżący na łóżku staruszek widział jej twarz.

– Jesteśmy – odezwała się, pokazując mu list. – Przyniosłam pana list.

Mężczyzna z trudem wciągnął do płuc powietrze i powoli obrócił głowę. Spojrzał na list, a chwilę później na Sopię.

– Ruth...

– Tak – odparła. – To pański list do Ruth. Położę go tu obok, dobrze?

Słyszając to, spojrzął przed siebie zamglonym nierozumiejącym wzrokiem. Zaraz potem jego twarz złagodniała i posmutniała. Poruszył ręką, szukając dłoni Sophii, a ona instynktownie mu ją podała.

– Ruth – powtórzył. Łzy napłynęły mu do oczu. – Moja słodka Ruth.

– Przykro mi... nie jestem Ruth – odparła łagodnie. – Mam na imię Sophia. To my pana znaleźliśmy.

Zdezorientowany zamrugał raz i drugi.

– Ruth?

Błaganie w jego głosie sprawiło, że coś ścisnęło ją za gardło.

– Nie – szepnęła, patrząc, jak przesuwa rękę w stronę listu.

Zrozumiała, co chce zrobić, i podała mu kopertę. Wziął ją, podniósł z trudem i włożył jej do ręki. Dopiero wtedy zobaczyła, że płacze. Kiedy się odezwał, głos miał silniejszy i w końcu zrozumiała, co do niej mówi.

– Mogłabyś?

Wyjęła list z jego rąk.

– Chce pan, żebym go przeczytała? List, który napisał pan do żony?

Spojrzał na nią, a po zapadniętym, pomarszczonym policzku potoczyła się łza.

– Proszę, Ruth. Chcę, żebyś go przeczytała.

Odetchnął przeciągle, jakby mówienie pozbawiło go resztek sił. Sophia odwróciła się do Luke'a, zastanawiając się, co właściwie powinna zrobić.

– Myślę, że powinnaś go przeczytać, Ruth – zwrócił się do niej, wskazując głową list. – Skoro tego właśnie chce. Przeczytaj go na głos, tak by mógł cię usłyszeć.

Sophia utkwiała wzrok w liście, który trzymała w rękach. Czowała, że nie powinna tego robić. Ira stracił kontakt z rzeczywistością. To był osobisty list. Miała go przeczytać Ruth, nie ona...

– Proszę – odezwał się, jakby czytał jej w myślach; jego głos przypominał szept.

Sophia spojrziała na list i drżącymi rękami otworzyła kopertę. List zajmował jedną stronę i był napisany tym samym koślawym pismem, które dostrzegła na kopercie. Chociaż wciąż miała wątpliwości, przysunęła go do światła i powoli zaczęła czytać.

Najdroższa Ruth, jest wcześnie, zbyt wcześnie, ale, jak zwykle, mam problemy z ponownym zaśnięciem. Za oknami budzi się do życia nowy cudowny dzień, a ja myślę jedynie o przeszłości. W tej magicznej godzinie marzę o Tobie i wspólnie przeżytych latach. Zbliża się nasza rocznica, droga Ruth, ale nie ta, którą zwykle świętujemy. To rocznica, od której zaczęło się moje życie z Tobą, i spoglądam na Twój fotel, żeby Ci o tym przypomnieć, chociaż wiem, że Cię tam już nie ma. Bóg, w swej mądrości, której nie potrafię pojąć, zabrał Cię do siebie i łzy, które popłynęły tamtej nocy, jeszcze nie wyschły.

Sophia przerwała czytanie, by spojrzeć na staruszkę. Ira zacisnął usta, a strużki łez wypełniały doliny, które czas wyrzeźbił na jego twarzy. Starła się zachować spokój, jednak gdy znów zaczęła czytać, głos jej się załamał.

Tęsknię za Tobą dziś rano, tak jak tęskniłem każdego dnia przez ostatnie dziewięć lat. Dość już mam samotności. Dość mam życia bez dźwięku Twojego śmiechu i na myśl, że już nigdy nie będziemy razem, ogarnia mnie rozpacz. Jestem jednak pewien, że byłabyś zadowolona, wiedząc, że gdy nachodzą mnie czarne myśli, słyszę, jak mnie strofujesz.

„Nie bądź taki ponury, Ira – mówisz. – Nie poślubiłam ponuraka”.

Kiedy myślę o tym, co się wydarzyło, w mojej głowie jest tak wiele wspomnień.

Przeżyliśmy wiele przygód, prawda? To Twoje słowa, nie moje.

Oto jak opisywałaś nasze życie. Powtarzałaś mi to co roku, kiedy w Rosz ha-Szana leżeliśmy w łóżku. Kiedy to mówiłaś, widziałem w Twoich oczach błysk i w tamtych chwilach wyraz Twojej twarzy, nie słowa, napełniał moje serce radością. Z Tobą moje życie naprawdę przypominało bajkową przygodę, bo w rutynie codzienności Twoja miłość napełniała wszystko bogactwem i tajemnicą. Nadal nie pojmuję, jak wiele miałem szczęścia, że mogłem dzielić życie z kimś takim jak Ty.

Kocham Cię teraz, tak jak zawsze Cię kochałem, i przykro mi, że nie mogę Ci tego powiedzieć. I choć piszę ten list z nadzieją, że w jakiś sposób zdołasz go przeczytać, wiem również, że nadchodzi koniec pewnej epoki. Wiesz, co powiedzieli mi lekarze; wiesz, że umieram i że w sierpniu nie pojadę do Black Mountain. A jednak chcę, żebyś wiedziała, że się nie boję.

Mój czas na tym świecie dobiega końca i cokolwiek się wydarzy, jestem z tym pogodzony. Nie smuci mnie to. Wręcz przeciwnie, napełnia mnie spokojem i sprawia, że z ulgą i wdzięcznością odliczam kolejne dni. Wiem, że każdy dzień przybliża mnie do chwili, gdy znów Cię zobaczę.

Jesteś moją żoną, ale przede wszystkim zawsze byłaś moją jedyną prawdziwą miłością. Przez niemal siedemdziesiąt pięć lat nadawałaś sens mojemu życiu. Nadszedł jednak czas, by się pożegnać, i chyba rozumiem już, dlaczego zostałaś mi odebrana. Wszystko po to, bym zrozumiał, jak bardzo byłaś wyjątkowa, i abym w smutku odnalazł prawdziwe znaczenie miłości. Teraz już wiem, że nasza rozłąka była tymczasowa. Kiedy zaglądam w najodleglejsze zakamarki wszechświata, wiem, że nadchodzi czas, gdy znów będę mógł wziąć Cię w ramiona. Skoro bowiem istnieje niebo, odnajdziemy się, bo bez Ciebie nie ma nieba.

Kocham Cię,

Ira

Choć łzy napłynęły jej do oczu, Sophia dostrzegła spokój, jaki odmalował się na twarzy Iry. Ostrożnie włożyła list z powrotem do koperty, wsunęła go staruszkowi do ręki i poczuła, jak zaciska na nim palce. Kiedy w drzwiach stanął lekarz, wiedziała, że wizyta dobiegła końca. Wstała z krzesła, które Luke odstawił na miejsce, i wzięła go za rękę. Ira odwrócił głowę; usta miał otwarte, oddychał z trudem. Sophia spojrzała na lekarza, który był w połowie drogi do łóżka pacjenta. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na kruchą postać Iry, Sophia i Luke wyszli na korytarz, by nareszcie kontynuować podróż powrotną do domu.

31

Luke

W miarę jak luty zbliżał się ku końcowi, Sophia coraz częściej myślała o zakończeniu studiów, podczas gdy nad ranchem zawisło widmo zajęcia nieruchomości. Dzięki wygranym Luke'a w trzech pierwszych konkursach zyskali dodatkowy miesiąc lub dwa, jednak wkrótce znowu zaczęli zalegać ze spłatą kredytu i pod koniec miesiąca matka Luke'a dyskretnie rozpytywała sąsiadów, czy nie byłiby chętni ją wykupić.

Sophia zaczynała martwić się o przyszłość. Wciąż nie dostała odpowiedzi z Denver Art Museum ani z Museum of Modern Art i zastanawiała się, czy nie będzie zmuszona wrócić do domu, pracować u rodziców i spać w swojej dawnej sypialni. Zbierające się nad ranchem czarne chmury spędzały Luke'owi sen z powiek. Chłopak martwił się o przyszłość, jaka czekała jego matkę, i zachodził w głowę, w jaki sposób zdoła jej pomóc, dopóki nie stanie na nogi. Mimo to żadne z nich nie chciało rozmawiać o tym, co ich czeka. Skupiali się na terażniejszości, szukając pocieszenia w swoim towarzystwie i uczuciach. W marcu Sophia zaczęła przyjeżdżać na rancho w piątki po południu i zostawała do niedzieli. Równie często spędzała tam środowe wieczory. Jeśli nie padało, jeździli konno. Zwykle pomagała Luke'owi w codziennych obowiązkach, jednak od czasu do czasu dotrzymywała towarzystwa jego matce. O takim życiu Luke marzył... i nagle przypominał sobie, że już niedługo dobiegnie ono końca, a on nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec.

Pewnego wieczoru, w połowie marca, kiedy w powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę, Luke zabrał Sophię do klubu, w którym występował popularny zespół country. Siedząc przy odrapanym drewnianym stole, patrzył, jak dziewczyna popija piwo i porusza stopą w takt muzyki.

– Rób tak dalej – rzucił, wskazując głową jej stopę – a pomyślę, że ci się podoba.

– Bo mi się podoba.

Uśmiechnął się.

– Znasz ten kawał, prawda? O tym, co dostajesz, kiedy zagrasz muzykę country od tyłu?

Pociągnęła łyk piwa.

– Chyba nie – odparła.

– Dostajesz z powrotem swoją żonę, pick-upa, psa...

Posłała mu wymuszony uśmiech.

– Zabawne.

– Nie śmiałaś się.

– Bo nie było aż takie zabawne.

W końcu on się roześmiał.

– Dogadujecie się już z Marcją?

Sophia zatknęła za ucho kosmyk włosów.

– Na początku było trochę niezręcznie, ale teraz wszystko powoli wraca do normy.

– Nadal spotyka się z Brianem?

– Nie – prychnęła. – Zerwała z nim, gdy się dowiedziała, że ją zdradza.

– To znaczy kiedy?

– Dwa tygodnie temu. Może trochę wcześniej.

– Bardzo to przeżyła?

– Niezbyt. Sama już wtedy spotykała się z kimś innym. Koleś jest na trzecim roku, więc

nie sędzę, żeby to przetrwało.

Luke w zamyśleniu skubał etykietkę z piwa.

– To ciekawa dziewczyna.

– Ma dobre serce – upierała się Sophia.

– I nie jesteś zła o to, co zrobiła?

– Byłam. Ale mi przeszło.

– Tak po prostu?

– Popęlniła błąd. Nie chciała mnie zranić. Przepraszała mnie już chyba z milion razy. No i wzięła moją stronę, kiedy jej potrzebowałam. Więc tak, tak po prostu. Przeszło mi.

– Myślisz, że będziecie w kontakcie? No wiesz, kiedy skończycie studia.

– Jasne. Nadal jest moją najlepszą przyjaciółką. Ty też powinieneś ją polubić.

– Dlaczego? – Mówiąc to, uniósł brew.

– Bo gdyby nie ona – odparła – nigdy byśmy się nie spotkali.

Kilka dni później Luke wraz z matką pojechali do banku, żeby renegocjować warunki kredytu, dzięki którym mogliby zatrzymać ranczo. Linda przedstawiła biznesplan, który zakładał sprzedaż niemal połowy rancza, łącznie ze świerkowym zagajnikiem, polem, na którym uprawiali dynie, i jednym z pastwisk, jeśli tylko znajdą kupca. Według jej obliczeń nawet gdyby zmniejszyli stado o jedną trzecią, i tak byliby w stanie spłacać pomniejszone raty pożyczki.

Trzy dni później bank formalnie odrzucił jej ofertę.

W piątkowy wieczór, pod koniec miesiąca, Sophia przyjechała na ranczo wyraźnie zdenerwowana. Oczy miała opuchnięte i zaczerwienione, plecy przygarbione. Kiedy tylko weszła na werandę, Luke ją przytulił.

– O co chodzi?

Pociągnęła nosem, a gdy się odezwała, wyczuł w jej głosie drżenie.

– Nie mogłam dłużej czekać – wyznała – więc zadzwoniłam do Denver Art Museum i spytałam, czy rozważyli już moją kandydaturę. Odparli, że tak, ale przyjęli na staż kogoś innego. To samo powiedzieli mi, kiedy zadzwoniłam do Museum of Modern Art.

– Przykro mi – odparł, tuląc ją w ramionach. – Wiem, jak bardzo liczyłaś na ten staż.

W końcu wyswobodziła się z jego uścisku; na jej twarzy malował się niepokój.

– I co ja teraz zrobię? Nie chcę wracać do domu. Nie chcę znów pracować w delikatesach.

Chciał jej powiedzieć, że nie musi, że może zostać z nim tak długo, jak tylko będzie chciała, kiedy nagle przypomniał sobie, że to również nie będzie możliwe.

Na początku kwietnia Luke był świadkiem, jak jego matka oprowadzała po ranczu trzech mężczyzn. W jednym z nich rozpoznał ranczera z okolic Durham. W przeszłości rozmawiali raz czy dwa na aukcji bydła i Luke go tolerował, jednak Linda czuła do niego wyraźną niechęć. Luke nie wiedział, czy to z powodów osobistych, czy dlatego, że utrata rancza stawała się coraz bardziej prawdopodobna. Podejrzewał, że pozostali dwaj to rodzina mężczyzny albo jego partnerzy w interesach.

Wieczorem przy kolacji Linda nie powiedziała na ten temat ani słowa. On z kolei nie pytał.

Mimo że Luke wziął udział w zaledwie trzech z siedmiu konkursów, zdobył wystarczająco dużo punktów, by zająć piąte miejsce i zapewnić sobie udział w głównej lidze.

Suma, którą mógł wygrać w zawodach odbywających się w nadchodzący weekend, w Chicago, wystarczyłaby, żeby utrzymać ranczo do końca roku, pod warunkiem że poszłoby mu równie dobrze jak na początku sezonu.

On jednak dotrzymał słowa danego Sophii i matce. Mechaniczny byk w stodole pozostał przykryty, a miejsce Luke'a w zawodach zajął inny kowboj z apetytem na zwycięstwo.

– Nie żałujesz, że nie jedziesz w ten weekend? – spytała Sophia.

Był piękny słoneczny dzień i pod wpływem impulsu pojechali do Atlantic Beach. Wiejący od strony oceanu wiatr był chłodny, ale nie przejmujący, a na plaży roilo się od spacerowiczów i ludzi puszczających latawce; kilku nieustraszonych surferów ślizgało się na grzbietach długich, wysokich fal.

– Ani trochę – odparł bez wahania.

Uszli kilka kroków; stopy Luke'a grzęzły w wilgotnym piasku.

– Jestem pewna, że świetnie byś sobie poradził.

– Może.

– Myślisz, że mógłbyś wygrać?

Luke nie odpowiedział od razu. Utkwił wzrok w prującej fale parze morświnów.

– Może – odparł. – Ale raczej nie. Niektórzy ujeżdzacze są naprawdę dobrzy.

Sophia przystanęła i spojrzała na niego.

– Właśnie coś sobie przypomniałam.

– Co takiego?

– Powiedziałeś, że w zawodach w Karolinie Południowej w finale wylosowałeś

Zakapiora.

Pokiwał głową.

– Nigdy nie powiedziałeś mi, co się stało.

– Rzeczywiście – odparł, nie odrywając wzroku od morświnów.

– Chyba ci nie powiedziałem.

Tydzień później trzech mężczyzn, którzy oglądali ranczo, wrócili i spędzili pół godziny w domu jego matki. Luke podejrzewał, że przedstawili jej jakąś ofertę, ale nie miał sumienia iść tam, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Zaczekał, aż odjadą. Kiedy wszedł do domu, Linda nadal siedziała przy kuchennym stole.

Spojrzała na niego w milczeniu i zrezygnowana pokręciła głową.

– Co robisz w przyszły piątek? – spytała Sophia. – Nie jutro, za tydzień.

Był czwartek wieczorem, niespełna miesiąc do końca roku akademickiego; pierwszy i pewnie ostatni raz, gdy Luke znalazł się w klubie, w otoczeniu rozszczebiotanych dziewcząt. Marcia również tam była i choć przywitała się z nim, dużo bardziej interesował ją ciemnowłosy chłopak, którego spotkały na miejscu. Oboje mówili podniesionymi głosami, żeby przekrzyczeć bezlitosne dudnienie muzyki.

– Nie wiem. Pewnie będę pracował – odparł. – Dlaczego pytasz?

– Bo dziekan, który jest również moim promotorem, załatwił mi zaproszenia na aukcję dzieł sztuki i chciałabym, żebyś ze mną poszedł.

Luke pochylił się nad stołem.

– Powiedziałeś „aukcję dzieł sztuki”?

– Będzie niesamowicie; to jedyna taka okazja. Aukcja odbędzie się w Greensboro Convention Center, organizuje ją jeden z wielkich domów aukcyjnych z Nowego Jorku. Podobno

jakiś facet z Karoliny Północnej zgromadził światowej klasy kolekcję sztuki nowoczesnej. Ludzie z całego świata zlatują się, żeby wziąć udział w licytacji.

Niektóre obrazy są podobno warte fortunę.

– I chcesz tam jechać?

– Hej! Chodzi o dzieła sztuki. Wiesz, kiedy ostatnio organizowano w tych okolicach taką aukcję? Nigdy.

– Ile to potrwa?

– Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie byłam na aukcji, ale wiedz, że, z tobą czy bez ciebie, zamierzam tam być. I byłoby miło, gdybyś ze mną pojechał. W przeciwnym razie będę musiała siedzieć ze swoim promotorem, a wiem, że jedzie z nim inny profesor z wydziału, więc cały czas będą rozmawiać między sobą. Wtedy prawdopodobnie wrócę w kiepskim nastroju i przez cały weekend będę siedziała w akademiku.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że mi grozisz.

– To nie groźba. To... coś, o czym powinienes pamiętać.

– A jeśli będę o tym pamiętał, a mimo to powiem „nie”?

– Wtedy wpakujesz się w kłopoty.

Uśmiechnął się.

– Jeśli to dla ciebie takie ważne, za nic w świecie nie przepuszczę takiej okazji.

Luke nie był pewien, dlaczego nie zauważył tego wcześniej, ale z czasem dotarło do niego, że coraz trudniej było mu zabrać się do codziennych obowiązków. Zaczął zaniedbywać prace konserwacyjne na ranczu – nie dlatego, że nie były one pilne, ale dlatego, że nie miał motywacji. Po co wymieniać balustradę na werandzie w domu mamy? Po co zasypywać rozlewisko, które utworzyło się obok pompy nawadniającej? Po co wyrównywać koleiny na wysypanym żwirze podjeździe, które po zimie stały się jeszcze głębsze? Po co robić cokolwiek, skoro niedługo i tak nie będą tu mieszkać?

Przypuszczał, że jego matka jest odporna na sentymenty i że ma w sobie siłę, której on nie odziedziczył, ale kiedy rano wyjechał zobaczyć, czy z byłem wszystko w porządku, coś przykuło jego uwagę i zatrzymał Konia.

Ogród matki był dla niej zawsze powodem do dumy. Już jako brzdąc zapamiętał, jak przygotowywała go do wiosny, pielila pieczolowicie latem, a pod koniec dnia przynosiła do domu plony. Jednak teraz, gdy na niego patrzył, zauważył, że niegdyś równe, wypielone grządki zarosły chwastami.

– Co do piątku... – Sophia odwróciła się na łóżku, by na niego spojrzeć. – Pamiętaj, że chodzi o aukcję dzieł sztuki.

Do licytacji pozostały już tylko dwa dni i Luke starał się sprawiać wrażenie zainteresowanego.

– Tak, wiem. Mówiłaś mi.

– Będzie tam mnóstwo bogatych ludzi. Ważnych ludzi.

– Jasne.

– Chciałam się tylko upewnić, że nie włożysz kapelusza i kowbojek.

– Zrozumiałem aluzję.

– Będziesz potrzebował garnituru.

– Mam garnitur – odparł. – Nawet całkiem niezły.

– Masz garnitur? – Uniosła brwi.

– Co cię tak dziwi?

– Nie wyobrażam sobie ciebie w garniturze. Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś w dzinsach.

– Wcale nie. – Puścił do niej oko. – Teraz nie mam na sobie dzinsów.

– Nie świntusz – rzuciła, nie reagując na jego słowa. – Dobrze wiesz, że nie o tym mówię. Roześmiał się.

– Kupiłem garnitur dwa lata temu. Krawat i buty też, jeśli chcesz wiedzieć. Szedłem na ślub.

– Niech zgadnę. To jedyny raz, kiedy miałeś go na sobie?

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Nie jedyny.

– Kolejny ślub? – spytała.

– Pogrzeb – odparł. – Przyjaciółki mojej mamy.

– Tak myślałam – odparła, wyskakując z łóżka. Chwyciła pled i okręciła się nim jak ręcznikiem. – Chcę go zobaczyć. Jest w twojej szafie?

– Wisi po prawej... – Poinstruował ją, podziwiając rysujące się pod wełną krągłości.

Sophia otworzyła szafę, wyjęła garnitur i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Masz rację – przyznała w końcu. – Jest całkiem niezły.

– I widzisz? Znowu wydajesz się zaskoczona.

Z garniturem w dłoni obejrzała się przez ramię.

– A ty byś nie był?

Rankiem Sophia wróciła do kampusu, a Luke osiodłał Konia i pojechał skontrolować stado. Umówili się, że przyjedzie po nią następnego dnia. Jednak gdy po południu wrócił do domu, czekała na niego na werandzie.

Trzymała w dłoni gazetę, a gdy na niego spojrzała, zauważył, że wzrok ma rozgorączkowany.

– Co się stało? – spytał.

– Chodzi o Irę – odparła. – Irę Levinsona.

Potrzebował chwili, by zorientować się, o kim mówi.

– Masz na myśli faceta, którego wtedy znaleźliśmy?

Podawała mu gazetę.

– Przeczytaj.

Luke wziął gazetę i przeczytał nagłówek, w którym była mowa o jutrzejszej aukcji.

Zdziwiony uniósł brwi.

– To artykuł o aukcji.

– Kolekcja należy do Iry – wyjaśniła Sophia.

Artykuł opisywał wszystko. Albo prawie wszystko. Było w nim mniej osobistych szczegółów, niż Luke się spodziewał, ale autor wspominał o sklepie należącym do Iry i podał datę jego ślubu z Ruth. Napisał, że Ruth była nauczycielką i że po drugiej wojnie światowej wraz z mężem zaczęła kolekcjonować dzieła sztuki. Nie mieli dzieci.

Dalszą część artykułu poświęcono aukcji i wystawianym na niej dziełom malarzy, z których większość była Luke'owi zupełnie obca. Jednak ostatnia linijka sprawiła, że i on poczuł się nieswojo.

Widząc to, Sophia zacisnęła usta.

– Nigdy nie wyszedł ze szpitala – szepnęła. – Zmarł następnego dnia na skutek obrażeń.

Luke spojrzał w niebo i na chwilę zamknął oczy. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Byliśmy ostatnimi ludźmi, którzy go widzieli – ciągnęła Sophia. – Nie piszą o tym, ale

wiem, że to prawda. Jego żona zmarła, nie miał dzieci i żył jak pustelnik. Umarł w samotności i myśl o tym sprawia, że pęka mi serce. Bo...

Kiedy zawiesiła głos, Luke przytulił ją, myśląc o liście, który staruszek napisał do swojej żony.

– Wiem dlaczego – odparł. – Bo czuję to samo.

32 Sophia

W dniu, w którym miała odbyć się aukcja, Sophia właśnie założyła kolczyki, kiedy zobaczyła podjeżdżającego pod dom pick-upa Luke'a. Choć wcześniej droczyła się z nim, że ma tylko jeden garnitur, sama była w posiadaniu zaledwie dwóch kostiumów z długimi do kolan spódnicami i dopasowanymi żakietami. Kupiła je tylko dlatego, że potrzebowała czegoś eleganckiego i stylowego, co mogłaby włożyć na ewentualne rozmowy w sprawie pracy. Jeszcze niedawno obawiała się, że dwa to za mało, zwłaszcza gdy pracodawcy zaczną ustawiać się do niej w kolejce. Teraz gdy o tym myślała, przyszło jej do głowy stare powiedzenie... jak ono brzmiało? Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz mu o swoich planach – czy coś w tym stylu.

Ona również tylko raz włożyła każdy z tych kostiumów. Wiedząc, że garnitur Luke'a jest ciemny, zdecydowała się na ten jaśniejszy. Mimo wcześniejszego entuzjazmu wyjazd na aukcję budził w niej mieszane uczucia. Świadomość, że licytowana kolekcja należała do Iry, sprawiła, że wszystko to wydało jej się nagle zbyt osobiste, i Sophia obawiała się, że patrząc na obrazy, będzie widziała twarz staruszka, kiedy siedząc przy szpitalnym łóżku, czytała mu list. Z drugiej strony zrezygnowanie z udziału w aukcji byłoby oznaką braku szacunku; zwłaszcza że kolekcja znaczyła tak wiele dla niego i jego żony. Targana sprzecznymi uczuciami, wyszła z pokoju i zeszła na dół.

Luke czekał na nią w holu.

– Gotowa?

– Chyba tak – odparła. – Chociaż teraz to zupełnie inna sprawa.

– Wiem. Przez pół nocy myślałem o tym biedaku.

– Ja też.

Zmusił się do uśmiechu, choć widać było, że nie włożył w niego zbyt wiele energii.

– Tak przy okazji, świetnie wyglądasz. Wydajesz się taka... dorosła.

– Ty też – odparła. – Ale... dlaczego czuję się tak, jakbyśmy jechali na pogrzeb? – spytała.

– Bo w pewnym sensie tak właśnie jest.

Godzinę przed południem weszli do jednego z ogromnych pomieszczeń wystawowych w centrum kongresowym. Było zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Na drugim końcu sali znajdowała się scena, z trzech stron otoczona kotarami; na prawo, na niewielkim podium, stały dwa długie stoły, na każdym z nich ustawiono dziesięć telefonów; po drugiej stronie stał pulpit licytatora. Tylną część sceny stanowił ogromny ekran, przed którym stała teraz pusta sztaluga. Na przybycie gości czekało około trzystu krzeseł, ustawionych tak, by każdy bez trudu mógł zobaczyć licytowane przedmioty.

Choć w pomieszczeniu było tłoczno, tylko nieliczne krzesła zostały już zajęte. Większość ludzi krążyła po sali, podziwiając zdjęcia najcenniejszych obrazów. Fotografie rozstawiono na sztalugach pod ścianami; do każdej z nich dołączono krótką notatkę z informacją o artyście, cenach, jakie jego prace osiągnęły na innych aukcjach, i szacowanej wartości. Inni goście tłoczyli się wokół podiów po obu stronach wejścia, na których leżały katalogi prezentujące szczegółowo całą kolekcję.

Sophia krążyła po sali w towarzystwie Luke'a. Czowała się oszołomiona – nie dlatego, że wszystko to należało do Iry, ale ze względu na rozmiary kolekcji. Były tu prace Picassa

i Warhola, Johnsa i Pollocka, Rauschenberga i de Kooninga. O niektórych nigdy nie czytała, ani nawet nie słyszała. Jak się okazało, plotki o ich rzekomej wartości również nie były przesadzone; Sopię zdumiewały szacowane ceny niektórych obrazów, jednak idąc dalej, odkrywała, że kolejne są warte jeszcze więcej. Nie umiała sobie wyobrazić, że wszystko to należało do uroczego staruszka, który w swym liście pisał wyłącznie o miłości do nieżyjącej żony.

Luke najwyraźniej myślał o tym samym, bo wziął ją za rękę.

– W liście nie wspomniał o tym ani słowem – mruknął.

– Może nie miało to dla niego znaczenia – odparła skonsternowana. – Tylko jak to możliwe? – Kiedy nie odpowiedział, uściśnęła go za rękę. – Żałuję, że bardziej mu nie pomogliśmy.

– Nie wiem, czy mogliśmy zrobić coś więcej.

– Mimo to...

Utkwił w niej spojrzenie.

– Przeczytałaś list – odparł. – Tego właśnie chciał. Myślę, że dlatego to my mieliśmy go odnaleźć. Kto inny pojechałby za nim do szpitala?

Kiedy poproszono gości, by zajęli miejsca, Luke i Sophia znaleźli wolne krzesła w ostatnim rzędzie. Z tej odległości prawie nie widzieli sztalugi i Sophia poczuła się rozczarowana. Cudownie byłoby zobaczyć z bliska niektóre obrazy, wiedziała jednak, że miejsca najbliższej licytatora są zarezerwowane dla potencjalnych kupców, a nie chciała, by ktoś poklepał ją po ramieniu i poprosił, by się przesiadła. Kilka minut później przy stołach, na których ustawiono telefony, pojawili się mężczyźni i kobiety w eleganckich garniturach i kostiumach. Światła przygasły, a nad sceną rozjarzyły się reflektory.

Sophia rozejrzała się po twarzach zgromadzonych. Dostrzegła w tłumie dwóch profesorów historii sztuki, w tym jej promotora. W miarę jak wskazówki zegara zbliżały się do godziny trzynastej, ludzie ściszały głosy, a gdy na podium pojawił się siwowłosy mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze, na sali zapanowała cisza. Mężczyzna trzymał w dłoniach teczkę. Chwilę później otworzył ją i sięgnął do kieszeni po okulary. Włożył je na nos i poprawił zawartość teczki.

– Panie i panowie, pragnę podziękować wszystkim za przybycie na aukcję tej jakże wyjątkowej kolekcji Iry i Ruth Levinsonów. Jak zapewne wiecie, nasza firma zwykle nie organizuje licytacji w siedzibach innych niż nasze własne, jednak w tym przypadku pan Levinson nie pozostawił nam wyboru. Zadziwiające jest również to, jak niewiele wiadomo o dziełach będących przedmiotem dzisiejszej licytacji. Na początku chciałbym jednak przybliżyć państwu zasady dotyczące tej szczególnej aukcji. Pod każdym z krzeseł znajduje się tabliczka z numerem i...

Mężczyzna zaczął wyjaśniać zasady licytowania przedmiotów, jednak myśli Sophii krążyły wokół Iry. Jak przez mgłę pamiętała nazwiska ludzi, którzy zgłosili się do udziału w aukcji – kustoszy z Whitney, Museum of Modern Art, Tate Gallery i dziesiątków innych muzeów zza oceanu. Przypuszczała, że większość zgromadzonych tu osób reprezentowała prywatnych kolekcjonerów albo galerie i przyjechała tu z nadzieją, że uda im się nabyć wyjątkowo rzadkie dzieła sztuki.

Gdy zasady zostały wyjaśnione i gdy podziękowano odpowiednim osobom i instytucjom, siwowłosy mężczyzna po raz kolejny skupił uwagę na publiczności.

– Tymczasem mam przyjemność przedstawić państwu Howiego Sandersa. Pan Sanders przez lata był pełnomocnikiem Iry Levinsona i ma kilka uwag, którymi chciałby się z państwem podzielić.

W tej samej chwili na scenie pojawił się Howie Sanders, przygarbiony, kościsty

mężczyzna w podeszłym wieku, ubrany w ciemny wełniany garnitur, który sprawiał wrażenie za dużego. Powoli podszedł do pulpitu, odkaslnął i zadziwiająco czystym, energicznym głosem zaczął przemawiać do zgromadzonych.

– Spotkaliśmy się dziś, żeby wziąć udział w niezwykłym wydarzeniu. Rzadko bowiem zdarza się, by tak istotna i okazała kolekcja pozostawała w ukryciu przez tyle lat. Nie dalej jak sześć lat temu tylko nieliczni z państwa wiedzieli o jej istnieniu. Okoliczności, w jakich powstała, zostały opisane w prasie, jednak muszę przyznać, że nawet mnie, człowieka, który przez ostatnie czterdzieści lat był pełnomocnikiem Iry Levinsona, zdumiała jej wartość i znaczenie dla świata kultury.

Przerwał, spojrzął na publiczność i kontynuował.

– Ale nie dlatego tu jestem. Jestem tu, ponieważ Ira dał mi jasne wskazówki dotyczące tej aukcji i prosił mnie, bym powiedział wam kilka słów. Przyznam, że wolałbym, żeby mnie o to nie prosił. Choć czuję się pewnie na sali sądowej i w swoim biurze, rzadko mam okazję przemawiać do ludzi, na których spoczywa obowiązek nabycia konkretnego dzieła sztuki dla klienta lub instytucji za sumy, które przyprawiają mnie o zawrót głowy. A jednak ponieważ mój przyjaciel Ira prosił mnie, bym do was przemówił, zamierzam dotrzymać słowa.

Tu i ówdzie wśród gości dał się słyszeć dobroduszy śmiech.

– Cóż mogę powiedzieć wam o Irze? Ze był dobrym człowiekiem? Uczciwym i sumiennym? Człowiekiem, który ponad wszystko kochał swoją żonę? A może powinienem opowiedzieć wam o jego sklepie albo o mądrości, którą wręcz emanował? Zadawałem sobie te pytania, próbując zrozumieć, co tak naprawdę chciał, żebym wam przekazał. Co by powiedział, gdyby to on, nie ja, stał tutaj przed wami? Myślę, że powiedziałby tak: „Chcę, żebyście wszyscy zrozumieli”.

Zamilkł na chwilę, jakby chciał się upewnić, że uwaga wszystkich jest skupiona wyłącznie na nim.

– Natknąłem się na cudowny cytat – ciągnął. – Przypisuje się go Pablowi Picassowi i jak większość z was zapewne wie, jest on jedynym nieamerykańskim artystą, którego prace zostaną wystawione na dzisiejszej aukcji. Lata temu powiedział podobno: „Wszyscy wiemy, że sztuka nie jest prawdą. Sztuka to kłamstwo, które sprawia, że zaczynamy rozumieć prawdę; przynajmniej tę, która dana jest nam, byśmy ją zrozumieli”.

Po raz kolejny zwrócił się do publiczności. Tym razem jednak jego głos brzmiał nieco łagodniej.

– Sztuka to kłamstwo, które sprawia, że zaczynamy rozumieć prawdę; przynajmniej tę, która dana jest nam, byśmy ją zrozumieli – powtórzył. – Chcę, żebyście o tym pomyśleli. – Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. – Uważam, że są to bardzo mądre słowa. To oczywiste, że odnoszą się do sposobu, w jaki możemy postrzegać prezentowaną tu dziś sztukę. Zacząłem się jednak zastanawiać, czy Picasso miał na myśli wyłącznie sztukę, czy może chciał, byśmy spojrzeli przez ten pryzmat na całe nasze życie. Co sugerował? Moim zdaniem chciał powiedzieć, że sposób, w jaki postrzegamy świat, kształtuje naszą rzeczywistość. Że coś jest dobre albo złe tylko dlatego, że wierzymy, że takie właśnie jest, a nasze przekonania opierają się na naszych doświadczeniach. A jednak Picasso twierdzi, że sztuka to kłamstwo. Innymi słowy, nasze opinie, myśli i uczucia, wszystko, czego doświadczamy, nie definiują nas raz na zawsze. Niektórym z was wydaje się pewnie, że zбочyłem z tematu i zamiast mówić o sztuce, rozwodzę się na temat moralnego relatywizmu. Inni są pewnie zdania, że jestem starcem, który do reszty postradał zmysły...

I tym razem publiczność się roześmiała.

– Ale jestem tu, żeby powiedzieć wam, że Ira byłby zadowolony, że wybrałem ten cytat.

Był człowiekiem, który wierzył w dobro i zło, miłość i nienawiść. Dorastał w świecie, w którym zniszczenie i nienawiść były na porządku dziennym. A jednak Ira nie pozwolił, by świat ten zmienił go na swoje podobieństwo. Pragnę, byście potraktowali tę aukcję jako swoisty hołd dla wszystkiego tego, co Ira Levinson uważał za słuszne i ważne. Przede wszystkim jednak mam nadzieję, że zrozumiecie.

Sophia nie bardzo rozumiała, o co chodziło Sandersowi, i rozglądając się dookoła, odniosła wrażenie, że nie ona jedna tak się czuje. Zauważyła, że w trakcie przemówienia niektórzy pisali SMS-y, a inni przeglądali katalog.

Nastąpiła krótka przerwa, w której trakcie siwowłosy mężczyzna naradzał się z Sandersem. W końcu stanął za pulpitem, włożył okulary i odchrząknął.

– Jak większość z was zapewne wie, aukcja została podzielona na etapy, z których pierwszy odbędzie się dziś. Na razie nie wiemy, jak długo potrwać, gdyż jest to uzależnione od tego, co wydarzy się dziś. Wiem również, że wielu z was czeka, aż przedstawimy zasady licytacji.

Jak na umówiony znak wszyscy się pochylili.

– One również zostały określone przez naszego klienta. Umowa aukcyjna jest miejscami dość... specyficzna. Chodzi, między innymi, o kolejność, w jakiej będą prezentowane eksponaty. Zgodnie z instrukcjami, które otrzymali państwo ze stosownym wyprzedzeniem, zrobimy teraz trzydziestominutową przerwę, w której trakcie będziecie mogli skonsultować się ze swoimi klientami. Pragnę przypomnieć, że lista obrazów licytowanych w dniu dzisiejszym znajduje się na stronach od trzydziestej czwartej do dziewięćdziesiątej szóstej w katalogu. Można je również podziwiać na obecnych tu fotografiach. Dla ułatwienia porządek aukcji będzie również prezentowany na ekranie.

Ludzie podnieśli się z krzeseł i sięgnęli po telefony; inni zaczęli się naradzać. Luke nachylił się do Sophii.

– To znaczy, że nikt nie wie, w jakiej kolejności będą licytowane obrazy? – szepnął. – A co, jeśli obraz, który ich interesuje, pojawi się na samym końcu? Będą siedzieli tu przez kilka godzin?

– Mając taką okazję, siedzieliby tu przez całą wieczność.

– Więc który chcesz? – Wskazał stojące pod ścianami sztalugi. – Bo tak się składa, że mam w portfelu kilka dolarów, a pod krzesłem leży tabliczka z numerem. Picassa? Jacksona Pollocka? Może któryś z obrazów Warhola?

– Marzenie.

– Myślisz, że pójdą za tyle, na ile je wycenili?

– Nie mam pojęcia, ale dom aukcyjny na pewno o to zadba. Ceny będą pewnie zbliżone.

– Niektóre z tych obrazów są warte więcej niż dwadzieścia moich rancz.

– Wiem.

– To szaleństwo.

– Może – przyznała.

Luke pokręcił głową i rozejrzał się.

– Ciekawe, co powiedziałby na to Ira.

Sophia przypomniała sobie staruszka i list, w którym słowem nie wspomniał o sztuce.

– Ciekawe – odparła – czy w ogóle by go to interesowało.

Kiedy przerwa dobiegła końca i wszyscy wrócili na swoje miejsca, siwowłosy mężczyzna stanął za pulpitem. W tej samej chwili dwóch mężczyzn wniosło na scenę zakrytą płótnem

sztalugę. Sophia spodziewała się, że wraz z początkiem aukcji na sali zapanuje spore poruszenie, tymczasem tylko nieliczni wydawali się zainteresowani. Pozostali wystukiwali coś na klawiaturze telefonów, podczas gdy licytator przygotowywał się do rozpoczęcia aukcji. Wiedziała, że pierwszy z ważniejszych obrazów, jeden z kilku pędzla de Kooninga, miał być licytowany jako drugi, a obraz Jaspersa Johnsa jako szósty. Między nimi licytowano prace artystów, których nie kojarzyła, i to, bez wątpienia, był jeden z nich.

– Jako pierwszy prezentujemy obraz, który znajdują państwo na trzydziestej czwartej stronie katalogu. To obraz olejny na płótnie, o wymiarach sześćdziesiąt centymetrów na siedemdziesiąt sześć centymetrów, zatytułowany *Portret Ruth*. Ruth, jak większość z państwa zapewne wie, była żoną Iry Levinsona.

Kiedy zdjęto płótno, Sophia i Luke poderwali się z krzeseł. Równocześnie powiększony obraz pojawił się na widocznym za sztalugą ekranie. Nawet ktoś tak niedoświadczony jak Sophia bez trudu odgadłby, że namalowało go dziecko.

– Namalował go Amerykanin, Daniel McCallum, urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku; zmarł w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym. Nie wiadomo, kiedy dokładnie powstał obraz, jednak prawdopodobnie między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Jak wynika z opisu Iry Levinsona, Daniel był uczniem Ruth, a obraz został подарowany panu Levinsonowi w roku dwa tysiące drugim przez wdowę po McCallumie.

W trakcie prezentacji obrazu Sophia ani na chwilę nie usiadła. Nawet z tej odległości nietrudno było zauważyć, że *Portret Ruth* to dzieło amatora; jednak przeczytawszy list, zaczęła się zastanawiać, jak wyglądała Ruth. Mimo prymitywności wykonania kobieta zachwycała urodą, a jej łagodna twarz sprawiła, że Sophia zaczęła myśleć o Irze. Tymczasem prowadzący aukcję kontynuował.

– Niewiele wiadomo na temat samego artysty; prawdopodobnie był to jedyny obraz, jaki namalował. Ci z państwa, którzy nie mieli okazji przyjrzeć się obrazowi wczoraj, mogą zrobić to teraz; zapraszam pod scenę. Licytacja rozpocznie się za pięć minut.

Nikt się nie ruszył. Goście wyraźnie się ożywili; niektórzy rozmawiali ściszymi głosami, podczas gdy inni w skupieniu przygotowywali się do kolejnej aukcji, która z całą pewnością wzbudzi dużo większe zainteresowanie.

Pięciominutowa przerwa ciągnęła się w nieskończoność. Mężczyzna przy pulpicie nie wyglądał na zaskoczonego. W spokoju kartkował leżące przed nim papiery, równie niezainteresowany jak reszta gości. Nawet Luke wydawał się obojętny, co zaskoczyło Sophię, tym bardziej że znał treść listu Iry.

Kiedy przerwa dobiegła końca, siwowłosa mężczyzna poprosił wszystkich o ciszę.

– *Portret Ruth* autorstwa Daniela McCalluma. Cena wyjściowa tysiąc dolarów. Czy ktoś z państwa proponuje tysiąc dolarów?

Nikt ze zgromadzonych się nie poruszył.

– Dziewięćset dolarów? – kontynuował mężczyzna. – Proszę zwrócić uwagę, że mają państwo okazję nabyć przedmiot z jednej z największych prywatnych kolekcji wszech czasów.

Cisza.

– Osiemset dolarów? Siedemset dolarów? – spytał po chwili.

– Sześćset?

W miarę jak cena spadała, Sophia czuła, że coś w niej pęka. Nie tak powinno być. Po raz kolejny pomyślała o liście, który Ira napisał do Ruth; liście, w którym wyznawał jej, jak wiele dla niego znaczyła.

– Pięćset dolarów? Cztery?

W tej samej chwili kątem oka dostrzegła, że Luke podnosi tabliczkę.

– Czteryście dolarów! – zawołał. Jego głos zdawał się odbijać echem od ścian. Kilka osób odwróciło się w jego stronę, lecz nawet one nie wykazywały większego zainteresowania.

– Mamy czteryście dolarów. Czteryście dolarów. Czy ktoś z państwa da czteryście pięćdziesiąt?

Po raz kolejny nikt się nie odezwał. Sophia poczuła, że kręci jej się w głowie.

– Czteryście po raz pierwszy, czteryście po raz drugi. Sprzedane za czteryście dolarów.

Do Luke'a podeszła atrakcyjna brunetka z podkładką do pisania; poprosiła go o dane osobowe i poinformowała, że czas uregulować należności. Poprosiła o informacje bankowe i wypełniony formularz.

– Nie wypełniałem żadnych formularzy – obruszył się Luke.

– Jak więc zamierza pan zapłacić?

– Przyjmujecie gotówkę?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Oczywiście, proszę pana. Proszę za mną.

Luke poszedł za nią i wrócił kilka minut później, trzymając w ręce dowód zakupu. Usiadł obok Sophii i posłał jej szelmowski uśmiech.

– Dlaczego? – spytała.

– Idę o zakład, że to jeden z ulubionych obrazów Iry. – Wzruszył ramionami. – Został wystawiony jako pierwszy. Poza tym kochał żonę i trochę to nie w porządku, że nikt nie chciał kupić jej portretu.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że stajesz się romantyczny.

– Myślę – odparł niespiesznie Luke – że Ira był romantykiem. Ja jestem tylko byłym ujeżdżaczem byków.

– Jesteś kimś znacznie więcej – odparła, dając mu kuksańca. – Gdzie go powieszysz?

– Myślę, że to bez znaczenia. Poza tym nie wiem nawet, gdzie będę mieszkał za kilka miesięcy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, prowadzący aukcję uderzył młotkiem i pochylił się w stronę mikrofonu.

– Panie i panowie, zanim przejdziemy dalej, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami pragnę po raz kolejny zaprosić na scenę Howiego Sandersa, który przeczyta państwu list napisany przez Irę Levinsona, dotyczący zakupu tego obrazu.

Sanders, z kopertą w dłoni, wyszedł zza kotary, powłócząc nogami w swoim przydużym garniturze. Siwowłosa mężczyzna odsunął się, ustępując mu miejsca przy mikrofonie.

Pełnomocnik Iry otworzył kopertę nożem do papieru i wyciągnął list. Wziął głęboki oddech i powoli rozłożył kartkę. Rozejrzał się po sali i wypił łyk wody. Spoważniał niczym aktor przygotowujący się do wyjątkowo dramatycznej sceny i chwilę później zaczął czytać.

– Nazywam się Ira Levinson i dziś poznacie moją historię miłosną. Nie tego się spodziewacie. Nie jest to historia o bohaterach i złoczyńcach, pięknych księżniczkach i przystojnych książętach. To opowieść o prostym człowieku, Irze Levinsonie, który poznał wyjątkową kobietę imieniem Ruth. Spotkaliśmy się, kiedy byliśmy młodzi, i zakochaliśmy się w sobie; z czasem pobraliśmy się i rozpoczęliśmy wspólne życie. Historia jak wiele innych, z tą różnicą, że Ruth znała się na sztuce, a ja byłem zakochany do szaleństwa. Jak widać, to wystarczyło, by zgromadzić kolekcję, która stała się dla nas bezcenna. Dla Ruth w sztuce chodziło o piękno i talent; dla mnie sztuka była odbiciem Ruth. Tak oto wypełniliśmy nasz dom

rozmaitymi dziełami sztuki i prowadziliśmy długie i szczęśliwe życie. I nagle wszystko to dobiegło końca, zostałem sam na świecie, w którym nic nie miało już sensu.

Sanders urwał, żeby otrzeć łzy. Słyszając jego łamiący się głos, Sophia pochyliła się trochę, jakby nagle zaczęło interesować ją to, co mówił. Mężczyzna odchrząknął i kontynuował:

– Uważałem, że to niesprawiedliwe. Bez Ruth nie miałem powodu, by dalej żyć. I wtedy wydarzył się cud. Dostałem portret mojej żony, niespodziewany prezent, a gdy powiesiłem go na ścianie, doznałem dziwnego wrażenia, że Ruth znowu nade mną czuwa. Pomaga mi. Prowadzi mnie. I tak powoli odzyskałem wspomnienia z naszego wspólnego życia, wspomnienia związane z każdym obrazem w naszej kolekcji. Dla mnie były one zawsze cenniejsze niż sztuka. Nie potrafię ich oddać, a jednak, jeśli sztuka należała do Ruth, a wspomnienia do mnie, cóż miałem zrobić z naszymi zbiorami? Rozumiałem ten dylemat, ale prawo go nie rozumiało i przez długi czas nie wiedziałem, co robić. W końcu bez Ruth byłem nikim.

Pokochałem ją w momencie, gdy ją zobaczyłem, i choć odszedłem, musicie wiedzieć, że wydając ostatnie tchnienie, kochałem ją równie mocno, jak na początku. Chcę, żebyście zrozumieli prostą prawdę: choć sztuka jest piękna i niezwykle wartościowa, oddałbym całą kolekcję, by móc spędzić choćby jeden dzień z kobietą, którą kochałem ponad wszystko.

Sanders spojrział na gości, którzy dosłownie zamarli na swoich krzesłach.

Coś się działo. Coś niezwykłego. Sanders chyba też to wyczuwał, bo nie mógł wykrztusić słowa. Zanim wrócił do czytania listu, podniósł do ust palec wskazujący.

– Choćby jeden dzień – powtórzył, pozwalając słowom zawisnąć w powietrzu. – Tylko jak was przekonać, że byłbym w stanie to zrobić? Jak was przekonać, że nie dbam o wartość rynkową kolekcji? Jak udowodnić, jak bardzo wyjątkowa była dla mnie Ruth? Jak sprawić, byście nigdy nie zapomnieli, że moja miłość do niej była zaklęta w każdym kupionym przez nas obrazie?

Sanders podniósł wzrok na sklepiony sufit i opuścił go na siedzących w sali ludzi.

– Czy mogę prosić o powstanie pana, który zakupił *Portret Ruth*?

Sophia czuła, że nie może oddychać. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, kiedy Luke dźwigał się z krzesła. Czuła, że uwaga wszystkich skupia się na nim.

– Zasady mojego testamentu oraz aukcji są proste: postanowiłem, że ktokolwiek kupi *Portret Ruth*, niezwłocznie stanie się właścicielem całej kolekcji. Tak więc, skoro nie ja już o niej decyduję, niniejszą aukcję uważam za zakończoną.

33

Luke

Luke nie mógł się poruszyć. Stojąc w ostatnim rzędzie, wyczuwał zalegającą w sali martwą ciszę. Potrzeba było kilku chwil, by słowa Iry dotarły nie tylko do niego, ale do wszystkich zgromadzonych na aukcji.

Sanders nie mówił poważnie. A jeśli tak było, Luke musiał go źle zrozumieć. Bo z tego, co zrozumiał, nabył właśnie całą kolekcję. Ale to przecież niemożliwe. To nie mogła być prawda.

Pozostali goście najwyraźniej byli tego samego zdania. Rozglądając się po sali, widział zdumione twarze ludzi, którzy patrzyli po sobie z niedowierzaniem; ludzi, którzy podnosili ręce, jakby chcieli powiedzieć, że zostali oszukani albo nawet zdradzeni.

Chwilę później rozpętało się istne piekło. Nie były to zamieszki, jakie często towarzyszą imprezom sportowym, kiedy rozjuszeni kibice rzucają krzesłami, ale kontrolowany napad wściekłości zadufanych w sobie eleganckich ludzi. Mężczyzna w trzecim rzędzie zerwał się z krzesła i zagroził, że wezwie swojego prawnika; kolejny krzychał, że zwabiono go tu podstępem i że on również natychmiast skontaktuje się ze swoim prawnikiem. Jeszcze inny twierdził, że jest świadkiem oszustwa.

Oburzenie i wściekłość osiągnęły apogeum. Coraz więcej ludzi zrywało się z krzesel, krzycząc na Sandersa; inni skupili swoją uwagę na siwowłosym mężczyźnie. Stojąca w drugim końcu sali sztaluga runęła na podłogę, gdy któryś ze wzburzonych gości opuścił pomieszczenie.

I nagle, jedna po drugiej, twarze gości zaczęły zwracać się w stronę Luke'a. Czuł ich gniew i rozczarowanie. Niektórzy byli wobec niego podejrzliwi, inni wyczuli okazję. Atrakcyjna blondynka w obcisłym kostiumie przysunęła się do niego, a zaraz potem w sali rozległ się huk przewracanych krzesel, gdy tłum ludzi rzucił się w stronę Luke'a, przekrzykując się nawzajem.

– Przepraszam...

– Możemy porozmawiać?

– Chciałabym umówić się na spotkanie...

– Co pan robi z Warholem?

– Mój klient jest szczególnie zainteresowany jednym z obrazów Rauschenberga...

Niewiele myśląc, Luke chwycił Sophie za rękę i odepchnął krzesło, torując sobie drogę ucieczki. Chwilę później biegli w kierunku drzwi ścigani przez uczestników aukcji.

Gdy wypadli na zewnątrz, zauważyli dwie kobiety i mężczyznę z identyfikatorami domu aukcyjnego oraz stojących za ich plecami sześciu ochroniarzy. Jedną z kobiet była atrakcyjna brunetka, z którą rozmawiał po zakupie *Portretu Ruth* i której oddał niemal całą zawartość portfela.

– Pan Collins? – spytała. – Jestem Gabrielle i pracuję dla domu aukcyjnego.

Przygotowaliśmy dla pana prywatny pokój na górze. Domyślaliśmy się, że sytuacja może wymknąć się spod kontroli, więc postanowiliśmy zadbać o pana wygodę i bezpieczeństwo. Proszę za mną.

– Właśnie szedłem do samochodu...

– Z pewnością domyśla się pan, że czeka nas jeszcze trochę papierkowej roboty. Proszę. Jeśli to nie problem. – Wskazała ręką drzwi.

Luke obejrzał się na nadciągający tłum.

– Chodźmy – zdecydował.

Trzymając Sophie za rękę, zawrócił i w eskorcie trzech ochroniarzy poszedł za Gabrielle. Domyślał się, że pozostali trzej mieli dopilnować, by uczestnicy aukcji nie ruszyli ich śladem.

Daleko za plecami słyszał ich krzyki i pytania.

Miał surrealistyczne wrażenie, że ktoś robi sobie z niego żarty, choć nie miał pojęcia, kto i dlaczego miałby to robić. Szaleństwo, pomyślał. Czyste szaleństwo...

Skreślili za róg i skierowali się w stronę drzwi prowadzących na schody. Kiedy Luke zerknął przez ramię, zobaczył, że towarzyszy im już tylko dwóch ochroniarzy; trzeci pozostał przy drzwiach.

Na drugim piętrze Gabrielle otworzyła przed nimi obite drewnem drzwi.

– Proszę – odezwała się, zapraszając ich do przestronnego apartamentu. – Niech się państwo rozgoszczą. Są tu napoje i przekąski, a także katalog. Jestem pewna, że ma pan wiele pytań, i zapewniam, że odpowiem na każde z nich.

– Co się dzieje? – spytał Luke.

Uniosła brwi.

– Myślę, że pan wie – odparła, nie udzielając jasnej odpowiedzi na zadane przez niego pytanie. Odwróciła się do Sophii i wyciągnęła rękę. – Chyba nie miałyśmy okazji się poznać.

– Sophia. Sophia Danko.

Gabrielle przekrzywiła głowę.

– To słowackie nazwisko, prawda? Piękny kraj. Miło mi panią poznać. – Po tych słowach spojrzała na Luke'a. – Ochroniarze pilnują wejścia, więc nikt nie będzie państwa niepokoił. Jestem pewna, że muszą państwo przemyśleć wiele rzeczy. Zostawimy was na kilka minut, żebyście mogli przyjrzeć się kolekcji, dobrze?

– Chyba tak – odparł Luke. Nadal miał mętlik w głowie. – Ale...

– Panowie Lehman i Sanders niebawem do państwa przyjdą.

Luke spojrzał na Sophię i unosząc brwi, rozejrzał się po pokoju.

Wokół niskiego stolika ustawiono kanapy i krzesła. Na stoliku stały rozmaite napoje, kubek z lodem, w którym chłodził się szampan, półmisek z kanapkami i podane na kryształowej tacy krojone owoce i sery.

Obok leżał katalog, otwarty na przypadkowej stronie.

Słyszając szcęk zamykanych drzwi, uświadomili sobie, że zostali zupełnie sami. Sophia zerknęła na Luke'a, ostrożnie podeszła do stolika i spojrzała na katalog.

– To Ruth – zauważyła, dotykając strony.

Przyglądał się jej, gdy wodziła palcem po papierze.

– To nie dzieje się naprawdę.

Sophia jeszcze przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie, po czym odwróciła się do niego z błogim uśmiechem.

– A ja myślę, że to wszystko prawda.

Gabrielle wróciła z Sandersem i Lehmanem, w którym Luke rozpoznał nadzorującego aukcję siwowłosego dżentelmena.

Przedstawiwszy się, Sanders usiadł w fotelu i wysmarkał nos w płócienną chusteczkę. Dopiero teraz Luke zauważył jego zmarszczki i krzaczaste siwe brwi. Podejrzewał, że mężczyzna ma około siedemdziesięciu pięciu lat, choć figlarne ogniki w jego oczach sprawiały, że wyglądał młodziej.

– Zanim zaczniemy, pozwoli pan, że odpowiem na pierwsze i najbardziej oczywiste pytanie, które z pewnością przychodzi panu do głowy – rozpoczął Sanders, opierając dłonie na kolanach. – Zapewne zastanawia się pan, czy jest tu gdzieś jakiś haczyk. Czy kupując *Portret Ruth*, naprawdę nabył pan całą kolekcję. Mam rację?

– Jak najbardziej – przyznał Luke. Odkąd wybuchła wrzawa, miał mętlik w głowie. Cała

ta sytuacja... ci ludzie... wszystko to było dla niego takie obce.

– Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi „tak” – odparł uprzejmie Sanders. – Zgodnie ze wskazówkami, które Ira Levinson zamieścił w swoim testamencie, nabywca *Portretu Ruth* staje się właścicielem całej kolekcji. Właśnie dlatego ten obraz jako pierwszy poszedł pod młotek. Innymi słowy, nie ma tu absolutnie żadnego haczyka. Żadnych ukrytych zobowiązań. Kolekcja należy do pana i może pan z nią zrobić, co tylko chce.

– To znaczy, że mógłbym załadować ją na pakę i zawieźć do domu?

– Tak – odparł Sanders. – Choć biorąc pod uwagę jej rozmiary, myślę, że musiałby pan odbyć kilka takich wycieczek. No i zważywszy na wartość niektórych dzieł, zalecałbym bezpieczniejszy transport.

Luke gapił się na niego w osłupieniu.

– Jest jednak coś, co należy wziąć pod uwagę.

Zaczyna się, pomyślał Luke.

– Chodzi o podatek spadkowy – wyjaśnił Sanders. – Jak panu wiadomo, a może nie, każdy spadek, którego wartość przekracza pewną sumę, podlega opodatkowaniu przez rząd Stanów Zjednoczonych albo izbę skarbową. Wartość tej kolekcji dalece tę sumę przekracza, a więc jako właściciel ma pan pewne zobowiązania podatkowe. Jeśli nie posiada pan majątku, najlepiej dużego, ze znacznymi środkami płynnymi, które wystarczą na opłacenie podatków, prawdopodobnie będzie pan zmuszony sprzedać część obrazów. Rozumie pan, o czym mówię?

– Chyba tak. Dostałem pokaźny spadek, od którego trzeba zapłacić podatek.

– Dokładnie. Tak więc zanim przejdziemy do dalszej rozmowy, chciałbym zapytać, czy ma pan prawnika do spraw majątkowych, któremu chciałby pan powierzyć tę sprawę. Jeśli nie, z chęcią polecę panu kilka osób.

– Nie mam nikogo takiego.

Sanders pokiwał głową.

– Tak też myślałem. Jest pan jeszcze młody. To nic. – Sięgnął do kieszeni po wizytówkę.

– Jeśli zadzwoni pan w poniedziałek do mojego biura, przygotuję listę nazwisk. Naturalnie nie musi się pan decydować na żadną z tych osób.

Luke przyjrzał się wizytówce.

– Tu jest napisane, że pan jest specjalistą do spraw majątkowych.

– To prawda. W przeszłości zajmowałem się innymi rzeczami, ale obecnie specjalizuję się w prawie majątkowym.

– Więc mógłbym zatrudnić pana?

– Jeśli pan chce. – Mężczyzna wskazał pozostałe osoby w pokoju. – Poznał pan już Gabrielle. Jest wiceprezesem do spraw kontaktów z klientami w domu aukcyjnym. Chciałem też, by poznał pan Davida Lehmana, prezesa zarządu domu aukcyjnego.

Luke i Lehman uścisnęli sobie dłonie i wymienili uprzejmości, po czym Sanders kontynuował:

– Jak się pan domyśla, przygotowanie takiej aukcji było pod wieloma względami dużym wyzwaniem, także finansowym. Decyzją Iry to dom aukcyjny pana Lehmana miał się wszystkim zająć. I choć w przyszłości nie musi pan korzystać z jego usług, to omawiając szczegóły, Ira prosił mnie, by nowy właściciel kolekcji zastanowił się nad kontynuacją tej owocnej współpracy. To jeden z najbardziej renomowanych domów aukcyjnych na świecie, co naturalnie może pan sam sprawdzić.

Luke rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, jakby dopiero pojął, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Dobrze – powiedział. – Ale nie podejmę takiej decyzji bez konsultacji z moim

prawnikiem.

– To rozsądne – przyznał Sanders. – Choć jesteśmy tu po to, by odpowiedzieć na wszelkie pytania, sądzę, że powinien pan jak najszybciej zatrudnić pełnomocnika. Myślę, że skorzysta pan na pomocy profesjonalisty, który przeprowadzi pana przez ten dość skomplikowany proces. I nie mówię tu wyłącznie o majątku, ale także o innych sferach pańskiego życia. W końcu nawet po zapłaceniu podatku będzie pan niezwykle zamożnym człowiekiem. Tak więc proszę pytać.

Luke spojrział na Sophię i znowu na Sandersa.

– Jak długo był pan pełnomocnikiem Iry?

– Ponad czterdzieści lat – odparł mężczyzna z rozrzewnieniem.

– Więc jeśli zatrudnię pełnomocnika, będzie reprezentował mnie najlepiej, jak potrafi?

– Skoro będzie pan jego klientem, nie będzie miał wyjścia.

– W takim razie – zaczął Luke – może załatwmy to od razu. Jak mogę pana zatrudnić?

Gdybym chciał porozmawiać z obecnym tu panem Lehmanem?

– Musi pan wpłacić zaliczkę.

– Ile? – Luke zmarszczył brwi, jakby obawiał się tego, co zaraz usłyszy.

– Na początek wystarczy dolar – odparł Sanders.

Luke zaczerpnął powietrza, jakby w końcu zrozumiał, co to oznacza. Bogactwo. Ranczo. Życie u boku Sophii.

Myśląc o tym, wyjął portfel i przejrzał jego zawartość. Pieniądze, które zostały mu po kupnie portretu, wystarczyłyby na zakup paru litrów benzyny.

Albo i nie, jeśli część z nich da Sandersowi jako zaliczkę.

Epilog

Kilka miesięcy po licytacji Luke nadal miał wrażenie, że jest bohaterem fantastycznej opowieści, którą napisał dla niego ktoś inny. Zgodnie z radą Davida Lehmana na połowę czerwca zaplanowano kolejną aukcję, tym razem w Nowym Jorku. Następną miała się odbyć w połowie lipca i jeszcze jedna we wrześniu. Pod młotek miała iść większa część kolekcji, wystarczająca z nawiązką, by opłacić podatki.

Pierwszego dnia, podczas rozmowy z Gabrielle i Davidem Lehmanem, Luke pokrótce przedstawił sytuację rancza, a Sanders skrupulatnie wszystko notował. Kiedy Luke zapytał, czy istnieje szansa, by uzyskał dostęp do potrzebnych pieniędzy i spłacił kredyt hipoteczny, Sanders przeprosił ich i wyszedł z pokoju, by piętnaście minut później wrócić i oznajmić ze spokojem, że kierownik banku, z którym rozmawiał, zgodził się nie podnosić wysokości rat przez kolejny rok, a nawet zawiesić spłatę odsetek, jeśli tego życzy sobie Luke. Zadeklarował się również, że w świetle zaistniałych okoliczności bank rozważy rozszerzenie linii kredytowej o wszelkie udogodnienia.

Luke zdołał jedynie wydusić:

– Jak... to?

Sanders uśmiechnął się, a jego oczy błysnęły figlarnie.

– Powiedzmy, że zależy im na tym, żeby wzmocnić relację z lojalnym klientem, który właśnie się wzbogacił.

Sanders przedstawił go również menedżerom zarządzającym aktywami i różnymi doradcami. W trakcie spotkań to on zadawał im pytania, z których Luke niewiele rozumiał i których sam nigdy by nie zadał. Sanders wyjaśnił mu zawiłości związane z byciem zamożnym i zapewnił, że w razie potrzeby może liczyć na jego pomoc.

Bez względu na to, jak bardzo przytłaczała go czasem ta cała sytuacja, Luke był pierwszym, który musiał przyznać, że są na świecie większe problemy.

Matka początkowo mu nie uwierzyła, tak jak nie wierzyła Sophii. Najpierw ich wyśmiała, a gdy po raz kolejny próbował przekonać ją, że to prawda, zdenerwowała się. Dopiero gdy zadzwonił do miejscowego banku i poprosił o rozmowę z zastępcą dyrektora, zaczęła podejrzewać, że może rzeczywiście nie żartuje.

Ten zapewnił ją, że na chwilę obecną nie musi przejmować się pożyczką. Choć w trakcie rozmowy nie okazywała emocji i odpowiadała monosylabami, odłożywszy słuchawkę, przytuliła Luke'a i uroniła parę łez.

Gdy chwilę później wyswobodziła się z jego objęć, była znowu tą samą Lindą, spokojną i niewzruszoną.

– Teraz są hojni, ale gdzie się podziewali, kiedy naprawdę byli nam potrzebni?

Luke wzruszył ramionami.

– Dobrze pytanie.

– Skorzystam z ich oferty – oznajmiła. – Ale kiedy spłacimy kredyt, chcę, żebyś znalazł inny bank.

W tej kwestii Sanders również okazał się pomocny.

Rodzina Sophii przyjechała z New Jersey na ceremonię rozdania dyplomów i wspólnie z Lukiem cieszyli się, gdy w ten ciepły wiosenny dzień pojawiła się na podium. Po wszystkim poszli na obiad i, ku jego zaskoczeniu, zapytali, czy następnego dnia mogą odwiedzić ranczo.

Mama Luke'a od samego rana zaprzęła go do pracy, w domu i przed nim, a sama zajęła się obiadem. Jedli przy stole piknikowym w ogrodzie na tyłach domu. Siostry Sophii podziwiała okolicę i gapily się na nią, nadal zdumione, jak to się stało, że Luke i Sophia są razem.

Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, a mama Sophii i Linda od razu znalazły wspólny język. Zwiedzali ranczo, śmiali się i rozmawiali. Na widok posadzonych w ogrodzie równych rzędów warzyw serce Luke'a zabiło radośniej.

– Mogłabyś zamieszkać, gdzie tylko zechcesz, mamó – zwrócił się do niej wieczorem Luke. – Nie musisz zostawać na ranczu. Jeśli chcesz, kupię ci luksusowy apartament na Manhattanie.

– Niby czemu miałabym mieszkać na Manhattanie? – spytała, krzywiąc się.

– To nie musi być Manhattan. Możesz wybrać każde inne miejsce.

Wyjrzała przez okno na ranczo, gdzie dorastała.

– Nie chcę mieszkać gdzieś indziej – wyznała.

– Więc może pozwolisz, że zajmę się naprawami. Nie po trochu, tylko wszystkimi naraz. Uśmiechnęła się.

– Świetny pomysł – odparła.

– Więc jak, jesteś gotów? – spytała Sophia.

– Na co?

Po rozdaniu dyplomów pojechała na tydzień do domu, po czym wróciła do Karoliny Północnej.

– Żeby opowiedzieć mi, co się wydarzyło w Karolinie Południowej – odparła, patrząc na niego, kiedy szli na pastwisko. – Czy tamtego dnia ujeżdżałeś Zakapiora? Czy odpuściłeś?

Luke wrócił wspomnieniami do tamtego zimowego dnia, jednego z najbardziej przygnębiających w jego życiu. Pamiętał, jak podszedł do zagrody i przyglądał się bykowi; pamiętał, że ogarnął go lęk. A jednak zrobił to, po co przyjechał. Dosiadł Zakapiora i poprawił uchwyt, starając się nie myśleć o swoim oszalałym sercu. To tylko byk, powtarzał sobie. Byk jak każdy inny. Wiedział, że okłamuje samego siebie, ale gdy bramki zagrody się otworzyły i zwierzę wypadło na arenę, Luke pozostał skupiony.

Byk był agresywny jak zawsze, wierzgał i kręcił piruety jak opętany. A jednak Luke czuł, że kontroluje sytuację, jakby oglądał ją z dystansu. Świat zwolnił i była to najdłuższe ujeżdżanie byka w jego życiu, a on, pochylając się, balansował ciałem i wymachiwał wolną ręką, by utrzymać kontrolę. Kiedy w końcu usłyszał brzęczyk, tłum zerwał się na równe nogi, rykiem wyrażając uznanie.

Luke czym prędzej wypuścił sznur z dłoni i zeskoczył na obie nogi. Tak jak poprzednio, byk zatrzymał się i obrócił; jego nozdrza rozszerzyły się, pierś unosiła się i opadała. Patrząc na niego, Luke wiedział, że zwierzę szykuje się do szarży.

Jednak nic takiego się nie stało. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, jak dwaj rewolwerowcy, aż w końcu buhaj się odwrócił.

– Uśmiechasz się. – Głos Sophii wyrwał go z zamyślenia.

– Chyba tak.

– A to znaczy, że...?

– Dosiadłem go – odparł. – A gdy było już po wszystkim, wiedziałem, że jestem gotowy odejść.

Sophia szturchnęła go w ramię.

– To było głupie.

- Pewnie tak – przyznał. – Ale wygrałem nowego pick-upa.
- Jakoś nigdy go nie widziałam – rzuciła, unosząc brwi.
- Bo go nie wziąłem. Zamiast niego wziąłem gotówkę.
- Na ranczo?
- Nie – odparł. – Na to.

Wyjął z kieszeni niewielkie pudełeczko i przyklęknąwszy na jedno kolano, wyciągnął je w stronę Sophii.

Zaskoczona dziewczyna wstrzymała oddech.

- Czy to jest to, o czym myślę?
- Otwórz – zachęcił ją.

Posłuchała go; powoli otworzyła wieczko i utkwiała wzrok w pierścionku.

- Chciałbym, żebyś została moją żoną, jeśli nie masz nic przeciwko.
- Spojrzała na niego błyszczącymi oczami.
- Zgoda – odparła. – Chyba nie będę miała nic przeciwko.

– Gdzie chcesz zamieszkać? – spytała go później, kiedy powiadomili o swoich planach Lindę. – Tu, na ranczu?

– Na dłuższą metę? Nie wiem. Ale na razie dobrze mi tu, gdzie jestem. Pytanie tylko: czy tobie też jest tu dobrze?

– Pytasz, czy chciałabym zostać tu na stałe?

– Niekoniecznie – odparł. – Ale pomyślałem, że moglibyśmy tu zostać, dopóki wszystko się nie ułoży. A potem? Chyba możemy zamieszkać, gdzie tylko będziemy chcieli. Poza tym myślę, że mogłabyś sama wybrać muzeum, w którym zechcesz pracować. Darowizna powinna wystarczyć.

– Na przykład w Denver?

– Słyszałem, że mają tam całkiem niezłe ziemie uprawne. A w New Jersey mają nawet hodowle zwierząt. Sprawdzalem.

Spojrzała w górę i z powrotem na niego.

– A może zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas życie?

Tej nocy, kiedy Sophia zasnęła, Luke wyszedł na werandę i przez chwilę rozkoszował się ciepłym powietrzem. Wysoko w górze, na bezchmurnym niebie, zawisł blady półksiężyc i rozsiane w mroku miriady gwiazd. Wiejący od strony pastwisk łagodny wietrzyk niósł ze sobą cykanie świerszczy.

Luke spojrzał w bezkresne, atramentowoczarne niebo, myśląc o mamie i ranczu. Wciąż nie nadążał za zmianami, jakie nastąpiły w jego życiu, i nie potrafił odnaleźć się w nowej sytuacji. Wszystko się zmieniło i zastanawiał się, czy on też się zmieni. Ostatnio często myślał o Irze, nieznanym człowieku, który odmienił jego życie. Dla Iry Ruth była całym światem. Stojąc w ciemnościach, Luke wyobraził sobie Sophię, która spała w jego łóżku, jej pszenicznolote włosy rozsypane na poduszce.

To ona była prawdziwym skarbem, który odnalazł w tym roku, wartym więcej niż wszystkie obrazy świata. Uśmiechając się, spojrzał w niebo.

– Rozumiem, Ira – wyszeptał.

Widząc w oddali spadającą gwiazdę, poczuł, że Ira nie tylko go usłyszała, ale i uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

W roku 2011 Nicholas Sparks założył Fundację Nicholasa Sparksa, która inspiruje i odmienia życie studentów poprzez edukację, podnoszenie kwalifikacji i międzynarodowe doświadczenia.

By dowiedzieć się więcej, odwiedź:

www.NicholasSparksFoundation.org